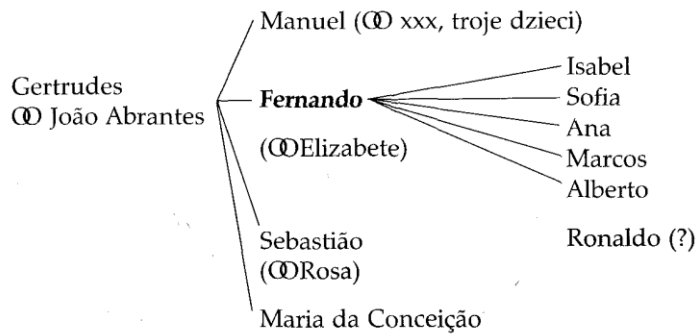
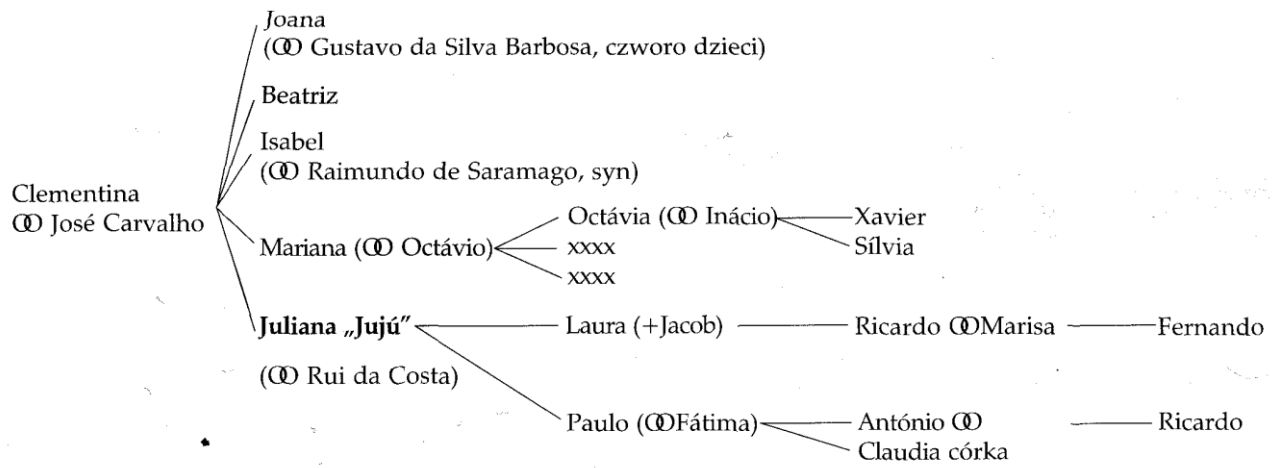


Ana Veloso

Bądź zdrowa, Lizbono



Moim rodzicom  
Esta tudo na cabeça

Beja/Alentejo, Sylwester 1899.

Juju drżała.

Przykucnęła pod murem starego zamku, obejmując rękoma kolana. Na próżno przekonywała samą siebie, że poradziła już sobie z wieloma innymi niebezpieczeństwami. W zaroślach u stóp muru szeleściło i trzeszczało. Oby tylko nie były to szczury! Sierp księżycy raz po raz rozbłyskał wśród chmur i zalewał niesamowitą scenerię mętnym światłem. Wełniana manta, którą Fernando narzucił Juju jako „przebranie”, wywoływała swędzenie. Dziewczynka jednak nie odważyła się podrapać ani przepłoszyć niewidzialnych zwierząt. Trwała bez ruchu i ledwo oddychała. Najbardziej bowiem bała się, że zostanie odkryta. Już na samą myśl o tym, jaka groziłaby jej wtedy kara, cała się trzęsła. Tylko z wielkim wysiłkiem powstrzymywała się przed szczekaniem zębami.

- Boisz się? - szepnął Fernando. Brzmiało to lekceważąco, zupełnie tak, jakby dla niego - chłopca, w dodatku starszego o prawie dziesięć lat - było naturalne, by w środku nocy czaić się w strasznych ruinach.

- Boję? Phi! Zimno mi. - Juju sama się zdziwiła, z jakim opanowaniem udzieliła odpowiedzi. Oczywiście, że się bała, i to jak! Ale za żadne skarby świata nie chciała przyznać tego wobec Fernanda. Już nigdy nie zabrałby jej ze sobą, a Juju nie potrafiłaby zrezygnować z przygód, jakie przeżywała tylko w jego towarzystwie. Luiza, jedyna przyjaciółka w jej wieku, nie doceniała uroku wspinania się do domków w koronach korkowych dębów lub zabawy w chowanego pośród wysokiej do kolan pszenicy. Starsze siostry Juju - Mariana, Isabel, Beatriz i Joana - również nie dawały się namówić, żeby na przykład przedostać się przez rzekę po śliskich i chwiejnych kamieniach. Miały się za wytworne damy. Jedynie Juju, najmłodsza z córek państwa Carvalho, była inna - czego

w tej chwili nieco żałowała. Ach, czemu nie została w domu, w swoim bezpiecznym, miękkim łóżku, kołysana do snu regularnym oddechem Mariany, z którą dzieliła pokój!

- Kiedy wreszcie ruszymy? - spytała cicho.

Fernando miał już na końcu języka złośliwą odpowiedź, ale zacisnął usta. Czemu miałby okazywać Juju pogardę wyłącznie dlatego, że jest od niego młodsza i w dodatku jest dziewczynką? W rzeczywistości on także się bał i cieszył się, że nie musi siedzieć w kryjówce zupełnie sam. Dzięki przyjaciółce mógł czuć się silny.

- Gdy tylko droga będzie wolna. Zaraz się rozejrzę.

- Sądzisz, że dona Ivone nas widziała?

- Nie sądzę. A jeśli tak, to na pewno nas nie poznała. W tej narzutce wyglądasz jak wieśniaczka, a ona widywała cię tylko w eleganckich sukienkach.

Dona Ivone była guwernantką w Quinta do Belo Horizonte, posiadłości rodziców Juju. Podejmując decyzję o nocnej wyprawie, dzieci nie przewidziały, że znajomi ich rodzin również mogą zatrzymać się w Beja.

Ależ byłem głupi, wyrzucił sobie Fernando. To oczywiste, że w sylwestrową noc inni też będą chcieli zobaczyć pokaz fajerwerków, który miał się odbyć w mieście. Dla spragnionych dodatkowych rozrywek przed bramami stanął mały cygański obóz, gdzie oferowano najróżniejsze atrakcje. Byli tam wróżbiarka, siłacz, a nawet przebrane małpy. Największy tłum zebrał się przed namiotem „Mademoiselle Angélique”. Mężczyźni stali w kolejce, a Fernando miał tylko bardzo blade pojęcie o tym, co mogło się dziać w namiocie. Do tej pory nie udało mu się zajrzeć do środka. Jego uwaga skupiona była jednak na innej atrakcji - aparacie z mechanizmem, który Fernando koniecznie chciał obejrzeć z bliska, a który miedziane tosto zmieniał w piękne monety ze stemplem.

- Chodź. Teraz możemy. - Pociągnął Juju za rękę.

Wyjrżeli zza rogu, ale zaraz znowu się schowali. Hałaśliwa grupa mężczyzn, najwyraźniej podpitych, zmierzała w ich kierunku od strony Rua Principal. Dzieci natychmiast zniknęły na powrót w zagłębieniu muru. Tego było już za wiele dla Juju. Zaczęła szczełkać zębami.

- Masz, ty zmarzluchu - Fernando zdjął owczą skórę i okrył nią ramiona dziewczynki.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Zdawała sobie sprawę, że Fernando dobrze wie, dlaczego ona drży. Z pewnością nie z zimna - było co prawda chłodno, lecz nie tak lodowato jak w minionym tygodniu.

Kożuch, pod którym znikła niemal cała jej szczupła postać, dawało więcej niż tylko przyjemne ciepło. Gdy naciągnęła je na głowę, poczuła się bezpieczna.

Przez kilka minut dzieci milczały. Juju myślała o przyjęciu, które wydawano dziś w Belo Horizonte, i mimo najlepszych chęci nie potrafiła sobie przypomnieć, dlaczego dobrowolnie z niego zrezygnowała. Tej „wyjątkowej nocy”, jak mawiała matka, mogła pójść spać później niż zwykle, ale udała, że jest zmęczona. Starsza o rok Mariana, która jeśli właśnie nie jadła, to niemal zawsze spała lub drzemała, położyła się już do łóżka, a Juju miała wrażenie, że rodzice i starsze siostry odczuli cichą ulgę, gdy pozbyli się obu „małych”.

Okazało się śmiesznie łatwe wyjść przez okno i przekraść się przez sad na drogę, na której umówiła się z Fernandem. Wcześniej zdołała nawet wykraść kilka monet z portmonetki matki, jak jej polecił. Juju wiedziała, że to grzech, ale przygoda, jaką obiecał jej w ten sylwestrowy wieczór Fernando, była warta każdego grzechu. Teraz jednak Juju zaczęła wątpić w słuszność - i sens - swoich postanowień.

Również Fernando nie był już tak przekonany do swojego planu. O ile dziś po południu wydawało mu się rzeczą wyjątkowo łatwą po prostu wziąć muła i razem z Juju przejechać na nim kilka kilometrów do Beja, teraz uważał to za głupi pomysł. Wprawdzie było mało prawdopodobne, by zauważono nieobecność jego i zwierzęcia, jednak nie stanowiło to jeszcze powodu do podobnej wyprawy. W Beja chcieli zobaczyć fajerwerki, posłuchać orkiestry i odwiedzić obóz Cyganów - ale trudno tego dokonać, skoro muszą się ukrywać. Juju zamknęła w jej pokoju, a jego samego zbiją tak mocno, że przez wiele dni będzie mieć na całym ciele niebieskie i zielone sińce i stanie się pośmiewiskiem dla innych dzieci.

Nawet gdyby udało się im tej nocy nieco zakosztować barwnych rozrywek, to nie koniec przygody. Droga powrotna okaże się trudniejsza. Księżyc już teraz dawał niewiele światła, nienawykły do odgłosów fajerwerków muł będzie jeszcze bardziej uparty niż zwykle, a Juju zacznie ścisnąć Fernanda tak mocno, że ledwo będzie mógł oddychać.

Ale czy naprawdę dotarli tak daleko, żeby teraz nie zaznać ani trochę przyjemności? W głowie Fernanda zaświtał pomysł - sam przekradnie się do Cyganów i zdobędzie przynajmniej pamiątkę po tej nocy. Juju znienawidzi go, że zostawił ją samą, choćby tylko na kwadrans, ale pójście razem z nią było zbyt niebezpiecznie.

- Daj mi tostao - szepnął.

- Po co? - Juju odrzuciła do tyłu długi warkocz i popatrzyła na większego od siebie chłopca z całą swoją siedmioletnią dumą. Fernando nie odpowiedział na zaczepne spojrzenie. Z udawanym zainteresowaniem wydrapywał kijkiem wzór na zakurzonej ziemi.

- Dobre pytanie. Daj mi lepiej dwa tostones.

Z oddali dochodziły dźwięki orkiestry dętej, która zaczęła grać przed ratuszem.

- Co chcesz z nimi zrobić?

- Nie wiesz, jaka dzisiaj noc?

- Sylwester?

- Tak, ale tym razem to wyjątkowy sylwester. Rano zaczyna się nowe stulecie.

Juju otworzyła szeroko oczy. - I trzeba zapłacić za wstęp?

- Nie. Ale za dwa miedziaki kupię nam całe sto lat.

1908-1916.



## Rozdział Pierwszy.

Jose Carvalho opadł ciężko na skórzany fotel przed kominkiem.

- Brandy, szybko! - krzyknął do służącej, która trwożnie czekała w drzwiach salonu na polecenia. Naląła patrao dużą porcję i podała mu szklankę drżącymi dłońmi. Humory senhora Carvalho śmiertelnie ją przerażały.

- Nie gap się na mnie jak krowa! Dalej, uciekaj! - ofuknął dziewczynę. Anunciacao wyszła, potykając się. Łzy nabiegły jej do oczu, więc tylko jak przez mgłę dostrzegła senhorę, która nadeszła korytarzem.

Dona Clementina nie dała po sobie poznać zdumienia ani zachowaniem służącej, ani wczesnym powrotem męża. Zazwyczaj nie zjawiał się w domu przed zachodem słońca. Musiało zająć coś naprawdę niezwykłego, skoro jej mąż dobrowolnie pożegnał się tak wcześnie z pozostałymi bywalcami kawiarni Luiz da Rocha. Przygotowując się na spotkanie z wyraźnie zdenerwowanym mężem, dona Clementina uniosła podbródek, odruchowo wygładziła granatową, idealnie wyprasowaną wełnianą suknię i przybrała wyrozumiałą minę. Jose nienawidził ciekawskich kobiet, więc nawet słowem czy choćby pytającym wyrazem arystokratycznej twarzy nie zdradzi mu swoich prawdziwych uczuć. W rzeczywistości dona Clementina drżała z ciekawości.

- Kochany, jak miło, że już jesteś w domu! - powitała męża. Pochyliła się nad oparciem fotela i zamarkowała pocałunek na jego czole. - Czy mam się martwić twoim wczesnym przybyciem? Dobrze się czujesz? Masz gorące czoło. - Czasami Clementina dziwiła się samej sobie. Jak łatwo przechodziły jej przez usta te kłamstwa! Przed dwudziestoma czterema laty, jako młoda małżonka, nie tylko by się zaczerwieniła, ale także wyspowiadałaby się potem padre Albertowi.

Jose wbił gniewny wzrok w płonąca szczapę. Upił duży łyk koniaku, nim wreszcie przemówił jakby sam do siebie.

- Nie musisz się martwić o mnie, tylko o monarchię. Don Carlos nie żyje. Następca tronu również. Zastrzelony w biały dzień, w swoim powozie.

- Mój Boże! - Dona Clementina przeżegnała się i opadła na drugi fotel stojący przed kominkiem. - Król nie żyje! Infant Luis Filipe także! Święta Matko Boska, co za tragedia! - Wstała i również naląła sobie brandy, co stanowiło nieomylny znak, że wiadomość głęboko nią wstrząsnęła. Nigdy nie piła niczego mocniejszego od słodkiego wina, a i to tylko przy wyjątkowych okazjach.

- Ta zgraja republikanów! - Jose nienawistnie pokręcił głową.

- Kim są mordercy? Czy ich pojmano?

- Pojmano? Straż królewska rozstrzelała ich na miejscu!

Dona Clementina skinęła głową i starała się odzyskać panowanie nad sobą. Nie pogłębiała złego nastroju męża głupimi pytaniami. Wiedziała, że Jose sam z siebie wcześniej czy później opowie całą historię. Chętnie udawał bywałego w świecie i obeznanego z polityką, lecz o wydarzeniach w Portugalii i na świecie wiedział tylko tyle, ile opowiadał mu redaktor Isidoro Vieira z lokalnej gazety „O Bejense”. A z kolei Isidoro, jak podejrzewała Clementina, przepisywał wszystko z poczytnych gazet lizbońskich.

Ona nie zajmowała się polityką, tak samo jak nie interesowała się szczególnie niczym, co nie dotyczyło bezpośrednio jej samej, jej rodziny lub majątku. Ten zamach odczuła jednak jako bezpośrednie zagrożenie. Jeśli, czego doświadczyła już w 1892 roku, skutkiem obalenia monarchii będzie bankructwo państwa, wtedy oni również na tym ucierpią. Jej reis byłyby wtedy niewiele warte za granicą, więc w czasie podróży do Paryża, Londynu lub innej europejskiej metropolii nie mogłaby kupić tego, co spodobałoby się jej lub jednej z córek. Kufrów na wyprawę od Louisa Vuittona, srebrnej zastawy marki Christofle, krystalowych kielichów Waterford, delikatnej, zdobionej koronkami bielizny Montfort, śmiałych kapeluszy najśłynniejszej modystki w całym Berlinie lub ręcznie czerpanego papieru z najelegantszej papeterii w Zurychu - tego wszystkiego musieliby sobie odmówić, nie mówiąc już o luksusowych apartamentach, które zwykli wynajmować na czas pobytu w najelegantszych hotelach, takich jak Hotel de Crillon, Sacher czy Savoy. To było po prostu nie do pomyślenia!

- Mae, Isabel nie chce mi dać swojego zielonego kapelusza! A przecież obiecała. W zeszłym tygodniu pożyczyłam jej żółty jedwabny szal i...

- Cicho! - przerwano gwałtownie Marianie. Dopiero teraz pulchna szesnastolatka zauważyła, że prawdopodobnie nie jest to odpowiedni moment, by prosić matkę o pomoc. Ojciec spojrział na nią tak, jakby była duchem. Aby uniknąć konfrontacji, opuściła salon równie szybko, jak do niego wpadła.

Na korytarzu czekała na nią złośliwie uśmiechnięta Isabel.

- Nie opłaciło się skarżenie, co?

- Ty głupia krowo! Nie wyobrażaj sobie, że ci jeszcze kiedyś coś pożyczę. I od dziś możesz poszukać sobie kogoś innego do pisania wypracowań. Albo twoich miłosnych listów. - Choć Mariana była dwa lata młodsza od Isabel, miała nie tylko ładniejszy charakter pisma, ale i lepsze wycucie języka, dar, dzięki któremu często uzyskiwała od sióstr tę lub inną przysługę.

- Co się tam dzieje? - spytała Isabel. - Od kiedy to papa i mama siedzą przez cały dzień przed kominkiem?

- Nie mam bladego pojęcia. Gdybyś nie była takim tchórzem i nie bała się, że mama każe ci pożyczyć mi kapelusz, sama byś weszła i spytała.

- To nie takie ważne. - Isabel z wyzywającym uśmiechem odwróciła się i odeszła dumnie.

Dolna warga Mariany drżała. Ze wszystkich ludzi na świecie tylko Isabel udawało się małym pogardliwym gestem lub złośliwym słowem tak bardzo wyprowadzić ją z równowagi. Jednak gdy ponownie doszły ją stłumione głosy z salonu, zapomniała na chwilę o gniewie na starszą siostrę. Na palcach podkradła się do drzwi i przyłożyła do nich ucho.

- Książę Manuel skończył właśnie osiemnaście lat - usłyszała słowa matki. - Tyle, ile Isabel. Jeśli jest równie niedojrzały, niech Bóg ma nas w opiece.

Mariana zachichotała po cichu. Nie rozmyślała zbyt długo nad zasłyszonymi słowami. Do jej świadomości dotarł jedynie fakt, że rodzice uważali Isabel za niedojrzałą. Popołudnie zostało uratowane. Pierwszy lutego 1908 roku zapisze się w jej dzienniku jako święto.

Wieczorem dobry humor Mariany ustąpił jednak przygnębieniu, jakie ogarnęło całą rodzinę. W milczeniu siedzieli w sześcioro - Joana od czasu swojego ślubu zeszłej jesieni nie mieszkała już z nimi - przy długim, owalnym stole. Dona Clementina modliła się za dusze zamordowanego króla

i jego syna i prosiła dobrego Boga o zmiłowanie dla zamachowców, którzy pobłądzili. Jose Carvalho przerwał modlitwę uderzeniem pięścią o blat, co do tej pory nigdy się jeszcze nie zdarzyło i co zaniepokoiło zarówno jego żonę, jak i córki.

Poza Marianą wszyscy stracili apetyt. Dona Clementina dłubała bezwiednie w talerzu, a jej mąż z upartym wyrazem twarzy wyciągał z ust jedną ość po drugiej. Po kilku kęsach miał dość i odłożył sztućce. Najstarsza mieszkająca w domu córka, dziewiętnastoletnia Beatriz, natychmiast uczyniła to samo. Nieustannie naśladowała ojca, najwyraźniej w nadziei, że w ten sposób będzie mu pociechą i odwróci jego uwagę od swej mało powabnej powierzchowności. Jednak jakkolwiek się starała, zawsze popełniała błąd.

- Jedz, Beatriz - rozkazał teraz ojciec. - Wystarczy, że masz taki duży nos. Nie musisz w dodatku być gadułą. W ten sposób nigdy nie znajdziemy ci męża. - Rzucając spojrzenie na bardzo szczupłą, kościstą donę Clementinę, dodał: - Mężczyźni lubią zaokrąglone kobiety.

Zagniewana Beatriz przełknęła uwagę i dzielnie ujęła sztućce.

- Znam przynajmniej jednego mężczyznę, który lubi Beatriz taką, jaka jest - wyrwało się Marianie. Juju i Isabel wywróciły oczami. Dobrze wiedziały, że o Beatriz stara się zezowaty syn zarządcy. Jednak rodzice nie musieli być w to wtajemniczeni. Pomimo obaw Jose Carvalho nie dopytywał się o szczegóły, lecz ograniczył się do lekceważącej odpowiedzi, przypadkowo dość bliskiej prawdy.

- Ze wzrokiem tego głupka nie jest pewnie najlepiej.

Juju i Isabel stłumiły śmiech, a Mariana głośno parsknęła. Beatriz wpatrywała się z niewzruszoną miną w na wpół pusty talerz. Zmarszczyła brwi nad blisko rozstawionymi oczami i przełknęła docinki ojca z równym trudem jak jedzenie. Może powinna jednak uciec z Joao? Miała już dość tego, że zawsze się z niej wyśmiewano. Cóż mogła poradzić na to, że nie ma twarzy laleczki jak Juju, pogodnego usposobienia jak Mariana, zalotności Isabel ani naturalnej elegancji Joany? Dlaczego właśnie ona odziedziczyła nos po ojcu i kościstą sylwetkę po matce? Dlaczego to w niej szorstkość rolników z Alentejo połączyła się z bystrym rozumem, dzięki któremu w pełni dostrzegała każdą niesprawiedliwość?

- Dziś naprawdę nie ma powodu do śmiechu - zbesztala Marianę dona Clementina, po czym pogłaskała Beatriz po ramieniu. - Nie musisz zjadać wszystkiego, jeśli nie masz ochoty. - Wykazywała dużo zrozumienia

dla braku apetytu drugiej pod względem starszeństwa córki, a wysoka, szczupła sylwetka Beatriz podobała się jej znacznie bardziej niż chociażby przysadzista postać Mariany.

- Czy mogę zjeść twoje ziemniaki? - spytała ta ostatnia. Misa była już pusta, a talerz przed Marianą wyczyszczony do ostatniej kropli sosu.

- Jeśli będziesz wpychać w siebie tyle jedzenia, ciebie też nikt nie zechce - ostrzegł córkę Jose.

- Ale czy nie powiedziałaś właśnie, że...

- Zaokrąglenia we właściwych miejscach owszem. Ale z podwójnym podbródkiem i sylwetką jak beczka wina nie zrobisz dobrej parti.

- A które to są właściwe miejsca? - spytała ani trochę niedotknięta Mariana, z nie mniejszym apetytem zerkając na talerz siostry.

Juju i Isabel ponownie cicho zachichotały, ale dona Clementina nakazała im milczenie.

- Wystarczy. Nie sądzę, żeby był to odpowiedni temat do rozmów przy stole. Juliano - zwróciła się do najmłodszej córki - opowiedz nam o swoich postępach w grze na fortepianie. Wczoraj słyszałam, jak grasz, brzmiało to bardzo ładnie.

- Tak, mae, sądzę, że wiele nauczyłam się od senhora Geralda. Umiem już płynnie grać arpeggio z etudy Es dur opus 11. - Juju znacznie przesadzała, ale wiedziała, że nie jest to właściwy moment, by skarżyć się na trudną muzykę Chopina, nudne lekcje czy wręcz spojrzenia nauczyciela, które rzadziej spoczywały na jej palcach, a częściej na dekolcie.

- Nareszcie - wtrącił się ojciec. - Ten facet kosztuje mnie majątek, a wasze wieczne rzępolenie trudno już było znieść.

- No, mój drogi, ostatnio nie musiałeś go tak często słuchać, prawda? - Ledwo to powiedziała, dona Clementina skarciła samą siebie za brak łagodności. Nie chciała wypominać mężowi jego eskapad, a już na pewno nie przed dziećmi. - Chodzi mi o to, że ze względu na swe obowiązki rzadko bywasz w domu. W innym wypadku zauważyłbyś, że nie tylko Juliana, ale także Isabel mają wyjątkowy talent muzyczny.

Jose Carvalho spojrział na Isabel z powątpiewaniem. Co prawda niewiele wiedział o tym, co żona i córki porabiały przez cały dzień w domu, ale nie był głupcem. Miał pewność, że jeśli komuś na świecie brakuje wszelkiego talentu muzycznego, to właśnie Isabel.

Ta spojrzała na ojca kątem oka, ale szybko odwróciła wzrok, widząc jego powątpiewanie. Nerwowo skubała serwetkę. Gdyby się dowiedział,

co naprawdę kryje się za jej nagłym pociągiem do muzyki, nastąpiłby gwałtowny koniec lekcji gry na fortepianie. I dobrego Geralda też. A przecież tylko dzięki spędzonym z nim godzinom monotonne życie na prowincji wydawało się Isabel choć trochę znośne.

Odkąd w zeszłym roku wróciła z pensji, otaczali ją sami wiejscy niezgrabiasze w niemodnych ubraniach. Widok ciągnących się bez końca wzgórz i pól pszenicy, przez innych określanych jako „złote bogactwo”, ranił jej oczy. Owce biegające po oliwnych gajach albo świnie ryjące pod korkowymi i zimowymi dębami w poszukiwaniu żołądździ uważała za osobisty afront wobec jej wyszukanego smaku. A siostry do niczego się nie nadawały. Ojciec miał rację - Beatriz, koścista stara panna, gdyby tylko miała trochę godności, wstąpiłaby do klasztoru, zamiast znosić zaloty chłopaka znacznie niższego stanu, Mariana była gruba, ospała i tak naiwna, że robiło się niedobrze, a Juju, którą od jej piętnastych urodzin w obecności rodziców musiały nazywać Julianą, to jeszcze dziecko. Choć, przyznała z zazdrością Isabel, dziecko stanowiące dla niej poważną konkurencję u Geralda. Uwagi Isabel nie uszły pożądlive spojrzenia, jakie jej adorator rzucał Juju.

- Tak, postępy, które czyni Isabel pod okiem senhora Geralda, są doprawdy zdumiewające - stwierdziła Juju ze złośliwym uśmiechem. Szczególnie w dziedzinie anatomii, dodała w duchu. Widziała oboje, jak w ciasnym objęciu siedzieli na stołku przed fortepianem, ale uciekła, zanim zauważyli jej obecność. Juju ze wszystkich siostr najmniej lubiła Isabel. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Isabel, która wyniosłość uważała za cnotę, zapominała o swej rzekomej dumie i pozwalała się całować tak odpychającym mężczyźnie jak senhor Geraldo. Nie rozumiała też, dlaczego Isabel ciągle dręczy Marianę i przy każdej okazji stara się jej dokuczyć. Dzisiejsze zajście z kapeluszem było typowym przykładem. - Ty gruba meduzo, tylko mi go rozciągniesz - powiedziała Isabel, a Mariana, walcząc ze łzami, ze wstydem odwróciła głowę, która oczywiście nie miała większego obwodu niż głowa Isabel. - Gdyby beczenie wyszczuplało, byłabyś już chuda jak zapałka - zawołała Isabel za uciekającą Marianą, która jednak wkrótce zdołała odzyskać równowagę dzięki garści cukierków. Ale dlaczego Mariana jest takim łasuchem? Juju ubolewała, że w ostatnich latach siostra tak bardzo przytyła. Mogłaby być naprawdę ładna, ze ślicznymi ustami, dużymi, brązowymi oczami, twarzą w kształcie serca i wspaniałymi czarnymi, jedwabistymi włosami, których nawet ona zazdrościła Marianie. Włosy Juju były kręcone i nieporządne

i często doprowadzały ją do rozpacz, bo tylko z wielkim trudem dawały się wygładzić lub ułożyć w gładkie fale.

- Cóż, moje postępy u senhora Geralda - podchwyciła Isabel arogancką uwagę siostry - muszą ci się wydawać „zdumiewające”, bo tobie samej do niektórych utworów brakuje odpowiedniej dojrzałości, kochana Juliano. - „Juliano” wymówiła tak ironicznie, jakby zwracała się per pani do dziecka.

Juju miała na końcu języka ciętą odpowiedź, ale uprzedziła ją Beatriz.

- Wszyscy mamy dziś już dość próbek twojej „dojrzałości”, Isabel.

- To się wspaniale składa, bo nie będziecie mogli się już nimi cieszyć. - Z tymi słowy Isabel wstała i nie czekając na pozwolenie rodziców, opuściła jadalnię.

- Isabel! - ryknął za nią Jose, ale dziewczyna się nie zatrzymała. Dona Clementina położyła szczupłą dłoń na przedramieniu męża. -

Zostaw ją. Później się tym zajmę.

Egocentryczny charakter średniej córki zawsze był dla niej cierniem w oku, ale jednocześnie powodem, by nie martwić się zbyt o jej przyszłość. Isabel wyróżniały egoizm i ambicja, dwie cechy, które przydadzą się jej w małżeństwie z młodym lizbońskim adwokatem Raimundem de Saramago. W dodatku była naprawdę ładna - w każdym razie jak dotąd, ponieważ dona Clementina po zbyt często zaciśniętych ustach i zmarszczonym czole córki poznawała, że jej młodzieńczy czar przedwcześnie się rozwiewa. Za dziesięć, najwyżej piętnaście lat Isabel będzie wyglądać jak surowa i zgorzkniała kobieta.

Znacznie więcej powodów do zmartwień przysparzała donie Clementinie Juliana. Bez wątpienia była najpiękniejsza z jej córek, w dodatku równie inteligentna jak biedna Beatriz. Znajdą dla Juliany wspaniałego młodego kandydata na męża, z jeszcze lepszej rodziny niż doutor Raimundo, ze starszej szlachty niż ich zięć Gustavo, który mieszkał z Joaną w Porto, i z większym majątkiem, niż mieli oni sami. Odkąd Juliana wreszcie przestała niczym wiejski łobuziak wspinać się na drzewa albo przybiegać w zabłoconych butach na popołudniową herbatę, jej szanse na dobrą partię znacznie wzrosły.

Gdyby tylko Juliana nie była taka skryta! Dona Clementina nie dawała się oszukać urokowi najmłodszej córki, jej niewinnemu spojrzeniu i manierom prawdziwej damy. Czowała, że Juliana nad czymś rozmyśla. Oby nie miało to nic wspólnego z tym niemożliwym chłopakiem z wioski. Ale nie, nawet Juliana dojrzała już do tego, by zrozumieć, że niewiele

może ją łączyć z przyjacielem z dzieciństwa. Był tylko nieokrzesanym wieśniakiem bez manier i wykształcenia, w dodatku, jak mówiono, z nieprawego łoża. Święta dziewico Maryjo, i ktoś taki odważył się w ogóle przebywać w pobliżu Juliany! Gdyby w zeszłym roku dona Clementina nie zakazała córce spotkań z chłopakiem, ta prawdopodobnie jeździłaby z nim na mule, łapała pchły i biegła z podrapanymi kolanami. Jednak choć pozornie zły wpływ został ograniczony, Juliana coś ukrywała. Ale dona Clementina dowie się, co.

- Czy my też możemy odejść? - Mariana oblizała palce, którymi włożyła do ust ostatni kawałek tortu. Poza nią nikt nie skosztował deseru, ostatniej próby podjętej przez kucharkę Leonor, by nakłonić rodzinę do jedzenia.

Jose Carvalho niecierpliwym ruchem dłoni, który przypominał odganianie owada, dał córkom pozwolenie na odejście od stołu. Dona Clementina również potaknęła.

- Tak, możecie. I nie zapomnijcie w wieczornych modlitwach o biednym królu i jego synu. I młodym Manuelu, na którego ramionach spoczywa teraz cała odpowiedzialność za los monarchii.

Mariana spojrzała poważnie na matkę. Tak, za księcia chętnie się pomodli. W swoim dzienniku trzymała jego zdjęcia wycięte ze starych gazet ojca. Był to bez wątpienia piękny młody człowiek, o ciepłych, brązowych oczach i łagodnej twarzy, która świadczyła jednocześnie o wrażliwości i rozsądku.

Beatriz uniosła brwi, starając się mimiką i gestem okazać posłuszeństwo.

- Ależ tak. Dobranoc, pai, mae. - W rzeczywistości rozmyślała, jak mogłaby niepostrzeżenie opuścić dom, gdy rodzice siedzieli w salonie, służący byli nadal zajęci w kuchni lub pomieszczeniach gospodarskich, a siostry w pokojach na pierwszym piętrze być może wyglądały właśnie przez okna. Dlaczego Juju i Mariana nie zostały posłane na pensję tak jak Joana, ona sama i Isabel?

Również Juju skinęła gorliwie głową.

- Tak. Śpij dobrze, mamó. - Podeszła do ojca i pocałowała go w policzek.  
- Tobie też życzę dobrej nocy, papo. - Nauczyła się już, kiedy można dyskutować, a kiedy należało milczeć. Teraz wyraźnie było mądrzej wycofać się po cichu. Chętnie zostałaby dłużej z rodzicami i skorzystała z okazji, by wreszcie porozmawiać z nimi sama, bez paplaniny Mariany, docinków Isabel lub udającej dorosłą Beatriz.



Delikatnie zamknęła za sobą drzwi do jadalni. W holu było ciemno, ale Juju odnalazła schody i drogę do pokoju - wystarczająco często wymykała się z domu po ciemku. Przez ułamek sekundy pomyślała, że służących czeka bura, bo nie zapalili lamp. A może po prostu Isabel złośliwie zgasiła światło? Zaraz jednak odepchnęła tę myśl. Co ją to obchodziło?

Po cichu weszła do swojego pokoju. Po ślubie Joany Mariana przejęła jej pokój, a Juju wreszcie miała własne królestwo. Od tego czasu wystrój całkowicie się zmienił. Zniknęły wszelkie lalki, poduszeczki i pudełeczka, którymi lubiła otaczać się Mariana. Ich miejsce zajęły regały z książkami, po ostatni centymetr kwadratowy wypełnione tomami wierszy, powieściami, podręcznikami, atlasami, literaturą religijną i zeszytami nut. Było tam także kilka dzieł zagranicznych, a także pozycje dotyczące techniki, gospodarki i nauk inżynierskich. Każdy, kto spojrzałby na zawartość mahoniowych regałów, musiałby uznać Juju za bardzo spragnioną wiedzy młodą damę. Jednak nie to było prawdziwym powodem takiego nagromadzenia książek. Juju korzystała z możliwości sprowadzania książek z Lizbony, by się nimi dzielić.

Usiadła na łóżku, zdjęła pantofle i opadła na materac. Przez chwilę wpatrywała się w sufit. Powinna się pomodlić. Ale cóż ją obchodziły monarchia, republika i przewroty? W dodatku połowa kraju będzie dziś w nocy modlić się za dusze zamordowanych.

Ona sama prosiła Boga o coś zupełnie innego.

## Rozdział Drugi.

Juju leżała z zamkniętymi oczami w cieniu drzewa oliwnego. Podłożyła ręce pod głowę i uśmiechała się rozmarzona. Fernando połaskotał ją po twarzy źdźbłem trawy. Mógłby to robić godzinami, mógłby wiecznie upajać się widokiem zmarszczonego noska Juju, jej lekko drżących powiek i słodkich dołeczków. Tyle razy już się tu spotykali i tyle razy oddawali się tym niewinnym, uroczym zabawom - a jednak Fernando nie sądził, by kiedyś miał ich dość. Na całym świecie nie było śliczniejszej dziewczyny, a już na pewno mądrzejszej. Deolinda może sobie myśleć, że jest najbardziej pożądaną dziewczyną w wiosce, ale nie umywa się do Juju.

- Ach, dłużej tego nie wytrzymam, Fernando! - Otworzyła oczy i obiema dłońmi mocno potarła policzki, by odpędzić drażniące uczucie. Jak zawsze, gdy jego twarz nieoczekiwanie znajdowała się tak blisko i Juju patrzyła prosto w oczy Fernanda, przeszła ją mała błyskawica. Oczy te miały kolor niezwykle czystej zieleni i dzięki długim rzęsom lśniły jeszcze intensywniej. Dawniej, gdy byli młodszy, zielone oczy Fernanda stanowiły powód złośliwych żartów innych dzieci. Wołały na niego „podrzutek” albo „bękart”, prawdopodobnie powtarzając tylko głupie plotki usłyszane w domu. W aldeia, wiosce, nigdy jeszcze nie było osoby o tak zielonych oczach, a ludzie najwyraźniej nie potrafili wytłumaczyć tego fenomenu inaczej jak niewiernością Gertrudes Abrantes. Choć matka Fernanda nieustannie powtarzała, że jej pradziadek nosił przezwisko olho verde, zielonooki, i choć była pobożną kobietą i troskliwą matką, nie zdołała uwolnić się od podejrzenia, że winna jest zdrady małżeńskiej.

W porównaniu z udręką, jaką musiał znosić w dzieciństwie Fernando, oskarżenia, z którymi od czasu do czasu spotykała się Juju, były niemal śmieszne. „Twój ojciec nie jest prawdziwym mężczyzną - kpiono - pięć córek i ani jednego syna!”. Nie słyszała tego zbyt często, ponieważ

jedną z pierwszych nauk, jakie otrzymywały dzieci z wioski, był obowiązek pokornego zachowania wobec patrao i jego rodziny.

Ach, to wszystko było tak dawno. Juju nie chciała marnować tych krótkich cennych chwil, jakie im dziś zostały, na wspomnienia - ani na niepokojące myśli o przyszłości, w której zgodnie z wolą rodziców nie miało już być miejsca dla Fernanda. Chciała tu i teraz oddawać się miłym doznaniom. Chciała czuć na skórze ciepło wiosennego słońca, padające na jej twarz przez srebrno połyskujące liście oliwki, chciała słuchać śpiewu ptaków, wdychać zapach rozkwitającej przyrody i cieszyć się pieścizotami, którymi obsypywał ją Fernando. Ponownie zamknęła oczy.

Początkowo poczuła na szyi jego gorący oddech, potem usta. Gdy delikatnie dotknął płatka ucha, dostała gęsiej skórki. Znał dokładnie jej słabości i upodobania, wiedział, gdzie i jak jej dotknąć, by jęknęła z pożądania. Dłoń Fernanda ostrożnie powędrowała z jej talii do góry. Juju nie protestowała. Nie był to pierwszy raz, gdy dotykał jej piersi, i z pewnością nie ostatni. Jednak choć tak bardzo lubiła te pieścizoty, nie zamierzała mu pozwolić posunąć się dalej. W żadnym wypadku nie chciała podzielić losu Luizy. Jej przyjaciółka z dzieciństwa w wyniku przelotnego romansu z synem sąsiadów zaszła w ciążę. Niedawno, w wieku szesnastu lat, wyszła za mąż z błogosławieństwem rodziców, urzędów i Kościoła. Luiza na weselu miała czerwone oczy i widoczny brzuch. Jej małżonek, sam zaledwie dziewiętnastoletni, spoglądał gniewnie i wyzywająco.

- Fernando, nie. - Dłoń Fernanda wśliznęła się pod jej spódnicę i powoli przesuwiała się po łydce ku udom.

- Tak, wiem. - Fernando niechętnie oderwał się od Juju. Wiedział, że ona ma rację, i był wdzięczny, że przynajmniej jedno z nich wykazuje dość silnej woli, by utrzymać w cuglach pożądanie. Ale na niebiosa, długo tego nie zniesie. Mlecznobiała skóra Juju, jej okrągłe, drobne piersi i jedwabisty głos niezmiernie go podniecały.

Rozczarowany opadł na wznak i również skrzyżował ramiona pod głową. Miał osiemnaście lat, najwyższy czas, by wreszcie został mężczyzną. A tego doświadczenia, jak postanowił już dwa lata temu, gdy Juju przestała być dla niego tylko małą przyjaciółką, nie chciał dzielić z nikim innym, tylko z nią. Kiedy jego głos stał się głębszy, zaczęła mu rosnać broda i wystrzelił w górę, a własne ciało nagle stało się mu obce, ujrzał Juju w zupełnie innym świetle. Z nią było podobnie. W podobnym czasie ona także przeszła zmiany fizyczne, za którymi nie mogły

nadażyć myśli i uczucia, a w rezultacie nabrała wobec Fernanda dystansu. Do tej pory ich przyjaźń zawsze cechowało koleżeństwo, lecz potem wkradły się w nią zawstydzenie i obcość. Podczas wspólnych przejażdżek na mule czuli się nieswojo i w końcu zupełnie z nich zrezygnowali. Kąpiele w jezioru nagle, zamiast być świetną zabawą, stały się czymś wyjątkowo niepokojącym. Juju pierwsza przyznała: „Fernando, śmiertelnie się wstydzę. Lepiej zrobmy coś innego”.

Ale na kolejnych spotkaniach nie układało się im lepiej. Gdy Fernando pokazywał Juju ciekawe fragmenty w książkach, które potajemnie mu pożyczała, stawał się boleśnie świadomy jej bliskości. Kiedy szli obok siebie i niby przypadkowo dotknął jej ramienia, oboje się odsuwali. Gdy przyłapywali się na tym, że zerkają na siebie kątem oka, zawstydzeni spuszczaali wzrok. W niektóre zaś słoneczne dni, gdy patrao i jego rodzina wyjątkowo zaszczycali wioskowy kościół swoją obecnością - najczęściej zostawali w domowej kaplicy, gdzie padre Alberto odprawiał dla nich nabożeństwo - Fernando i Juju byli tak pochłonięci sobą, że nawet najwspanialsze kazanie nie mogło przykuć ich uwagi.

Fernando nie pamiętał już dokładnie, kiedy i jak się wreszcie odnaleźli. Dziwne, że nie uświadamiał sobie tak ważnego zwrotu w swoim życiu. Czy zdarzyło się to podczas karnawału w zeszłym roku, gdy cała rodzina Carvalho pojawiła się w Beja, by obejrzeć pochód, a Juju wykorzystała okazję i wmieszała się między mieszkańców wioski? Objęli się wtedy, tyle jeszcze pamiętał. A może jednak w maju, gdy po raz pierwszy własnoręcznie okorował dąb i potem dumnie pokazywał Juju stwardniałe dłonie? Pocałowała wtedy ich wewnętrzną stronę tak czule, że nie mógł nie zrozumieć przesłania.

Juju miała wyraźnie przed oczami wszystkie szczegóły tego dnia, gdy po raz pierwszy okazała Fernandowi swoje uczucia, i teraz, gdy leżeli pod oliwką, a Fernando słyszał jeszcze jej przyspieszony oddech, myślała właśnie o tym. Pewnego popołudnia późną jesienią 1906 roku bociany leciały wielkimi stadami na południe. Także para, która zamieszkiwała gniazdo na kominie Belo Horizonte, wyruszyła do swej zimowej kwatery w Afryce. „Łączą się na całe życie - powiedziała Juju i popatrzyła Fernandowi głęboko w oczy. - I każdego roku budują gniazdo, żeby było duże i mocne”. Fernando odwzajemnił jej wymowne spojrzenie i odparł tylko: „Tak”. Było to najkrótsze i najpiękniejsze wyznanie miłosne, jakie Juju potrafiła sobie wyobrazić.

Fernando uniósł się i oparł na łokciach. Ze zmrużonymi oczami próbował

odczytać godzinę na zegarze na kościelnej wieży oddalonej od nich o jakieś pół kilometra w linii prostej.

- Czy naprawdę już prawie południe?

- Obawiam się, że tak. Zaraz usłyszymy. - Juju przekręciła się na bok, wsparła głowę na ramieniu i dokładnie przyjrzała się od dołu twarzy Fernanda. Jaki stał się męski! Miał kanciasty podbródek z ciemnym śladem zarostu, jak na wiek Fernanda już bardzo wyraźnym. Jego skóra, choć dopiero niedawno minęła zima, była opalona, a włosy czarne i lśniące. Juju popatrzyła zamyślona na jabłko Adama, które poruszało się w górę i w dół. Fernando przełknął - i już wiedziała, co teraz będzie. Wykazywał doprawdy nieznośną obowiązkowość.

- Muszę już iść. Matka strasznie się gniewa, gdy nie zjawiam się punktualnie na obiad. A ojcu obiecałem, że załatwię dziś dziury w dachu. - Jeśli nie odejdzie teraz, nie będzie mógł dłużej ręczyć za siebie. Fernando gwałtownie wstał. - A poza tym dziś przychodzi mój najstarszy brat przedstawić nam swoją narzeczoną.

- Ach, Manuel się żeni? Ale on ma najwyżej... dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. - Juju słabo przypominała sobie krępego chłopaka, który mięśniami nadrabiał braki w inteligencji. Włóczył się z kumplami po knajpach, zamiast pracować w polu. Jakiś czas temu udał się do Ribatejo, gdzie daleki krewny obiecał mu pracę, bo tu już jej nie mógł znaleźć.

-W naszych kręgach - głos Fernanda ociekał ironią - to zupełnie odpowiedni wiek do żeniaczki. - Zawsze reagował oburzeniem, gdy Juju między wierszami dawała mu do zrozumienia, że obyczaje obowiązujące w aldeia są jej obce. W jej kręgach mężczyźni żenili się dopiero wtedy, gdy ukończyli studia i spędzili jakiś czas za granicą - pomijając pojedyncze przypadki, kiedy musieli się żenić wcześniej, niż zaplanowano.

- Przecież nic nie mówiłam - wypierała się Juju. Wiedziała jednak dobrze, że tak pomyślała, tylko nie wypowiedziała swoich myśli na głos. Wzruszyła ramionami. - No, to lepiej się pospiesz. Jeśli się nie mylę -tu spojrzęła na kościelną wieżę - jest już za pięć dwunasta.

Jednak Fernando nie chciał odejść, dopóki panowała między nimi ta lekko napięta atmosfera. Chwycił Juju za rękę i pociągnął. Poderwała się energicznie i zaczęła poprawiać fryzurę, z której wysunęło się kilka pasemek. Fernandowi wydała się teraz bardziej pociągająca niż kiedykolwiek. Przyciągnął Juju do siebie, by ją pocałować, ale ona odchyliła się i mrugnęła do niego.

- Za cztery dwunasta. - Jeśli zaczną się całować, będzie im jeszcze trudniej się pożegnać.

Fernando puścił ją gwałtownie i odwrócił się. Sięgnął po kapelusz wiszący na gałęzi drzewa, strząsnął manta, na której wygodnie spoczywali, i odszedł. Nie obejrzał się na Juju, nawet wtedy, gdy zawołała za nim:

- Jutro wieczorem, pod drzewem truskawkowym? Dzwony były dwunastą.

Gdy Fernando wszedł do domu, jego rodzice i młodsze rodzeństwo siedzieli już przy stole. W milczeniu jedli migas, zupę chlebową, która ostatnio królowała w jadłospisie. Matka przygotowywała ją za każdym razem w inny sposób, z czosnkiem albo z ostem, ale nadal był to ten sam skromny posiłek. Fernando nie pamiętał już, kiedy ostatnio próbował wieprzowiny. Opadł na drewniane krzesło i z glinianego dzbanka nalał sobie wina. Pozostali nie zaszczycili go więcej niż jednym spojrzeniem.

Ojciec z ponurą miną przetykał zupę, opierając na stole silne, mocno owłosione ręce. Głośno siorbał, nisko pochylając głowę nad talerzem. Matka wstała, by nalać kolejną porcję. Postawiła talerz przed drugim synem. Fernando nie uniósł wzroku. Spojrzenie skierował na jej dłonie - silne, pracowite, sprawne dłonie, dłonie, którymi Gertrudes Abrantes dzień w dzień prała bieliznę, szorowała podłogę, karmiła na podwórzu kury albo, gdy od święta którąś zarznięto, skubała pierze. Dłonie, którymi dawniej gładziła po głowach swoje dzieci, gdy nie czuły się jeszcze za duże na takie czułości, i którymi broniła się przed uderzeniami męża. Odkąd Fernando przerósł ojca i bronił matki, Joao Abrantes nie ważył się już wyładowywać wściekłości na żonie. Przynajmniej nie w obecności Fernanda.

Fernando nadal patrzył na dłonie matki, która usiadła z powrotem na swoim miejscu, przycisnęła do obfitej piersi bochen chleba i odkroiła pajdę. Chleb pieczono głównie ze śruty zamiast z prawdziwej pszennej mąki - i to tu, myślał Fernando, w spichlerzu Portugalii. Był równie twardy jak dłonie matki, na których życie zostawiło niszczące ślady. Skórę miała szorstką i czerwoną, paznokcie popękane. Pomyślał o delikatnych, białych rączkach Juju, o jej eleganckim manikiurze, i z ledwo słyszalnym westchnieniem odwrócił wzrok od matki. Nie poślubi Juju, dopóki nie będzie miał jej do zaoferowania nic lepszego niż przyszłość

z takimi dłońmi - dłońmi, na których można było wyczytać wszystkie wyrzeczenia i trudy chłopskiego życia.

- Spóźniłeś się. Znowu włóczyłeś się z tą dziewczyną? - wymamrotał ojciec z pełnymi ustami.

Fernando nie odpowiedział. Miał osiemnaście lat i nie musiał tłumaczyć się rodzicom z każdego swojego kroku. Był w domu najsolidniejszym pracownikiem, który oddawał wszystkie ciężko zarobione reis, żeby ojciec mógł przepuścić je w szynku. Dawno już powinien zażądać większych porcji jedzenia lub odejść, żeby szukać szczęścia na północy albo nawet w Lizbonie. Ale jak? Rodzina zmarłaby z głodu, matka została pobita na śmierć, a dla niego samego życie bez Juju nie miałoby sensu.

- Może mi odpowiesz? - Joao Abrantes wreszcie uniósł wzrok nad talerza. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Jego syn - o ile rzeczywiście był jego synem - wpatrywał się w niego diabelsko zielonymi oczami i sprawiał wrażenie kogoś, kto jest za dobry do takiego domu. Dziewczyny w wiosce szalały za Fernandem, Bóg jeden wie dlaczego. W każdym razie już dwóch znajomych Abrantesa, szewc Joaquim Tavares i wypłatacz koszyków Jose Ferreira, którzy mieli córki na wydaniu, zagadywali go w tej sprawie. I nie dość, że Fernando podobał się kobietom, to musiał jeszcze być mądrą i nieustannie pouczać ojca.

Fernando zniżył się wreszcie do potakującego skinięcia głową.

- To niedobrze, chłopcze. Dla tej bogatej dziewczyny jesteś tylko przygodą, miłą rozrywką. Może przechwala się przed siostrami i przyjaciółkami, że związała się z chłopakiem z aldeia, a potem chichoczą, bo podnieca je takie zepsucie.

Była to najdłuższa spójna wypowiedź, jaką Fernando w ciągu kilku lat usłyszał z ust ojca - i jedna z najrozsądniejszych. Czyżby ojciec był jeszcze trzeźwy? Choć Fernando czuł, że słowa ojca nie są pozbawione pewnej życiowej mądrości, zdenerwował się. Juju nie była głupią, zepsutą istotą! Znał ją, znał ją tak dobrze i już tak długo, że nie miał najmniejszych wątpliwości co do szczerości jej uczuć.

- I pewnego dnia - ciągnął ojciec - poślubi mężczyznę, który do niej pasuje, i będzie się wstydić, że kiedyś pozwoliła zbliżyć się do siebie takiemu wieśniakowi jak ty, więc ukarze cię za własne wyrzuty sumienia. Potraktuje cię jak psa.

Dobry Boże, co też się dzieje z ojcem? Brzmiało to niemal tak, jakby mówił na podstawie własnych doświadczeń.

- Nieprawda - rzucił wściekły Fernando.

- Jeśli potraktuje go jak jednego z psów myśliwskich swojego ojca, nie będzie to najgorszy los. - Sebastiao klepnął się po udach, ale nikt przy stole nie zawtórował mu śmiechem. Szesnastolatek nie zauważył, jak niestosowna była ta uwaga. - Ha, mógłbyś wtedy ogryzać dziczyznę i bezkarnie polować w lesie na króliki. I pozwalać się jej głaskać na oczach wszystkich. I ocierać się o jej nogi.

- Cicho, ty nicponiu! - odezwała się matka.

- Ale widziałem ich, jak...

- Wystarczy. - Joao obdarzył najmłodszego syna spojrzeniem pełnym irytacji, ale i ojcowskiej dumy. Chłopak był zbyt głośny, ale poza tym prezentował się wspaniale. Z trzech braci Sebastiao najbardziej przypominał ojca.

- Ja też ich widziałam - dobiegły z kąta ciche słowa Marii. Maria da Conceicao była beniaminkiem i jedyną córką Abrantesów. Wszyscy ją ubóstwiali. Wyglądała jak Madonna na świętych obrazkach, które zbierała, i tak też się zachowywała. Nigdy nie podnosiła głosu, nigdy nie dała się wyprowadzić z równowagi przez psoty braci, zawsze bez skargi pomagała matce w domu i ogrodzie. - To grzech, co robicie - powiedziała do Fernanda.

- Podglądanie to też grzech.

- Nie robiłam tego celowo.

- A ja nie zrobiłem tego, co myślisz.

- Milcz! Twoja siostra ma trzynaście lat! Jak sądzisz, co ona może sobie myśleć, he? Skoro mówi, że was przy tym widziała, to na pewno tak było.

- Joao Abrantes hałaśliwie odsunął krzesło od stołu. - A ja nie chcę, żeby widziała to jeszcze raz, zrozumiano? No, a teraz do roboty. Fernando, Sebastiao, naprawicie w końcu dach. Niedługo będzie padać. - Nikt nie zaprzeczył tej przepowiedni. Pogodowe prognozy ojca niemal zawsze się sprawdzały. - A ty, Conceicao, pomożesz matce przy zmywaniu.

To polecenie nie było potrzebne. Dziewczynka już wstała i odnosiła naczynia. Nikt nie powinien zobaczyć jej zaczerwienionych policzków. Grubiańskie rozmowy ją zawstydziły - i sama była sobie winna. Zrobiło jej się przykro, że zdradziła Fernanda. Był przecież jej ukochanym bratem.

Wydawszy rozporządzenia, Joao zdjął kapelusz z haczyka przy wejściu i bez słowa wyszedł z domu. Wszyscy wiedzieli, dokąd idzie.



Gertrudes naląła wody do miski i zatoneła w myślach. Jeśli Fernando i mała Juliana rzeczywiście robili to, co myśleli wszyscy, musiała poważnie porozmawiać z synem, bo mógłby jeszcze przynieść hańbę własnej rodzinie i rodzinie biednej dziewczyny, a gdzie by się wtedy podzieli? Tu, w Milagres, było im dobrze. Mieszkali w stosunkowo dużym domu z ogrodem, w którym uprawiali morele, melony, ziemniaki, cebulę, marchew, kapustę i pomidory. Rosło tam także kilka winnych krzewów. Nie mieli problemów z zarządcą patrao, który zawsze dawał im pracę i traktował ich sprawiedliwie. Byli zdrowi, robotni, a wspólnymi siłami zarabiali dość, by odłożyć nawet kilka tostoes na przyszły posąg Marii. To znaczy przynajmniej Gertrudes oszczędzała te grosze, które zarobiła na polu w ciągu lata - jej mąż wołał większość zarobku topić w przepastnej gardzieli gospody.

Niedługo znowu będzie więcej mięsa. Gdy nadejdzie czerwiec i najbardziej pracowity okres roku, czas żęcia i młócenia pszenicy oraz zdejmowania kory z dębów, znowu uzbierają dość pieniędzy, by kupić i zarznąć świnie, zapeklować mięso i jeść je aż do jesieni. Potem winobranie i zbiory oliwek - tak, znowu będzie lepiej. Gdyby tylko Fernando miał dość rozumu, żeby wreszcie przestać się zadawać z tą dziewczyną!

Gertrudes Abrantes wytarła mokre dłonie o fartuch. Zawiązała chustkę na głowie i wyszła tylnymi drzwiami do ogrodu, by zdjąć pranie. Sprawdzając prześcieradła, które wydawały się jeszcze lekko wilgotne, patrzyła na synów. Oparli drabinę o ścianę domu. Fernando klęczał na dachu i ostrożnie luzował ukruszoną dachówkę.

- Pewnie od mrozu - zawołał do brata.

Sebastiao, który stał na środkowych szczeblach drabiny, skinął głową i zabrał odłamki.

Gertrudes ogarnęła nostalgia. Byli już prawdziwymi mężczyznami o głębokich, dźwięcznych głosach, jeden postawny, drugi szczuplejszy. Obaj mieli szerokie ramiona i muskularne ciała, i obaj, co już teraz dało się zauważyć, wykazywali skłonność do nadmiernego owłosienia, tak jak jej mąż. A przecież jeszcze niedawno karmiła chłopców piersią i kołysała na kolanach, ocierała ich dziecięce łzy i opowiadając stare bajki, uczyła ich bojaźni bożej oraz szacunku dla duchów przodków, głaskała białe brzuszki i szczypała czerwone policzki.

Sebastiao jako dziecko był nieskomplikowany i wesoły, do dziś niewiele się zmienił. Za to Fernando nie przypominał już nieustannie roześmianego chłopczyka. Stał się zamknięty w sobie i dziwny. W jego

spojrzeniu kryło się coś, czego Gertrudes nie rozumiała i czego wręcz się bała. Jednak właśnie na tym polegał urok Fernanda. Mogła być jego matką, ale była także kobietą i dobrze wiedziała, jakie wrażenie robił na dziewczętach.

- Ty głupku! - krzyczał teraz na brata.

Sebastiao patrzył skruszony na nową cegłę, która wypadła mu z rąk i rozbiła się o ziemię.

- Dalej, idź sobie. Nie potrzeba mi twojej pomocy. Sam sobie szybciej poradzę. - Fernando zwinnie zszedł z drabiny. Poszedł do stosu cegieł ułożonego przy ścianie. Potem najwyraźniej przypomniał sobie, że potrzebuje czegoś z szopy, może jakiegoś narzędzia. Obrócił się na pięcie i ruszył wzdłuż domu w kierunku szopy.

Gertrudes widziała, co się stanie, i zdążyła jeszcze zawołać:

- Stój!

Jednak ostrzeżenie przyszło za późno. Fernando już przeszedł pod drabiną.

Matka błagalnie uniosła wzrok ku niebu - proszę, Boże, niech nie spotka nas żadne nieszczęście! Nie bardzo jednak wierzyła, że Bóg ją wysłucha. Gdy zdejmowała sztywne prześcieradła ze sznura, drżały jej dłonie.

## Rozdział Trzeci.

Los nie daje się oszukać.

Przez jakiś czas może być niewidoczny, ale potem uderza z podwójną siłą. Zawsze czai się za rogiem, za którym najmniej go oczekujemy, i lepiej nie kusić go tym, że ignorujemy jego istnienie lub wręcz mu zaprzeczamy. Gertrudes Abrantes nauczyła się tego już w młodych latach i do dziś, zbliżając się do czterdziestych czwartych urodzin i mając dwoje wnucząt, nie dała się odwieść od tej wiary. Choć jej życie biegło spokojnie, synowie byli udani, córka była nieocenionym skarbem, a wnuki czystą radością, Gertrudes miała niezachwianą pewność, że zbliża się jakieś nieszczęście. Znaków nie dało się przeoczyć - najpierw nie przyleciały bociany, które zawsze gnieździły się na kościelnej wieży, a potem, w maju 1910 roku, obserwowali niesamowite widowisko na niebie, gdy Ziemię mijała kometa.

Fernando wyśmiewał przesady matki. Jemu samemu los wydawał się sprzyjać, lecz przypisywał to nie tyle boskim zrządeniom, ile raczej swojej ambicji, pracowitości i umiejętnościom. W ciągu minionych dwóch lat uczynił wszystko, by stać się niezbędnym w latyfundium Jose Carvalha. Nie było urządzenia, którego nie potrafiłby naprawić, maszyny, której zasady działania by nie znał, silnika, którego by dokładnie nie zbadał. Lektura wszystkich książek przez lata podsuwanych mu przez Juju i czytanych przy blasku świecy, gdy Sebastiao dawno już spał, przynosiła owoce. Ponieważ nie mógł sam dobrać książek, a Juju nie orientowała się w zagadnieniach technicznych, Fernando połykał najrozmaitsze dzieła, jakie mu pożyczała - w rezultacie nie był ekspertem w żadnej dziedzinie, ale miał sporą wiedzę na wiele tematów. W Lizbonie taką wiedzę wzbudziłby sensację, spotkałby równych sobie i mógłby z nimi rozmawiać o konstrukcji mostów, telefonach, lokomotywach, aerodynamice, silnikach Diesla, radioaktywności,

statyce, falach radiowych lub wznoszeniu zapór. Tu, w Milagres, uchodził po prostu za wariata.

Dostrzeżono jednak, że wiadomości Fernanda w zakresie nauk przyrodniczych oraz jego wiedza techniczna mogą być wielce przydatne, a szaleństwo nie polega na braku inteligencji, lecz na jej nadmiarze. Często - na wpół prześmiewczo, na wpół z szacunkiem - nazywano go więc engenheiro, inżynierem. Niestety, nie miał zbyt wielu okazji, by dowieść swego talentu. W całej okolicy nie było telefonu. Istniała jedna linia kolejowa, a po wioskach wokół Beja jeździł jeden należący do patrao automobil, który tocząc się po bitych drogach, zawsze wywoływał małą sensację - ludzie zaś nie wiedzieli nawet, że jest to prawdziwy silver ghost. Tylko na monte, w posiadłości rodziny Carvalho, otaczano się najnowszymi zdobyczami techniki sprowadzanymi z Anglii lub Francji. Jeśli jakieś urządzenie sprawiało problemy, wzywano Fernanda. Oczywiście nie płacono mu za tę dodatkową pracę - fakt, że może naprawiać cenne zabawki patrao, powinien być dla niego wystarczającym zaszczytem.

Gdyby Fernando nie przyszedł na świat jako syn wyrobnika, gdyby nie zależało mu tak na towarzystwie Juliany Carvalho i gdyby nie uważał za swój obowiązek opieki nad matką, z pewnością mógłby z większym pożytkiem wykorzystać swą wiedzę. Jednak tu, wśród łagodnych wzgórz na południu Portugalii, w rejonie w znacznym stopniu odciętym od postępu cywilizacyjnego i błogosławieństw nowoczesnej techniki, Fernando, który z pewnością nie był fantastą, widział tylko jedno rozwiązanie - robić dobrą minę do złej gry i wykorzystywać wszystkie okazje, by zjawiać się na monte i doskonalić swe kwalifikacje techniczne - a przy okazji zerknąć na Juju. Przede wszystkim jednak musiał mistrzowsko opanować te umiejętności, które na wsi były najważniejsze. Musiał stać się najlepszym robotnikiem ze wszystkich. Nie pozwalał sobie na marzenia o innym, mniej ograniczonym życiu i uparcie stąpał po ziemi - bo była to ziemia żyzna i owocna, i potrzebowała ludzi takich jak on.

Żelazna dyscyplina Fernanda opłacała się. Nie istniała praca, w której nie byłby najszybszy i najbardziej produktywny. Mimo młodego wieku należał już do najlepszych okorowywaczy dębów w Baixo Alentejo i nie zamierzał spocząć na laurach. Jego ambicją było okorowywać czterdzieści drzew dziennie, tak jak stary Luis, którego szybkość i zręczność stały się legendarne. Chciał zarabiać tyle, by w niezbyt odległej

przyszłości móc wydzierżawić własną zagrodę. Oszczędzał wszystkie reis, przekraczał próg szynku tylko po to, by wywlec stamtąd ojca, i nie pozwalał, by jego uwagę odwracały młodzieńcze rozrywki, polityczne debaty mężczyzn czy mroczne przepowiednie matki.

Nauczył się także nie okazywać przed światem swej niezmiennej miłości do Juju. Do tej pory otwartość nie przyniosła im nic prócz problemów. Jednak dona Gertrudes przejrzała syna.

- Bóg karze taką pychę. Powinieneś przyjąć swój los i nie sięgać po gwiazdy. Co zamierzasz robić z kobietą pokroju tej małej Carvalho? Czy będzie umiała ci wyprać koszulę, ugotować obiad, pobielić dom?

Fernando wiedział, że matka ma rację. Jednak to tylko zwiększało jego upór. Uda mu się! Chciał o własnych siłach wyzwolić się od losu pańszczyźnianego chłopca. Przełknie wszystkie upokorzenia. Nie przyłączy się do żadnego strajku, nawet jeśli po cichu sympatyzował z protestującymi. Dziesięć reis za pracę przez cały dzień, jak można za to godnie żyć? Ale w rezultacie tylko wtrąciłoby go do więzienia albo wygnali z ziemi, która do niego nie należała, ale którą uważał za własną. Nie, nie zrobi niczego, co zagroziłoby jego rozwojowi i kontaktom z Juju.

Taka postawa się opłacała, choć kosztowała Fernanda wiele cierpliwości. Latem 1910 roku został wezwany przez zarządcę majątku Carvalhów.

- Pracowity z ciebie chłopak.

- Dziękuję, senhor Felipe. - Onieśmielony Fernando wbił wzrok w zakurzone noski swoich butów.

- Twój ojciec i bracia do niczego się nie nadają, ale ty jesteś inny. Fernando nie odważył się zaprzeczyć.

- Jesteś jeszcze bardzo młody, masz dziewiętnaście, dwadzieścia lat?

- Dwadzieścia, senhor Felipe.

- Wkrótce będziesz pełnoletni, to dobrze. Jesteś mądrzejszy od wszystkich innych tutaj. I pracujesz za dwóch. Ktoś taki jak ty może zajść daleko.

Fernando oderwał wzrok od ziemi i uniósł pytająco brwi.

- Chciałbym cię zatrudnić jako mojego zastępcę.

Serce Fernanda zabiło gwałtownie, jednak milczał. Lepiej zaczekać, co ma do powiedzenia zarządca.

- Przez te problemy z plecami nie mogę już tyle jeździć po polach. Dyscyplina spada.

- Pański syn mógłby pomóc - wtrącił Fernando. Wydawało mu się niezwykle, że proponują mu tak odpowiedzialne stanowisko. Zarządca pogardliwie wygiął usta, ale nic nie powiedział. Fernando uznał, że postępuje bardzo dalekowzrocznie i odważnie, poświęcając dobro swojego słynącego z lenistwa syna na rzecz dobra latyfundium.

- A co z Humbertem? Albo Tiagiem?

- Humberto to bardzo dobry pracownik - ale nie umie pisać ani czytać. A Tiago zaczyna pić.

Fernando podzielał tę opinię. Skinął głową zamyślony. Jeśli chodziło o jego kompetencje, nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest najlepszym kandydatem na stanowisko. Ale czy pozostali będą go szanować? Co zrobi Sebastiao, gdy brat każe mu szybciej pracować? Jak potraktują go starsi robotnicy, gdy będzie musiał im oznajmić, że otrzymają niższe wynagrodzenie niż w zeszłym roku (choć sądził, iż dzięki dobremu zarządzaniu i gospodarności łatwo będzie można temu zapobiec)? A kobiety, które wykonywały lżejsze prace, jak na przykład oznaczanie nagich pni dębów ostatnią cyfrą roku, w którym je okorowano - czy nie będą go wyśmiewać?

Felipe Soares zdawał się rozumieć, jakie myśli kłębią się w głowie Fernanda. Uśmiechnął się.

- Zarządcą nadal jestem ja. Będziesz moją prawą ręką. I wierz mi, gdy obejmiesz to stanowisko, ludzie zaczną cię traktować z odpowiednim szacunkiem. Najpóźniej za pół roku nikt nie będzie już narzekał, że kieruje nim taki młodzik. A ty sam także dorośniesz do tej roli. - Felipe Soares znacznie lepiej znał ludzi niż Fernando. Zawsze wiedział, czy ma do czynienia z silnym charakterem. A ten chłopak - co dostrzegał wyraźniej od niego samego, nigdy jeszcze niesprawującego władzy - był urodzonym przywódcą. Mądry, ambitny samotnik, w dodatku

o ujmującym wyglądzie. Fernando musiał tylko to zrozumieć. I zrozumieć. - Poza tym - ciągnął Felipe - czy chcesz zrezygnować z zarobków w wysokości pięćset reis miesięcznie?

Fernando sądził, że się przesłyszał. Stałe miesięczne przychody same w sobie były nie do pogardzenia - ale aż tak wysokie! To ponad dwa razy więcej, niż mógł zarobić w dobrym okresie żniw.

- Ja, e... - zająknął się - jestem bardzo zaszczycony, senhor Felipe.

I zrobię wszystko, żeby pańskie zaufanie do mnie, e... - Zabrakło mu słów.

Felipe uśmiechnął się i podał mu rękę.

- Za dobrą współpracę, engenheiro. Fernando odwzajemnił uścisk.

Okazało się to nie takie proste, jak mówił zarządca. Fernando musiał zmierzyć się z problemami, jakich wcześniej nawet sobie nie wyobrażał. O ile uszkodzony pług czy okulały koń były dla niego błahostką, o tyle intrygi i spory wśród robotników stanowiły nie lada trudność. Początkowo nawet nie starali się ukrywać przed nim drobnych kradzieży. Dawniej sam Fernando zmuszony był kraść pszenicę lub polować na drobną zwierzynę w lasach senhora Carvalho, rozumiał zatem ludzi. Ale czy muszą to robić tak otwarcie? Celowo wywoływali u niego konflikt sumienia. Wieczorami, w aldeia, odsuwali się od niego. Nigdy nie miał wielu przyjaciół, ale teraz opuścili go nawet Carlos i Ze, więc nie pozostało mu nic innego, jak poświęcić się swoim „studiom” i eksperymentom. Zbudował dla matki urządzenie, dzięki któremu, kręcąc kilka razy korbą, mogła uprać i odwirować pranie. Działo zadziwiająco dobrze, ale było rzadko używane, bo matka uważała je za dzieło szatana. Konstruował małe modele samolotów i dzięki temu czuł się bliżej swojego idola, pioniera lotnictwa i konstruktora samochodów Charlesa Stewarta Rollsa, który zginął w wypadku lotniczym.

Czy było rozsądne marzyć o kobiecie, która tymczasem zaczęła mu się wymykać? Zauważył po drobnych oznakach, że wychowanie i styl życia, tak odmienne od jego, przez lata zmieniły Juju. Przestał być dla niej dość dobry. Po co wciąż się tak stara, skoro nawet rodzina się od niego odsunęła? Brat udawał, że go nie zna, ojciec w gospodzie mówił o nim lekceważąco, siostra uważała go za bezbożnika. Tylko matka kochała Fernanda bezwarunkowo, wiedział o tym, nawet jeśli obecnie nie umiała tego okazać. Na polach zarządzał pracą jej i wszystkich sąsiadów, więc musiała wysłuchiwać wielu skarg na surowość syna.

Największych problemów przysparzały jednak Fernandowi złośliwości zezowatego Joao. Syn zarządcy jak tylko mógł sabotował zaproponowane przez Fernanda i zaakceptowane przez senhora Felipe ulepszenia. Celowo wylewał wino na księgi rachunkowe, które leżały w domu zarządcy, więc Fernando musiał ponownie wpisywać długie kolumny liczb. Miał wolny dostęp do zagród i dodawał do paszy dla bydła trujące substancje - w rezultacie zwierzęta ryczały z bólu, a kilka nawet padło.

- Podziękujcie engenheiro - rozgłaszał Joao. - Koniecznie chciał, żebyśmy sprowadzili nową paszę z Anglii. Widzicie, do czego to prowadzi.

Joao posuwał się nawet do prób szantażu.

- Obserwowałem was, ciebie i wielką damę z monte. Ciekawe, co powiedziałyby na to senhor.

- Jeszcze zabawniej byłoby się przekonać, jak zareagowałyby Beatriz, gdybym jej opowiedział, co porabiasz z Deolindą.

Starsza siostra Juju nadal nie wyszła za mąż, a jej szanse malały z każdym dniem. Była brzydka i ponura. Jediną pociechę w staropanieńskim życiu dawały jej marzenia o małżeństwie z Joao - a ten liczył, że pewnego dnia senhor Carvalho z czystej desperacji odda mu córkę za żonę. Gdyby Beatriz dowiedziała się, że jej ukochany nie jest wierny, lecz pełnymi garściami korzysta z hojności Deolindy, Joao nigdy nie osiągnąłby swojego celu, jakim było zostanie zięciem Jose Carvalha.

- Poza tym - dodał jadowicie Fernando - wyraźnie straciłeś w oczach Deolindy. Ta dziewczyna pragnie zaradnego męża - i każdy kandydat wydaje się jej lepszy od ciebie. W każdym razie wdzięczy się do mnie tak, że już mi od tego niedobrze...

- Ty... ty bękarcie! Ty diabli pomocie! Jedno spojrzenie w twoje oczy wystarczy, by przekonać się, jaki z ciebie szatan!

- A ty sądzisz, że w twoim spojrzeniu widać łaskę Pana, zezowaty Joao?

Bójka, jaką rozpoczął Joao, pozostała nierozstrzygnięta. Zapalczywych młodzieńców rozdzielono, nim zdolali się nawzajem pozabijać.

Szóstego października 1910 roku ogłoszono republikę.

Był to znak wyczekiwany przez Gertrudes Abrantes. Koniec monarchii, który większość mężczyzn w aldeia świętowała z entuzjazmem, wydał się jej zapowiedzią końca pewnego okresu, może nawet końca życia kogoś z najbliższych. Miała rację. Po kolejnej pijatyce jej mąż upadł tak nieszczęśliwie, że nie zdołał się podnieść o własnych siłach. Stało się to grudniowej nocy, najzimniejszej, jaką pamiętano w okolicy. Joao Abrantes zamarzył.

Życie w domu Abrantesów stawało się coraz bardziej nie do zniesienia. Co prawda nie trzeba już było obawiać się wybuchów wściekłości ojca, co prawda regularnie jedli mięso i białe pieczywo, ale atmosfera była tak przygnębiająca jak nigdy dotąd. Wdowa Abrantes i siostra Fernanda, Maria da Conceicao, wyglądały w żałobnych strojach jak wrony, a ich rosnąca izolacja w obrębie wioskowej społeczności stała się



przyczyną złośliwych plotek. Sebastiao wyprowadził się zaraz po śmierci ojca - wuj jego narzeczonej prowadził w Evorze mały sklepik, w którym zatrudnił przyszłego członka rodziny. Starszy brat Fernanda, Manuel, wyjechał z żoną i trójką dzieci do Angoli. Zasłużył się w pracy na kolei i miał teraz pomagać przy budowie sieci kolejowej w kolonii. W ten sposób Fernando stał się jedynym mężczyzną w domu.

Jego szanse, by w przewidywalnej przyszłości uciec od smutnej egzystencji, spadły do zera. Najpierw Maria powinna przywdziać czepiec, a następnie ewentualnie posłałby matkę do krewnych, którym oczywiście zapłaciłby za „miłość bliźniego”. Dopiero potem Fernando mógł pójść własną drogą. Ach, Lizbona! A może nawet Brazylia?

Kolejny rok nie przyniósł jednak żadnych poważnych zmian. Orka, siew, żniwa i młócka, okorowywanie dębów, zbieranie winogron i oliwek, strzyżenie owiec, dojenie kóz, naprawianie wózków, leczenie wołów - życie składało się z szeregu obowiązków i ciężarów zależnych od pory roku. Powtarzający się cykl zimna i ciepła, głodu i sytości, rozpacz i radości w swej monotonii doprowadzał Fernanda do szaleństwa. Czy przez kolejne sześćdziesiąt lat chce wciąż robić to samo? Jak ludzie to wytrzymują? Czy właśnie dlatego kobiety tak często chodzą do kościoła, a mężczyźni do szynku?

Jedyną pociechą Fernanda był rolls royce silver ghost z 1909 roku. Luksusowa limuzyna stanowiła mistrzowskie dzieło producentów automobili, a Fernando kochał pojazd z siłą dorównującą niemal jego namiętności do Juju. Gdyby miał czas, mógłby godzinami zajmować się samochodem, do którego dzięki swojej pozycji i sławie engenheiro miał dostęp jako jeden z niewielu mężczyzn na quincie. Sześciocyndrowy wóz o mocy czterdziestu ośmiu koni mechanicznych osiągał imponującą prędkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę - o ile pozwalały na to warunki. Tu, na wyboistych i krętych drogach Alentejo, automobil przemierzał okolicę z prędkością maksymalnie trzydziestu kilometrów na godzinę. Mimo to zostawiał za sobą wielką chmurę kurzu, pobudzając do kaszlu biegnące za nim obszarpane dzieci. Parametry techniczne silver ghosta - podwójny zapłon z magnesem i cewką, eliptyczne tylne sprężyny lub tulejowe sprzęgło - bardziej przemawiały do Fernanda niż wszystkie cuda Chrystusa. Kosztowny zapach skórzanych siedzeń, błysk chromu i elegancja linii często skłaniały go do kilkuminutowych

przerw w pracy. Już sam stopień do wsiadania zasługiwał na uwielbienie, a w chwilach zapomnienia dłoń Fernanda błędziła po pięknie zaokrąglonych błotnikach z takim samym oddaniem, z jakim gładziła piersi Juju.

Jego fascynacja autem nie uszła uwagi Jose Carvalha. Patrao z rozbawieniem obserwował, z jakim zaangażowaniem młody pomocnik zarządcy podejmuje się każdego zajęcia związanego z pojazdem, choćby było to tylko natarcie skóry woskiem. O tym, że Fernando przyjaźnił się kiedyś z jego córką, najwyraźniej zapomniał. W innym wypadku nie zwróciłby się do Fernanda, gdy w lutym 1912 roku Felipe Soaresa zabiła grypa.

- Potrzebuję nowego zarządcy.

- Tak, senhor.

- Czy znasz kogoś, kto nadawałby się do tej pracy?

- W tej chwili nikt nie przychodzi mi do głowy, senhor.

- A mnie tak. Chcę, żebyś ty objął to stanowisko. Sądysz, że podołasz? -

W zasadzie Josemu Carvalho było obojętne, co sądzi Fernando Abrantes. Wiedział, że chłopak się nadaje. Felipe opowiadał mu często, jak pracowity i odpowiedzialny jest Fernando. Jose Carvalho odczuł to już na własnej kieszeni. System melioracyjny, który zaprojektował młody człowiek, przyczynił się w zeszłym roku do znacznego wzrostu plonów. Chłopak znał każdy centymetr kwadratowy jego posiadłości -a w dodatku kosztować będzie o wiele mniej niż doświadczony zarządca z zewnątrz.

- Tak. - Fernando spojrzał zdecydowanie na patrao. - Dziękuję.

Wracając wieczorem do domu, Fernando cały promieniał. Był wyraźnie dumny, że w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat został zarządcą, bijąc wszelkie rekordy. Ale jego radość nie trwała długo.

Wiadomość, że wkrótce przeprowadzą się do domu zarządcy, który był znacznie większy i wygodniejszy niż ich własny, przyjęto ze zmarszczonymi brwiami. Fernando patrzył rozczarowany na strapioną twarz matki. Potem spojrzał na siostrę, na której anielskim obliczu dostrzegał pierwsze ślady zgorzknienia. Czy aż tak cierpi z powodu odosobnienia, którego stał się przyczyną? Ale nie, cóż znowu! Conceicao

jest prześliczna, wcielenie dziewczęcej niewinności, z pewnością nie brakuje jej adoratorów.

- Nie możemy się przeprowadzić do domu zarządcy - powiedziała teraz.  
- Jak możesz w ogóle brać to pod uwagę? Czy chcesz zbecześcić pamięć ojca? Tu, w tym skromnym domu, żyje nadal, w każdej drewnianej desce, którą kładł, w podmurówce, którą pomalował na niebiesko, albo w tym kaflu na kominie, który zamocował.

Fernando zaniemówił, ale szybko odzyskał przytomność umysłu. Nie wspomniał, że sam kładł deski i azulejos nad kominkiem.

- Skoro tak, kochana siostró, to chyba powinnaś się przeprowadzić z matką do szynku. Tam na pewno zostało więcej śladów jego ziemskiego żywota.

W pewien burzowy, kwietniowy dzień dwa miesiące po tej kłótni rodzina przeprowadziła się do domu zarządcy. Gdy nieco później dowiedzieli się o tragedii, która miała miejsce właśnie tej nocy z czternastego na piętnasty kwietnia 1912 roku, w oczach siostry zabłyśły złośliwe iskierki, zupełnie, jakby poczuła satysfakcję, że nad datą przeprowadzki zaległ ciężki cień.

- Ty też pójdziesz na dno tak samo jak „Titanic” - powiedziała Maria de Conceicao do brata.

- Jeśli tak, to z wami na pokładzie - odparł. Matka się przeżegnała.

## Rozdział Czwarty.

Drzewa truskawkowe, medronheiros, rosną najlepiej w cieniu większych i silniejszych drzew. Często tworzą zwarte zarośla, przez które niemal nie można się przebić. Medronheiros widuje się często na polanach lub skraju lasu. Ściśle rzecz biorąc, nie chodzi o drzewa, lecz o krzaki, które jednak, tak jak na wzgórzach Monchique, bywają niekiedy bardzo wysokie.

Największe drzewo truskawkowe, jakie kiedykolwiek widziała Juju, rosło na wzniesieniu między Milagres i Varzea. Niczym wybryk natury stało szeroko rozgałęzione w całkowitym odosobnieniu pośrodku pola pszenicy, widoczne z daleka. Teraz, we wrześniu, jego owoce już dojrzały. Medronhos niezbyt Juju smakowały, mimo to zrywała jedną czerwoną jagodę po drugiej i wkładała do ust. Jakoś musiała przecież zabić czas, nim zjawi się Fernando.

Była piąta po południu, a medronheiro rzucało długi, przyjemny cień. Juju rozpostarła koc na szeciniastym podłożu, ale kilka krótkich źdźbeł przebiło się przez materiał i kłuło. Wokół niej latały muchy zwabione słodkim zapachem owoców, które spadły już na ziemię. Juju odganiała je kapeluszem. Gdzie się podziewa Fernando? Dziś nie mogła zostać dłużej niż do szóstej - w Belo Horizonte zapowiedziano wizytę gości. Nieobecność Juju rzucałaby się w oczy, a matka zadawałaby później nieprzyjemne pytania. Właśnie dziś każe jej na siebie czekać! Wkrótce wróci do domu i będzie mogła tylko pomarzyć o ustach Fernanda, jego silnych dłoniach i niezglębionych oczach. Chciała cieszyć się każdą chwilą spędzoną razem z nim - a on się spóźniał!

- Czekają pani na kogoś, menina Juliana?

Juju drgnęła. Fernando niezauważenie zbliżył się od tyłu. Spodziewała się, że nadejdzie od strony Varzea.

- O nieba, Fernando! Przestraszyłeś mnie! Skąd się tu w ogóle wzięłeś?

Usiadł na kocu, objął ją i przyciągnął blisko siebie. Usta Juju były ciemnoczerwone i smakowały owocami drzewa truskawkowego. Na jej twarzy wyczuł warstewkę potu, delikatne kosmyki włosów na skroniach zwinęły się w pierścionki.

Gniew Juju z powodu spóźnienia Fernanda natychmiast się ulotnił. Po co jej wyjaśnienia lub przeprosiny, skoro otrzymywała takie pocałunki? Na to warto było czekać!

- Potrzebowali mnie w oborze - krowa nie mogła się ocielić.

- Mój Boże, Fernando, co to za temat, żeby przerywać pocałunek i opowiadać o tym ukochanej! Tylko daruj mi szczegóły. - Wprawdzie Juju podziwiała pragmatyzm Fernanda i chętnie słuchała o jego codziennych zajęciach, ale czasami był dla niej po prostu zbyt bezpośredni. - Czy jest coś, przy czym nie byłbyś niezbędny? Z pewnością poradziliby sobie i bez twojej pomocy.

- Właśnie, że nie. Cielę ułożyło się... - Fernando przerwał, gdy dostrzegł zagniewany wzrok Juju. - Ach, chodź tu, meu amor. - Wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Pochylił głowę, by pokryć szczupłą, białą szyję Juju drobnymi pocałunkami. Potem jego usta powędrowały do ucha. Powiódł lekko językiem po płatku. - Mam dla ciebie niespodziankę - szepnął. Przez cienką tkaninę koszuli i delikatny materiał sukienki poczuł, że sutki Juju twardnieją.

- Ja dla ciebie też. - Ale jeszcze nie teraz, pomyślała Juju. Jeszcze nie wyjawi mu sekretu. Nie chciała psuć pięknego nastroju późnego popołudnia, opowiadając o planach, jakie mieli dla niej rodzice. To złamie Fernandowi serce. - Ty pierwszy - wyszeptała mu do ucha.

- Namówiłem fotografa Afonsa, żeby za specjalną opłatą w niedzielę po mszy otworzył dla nas swoją pracownię. Obiecał też milczenie. Możemy wreszcie zrobić sobie razem zdjęcie, co o tym sądzisz?

- To wspaniale. - Juju zastanawiała się przez chwilę, ile Fernando musiał dać w łapę Afonsowi, żeby ten skąpiec zgodził się na takie warunki. Jednak nie powiedziała tego na głos. Zamiast tego bezwiednie westchnęła: - Zdjęcie będzie nam potrzebne.

Fernando spojrzał na nią pytająco.

Nie było rady. Juju musiała mu powiedzieć.

- My... rozstaniemy się na jakiś czas. Mam przynajmniej na rok wyjechać do Paryża.

- Och.

- Tak, och.

- Nie możesz tego zrobić. Czy wszystkie lata mojej harówki mają pójść na marne?

- Fernando, nie mam wyboru. Dona Clementina nalega. Moja cioteczna babka i imienniczka, dona Juliana, mieszka w Paryżu i wprowadzi mnie w tamtejsze towarzystwo.

- Żebyś mogła poślubić pierwszego lepszego aroganckiego Francuza!

- Owszem, taki cel temu przyświeca. - Samej Juju niezbyt podobała się myśl, że w obcym mieście będzie pokazywana i zachwalana jak cenny, ale, niestety, nietrwały towar. Bała się także długiej rozłąki z Fernandem. Z drugiej strony cieszyła się na czekającą ją przygodę. Miała dwadzieścia lat i jak na swój gust widziała zbyt mało świata. Dotychczasowe podróże do europejskich miast były zdecydowanie za krótkie, aby mogła choć powierzchownie poznać tamtejsze życie.

- Ale należysz do mnie!

- I tak będzie na zawsze. Czy masz do mnie tak mało zaufania, że sądzisz, że przez rok mogę o tobie zapomnieć?

Fernando wzruszył ramionami. Było dla niego jasne, że młoda kobieta w mieście takim jak Paryż musi ulec jakiejś pokusie. Jeśli nie mężczyźnie, to życiu kulturalnemu lub luksusowym sklepom na eleganckich bulwarach. A co miał jej do zaoferowania w zamian? Czy gaj oliwny mógł konkurować z wypielęgnowanymi parkami we francuskiej stolicy, o których czytał w przewodniku? A białe niebieskie domki Alentejo z przepyszными miejskimi willami? Prażące letnie słońce ze świeżym, orzeźwiająjącym klimatem północy? Zapach dzikich kwiatów na wiosennych łąkach z wyszukanyimi pachnidłami i wodami najlepszych paryskich perfumerii?

- Odwołam Afonsa.

- Boże, Fernando! Czekaliśmy tak długo, kolejny rok niczego nie zmieni.

- Właśnie. Dlatego zaoszczędzę pieniądze, które wydałbym na fotografię. Gdy wrócisz, będę dobrą partią, możesz mi wierzyć. O ile do tej pory nie ożenię się z inną.

Juju przestraszyła się, widząc gniew błyskający w oczach Fernanda. Wstała, poprawiła sukienkę i fryzurę, po czym pociągnęła za koc, na którym nadal siedział. Przesunął ciężar ciała tak, by Juju mogła wyciągnąć i strzepnąć pled, co uczyniła tak gwałtownie, że na twarz Fernanda poleciały żółta trawa i małe kamyczki. Przyjął to z niewzruszoną miną.

- Muszę już iść. Mamy gości. A tobie najwyraźniej potrzeba czasu, żeby zastanowić się poważnie nad swoim zachowaniem. - Czasami Juju miała wrażenie, że przemawia niemal jak jej dawna guwernantka, dona Ivone. Nienawidziła się za to.

Goście okazali się bardzo rozmowni. Byli to właściciele winnicy z okolic Porto, z którymi Jose Carvalho chciał podpisać umowę na wyłączność w dostawach korka. Adalberto da Costa zamierzał otworzyć własną wytwórnię korków. Same winnice zdawały się go nie satysfakcjonować. Nie wyglądał jednak na kogoś wiecznie niezadowolonego - był bardzo gruby, miał zaczerwienione policzki i łysinę na czubku głowy, z której co chwila musiał ocierać pot. Śmiał się bardzo głośno i bardzo dużo. Jego żona, dona Filomena, była pulchną kobietą o bujnym biuście i jak na swe obfite kształty nieco za małej twarzyczce.

Po omówieniu interesów panowie dołączyli do dam w salonie. Dona Filomena podziwiała zawartość oszklonych serwantek. Delikatne porcelanowe figurki zachwycały ją tak samo jak kryształowe wazony czy srebrne świeczniki w stylu manuelińskim.

- Dono Clementino, jakież skarby tu pani przechowuje! - wykrzyknęła.

- Muszę to potwierdzić - wtrącił jej mąż. - Państwa córki są po prostu czarujące! - Spojrzał krótko na Juju, dając do zrozumienia, że komplement dotyczył przede wszystkim jej.

- Dziękuję, drogi senhor Costa. Uważamy się za bardzo szczęśliwych, że wszystkie pięć jest tak udanych.

- Pięć? - wyrwało się donie Filomenie.

- Tak, dwie córki są już mężatkami. Joana mieszka z mężem Gustavem da Silva Barbosa w Porto. Może znają państwo jego rodzinę? Pochodzi ze starej szlachty.

- Nazwisko oczywiście nie jest mi obce, ale nie miałam jeszcze przyjemności osobiście poznać tych państwa - odparła dona Filomena.

- Isabel zaś mieszka w Lizbonie. Jej mąż, doutor Raimundo de Saramago, jest wybitnym prawnikiem. - Była to mocna przesada, ale dona Clementina nie mogła przed obcymi ludźmi nazwać zięcia pokątnym adwokatem.

- Tak, i wygląda na to - ciągnęła - że Beatriz, Mariana i Juliana też tu długo nie zostaną. - To także nie całkiem odpowiadało prawdzie. Beatriz

była wyjątkowo trudnym przypadkiem, Mariana nadal nie dojrzała do małżeństwa, a Juliana wykazywała ogromny upór, gdy przedstawiano jej kolejnych kandydatów na męża. Jednak nigdy nie zaszkośli przedstawić córek jako pożądaných i otoczonych licznymi adoratorami. - Ach - podsumowała - matka pięciu córek musi znosić ciężki los. W końcu wszystkie odlatują z domu i zostawiają ją samą.

- Komu to pani mówi, dono Clementino, komu to pani mówi? Sama mam trzy córki i trzech synów, a pięcioro już założyło własne rodziny. Tylko najmłodszy, Rui, nadal mieszka z nami. Ale, moja droga, czyż wnuki nie są dla nas niewyczerpanym źródłem radości?

- O tak! - Dona Clementina nie bardzo mogła kontynuować rozmowę o wnukach, które wcale nie były dla niej czystym źródłem radości. Troje dzieci Joany widywała rzadko, a Isabel do tej pory nie miała szczęścia zostać matką. Znacznie bardziej zaciekało donę Clementinę to, czego właśnie się dowiedziała. Da Costowie mieli syna kawalera - a związek między ich rodzinami byłby najlepszym, co mogło się zdarzyć. Koniecznie musiała wypytać bardziej o tego Ruiego, ale dyskretnie. Może okazja nadarzy się przy posiłku. I musiała przedstawić Julianę w jak najlepszym świetle.

- Juliano, mój skarbie, czy nie ucieszyłabyś nas grą na fortepianie?

- Bardzo chętnie, mamó.

Juju usiadła przy fortepianie, a pozostali obecni spoczęli na sofach i fotelach, popijając porto.

- Wasza Juliana to piękność - wyszeptała dona Filomena do gospodyni. Obie panie wymieniły spojrzenia. Wiedziały, że myślą to samo. Niech mężczyźni zajmują się nudnymi umowami, skomplikowanymi klauzulami i przewlekłymi negocjacjami - one, kobiety, osiągną te same cele na swój sposób.

- Później musi nam pani koniecznie opowiedzieć o swoim synu - wyszeptała dona Clementina do gościa. Nie sądziła, żeby - niech Bóg broni! - miał jakiś poważny mankament. Ale jeśli zewnątrznie był mniej pociągający, być może zainteresowałby się nawet Beatriz. Humor dony Clementiny wyraźnie się poprawił i to z pewnością nie dzięki wesołemu utworowi granemu właśnie przez Juju.

Podczas posiłku to Mariana skierowała wreszcie rozmowę na syna da Costów. W podobnych sytuacjach dona Clementina była naprawdę zadowolona,



że córka jest istotą tak naiwną. Mariana niedawno osiągnęła pełnoletność, jednak często zachowywała się jak dziecko.

- Ile lat ma państwa syn? Ten, który jeszcze mieszka w domu? - spytała wprost, przerywając ożywioną dyskusję o polityce gospodarczej Teofila Bragi.

Dona Filomena z radością odpowiedziała na pytanie. Rozmowy polityczne uważała za nudziarstwo.

- Rui ma dwadzieścia trzy lata. Młode damy zabiegają o niego, ale on chce najpierw pogłębić studia na Oksfordzie, nim się poważnie zwiąże. W Coimbrze zdobył tytuł magistra ekonomii cum laude.

To było więcej niż dość. Dona Clementina uznała co prawda, że senhora Costa zdecydowanie nie grzeszy subtelnością, ale cieszyła się, że dowiedziała się aż tyle o owym młodzieńcu.

- Mamy nadzieję, że gdy już się wyszumi, dołączy do rodzinnego interesu - uzupełnił Adalberto da Costa. - Dwaj starsi synowie, niestety, nie wykazują zainteresowań w tym kierunku. Jeden jest profesorem archeologii, drugi oficerem marynarki.

- Zabawne, że wszyscy mają tak różne talenty - stwierdziła głośno Mariana.

- Tak, prawda - odparła dona Filomena. - Przypisujemy to temu, że nie chcieli sobie nawzajem robić konkurencji. Jako dzieci byli do siebie bardzo podobni.

- W przeciwieństwie do nas. - Mariana uciekła wzrokiem przed spojrzeniami Beatriz i Juju, które, jak wiedziała, nie lubiły, gdy o nich mówiono. - Żadna nie jest podobna do drugiej, a charakterami i zainteresowaniami całkowicie się różnimy.

Dona Filomena roześmiała się.

- To też zabawne.

Zanim dona Clementina zdążyła się zastanowić nad znaczeniem tej ostatniej wypowiedzi - czy kryła się za nią zniewaga? - otworzyły się drzwi jadalni i do środka wbiegł Fernando Abrantes.

- Patrao, niech pan szybko przyjdzie! Samochód znikł!

Jose Carvalho poderwał się z krzesła. Pobiegł do drzwi, ojcowskim gestem objął Fernanda ramieniem i wyprowadził go na korytarz.

- Co ci przyszło do głowy, żeby tak tu wpadać? Mamy ważnych gości. - W jego tonie nagle nie było już nic ojcowskiego. Jose Carvalho aż trząsnął się ze złości. Jego twarz przybrała niebezpiecznie czerwoną barwę. Jak Adalberto da Costa ma go traktować jak poważnego partnera

w interesach, skoro Jose nie jest nawet w stanie kontrolować swoich ludzi?

- Ale myślałem...

- Najwyraźniej w ogóle nie myślałeś. Możesz to teraz nadrobić. Pomyśl, kto mógł zabrać samochód i gdzie się może znajdować. Albo pójdz do żandarmerii i zgłoś kradzież. Silver ghost znany jest w całej okolicy. Jeśli go skradziono, złodziej nie ucieknie daleko. A teraz znikaj!

Dopiero na te ostre słowa Fernando się opamiętał. Gdy zobaczył, że samochód nie stoi na swoim miejscu, wpadł w panikę. Bez namysłu pobiegł do rezydencji, odepchnął służącą przy drzwiach i zdyszany wpadł do jadalni. O Boże! Jak mógł? Coś takiego jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło, jemu, Fernandowi Abrantesowi, słynącemu z opanowania i racjonalnego myślenia! Zrobił z siebie pośmiewisko, i to na oczach wszystkich. W głębi ducha związał się ze wstydu.

- Kim był ten nieokrzesany chłopak? - spytała urażona dona Filomena.

- To nasz zarządca. - Jose Carvalho przybrał niewzruszony wyraz twarzy. Nie zamierzał przeprosinami jeszcze bardziej dać się zepchnąć do defensywy.

- Ma pan takiego młodego zarządcę? - zdumiał się senhor Adalberto. - Wydaje mi się, że jeszcze nie całkiem dorósł do podobnej odpowiedzialności...

Juju też się tak wydawało. Co za wstyd! Jednak bardziej niż niesłychana scena zaniepokoiło ją coś innego. Gdy Fernando wbiegł do salonu, ujrzała go nagle w zupełnie innym świetle. Jakby niewidzialna ręka wcisnęła przełącznik w jej mózgu, Fernando naraz przestał wydawać się jej tym, którego znała i kochała. Nie był to jej mądry, rozsądny przyjaciel, lecz zahukany sługus. W jadalni nie zjawił się atrakcyjny ukochany, tylko nieokrzesany wieśniak. I ani trochę nie przypominał mężczyzny, który podczas potajemnych schadzek na polach lub w lesie wydawał się jej ideałem męskości, siły, urody i inteligencji.

Jak to możliwe? Czy Fernando sprawiał takie wrażenie z powodu obcego otoczenia, eleganckich dywanów i odświeżonego nakrytego stołu? Dlaczego wcześniej nie zauważyła, że ubiera się i zachowuje jak chłop? U paska miał korkowy czerpak, jakiego używali robotnicy do nabierania wody ze studni. Jego czarny filcowy kapelusz był zakurzony,

twarz nieelegancko ogorzała, a wypchnięte na kolanach spodnie brudne.

Rozmowa przy stole zeszła na ogród różany, tyle jeszcze Juju dosłyszała. Obie pary oraz Mariana konwersowali z ożywieniem. Tylko Beatriz milczała. Kątem oka mierzyła młodszą siostrę i zdawała się dobrze wiedzieć, jaka szaleje w niej burza.

Juju obojętnie dłubała w deserze. Szok spowodowany nagłym odkryciem, że Fernando może wcale nie być wspaniałym bohaterem, jakiego zawsze w nim widziała, odebrał apetyt. Jak to się stało, że ujrzała Fernanda oczami innych, ona, która знаła jego samego i jego zalety lepiej niż ktokolwiek inny na świecie? Ależ to z jej strony podłe i niskie!

A może ta gwałtowna zmiana punktu widzenia to coś takiego jak nagłe odkrycie, że suknia jest źle skrojona - jak na przykład ta jasnożółta jedwabna, którą uparła się koniecznie kupić zeszłego lata, bo krój był tak śmiały, a materiał tak wytworny? Zignorowała fakt, że kreacja wcale do niej nie pasuje. Przeglądając się w lustrze, unosiła nieco tył, poprawiała stanik, tu i tam nieco naciągała i stwierdzała, że suknia jest bardzo twarzowa. Potem jednak przypadkowo dostrzegła swoje odbicie w wysokich oknach salonu i musiała przyznać, iż suknia wcale nie wygląda na niej dobrze. Nigdy więcej już jej nie włożyła.

Czy z Fernandem było tak samo? Czy przez te wszystkie lata tylko się ludziła? Czy w rzeczywistości wcale do niej nie pasował?

- ...nieprawdaż, moja droga menino Juliano? - Adalberto da Costa ujął jej dłoń i wyrwał Juju z zamyślenia. Wstał już i chyba chciał się żegnać.

- Proszę mi wybaczyć roztargnienie, w duchu nadal przebywałam w różanym ogrodzie - rzuciła spontanicznie Juju.

- Mąż i ja bardzo byśmy się cieszyli, gdyby pani czcigodni rodzice odwiedzili nas kiedyś nad Douro - i pani oczywiście też byłaby bardzo mile widziana.

Mała grupka stała już przy otwartych drzwiach domu. Szofer da Costów podjechał daimlerem i otworzył drzwiczki.

- Dziękuję, dono Filomeno, to bardzo miło z pani strony, ale rodzice zaplanowali już dla mnie inną podróż.

- Ależ skarbie, Porto leży po drodze do Paryża! - Dona Clementina mrugnęła konspiracyjnie do dony Filomeny, gdy ta odwróciła się, wsiadając do pojazdu. Ten mały gest tajemnego porozumienia zauważyły tylko obie damy - i Fernando.

\* \* \*

Fernando dowiedział się już, gdzie stoi auto, i czekał w nieoświetlonej bramie gospodarskiej na odjazd gości, by wreszcie zdać raport patroa. Był śmiertelnie zmęczony i po długim dniu w kurzu i na słońcu czuł się brudny. Umysł miał jednak wyjątkowo jasny. A to, co właśnie zobaczył, powiedziało mu wszystko. Nadszedł czas, by odejść.

## Rozdział Piąty.

Podpułkownik Miguel Antonio Alves Ferreira zatarł dłonie. Jego protegowany kolejny raz okazał się szczęśliwym wyborem. Co by zrobił, gdyby chorążego nie było na miejscu, żeby usunąć usterkę w gaźniku roadstera hispano suizy? I jak przetrwałyby lot w bleriocie, gdyby młody człowiek w porę nie naprawił zaciętego bocznego steru? Nie do pomyślenia! W dodatku mógł polegać na jego dyskrecji. Chorąży Fernando Abrantes miał co prawda w sobie coś mrocznego, zamkniętego, nie do końca dla podpułkownika zrozumiałego - on sam był otwartym i wesołym człowiekiem - ale zwierzchnik chętnie tolerował tę wadę ze względu na liczne zalety podopiecznego.

Abrantes był inteligentny, wyjątkowo dobrze znał się na kwestiach technicznych i w przeciwieństwie do podpułkownika miał dość cierpliwości, by zajmować się skomplikowanymi naprawami tak długo, aż wszystko doprowadził do idealnego porządku. Było fascynujące przyglądać się, jak wielkie dłonie dawnego wieśniaka przemieniają się w precyzyjne narzędzia, gdy tylko należało obłożyć izolacją cienki drut lub wytarować igłę wysokościomierza. Poza tym Abrantes nigdy się nie krzywił, niezależnie od tego, jakie polecenie otrzymał.

Nie tracił na próżno słów i nie sprawiał wrażenia kogoś, kto wtyka nos w nie swoje sprawy. Nie wydawał się też gustować w hulankach. Ta ostatnia kwestia była dla Ferreiry wyjątkowo ważna. Gdy zatrudnił Abrantesa jako prywatnego szofera lub kazał mu sprawdzać maszynę przed lotem, nie potrzebował gadatliwego człowieka, który podpity zdradzałby wszystkie sekrety przełożonego.

Teraz podpułkownik Ferreira przyglądał się młodemu człowiekowi, gdy ten z poważną miną sprawdzał lekkie wklęsnięcia na skrzydłach bleriota spowodowane przez grad, który spadł zeszłej nocy. Podchorąży był całkowicie skoncentrowany na zadaniu. Kobiety u boku Ferreiry

nie zaszczycił nawet jednym spojrzeniem. A to, uznał Ferreira, stanowiło już niemal obrazę. Evelina, jego ukochana, była przecież piękną. Jej urocze zaokrąglenia żadnego mężczyzny nie zostawiały obojętnym, a podpułkownik lubił widzieć w cudzych oczach zazdrość. Ale cóż, Abrantes był po prostu inny. Znał go już dość dobrze, by wiedzieć, że bardziej interesują go silniki samolotowe niż kobiety - albo i mężczyźni, cóż, w wojsku nierzadko się to zdarzało - i że pozostaje niewrażliwy na wdzięki Eveliny. Może to nawet lepiej, bo z kolei Evelinie chyba się bardzo podobał. Jej oczy wyrażały podziw, a nawet pożądanie, gdy śledziła płynne ruchy Abrantesa.

- Już dobrze, Abrantes. Obrócimy krótko po placu i będziemy wiedzieć więcej.

- Jeśli pan pozwoli, pułkowniku - nawet okrążenie placu stanowi ryzyko, przynajmniej dla damy. Mogą wystąpić trudności, a nawet przeciągnięcia. Proszę pozwolić mi najpierw prowizorycznie wyklepać tych kilka wgnieceń, wtedy będzie bezpieczniej.

Ferreira nie podobało się, że Abrantes przeciwstawia się mu w obecności Eveliny, ale rozumiał, że propozycja nie jest pozbawiona rozsądku.

- No dobrze, Abrantes. Ile potrzebuje pan na to czasu?

- Myślę, że za pół godziny maszyna będzie nadawać się do lotu, panie pułkowniku.

- Świetnie. Zatem niech się pan pospieszy, a my wrócimy za pół godziny.

- Ferreira władczym gestem objął cienką talię Eveliny i opuścił ze swoją damą lądowisko.

Fernando popatrzył krótko za nimi, po czym na powrót zajął się uszkodzonymi powierzchniami nośnymi. Nie obchodziło go, co porabiał Ferreira po skończonej służbie. Cieszył się jednak, że przełożony ma tak ekstrawaganckie hobby jak lotnictwo - i jako wiceprzewodniczący Aero Club de Portugal zapewniał Fernandowi dostęp do najnowocześniejszych samolotów. Jeśli było prawdą, że w przyszłym roku w Vila Nova da Rainha ma zostać otwarta Escola Militar de Aeronautica, Fernando będzie najlepiej przygotowanym kandydatem. Chciał zostać jednym z pierwszych pilotów wojskowych w Portugalii. Nawet jeśli w tym celu musi wysłuchiwać chichotów kolejnej Eveliny, Rosalindy czy Luisinhy na tylnym siedzeniu hispano suizy.

Mogło być gorzej.

W rzeczywistości, przyznawał Fernando, wręcz nie mogło być lepiej. Musiał wciąż przypominać sobie, że miał niewiarygodne szczęście. Jak

szybko się o tym zapomina po osiągnięciu zaledwie pośredniego celu! Nie myśli się już o zainwestowanym czasie i pracy - nie zostaje ślad po ekstatycznych doznaniach towarzyszących wymarzonemu sukcesowi. Zamiast odczuwać dumę z pokonanego etapu, Fernando nie czuł nic poza palącą niecierpliwością - dalej, dalej! Musiał szybciej piąć się w górę, musiał zająć wyżej! Czy będzie się to ciągnąć bez końca? Czy nigdy nie doświadczy prawdziwej radości z osiągnięcia celu? Dokąd jeszcze zaprowadzi go niezadowolenie? A może powinien nauczyć się czerpać satysfakcję z samej walki? Czyż najwyższą nagrodą jest nie sam szczyt, lecz cieszenie się trudami wspinaczki?

Nie, droga nie była celem. Celem było zrobienie w jak najkrótszym czasie tak spektakularnej kariery, żeby zaimponować nawet Josemu Carvalho. A przede wszystkim Juju. Tamtego wieczoru przed dwoma laty z bolesną wyrazistością zrozumiał, że ich miłość nie ma przyszłości. Jej wzrok, gdy zjawił się w jadalni, powiedział mu wszystko. Wstydziła się go. A w spojrzeniu, które rzuciły sobie obie damy, można było wyczytać dalszy ciąg - opracowały jakiś plan, wobec którego on sam, bez wsparcia Juju, był bezsilny.

Wspomnienie tego wieczoru wyzwoliło w nim nieopisaną energię. Fernando stukał, pukał i walił młotkiem w cienką metalową powierzchnię z tak gorączkowym pośpiechem, że po zaledwie dwudziestu minutach wyglądała całkiem znośnie. Jeśli lot, którym Ferreira chciał zaimponować swojej Evelinie, będzie niespokojny, to nie z powodu maszyny, lecz co najwyżej pogody. Spojrzał na niebo. Gromadziły się na nim ciężkie chmury. Ferreira musiał się pospieszyć. Za kilka godzin rozpęta się burza. Przynajmniej na to, pomyślał Fernando, przydały się lata pracy z kosą i motyką - jego prognozy zawsze się sprawdzały.

Rano o szyby bębnił deszcz. Burza z poprzedniego dnia jeszcze nie całkiem się wyszumiała. Nie zostawiła po sobie czystego nieba ani chłodnego powietrza, lecz otuliła wszystko duszącą wilgocią, która spadała teraz z szarych chmur na ziemię. Fernando usiadł na skrzypiącym polowym łóżku i pozwolił sobie na chwilę bezczynności. Rolnik w jego duszy cieszył się - zbyt gwałtowna burza mogłaby ostatecznie zniszczyć uszkodzone przez grad plony. Przyszły pilot był za to rozczarowany - dziś rano miał ponownie jechać z Ferreirą na lotnisko.

Izba była idealnie wysprzątana, mundur nienagannie wyprasowany, a do śniadania pozostawało jeszcze kilka minut. Współlokator Fernanda przebywał w szpitalu. Nic nie przeszkadzało młodemu człowiekowi, gdy wyjął fotografię i spoglądał na nią zamyślony. Juju patrzyła na niego szeroko otwartymi ciemnymi oczami, w których odbijał się przestach spowodowany błyskiem aparatu. Fernando uśmiechnął się do siebie. Takiej jej nie znał. Również gładko przyczesane włosy były dla niej nietypowe. Ale czy naprawdę ją jeszcze znał? Czasami z zamkniętymi oczyma próbował wyobrazić sobie rysy Juju. Na próżno. Miał przed oczami jej pełne, nieco zbyt szerokie usta, widział mały nosek, na którym, gdy była nieostrożna, pojawiały się piegi, pamiętał brązowe oczy z cudownie zawiniętymi rzęsami. Ale czasami nie potrafił złożyć szczegółów w całość. Czuł się tak, jakby jej twarz umykała mu zawsze, nim zdołał ją uchwycić. Nie był to dobry znak. A może jednak? Czy nie lepiej, żeby po prostu zapomniał o Juju, rodzinie Carvalho, Belo Horizonte i w ogóle całej swojej nieszczęśliwej przeszłości? Przecież właśnie to postanowił sobie tego wieczoru we wrześniu 1913 roku.

Z niewzruszoną pewnością Fernando uświadomił sobie wtedy, co musi zrobić. I jak wszystko w swoim życiu, również ten plan przeprowadził szybko i skutecznie. Zgłosił się do służby wojskowej - której do tej pory jako głowa rodziny mógł unikać. Matka przeprowadziła się do Sebastiao, siostra poszła na służbę do księdza. Obie przyjęły zmiany w swoim życiu z wielkim narzekaniem, a wszyscy bez wyjątku ludzie z aldeia i monte uważali, że zwariował. Jak człowiek, przed którym rysowała się taka świetlana przyszłość i który już w młodości tyle osiągnął, mógł to wszystko odrzucić, by zostać żołnierzem?! On sam nie podzielał tych wątpliwości. Z czegoż bowiem zrezygnował? Z młodzieńczej miłości, bez perspektyw, z życia z dwiema kobietami, które go nie rozumiały, ale o które oczywiście nadal zamierzał troszczyć się finansowo, gdy tylko żołąd na to pozwoli, ze swojej pozycji, która pozwalała mu przez wiele lat prowadzić wolne od trosk życie, ale nie zostawiała żadnego miejsca na marzenia?

Pierwsze wątpliwości ogarnęły go już przed komisją poborową. Musiał stanąć całkiem nagi w szeregu razem z innymi mężczyznami, a badanie lekarskie było tak upokarzające, że Fernando czuł się jak by było przeznaczone do rzeźni. Pierwsza lekcja - słowa „wstyd” i „intymność” nie figurowały w wojskowym słowniku. Fernando ze stoickim spokojem zniósł poniżającą procedurę.

Został zmierzony, zważony i osłuchany, popatrzono mu w zęby i na



przyrodzenie, musiał wykonać głupie ćwiczenia oraz przejść badanie słuchu i wzroku. Po wszystkim stwierdzono to, co Fernando wiedział już wcześniej - że jest w świetnej kondycji fizycznej.

Potem nastąpiły badania mające sprawdzić jego zdolności umysłowe. Analfabetów od razu przypisywano do najniższej kategorii. Kto umiał jako tako czytać i pisać, musiał dowieść swej wiedzy ogólnej oraz podstawowej znajomości rachunków. Testy były tak śmiesznie łatwe, że Fernando, gdy rzucił okiem na pytania, wzbraniał się wypełnić formularz. Umiałby bez trudu rozwiązać trudniejsze zadania.

- Chciałbym otrzymać ten sam test, co mężczyźni po szkole średniej.

- Tenente.

- Słucham?

- Za każdym razem, gdy zwraca się pan do mnie z pytaniem, prośbą lub uwagą, należy dodać mój stopień wojskowy.

- Tak jest. - Po krótkim wahaniu Fernando poprawił się. - Tak jest, tenente.

- Zatem, o co chciał pan zapytać, Abrantes?

Fernando zdumiał się, słysząc to pytanie. Przecież porucznik dokładnie zrozumiał, o co mu chodzi. Cóż za złośliwość! Może jednak wojsko nie jest odpowiednie dla ludzi takich jak on, którzy uważają biurokratyczne korowody i rozwlekłe protokoły za zbędne. Opanował się jednak i przybrał skruszony wyraz twarzy.

- Przepraszam, tenente. Co prawda nie ukończyłem szkoły wyższej, tenente, ale mam sporą wiedzę. Czy mógłbym otrzymać trudniejszy test, tenente?

- Nie.

- Czy wolno mi spytać, dlaczego, tenente? - Nadużywanie tego zwrotu przez Fernanda wydawało się w ogóle nie drażnić porucznika.

- Napisze pan egzamin, jaki dla pana przewidziano. Jeśli ktoś zda go bezbłędnie, w co w pana przypadku bardzo wątpię, w wyjątkowych sytuacjach zaleca się przeprowadzenie kolejnego testu.

- Tak jest, tenente. - Fernando pochylił się nad kartką i zaczął rozwiązywać dziecinnie proste zadania. Czuł się jeszcze głupiej, niż powtarzając w kółko tenente. Po kilku minutach odpowiedział na wszystkie pytania. Tylko jedno wprowadziło go w niejaką konsternację. „Jaki słynny portugalski żeglarz - brzmiało - pierwszy okrążył Przylądek Dobrej Nadziei i odkrył drogę do Indii? W którym roku dokonał tego czynu ku chwale ojczyzny?”.

Fernando wiedział, że powinien wpisać po prostu „Vasco da Gama” i „1498”. Jednak wzbraniał się przed taką odpowiedzią na nieszczęśliwie sformułowane pytanie. Przylądek Dobrej Nadziei już dziesięć lat wcześniej opłynął Bartolomeu Dias, co wiedziało każde dziecko w Portugalii. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że dzielenie włosa na czworo mu nie pomoże. Postanowił uciekać do przodu - zamiast wykazać błąd w pytaniu, opisał krótko pionierskie dokonania w portugalskiej żegludze (ze szczególnym uwzględnieniem osoby Bartolomeu Diasa) i wspaniałe zdolności nawigacyjne Vasco da Gamy. Omówił przyrządy nawigacyjne z końca XV wieku - temat, który go zawsze interesował. Był tu w swoim żywiole - i mógł pokazać egzaminatorom, że wie znacznie więcej niż to, ile wynosi pierwiastek z osiemdziesięciu jeden lub jak się nazywa stolica Szwecji. Pomimo udzielenia tak długiej odpowiedzi oddał test pierwszy.

Następnego dnia pewien oficer, wyraźnie przewyższający tenente zarówno rangą, jak i intelektem, dał Fernandowi do wypełnienia trudniejszy test.

Oficerem tym był Ferreira. Fernando od razu go polubił. Był towarzyski, nie przykładał wagi do hierarchii i pomimo wysokiej rangi wolał zadawać się z inteligentnymi podwładnymi niż z głupimi oficerami równymi mu stopniem. Fernanda pocieszał nieco fakt, że stał w łaskach podpułkownika wyżej niż tenente, i to tylko dzięki swoim zdolnościom. Dla Ferreira żądza wiedzy znaczyła więcej niż wojskowy dryl, inteligencja więcej niż posłuszeństwo, a fascynacja lataniem więcej niż wszystko inne. W Fernandezie znalazł idealnego przybranego syna - a Fernando w Ferreira najlepšíego nauczyciela.

Towarzyszom Fernanda nie podobało się, że „adoptował” go i proteguje tak wysoki rangą wojskowy. Nie podobało się im także, że podczas podstawowego szkolenia we wszystkich dyscyplinach Fernando okazywał się prymusem i zachowywał się tak, jakby uważał się za kogoś lepszego. Właśnie on, który ze swym dialektem z Alentejo od razu dawał się poznać jako chłopski syn, a wolne dni spędzał na łataniu swoich jedynych „dobrych” spodni!

Fernando nie zwracał na to wszystko uwagi. Znał dobrze tego rodzaju niechęć. Jego „przyjaciele” w domu zareagowali podobnie, gdy został mianowany zarządcą. Jak maciory w błocie, tak ludzie taplali się

w zawiści i przez ten cały nagromadzony brud nie dostrzegali, że sami są za siebie odpowiedzialni. Fernando nie mógł nic poradzić na to, że Pedro tracił cały żołąd na grę w karty, a Roberto tyle pił, że przespiał wszystkie ranki. Nie miał zrozumienia dla próżniaków, nierobów, pijaków i hazardzistów - a już na pewno nie wtedy, gdy, jak większość jego towarzyszy, pochodzili z rodzin urzędniczych. Nigdy nie musieli obwiniać nieudanych zbiorów o brak wina, by zaspokoić pragnienie, lub skąpego patrao o zbyt skromne posiłki. Wszyscy chodzili do szkół, zimą mieli dość opału, a latem mogli szukać ochłody na brzegach rzek i plażach. Nikt z nich nie musiał przy czterdziestu dwóch stopniach w cieniu harować ze zgiętymi plecami w winnicy tylko po to, by na koniec dnia otrzymać do zgrubiałej dłoni kilka tostoes, za które można było kupić zaledwie bochen chleba. Albo litr wina, choć tego dnia zebrało się tyle winogron, że dałoby się uzyskać z nich kilkadziesiąt litrów.

Gdy punkt siódma zadzwieczał dzwon wzywający na śniadanie do stołówki, Fernando oderwał się od wspomnień. Włożył zdjęcie Juju na powrót do Biblii, a tę do szuflady nocnego stolika. Wstał, wygładził koc na łóżku i spiesznie wyszedł.

- Abrantes - powitał go Roberto ze złośliwym uśmiechem. - Nie zaspaleś? - Powiedział to tak głośno, że słycać go było w całym pomieszczeniu, pomimo głośnego szczęku talerzy i sztućców.

- Oczywiście, że nie. Wiesz przecież, że jestem „nienaturalny” i wcale nie śpię. - Fernando celowo powtórzył słowo, które niedawno usłyszał, gdy inni najwyraźniej strzepili sobie na nim języki. Wcale nie uważał go za obraźliwe. - Odczuwam jednak całkiem naturalny głód. - Wziął z koszyka kromkę chleba, posmarował ją podejrzanie ciemnożółtym masłem oraz odrobiną marmolady i zjadł z dużym apetytem. Nie mógł zrozumieć narzekań towarzyszy na jakość jedzenia. Koniec końców zaopatrzenie było dobre. Jedli obfite posiłki i codziennie podawano mięso. Wszystko ponad to wydawałoby się Fernandowi dekadencje.

- A jak to się stało, że ty sam już tu jesteś, Almeida? Zdaje mi się, że nawet trzeźwy? - Fernando nie spojrział przy tym na Roberta, lecz całą uwagę poświęcił kanapce, z której znowu odgryzł duży kęs. On również mówił tak głośno, że każdy go usłyszał.

- Abrantes! Almeida! Jeszcze słowo, a każę wam czyścić latryny! Żaden z nich nie zauważył, że do jadalni wszedł major Correia Pimentel. Wszyscy bali się majora i jego drakońskich kar za najdrobniejsze odstępstwo od dyscypliny czy regulaminu.

- Tak jest, panie majorze! - zawołali Fernando i Roberto pięknym dwugłosem, zrywając się z miejsc i stając na baczność.

Dokończyli śniadanie w ciszy. Czasami wymieniali nad stołem konspiracyjne uśmiešky. Jaime rzucił Fernandowi kawałek gazety, jak robił to każdego ranka. Nie mieli co prawda tyle czasu, by dokładnie przeczytać wszystkie artykuły, ale zdążali przejrzeć tytuły i zdobyć jakieś takie rozeznanie co do wydarzeń na świecie. Jaime zawsze czytał najpierw część gospodarczą i kulturalną, Fernando zaś doniesienia ze świata, które często dotyczyły nowinek technicznych. Tak było i tego ranka.

Jego uwagę przykuła mała notka. Ford zaczął produkować robiący furorę model T w systemie trójzmianowym. Auto dostępne było tylko w kolorze czarnym, bo ta farba najszybciej schnie. Fernando z niedowierzaniem pokręcił głową. Stosunek Amerykanów do automobili zmieni świat, to oczywiste. Przez chwilę myślał z żalem o wspaniałym rollsie swego dawnego pana, który zezowaty Joao po pijanemu wyprowadził z garażu, po czym rozbił o drzewo. Czy naprawdę minęły dopiero dwa lata? Tyle się od tego czasu zmieniło.

Fernando spojrzął na zegar nad drzwiami. Siódma dwadzieścia cztery. Zostało mu dokładnie sześć minut, by stawić się na dziedzińcu. Szybko wyjrzał przez okno, po którym spływały krople deszczu, i wyjątkowo postanowił poczekać do ostatniej chwili. Niezdarnie złożył gazetę i niemal przewrócił przy tym filiżankę. Zdekoncentrowany zerknął na stronę tytułową. Polityka światowa nie była dziedziną, w której błyszczał. Czasy były już dość burzliwe w samej Portugalii, nie musiał zajmować się jeszcze problemami państw leżących po drugiej stronie horyzontu. Tym razem jednak przeczytał cały artykuł wstępny, zaciekawiony krzykliwym nagłówkiem - dzień wcześniej, 28 czerwca 1914 roku, w Sarajewie dokonano zamachu na następcę tronu Austro Węgier, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonkę. Odpowiedzialnością obarczono serbską organizację podziemną o patetycznej nazwie „Czarna Ręka”. Fernanda ogarnęło niedobre przeczucie, ale natychmiast je odepchnął. To, co robili Habsburgowie na Bałkanach, naprawdę nie miało dla niego znaczenia.

Nawet najbardziej dalekowzroczny i najmądrzejszy człowiek nie mógł w tym czasie przewidzieć, jaką reakcję łańcuchową wywoła zamach - i w konsekwencji ile milionów ludzkich istnień pochłonie.

## Rozdział Szósty.

Europejskie potęgi znajdowały się w stanie wojny. Ze sobą czy przeciw sobie, któż to mógł dokładnie powiedzieć? Każdego dnia, jak wydawało się Juju, zawierano nowe sojusze, przyjaciele okazywali się wrogami i na odwrót. O której to już wojnie bałkańskiej donosiły gazety? Kto miał w tym jeszcze rozeznanie? Były też inne wiadomości, bardziej jednoznaczne. Otwarto Kanał Panamski. Trzęsienie ziemi we włoskiej Abruzji jednego dnia zabiło trzydzieści tysięcy ludzi, a gruźlica w Portugalii w ciągu zaledwie dwóch lat niewiele mniej. Niejaki Albert Einstein rzekomo zrewolucjonizował fizykę, przedstawiając „ogólną teorię względności”, kobiety w Danii uzyskały prawo wyborcze. I zaczęło brakować szampana.

Wszystkie te doniesienia Juju przyjmowała obojętnie. Nie poruszył jej, a już na pewno nie przestraszył nawet widok umundurowanych mężczyzn na ulicach Paryża. Co prawda obecność wielu wojskowych, którzy za nią gwizdali i odprowadzali ją spojrzeniami, była ekscytująca, ale w gruncie rzeczy nieistotna. Mężczyźni bawili się w wojnę. Dla niej samej nie miało to większego znaczenia. Wstydziła się po cichu za swój brak zaangażowania, ale widziała po twarzach innych kobiet, że myślą podobnie. Podawane w gazetach liczby ofiar pozostawały anonimowe, dopóki nie zginął żaden krewny lub przyjaciel. A Juju nawet nie знаła nikogo, kto pociągnąłby na wojnę.

Portugalia opowiedziała się po stronie aliantów, ale nie brała bezpośredniego udziału w wojnie. Z Francuzów, których Juju poznała w Paryżu, żaden nie walczył. Studiowali, prowadzili interesy albo oddawali się wiecznemu próżniactwu. Było tak, jakby wyższe sfery zaprzeczały toczącą się wojnę. Tylko fakt, że zaczynało brakować pewnych luksusowych towarów, świadczył o tym, że poza miastem nie wszystko szło dobrze - ale to jedynie podnosiło wartość pasztetu z wątróbek gęsi lub wyszukanych win.

Po wybuchu wojny Juju natychmiast nakazano powrót do Alentejo. Nie żałowała wyjazdu z Francji. Był to przyjemny czas, w towarzystwie ciotki Juliany czuła się dobrze, zawarła kilka nowych, ciekawych znajomości. Niemniej cały pobyt w Paryżu wydawał się jej dziwnie pusty, jakby czegoś brakowało. Czego albo kogo, tego Juju nie umiała powiedzieć. Gdy w myślach wymieniała wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek coś dla niej znaczyli - rodziców, siostry, a także Fernanda - nie znajdowała nikogo, kto zdołałby wypełnić tę pustkę. Dlatego też nie mogłaby powiedzieć, że cieszy ją powrót do domu. Było jej całkowicie obojętne, gdzie przebywa.

Zmieniło się to natychmiast, gdy Juju wkroczyła do swego starego pokoju w Belo Horizonte. Dopiero tu uświadomiła sobie wyraźnie, jak zmieniły się czasy - i ona sama. Myśl ta przyszła nieoczekiwanie i doprowadziła ją niemal do łez. Ze wzruszenia? Melancholii? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że wyjechała jako głupia dziewczyna i wróciła jako młoda kobieta.

Zapach wykrochmalonej bielizny unoszący się w powietrzu pozostał ten sam - powiew lawendy, który przywołał wszystkie wspomnienia dawno minionych dni. Zatopiona w myślach Juju wodziła palcami po liniach, które wyryła niegdyś na biurku. Dwa splecione serca, w jednym krzywe inicjały JC, w drugim FA. Niepojęte, że zniszczyła w tym celu cenny sekretarzyk z wiśniowego drewna! Na ścianach wisiały reprodukcje rysunków kwiatów podpisane fachowymi botanicznymi nazwami. Mój Boże, dziś na pewno nie udekorowałyby tak pokoju. Musi też uprzątnąć półki z książkami, nadal stały tam szkolne zeszyty! Zasłony z wielkimi falbanami, zdobiony złotymi frędzlami blad różowy koszar, przemawiały teraz do Juju równie mało jak orientalny dywan czy obicie fotela stojącego w okiennej niszy.

Im dłużej rozglądała się po pokoju, tym bardziej opuszczał ją dziwny smutek, ustępując miejsca woli czynu, nie mniej niezrozumiałej. Dlaczego miałyby sprzątać i zmieniać wystrój pokoju, skoro i tak nie będzie tu długo mieszkać? Ledwie wróciła, rodzice jednak dali jej wyraźnie do zrozumienia, że jak najszybciej powinna wyjść za mąż.

Mimo to przyjemnie było znaleźć się znowu w domu. Juju zrozumiała, że tęskniła za tym wszystkim, tylko tego przed sobą nie przyznawała. Złote wzgórza, między którymi wznosiły się czerwone wieże kościoła, czy kwitnące pięknie na skraju drogi gęste krzewy oleandrów, o jakich parscy ogrodnicy nawet nie śmieliby marzyć - to była jej ojczyzna.

A korzenie te sięgały głębiej, niż dziewczyna wysokiego rodu z kosmopolitycznym wykształceniem chciałaby przyznać.

Juju często chodziła na spacer. Znacznie bardziej świadomie niż dawniej wdychała zapach ziemi, słuchała brzęczenia dzwonek na szyjach kóz i obserwowała przypominających rój owadów robotników okorowujących dęby. „Dąb musi mieć trzydzieści lat, żeby można go było pierwszy raz okorować. A potem trzeba znowu czekać dziewięć lat do kolejnych zbiorów”. Nadal brzmiały jej w uszach słowa Fernanda, który dawno temu tłumaczył jej, dlaczego korek jest tak cenny. Wiedziała to wszystko, ale nie ośmieliła się przerwać jego dumnej wypowiedzi. Co roku okorowywano inne drzewa, więc w każdym lesie stały zarówno te świeżo okorowane, pozbawione ochronnej powłoki i niemal nagie, jak i te, które po dziewięciu latach ponownie nosiły sękatą zbroję, czekając, aż skradną ją ludzie. To, czy drzewo nadaje się do okorowania, poznawano po cyfrze, jaką było oznaczone. Na przykład drzewo z wymalowaną wysoko białą farbą cyfrą „2” okorowano ostatnio w 1912 roku i dopiero w 1921 roku zostanie to zrobione ponownie.

W ulubionym zagajniku Juju rosły dęby najróżniejszej wysokości i z różnymi cyframi. Oznaczone szóstką miały być okorowane tego roku. Zdjęcie z nich kory wymagało wielkiej zręczności i siły. Robotnicy musieli tak ociosać drzewo siekierką, żeby kora dała się zdjąć w dużych, zaokrąglonych płatach, nie uszkodzając jednak pnia - no i samych siebie. Ciągle zdarzały się okropne wypadki.

Jednak to nie wycieczki po rodzinnej okolicy najbardziej radowały Juju. Ze zdumieniem spostrzegła, jaką przyjemność sprawia jej towarzystwo rodziny. O ile wcześniej despotyczny sposób bycia ojca uważała za uciążliwy, teraz chętnie z nim rozmawiała. W każdym razie gdy nie trwało to zbyt długo i nie przeradzało się w poważną dyskusję. Wtedy bowiem zaczynał odgrywać wszechwiedzącego i pouczać ją jak naiwne dziecko. Dawniej matka wydawała się jej sztywna, lecz dziś Juju podziwiała jej postawę. Jak na kobietę, która pochowała trzech synów w niemowlęctwie i wychowała pięć córek, była w godnej podziwu formie i roztaczała aurę wielkiej godności. Pozorną surowość Juju uważała za wyraz siły charakteru. Nawet Beatriz, choć nigdy nie łączyła ich bliska więź, nie sprawiała już wrażenia przemądrzałej starszej siostry, ale starej przyjaciółki, która miała z Juju wiele wspólnego. Dlaczego nigdy wcześniej nie zauważyła, że łączy je miłość do róż albo upodobanie do koloru zielonego?

Najmilej było po roku zobaczyć znowu Marianę. Co prawda razem z doną Clementiną i Beatriz przybyła z krótką wizytą do Paryża, ale nie miały tam zbyt wielu okazji do rozmów. Małe mieszkanie ciotki Juliany nie pozwalało na przyjmowanie większej liczby gości, toteż matka i siostry Juju mieszkały w hotelu.

Mariana nie zmieniła się zbyt wiele ani wyglądem, ani w zachowaniu, choć i ona spędziła rok za granicą. No, może wilgotne angielskie powietrze sprawiło, że jej delikatna cera stała się jeszcze bledsza, z czym było jej bardzo do twarzy. Tuż po powrocie Juju Mariana zasypała ją pytaniami o mężczyzn, modne przyjęcia i frywolne rozrywki, z których słynął Paryż. Juju musiała ją rozczarować.

- Widziałas przecież podczas swojej wizyty, jak tam żyłam - wciąż nadzorowana przez ciotkę Julianę, która niczym Argus pilnowała, żebym nie zadawała się z „niewłaściwymi” ludźmi. Kawalerowie, których uznawała za godnych, by mi towarzyszyć, okazali się samymi nudziarzami.

- Ach, Juju, nie bądź taka. Nie wierzę. Ciotka Juliana nie jest przecież dewotką... - Mariana cicho czknęła.

Ocena ta nie była zupełnie bezpodstawna. Juju również podejrzewała, że ciotka bardziej korzysta z wdowieństwa, niż to okazuje na zewnątrz, ale była przy tym wyjątkowo dyskretna. A w kwestii kontaktów Juju z mężczyznami wyznawała najwyraźniej zupełnie inne zasady.

- Możliwe. Jednak młodzi mężczyźni, których mi przedstawiała, naprawdę nie byli tacy, jak sobie wyobrażasz gorących francuskich uwodzicieli. Poza tym spotkania zawsze odbywały się w obyczajnych okolicznościach. Zapomnij o rewiach i podejrzanych spelunkach - nawet się do nich nie zbliżyłam. Zamiast tego musiałam w konserwatywnych salonach rozmawiać z tyłoma potencjalnymi teściowymi, że teraz miałabym największą ochotę na skromną, radosną wiejską uroczystość.

- Ach, Juju, ja też! Ale to jakieś przekleństwo - ta okropna wojna wszystkich w Portugalii wprawiła w taki dziwny nastrój, choć przecież nie mamy z tym nic wspólnego. Młodzi ludzie chmarami biegają do wojska, a święto z samymi tylko kobietami i starcami...

Juju chciała coś odpowiedzieć, ale Mariana natychmiast dodała:

- No cóż, ty i tak będziesz zajęta zabawianiem drogiego Ruiego. Mama zaprosiła rodzinę da Costów - chce wreszcie poważnie zabrać się do rzeczy.



- Ojejku! Kiedy przyjeżdżają?

- O ile wiem, Rui i jego rodzice przyjeżdżają pod koniec tygodnia. Jaki on właściwie jest? Poznałam tylko jego rodziców. Jeśli choć trochę ich przypomina, na pewno jest bardzo miły.

- Tak, jest miły. - Juju zamyśliła się na chwilę. Co mogła jeszcze powiedzieć o młodym człowieku, który po jej „bezsuktecznym” pobycie w Paryżu wydawał się najlepszą partią, choć widziała go dopiero dwukrotnie? Przy pierwszym spotkaniu, gdy zatrzymali się w Porto, początkowo była pozytywnie zaskoczona, jak atrakcyjny jest Rui - podejrzewała już, że może chodzić o wybrakowany towar. Ale nie, chyba po prostu niesporo mu było do żeniaczki. Z pewnością nie brakowało kandydatek, bo Rui okazał się przystojny i potrafił zabawić inteligentną rozmową. Juju od razu go polubiła. Podczas drugiego spotkania - przyjechał do Paryża w interesach - ujęły ją jego dowcip, obycie i aparycja. Jednak nigdy na myśl o nim nie miękły jej kolana. Był miły, przystojny, rozmowny. Nic więcej.

- Nie potrafisz o swoim przyszłym mężu powiedzieć nic więcej, tylko że jest miły? Doprawdy, Juju, to trochę mało.

- Po pierwsze - kto mówi, że go poślubię? Po drugie - czy jest ważniejsza cecha u mężczyzny niż bycie miłym? I po trzecie, nie wpytuj, tylko opowiedz mi, jacy są Anglicy.

- Weil... - zaczęła Mariana i obie siostry spędziły kolejne godziny, dostając jednego napadu śmiechu po drugim, ponieważ Mariana świetnie parodiowała manieri drobnej angielskiej szlachty.

Filomena i Rui da Costa przyjechali w sobotnie popołudnie. Byli wyczerpani po długiej podróży, a ich automobil - wyścigowy wóz marki Klein Duesenberg „Jimmy Junior” - całkowicie zakurzony po jeździe wyboistymi drogami. W Alentejo od tygodni nie spadł deszcz.

- Dona Clementina, senhor Carvalho, jak to miło, że w końcu się widzimy! - cieszyła się dona Filomena. - Mąż, niestety, zaniemógł, ale przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia. Mój Boże, popatrzcie państwo tylko na ten okropny automobil! Mój syn upiera się, że to wyjątkowy pojazd, ale mogę was zapewnić, że tylko wtedy, gdy nie jest się zmuszonym pokonać w nim trzystu kilometrów. A w dodatku z kierowcą, który chyba postanowił pobić wszystkie rekordy prędkości!

- O, biedna - współczuła dona Clementina. - Niech pani wejdzie,

odświeży się i wypije kawę, a zaraz lepiej się pani poczuje. Ale coś takiego... Dlaczego nie wybrali państwo wygodniejszego pojazdu albo nie przyjechali koleją?

- Niech się pani cieszy, że nie ma synów, moja droga! W kwestii techniki młodzi ludzie wpadają na pomysły, od których włosy stają na głowie. A jako matka jestem bezradna wobec takiej pasji.

Rui najwyraźniej odczuł trudy podróży mniej niż matka. Gdy wysiadł, ruchy miał zwinne, a policzki zaczerwienione jak po meczu tenisowym, który wygrał bez większego wysiłku. Jego ubranie wyglądało tak, jakby niedawno je włożył. Ani jeden pyłek czy zgniecenie nie szpeciło jasnej marynarki, która zdawała się pochodzić od najlepszego krawca z londyńskiej Savile Row. Również włosy młodzieńca, wypomadowane i gładko zaczesane, były w idealnym stanie. Obok matki, sprawiającej wrażenie nieco umęczonej, Rui przypominał młodego boga, na którego idealnym obliczu nie pozostają najmniejsze ślady upału, brudu czy fizycznego wysiłku.

Mariana wpatrywała się w Ruiego z otwartymi ustami, jakby chodziło o wyjątkowe zjawisko. Dopiero gdy zwrócił się do niej z powitaniem, odzyskała swą zwykłą bezpośredniość.

- Tak, mnie również bardzo cieszy, że wreszcie się spotykamy. Wiele o panu słyszałam - ale nikt nie powiedział mi, jaki jest pan przystojny.

Dona Clementina wywróciła oczami, Juju cicho westchnęła, Jose Carvalho rzucił córce miażdżące spojrzenie. Gościom ta uwaga zdawała się wcale nie przeszkadzać. Dona Filomena uśmiechnęła się do Mariany serdecznie, a sam Rui odpowiedział dyplomatycznie:

- Natomiast o pani urodzie opowiadano mi bardzo wiele. - Mariana zaczerwieniła się i w tym momencie rzeczywiście wyglądała porywająco.

Jednak już przy kolacji zdążyła zrewidować swoje pierwsze wrażenie na temat Ruiego. Rozmowa dotyczyła przede wszystkim wojny, ale ponieważ żaden z mężczyzn nie miał wiedzy wojskowej, prześcigali się nawzajem w wymyślaniu najbardziej wyrafinowanych planów bitew i realistycznych scenariuszy. Zarówno Jose Carvalho, jak i Rui da Costa reprezentowali przy tym stanowisko, że cel uświęca środki i nie chodzi o jedno ludzkie życie mniej czy więcej - w końcu większość biednych i głupich ludzi nadaje się tylko na mięso armatnie.

Mariana, która w pewnym momencie przestała uczestniczyć w rozmowie panów i wymieniała z paniami anegdoty o podróżach, tylko jednym uchem

śluchała dumnych wypowiedzi Ruiego. Ale i to wystarczyło, by zwróciła się do niego z oburzeniem.

- Jako znany bohater wojenny wie pan oczywiście, o czym mówi. Ale co pan zrobi, gdy zabraknie armatniego mięsa, by uprawiać pańskie winnice?

- Proszę mi wybaczyć, menina Mariana, jeśli nasza rozmowa uraziła pani delikatną kobiecą duszę. Obawiam się, że nie rozumiała pani podstawowych założeń. Długo musiałbym to pani tłumaczyć. Ale na pani uspokojenie mogę dodać, że nasi pracownicy nadal będą wiernie uprawiać winnice - Portugalia nie uczestniczy w wojnie.

- W dodatku - dodał Jose Carvalho - naprawdę nie jest to temat, który powinien interesować młodą damę.

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Mariana sądziła, że u Ruiego wynikało to nie tyle z męskiej solidarności, co z chęci przypodobania się ich ojcu. Wyraz oczu Ruiego zdecydowanie się jej nie podobał.

Juju w ogóle nie zauważyła wtrącenia się Mariany do rozmowy. Śmiała się na całe gardło z obserwacji, które poczyniła dona Filomena podczas podróży do Szwajcarii i które teraz, chichocząc, przytaczała. Przyszło jej do głowy, że dona Filomena i Mariana są do siebie podobne - obie cechowała otwartość, obie oddawały się przyjemnościom ciała i miały rozbijające poczucie humoru. Przez ułamek sekundy Juju myślała, że Mariana byłaby znacznie lepszą synową dla da Costów. Ale nie, wymuskany Rui z pewnością wolałby bardziej reprezentacyjną żonę.

Z drugiej strony ona sama zdawała się go pociągać niewiele bardziej niż Mariana lub inne damy. Zawsze był uprzejmy i wszystkim prawil zgrabne komplementy, nigdy jednak nie dał poznać, że Juju szczególnie mu się podoba. Może i jego rodzice naciskali na zawarcie korzystnego związku? Jakie tajemnice, zastanawiała się Juju, kryją się za gładką fasadą Ruiego?

- Najpiękniejszy widok - usłyszała słowa matki - roztacza się z werandy salonu. Jeśli pan zechce, Juliana pana zaprowadzi. To rzeczywiście wyjątkowy spektakl.

- Gdyby pani córka była tak uprzejma... - Rui spojrzał wymownie na Juju. Z jej pytającej miny odgadł, że nie wie, o czym mowa, więc wyjaśnił: - W mojej górzystej ojczyźnie rzadko ma się okazję obserwować naprawdę piękny zachód słońca. Za to tu - wskazał na lśniące różowe

kwiaty oleandru rosnącego przed oknem jadalni, które dosłownie żarzyły się w świetle ostatnich promieni słońca - można podziwiać ten widok do ostatniej sekundy. - Mówiąc to, odsunął krzesło. Dona Clementina skinęła zachęcająco na najmłodszą córkę.

- Tak, widok rzeczywiście jest czarujący. - Nic więcej nie przyszło Juju do głowy. Nie podejrzewała Ruiego o tak oczywisty manewr. Wstała i ruszyła do drzwi. Rui udał się za nią. Oboje zdawali sobie sprawę, że kierują się na nich wszystkie spojrzenia, zazdrosne spojrzenie Beatriz tak samo jak pełne nadziei dony Clementiny i sceptyczne Mariany. Juju miała ochotę udusić matkę. Z drugiej strony musiała się uśmiechnąć na myśl, że przykładająca tak wielką wagę do etykiety dona Clementina dopuściła, by jedna z jej córek choćby przez kilka minut przebywała bez nadzoru z młodym człowiekiem.

Gdy stanęli na werandzie, Rui rzucił Juju drwiące spojrzenie.

- Nasze matki łatwo przejrzeć, nieprawdaż?

- Owszem. Ale nie musimy grać w ich grę.

- Dlaczego zatem to pani robi? - Rui uniósł brew i zdawał się szczerze zaintrygowany odpowiedzią.

- Sądzę, że z tych samych powodów, dla których pan to robi. - Ale jakie mogły one być? Rozsądek? Dla obojga nadszedł już czas, by się związać i założyć rodzinę, w dodatku z towarzyskiego i ekonomicznego punktu widzenia małżeństwo przyniosłoby im same korzyści. Czy też chodziło o brak alternatywy? Juju w to wątpiła. Ona sama miała być może mniej adoratorów, niż w swoim przekonaniu powinna, ale w przypadku Ruiego sobie tego nie wyobrażała. Był mężczyzną. Mógł oddawać się uczuciom i namiętnościom bez ciągłego nadzoru matki czy ciotki. Poza tym jako człowiek o nieskazitelnym pochodzeniu, który pewnego dnia odziedziczy majątek, mógł sobie pozwolić na luksus małżeństwa z miłości. Dlaczego tego nie zrobił? Na pewno jakaś dziewczyna wypłakuje sobie teraz oczy, bo Rui zabiega o inną.

Wyglądał olśniewająco, gdy stał tak w czerwonym świetle zachodzącego słońca, z jedną dłonią w kieszeni spodni, a drugą w zamyśleniu dotykając podbródka. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał dalej zgłębiać drażliwy temat, ale potem wygiął usta w wąskim uśmiechu.

- Bardzo tu ciepło. Wejdzmy z powrotem do środka.

- O nie. Nasze matki nawarzyły piwa, więc teraz grzecznie będziemy podziwiać zachód słońca. Niech pan sobie wyobrazi ich rozczarowanie, gdybyśmy wrócili tak szybko.

Rui zaśmiał się cicho i skinął głową.

- Podoba mi się pani, menina Juliana.

Pan także mi się podoba, senhor Rui, pomyślała Juju.

Dwa dni później, gdy da Costowie wyjechali, Belo Horizonte wydało się Juju dziwnie osierocone. Posiadłość i okoliczne ziemie, gdy oprowadzała Ruiego, robiły wrażenie bardziej pełnych życia, malowniczych i romantycznych. Teraz, bez blasku, który nadawały im pełne podziwu okrzyki Ruiego, ponownie dojrzała ciemne strony - wysuszoną ziemię, zwiędłe liście, wyschnięte owoce na pędach winorośli.

Jeździła z Marianą konno po polach. Kilkaset metrów przed nimi samotny pasterz gnał żalosne stado bydła, które wzbijało ogromną chmurę kurzu i zostawiało po sobie mnóstwo krowich placków oraz blaszany dźwięk dzwonek.

- Ziemia niszczy - powiedziała Mariana. - Nie uważasz, że wszystko wygląda na nieco zaniedbane?

- Sądzę, że tak nam się tylko wydaje. We wspomnieniach widzimy barwny, różnorodny krajobraz. W rzeczywistości zawsze był surowy i monotony. - Juju nie wiedziała, czy powinna wierzyć we własne słowa. Może pamięć naprawdę płata jej figle. Możliwe również, że pobyt za granicą zmienił ich sposób widzenia. Reszty dokonała przedłużająca się susza, która ograbiła okolicę z upajających zapachów i intensywnych barw. Czy jednak Mariana nie ma racji? Wcześniej wszystko wyglądało na bardziej zadbane, choć obecnie tylko drobiazgi świadczyły o braku troskliwości - tu przewrócony płot, tam ułamana gałąź albo zardzewiała maszyna zostawiona za stodołą, gdzie zawsze węszyły bezpieczeństwa psy.

- Nowy zarządca chyba jest niewiele wart. Fernando radził sobie znacznie lepiej.

- Tak, ja też mam takie wrażenie - odparła Juju. Zdziwiła się, że Marianę w ogóle interesują podobne sprawy. Do niedawna jej siostra rozmyślała tylko o poezji i tragicznych powieściach.

- Szkoda, że odszedł, nie sądzisz?

A zatem stąd wiatr wieje! Nagle Juju zrozumiała, do czego dąży Mariana. Siostra wcale tak bardzo się nie zmieniła.

- Tak, przede wszystkim szkoda dla papy. - Juju kątem oka rzuciła Marianie ironiczne spojrzenie. Nie zamierzała wdawać się z tą dziecinną dziewczyną

w rozmowę o starej, niemal zapomnianej młodzieńczej miłości. - Ale dla Fernanda tak jest najlepiej.

- Możliwe. Jednak czy dla ciebie też jest najlepiej?

- Proszę cię, Mariano, co to ma znaczyć? Czy powinnam go była poślubić i nosić za nim na pole jego migas w korkowym uchwycie?

Oczy Mariany marzycielsko patrzyły w dal.

- To był cudowny mężczyzna - mądry, przystojny, odważny...

- Do licha, pójdź w klasztorze do „okna Mariany” i zrób, jak twoja imienniczka. Pocierp trochę i zastanów się, jak to możliwe, że jesteś na tym samym poziomie emocjonalnym co chora z miłości zakonnica z siedemnastego wieku. Ja w każdym razie nie uważam tego za normalne.

- Po pierwsze, nie sądzę, żeby w sprawach sercowych istniała duża różnica między siedemnastym a dwudziestym wiekiem. Po drugie, nie chodzi o mnie. Ach, Juju, byliście tak piękną parą!

- Nigdy nie byliśmy parą. Między nami nie zdarzyło się nic, o czym nie mogłaby się dowiedzieć mama. Byliśmy w sobie zadurzeni, tak, ale doprawdy, Mariano, byliśmy dziećmi!

- Nie byliście dziećmi. I nie tylko byliście w sobie zadurzeni - kochaliście się. Wiesz, Juju, zazdrościłam ci trochę z powodu siły waszych uczuć. Uważam za bardzo smutne, że tak się to musiało skończyć. Zawsze miałam nadzieję, że pokonacie wszelkie przeciwności losu. Dobrze, może to było z mojej strony naiwne. Ale fakt, że dajesz się zaślepić temu pyszałkowi Ruiemu, szczerze mówiąc, uważam za bardzo rozczarowujący.

- Przypominam ci, że to Fernando odszedł. Poza tym nie wiem, co masz przeciwko Ruiemu. Jest niezwykle miłym towarzyszem i...

- ...zupełnie nie ma charakteru. W przeciwieństwie do Fernanda. Ach, był taki wspaniały tego wieczoru, gdy przybiegł, żeby powiedzieć o zniknięciu samochodu. Pamiętasz jeszcze? Jak stanął w swoim prostym ubraniu w naszym wytwornym salonie, pachnąc pracą na polu i wyglądając jak prawdziwy mężczyzna?

Juju spojrzała na swoją pulchną siostrę i poczuła litość. Najwyraźniej była zakochana w Fernandzie.

## Rozdział Siódmy.

Była to zesłana przez Boga próba, w dodatku jedna z najtrudniejszych, jakie kiedykolwiek musiał przebyć. Czyż nie prowadził zawsze pobożnego życia, nie opierał się największym pokusom i nie czynił wszystkiego, co w jego mocy, by utrzymać pokój w parafii? Udało mu się ukazać interesy latifundios jako wspólne z interesami robotników, więc inaczej niż w wielu sąsiednich parafiach prawie nie było u niego wichrzycieli. Zawsze miał na uwadze dobro swoich owieczek i nic nie mogło zniszczyć sennej wiejskiej idylli. Dlaczego zatem dobry Ojciec Niebieski zesłał mu do domu tę dziewczynę?

Pięćdziesięcioletni padre Alberto jak na miary obowiązujące w Alentejo był już stary. Pan Bóg odebrał mu niemal wszystkie włosy na głowie oraz dobry wzrok, ale nie grzeszne myśli. A czy prawdziwą pociechą starości nie powinien być właśnie zanik cielesnych pragnień i jednocześnie przyrost mądrości, dobrotliwości i łagodności?

Ale najwyraźniej Bóg nie był wobec niego łaskawy. Padre Alberto przeżegnał się na tę heretycką myśl tylko po to, by zaraz dalej uzalać się nad swoim losem. Na szczęście Maria da Conceicao okazała się nie tylko najładniejszą dziewczyną w wiosce, ale także najcnotliwszą.

Gdy Conceicao w wieku siedemnastu lat zaczęła pracę na plebanii, wielu mieszkańców wioski, przede wszystkim dojrzałe senhory, wyrażało oburzenie. Nie było problemu, gdy księdzu prowadziła gospodarstwo starsza wdowa. Nawet gdy grzała mu łóżko, patrzono na to przez palce, o ile takie bezbożne czyny nie rzucały się w oczy. Ale niewinna jeszcze dziewczyna? To nie mogło być dobre. Skąd takie młode stworzenie miało wiedzieć, gdzie wyznaczyć granice księdzu oraz sobie i swojej gotowości do służby? Wszyscy w aldeia strzepili sobie języki na księdzu, któremu przypisywano niechrześcijańskie żądze. Mężczyźni z zazdrości, kobiety z oburzenia.

Maria da Conceicao zamknęła im usta. Dobrze zdawała sobie sprawę z tego, co myślą ludzie, i nie zamierzała dawać pożywki paskudnym plotkom. Sprawowała służbę wzorowo, a pomagały jej w tym najgorsze wioskowe plotkarki. „Dono Fernando, musi mnie pani koniecznie nauczyć, jak naprawić koronki przy nakryciu ołtarza - zabiegała o łaski u żony piekarza, a wdowę po bednarzu prosiła: - Tia Joaninha, będę zgubiona, jeśli nie zdradzi mi pani swojego sekretnego sposobu polerowania mebli!“. Kobiety natychmiast spieszyły z pomocą. Było dla nich zaszczytem móc dowieść przed księdzem swej gorliwości. Jednak jeszcze bardziej cieszyło je, że mogą na własne oczy sprawdzić, co się dzieje na plebanii. I nie znajdowały najmniejszych dowodów nieobyčajności. Bo i jak? Maria da Conceicao dbała o to, by wszystko toczyło się sprawnie jak w ulu - w rezultacie dom stał się pod każdym względem najporządniejszy w całej okolicy.

Maria dziękowała bratu za jego dalekowzroczność. Fernando przewidział, jak zareaguje otoczenie. Ostrzegał ją i upominał, jak ma się zachowywać. „Moja mała Conceicao - powiedział - ludzie zawsze przypisują innym wszystko, co najgorsze. Musisz być najlepsza, najcnotliwsza, najporządniejsza i najpilniejsza, żeby ich przekonać, że jesteś coś warta“.

Conceicao denerwował wtedy ojcowski ton brata, podobnie jak jego trwałe zwierzchnictwo i władczy sposób bycia. Dziś, w wieku dwudziestu jeden lat, zrozumiała, że jego rada była słuszna. Senhory z synami w wieku odpowiednim do żeniaczki zabiegały o Conceicao jako synową, choć wszystkie wiedziały, że posag będzie bardzo skromny. Dziewczyna była śliczna jak z obrazka, mądra, cnotliwa i pracowita, i już samo połączenie tych chwalebnych cech czyniło z niej dobrą partię. Ale Conceicao nie zależało na żadnym z kandydatów - ani im na niej.

Z wiekiem Maria da Conceicao stawała się coraz bardziej podobna z charakteru do starszego brata. Ona i Fernando byli ulepieni z tej samej gliny. Conceicao nigdy nie traciła na próżno słów. Nie zależało jej na rozrywkach, nie lubiła muzyki ani tańca. Wykazywała ambicję posuniętą do zaciętości. Ale gdy Fernandowi ta ambicja bardzo pomagała w karierze wojskowej, u Conceicao spowodowała religijność graniczącą z fanatyzmem. Chłopcy nazywali ją „świętą dziewicą Marią“. Z takim wzorem cnót nikt nie chciał się zadawać, choćby nie wiadomo jak piękna dziewczyna była.



Maria da Conceicao nie cierpiała z tego powodu. Pożądliwe spojrzenia księdza były wystarczająco okropne, Bóg wie, że nie pragnęła innych awansów. Chyba że od niego - ale na to mogła czekać całą wieczność. Musiała zabronić sobie marzeń o jedynym mężczyźnie, który znalazł drogę do jej serca. Edmundo był dla niej nieosiągalny.

On, jego rodzice i brat zjawili się w wiosce zeszłej zimy. Pękła im opona, a ponieważ była niedziela i wszyscy poszli na mszę, początkowo nie mogli znaleźć nikogo, kto usunąłby usterkę. Gdy mieszkańcy wyszli z kościoła, bardzo się zdziwili na widok rodziny zgromadzonej na środku wioski wokół samochodu - elegancka dama, niecierpliwie bębniąca palcami o dach samochodu, spocony pan, który sapiąc, oparł zapasowe koło o bok pojazdu, pulchny młody człowiek udzielający pomocy ojcu oraz drugi, wyjątkowo przystojny młodzieniec, stojący beczynnie z aroganckim uśmiechem. Edmundo.

Maria da Conceicao wciąż czuła dreszcz na myśl o chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Miał jasnobrażowe, faliste, dość długie włosy, szczupłą twarz o jasnych oczach, prosty nos, piękne, niezbyt pełne usta i starannie przyciętą brodę. Conceicao nie dawała się łatwo wyprowadzić z równowagi, ale na ten widok omal nie zemdląła. Mężczyzna wyglądał jak Zbawiciel! Oczywiście sam ten fakt nie byłby dla Marii da Conceicao wystarczającym powodem, by śmiertelnie zakochać się w młodzieńcu - syn szlifierza, gdy występował w przedstawieniach pasyjnych, też wyglądał jak Jezus Chrystus. Jednak nieznajomy pokazał, że również jego czyny odpowiadają czynom świętego, a nie zwykłego śmiertelnika - zdjął elegancki wełniany płaszcz i narzucił go na ramiona przemarzniętemu chłopcu. Dokładnie jak Sao Martinho! Cóż znowu, lepiej! Święty Marcin w końcu tylko podzielił się płaszczem, a ten cudowny człowiek oddał całe swoje okrycie.

Każdy, kto był świadkiem tej sceny, mógłby wytłumaczyć Marii da Conceicao, że młody panicz nie oddał płaszcza z miłości bliźniego, lecz ze wstrętu. Tuż przedtem - czego Maria nie zauważyła - skoczył na niego zabłąkany pies i na jasnoszarym wełnianym materiale zostawił paskudne plamy. Nikt jednak nie rozmawiał o tym zajściu z Conceicao, a nawet gdyby tak się stało, nie przestałaby uwielbiać pięknego mężczyzny. Zmienność nie leżała w jej charakterze. Potrafiła być równie uparta jak Fernando.

\* \* \*

Wypadek rodziny Soares Pinto, która w drodze z Lizbony do Albufeiry musiała zatrzymać się w małej wiosce pod Beja, miał dramatyczny wpływ nie tylko na stan ducha Marii da Conceicao.

Gdy pewien zdolny rzemieślnik określił czas trwania naprawy na kilka godzin, padre Alberto osobiście zawiózł nieznanym do Carvalhów. Padre wiedział, że ma do czynienia z ludźmi z wyższych sfer, a tych w żadnym wypadku nie należało traktować opryskliwie. Przytomnie zaproponował, żeby spędzili czas oczekiwania w Belo Horizonte, gdzie z pewnością zostaną godnie przyjęci. Czy miał ich zostawić w tawernie lub wręcz w nieogrzewanym kościele? Nie do pomyślenia! Mimo to po drodze pojawiła się w jego głowie niepokojąca obawa, że sprytny pomysł może okazać się głupotą, i to nie tylko dlatego, że przybysze wyraźnie męczyli się na podskakującym wozie. Znacznie ważniejsze było, co powie patroa na niespodziewaną wizytę w niedzielne popołudnie, gdy jak zwykle po posiłku zapadał w długą drzemkę, której nie wolno mu było przerywać.

Obawy padre okazały się bezpodstawne. Kuta żelazna brama zawieszona na dwóch białych murowanych słupach stała szeroko otwarta. Na starannie pomalowanych azulejos widniała nazwa posiadłości, „Cjuinta do Belo Horizonte”. To wywrze na obcych dobre wrażenie, pomyślał padre Alberto. Tuż przed nimi ciągnął się podjazd do domu, dzięki deszczowi, który spadł poprzedniego dnia, nie tak zakurzony jak zwykle. Nawet krzewy jaśminów wzdłuż drogi lśniły niczym świeżo umyte. Dobry znak.

Dona Clementina nie dała po sobie poznać zaskoczenia.

- Ależ tak, padre, to była mądra decyzja z księdza strony. Cenię sobie takich ludzi, ludzi czynu! - Zaprosiła gości do środka, zaproponowała napoje, po cichu zadbała o dolanie zupy i dostawienie dodatkowych czterech nakryć, a przy tym wszystkim nie omieszkała otaksować przybyłych od stóp do głów. Nie można przecież każdego nieszczęśliwca podejmować obiadem, w dodatku tak wspaniałym lombo de porco, jaki mieli dziś w jadłospisie. Jednak rodzina Soares Pinto celująco zdała pierwszy egzamin. Tak samo jak wszystkie kolejne - u pana domu i trzech obecnych córek.

Szybko odkryto, że rodziny łączy podobny styl życia i światopogląd, że susza poprzedniej jesieni przysporzyła poważnych strat również w Algarve, że synowie jednych, podobnie jak córki drugich zdobyli świetne wykształcenie. Dona Clementina cieszyła się z odmiany w codziennej rutynie.

Goście byli kulturalni i powściągliwi, a obecność dwóch młodych mężczyzn stanowiła niespodziewanie szczęśliwy przypadek. Może któryś z nich zainteresuje się nawet Beatriz?

Jednak stało się tak jak zawsze. Przystojniejszy z obu braci, Edmundo, patrzył tylko na Juju, natomiast drugi, Octavio, intensywnie emablował Marianę. Co kilka minut z werandy, gdzie młodzi ludzie przy filiżance czekolady rozkoszowali się łagodnym zimowym słońcem, dochodził beztroski śmiech Mariany. Beatriz nie dołączyła do grupy. Sprawiała wrażenie nie tyle zranionej, bo znowu żaden mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi, ile raczej zadowolonej, że nie musi spędzać czasu z tak niegodnymi towarzyszami.

Gdy mieszkaniec wioski zjawił się na Monte z radosną wieścią, że automobil nadaje się do dalszej jazdy, zarówno Carvalhowie, jak i Soares Pintowie wydawali się dość rozczarowani. Popołudnie okazało się dla wszystkich nieoczekiwanie przyjemne. Padre Alberto zmówił cichą modlitwę. Dobry Bóg zesłał mu świetny pomysł - co z pewnością nie zaszkodzi jego opinii u patrao.

Kilka dni później nadarzyła się wreszcie okazja, której Maria da Conceicao tak pragnęła. W wiosce zjawiła się jedna z córek Carvalhów, by przynieść posiłek przykutej do łóżka donie Luisie, która niegdyś pracowała jako służąca w Belo Horizonte. Charytatywna działalność młodych dam ograniczała się do przynoszenia resztek pieczeni lub starych biscoitos - natomiast chorym, którzy nie mieli krewnych, najczęściej Mariana przytrzymywała basen lub zmieniała śmierdzące opatrunki. Nawet się z tego powodu nie oburzała. Taki już był boski porządek świata. A ona podważała go tylko w jednej jedynej kwestii.

- Menina Mariana, jak dobrze, że panienkę tu spotykam - powiedziała pokornym tonem, gdy dziewczyna weszła do izby dony Luisy. - Nie chcę panience przysparzać kłopotu, ale mogłaby mi panienka wyświadczyć wielką przysługę.

Mariana spojrzała pytająco na młodszą o kilka lat dziewczynę, lecz nic nie powiedziała. Maria da Conceicao poczuła się niepewnie, ale teraz nie miała już odwrotu.

- A więc tak - niedawno byli w wiosce ci ludzie, ci z przebitą oponą. A potem pojechali do państwa. I pomyślałam sobie... - Conceicao przełknęła. Nie, będzie musiała zacząć od początku. - Więc jest tak, że jeden

z tych młodych panów zgubił guzik od mankietu, ten szczuplejszy z nich. Chciałabym mu go odesłać, to znaczy, może nawet dostanę znaleźne, guzik wygląda na wartościowy. - Odchrząknęła. Całe kłamstwo wydawało się teraz tak niewiarygodne, tak oczywiste, że zaczerwieniła się ze wstydu.

- Ależ nie musisz się czerwienić! Oczywiście pomogę ci. Daj mi po prostu guzik, dopilnuję, żeby trafił do senhora Edmunda. Na pewno odpowiednio wynagrodzi twoją uczciwość.

Na Marię de Conceicao wystąpiły zimne poty. Znała teraz imię młodego człowieka, ale znalazła się w położeniu, z którego nie widziała wyjścia. O Boże, i na co jej było kłamać!

- Nie, menina Mariana, w żadnym wypadku nie chcę panience zawracać głowy. Sama odeślę zgubę. Nie mam tylko adresu. - I pieniędzy na znaczek, pomyślała.

- Cóż, jak uważasz. Ja też nie pamiętam adresu, ale przy okazji ci go przyniosę. - Mariana była nieco urażona. Czy dziewczyna jej nie wierzy? Czy sądzi, że Mariana po prostu chce zachować guzik? Ale nie, to niemożliwe. Przyjrzała się Marii ze zmarszczonym czołem, aż zwyciężyła w niej dobra wiara. I coś przyszło jej do głowy. - Powiedz, nie jesteś czasem siostrą Fernanda Abrantesa?

- Tak, menina Mariana, jestem.

- Jak mu się powodzi? Nie mieliśmy o nim wiadomości, odkąd odszedł.

- Och, bardzo dobrze, menina Mariana, dziękuję. Uczy się teraz na pilota.

- Co ty powiesz! No cóż, zawsze lubił sobie polatać, prawda? - Mariana zachichotała z własnego dowcipu, a Maria da Conceicao uznała za stosowne okazać rozbawienie, choć właściwie uwaga nie wydała się jej śmieszna.

- Nie należy łamać praw Stworzyciela - rozległ się nagle skrzeczący głos dony Luisy. - Tylko ptaki i owady umieją latać i na tym należałoby poprzestać.

- Amen - wyszeptała Mariana tak, by staruszka jej nie usłyszała, i mrugnęła do Marii da Conceicao. Tym razem wesołość dziewczyny była prawdziwa i wspólny przytłumiony śmiech pozwolił im nawiązać bliższą więź niż jakakolwiek długa rozmowa.

Obiecały sobie, że zobaczą się ponownie i wymienią pożądane informacje - Mariana prosiła o adres Fernanda - po czym panna Carvalho

kazała woźnicy zawieźć się do domu. Jego usługi rzadko były teraz potrzebne, stary Joao najczęściej pomagał w ogrodzie. Mimo to na krótsze przejażdżki Mariana wołała wybierać się sfatygowanym powozem niż automobilem. Twierdziła, że to dlatego, iż nie chce wzbudzać w aldeia niepotrzebnej sensacji, w rzeczywistości jednak konny zaprzęg napawał ją mniejszym lękiem niż głośno warczący, plujący czarnym dymem pojazd. Nowoczesna technika wzbudzała w Marianie strach, lecz ona nigdy by się do tego nie przyznała.

Dlatego ucieszyła się, że nikt poza starym Joao nie widział, jak zbladła, gdy tuż nad ich głowami przeleciał samolot. Skrzydła mocno się chwiały i Mariana była pewna, że zaraz na nią spadnie. Przeżegnała się i skuliła. Niesamowity widok - musiał to być pierwszy raz, gdy jedna z tych nowoczesnych maszyn pojawiła się nad Alentejo - woźnica przyjął z większym opanowaniem. Patrzył w niebo i ciekawym spojrzeniem śledził każdy ruch budzącego lęk samolotu. Uspokoił spłoszone konie, wstał z kozła i pomachał.

- Wygląda to tak, jakby ptak nas witał - wyjaśnił, ukazując w uśmiechu brązowe zęby. Potem znów usiadł i skoncentrował się na powożeniu.

Marianie odjęło mowę, ale nie z powodu szalonego zbiegu okoliczności, który sprawił, że Fernando właśnie dziś, gdy o niego pytała, przelatywał nad rodzinnymi stronami - bo nie miała wątpliwości, kim był pilot. Nie, Marianę najbardziej zdumiało, że stary Joao sam z siebie się do niej odezwał.

W Belo Horizonte nie mówiono o niczym innym, jak o niesamowitym spektaklu, który zaobserwowano tego dnia na niebie. Każdy chciał być najlepiej poinformowany, każdy próbował prześcignąć innych w niewiarygodnych szczegółach. Nawet mało rozmowni ludzie, na przykład nowa kucharka Maria do Ceu, nagle stawali się elokwentni, ponieważ musieli jakoś wyrazić swe zaskoczenie i fascynację. Maria do Ceu przypadkiem była właśnie w tym czasie w ogrodzie warzywnym - w przeciwieństwie do służącej Anunciacao, która niczego nie widziała, ale opowiadała najniezwyklejsze historie. „I jeszcze pokiwał głową, jakby chciał mnie pozdrowić!” - wołała, co głęboko zaimponowało pozostałym służącym.

W salonie spekulacje trzymały się rozsądnych granic. Samoloty istniały już od dłuższego czasu i człowieka światłego lotnictwo właściwie

nie powinno napawać strachem. A jednak nadal tak było. Oczywiście największy autorytet w tej dziedzinie przyznano jednemu mężczyźnie w domu, Josemu Carvalho. Juju miała poważne wątpliwości, czy ojciec kiedykolwiek choćby widział samolot z bliska. Podobnie jak ogół po cichu uważał latanie za rodzaj czarodziejskiej sztuczki, podczas której działy się nienaturalne rzeczy. Ale czyż tak samo nie myślano na początku o kolei, samochodach, telefonie, zeppelinach i kinematografie? Zapewne wszystko opierało się na prostych zasadach fizyki - o których, niestety, nie mieli pojęcia. Ale przed córkami i żoną Jose Carvalho nie mógł sobie pozwolić na popieranie zabobonów.

Marianie udało się do końca zachować najciekawszy szczegół dla siebie, ponieważ nieprzerwanie podjadała ciasto. Uśmiechnęła się, gdy wszyscy zastanawiali się głośno, co mogło skłonić pilota do przelotu nad ich okolicą.

- Z pewnością chciał zaimponować swojej ukochanej - snuła przypuszczenia dona Clementina.

- Babskie gadanie! - zagrział Jose Carvalho. - To był lot rozpoznawczy, z powodu wojny.

- A cóż miałyby rozpoznawać? Ile w okolicy rośnie dębów korkowych? - wyrwało się Beatriz, czym ściągnęła na siebie wściekłe spojrzenie ojca.

- Ja wiem, kim był pilot - odezwała się wreszcie Mariana. - Wiem, jak się nazywa, i znam powód, dla którego tu przyleciał.

Jej ton sprawił, że wszyscy zamilkli.

Mariana spojrzała znacząco na twarze rodziców i sióstr.

- No mów! - zawołała Juju. - Tylko niech to nie będzie znowu wytwór twojej romantycznej wyobraźni!

- Nie będzie, chociaż może... - Mariana jednak się powstrzymała. Nie mogła mieć pewności, czy machanie skrzydłami skierowane było do Juju. To nawet mało prawdopodobne.

Na pewno chodziło o siostrę, o której Fernando wiedział, że mieszka w aldeia, podczas gdy zapewne nie miał pojęcia o miejscu pobytu Juju.

- Mariano, proszę cię, skarbie. Nie torturuj nas dłużej! - Dona Clementina, lekko zaniepokojona własnym zachowaniem, użyciem czułego zwrotu oraz okazaniem ciekawości, wyprostowała ramiona, odsunęła paterę z ciastkami dalej od córki i odchrząknęła. - Czy byłabyś tak dobra i wtajemniczyła nas w ten sekret? Oczywiście jak tylko dokończysz keks.

- Fernando Abrantes! - wykrzyknęła Mariana, nim przełknęła kęs.  
- Ten niewierny, niewdzięczny zarządca? Nie mówisz poważnie! - Jose Carvalho był oburzony.

- Tak, przysięgam. Oczywiście nie widziałam go w tym dwupłatowcu, ale to mógł być tylko on. Jego siostra, wiecie, ta dziewczyna od padre Alberta, właśnie mi dziś opowiadała, że jej brat został pilotem.

Wszyscy zaczęli mówić jedni przez drugich. Żadnego członka rodziny wiadomość nie pozostawiła obojętnym. W Josem Carvalho obudził się rodzaj ojcowskiej dumy, tak jakby młody Abrantes tę godną podziwu karierę zawdzięczał wyłącznie jego poparciu i protekcji. Dona Clementina czuła się dotknięta - uważała za niestosowne, że syn chłopca w tak zuchwały sposób wyrwał się ze swojego miejsca w świecie. Beatriz uniosła brew:

- Zawsze chciał zająć wysoko. Ale kiedyś głęboko spadnie. Mariana jako jedyna naprawdę cieszyła się ze względu na Fernanda.

- O co wam chodzi? To wspaniale, gdy ktoś o własnych siłach zapewnia sobie lepsze życie. A ty, Juju, tak nie uważasz?

W głowie Juju tłoczyły się sprzeczne myśli, obrazy i wspomnienia. Długo już nie myślała o Fernandzie, a teraz nagle stał się tak obecny, jakby właśnie wszedł do pokoju. Na jej serce padł cień i chyba dopiero teraz dotarła do niej smutna pewność ostatecznej straty. Jednak udało się jej ukryć uczucia. Oficjalnie, niż zamierzała, odparła:

- Tak, oczywiście. Nawet jeśli nie pochodzi z naszej klasy, to przyszedł na świat w Alentejo. Widać, jakie skarby rodzi nasza ziemia.

- Ale twoim skarbem już nie jest - wyszeptała siostrze na ucho Beatriz.

- Właśnie tak! - zahuczał ojciec, który nie usłyszał ostatniej uwagi. - Mężczyźni z Alentejo są wyjątkowi.

Dona Clementina musiała się powstrzymać, by nie przypomnieć mężowi, że to nie on jest śmiałym pilotem. W ogóle cała rozmowa bardzo się jej nie podobała. Czy wszyscy poza Beatriz postradali rozum? Carvalhowie nie powinni okazywać podziwu dla młodzieńca tak niskiego pochodzenia, obojętne, czego by dokonał. Musiała jak najszybciej zmienić temat.

- Mężczyźni znad Douro są równie wyjątkowi. - Uśmiechnęła się czarująco do najmłodszej córki. - I sądzę, że Rui okaże się wspaniałym zięciem.

- O ile kiedyś poprosi o rękę Juju... - powiedziała cicho Beatriz, ale usłyszeli to wszyscy.

- Do diabła, czy wam o tym nie mówiłem? - poderwał się ojciec. - Rui rozmawiał ze mną w zeszłym tygodniu w Lizbonie. Sądzę, że nie ma wątpliwości co do treści tej rozmowy. I co do mojej odpowiedzi też nie. - Poglaskał dłoń Juju i spojrzał czule na córkę, jakby dopiero teraz, gdy zbliżało się pożegnanie, zrozumiał, jak bardzo ją kocha. Odwzajemniła jego spojrzenie wzruszeniem ramion.

- Pięknie, że dogadaliście się co do sprzedaży. Dziwne, że zechciałeś poinformować o tym także towar...

- Juliano, nie udawaj urażonej! - wtrąciła dona Clementina. - Dałaś nam wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że chcesz go poślubić. Nie jesteś szczęśliwa?

- Tak. - W głosie Juju nie było ani śladu euforii.

- No właśnie. Ach, dzieci, ależ się cieszę! Od tak dawna pragnęłam tu znowu wydać piękne przyjęcie zaręczynowe!



## Rozdział Ósmy.

Życzenie dony Clementiny spełniło się kilka miesięcy później - choć nie za sprawą Juju.

Zaręczyny Mariany świętowano w sobotę podczas karnawału 1916 roku. W posiadłości było wtedy mniej pracy niż w innych porach roku. W dodatku większość zamożnych Portugalczyków została w kraju, nie tyle z powodu wojny, ile dlatego, że luty i marzec w północnych częściach Europy przynosiły wyjątkowo brzydką pogodę. Data sprzyjała zatem przybyciu jak największej liczby gości.

A tego chcieli Jose i Clementina Carvalho. Ich córka nieoczekiwanie miała zrobić dobrą partię, na którą już przestali liczyć. Niepostrzeżenie dla wszystkich rozwinął się listowny romans między Marianą a synem właściciela ziemskiego z Algarve, który wieki temu pojawił się u nich z powodu przebitej opony. Choć Octavio nie był pierwszy w kolejności do spadku, pewnego dnia będzie niezwykle bogaty - i spodobała mu się właśnie ich mała pulchna Mariana. Z pewnością był to powód do świętowania! Dla dony Clementiny kolejny, choć w zasadzie drugorzędny powód do radości stanowił fakt, że Mariana była w młodzieńcu bardzo zakochana - a on w niej. Ze wzruszeniem patrzyło się, jak ukradkiem trzymają się za pulchne dłonie, rzucają sobie zawstydzone spojrzenia i jak oboje czerwienią się, gdy rozmowa schodzi na temat małżeńskich obowiązków lub innych pikantnych spraw. Octavio był okrągłym chłopcem o bardzo ładnych rysach twarzy, a gdyby zgubił dziecięce wałeczki, z pewnością stałby się przystojnym mężczyzną. Oczywiście zakładając, że w przyszłości Mariana zrezygnuje z podawania ciągle swych ulubionych, sycących potraw.

Po długim czasie rodzina Carvalho ponownie spotkała się w komplecie. Niewiele się zmienili. Joana była już matką czworga dzieci, jednego bardziej rozpieszczzonego niż drugie, ale zachowała zgrabną figurę i prezentowała się

elegancko i dystyngowanie. Zawsze taka była, pomyślała dona Clementina. Czy dlatego, że przyszła na świat pierwsza? Czy pozycja zajmowana w rodzinie tak bardzo wpływała na ludzi, że zachowywali ją do końca życia? W rodzinie swego męża Gustava Joana pod żadnym względem nie miała wyjątkowego miejsca. Nie była pierwszą synową ani pierwszą kobietą, która obdarzyła hrabiego da Silva Barbosę wnukami. Nie była najstarsza ani najmłodsza, nie najpiękniejsza i nie najbrzydsza, nie najmądrzejsza i nie najgłupsza. Jednak widząc ją, można by pomyśleć, że jest królową. Jej wyprostowana postawa, wyszukany strój, arystokratyczne rysy i wyjątkowy sposób bycia - z tego wszystkiego przemawiała pewność siebie, właściwa tylko pierworodnym. Dona Clementina była bardzo dumna z Joany.

Za to Beatriz przysparzała jej zmartwień. Dlaczego nie interesował się nią żaden mężczyzna? Czy żaden nie dostrzegał zalet dziewczyny? Była mądra, zdyscyplinowana i odpowiedzialna, a zatem wykazywała cechy konieczne dla żony latifundiaris. I nawet jeśli nie grzeszyła urodą, to miała bardzo ładną figurę, cudowne jedwabiste czarne włosy i idealne białe zęby. Jeżeli umiało się właściwie odczytać jej szorstki sposób bycia, można w niej było dostrzec kobietę, która zostałaby bardzo oddaną żoną i matką. Ale wszyscy synowie z okolicznych montes pozostawali ślepi. Młody Carlos wolał poślubić głupiutką, infantylną laleczkę z Tras os Montes, której jedyną wyraźną przewagą było to, że bezwstydnie paradowała w głęboko wydekoltowanych sukniach. Natomiast Manuel wolał celibat od małżeństwa z Beatriz. Czas uciekał. Dziewczyna niedługo skończy dwadzieścia siedem lat. A jeśli nie znajdzie męża? Wtedy, myślała sobie dona Clementina, w domu zostanie przynajmniej jedna córka, która zatroszczy się o nich, gdy będą starzy i słabi. Czuła się jednak winna z powodu tak egoistycznego nastawienia.

Isabel małżeństwo ani trochę nie zmieniło. Nie miała dzieci, co dona Clementina przypisywała temu, że Isabel prawdopodobnie postarała się o osobne sypialnie. Znała swoją córkę i jej perfidne metody pozyskiwania korzyści materialnych. Mogłaby się założyć, że oddaje się mężowi i spełnia małżeńskie obowiązki tylko wtedy, gdy ten uszczęśliwi ją nową perłową kolia lub diamentową broszką. Jednak Isabel musiała być ostrożna - jeśli pozostanie bezdzietna, majątek rodziny Saramago mogą odziedziczyć bękarty - a jak przypuszczała dona Clementina, Raimundo spłodził więcej niż dość pozamałżeńskich dzieci. Jej zięć był notorycznie niewierny, co podpowiadał jej wyczulony przez lata instynkt.

Po uroczystości musi się pomodlić za Isabel, Jose zaś powinien pomodlić się za Raimunda, który tak bardzo go przypominał i którego zapewne dlatego lubił.

Mariana i Octavio rozpoczęli tańce. Byli czarującą parą i nikt z niemal stu gości nie mógł oderwać od nich wzroku. Zdumiewające, jak lekko i uroczo młodzi poruszali się po parkiecie! Stopili się w idealną jedność, więc ich kształty nie wyglądały już na zbyt pełne, lecz na miękkie, krągłe i bardzo harmonijne. Serce dony Clementiny radowało się. Wkrótce z tego związku pojawią się dzieci, śliczne, pyzate, miłutkie wnuki, zupełnie inne niż dziwnie zdystansowane i przemądrzałe dzieci Joany. Jeśli umiejętnie się do tego zabierze, może uda się jej nawet sprawić, że Mariana i Octavio zostaną w Belo Horizonte - ktoś przecież musiał się zatroszczyć o dobro posiadłości - a wtedy ona, dona Clementina, będzie mogła do woli rozpieszczać małe wesołe mopsiki!

Juju także uśmiechała się na widok siostry tańczącej z narzeczoną. Bardzo cieszyła się szczęściem Mariany. Nareszcie romantyczna historia z radosnym zakończeniem - inaczej niż w powieściach, które tak chętnie czytywała siostra. Octavio podzielał zamiłowanie Mariany do literatury, co także stanowiło dobrą zapowiedź harmonijnego pożycia.

- Chodź, moja piękna. Zatańcz ze mną. - Rui nie czekał na odpowiedź. Objął Juju w talii i pociągnął na parkiet. Kapela grała polkę. Z przyjemnością dała mu się poprowadzić. Rui był utalentowanym tancerzem, poruszał się z temperamentem i wykonywał z Juju artystyczne figury, które nie wychodziły jej z żadnym innym mężczyzną. Naprawdę miło było obracać się w mocnym, ale nie duszącym objęciu Ruiego. Dzięki temu mogła się skoncentrować na innych sprawach. Na przykład na własnym szczęściu. Czy odnajdzie je u boku Ruiego? Z pewnością był to wyjątkowo przystojny mężczyzna o gładkim obejściu, nienagannym pochodzeniu i wielce obiecującej przyszłości. Miał liberalne poglądy, które nie podobały się ojcu Juju, ale bardzo przemawiały do niej samej. Był też wyjątkowo szarmancki i dowcipny. Juju odnosiła jednak wrażenie, że jego dowcip świadczy o pewnym cynizmie i duchowej oziębłości. No cóż, nie można mieć wszystkiego, prawda? A Rui to zdecydowanie najatrakcyjniejszy adorator, jaki ubiegał się o nią w ciągu tych wszystkich lat. Poślubi go - i najprawdopodobniej do końca swoich dni będzie z nim prowadzić satysfakcjonujące i dające wiele zadowolenia życie. Bez wątplenia uszczęśliwi tym swoją matkę. Juju spojrzała przelotnie na donę Clementinę, która stała na skraju parkietu i której

twarz wyrażała zachwyty. Matka wyglądała tak, jakby sama była zakochana w Ruim.

Dona Clementina obserwowała swoją najmłodszą córkę i jej narzeczonego. Tak, dobrze do siebie pasowali. Oboje byli mądrzy, piękni i dumni. Z pewnością nie będzie to łatwe małżeństwo, ale przynajmniej nie nudne. Ona sama uważała, że Rui jest zniewalający. Oczywiście od dobrego zięcia oczekiwała innych cech takich jak zamożność czy dobre obyczaje i wierność, ale nie umiała się oprzeć urokowi Ruiego. W swoich szytych na miarę garniturach i z równo przyciętymi wąsami stanowił rozkosz dla oczu. Dla córek dona Clementina była może stara i zwiędła, a dla mężczyzn nieatrakcyjna, lecz Rui głębokim spojrzeniem szarych oczu potrafił wzbudzić w niej uczucie, że jest znowu młoda i godna pożądania. Okazał się niezrównanym pochlebcą, co mogło stać się cierniem w oku przyszłej żony. Ale jeśli jakaś kobieta potrafi go okiełznać, to Juju. Poza tym nie ma sensu łamać sobie teraz głowy ich potencjalnymi problemami małżeńskimi. Wyjątkowo korzystne okoliczności skłaniające do zawarcia tego małżeństwa nie zostawiały miejsca na wątpliwości.

O ósmej podano posiłek. Ustawiono trzy długie stoły, jeden w jadalni, jeden w salonie i jeden na werandzie, gdzie dzięki małym piecykom węglowym było ciepło i przytulnie. Dla łącznie około dwadzieścioro dzieci na starym strychu na siano przygotowano rodzaj szwedzkiego stołu. Dzieci z radością uciekły od nudnych rozmów dorosłych, którzy z kolei cieszyli się, że mogą na chwilę odpocząć od biegania, krzyków i wrzasków.

Stoły nakryto najlepszymi adamaszkowymi obrusami, porcelaną z Sevres i srebrem. Zdobily je wielkie bukiety kwiatów i wspaniałe świeczniki. Przy każdym miejscu leżała przewiązana złotym sznurem karta z czerpanego papieru, na której ozdobnymi złotymi literami wypisano kolejność dań - przy czym dona Clementina niemal dokładnie powieliła menu, jakim przed laty rozkoszowała się na paryskim przyjęciu. Na początek podano consomme madrilene, jako właściwą przystawkę foie gras de canard, następnie filety z soli, w przerwie sorbet z marakui, potem medaliony z dzika w panierce migdałowej, a wreszcie rozmaite desery i gatunki sera. Na kartach widniały również wina i niektóre z dostępnych spirytualiów - znalazły się tam sauternes chateau

caillou, chablis z wyjątkowego rocznika 1915, chateau latour z 1911 roku, armagnac od Gelas & Fils, wyszukane porto oraz najlepsze barbe ito madeira. Cóż ich obchodziła szalejąca za granicą wojna? Dopóki istniały drogi i sposoby, by ominąć trudności z zaopatrzeniem, należało z nich korzystać. Żyje się tylko raz.

Juju siedziała między Ruim a przybyszem z Lizbony, którego ledwo знаła i którego nazwisko wyleciało jej z pamięci. Wstydziła się z tego powodu, zwłaszcza że mężczyzna każdą skierowaną ku niej wypowiedź uzupełniał słowami „mademoiselle Juliana”, i to już od ponad dwóch godzin. Byłoby z jej strony bardzo nieuprzejmie nie zwrócić się do niego po nazwisku.

- Proszę powiedzieć, mademoiselle Juliana, czy pani też trafiła na Sorbonę? Jak podobały się pani tamtejsze święte przybytki uczoneści?

Juju uśmiechnęła się uprzejmie.

- Och, studiowałam tam nawet dwa semestry. Oczywiście tylko jako wolna słuchaczka. Było to wielce interesujące. Za szczególnie pouczający uznałam fakt, że młodzi panowie, dla których moja obecność najwyraźniej stanowiła powód do wesołości, nie byli ani trochę mądrzejsi ode mnie. - Nie zamierzała tak szorstko potraktować miłego, ale mało ciekawego pana. Jednak jego mina zdradzała, że właśnie to udało się jej osiągnąć.

- Na miły Bóg, mademoiselle Juliana, nie należy pani chyba do tych okropnych kobiet, które żądają dla siebie takich samych praw, jakie mają mężczyźni?

- Oczywiście, że tak, mój drogi senhor Cunha - wtrącił się Rui. - Juliana jest gorliwą zwolenniczką prawa wyborczego dla kobiet i wielbicielką doutory Caroliny Beatriz Angelo.

- Tej lekarki z Lizbony, która wniosła nawet sprawę do sądu, żeby móc głosować? Na miły Bóg, mademoiselle Juliana, ta osoba jest całkowicie pomyłona. Dama z wyższych sfer nie powinna przecież zadawać się z tymi sufrażystkami!

- Oczywiście, że nie, senhor Cunha - uspokoiła Juju podenerwowanego pana. Była co prawda wdzięczna Ruiemu, że pomógł jej w kwestii nazwiska rozmówcy, ale jednocześnie uznała, że nie powinien publicznie opowiadać o sprawach, z których zwierzyła się mu w zaufaniu, przez co wprawił ją w jeszcze większe zakłopotanie. Choć nie miała

wcale ochoty dyskutować z senhorem Cunha o tak drażliwych kwestiach, nie chciała również poprzez dystygowane milczenie od początku dać się zdyskwalifikować jako istota pozbawiona głosu. Jednak zanim zdążyła udzielić dyplomatycznej odpowiedzi, Rui dodał: - I za to ją kocham. Cóż bardziej podniecającego niż kobieta z własnym rozumem?

- Słusznie, senhor Costa, słusznie. Przede wszystkim, gdy mieści się w tak pięknej główce.

Juju oparła się pokusie wywrócenia oczami albo wyrażenia niechęci w inny sposób. Jeśli kosztowna edukacja czegoś ją nauczyła, to sztuki udawania. Odchyliła się nieco na krześle w stylu Ludwika XVI, dając obu sąsiadom możliwość pochylenia się ku sobie i kontynuowania rozmowy. Na szczęście właśnie wyniesiono talerze, zatem do deseru mogli swobodnie dalej konwersować, a ona nie miała powodu nachylać się do stołu i mimo woli włączać się do dyskusji.

Naprzeciw niej siedziała Mariana. Juju chętnie zamieniłaby z nią kilka słów, ale odległość była zbyt duża, a hałas zbyt intensywny. Mrugnęła do Mariany przez lukę między głowami Ruiego i senhora da Cunhy. Siostra odwzajemniła znak. Była chyba w podobnej sytuacji, bo Octavio i drugi sąsiad Mariany, starszy admirał na emeryturze, prowadzili rozmowę ponad jej głową. Prawdopodobnie również chodziło o politykę, bo admirał i Octavio wyglądali na bardzo poruszonych. Do Juju dolatywały strzępki rozmowy, które także za tym przemawiały. Wojsko, republika, strajk, komuniści - czy mężczyźni potrafią zajmować się tylko takimi okropnymi sprawami? Już na sam dźwięk tych słów ogarniała ją nuda!

Jej sąsiedzi skupili się właśnie na zjawiskach naukowo przyrodniczych, co Juju uznała za jedynie odrobinę bardziej interesujące. Przez ułamek sekundy rozważała, czy nie włączyć się do rozmowy, wspominając o Marii Curie i dwóch zdobytych przez nią Nagrodach Nobla. Natychmiast jednak porzuciła tę myśl. Jediną szansą na to, by ponownie zaistnieć w konwersacji i pokierować nią tak, by mieć z tego nieco rozrywki, było udanie śmiałej, ale niezorientowanej, w celu przypodobania się mężczyznom.

- Mój drogi senhor Cunha, jest pan pełen niespodzianek! U mężczyzny pana pokroju nie spodziewałabym się tak dużego zainteresowania naukami przyrodniczymi. Uważałam pana raczej za miłośnika sztuki...

- Och, jedno nie wyklucza drugiego. Proszę mi wierzyć, mademoiselle Juliana, jestem zapalonym czytelnikiem powieści naszego wielkiego Ecy,

uważnie śledzę każdą nowinkę z zakresu sztuk pięknych i, jeśli wolno mi wspomnieć, mam pewien talent do gry na skrzypcach.

- Co pan powie? To fantastycznie! Może kiedyś przy okazji pańskiej wizyty będziemy mieli okazję wspólnie pomuzykować?

- Nasza śliczna menina Juliana - odezwał się Rui - to bardzo utalentowana pianistka.

- Ależ nie, Rui! Przesadzasz! - A zwracając się do senhora da Cunhy, dodała: - Gram nie najgorzej. Proszę powiedzieć, senhor Cunha, czy ma pan może ulubionego kompozytora?

Jego odpowiedź okazała się tak długa i szczegółowa, że Juju znowu odpłynęła myślami. Gdy senhor da Cunha rozprawiał o klasykach i muzyce współczesnej, gubił się w akademickich szczegółach i wyraźnie dumny ze swojej wiedzy ozdabiał wypowiedź najróżniejszymi cytatami, podano deser.

Kelnerzy i kucharze przyjechali aż z Lizbony. Miejscowa służba czuła się poniżona przez ważniaków ze stolicy i zlekceważona przez własnych państwa, ale na tego typu skargi nie należało zwracać uwagi. Matka mądrze zrobiła, sprowadzając dodatkowych ludzi. Przywiezione przez nich naczynia i zastawa pięknie uzupełniały ich własne, a jedzenie i obsługa były najwyższej klasy. Juju spróbowała tarty Tatin, która smakowała nieziemsko. Ograniczyła się jednak do małego kawałka. Posiłek trwał tak długo i okazał się tak obfity, że wszyscy poczuli się znużeni.

Gdy wniesiono kawę i digestivos, hałas wyraźnie przycichł. Być może dlatego Juju wyraźnie usłyszała ojca, który siedział stosunkowo daleko, u szczytu stołu, i rozprawiał właśnie o Alentejo i tutejszych zwyczajach. Musiał już nieco wypić. Zwykle nie zostawiał na rodzinnych stronach suchej nitki. Teraz jednak chwalił okolicę, pracowitych i bogobożnych mieszkańców, łagodny klimat, żyzną ziemię, słynne rękodielnictwo. Może ze względu na tak wielu zamiejscowych gości. Ona sama, pomyślała Juju, dopiero za granicą stała się zagorzałą patriotką. Tylko w obcych stronach zauważa się, jak bardzo jest się przywiązaniem do ojczyzny. Jose Carvalho ciągnął monolog o zaletach Alentejo. Znalazł pochwalne słowa nawet dla specjalistów kulinarnych.

- A nasz aguardente de medronho! Tak, mój wielce szanowny senhor Queiróz - spojrzął na mężczyznę, który mieszkał na stałe w Anglii, czym chwalił się wszystkim spotkanym - czegoś takiego próżno szukać w Brytanii! Nie ma lepszego trunku na trawienie, może mi pan wierzyć. Żadna brandy czy whisky nie może się z nim równać!

Juju wstydziła się za ojca. Prosty napitek z owoców drzewa truskawkowego jedynie z medycznego punktu widzenia mógł dorównywać innym spirytualiom. Pod względem smaku nie.

- Anunciacao! Przynieś nam butelkę medronheira! Albo nie - przynieś od razu kilka.

Służąca, nieco zaskoczona, że o tak późnej porze jest jeszcze potrzebna, dygnęła i pospiesznie opuściła salon.

Nieco później wróciła z trzema butelkami samogonu. Patrao odebrał butelki i przegonił dziewczynę. Sam zaczął napełniać stojące przed nim na szklanej tacy kieliszki. Następnie kelner obszedł z tacą stół i każdy z obecnych ujął kieliszek. - Za naszych gości z północy! - zagrział Jose Carvalho i wypił zawartość jednym haustem. Pozostali poszli za jego przykładem.

- Do diabła, co to jest? - wyszeptał Rui do Juju. Zachichotała cicho.

- Kiedy wypije się kilka kieliszków, zaczyna smakować.

- Hm, tak, niezłe - senhor da Cunha nie chciał być nieuprzejmy, jednak po jego twarzy było widać, że trunek niezbyt przypadł mu do gustu. - Może należy ów napitek smakować nieco wolniej, a nie połykać jednym haustem. Mademoiselle Juju, dołączy pani do mnie? Wypijemy jeszcze mały łyżeczek i damy szansę subtelnym kubkom smakowym?

- Ależ tak, senhor Cunha, czemu nie? Zgłębimy owocową nutę pojawiającą się pod koniec. - Juju musiała powstrzymać się od śmiechu. Była w nastroju, który powoli przeradzał się w histerię. Obfite jedzenie, wino, zacięte dyskusje, dłoń Ruiego, która pod stołem ciągle dotykała jej uda, zmęczenie i teraz, na zakończenie, degustacja alkoholu, który każdy alentejański rolnik pędził w domu - tego wszystkiego było dla niej zbyt wiele.

- Jesteś bardzo blada - powiedział Rui, gdy Juju wypła drugi kieliszek aguardente de medronho. - Chodź, wyjdziemy na świeże powietrze. Wybacz nam pan, senhor da Cunha? - Ujął jej dłoń i wyprowadził Juju na zewnątrz. Nikt tego nie zauważył, bo o tej porze wielu gości wstało od stołu, by porozmawiać z usadzonymi w innym miejscu znajomymi lub z gospodarzami. Niektórzy nawet się już pożegnali - przeważnie osoby starsze lub z małymi dziećmi.



Chłód nocy sprawił, że Juju natychmiast poczuła, jak rozwiewa się mgła w jej głowie. Ach, jak dobrze! Zamknęła na chwilę oczy i głęboko wciągnęła powietrze. Unosił się w nim zapach wiosny. Niedługo zakwitną drzewa migdałowe. Rui zauważył, że towarzyszka marznie, więc troskliwie okrył jej ramiona swoją marynarką. Objął ją, ujął za rękę i przyciągnął do siebie. Tak, pomyślała Juju, wszystko się zgadza. Rui pachniał przyjemnie tytoniem i elegancką wodą toaletową. Noc była wspaniała, z odświeżającym, czystym powietrzem i błyszczącymi gwiazdami na niebie, które wydawały się bliższe niż zwykle. Juju przytuliła się mocniej do Ruiego, uniosła głowę i zamknęła oczy.

Pocałunek był bardzo głęboki, jeden z tych, które nie gaszą namiętności, lecz jeszcze bardziej ją rozpalają. Juju poczuła rosnące pożądanie. Szczupłe dłonie Ruiego wędrowały po jej ciele. Gdy zrozumiał, że nie natrafi z jej strony na żaden poważny opór, pochylił się, wsunął rękę pod spódnicę i przesunął po wewnętrznej stronie uda. Juju poczuła dreszcz przyjemności. Och, cudownie! Tak, tak, tak, chciała powiedzieć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Rui z trudem się od niej oderwał. Tutaj, pod żywoplotem przy wjeździe, gdzie dosięgały ich reflektory odjeżdżających samochodów, nie mogli zostać. Pociągnął ją za sobą i ruszył ku garażowi. Wiedziała, co zamierza, i nie miała nic przeciwko temu. Nawet gdyby sama nie płonęła z pożądania, to nieskrywane pragnienie w jego oczach głęboko ją podniecało.

Jednak gdy już dotarli do garażu, wszystko stało się wyjątkowo szybko. Żadnych pocałunków, żadnego ocierania się o drzwi auta, żadnych szeptanych czułości, żadnego nieśmiałego poznawania nawzajem swoich ciał. Ruiego ogarnął szal. Otworzył drzwi samochodu, wcisnął Juju na tylne siedzenie, jednym pociągnięciem zerwał z niej bieliznę i wszedł w nią, zanim zdążyła pomyśleć, co poszło nie tak. Rui drgnął, wywrócił oczami i jęknął - po niecałych dwóch minutach było po wszystkim.

Fizyczny ból, który Isabel opisywała w mrocznych barwach, Juju uznała za znośny. Jednak tym silniej odczuwała cierpienie duchowe. Dlaczego Rui nie zostawił sobie i jej więcej czasu? Dlaczego stał się nagle taki szorstki, taki nieopanowany? Właśnie on, który szczycił się zimną krwią? W chwili, gdy pożądanie ustąpiło zaskoczeniu niespodziewaną przemianą Ruiego, powinna go była natychmiast powstrzymać. Ale w milczeniu pozwoliła mu na wszystko - i w dodatku czuła się winna.

- Wracajmy. Na pewno zauważyli już naszą nieobecność. - Głos Ruiego brzmiał bardzo oficjalnie. Rozzłościło to Juju, ale pomogło jej także szybciej wrócić do rzeczywistości.

- Idź przodem. Wróć po tobie. - Musiała się najpierw opanować. Chciała także doprowadzić się do porządku, nim ponownie spoczna na niej baczne spojrzenia gości. Nie mogła się przebrać, to zwróciłoby uwagę, ale chciała uczesać włosy, umyć się i włożyć świeżą bieliznę.

O Boże, czy zostawili zdradzieckie ślady na eleganckim siedzeniu samochodu? W ciemności Juju niewiele mogła zobaczyć. Zrozpaczona przetarła beżowe obicia chusteczką; wydawały się czyste.

Spędziła w swoim pokoju około pół godziny, przez większość czasu siedząc tępo na łóżku. W końcu zebrała siły, by spojrzeć w oczy rzeczywistości. Był łagodny zimowy dzień. Świętowali. Jej narzeczony właśnie dość niedelikatnie ją rozdziewiczył. No i co? Nic nadzwyczajnego. Zdarzały się gorsze rzeczy.

Na schodach spotkała Marianę.

- Gdzie się podziewasz? Chodź szybko. Obiecałam ci niespodziankę... Tak, przypomniawszy sobie Juju. Cóż to znowu za dziecinny nonsens?

Tort, z którego sypią się iskry? Sztukmistrz wyciągający z kapelusza słodkie pasteis? Oczy Mariany błyszczały, więc z pewnością niespodzianka musiała się wiązać z jedzeniem.

W salonie panował gwar. W powietrzu unosiły się chmury dymu, a przez słaby zapach cygar przebijał zapach jedzenia i świeżo zaparzonej kawy. Nie było jeszcze późno, dopiero po jedenastej, jak powiedziało jej spojrzenie na ścienny zegar. Jednak większość gości znajdowała się już w zaawansowanym stanie upojenia i rozluźnienia. Uroczystość zaczęła się przecież tuż po południu. Obawy Juju, że każdy z obecnych dostrzeże jej hańbę i wyrazi potępienie, okazały się bezpodstawne. Obecni wspaniale się bawili i niemal zupełnie ją ignorowali.

Juju czuła się oszołomiona. Dym z cygar wywołał u niej mdłości, jakich nie czuła, odkąd jako dwunastolatka potajemnie wypaliła zigarillos ojca. Opadła bezsilnie na krzesło obok mocno rozweselonej dony Filomeny i przywołała kelnera. Zamówiła kawę oraz szklankę wody i czekała na niespodziankę, którą Mariana za chwilę na pewno pokaże z wielką pompą. Czyjaś dłoń spoczęła na jej ramieniu. Juju obróciła się bezsilnie i zobaczyła, że to Rui. Ponieważ w pobliżu nie znalazł wolnego krzesła, ukucnął przy niej. Dona Filomena była tak zajęta swoim sąsiadem, że nawet nie zauważyła klęczącego przy niej syna. Szykowała

się właśnie do wypicia bruderszaftu z panem u swojego boku - czy nie był to wydawca z Lizbony? Zarówno Juju, jak i Rui odwrócili wzrok od zawstydzającego spektaklu. Rui ujął dłoń Juju i ścisnął ją zachęcająco. Musieli sprawiać wrażenie, że są od dawna małżeństwem albo są bardzo sobie bliscy. Juju zdziwiła się, że Rui wrócił do roli troskliwego narzeczonego.

Właśnie w chwili, gdy postanowiła, że bez względu na niespodziankę już sobie pójdzie, z jadalni przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi wkroczyła z rozpostartymi ramionami Mariana. To, co ujrzała Juju, sprawiło, że jej żołądek gwałtownie się skurczył. Uniosła dłoń do ust, zerwała się i wybiegła z salonu na werandę. Większość gości niczego nie zauważyła. Pozostali wybuchnęli śmiechem. Ta dzisiejsza młodzież - nie potrafi nawet wypić kieliszeczka...

## Rozdział Dziewiąty.

Venancio Castro otworzył oczy. Jeszcze przez chwilę unosił się nad nim piękny sen, potem jednak wdarła się rzeczywistość, przegoniła cudowne obrazy dony Gabrieli i sprawiła, że się poderwał. Do diabła! Powinien zaraz iść do pracy. Przez wyszarzałą zasłonkę wpadało już słońce, na pewno było po ósmej. Właśnie w karnawałową niedzielę musiał udać się na monte, by zadbać, aby nocujący goście patrao zastali swoje auta gotowe do podróży. I na co mu przyszło! Sądził, że bycie szoferem Carvalhów to szczęśliwy los. Nic z tego.

Musiał wozić po okolicy szanowne córki i pozwalać im sobie rozkazywać. Sam patrao niemal codziennie jeździł do Beja, gdzie wieczorem Venancio odbierał go z kawiarni Luiz da Rocha. W niektóre wieczory jego pan tak długo przesiadywał w lokalu, że Venancio godzinami czekał w aucie i śmiertelnie się nudził. Było przecież wykluczone, żeby również wszedł do środka. Senhora dona Clementina także korzystała z jego usług częściej, niż Venancio w całkowitej naiwności mógł przypuszczać. Ale to wszystko jeszcze jakoś znosił. W czasie jazdy mógł przynajmniej nosić zawadiacką czapkę szofera, przez którą praca ta wydawała mu się niegdyś szczególnie pożądana.

Znacznie gorzej było, gdy musiał czyścić wóz lub wręcz naprawiać jakieś usterki. Co prawda znał się nieco na silnikach, ale ten elegancki pojazd to była dla niego czarna magia. W dodatku patrao pilnował, żeby na jego świeżo odrestaurowanym silver ghoście nie pojawiło się nawet najmniejsze zadrapanie, co, biorąc pod uwagę stan okolicznych dróg, było niemożliwością. Podskakujące kamienie wciąż wybijały brzydkie dziury w błotnikach. Często zdarzało się również, że gałęzie drzew uderzały o dach. Czy była to jego wina? Nie. Ale właśnie on, Venancio Castro, musiał za wszystko pokutować. Ostatnio patrao wygonił go na drogę, by usunął wyjątkowo nisko zwisającą gałąź. Czy miał wykonywać także obowiązki ogrodnika?!

Venancio wygrzebał się spod kołdry. W pokoju panował lodowaty chłód. Natychmiast wskoczył w uniform, który od wczoraj leżał przewieszony przez oparcie krzesła. Zwilżył twarz odrobiną wody z miednicy i wierzchem dłoni sprawdził, czy powinien się ogolić. Hm, właściwie tak. A, co tam, ujdzie. Nie miał ochoty ani czasu robić teraz dokładnej toalety. Dziesięć minut po przebudzeniu Venancio znalazł się w drodze do quinty położonej około pół godziny marszu od aldeia.

Gdy dotarł do Belo Horizonte, zastał tam nietypowy jak na niedzielę ruch. Na szczęście wszystkie samochody nadal znajdowały się tam, gdzie zaparkował je poprzedniego dnia. Goście mogli pospać dłużej niż on. Ale w każdej chwili z domu może wyjść kierowca daimlera i zażądać swego auta - starzy ludzie zawsze budzą się o takich niechrześcijańskich porach. Zatem Venancio szybko zabrał się do pracy. Napełnił zbiorniki benzyną, ponieważ po drodze możliwości zatankowania były bardzo ograniczone, zwłaszcza w niedzielę. Oczyszczył auta z najgorszego brudu, przetaił szyby, a gdy wykonał najpilniejsze prace, przejrzał podłogi i zagłębienia siedzeń w poszukiwaniu zgubionych monet i innych drobiazgów, które dla właścicieli nie przedstawiały żadnej wartości, ale dla niego znaczną. Niewiarygodne, co można było znaleźć w takich miejscach; dobrze to wiedział mimo krótkiego doświadczenia na stanowisku kierowcy. Często zdobywał w ten sposób koronkowe chusteczki, zapalniczki, srebrne guziki i tym podobne rzeczy.

Venancio zaczął od daimlera starszego pana, który przybył jako jeden z pierwszych. Dziesięć escudo, no cóż, lepsze to niż nic. Poza tym rozgnieciony i stopiony cukierek - ten Venancio zostawił tam, gdzie go znalazł. Czyszczenie wnętrz obcych samochodów zdecydowanie nie należało do jego obowiązków. Potem zajął się sportowym autem pięknia z Algarve, który ze wszystkich gości dał mu wczoraj najmniejszy napiwek. Venancio dowiedział się, że był to brat narzeczonego - czyli wkrótce zostanie szwagrem Mariany, którą ze wszystkich córek Carvalhów lubił najbardziej, trochę nieco jej współczuł takiego szwagra. Oho! Obcas damskiego bucika. Venancio zachichotał cicho i wyobraził sobie, jak dama utraciła obcas, jak na próżno starała się go odnaleźć i w końcu, po bezowocnych poszukiwaniach, odeszła, kuśtykając. Odłożył znalezisko w widoczne miejsce z nadzieją, że gdzie indziej znajdzie rzeczy bardziej przydatne niż ów obcas.

Pracował wyjątkowo efektywnie i jakieś pół godziny później zdążył już przeszukać wszystkie samochody z wyjątkiem silver ghosta, który

przecież tak prędko nie zniknie. Na jego łup złożyły się na wpół wypalone brazylijskie cygaro, trzydzieści escudos i bardzo ładna spinka do włosów. Nieźle. Reszta przedpołudnia upłynęła na tym, że Venancio symulował gorączkowe polerowanie aut, gdy tylko pojawili się właściciele, oraz przeklinał ich arogancję, gdy odjechali. Nim nastąpiło południe, skierował się wreszcie ku silver ghostowi, choć wczoraj nie był on w użyciu i nie mógł kryć wielu ciekawych rzeczy.

Tym większe było zdumienie Venancia, gdy między tylnym siedzeniem a oparciem znalazł haftkę wyglądającą zupełnie tak jak te drobiazgi, którymi kobiety zapinały staniki. Nie żeby sam miał wiele okazji je odpinać. Ale w domu z czterema kobietami - babką, matką i dwoma siostrami - których bielizna suszyła się zawsze tuż przed jego izbą, można się było o tym co nieco dowiedzieć. No, no, no. Czyżby zdejmowała tu bieliznę wytworna dama? Ciekawe, która z trzech mieszkających w Belo Horizonte? Może nawet dona Clementina... nie, to nie do pomyślenia.

Venancio był zły, że poprzedniego wieczoru tak szybko udał się do domu. Najwyraźniej ominęło go najlepsze.

Juju obudziła się z poczuciem, że stało się coś okropnego. Ostrożnie otworzyła oczy. Pod koronkowymi zasłonami słońce wyczarowało na drewnianej podłodze faliste wzory. Pokój wyglądał tak jak zwykle - jasny, czysty, przyjazny. Nie było słyhać również żadnych niezwykłych dźwięków. Musiało się jej coś przyśnić. Sądząc po kącie padania promieni słonecznych, było już późne popołudnie. Juju uniosła głowę z grubej poduszki, by rzucić spojrzenie na zegar stojący na komodzie, i wtedy poczuła, że czaszkę ma obolałą, jakby przejechał po niej wóz ciągnięty przez woły. Opadła z powrotem na łóżko. W tej samej chwili wszystko sobie przypomniała. Jęknęła cicho. Z zamkniętymi oczami wymacała przycisk obok nocnego stolika i zadzwoniła na służącą.

Po wypiciu kawy poczuła się na tyle lepiej, że mogła myśleć o tym, co się stało poprzedniego wieczoru, nie czerwieniąc się. Wymierzyła siostrze policzek, pozwoliła Ruiemu otrzeć sobie wymiociny z ust i wreszcie, płacząc histerycznie, uciekła do pokoju. A świadkiem tego jej żenującego zachowania był Fernando. No, niezupełnie. Pierwszej poniżającej sytuacji tego wieczoru, która wydawała się jej teraz dziwnie odległa, na szczęście nie musiał oglądać.

Fernando. Nagle stanął w drzwiach z równie szerokim uśmiechem jak Mariana. W mundurze wyglądał niewiarygodnie przystojnie. Krótko ostrzyżone włosy przykrywała włożona na bakier czapka. Właśnie miał ją zdjąć, gdy spotkali się wzrokiem. Czyż mogła zapomnieć, jak przenikliwe jest jego spojrzenie? Nawet z oddali Juju dostrzegła blask oczu Fernanda. Odślonił idealne białe zęby i mrugnął do niej. Zobaczyła jeszcze, jak minął Marianę, zauważyła, jak dobrze leży na nim dopasowany mundur uwydatniający wąskie biodra i szerokie ramiona, jednym krótkim spojrzeniem ogarnęła jego erotyczną aurę - i wybiegła.

Niespodzianka udała się Marianie, choć nie tak, jak planowała. Fernando najwyraźniej cieszył się na spotkanie - a ona jak mu się odwdzięczyła? Sprawiając wrażenie, że niedobrze jej się robi na jego widok. Nie mógł wiedzieć, że żołądek Juju buntował się, ponieważ za dużo zjadła i wypila, ponieważ powietrze w salonie było tak gęste i ponieważ w duchu myślała jeszcze o niefortunnym zdarzeniu na tylnym siedzeniu samochodu. Szok wywołany ponownym spotkaniem dopełnił dzieła.

Na dworze musiała zwymiotować. Rui pobiegł za nią i pomógł jej z całym spokojem, zupełnie tak, jakby była to dla niego najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Zaraz potem w ogrodzie zjawiała się Mariana. Juju wyprostowała się i krzyknęła na siostrę: „Co ci przyszło do głowy? Zabierz go stąd!”, po czym uderzyła ją w twarz. Ale było już za późno. Fernando stał na schodach, prowadzących z werandy do ogrodu, i wszystko widział. O Boże, co za wstyd!

Gdy Juju poczuła, że może już wstać i nie pęknie jej od tego głowa, spuściła nogi z łóżka i usiadła. Było jej niedobrze - nie umiała powiedzieć, czy to od nagłego ruchu, czy od wielu pytań, które krążyły jej po głowie. Co się stało po tym, jak uciekła do pokoju? Czy Rui i Fernando zostali sobie przedstawieni? Czy Mariana też zalała się łzami? A może troje świadków jej hańby usiadło razem przy stole i komentowało dziwną scenę? Czy się z niej śmiali? A może dziwili się i zatroskani kręcili głowami? Bez względu na to, jak przykre będzie zejście na dół i stawienie czoła pytaniom rodziny, musiała się tego dowiedzieć, i to zaraz. Pospiesznie narzuciła szlafrok, włożyła ranne pantofle, spryskała twarz odrobiną wody i wycierając się ręcznikiem, spojrzała przelotnie w lustro. Nie wyglądała tak źle, jak się obawiała. Może się pokazać.

\* \* \*

W jadalni nadal stał długi stół. Siedzieli przy nim tylko Isabel i jej mąż. Ponieważ pozostali członkowie rodziny oraz krewni Octavia również nocowali w domu, było ich łącznie - Juju policzyła szybko - siedemnaście osób. Trzyznaścioro dorosłych, czworo dzieci. Gdzieniegdzie na obrusie leżały okruchy chleba i zużyte serwetki. Prawdopodobnie Joana i jej rodzina pierwsi zjedli śniadanie. Przy niektórych miejscach stały jeszcze świeże nakrycia. Juju cieszyła się, że nie jest ostatnia.

- Dzień dobry - przywitała siostrę i szwagra.

- Dzień dobry. Dobrze spałaś? - Ze złośliwym uśmiechem Isabel posmarowała paposeco marmoladą.

O tak, dobrze się zaczyna.

A może mina Isabel nie jest przeznaczona dla niej? Juju uważała, że Isabel nie potrafi uśmiechać się inaczej niż złośliwie.

- Dziękuję, bardzo dobrze. A wy?

- Paskudnie - odparł Raimundo. - Jak wiesz, nasz pokój leży dokładnie nad salonem, a zabawa najwyraźniej trwała do późnej nocy.

- Specjalnie wyszliśmy wcześniej, ponieważ chcemy dziś szybko wyjechać - dodała Isabel. - Ale ponieważ zasnęliśmy dopiero o trzeciej nad ranem, jesteśmy trochę spóźnieni. - Spojrzała na zegar ścienny. - No i proszę, Raimundo, już po jedenastej!

Juju spadł kamień z serca. A zatem nie mieli pojęcia o jej występie.

- Pozostali jeszcze śpią? - spytała.

- Joana, Gustavo i dzieci są już w drodze nad jeziorko. Chcą powędkować. - Isabel skrzywiła się z odrazą. - Marianę też widziałam, ale chyba jeszcze nie jadła śniadania. Chociaż to raczej niemożliwe. - Zaśmiała się z tej dowcipnej w jej mniemaniu uwagi. - Papa i mama pewnie zaraz nadejdą. Słyszałam już ruch w ich pokoju. Mój Boże, biedacy, musieli zostać do końca. Tak, a co z drogą Beatriz, nie wiem. Wyszła jeszcze przed nami, spanie długo nie jest w jej stylu.

- Pewnie tylko wypła kawe w kuchni i kazała się zaraz zawieźć do kościoła - uznała Juju. - Jest niedziela, nigdy nie opuszcza mszy.

- No, no, od kiedy to Beatriz jest taka religijna? Wcześniej zawsze wygadywała na klechów.

Juju wiedziała, kiedy Beatriz regularnie zaczęła chodzić do kościoła, ale nie zamierzała wyjawiać tego Isabel. Ta jak zawsze wykorzystaby zdobytą wiedzę jako broń. Zmiana nastawienia Beatriz dokonała się niemal dokładnie tego dnia, gdy jej ukochany Joao ożenił się z Deolindą.



Od tej pory siostra korzystała z każdej okazji, by rzucać wiarołomnym karzące spojrzenia - choć karała przy tym tylko siebie. Isabel nie czekała na odpowiedź Juju.

- No cóż, na jej miejscu też zwróciłabym się ku Chrystusowi. U innych mężczyzn i tak nie ma szans.

- Jesteś jak zawsze okropna, Isabel. I należy współczuć biednemu Raimundowi.

- „Biedny” Raimundo - wtrącił się on sam - spieszy się i nie ma ochoty wysłuchiwać kobiecych sprzeczek. Chodź, Isabel, musimy ruszać.

Isabel dość nieelegancko wepchnęła resztę pieczywa do ust, wstała i przeżuując, podeszła do Juju. Przełknęła głośno, nim zdołała się odezwać.

- Nie bierz mi tego za złe, moja śliczna. Pozdrów od nas pozostałych. Adeus. - Schyliła się i pocałowała siostrę w oba policzki.

- Adeus! - zawołała za nimi Juju, gdy biegiem opuszczali pokój.

Isabel to naprawdę okropna istota, pomyślała. Ale właśnie ona uratowała jej ranek. Wszystko było jak zawsze. Wszystko toczyło się normalnym rytmem. Świat nie przestał się kręcić tylko dlatego, że ona sama popełniła błąd. Juju błyskawicznie odzyskała apetyt. Wzięła z koszyka drożdżową bułeczkę, odłamała spory kawałek, grubo posmarowała masłem i odgryzła duży kęs.

Gdy nieco później przy stole zjawili się rodzice, Juju tak dalece odzyskała szacunek do samej siebie, że otwarcie spojrzała im w oczy. A to, co w nich zobaczyła, uspokoiło ją. Żadnych wyrzutów, żadnej nagany, nawet współczucia - jeśli w ogóle, z twarzy rodziców przebijało co najwyżej zawstydzenie ich własnym zachowaniem. Świętowali na całego, ale Juju doprawdy była ostatnią osobą, która miałaby im to za złe.

- Dzień dobry, Juliano. Jak się miewasz? Wczoraj wieczorem tak nagle znikłaś. Wszystko w porządku? - Dona Clementina najwyraźniej próbowała odwrócić uwagę od siebie i swoich przekrwionych oczu.

- Dziękuję, mae, mam się dobrze. Wczoraj wieczorem nagle trochę źle się poczułam, więc nie mogłam pożegnać się z wami i z gośćmi. Przykro mi.

- Już dobrze, moja mała. - Jose Carvalho sprawiał wrażenie, że mu ulżyło.

Juju zastanawiała się przez chwilę, jakich zawstydzających czynów dopuścili się wczoraj rodzice. W przeciwieństwie do tego, co sama zrobiła, nie mogło to być nic poważnego.

Marianę zobaczyła dopiero koło południa. Siostra wróciła z aldeia pieszo i z zaczerwienioną twarzą. Prawdopodobnie również była na mszy, pomyślała Juju, a potem poszła na spacer. Wyszła Marianie na spotkanie w holu.

- Mariano, chcę cię przeprosić. Wiesz, za wczorajsze. Zepsułam ci całą radość, i to w dzień twoich zaręczyn.

- Tak, zepsułaś. - Mariana odwiesiła szal na wieszak i z ponurą miną rozpięła płaszcz. - Ale znacznie większą krzywdę wyrządziłaś Fernandowi.

- Jeśli zjawia się nie w porę...

- Zaprosiłam go. Nie mógł przybyć wcześniej. To cud, że w ogóle przyjechał. A tu coś takiego.

- Ach, najdroższa Mariano, nie bądź taka surowa. Był twoim gościem, nie moim. Nie czułam się dobrze, jak wszyscy pewnie zauważyliście. Ale jestem pewna, że bardzo dobrze zajęłaś się naszym dawnym zarządcą i wspaniale się z nim bawiłaś.

- Nie zaprosiłam go jako „naszego dawnego zarządcy”, tylko jako twojego dawnego ukochanego. I ty także o tym wiesz, inaczej byś mnie nie spoliczkowała, prawda?

Prawda, pomyślała Juju, ale tego nie powiedziała.

- Dlaczego to zrobiłaś? Mam przecież poślubić Ruiego.

- Gdyby to zależało ode mnie, nie zrobiłabyś tego. Nie jest nic wart. W ogóle do ciebie nie pasuje. A ty i Fernando jesteście dla siebie stworzeni.

Juju była zbyt zaskoczona, by cokolwiek odpowiedzieć. Jak mogła nie zauważyć, że Mariana tak się zmieniła? Podobnie jak pozostali dała się zmylić jej niewinnym wyglądem i nie dostrzegła, że za dziecinną fasadą kryje się dojrzała kobieca dusza. Mariana zdawała się słyszeć jej myśli.

- Wszystkim wam się zdaje, że mnie znacie. Ale widzicie tylko to, co zawsze widzieliście - grube, sympatyczne dziecko. Mam tego dosyć, Juju! Skończyłam dwadzieścia cztery lata i nie brak mi rozumu, nawet jeśli traktujecie mnie inaczej. I chociaż błąd leży oczywiście po waszej stronie, w waszej ślepotce, postanowiłam wyjść wam naprzeciw. Przejdę na dietę. Im mniej będę ważyć, tym więcej we mnie dostrzeżecie. - Zaśmiała się sucho. - Zabawne, prawda? Jak wygląd człowieka wpływa na to, co o nim myślimy. Weźmy na przykład Fernanda Abrantesa. Nie uważasz, że w mundurze pilota prezentował się po prostu bosko? Nie jak głupi chłopak, nie jak rolnik, nie jak zarządca...

- Przestań!

- Wyglądał jak mężczyzna, Juju. Jak ktoś z nas. Światowy, zadbany, wykształcony...

- Cicho! Oszczędź mi opisów bohaterów swoich powieści. Powiedz raczej, gdzie mogę go znaleźć. I żebyś nie wyciągała fałszywych wniosków - nie będziesz mi dyktować, jak powinnam traktować innych. Chcę się z nim przywitać. Zawsze byliśmy bliskimi przyjaciółmi, a od ponad dwóch lat nie miałam od niego wiadomości. Przy okazji będzie mógł mi to wyjaśnić.

- Już go tam nie ma. Noc spędził na podłodze w izbie siostry, na plebanii. Rankiem wyruszył do Evory, do brata i matki.

- No i dobrze. I tak miałam na dzisiaj inne plany. - Juju obróciła się na pięcie i zostawiła zaskoczoną siostrę na środku holu.

Po powrocie do pokoju, który nie został jeszcze uprzątnięty, Juju spojrzała na swój wczorajszy strój. Zdjęła go po prostu i rzuciła na podłogę. Teraz go podniosła. Sukienka była pognieciona i brudna, przy gorsecie brakowało haftki, a bieliznę najlepiej będzie od razu wyrzucić. O Boże, pomyślała. Jak do tego doszło? Ktoś mógł ich przecież nakryć w wozie. Przynajmniej tyle dało się powiedzieć na usprawiedliwienie niestosownego zachowania Ruiego - że spieszył się tak z obawy przed świadkami. I co z autem? Juju paliły policzki. A jeżeli przeoczyła w ciemności jakieś ślady?

Szybko włożyła prostą sukienkę, niezbyt odpowiednią na dzień Pański, upięła włosy w skromny węzeł i pobiegła do szopy, którą pompatycznie nazywali garażem. Chłopaka pełniącego funkcję szofera, ponieważ jako jeden z nielicznych w wiosce miał prawo jazdy, dzięki Bogu nie było nigdzie w pobliżu. Juju otworzyła tylne drzwi i przeszukała siedzenie tak dokładnie, że nie umknąłby jej nawet pyłek kurzu. Wszystko w najlepszym porządku. Odetchnęła głęboko i znacznie bardziej rozluźniona wróciła do domu.

W czasie przerwy obiadowej Venancio szczegółowo przedyskutował swe odkrycie z Anunciacao, która upierała się, że tylko menina Mariana mogła sobie pozwolić na taki występki, ponieważ świętowała swoje zaręczyny. Obiecała Venanciowi, że poszuka brakujących haftek przy bieliźnie młodych dam, gdyż tak samo jak on była wielce ciekawa wyjaśnienia pikantnej tajemnicy. Intymne szczegóły z życia

właściciele posiadłości stanowiły najlepszą rozrywkę na długie zimowe wieczory.

Gdyby Venancio przypuszczał, że właśnie podczas jego półgodzinnej nieobecności jedna z córek Carvalhów z miną winowajczyny zjawi się w garażu, zimna pieczeń z dzika stanęłaby mu w gardle. A tak smakowała mu wyśmienicie, lepiej niż wszystkie resztki, jakie w minionych miesiącach Anunciacao przyniosła mu z pańskiego stołu.

## Rozdział Dziesiąty.

Czuł zimno we wszystkich kościach. Czyżby już zniewieściał? Dawniej nie przeszkadzało mu spędzanie lodowatych zimowych nocy w nieogrzewanych pomieszczeniach. Sypiał nawet na zamrożonej ziemi, chroniony wiązką słomy lub gazetą, bez zbytniego dyskomfortu. Teraz jednak Fernando dygotał. A może nie chodziło o zimno, lecz o oburzenie, jakie go ogarnęło, gdy zobaczył, jak Sebastiao traktuje matkę? Jak brat mógł umieścić własną matkę w izbie bez okien, malutkiej, zatęchłej i nieogrzewanej, w najlepszym razie nadającej się na komórkę na miotły? Co się działo z pieniędzmi, które Fernando regularnie przysyłał? Dobry Boże, już dawno powinien skontrolować sytuację. Znał swojego brata. Sebastiao nawet jako dziecko przypominał ojca, a z wiekiem podobieństwo stawało się coraz bardziej niepokojące. Wystarczyło zobaczyć przekrwiony nos Sebastiao, by mieć pewność.

- Mae, ile pieniędzy dajesz Sebastiao, żeby mógł je przepijać? Matka popatrzyła na Fernanda z poczuciem winy.

- Ależ, Fernando, on mnie tu przyjął. Muszę dokładać swoją część do czynszu i innych kosztów.

- Jakich innych kosztów? Na opał najwyraźniej nie wydaje się tu nawet escudo. Jedzenie Sebastiao dostaje od wuja Rosy praktycznie za darmo, a za izbę, w której musicie mieszkać, w zasadzie należałaby się jeszcze dopłata. Poza tym czyż cały dzień nie pierzesz, nie gotujesz i nie sprzątasz? Sebastiao na tym oszczędza...

- Nie, Fernando - przerwała mu matka. - Źle to widzisz. Zajmuję się tym wszystkim dobrowolnie. Coś przecież muszę robić.

Fernando spojrział na jej dłonie. Przez całe życie ciężko pracowały, a Gertrudes Abrantes nigdy nie przyszłoby do głowy, by po prostu złożyć je beczynnym na podółku. Choć przecież na to zasłużyła. W minionych latach postarzała się, wyniszczona pozbawionym radości wdowieństwem,

wyrzeczeniami, porzuceniem przez dzieci i złośliwościami synowej Rosy, która życie pod jednym dachem z doną Gertrudes uważała za mękę i wyraźnie to okazywała. Plecy Gertrudes Abrantes były zgarbione i, sądząc po wyrazie jej twarzy przy wstawaniu lub wchodzeniu na schody, bolały. Ale matka nigdy się nie skarżyła, w przeciwieństwie do Rosy i innych wytwornych senhor lub ich mężów. Ludzie każdy drobiazg traktowali jak poważne schorzenie i w ten sposób nabijali kiesy lekarzom. Hipochondria była główną dolegliwością w kraju. Postronny obserwator musiał odnosić wrażenie, jakby cała Portugalia była obłożnie chora.

- Ach, mae...

- Nie martw się o mnie, Fernando. Mnie tu dobrze. Mamy dach nad głową i nie musimy głodować. I wcale nie jestem taka samotna, jak sądzisz. Wdowa Carneiro z czwartego piętra bardzo się stara zapoznać mnie z innymi kobietami z sąsiedztwa, a ona zna tu naprawdę każdego, kto się liczy. Wyobraź sobie, że jej siostrzeńcem jest padre, a kuzynem sargento z Guarda Civil! Poza tym tego dnia, gdy ją poznałam, gołąb narobił mi na głowę - a to, jak wiesz, przynosi szczęście.

Do diabła! Fernando wyobraził sobie białą plamę na czarnej chustce matki i był wdzięczny, że tak długo nosiła żałobę. Ale że widzi dobry omen w ptasich odchodach - to już za wiele. Powstrzymał się jednak od komentarza. Nie umiał zwalczyć zabobonów matki. Sam zdawał się na własne umiejętności i silną wolę, by coś osiągnąć - nie licząc na boski cud.

A jednak jego silna wola została mocno zachwiana zeszłej nocy na przyjęciu w domu patrao. Byłego patrao, poprawił się w myślach. Scena, która jak na zwolnionym filmie rozegrała się przed jego oczami, była tak groteskowa, że nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Jujú wyglądała na chorą, tak, ale złe samopoczucie nie wyjaśniało, dlaczego tak zareagowała na jego widok. Albo dlaczego spoliczkowała siostrę. On sam nauczył się ukrywać uczucia za obojętną miną, ale biedna Mariana po tym niemiłym zdarzeniu - w dniu jej zaręczyn - była zupełnie wytrącona z równowagi. Próbowała ukryć smutek, wściekłość i zakłopotanie, prowadząc z nim gorączkową rozmowę i wyrzucając z siebie potok nieznaczących słów. „Chodź, Fernando, przywitamy moich rodziców, na pewno bardzo się ucieszą z twojej wizyty. Może spocznieś tutaj, ach, senhor Vieira, zna pan już kapitana lotnictwa Abrantesa? Nie, ach, proszę chwilę poczekać, przyniosę coś do picia, panowie mają sobie na pewno

wiele do powiedzenia...". Fernando krótko uściśnął dłoń obcego, a potem poszedł za Marianą, by się pożegnać. „Lepiej przyjdę innym razem. Jest już późno, nie chcę, by Maria da Conceicao musiała długo czekać". Potem wyszedł, ani przez chwilę nie żałując, że nie może dłużej brać udziału w tej pompatycznej uroczystości.

To, co kiedyś wydawało mu się istotą wielkopańskiego stylu życia, dziś budziło nieco mniejszy szacunek. Pretensjonalne ozdoby, pluszowe dywany, przytłaczająca ilość obrazów, bibelotów i koronkowych obrusów, pseudobarokowe meble z deprymująco ciemnego drewna -wszystko to wydawało mu się teraz niemal prowincjonalne. Na tyle często towarzyszył podpułkownikowi Ferreirze i jego małżonce na wystawnych przyjęciach w Lizbonie, że napatrzył się na prawdziwie elegancki świat. A nie miał on wiele wspólnego z tym napuszonym przepychem, w którym nadęci wieśniacy i obwieszeni złotem dygnitarze ze staroświeckimi bokobrodami litrami pochłaniali szampana. Carvalhowie, zrozumiał nagle Fernando, są tylko rolnikami - i żadne pieniądze świata tego nie zmieniają. Ani korzystne małżeństwa, które wprowadzały córki w wyższe sfery.

Zanim Fernando opuścił uroczystość, rzucił ostatnie spojrzenie na tego gogusia Ruiego, który swoim zachowaniem wyraźnie demonstrował prawo własności do Juju. No cóż, ów okropny człowiek nie był jeszcze jej mężem, z czym przecież trzeba się było liczyć po tych wszystkich latach. Na tę myśl w Fernanda ponownie wstąpiła nadzieja. Jeśli Juju w wieku dwudziestu trzech lat nie została jeszcze mężatką, to przecież tylko dlatego, że nadal go kocha, prawda?

- Czas, żebym przygotowała kolację. - Słowa matki przywołały go do rzeczywistości. - Dziś z okazji twojej wizyty - i ponieważ jest niedziela -są kotlety wieprzowe. Muszę zacząć obierać ziemniaki i warzywa...

- Mae, ponieważ jest niedziela, nie będziesz dziś gotować. Zjedz mięso jutro. Dziś pójdziemy do restauracji, tylko ty i ja, co o tym sądzisz?

- Ale to niemożliwe. Co zjedzą Sebastiao, Rosa i senhor Rodrigo? Zaprosili go na kolację, to wuj Rosy i patrao Sebastiao, pamiętasz? I nasz gospodarz.

- Pozwól Rosie wykazać się gospodarskimi umiejętnościami - zbyt rzadko ma ku temu okazję. Prawdopodobnie dlatego jest taka brzydka. - Przybywszy około południa do Evory, Fernando w ciągu dziesięciu minut zorientował się, jak antypatyczna jest jego bratowa - zanim ta udała się z mężem do tawerny.

- Ale jeśli Sebastiao straci pracę...
- ...na pewno nie będzie to twoja wina. Więc chodźmy już - włóż swoje odświętne buty i pozwól się zaprosić. Tak naprawdę elegancko.
- Skoro tak uważasz...

Nieco później matka i syn opuścili zaniedbany budynek. Na klatce schodowej pachniało kapuśniakiem, niewietrzoną pościelą i sadzą. Fernando wstrzymał oddech, gdy przechodzili obok ustępu na półpiętrze, z którego korzystali wszyscy lokatorzy. Dopiero na zewnątrz w wąskiej uliczce mógł na powrót odetchnąć. Powietrze było łagodne, temperatura o kilka stopni wyższa niż w mieszkaniu. Wcześniej świeciło słońce, ale przez małe okna do środka wpadało niewiele światła i ciepła. Teraz już zmierzchało, a czyste niebo świadczyło o tym, że wieczór i noc znowu będą bardzo chłodne. Ujął matkę za rękę. Po krótkim wahaniu pozwoliła na to. Tego rodzaju bliskość w rodzinie Abrantesów nigdy nie była na porządku dziennym.

- W drodze z dworca do was widziałem lokal, który wydał mi się bardzo obiecujący. Casa Leopoldo, znasz go?

- Ależ, Fernando, to jedna z najlepszych gospód w Evorze! Nawet senhor Rodrigo tam jada. Nie możemy sobie na to pozwolić!

- To już moje zmartwienie. - Fernando rzeczywiście nie miał przy sobie zbyt dużo pieniędzy, uspokoiła go jednak wiadomość, że w restauracji bywa senhor Rodrigo. Jeśli stary skąpiec, który nawet mieszkania swojej siostrzenicy nie utrzymywał w porządnym stanie, jadał w owym lokalu, ceny prawdopodobnie były niskie.

Gdy matka pogodziła się z myślą, że będą „wyrzucać pieniądze za okno”, i gdy Fernando zdołał ją namówić na dużą szklankę zdumiewająco dobrego lokalnego wina, jej nastrój całkowicie się zmienił. Rozglądała się dokoła z nadzieją, że znajomi zobaczą ją w towarzystwie syna. Jej duma była wzruszająca, ale matka z każdym łykiem wina coraz bardziej się rozczulała, co niezbyt cieszyło Fernanda. Nie chciał jej widzieć z wilgotnymi oczami, nawet gdyby pojawiły się w nich łzy szczęścia. Słuchał skrzępowany, jak matka zapewnia go raz po raz, że jest absolutnym ukoronowaniem rodu Abrantesów. A już najmniej podobało mu się, kiedy ze wzrokiem przepelnionym miłością co chwila głaskała go po policzku. Już lepiej by było, gdyby krytykowała potrawy, które sama przyrządziłaby znacznie smaczniej i znacznie taniej.

Fernando już tęsknił za samolotami, za jasną mową przyrządów. Nie było tam miejsca na dwuznaczności, było tylko albo dobrze, albo źle.



Brakowało mu nawet wojskowej stołówki i pewności, którą dawały porządek i rutyna. Na terenie ściśle podzielonym na rangi, obowiązki i zakresy odpowiedzialności nie można się było zgubić - podczas gdy mapa emocji wydawała się niemal nieczytelna.

Następnego ranka Fernando wyjechał z Evory. Początkowo chciał zostać dwie noce dłużej, ale atmosfera panująca w tym domu tak bardzo go przygnębiała, że wolał wydać ostatnie pieniądze na pensję. Uprzejmie, ale chłodno pożegnał się z Sebastiao i Rosą, a matkę mocno objął i również niemal się popłakał.

- Niedługo cię stąd zabiorę, mae. Ale teraz muszę już iść, mój przełożony nie wybacza spóźnień. - Kłamstwo łatwo przeszło mu przez usta, mimo to jednak miał wyrzuty sumienia. Nie powinien okłamywać matki, żeby znaleźć się bliżej Juju. Bo właściwie to wyгнаło go z Evory, przyznawał sam przed sobą. Tak bardzo chciał poczuć jej bliskość i do woli oddać się wspomnieniom, że wolał poszukać w Beja taniego noclegu niż zostać u najbliższych. Nawet ryzykując, iż wcale nie ujrzy Juju. Bo sam z siebie na pewno nie będzie jej szukać.

Miał taką nadzieję.

Ona liczyła na to, że tak się stanie.

We wtorek, trzy dni po równie krótkim, co wstrząsającym spotkaniu na przyjęciu, Fernando i Juju zobaczyli się ponownie. Tym razem byli przygotowani. Ale serce Juju zabiło gwałtownie, gdy ujrzała go pod drzewem oliwnym.

Wyglądał szczuplej, niż go zapamiętała, ale może to z powodu stroju. Jego sylwetka, której w chłopskim ubraniu nigdy nie było dokładnie widać, w prostej ciemnoszarej marynarce rysowała się wyraźnie. Był silny, ale nie toporny, smukły, ale nie wychudzony. Wąskie biodra, szerokie ramiona, długie nogi - po prostu idealny. Mimo że półbuty miał zakurzone, Juju dostrzegła, że przed wyjściem je wyglansował. W dłoni trzymał płaski, modny kapelusz, jedyny element stroju, który świadczył o pewnej próżności.

- Przynajmniej drzewu jesteś wierna - powitał ją. Nie robił wrażenia zranionego, urażonego czy smutnego. Powiedział to tym samym neutralnym tonem, którym oceniał zbiory pszenicy.

- A ono mnie. - Co też przyszło Fernandowi do głowy, zastanowiła się Juju. To przecież on odszedł, nie dawał o sobie znać, spalił wszystkie mosty.

- Zmieniłaś się - powiedział. Jego głos nadal był tak obojętny, że Juju nie wiedziała, co o tym sądzić.

- Nie tak bardzo jak ty. Chodź, usiądziemy. Opowiesz mi, jak ci się wiodło. Sądząc po wyglądzie, dobrze. - Juju próbowała narzucić ton, jakim mogłaby rozmawiać nawet z senhorem da Cunha. Uznała, że nie może zachowywać się tak, jakby nadal byli sobie równie bliscy jak dawniej.

- Nie czytałaś moich listów? - Teraz w głosie Fernanda pojawił się cień emocji, brzmiało w nim rozgoryczenie. - Nie, oczywiście, że nie. Inaczej na pewno choć raz byś odpowiedziała. Jedyne raz, Juju, jeden list od ciebie, krótka wiadomość, pocztówka - spojrzał na nią smutno - to by dla mnie bardzo wiele znaczyło.

- Nie otrzymałam żadnego z twoich listów.

- Nie było ich aż tyle, ile chciałem napisać, przyznaję. Ale przez lata musiało się nabierać około dziesięciu, piętnastu. Później coraz mniej, bo nigdy nie otrzymałem od ciebie odpowiedzi.

- Nie dostałam ani jednego - wyszeptała Juju. - Ktoś musiał je przejąć.

Patrzyli na siebie przez chwilę, zmieszani nagłym odkryciem, wściekli na nieznanego zdrajcę, zastanawiając się, czy mogło być inaczej. Ale jaki sens miało rozmyślanie o zaprzepaszczonych szansach? Żadnego.

Fernando zdawał się myśleć podobnie jak Juju, bo porzucił snucie podejrzeń co do tożsamości złodzieja. Nieważne, czy zawinił któryś towarzysz Fernanda, czy ktoś z domu Carvalho. I tak już za późno. Rozeszli się, znaleźli w różnych światach, poczynili odmienne plany na przyszłość, całowali inne osoby.

- Czy masz dziewczynę? - spytała Juju, wpatrując się w jego palce, na których nie było pierścionka. - Narzeczoną?

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Mam.

- Cieszę się. - Więcej Juju nie zdołała odpowiedzieć. To był cios prosto w serce. Jakie miała prawo być zazdrosną? Jeżeli Fernando znalazł odpowiednią kobietę, ona sama nie musi mieć tych całkowicie irracjonalnych wyrzutów sumienia z powodu własnych zaręczyn. Mimo to czuła w duszy ból.

- Jest bardzo piękna, bardzo mądra. I bardzo okrutna.

- Och. Przykro mi.

- Powinno. - Fernando znów spojrział na nią wyzywająco. Juju odwróciła wzrok. Czy miał na myśli ją samą? Czy pomimo tego, co ich dzieliło, naprawdę nadal traktował ją jak swoją dziewczynę? Wahala się między ulgą, że nie ma innej, i gniewem na jego arogancję. Co też sobie wyobraża? Dlaczego uważa ją za okrutną? Czy mogła coś poradzić na to, że wszystko sprzysięgło się przeciwko nim? I czego właściwie miała żałować? Że nie chciała czekać sto lat na księcia, w którego postanowił się zmienić? A przecież, uznała Juju, właśnie to zrobiła, choć niezamierzenie. Dlaczego tak długo odkładała zaręczyny z Ruim? Ta myśl wywołała kolejną falę gniewu - na świat w ogóle i na samą siebie w szczególności - ale pokryła ją znudzoną miną.

- Kiedy jesteś zagniewana, znowu przypominasz Juju, którą kiedyś znałem - rzucił ze sztucznym rozbawieniem. - Którą kochałem.

- Ach tak? - Co to ma znaczyć? Jak on śmie wzbudzać w niej wyrzuty sumienia? Czy mogła coś poradzić na to, że odszedł? Że była zbyt młoda, Rui zbyt przystojny, a świat zbyt podniecający? Tak, dała sobie zawrócić w głowie wspaniałą fasadą, z którą młodą dziewczyną byłoby inaczej? I w zasadzie teraz działa się podobnie. Ledwo Fernando wkroczył na scenę niczym piękny mściciel - patrzcie, wyrządziliście mi krzywdę, ale jeszcze tego pożałujecie - jak wszyscy pozostali dała się nabrać na jego wygląd, na śmiałe ruchy, na niezłomną dumę w oczach, na nieodparty urok, który zawdzięczał niezwykłemu zawodowi. Phi! Cóż o nim wiedziała? Może potajemnie pił? Może miał długi, a może nawet zrobił jakiejś dziewczynie dziecko, a potem ją porzucił?

Fernando spojrział na nią drwiąco.

- W każdym razie nie można ci zarzucić gadatliwości.

- Tobie tym bardziej. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, zrób to. Skąd mam wiedzieć, co ci chodzi po głowie, skoro jesteś taki uparty?

- Sądzę, że wiesz. - Jego spojrzenie powędrowało w dal, w kierunku lśniących białych wiosek na szczytach wzgórz, odosobnionych posiadłości położonych wśród gajów oliwnych i studzien, które wyglądały jak ciemne plamki na jasnych polach. Juju zgadywała, o czym myśli - obserwatorowi z zewnątrz kraina wydawała się urocza, ale dla tego, kto musiał uprawiać tę ziemię, była twarda i nieubłagana.

- Gdy spoglądam z góry, wszystko jest bardzo malutkie - powiedział. - To całkowicie zmienia perspektywę. O ile wcześniej ziemie twojego ojca

wydawały mi się całym wszechświatem, dziś widzę je takie, jakie są - dwanaście tysięcy hektarów, posiadłość na monte i liczne małe aldeias, których mieszkańcy uważają tę ziemię za swoją ojczyznę, choć nie mają do niej żadnych praw.

- Przystałeś może do komunistów?

- Czy sprawiam na tobie wrażenie człowieka, który poddałby się jakiegokolwiek formie dyktatu? - odpowiedział pytaniem.

- Nie. - Juju nie miała ochoty rozmawiać właśnie teraz o prawach robotników lub innych kwestiach natury politycznej. Zamiast tego spróbowała otworzyć manierkę, którą ze sobą przyniosła. Zamknięcie zacięło się.

Gdy Fernando sięgnął po naczynie, by jej pomóc, ich palce się zetknęły.

Może przez to ulotne dotknięcie, a może przez jego gest, w którym kryła się niecierpliwość i pewna władczość, Juju nagle zatęskniła za nim, jak jeszcze nigdy za nikim nie tęskniła. Spojrzała mu w oczy i ich dłonie same się odnalazły. Ciepło jego ręki, którą objął jej lodowatą dłoń, przeniosło się na całe ciało Juju. Twarz Fernanda zbliżyła się do jej twarzy, a pod jego na wpół przymkniętymi powiekami Juju ujrzała tę samą namiętność, którą i ona czuła.

Nim jednak zdołała zgłębić uczucia ogarniające jej serce i ciało, nim zdążyli z Fernandem popełnić najgłupszy może błąd w swym życiu, wyrwał ich z chwilowego transu turkot zbliżającego się powozu.

Już z daleka Juju poznała okropny niedzielny kapelusz Beatriz. Potem zobaczyła, że towarzyszy jej również Joana z rodziną. Juju pomachała im z nadzieją, że po prostu pojedą dalej. Zatrzymali się jednak, więc nie pozostało im z Fernandem nic innego, jak powitać nieproszonych gości.

- Musieliśmy wziąć ten okropny powóz ze względu na dzieci - wytłumaczyła Joana, podając obojgu rękę.

Juju przedstawiła Fernanda jako swojego „starego przyjaciela, senhora Abrantesa". Gdy Fernando został zatrudniony jako zarządca w Belo Horizonte, Joana już z nimi nie mieszkała.

- Coronel Abrantes, jeśli się nie mylę? - poprawiła Beatriz siostrę. I zwracając się do niego, powiedziała: - Gratuluję, Fernando. Trzeba przyznać, że bardzo się zmieniłeś.

Juju uznała co prawda, że ton siostry nie jest zbyt serdeczny, nie pojmowała jednak, dlaczego Fernando tak się wzdrygnął. Dopiero gdy udzielił odpowiedzi, zrozumiała.

- Dziękuję, Beatriz, dziękuję. Ty też. Z każdym rokiem jesteś coraz, hm, ciekawsza. A w tym kapeluszu bardzo ci do twarzy.

Juju wstydziła się, że nie od razu dotarło do niej, o co chodzi. Beatriz zwróciła się do Fernanda na „ty”. Postąpiła niewybaczalnie, ponieważ Fernando nie był już małym chłopcem ani jednym z robotników. Fernando uczynił jedyną słuszną rzecz - nie spuścił poddańczo wzroku, nie potraktował Beatriz jak córki patrao, lecz również zwrócił się do niej po imieniu.

Beatriz nic już nie powiedziała. Przez chwilę porozmawiali z Joaną i jej mężem o nieistotnych sprawach, podczas gdy dzieci coraz bardziej się niecierpliwiły i nakłaniały do dalszej jazdy. Po raz pierwszy Juju uznała te małe potworki za użyteczne. Wreszcie powóz ruszył. Fernando i Juju jednogłośnie odrzucili propozycję, by udać się razem na pochód karnawałowy.

Z oddalającego się powozu dobiegł ich jeszcze jasny głosik jednej z dziewczynek:

- Ale to nie był przecież narzeczony cioci Juliany.

Fernando wpatrywał się w Juju przenikliwie. Nie wytrzymała spojrzenia. Odwróciła się, popatrzyła na chmurę kurzu za powozem i pomyślała, że z pewnością nie tylko mała Geraldine jest zdezorientowana.

## Rozdział Jedenasty.

Juju siedziała pod drzewem już od dziesięciu minut i stopniowo jej nerwowe napięcie przeradzało się w zmęczenie. Poprzedniego dnia, gdy ich pierwsze spotkanie zostało tak nagle przerwane, umówili się na następny ranek. Był to ostatni wolny dzień Fernanda przed powrotem do koszar. Spóźniał się.

Mimo wczesnej pory i marcowego dnia słońce grzało już dość mocno. Juju zdjęła płaszcz, złożyła go i podetknęła niczym poduszkę pod plecy. Oparta o pień drzewa zamknęła oczy i rozkoszowała się ciepłem promieni słonecznych na skórze. Przez jej powieki przebijały jasne barwy i tańczące iskierki. Przy pewnej koncentracji można było dojrzeć w nich najwspanialsze fajerwerki.

Niedługo oddawała się pięknemu złudzeniu. Zbyt świeża była jeszcze kłótnia, do której doprowadziła zeszłego wieczoru Beatriz i która ani trochę nie rozwiała podejrzeń Juju.

- Skąd właściwie znałaś stopień Fernanda? - zażądała wyjaśnień Juju, gdy tylko siostra wróciła z Beja. Sama stała na stopniu schodów, Beatriz w holu. Wyższa pozycja w pewnym sensie dawała Juju także przewagę moralną.

Beatriz o sekundę za długo zwlekała z odpowiedzią.

- W sobotę miał na sobie mundur, nie pamiętasz? Ależ nie, jak mogłabyś pamiętać, przecież opuściłaś przyjęcie. Po mundurach, moja droga Juliano, można poznać stopień żołnierza. Albo pilota.

Naprawdę można? Juju zastanawiała się, skąd Beatriz wie o takich sprawach. Nie utrzymywali wielu kontaktów z wojskowymi poza admirałami w stanie spoczynku.

- Tak, niezły gagatek z tego twojego Fernanda - dodała Beatriz ze wstrętem.

- To nie jest mój Fernando. I nie wiem, co masz przeciwko niemu. Czy zrobił ci jakąś krzywdę, o której powinnam wiedzieć?

- Jeszcze pytasz?! Ty podła świętoszko! Dobrze wiesz.

- Po prostu zwrócił się do ciebie po imieniu. Nie zasłużyłaś na lepsze traktowanie.

Beatriz współczująco pokręciła głową i uniosła brwi.

- Uważałam cię za bystrzejszą.

Juju jednak pomimo najlepszych chęci nie mogła odgadnąć, o co chodzi Beatriz. - Po prostu mi powiedz. Może to jakieś nieporozumienie, które szybko wyjaśnimy.

- Nieporozumienie? Raczej nie. Fernando odebrał mojemu Joao stanowisko zarządcy, i to celowo. A bez tego szanse Joao u papy jeszcze bardziej zmalowały. Twój przyjaciel, moja miła, zniszczył mi życie!

Juju zaniemówiła. Jak Beatriz mogła postrzegać wydarzenia w tak pokrętny sposób? Jak mogła zgromadzić w sobie tyle nienawiści? Czy nie rozumie, że zezowaty Joao sam był sobie winien, że nie otrzymał stanowiska zarządcy? Miał znacznie lepszy start i tylko z powodu swej nieporadności i lenistwa - które nie uszło uwagi nawet jego własnego ojca - przegrał wyścig z Fernandem. Poza tym, uznała Juju, Beatriz nie powinna płakać po tym łowcy posagów.

- Wręcz przeciwnie - odparła na niesprawiedliwy zarzut. - Uchronił cię przed najgorszym. Ciesz się, że nie wyszłaś za tego zezowatego nieudacznika. Chciał tylko twoich pieniędzy. Gdy tylko położyłby na nich rękę, przestałby być ci wierny.

Beatriz skrzywiła się, jakby uderzono ją w twarz.

- Nie możesz sobie wyobrazić, żeby kochał mnie dla mnie samej? Czy ktokolwiek może to sobie wyobrazić?

- Bia...

- Nie nazywaj mnie tak. Nie musisz udawać kochanego dziecka. Bardzo by mnie ucieszyło, gdybym już nigdy więcej nie musiała widzieć twojej słodkiej, zakłamaney twarzyczki. - To mówiąc, przebiegła obok Juju po schodach. Z góry dobiegło trzaśnięcie drzwiami. Juju została na miejscu, wstrząśnięta i niezdolna pojąć tego, co właśnie usłyszała. Cóż to za otchłanie się przed nią otwierają, o których dotąd nikt w rodzinie nie miał pojęcia?

\* \* \*

Juju otworzyła oczy. Z trudem odsunęła od siebie gorzkie wspomnienie kłótni. Jeszcze trudniej przyszło jej znaleźć w sobie współczucie dla siostry. Była pewna, że to Beatriz przechwyciła listy Fernanda, ale nie dało się tego udowodnić.

Siedziała pod drzewem już od ponad dwóch godzin. Nogi jej ścierpły. Wstała, by pobudzić krążenie krwi. Skakała i przytupywała, aż poczuła mrowienie rozchodzące się od palców po uda. Pomyślała, że musi stanowić dość niezwykły widok. I oczywiście dokładnie w tej chwili nadszedł Fernando.

Tym razem miał na sobie mundur - może po schadzce planował udać się bezpośrednio na dworzec. Cała jego postać aż się jarzyła. Poranne słońce świeciło mu prosto w twarz niczym reflektor na scenie, dokładnie podkreślający zalety głównego aktora. Zęby wydawały się jeszcze bielsze niż zwykle, a oczy tak jasne i intensywnie zielone jak młode liście brzozy.

Fernando rzucił czapkę na ziemię. Potem bez słowa podszedł do Juju, by, jak sądziła, przywitać ją pocałunkiem. Nastawiła prawy policzek i poczuła jego wargi w kąciку ust. To, że najwyraźniej chciał ją pocałować w usta, zmieszało ją co najmniej tak samo jak jego. Pocałunek w drugi policzek trafił już w odpowiednie miejsce. Mimo to u obojga pozostał cień niepewności.

- Juju - powiedział Fernando ochryłym głosem. - Sądziłem...

Tak, ona sądziła to samo. Że się spotkają, że będą mogli znowu zacząć tam, gdzie przerwali dawno temu, że wczorajsze popołudnie przywróciło ich bliskość. Pół nocy leżała, nie śpiąc i analizując swoje sprzeczne uczucia. Pewna była jedynie tego, że nie kocha Ruiego - i że usycha z tęsknoty za Fernandem. Ale może chodziło tylko o fizyczne pożądanie, które w niej wzbudził? Nocą niczego nie pragnęła bardziej niż znaleźć się znowu w ramionach Fernanda, śniła o jego pocałunkach i pieszczotach. Teraz jednak pojawiły się wątpliwości. Czy mądrze byłoby mu się oddać tylko po to, by zniszczyć świeżo odnowioną przyjaźń?

- Chodź, usiądziemy. - Ujęła go za rękę i pociągnęła na koc pod drzewem. Potem wyjęła z koszyka zakorkowany dzbanek, nalała kawy do kubka i podała go Fernandowi. - Masz ochotę? Już słodzona.

- Dziękuję. - Wziął kubek i objął go obiema dłońmi, jakby chciał się w ten sposób rozgrzać. Zatopiony w myślach wpatrywał się w swoją kawę i nie podnosząc wzroku, zaczął mówić:



- Wiesz, myślę, że Portugalia także zostanie niedługo wciągnięta w wojnę. Niemcy pienia się z wściekłości, bo zatopiliśmy ich statki u naszego wybrzeża. - Z siorbnięciem upił łyk kawy. - Hm, dobra. - Znów na chwilę umilkł i patrzył na parę, unosząc się z kubka. Wreszcie podniósł głowę, spojrział Juju prosto w oczy, wyprostował ramiona i powiedział to, co mu naprawdę leżało na sercu. - Kocham cię. Nigdy nie przestałem cię kochać, nie chciałem i nie chcę za żonę żadnej innej kobiety. Nie byłem dla ciebie dość dobry, pewnie nadal nie jestem. Mimo to nie mogę dłużej czekać. Inaczej jeszcze ten pozer mnie ubiegnie.

Odstawił kubek i ujął rękę Juju. Pozwoliła na to. Delikatna, sprawiająca wrażenie kruchej dłoni spoczywająca w jego uścisku wywołała w nim wzruszenie. Odchrząknął.

- Chwila zapewne nie jest odpowiednia. Nie sądzę, że liczę na twoje współczucie.

Juju zamrugła, by powstrzymać łzy. Co on mówi? Dlaczego współczucie? Czy będzie musiał iść na wojnę? Wizja, jak Fernando siedzi w małym samolocie i jest ostrzeliwany, jak spada i umiera samotny na smutnej ziemi w północnej Europie, to było dla niej za wiele. Przełknęła z trudem. Groza wojny, o której do tej pory czytała z tak wielką obojętnością, nagle stała się bliska. Zbyt bliska. Juju wreszcie zrozumiała skargi, rozpacz, gniew. Jak przywódcy państw mogli rościć sobie prawo, by decydować o życiu ich wszystkich? Jakaż okropna była myśl, że najmłodszy, najprzystojniejszy, najbardziej obiecujący mężczyźni zabijają się nawzajem tylko dlatego, że kazano im nienawidzić obcych? Podbródek i wargi Juju zadrżały niepokojąco i nie udało się jej dłużej powstrzymać płaczu. Załkała cicho.

Fernando puścił jej dłoń, z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął fotografię i podał ją Juju.

- Proszę. - Rzucił jej pocieszające spojrzenie. - Gdziekolwiek się znajdę - w ten sposób zawsze będę przy tobie.

Spojrzała na zdjęcie i uśmiechnęła się rozmarzona. Fernando stał w swobodnej pozie obok dwupłatowca, gogle zsunięte na skórzaną pilotkę, skrzyżowane nogi, ręce wsparte na biodrach, na twarzy rzadko u niego spotykany młodzieńczy uśmiech. Nie знаła go dotąd takiego - zawadiackiego, rozluźnionego, roześmianego, niemal figlarnego i wyraźnie w swoim żywiole. Mężczyzna na fotografii nie był rolnikiem z Alentejo, który dusił się własną surowością i obcesowością. Zdjęcie ukazywało wolnego od trosk młodzieńca, niemogącego się doczekać, aż

znowu wzleci pod niebo. Serce Juju zabiło mocniej. Fotografia przedstawiała mężczyznę, w którym z miejsca się zakochała.

Upuściła zdjęcie na kolana i chciała otrzeć dłonią mokre policzki, a poczuła na nich usta Fernanda, który z nieskończoną łagodnością scałowywał jej łzy.

Joao wzdrygnął się. Cała scena była tak wstrętna w swej czułości, że najchętniej by się odwrócił. Początkowo zafascynowany nie potrafił oderwać wzroku. Mocniej przycisnął lornetkę do oczu, jakby w ten sposób mógł znaleźć się jeszcze bliżej wydarzeń. Z trudem ustawił właściwą ostrość. Zazwyczaj jego zwrócone do wewnątrz oko nie przysparzało mu trudności - widział równie dobrze jak wszyscy, choć wyśmiewano go jako „zezowatego”. Jednak lornetka znacznie ograniczała jego zdolność widzenia. Joao zamknął zezowate oko i kontynuował obserwację zdrowym.

Wytworna Juliana wylała parę krokodylich łez, nieważne dlaczego, a Fernando, arogancki karierowicz, podał jej fotografię. Zapewne przedstawiającą jego samego. To by pasowało do postawy tego pyszałka, pomyślał Joao. Zawsze uważał się za coś lepszego - i zdołał ukryć przed wszystkimi swą prawdziwą naturę, udając skromnego wiejskiego chłopaka. Ha!

Fernando i Juliana objęli się niczym tonący. Całowali się tak namiętnie i tak długo, że Joao miał już ochotę opuścić kryjówkę. Elegancka dama, o ile choć trochę przypominała pod tym względem swoją siostrę Beatriz, z pewnością nie pozwoli takiemu biedakowi bardziej się do siebie zbliżyć. W każdym razie jemu samemu Beatriz nie zezwoliła na bardziej zaawansowane pieszczoty. Najbardziej intymną sytuacją było, gdy dotknął jej chudej piersi - rozumie się przez materiał sukienki. Ach, przynajmniej z tego powodu cieszył się, że nie został zarządcą. Miałby jeszcze teraz za żonę taką zimną rybę, uchowaj Boże!

Nagle dłoń Fernanda wsunęła się pod spódnicę Juliany. Joao zamarł bez ruchu. Zapowiadało się ciekawiej, niż przypuszczał. Juliana pozwalała Fernandowi na wszystko. Więcej - sama zaczęła rozpinać mu kurtkę. Trwało to wieczność i powiedziała przy tym coś, czego Joao ze swego punktu obserwacyjnego nie mógł dosłyszeć. Jej twarz była zaczerwieniona, powieki przymknięte, a usta rozchylone. Stanowiła widok, od którego Joao kręciło się w głowie - ani powściągliwa Beatriz,

ani jego nienasycona Deolinda nie wydawały mu się nigdy takie... takie zmysłowe, takie uwodzicielskie jak ta mała łajdaczka. No, no, ale minę zrobiłby patrao, gdyby się dowiedział, jakie sztuczki opanowała w Paryżu jego najmłodsza.

Fernando, ten oszust, zwlekał. Joao poznał po jego minie, że najchętniej od razu posiadłby dziewczynę. Ale zawsze był cwany łajdakiem. Udawał, że się ociąga, głaskał Julianę, zasypywał ją pocałunkami i szeptał jej na ucho różne rzeczy, których Joao ku swemu zadowoleniu nie słyszał. Z pewnością same romantyczne bzdury, jakich lubią słuchać baby. Fernando był już nagi do pasa, a spódnica Juliany podciągnięta tak wysoko, że Joao mógł podziwiać jej nogi w cieniusieńkich jedwabnych pończoszkach. Wstrzymał oddech.

Naprawdę to robią. W biały dzień, pod korkowym dębem. Jak czarne świny z Alentejo. Joao nie mógł tego pojąć. Obserwowana scena podniecała go bardziej niż akt z własną żoną lub jakąkolwiek inną kobietą. Może chodziło o nogi Juliany, które były białe, długie i szczupłe, i nie miały nic wspólnego z mocnymi, silnie owłosionymi nogami Deolindy. A może o radosne oczekiwanie, jakież to malutkie przyrodzenie za chwilę odsłoni Fernando przed ukochaną. Joao był całkowicie pewien, że pod tym względem góruje nad rywalem. Fernando nigdy nie zalecał się do dziewcząt z wioski, a to mogło znaczyć tylko tyle, że natura poskaąpiła mu męskości, prawda?

Kilka minut później nadzieja ta okazała się płonna. Gdy Fernando spuścił spodnie, Joao ujrzał - tylko na krótką chwilę, ale wystarczyła, by nie miał wątpliwości - potężny członek, który bez trudu mógł się równać z członkiem Francisca „Oszczymurka” Camposa, który przed wszystkimi mężczyznami z aldeia chwalił się swym przyrodzeniem. Joao skoncentrował się na twarzy Juliany. Nie dostrzegł na niej ani rozczarowania, ani odrazy. No bo jak? Dziewczyna nie miała pewnie zbyt wielu okazji do porównań. Ale może wyczyta z jej miny coś innego. Na przykład ból. Na tę myśl Joao poczuł, jak sam twardnieje.

Ale na twarzy Juliany nie widać było nic prócz zachwyty. Przez chwilę drżała, zamknęła oczy i otworzyła usta w niemym błaganiu. Przynajmniej tak zinterpretował to Joao - nie słyszał, jakie tamci wydają odgłosy. Ale potem rysy dziewczyny rozluźniły się i zdawała się odczuwać prawdziwą rozkosz.

Fernando był wyrafinowany, to Joao musiał mu przyznać. Nie dał się sprowokować do nadmiernego pośpiechu, lecz początkowo posuwał się

wyjatkowo ostrożnie. W powolnym rytmie unosił i opuszczał swe ciało między rozłożonymi nogami dziewczyny tak długo, aż Juliana w końcu położyła dłonie na jego pośladkach i dała mu do zrozumienia, że może robić to szybciej i mocniej. Na jej górnej wardze pojawiły się krople potu, zamknęła oczy. Z kolei Fernando wpatrywał się w nią cały czas. On również się poccił, jego plecy lśniły w świetle jeszcze niezbyt wysoko stojącego porannego słońca. Całe ciało dziewczyny wygięło się w łuk. Uniosła się ku Fernandowi, a ten objął jej pośladki, by jeszcze mocniej przycisnąć ją do siebie.

Joao był całkowicie pochłonięty widokiem Juliany. Jeśli do tej pory sądził, że jęki Deolindy stanowią szczyt kobiecej ekstazy, teraz musiał zmienić zdanie. Przez ciało dziewczyny przeszedł nagle skurcz, jakby poraził ją prąd. Wyprężyła się, nogi jej zadygotały, a po drzeniu ciała Fernanda można było poznać, że jednocześnie osiągnęli punkt, do którego on, Joao, nie mógł nigdy doprowadzić swojej Deolindy.

Wyczerpani i szczęśliwi Juliana i Fernando spojrzeli na siebie.

Joao powstrzymał jęk, zapiął spodnie, po czym spieszenie i ze wstydem opuścił kryjówkę.

Wszystko to działo się w Środę Popielcową roku 1916, a gdyby Juju i Fernando wierzyli w choć część przesądów Gertrudes Abrantes, nie posunęliby się tak daleko.

Nazajutrz, 9 marca 1916 roku, Niemcy wypowiedziały wojnę Portugalii.

Przez następny tydzień Deolinda chodziła po wiosce z żółtofioletową plamą pod lewym okiem i zapewniała wszystkich, że upadek ze schodów rzeczywiście był bardzo niefortunny.

Cztery tygodnie później Juju zrozumiała, że nie cierpi na zaburzenia cyklu. Była w ciąży.

## Rozdział Dwunasty.

Senhor da Cunha nigdy nie widział piękniejszej pary nowożeńców. Panna młoda była olśniewająca w białej, jedwabnej sukni i delikatnym welonie, który ukazywał dokładnie tyle różowych policzków i ładnego dekoltu, by nie razić poczucia przyzwoitości księdza. Również pan młody stanowił wspaniały widok, gdy prosty jak świeca i z poważnym wyrazem twarzy słuchał słów duchownego. Był ideałem mężczyzny i senhor da Cunha przyłapał się na myśli, że on sam w młodości wiele by dał, by tak wyglądać. Odepchnął jednak uczucie zazdrości, gdy tylko się pojawiło, i skierował uwagę na otoczenie.

Wiejski kościół był przystrojony gałązkami i białymi kwiatami róż, lilii, magnolii, oleandrów i jaśminu. Odurzający zapach pozwolił senhorowi da Cunha na chwilę zapomnieć, że nie jadł śniadania. Nie chciał popsuć sobie apetytu - u Carvalhów można się było spodziewać najwspanialszych smakołyków. To także stanowiło jeden z powodów, dla których zawsze chętnie przyjeżdżał do Alentejo. Jednak nawet nie przyszło mu do głowy, że po uroczystościach zaręczynowych w marcu zjawi się tu ponownie już w czerwcu.

Jose Carvalho, jego stary przyjaciel z monarchistycznego klubu w Lizbonie i ojciec panny młodej, najwyraźniej nie czuł się dobrze w swojej skórze, gdy zapraszał go, Casimira da Cunhę, na wesele. „Młodzi ludzie dzisiaj... za bardzo się ze wszystkim spieszą”. No tak, pomyślał senhor da Cunha, dziecko to naprawdę nie najgorszy powód do zawarcia małżeństwa. Bo nie umiał sobie wytłumaczyć tego niespodzianego ślubu inaczej niż faktem, że panna młoda była w ciąży. Choć nigdy nie przyznał tego publicznie, w przeciwieństwie do większości osób senhor da Cunha nie uważał, że to źle, gdy dziewczyna musi wyjść za mąż z powodu ciąży. Wkrótce na pierwszym planie znajdą się uroki macierzyństwa, głosy plotkarzy umilkną, na świat przyjdą kolejne dzieci i wszystko

potoczy się zwykłym torem. Za kilka lat - a nawet wcześniej - nadszarpnięta opinia dziewczyny ustąpi nieskalanej reputacji matrony.

Znacznie gorzej, jeśli kobieta w ogóle nie ma dzieci, jak to było w przypadku jego ukochanej małżonki. Jakże się zamartwiała, biedaczka, jak tragiczne było, gdy niepokodzona z losem nawet w godzinę śmierci skarżyła się, że nie zostawiła po sobie potomstwa. Stała przed Stwórcą pełna gniewu. Przeżegnał się na wspomnienie ostatnich chwil życia Aldory da Cunha.

Mężczyzna, który siedział obok niego na niewygodnej drewnianej ławce, obrzucił go zdumionym spojrzeniem. Senhor da Cunha odchrząknął i starał się śledzić słowa księdza. Na próżno - wciąż powracała myśl, która już dawno pojawiła się w jego głowie. On sam mógł jeszcze spłodzić dzieci. W wieku czterdziestu dziewięciu lat z pewnością nie był na to za stary. I uosabiał to, co ogólnie rozumiano pod pojęciem „dobrej partii”. Figurował w zarządzie drugiego pod względem wielkości banku w Portugalii, gospodarował w odziedziczonym starym majątku, miał letnią rezydencję w Sintrze i obracał się w najlepszych kręgach. Zarówno opinię, jak i wygląd miał nienaganne. Owszem, nie był już młodzieniaszkiem - siwe włosy przerzedzały się, policzki i kąciki ust coraz bardziej poddawały się sile ziemskiego przyciągania, ale wspaniała broda świetnie tuszowała owe oznaki starości. Casimiro da Cunha w żadnym wypadku nie uważał się za nieatrakcyjnego.

Spróbował dosięgnąć wzrokiem siostrę panny młodej, która siedziała w pierwszym rzędzie. Nawet od tyłu nie wyglądała na ładną. Miała na głowie staromodny kapelusz, a zarys jej pleców pod lekkim płaszczem był kanciasty. Ale, pomyślał senhor da Cunha, po cóż mu podniecające krzywizny? Na pewno istnieją kobiety brzydsze niż Beatriz Carvalho. A z pewnością głupsze, biedniejsze, gorzej wykształcone. Ile też ona ma lat - dwadzieścia osiem, trzydzieści? W każdym razie może zostać matką. Tak, byłaby idealna - a związek z rodziną Carvalho wyjątkowo korzystny. Zaraz po ceremonii z nią porozmawia. Wiedział, że nie należy do tych atrakcyjnych i tym samym aroganckich kobiet, które natychmiast odprawiłyby człowieka raczej niepozornego, takiego jak on. Z pewnością jest dość mądra, by dostrzec jego zalety we właściwym świetle i nie dać się przestraszyć różnicą wieku.

Obok Beatriz siedzieli rodzice panny młodej, których senhor da Cunha również widział od tyłu. Jose, stary czaruś, miał już łysinę, a w czarnych włosach dony Clementyny srebrzyły się białe nitki. A przecież jest

młodsza niż on, przyszło mu nagle do głowy. Może nie ucieszyliby się z niego jako zięcia aż tak, jak miał nadzieję. Ach, bzdury - przy nim ich córka znalazłaby się w dobrych rękach, wiek stanowił tu najmniejszy problem.

Tuż za nim jakieś dziecko, które przez cały czas gadało, z hałasem upuściło modlitewnik, ale senhorowi da Cunha znacznie bardziej przeszkadzały przyciszone upomnienia matki. Casimiro obrócił się i chciał ostrym spojrzeniem przywołać ją do porządku. Jednak gdy dokładniej przyjrzał się kobiecie, jej ubogiemu, ale porządnemu ubraniu i zaczerwienionym ze wstydu policzkom, jego rysy złagodniały. Zdobył się nawet na uśmiech i uniesienie ramion w geście, który zdawał się mówić: tak, tak, dzieci...

Casimiro da Cunha odpłynął myślami do tego, jak miał nadzieję, niezbyt odległego dnia, gdy sam weźmie na ręce swego dziedzica. Z pewnością będzie to wspaniały chłopak, okrągły, zdrowy i z przenikliwym głosem, świadczącym o jego przyszłym autorytecie. Później dostałby jeszcze siostrzyczkę. Tak, mieliby urocą córeczkę, pomyślał senhor da Cunha, różową, pulchną istotkę, która wdałaby się nie tyle w matkę, ile w jedną z jej sióstr. Rozpuszczałby dziewczynkę - ale nie aż tak, by potem przychodziła do niego z postępowymi ideami. Wyrosłaby na bogobojną, grzeczną, skromną młodą kobietę, która wie, gdzie jej miejsce w życiu. I potem on sam, może za dwadzieścia pięć lat, siedziałby w pierwszym rzędzie wspaniale udekorowanego kościoła, by powierzyć córkę odpowiedniemu młodemu człowiekowi, sięgając po chusteczkę, tak jak teraz jego przyjaciel Jose Carvalho. Nawet z najdalszego rzędu nie można było inaczej odczytać gestu ojca panny młodej. Senhor da Cunha sam miał niemal wilgotne oczy - śluby zawsze były bardzo wzruszające.

Jednak decydujący moment - „tak” obu przyszłych małżonków oraz błogosławieństwo księdza - jeszcze nie nastąpił, jak zauważył Casimiro. Rozmarzony, nie śledził uważnie ceremonii. Teraz jednak nadstawił ucha. Właśnie padre spytał dziewczynę, czy chce poślubić mężczyznę stojącego z nią przed ołtarzem. Zwlekała z odpowiedzią niezwykle długo. W kościele nagle zapadła zupełna cisza. Słyszeć było jedynie, jak dziecko, które siedziało za Casimirem da Cunha, wybija nóżkami regularny rytm o drewnianą ławkę.

Hałas nie docierał jednak do samego ołtarza.

Panowała przed nim grobowa cisza.

\* \* \*

Dla Juju minione tygodnie upłynęły jako szereg obrazów, sprawiających wrażenie niemal tak rozmazanych i głupich jak seanse w jedynym kinoteatrze w Beja. Tyle że nie stanowiły powodu do śmiechu.

Prowadziła wojnę z samą sobą. W jej sercu szalały wątpliwości i bezsilna nienawiść do siebie, które w swej gwałtowności mogły się mierzyć z barbarzyństwem na polach Ypres czy Verdun. Chętnie zamieniłaby się z jakimś żołnierzem. Ci wiedzieli przynajmniej, kto jest wrogiem i do kogo mają strzelać. Ona nie wiedziała nawet, kto jest ojcem jej dziecka.

Może umiałyby się wtedy cieszyć. Gdyby była przekonana, że ojcem jest Rui, ze spokojnym sumieniem zgodziłaby się na małżeństwo, które ich matki od tak dawna dla nich planowały. Gdyby potrafiła z całą pewnością stwierdzić, że ojcem jest Fernando, pomimo wszystkich przeszkód z radością wyszłaby za niego. Ale tak? Niektóre rzeczy po prostu się wie? Ha! Jeśli wierzyła w to przed kilkoma tygodniami, teraz dostała nauczkę. Niektórych rzeczy po prostu się nie wie i nie ma żadnej możliwości, by to zmienić. Poza czekaniem.

Gdy jej dziecko przyjdzie na świat, pozna prawdę. Juju próbowała wyobrazić sobie, jak Rui obojętnie spogląda na zielonookie niemowlę. Myśl ta była zbyt okropna, by rozważać ją dalej ze wszystkimi konsekwencjami. Jeszcze straszniejsza okazałaby się jednak chwila, w której Fernando w twarzy swego rzekomego syna odkryłby rysy rywala. Nie umiałyby mu tego zrobić.

Musiała się wszakże związać z jednym z tych dwóch mężczyzn i podjąć ryzyko, że katastrofalna prawda ujrzy światło dzienne. Mogłaby żyć z tym, że mąż uznałby ją za puszczalską, ale nie z tym, że odrzuciłby jej dziecko. Biedne małe stworzenie nie powinno cierpieć z powodu błędów matki. Nie była lepsza od Deolindy. W odstępie czterech dni oddała się dwóm mężczyznom, i to chętnie. O nieba, jak mogła?! Gdzie miała rozum? Gdzie się podziała jej przyzwoitość? Jak w ogóle mogła myśleć o tym, by jednego z dwóch potencjalnych ojców narażać na hańbę takiego małżeństwa? Ale co innego jej zostało? A zresztą może wszystko będzie dobrze. Miała pięćdziesiąt procent szans, że ojcem dziecka jest ten mężczyzna, któremu powie „tak”.

Juju próbowała wyobrazić sobie siebie jako senhorę Abrantes i senhorę da Costa. Wymawiała nawet na głos oba nazwiska. Jednak nadzieja,



że rozwiązanie wskaże jej codzienność małżeńska, szybko pierzchła. Oba wyjścia miały zalety i wady.

Jako senhora Abrantes byłaby żoną niezbyt wysokiego stopniem wojskowego i synową bardzo prostej kobiety, takiej jak dona Gertrudes, lecz przynajmniej miałaby u swego boku Fernanda. Dopóki mogła leżeć w jego ramionach, było jej obojętne, czy spoczywają na niewygodnej pryczy, czy w przytulnym miękkim łożu. Jeżeli Fernando naprawdę leżałby przy niej - jako pilot z pewnością nie zaglądałby często do domu, szczególnie teraz, w środku wojny.

Z kolei jako senhora da Costa nie musiałaby rezygnować z bezpieczeństwa i komfortu. Mogłaby nadal prowadzić życie, do jakiego przywykła. Nie uczyłaby męża subtelności kuchni francuskiej lub poprawnego używania sztucców. Nie wstydziłaby się także łatanych ubrań, opadających pończoch czy tanich guzików u mankietów. Ale czy chciała spędzić resztę życia z Ruim tylko dlatego, że miał bardziej wyszukany gust i większe wycucie stylu niż Fernando?

Nie.

Chciała poślubić Fernanda. Cóż znaczyło jego chłopskie pochodzenie? Mężczyzna taki jak on, wyjątek, jaki zdarzał się w rodzinach pokroju Abrantesów może raz na sto lat, potrafiłby ukryć swoje korzenie. Dowiódł już, że jest zdolny pokonać granice, które wyznaczał skromny rodowód. Juju zawsze stałaby u jego boku. Zadbałaby, żeby na spotkaniach towarzyskich nie stał się pośmiewiskiem. W te dni, gdy nie musiałby wkładać munduru, szykowałaby mu ubranie - inne kobiety, łącznie z jej matką, też tak robiły - aby nie wyglądał jak rolnik, który wystroił się odświętnie do kościoła. Nauczyłaby go odpowiednich manier przy stole i sportów, jakim oddawali się ludzie zamożni. Był inteligentny, pojętny i dość młody, by za kilka lat nie dało się po nim w ogóle poznać jego pochodzenia.

Zaraz potem Juju zawstydziała się, że jest tak powierzchowna i arogancka. Czy takie rzeczy naprawdę się liczą? Czy zmieniłyby się jej uczucia do Fernanda, gdyby grał w tenisa lub golfa, gdyby pozbył się ciężkiego akcentu z Alentejo, gdyby odpowiednio trzymał kieliszek z winem albo oduczył się głośno pociągać nosem i słuwać na ulicy?

Tak.

Może.

Nie! Ależ z niej głupia gęś! Wystarczająco dobrze znała wszystkie jego złe nawyki i prowincjonalne zachowania. W dzieciństwie był jej najlepszym przyjacielem.

Potem pierwszą młodzieńczą miłością. I gdy już uwierzyła, że ten etap życia na zawsze zostawiła za sobą, ponownie się w Fernandzie zakochała. Cokolwiek miała mu do zarzucenia, nic nie stanowiło takiej przeszkody, by miała z niego zrezygnować. Z jednym wyjątkiem.

Jej dziecka.

A jeśli ojcem jest Rui? Juju wyobraziła sobie chwilę zrozumienia, chwilę, gdy twarz Fernanda zamiera w maskę grozy, bo w małym człowieczku, którego do tej pory kochał, całował i pieścił, naraz odkrywa rysy innego mężczyzny. Gdy spogląda jej w oczy - z niedowierzaniem, nienawiścią, nieprzejednaniem. Tej chwili nigdy nie chciałyby doświadczyć. A jeszcze mniej chciała, aby doświadczył jej Fernando.

To by mu złamało serce. I jej by złamało serce.

Szczytem udręki Juju było wyobrażenie, jak Fernando w końcu akceptuje cudze dziecko, ale dla niej samej nie ma już nic prócz uprzejmości, a może i tego nie. Na zawsze dałby jej odczuć, jaką krzywdę mu wyrządziła. Śmiertelnie zraniony wyraz jego szmaragdowych oczu pewnego dnia ustąpiłby spojrzeniu, z którego emanowałby tylko chłód. Oszczędzi sobie tego. I jemu też. Z miłości do Fernanda poślubi Ruiego.

To złamie Fernandowi serce. Ale przynajmniej powodów będzie się doszukiwać gdzie indziej, nie w niejasnym ojcostwie. Pomyśli może, że jako przyzwyczajona do luksusu panna wybrała wygodniejsze rozwiązanie. Będzie nią za to pogardzać i jakoś się otrząśnie. Kiedyś spotka inną kobietę i zapomni o bólu. Nie będzie musiał spędzić reszty życia u boku żony, która podsunęła mu dziecko innego mężczyzny i dla której po latach zostałaby mu w najlepszym przypadku obojętność.

Dla spokoju ducha Fernanda ona złoży największą ofiarę. I dzięki temu kiedyś będzie mogła znowu spojrzeć sobie samej w oczy.

Ale cóż to była za przyszłość? Jak miała znieść życie u boku Ruiego, jeśli już nigdy nie zazna pieścizot Fernanda, nie poczuje na skórze jego gorącego oddechu, nie zasmakuje namiętnych pocałunków? Nigdy więcej nie dotknie jego pięknego ciała, nie doświadczy siły jego mięśni, gdy ją unosił, nie zobaczy z bliska iskierek w jego oczach ani ciężkich powiek z gęstymi rzęsami zamykających się w chwili ekstazy. Czy chciała na zawsze zrezygnować z brzmienia głosu, który napawał ją dreszczem, kiedy szeptał jej imię? Czy mogła żyć bez podniecenia, jakie wywoływały w niej także jego duma, ambicja i siła ducha? Czy naprawdę chciała poślubić Ruiego? O Boże, nie!

\* \* \*

- Tak, chcę - usłyszał senhor da Cunha szept czarującej panny młodej. Wszyscy obecni odetchnęli. On sam otarł łzy z kąsików oczu. Ach, śluby są takie romantyczne - im był starszy, tym bardziej go wzruszały, choć nieco się wstydził swojego sentymentalizmu.

Gdy ceremonia dobiegła końca i młoda para opuściła kościół, senhor da Cunha ustawił się w kolejce do złożenia gratulacji. Każdy chciał ucałować pannę młodą, obdarzyć pana młodego dobrymi życzeniami i radami na nową drogę i okazać swoją radość ze szczęścia młodych. Gdy wreszcie przyszła na niego kolej, w duchu miał już przygotowaną bardzo rozbudowaną wypowiedź, ale przepiękna panna młoda, w której oczach także lśniły łzy, nie dała mu dojść do głosu.

- Ach, drogi senhor Cunha, niech pan nic nie mówi. W brzuchu burczy panu głośniejsze niż mnie. Chodźmy, czeka na nas uczta.

Casimiro próbował nie dać po sobie poznać konsternacji. Taka przyziemna wypowiedź nie pasowała do świeżo poślubionej młodej damy. Czy nie mogła powiedzieć czegoś nastrojowego, romantycznego, wzniosłego? Dlaczego w najważniejszej godzinie spełnionego kobiecego życia myśli o jedzeniu? Nagle jednak jego zmieszanie ustąpiło serdecznemu zrozumieniu. Oczywiście, jak mógł być tak bezmyślny? Jeżeli potrzebował jeszcze dowodu, że panna młoda jest w stanie błogosławionym, sama mu go dostarczyła.

- Ależ z chęcią, moja droga mademoiselle, ach, pardon, madame Juliana, udajmy się do stołu, który pomimo niekorzystnej sytuacji politycznej z pewnością zastawiono aż nazbyt obficie.

Juju skinęła przyjaźnie głową starszemu panu, choć jego przypochebny sposób bycia wydawał się jej nieznośny. Potem ujęła pod ramię świeżo upieczonego małżonka i skierowała się do powozu, który miał ich zawieźć do Belo Horizonte. Towarzyszyły im radosne okrzyki weselnym gości.

Dopiero w połowie drogi do rodzinnej quinty, która odtąd nie była już jej domem, Juju zwróciła się do Ruiego - jakby wcześniej bała się spojrzeć w oczy prawdzie, że oto jest już jej małżonkiem. Sama nadal nie do końca w to wierzyła. Jednak brakowało jej słów, by wyrazić te niezwykle odczucia, więc wreszcie, aby tylko przerwać milczenie, powiedziała:

- Drogi senhor da Cunha z pewnością będzie rozczarowany, że szampan nie poleje się tak obficie jak pół roku temu.

Mąż spojrział na nią ze zmarszczonym czołem. Pierwsze pełne zdanie Juju jako jego małżonki nie dotyczyło ani jej szczęścia, ani napięcia, jakie oboje dziś odczuwali. Chodziło o senhora da Cunhę, kościstego wdowca, z którym oboje nie mieli nic wspólnego.

- No cóż - odparł. - Nikt nie umrze z pragnienia.

- Nie - powiedziała Juju. - Z pewnością nie. - Pomyślała o zapasach napojów i o tym, co zdążyła jeszcze zrobić tego ranka.

W pomieszczeniu z zapasami odkryła ładną, mocną skrzynkę, w której spoczywało sześć butelek wyszukanego Vinho do Porto. Butelki odstawiła nieuważnie na podłogę, a skrzynkę zabrała do swojego pokoju, gdzie przejrzała każdą szufladę, każdą półkę i każdy tajny schowek w poszukiwaniu pamiątek po Fernandzie.

Włożyła do skrzynki fotografię otrzymaną od niego przy ostatnim spotkaniu, jak również kilka prastarych listów, które napisał do niej jako siedemnastolatek. Dołożyła też cztery książki, które dla niego sprowadziła i które, Bóg wie dlaczego, stały zapomniane na regale. Podręczniki techniczne, pewnie i tak już przestarzałe. W skrzynce wylądował również szal, którym Fernando przed laty okrył jej ramiona i którego mu nigdy nie oddała. Powstrzymała się od powąchania materiału, by poczuć ostatni powiew znanego, kochanego zapachu. Szybko położyła na szalu kwiat z krepiny zrobiony kiedyś dla niej przez Fernanda. Na koniec w skrzynce zniknęła najcenniejsza rzecz - mała miedziana moneta ze stemplem „Beja 31.12.1899-1.1.1900”.

To wszystko zrobiła wcześniej rano, nim zaczął się ceremoniał ubierania i czesania. Spakowanie pamiątek nie trwało dłużej niż dziesięć minut. Juju załkała sucho - wylała już wszystkie łzy - by następnie, sztywno wyprostowana, zamknąć na strychu w drewnianej skrzynce po porto szczątki przeszłości.

- Moi rodzice dali aż dziesięć skrzynek cennego porto rocznik 1892 - głos Ruiego przywołał ją do rzeczywistości.

To miło, pomyślała Juju. Niedługo wypije kieliszeczek. A może dwa. Jakoś przetrwa ten dzień i noc poślubną. I kiedyś przegoni prześladowający ją cały czas obraz - obraz zielonych oczu, w których gasły złote iskiereki, bo odebrano im wolę życia.

1923-1933.

## Rozdział Trzynasty.

Antonio Saraiva pracował jako kelner w kawiarni A Brasileira od niedawna, na tyle jednak długo, by na pierwszy rzut oka umieć poznać, który gość daje hojne napiwki, a który nie. Teraz od razu spostrzegł, że ma do czynienia z niezwykle szczodłą damą. Przemawiał za tym szereg drobnych, lecz nieomylnych znaków. Zamówiła dla obojga dzieci po słodkim pastel, choć na pewno zadowolilyby się kawałkiem deseru matki. Potem w ciągu kwadransa wypaliła trzy drogie zagraniczne papierosy, ale zaciągnęła się nimi zaledwie kilka razy. I, w czym Antonio widział najpewniejszą zapowiedź wysokiego napiwku, niespokojnym gestem i z nieobecnyim wzrokiem odłożyła gazetę, choć przejrzała tylko dwie ostatnie strony. Dama wyraźnie znajdowała się w takim stanie emocjonalnym, że nie należało się spodziewać ani dokładnego sprawdzenia rachunku, ani czekania na wydanie reszty.

Łzy lśniły w jej oczach, a tęskny wyraz twarzy sprawiał, że wyglądała jeszcze piękniej. Antonio był poruszony. W jego ocenie dama miała około trzydziestu lat i pomimo tego zaawansowanego wieku wywarła na nim wrażenie, jakiego od czasu przyuczającej się do zawodu Jacinty nie wywarła na nim żadna kobieta. Na próżno próbowała zatuszować pudrem ciemne kręgi pod brązowymi oczami w kształcie migdałów, co nadawało jej jeszcze bardziej tragiczny wygląd. Długie do podbródka włosy ułożone były w lśniące fale. Dama zdjęła ekstrawagancki kapelusz z piórem, jakiego Antonio nigdy dotąd nie widział w Lizbonie, co również świadczyło o jej stanie ducha. Która młoda dama z wyższych sfer siedzi w biały dzień bez kapelusza - a przede wszystkim z dziećmi, ale bez opiekunki - w kawiarni, pali publicznie papierosy i zamawia likier?

Antonio był pewien, że kobieta pochodzi z wyższych sfer. Jej strój i ubranka jej niegrzecznych dzieci, arogancki ton, manikiur oraz elegancka papierośnica

z kości słoniowej i srebra mówiły same za siebie. Może to cudzoziemka? Ale nie, wtedy nie czytałaby gazety. Może pochodzi z Brazylii albo którejś portugalskiej kolonii? Raczej nie - tam również umalowane na jaskrawo czerwono usta nie stanowiłyby powszechnego widoku, w każdym razie nie po południu. No cóż, Antonio dowie się, o co chodzi. I tak należało opróżnić popielniczkę, mógł też spytać o dalsze zamówienia. Może nadarzy się okazja, by poznać bliżej tę tajemniczą kobietę, ową femme fatale. Bo tym była bez wątpienia: kobietą z przeszłością.

Juju była zupełnie innego zdania. Czuła się raczej jak kobieta bez przeszłości. Siedem lat u boku Ruiego się nie liczyło, a te wcześniejsze dobrowolnie odrzuciła. Przyszłość zaś nie zapowiadała się lepiej.

- Laura! Paulo! Dość tego! Chodźcie tu zaraz i usiądźcie spokojnie! - Dzieci natychmiast wynurzyły się spod marmurowego stolika, pod którym bawiły się w chowanego. Nie były przyzwyczajone do tak ostrego tonu matki. Złękły się trochę i uznały za stosowne posłuchać polecenia. Laura, z uroczymi usteczkami, skośnymi brązowymi oczami i dołeczkami w policzkach, identycznymi jak u matki, usiadła urażona na krześle, oparła ręce na blacie i zaczęła się bawić cukiernicą. Paulo, który we wszystkim starał się naśladować sześcioletnią siostrę, pozwolił matce posadzić się na krześle i wykrzywił pyzată buzię. Wyglądał tak, jakby miał się w każdej chwili rozplakać. Rączki miał jeszcze za krótkie, by móc dosięgnąć fascynującej cukiernicy, więc mógł tylko obserwować toczące się dookoła kryształki cukru.

- Boże, Lauro! Przestań! Chcesz przecież zachowywać się jak mała dama, prawda? Damy nie robią takiego bałaganu.

- A co robią?

Dobre pytanie. Poślubiają niewłaściwych mężczyzn, prowadzą puste życie i wydają dużo pieniędzy na rzeczy, które nie czynią ich szczęśliwymi? Niezadowolone z samych siebie szykanują służbę, oczerniają innych ludzi i często cierpią na ataki migreny? Czy to powinna powiedzieć małej Laurze? Eleganckie damy zawsze robią tylko to, czego się od nich oczekuje, i nigdy tego, czego w głębi serca pragną, na przykład nie bawią się w rozsypywanie cukru.

- Prawdziwa dama siedzi na krześle wyprostowana, popija małymi łyčzkami napój i rozmawia z innymi osobami przy stole o rzeczach, które nie mają nic wspólnego z potrzebami ludzkiego ciała.

- Czy to znaczy, że nie wolno mi powiedzieć, kiedy Paulo narobi w majtki? - Laura zachichotała świadoma swego przewinienia. Dobrze wiedziała, że o czymś takim się głośno nie mówi.

- Bardzo słusznie. - Juju przybrała groźny ton.

- Kiedy on cały czas...

- Jeśli jeszcze raz to powtórzysz, natychmiast pojedziemy do domu i każę ci przez cały tydzień ćwiczyć z doną Violante grę na pianinie po pięć godzin dziennie.

- Ale on i tak zawsze to robi! - Laura ujęła widelczyk i przekornie zaczęła dłubać w swoim pastel. Paulo, który przysłuchiwał się rozmowie i zrozumiał, że starsza siostra niepochlebnie o nim mówi, zaczął płakać i dostał czkawki.

Juju wzięła go na kolana.

- Nie przejmuj się tym tak bardzo, Paulinho. Kiedy Laura miała dwa lata, wcale nie była lepsza. - Chłopak się uspokoił. Juju ponownie posadziła go na krześle i postanowiła nigdy więcej nie wyjeżdżać sama z dziećmi. Takie niemożliwe rozmowy zostawi niańce.

Nie mogła jednak zabrać niańki w tę podróż. Lepiej, żeby jak najmniej ludzi znało jej plany. Nawet jeśli nie istniało duże ryzyko, że dziewczyna dowie się czegoś o zamiarach swej pani, nie mówiąc już o wykorzystaniu ich przeciwko niej, Juju uznała, że mądrzej będzie zostawić Aninhę w Pinhao. „Ależ nie - wyjaśniła zdumionemu Ruiemu i rozczarowanej Aninhii. - W Lizbonie zamieszkamy u Isabel i jej rodziny i nawet bez służby już będzie ciasno. Poza tym Isabel zatrudnia dla swego najmłodszego synka amę, która na pewno może zaopiekować się naszą dwójką, gdybym miała ochotę pójść sama na spacer”.

I oto, co jej z tego przyszło: przez połowę czasu musiała sama zajmować się dziećmi, ponieważ tak źle się dogadywały z synem Isabel, że dla wszystkich była to udręka. Może siostra powinna była jednak trzymać się swego początkowego planu, by nie mieć potomstwa - jako matka zupełnie się nie sprawdzała. Chłopiec miał cztery lata, zatem Laura zdecydowanie odrzuciła go jako towarzysza zabaw. Był też okropnym chuliganem i tym samym stanowił poważne zagrożenie dla synka Juju. Ostatnio uderzył Paulinha w głowę ciężką książką. Jedyne gwałtownej interwencji Laury należało zawdzięczać, że mały nie dostał wstrząsu mózgu i skończyło się tylko na dużym siniaku. Przynajmniej rodzeństwo trzymało się razem wobec wspólnego „wroga”, to jedyna pocieszająca myśl.



Juju ujęła kieliszek galao w obie dłonie i przytrzymała parujący napój przy ustach, powoli go popijając. Wyglądała jak ktoś, kto musi się ogrzać. Albo coś przemyśleć. Jednak nie było jej to dane. Paulinho odkrył gazetę i skoncentrował się całkowicie na darciu kolejnych stron na małe kawałeczki. Juju gwałtownie odebrała mu gazetę. Chłopiec znowu zaczął płakać.

Stolik wyglądał jak pole bitwy, pełne kawałków cukru, strzępków papieru, zmaltretowanych kawałków ciasta i rozlanej lemoniady. Kelner, który przy każdej okazji rzucał Juju impertynenckie spojrzenia, był po prostu zbyt powolny jak na żądę zniszczenia jej dzieci. Zresztą sama Juju także. Nie miało sensu odbieranie im każdego przedmiotu, wypominanie każdego słowa, zakazywanie wszelkich figli - co chwila przychodziło im do głowy coś nowego.

Dopiero gdy przy sąsiednim stoliku usiadła para z psem, dzieci chwilowo skupiły uwagę na zwierzęciu. Juju pozwoliła im się bawić, nie dodając, że Laura powinna uważać na sukienkę, a Paulo być ostrożny. Zapaliła papierosa i patrzyła w lustro na odbicie kółek dymu, które unosiły się z jej ust. Rozwiewały się wolniej niż dziś rano jej nadzieje.

Nim w jej oczach ponownie pojawiły się łzy, Juju zmusiła się, by spojrzeć obiektywnie na swoje życie. Naprawdę nie miała powodu użalać się nad sobą. Każdy kelner w tej kawiarni chętnie by się z nią zamienił - tak jak prawdopodobnie dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludności Portugalii. Mój Boże, ależ była głupią gąską! Żyła w luksusie. Miała męża, o którym proste umysły powiedziałyby, że jest „dla niej dobry”, dwoje ślicznych dzieci, miłych teściów, sprawną służbę, a w najbliższej rodzinie nie zdarzyła się żadna choroba czy śmierć - rodzicom, siostrom oraz ich najbliższym, o ile mogła to ocenić Juju, wiodło się dobrze. Ona sama dysponowała czasem i pieniędzmi, by poświęcić się pielęgnacji ogrodu lub urządzaniu domu, dwóm zajęciom, które wyjątkowo lubiła. Mogła w każdej chwili wybrać się na zakupy do Paryża lub Londynu i nabyć nowe stroje dla siebie i dzieci. I sypiała tak długo, jak tylko chciała. Obecnie było to niemal jednaście godzin dziennie, dziewięć w nocy plus dwugodzinna sjesta. Tak, przesypiała życie i nawet się tym nie przejmowała. Bo cóż ją omijało?

Czy jej obecność miała jakiegokolwiek znaczenie? Dzieci czuły się znacznie lepiej, gdy mogły przebywać z Aninhą, która poruszała się na

intelektualnej płaszczyźnie dziesięciolatki i przy której mogły bezkarnie wypowiadać słowa, jakich zabraniała im używać matka. Jej teściowie, dona Filomena i senhor Adalberto - Juju nadal nie potrafiła się do nich zwracać per „mama” i „papa” - mieli siebie nawzajem i nie potrzebowali innych osób do towarzystwa. Dość długo mieszkali sami w dużym domu nad Douro, by umieć świetnie bawić się ze sobą. Często grali w karty, siedzieli razem przy kominku i czytali albo chodzili na spacer. Oczywiście kochali swoje wnuki i korzystali z każdej okazji, by opowiedzieć im bajkę lub pobawić się z nimi w berka. Mimo to Juju nie mogła się wyzbyć wrażenia, że teściowie czuliby się równie dobrze, gdyby w domu nie było nikogo poza nimi. Całkowicie sobie wystarczali. Rzadko spotykało się pary, które po tak wielu latach małżeństwa miały dla siebie tyle serdeczności i były równie skoncentrowane na sobie. Może w innym przypadku dona Filomena zauważyłaby, że małżeństwo jej syna znacznie odbiega od tego ideału.

Juju była mężowi obojętna - tak jak on jej. Nie można nawet powiedzieć, że stanowili złe małżeństwo. Traktowali się z szacunkiem i uprzejmością. W długie zimowe wieczory również siadywali przy kominku, czytając, lub grali w brydża z doną Filomeną i senhorem Adalbertem. Rui czasami omawiał z Juju kwestie handlowe, aby jak przystało na żonę odnoszącego sukcesy wytwórcy porto, była dobrze poinformowana. Gdy w Quinta das Laranjeiras zjawiali się na obiad zagraniczni importerzy lub inni partnerzy w interesach, powinna uczestniczyć w rozmowie i nie okazywać przed gośćmi całkowitej ignorancji.

Juju przyjmowała godziny lekcji o porto ze stoickim spokojem. Początkowo fascynowało ją, z jaką dumą tutejsi ludzie oddają się uprawie winorośli. W Alentejo bywały co prawda bardzo przyzwoite wina, a ich własne reserva do belo horizonte wszystkim smakowało. Nikt jednak nie zastanawiał się nad nachyleniem stoku lub jego wysokością. Natomiast nad Douro z każdego szczegółu, który mógł mieć choćby najmniejszy wpływ na uprawy, czyniono osobną naukę. Wprowadzono system ocen i każdej winnicy przydzielano punkty. Za południowe położenie przyznawano więcej punktów niż za północne, gleba łupkowa zyskiwała największą liczbę punktów, za glebę granitową lub namuły punkty odejmowano, wydajność wynoszącą sześćset litrów na tysiąc pędów uznawano za optymalną, wyższą karano niższą punktacją. I tak dalej. Na końcową notę składały się gęstość nasadzeń, system uprawy, a nawet ochrona przed wiatrem - ocena zaś dotyczyła tylko jednej winnicy.

W Quinta das Laranjeiras znajdowały się wyłącznie winnice wysokiej klasy A lub B, co nie znaczyło, że dobre wino nie mogło też pochodzić ze stoku klasy F.

Hodowcy winorośli z nad Douro byli dumni z tego, że ich region został pierwszym na świecie terenem uprawy szczepu D.O.C. W 1756 roku dokładnie ustalono, w jakich granicach można uprawiać winorośl do wytwarzania porto. Nadawały się do tego tylko określone odmiany, na przykład touriga nacional lub tinta roriz na porto czerwone albo malvasia fina na białe.

Jednak właściwe misterium rozpoczynało się dopiero po zbiorach. Przcynanie było sztuką, której Juju prawdopodobnie nigdy nie będzie dane pojąć. Rui i jego ojciec niezliczone razy zabierali ją ze sobą do piwnic w Vila Nova de Gaia, dawali jej skosztować moszczu, którego fermentację powstrzymywano, dodając destylat wina, tłumaczyli różne procesy, prowadzili ją przez pomieszczenia z ogromnymi dębowymi beczkami i próbowali wzbudzić w niej fascynację porto. Jednak na próżno - co prawda po siedmiu latach pobytu nad Douro Juju potrafiła rozróżnić kiepski ruby od najlepszego rocznika albo stary, dojrzewający w beczkach colheita od młodego tawny, ale po posiłku zamiast najlepszego porto zawsze wybierała koniak. I sięgała po niego coraz częściej.

Juju miała dość wszystkiego, co wiązało się z porto. Malownicze zbocza wzdłuż Douro i jego dopływów najpierw uważała za przepiękne, ale teraz wydawały się jej przytłaczające. Chłodniejszy klimat północnej Portugalii, który lubiła na początku małżeństwa, obecnie uznawała za surowy i brzydki. Niezwykle strome porośnięte winoroślą terasy o nachyleniu przekraczającym trzydzieści pięć stopni dawniej sprawiały wrażenie romantycznych i pełnych dramatyzmu, jednak z czasem stały się po prostu zbyt uciążliwe. Nie dało się przespacerować więcej niż sto metrów, by nie musieć podejmować męczącego podejścia lub zejścia. Od tego całego wdrapywania się łydki Juju były już tak mocne jak u góralki!

Wszystko, co przyciągało w ten rejon turystów, odstręczało Juju. Pomimo najlepszych chęci jesienią nie potrafiła już dostrzec w czerwonym i żółtym listowiu nic idyllicznego - myślała tylko z przerażeniem o zbliżającej się zimie, która była tu chłodna, wilgotna i ponura, a w dodatku powodowała astmę jej synka. Juju nie urzekały również wspaniałe posiadłości rozsiane po okolicy - przypominały jej tylko o tym, jak odległa jest jej własna quinta i jaki straszny błąd popełniła, poślubiając Ruiego.

Najmniej jednak rozumiała, co cały świat zdawał się widzieć w Porto. Czasami jeździła tam pociągiem z Pinhao na zakupy lub do lekarza, ale miasto nie miało dla niej najmniejszego uroku. Juju dobrze wiedziała, że nie oddaje Porto sprawiedliwości. Lecz, na Boga, już same piwnice z porto na przeciwległym brzegu rzeki, których nie dało się przeoczyć ze względu na ogromne tablice z nazwami firm, wystarczały, by skłonić ją do natychmiastowego powrotu. W Laranjeiras mogła przynajmniej spać i na jakiś czas zamknąć oczy na swe smutne życie.

- Czy szanowna pani życzy sobie czegoś jeszcze?

Kelner stanął usłużnie przy stole i spojrzał na Juju z nieskrywaną ciekawością.

Najchętniej odpowiedziałaby mu, że ma jeszcze tysiąc życzeń, z których ani on, ani nikt inny na świecie nie może spełnić choćby jednego.

- Nie, dziękuję. - Niecierpliwie pogrzebała w papierośnicy, wyjęła jeden z długich papierosów i pozwoliła kelnerowi podać sobie ogień. Przytrzymała jego dłoń, jakby chciała osłonić płomień przed wiatrem, i w ten sposób bezwiednie ośmieliła młodzieńca, który rzucił jej gorące spojrzenie. Jak to się stało, że taki przystojny chłopak bezwstydnie flirtuje z kobietą niemal dwa razy od siebie starszą?

- Może pan już odejść, dziękuję. - Juju ostentacyjnie odwróciła wzrok, lecz zaraz dostrzegła w lustrze urażone spojrzenie kelnera. Odsunął się gwałtownie i pospieszył do następnego stolika.

Laura i Paulo wciąż kręcili się po wyłożonej kafelkami podłodze, która z pewnością była lodowata. Jutro dzieci będą poważnie przeziębione i jeszcze bardziej marudne niż zwykle. W tej chwili jednak dla Juju liczyło się tylko to, że pies nadal przykuwał ich uwagę i zezwalał na wszystkie barbarzyńskie zabawy maluchów. Skinęła głową właścicielom, którzy z kolei wydawali się zadowoleni, że zwierzę jest pod taką opieką.

Dokładnie tak jak Rui, pomyślała Juju rozgoryczona. Gdy powiedziała o swoim planowanym wyjeździe do Lizbony, sprawiał wrażenie, jakby niemal mu ulżyło, bo już dawno pragnął wytchnienia od uciążliwego towarzystwa. Tym lepiej, uznała Juju. Co prawda miała wiarygodny pretekst w postaci astmy Paulinha i lepszych lekarzy w stolicy, ale nie wiedziała, czy ostałby się przy dokładniejszym śledztwie. Czyż w Porto nie ma kompetentnych medyków? A jeśli już chce się udać do specjalisty,

dlaczego nie w Paryżu? Ale Rui o nic nie wypytywał i w ten sposób jeszcze bardziej się wobec niej zdystansował. Gdyby nie okazywał Juju tej całkowitej obojętności, gdyby przynajmniej był przyjacielem i partnerem do rozmowy, może nie zrodziłaby się w niej nieszczęsna obsesja, która stała się przyczyną podróży.

Im mniej słuchał jej Rui, tym bardziej Juju brakowało rozmów z Fernandem; im częściej mąż od niej uciekał, tym mocniej marzyła o bliskości, jakiej doświadczyła tylko w młodych latach; im mniej radości było w aktach małżeńskiej miłości - przy czym od ostatniego upłynęły przynajmniej dwa lata - z tym większym trudem znosiła wspomnienie pieszczot Fernanda; a im rzadziej Rui ją upominał, krytykował i oskarżał o nieudane małżeństwo, tym bardziej uporczywe stawało się jej pragnienie, by całkowicie się z niego wyrwać.

W minionych miesiącach była opętana pragnieniem ponownego zobaczenia Fernanda. Mariana opowiadała jej, że mieszka w Lizbonie i robi zawrotną karierę w wojsku. Jeszcze przed paroma minutami nie wiedziała nic więcej.

Jak można mieć takiego pecha? Czekał siedem lat, a potem musiał się ożenić na dwa dni przed tym, jak uległa chęci zobaczenia się z nim! Przeczytała o tym w kronice towarzyskiej w „Diario de Noticias”. „Czarująca para: panna młoda, Elisabete Abrantes Almeida, najstarsza córka pośła Luiza Inacia Almeidy dos Passos i jego małżonki, dony Leonor, oraz jej mążnek Fernando Abrantes, bohater wojenny, pionier lotnictwa i inżynier, w sobotni wieczór walcem wiedeńskim zapoczątkowali przyjęcie weselne w sali balowej hotelu Avenida Palace”. Cóż za okropne zdanie - Juju musiała przeczytać je trzy razy, zanim wszystkie informacje przeniknęły do jej umysłu. Jednak o wiele gorsze - bardziej wymowne - było zdjęcie zamieszczone obok tekstu - Fernando i ta Elisabete na balu, w czułym objęciu, oboje uroczo uśmiechnięci. Juju miała nadzieję, że fotografia również padła ofiarą żądzy niszczenia jej syna.

Zgasiła papierosa i sięgnęła po resztki gazety. Chciała raz jeszcze spojrzeć krótko na twarz Fernanda. Proszę, dobry Boże, żeby tylko Paulinho nie zniszczył zdjęcia!

Rozdarcie biegło przez środek wizerunku świeżo poślubionej pary i Juju omal się nie roześmiała. Sama by tego lepiej nie zrobiła. Ostrożnie oderwała tekst i oddzieliła podobiznę Fernanda. Popatrzyła na nią intensywnie, ale im uważniej się przyglądała, tym bardziej rozmywały się jego rysy, stając się abstrakcyjną czarno białą grafiką, która nie miała

nic wspólnego z prawdziwym Fernandem. Zdenerwowana Juju zmięła zdjęcie i wrzuciła je do popielniczki.

Wyrwał ją z zamyślenia ogłuszający huk. Dzieci najwyraźniej tak rozdrażniły psa, że zaczął się bronić z wściekłym warczeniem - na co malcy, jak zrekonstruowała wydarzenia Juju, gwałtownie rzucili się do ucieczki i przewrócili stolik.

Juju zerwała się z miejsca, przyciągnęła zaleknione dzieci i wymierzyła każdemu głośny policzek.

- No to koniec. Przez trzy dni zostaniecie w swoich pokojach. A teraz siadać i ani słowa więcej. - Dopiero teraz zauważyła oburzone twarze właścicieli psa, których napoje wylały się na ich ubrania i na podłogę. - Oto moja wizytówka. Oczywiście pokryję koszty pralni i wszystkie pozostałe szkody. - Skinęła na kelnera, który podobnie jak wszyscy obecni zafascynowany śledził przedstawienie, i zażądała rachunku.

Zapłaciła o wiele za dużym banknotem.

- Proszę dopisać jeszcze napoje tamtych państwa - wskazała na sąsiedni stolik.

Nieco później kelner wrócił z resztą. Juju wzięła wszystkie monety ze srebrnej tacki i bezmyślnie wrzuciła je do portmonetki. Wstała, zdjęła płaszcz z oparcia krzesła i zauważyła, że młody kelner stoi za nią, by pomóc jej się ubrać. Potem, gdy wkładała rączki Paula w kurteczkę, zapiął Laurze płaszcz. No, pięknie, pomyślała Juju, kelner naprawdę nie był winien temu, że zrujnowała sobie życie i tak źle wychowała dzieci. Sięgnęła po torebkę, wyjęła dziesiątaka i podała go młodzieńcowi z krzywym uśmiechem.

Antonio podziękował głębokim ukłonem.

Jeśli chodzi o wysokość napiwku, miał rację.

## Rozdział Czternasty.

Potrzeba pewnego talentu aktorskiego, by zaplanowany „przypadek” wyglądał przekonująco.

Juju zawsze sądziła, że posiada tę umiejętność, teraz jednak ogarnęły ją silne wątpliwości. Co innego stać na scenie i dokładnie wiedzieć, kiedy należy wypowiedzieć przećwiczone wcześniej zdanie, a co innego, gdy, tak jak teraz, nie zna się ani pory, ani dokładnych okoliczności występu.

„Fernando? Niemożliwe! Cóż za przypadek!” - to zamierzała wykrzyknąć, gdy go zobaczy. Ale jak tu w decydującym momencie zrobić minę, którą tak długo ćwiczyła przed lustrem, żeby wyglądała na prawdziwe zaskoczenie, skoro serce podchodzi jej do gardła? Jak stłumić podniecone drzenie, błyskawicznie ogarniające ciało na ten wytęskniony, ale i budzący lęk widok?

Sprawdziła, gdzie Fernando mieszka, i poznała jego zwyczaje. Wiedziała, że około dziewiątej opuszczał dom przy Rua das Janelas Verdes, skręcał w prawo, pokonywał około dwustu metrów do Largo de Santos i tam wsiadał w tramwaj numer 24, jadący na Praca do Comercio. Łatwo byłoby wpaść na niego na ulicy, niby to w drodze do pobliskiej kawiarni lub Museu Nacional de Arte Antiga. Ale co by zrobiła, gdyby był z żoną? Gdyby zaczęło padać, a on trzymałby parasol tak nisko, że nie zdołałaby go rozpoznać? Albo gdyby przeszedł koło niej zbyt szybko, by mogła wykrzyknąć przygotowane słowa powitania?

Juju usłyszała trzykrotne bicie kościelnych dzwonów w Santos o Velho. Jeszcze kwadrans. Zjawiała się o wiele za wcześnie, a z każdą chwilą oczekiwania jej serce biło coraz szybciej. Sprzedawca w kiosku mierzył ją już gniewnym spojrzeniem, bo nie była w stanie kupić żadnej z gazet, które przeglądała. Może powinna spędzić kolejne dziesięć minut w kościele? Tam przynajmniej nie rzucałaby się nieprzyjemnie

w oczy, tak po prostu stojąc w miejscu. Wtedy jednak mogła przegapić Fernanda, a tego ryzyka Juju w żadnym wypadku nie chciała podjąć. Nie po tym, gdy tak długo walczyła ze sobą, by w ogóle tu przyjść i doprowadzić do spotkania.

Kupiła magazyn mody i poprosiła mrukliwego sprzedawcę o tasiemkę, by przewiązać czasopismo. Zajmowała się tym jak najdłużej. Potem próbowała włożyć pismo do torebki, ale nie chciało się zmieścić. Wreszcie wepchnęła magazyn pod pachę i powoli skierowała się w stronę kościoła. Przed wejściem obejrzała się szybko, by sprawdzić, czy Fernando nie stoi już na ulicy. Ale nie, nie wyszedłby tak wcześnie.

Weszła między ciężkimi kotarami do Igreja de Santos o Velho, przeżegnała się święconą wodą i usiadła na jednej z tylnych ławek. W powietrzu unosił się zapach kadzidła, zapewne jeszcze po wczorajszej mszy. Poza Juju w kościele znajdowały się jeszcze cztery osoby, każda pogrążona w cichej modlitwie. Lub w myślach. Jakaś kobieta siedząca kilka rzędów z przodu zdawała się płakać. Ramiona jej drżały i Juju na chwilę oderwała się od własnych zmartwień. W końcu odwróciła wzrok od kobiety i rozejrzała się niespokojnie po barokowej świątyni. Z trudem opanowywała zdenerwowanie. A jeśli właśnie w tej chwili Fernando przechodzi koło kościoła? Otworzyła torebkę, wyjęła lusterko i przejrzała się. Nieba, przemknęło jej przez głowę, cóż za świętokradztwo! Z drugiej strony któż to zauważy, może poza Panem Bogiem? A ten z pewnością okaże wyrozumiałość Juju, która chciała ładnie wyglądać na czekające ją spotkanie.

Ale czy to w ogóle ma sens? Czy grube warstwy pudru ukryją zmęczenie na jej twarzy? Czy eleganckie fale, delikatnie podmalowane oczy i podkreślona naszyjnikami z pereł łabędzia szyja zdołają kogoś przekonać, że nadal jest młodą piękną z prowincji? Czy Fernando w ogóle ją pozna? Czy nie lepiej byłoby włożyć stary szal, który może by sobie przypomniał? Ach, cóż za nonsens! Któż oczarowuje mężczyzn niemodnymi akcesoriami? Ubrała się jak najbardziej odpowiednio, w szary kostium, niesprawiający wrażenia ani zbyt konserwatywnego, ani zbyt nowoczesnego, pięknie podkreślający jej kształty i niewyglądający ani trochę wulgarnie. Potrzebowała dużo czasu, by zdecydować się na ten strój, ale idealnie pasował do okazji.

Juju dostrzegła w lusterku, że ktoś wchodzi do kościoła, więc szybko je schowała. Wstała, w przejściu lekko przyklękła zwrócona do ołtarza, przeżegnała się pospiesznie i opuściła świątynię.



Na zewnątrz lekko mżyło. Otworzyła parasolkę i ukradkiem rozejrzała się na wszystkie strony. Przy takiej pogodzie jeszcze bardziej rzucałoby się w oczy, gdyby tak po prostu stała i patrzyła w stronę domu Fernanda. Musiała się ruszyć i musiała szybko podjąć decyzję - czy wyjść naprzeciw, czy lepiej udać się na przystanek? Zdecydowała się na to drugie. Dotarła do przystanku w tej samej chwili, w której kościelne dzwony wybiły pełną godzinę. Dziewiąta. Obróciła się, ale nigdzie nie było widać Fernanda. Za to z denerwującym dzwonieniem zbliżał się tramwaj.

Juju nie wsiadła do przepełnionego wagonu. Kilkoro pasażerów, którzy wytarli na mokrej szybie kółka, by mieć lepszy widok na zewnątrz, popatrzyło na nią ze zdziwieniem. Juju pomyślała, że pewnie nie będą się zastanawiać dłużej niż pięć sekund, dlaczego stojąca w deszczu dama nie wsiadła do tramwaju. Lisboetas, lizbończycy, znani byli z tego, że mało interesowali się innymi ludźmi. Mimo to czuła się nieswojo. Kilka minut później nadjechał kolejny tramwaj. Pasażerowie znowu patrzyli na nią ciekawie. Tym razem Juju nie spuściła głowy, lecz równie bezczelnie odwzajemniała spojrzenia.

Właśnie gdy tramwaj odjechał, jej spojrzenie pochwyliło parę charakterystycznych zielonych oczu, które wpatrywały się w nią z niedowierzaniem. Fernando stał w tylnej części wagonu, trzymając się mocno mosiężnego uchwyty. Odwrócił się i patrzył za Juju przez tylne okno, dopóki tramwaj nie zniknął za zakrętem. Wyglądał jak ktoś, kto miał wizję i kto nie dowierza własnym zmysłom. W mundurze wydawał się jakby nie na miejscu, co wzmogło jeszcze wrażenie nierzeczywistości, jakie wywarła na Juju cała scena.

Skamieniała. Dlaczego mu nie pomachała? Wtedy przynajmniej miałby pewność, że to naprawdę ona, a nie jakiś sobowtór. Pogrzebała sprawę! W dodatku widział ją w sytuacji, która musiała mu się wydać wyjątkowo dziwna. Juju przygryzała dolną wargę i zastanawiała się, jak teraz postąpić. Stopniowo jej puls uspokoił się. Kolejnego „przypadku” nie będzie mogła tak szybko zainscenizować. Napisać do Fernanda liścik? Wobec każdej innej osoby wydawałoby się jej całkowicie naturalne, by po takim spotkaniu napisać kilka słów. „Droga Clarice, cóż za niespodzianka widzieć Cię w Lizbonie! Czy miałabyś ochotę spotkać się ze mną na kawie? Po tylu latach z pewnością mamy sobie wiele do opowiedzenia”. I tak dalej, z serdecznymi pozdrowieniami. Ale z Fernandem nie mogła się w ten sposób skontaktować. Mogła tylko mieć nadzieję, że on odezwie się do niej. Lecz czy to zrobi, po tym wszystkim, co mu uczyniła?

Juju powoli udała się na wschód, w kierunku centrum. Wsiądzie do electrico na następnym przystanku. Albo lepiej zatrzyma taksówkę. Co kilka metrów oglądała się i wypatrywała wolnego auta. Gdy wreszcie dostrzegła je w pewnym oddaleniu, przystanęła, by pomachać. Chwilę trwało, nim taksówka podjechała. Kierowca zatrzymał się z piskiem, i to w jedynym w okolicy miejscu, gdzie Juju musiała przejść przez kałużę, by wsiąść. Dała znak, by przesunął się kawałek dalej, on jednak nie zrozumiał i przeklinając, odjechał.

- Powinnaś była raczej pojechać tramwajem - usłyszała nagle znajomy głos.

- Fernando! Co...?

- Nie byłem pewien, czy to naprawdę ty. Wsiadłem zaraz na następnym przystanku i poszedłem z powrotem.

- Tak. - Juju poczuła się niewiarygodnie głupio. Jak można powiedzieć równie idiotyczne i niestosowne „tak”? Ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Wszystkie piękne, dowcipne, ironiczne, inteligentne wypowiedzi, które wcześniej ćwiczyła, nagle uleciały. Zamiast tego pojawiła się zupełna pustka.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz trochę blado.

- Och, e... tak. Tak, dobrze się czuję. A ty? - Do diaska, jak może mówić takie głupstwa?

- Dziękuję, ja też. - Fernando badawczo popatrzył jej w oczy. - Zmieniłaś się, Juju.

- Tak przypuszczam. Minęło siedem lat, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

- Powoli odzyskiwała panowanie nad sobą. Miała tylko nadzieję, że nie zauważył drżenia w jej głosie.

- Tak.

Dziwne, pomyślała Juju, w jego ustach proste „tak” wcale nie brzmi pusto. Brzmi bardzo znacząco. Oskarżycielsko. A może tylko to sobie wyobraziła? Może chodziło wyłącznie o imponujące wrażenie, jakie wywierał jego mundur?

- Zdaje się, że zaszedłeś daleko - powiedziała. - Tylko najwyraźniej nie dali ci do dyspozycji szofera.

- Ależ tak. Tylko niezbyt często korzystam z jego usług. Lubię rano jeździć tramwajem.

Na szczęście, pomyślała Juju.

- Masz czas - spytała - by wstąpić ze mną na bica do cukierni naprzeciwko? Nie jest zbyt miło tak stać na deszczu.

Wyjął zegarek z kieszeni kamizelki, sprawdził godzinę i wzruszył ramionami.

- Mam jeszcze kilka minut.

Lokal przeznaczony był przede wszystkim do konsumpcji na stojąco, ale przy ścianie naprzeciw lady stały trzy małe stoliki. Zajęli miejsce, chwilę później dostali zamówione espresso i wciąż nie wypowiedzieli ani słowa. Juju wsypała do kawy tyle cukru, że wypełniła filiżankę po brzegi i musiała długo mieszać, by się rozpuścił - jakby mechaniczne ruchy mogły złagodzić jej zakłopotanie.

- Co porabiasz w okolicy? - spytał Fernando neutralnym tonem.

- Wybierałam się do znajomego w Lapa.

- Ale?

- Ale co?

- Cóż, wydawało mi się, że jednak zmieniłaś zdanie - chciałaś właśnie wsiąść do taksówki jadącej w przeciwnym kierunku.

Juju zmiękły kolana. Dobrze, że siedziała. Czy mogła się szybciej zdradzić? Pociągnęła łyk bica, która była tak słodka, że niemal ją zemdliło. Potem pogrzebała w kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Wyjęła jednego, umocowała go w wytwornej cygarnicze i pozwoliła Fernandowi podać sobie ogień.

- Tak, przypomniałam sobie, że zostawiłam w domu coś ważnego.

- W domu? Mieszkasz teraz w Lizbonie?

- Nie, nie, mówiąc „dom”, miałam na myśli moje tymczasowe miejsce pobytu. Jestem tu tylko z wizytą, u Isabel, w Babca. A ty? Mieszkasz w pobliżu?

- Tak. Trzy przecznice stąd. Mój teść ma duży dom na Rua das Jane las Verdes, razem z żoną zajmujemy tam osobne piętro.

- Ach, ożeniłeś się?

- Oczekiwałaś czegoś innego?

- Nie. To znaczy, niczego nie oczekiwałam. A już najmniej, że cię tu dziś spotkam. Cóż za szalony przypadek, nieprawdaż? - Nie tak źle, pomyślała Juju. Może ma więcej talentu aktorskiego, niż sobie przypisywała. A może po prostu jest całkowicie zakłamaną?

- Tak.

Tym razem Juju nie dała się wyprowadzić z równowagi irytującym „tak”. Uśmiechnęła się do Fernanda.

- Miło cię znowu zobaczyć.

Nie odpowiedział i nie uśmiechnął się.

- Jak ci się wiodło? - ciągnęła Juju, może trochę za szybko. Nie potrafiła znieść jego milczenia. - Masz dzieci? Nadal jesteś pilotem?

- Właśnie się pobraliśmy, jeszcze nie mamy dzieci. I tak, nadal latam. Do diabła, czy musi wyciągać z niego każdą informację? W dodatku

o tym, co i tak już wie? Choć zewnątrznie Fernando bardzo się zmienił i choć wyglądał teraz tak wielkomięsko, zachował dawny sposób bycia.

- Dobrze wyglądasz. Kariera wojskowa najwyraźniej ci służy.

- Najwyraźniej tak. - Ponownie wyjął zegarek i zmarszczył brwi. - Muszę już iść. Miło było cię znowu zobaczyć.

Ale nie zadał jej ani jednego pytania! Niemożliwe, żeby była mu tak obojętna. Nie powinno tak być!

Fernando wstał, zapłacił przy ladzie za obie kawy i pomógł Juju odsunąć krzesło.

- Czy zobaczymy się ponownie? - spytała i miała nadzieję, że nie usłyszał rozpaczy w jej głosie.

- Chyba nie byłoby to zbyt mądre.

- Dlaczego? Bardzo bym się ucieszyła, mogąc poznać twoją żonę. A Isabel zawsze chętnie cię przyjmie. Spotykamy się po tak długim czasie - z pewnością mamy sobie wiele do opowiedzenia, nie sądzisz? Nie możemy poprzestać na tak krótkiej rozmowie. Wiesz, ja... - Jedno spojrzenie w oczy Fernanda sprawiło, że zamilkła. Nagle zawstydziła się tego potoku słów. Nie mogła dłużej się mu narzucać.

- Zadzwoń do mnie, jeśli zmienisz zdanie. Adeus. - Wzięła torebkę i dumnie wyszła z lokalu.

Fernando dogonił ją na chodniku, złapał za rękę i zmusił, by przystanęła.

- Naprawdę byłaś w okolicy przypadkiem?

- Tak.

Popatrzył na nią niedowierzająco i powoli pokręcił głową, jakby zbyt rozczarowany jej kłamstwem, by powiedzieć na ten temat choćby słowo.

- Przekładem - na twarzy Juju pojawił się wyraz przekory - chciałam cię znowu zobaczyć.

Wreszcie się uśmiechnął. Był to smutny uśmiech, ale w oczach Fernanda pojawiły się błyskawice.

\* \* \*

Te oczy. Musiało chodzić o te przenikliwie patrzące oczy, myślał major Miguel Antonio Alves Ferreira o swoim dawnym protegowanym, który w krótkim czasie zaszedł tak daleko. Jego oczy były mądre i nieustępliwe, i każdemu, kto napotkał ich spojrzenie, dawały odczuć, że został przyłapany na jakimś występku. A przecież major najlepiej wiedział, że Abrantes nie traktuje ludzi ostro i świadomie surowo. Nie potrafił inaczej. Jego spojrzenie po prostu takie było, hipnotyzujące i jednocześnie zimne. Poza tym Abrantes wyjątkowo rzadko mrugał. Z wiekiem i rosnącą pewnością siebie cecha ta uwydatniła się jeszcze mocniej, więc w końcu nawet Ferreira, były przełożony i mentor Abrantesa, zaczął czuć się wobec tego spojrzenia nieswojo.

Po oczach Abrantesa poznawało się, że widziały grozę wojny. Nie chodziło o zmarszczki w kącikach ani o to, że były podkrążone, co major przypisywał raczej - dobrowolnemu i dla niego samego niewytłumaczalnemu - nadmiarowi pracy. W wyrazie tych oczu kryło się coś, co trudno było opisać. Może życiowe doświadczenie. Z pewnością brak złudzeń i świadomość własnej kruchości zastąpiły młodzieńczą wiarę w nieśmiertelność, zresztą znacznie za wcześnie. Ile lat miał Abrantes? Trzydzieści dwa? Zachowywał się jak pięćdziesięciolatek.

To okropne, co wojna zrobiła z młodymi mężczyznami. Sam major stracił niemal tuzin ludzi, łącznie we Flandrii i w koloniach padło dziesięć tysięcy portugalskich żołnierzy, a przynajmniej dwadzieścia pięć tysięcy odniosło ciężkie rany. Hańba, gdyby ktoś go spytał. Ale mało kto pytał. Wkrótce na pewno już nikt tego nie uczyni - Ferreira za dwa lata przechodził na emeryturę. Ach, jak bardzo tęsknił za tym, by wreszcie móc się codziennie wysypiać, nigdy więcej nie wkładać niewygodnych oficerek i nie musieć pisać biurokratycznych raportów. Może, myślał major z cieniem zazdrości, naprawdę dobrze trafił z Abrantesem. Ten z pewnością nie odczuwał podobnych tęsknot.

Major Miguel Antonio Alves Ferreira wziął dwa kieliszki wina z tacy przechodzącego obok kelnera, podał jeden małżonce i sam upił duży łyk. Nie próbował nawet udawać zainteresowania zdawkową pogawędką. W dodatku wiedział, że żona także uważa Abrantesa za fascynującego. Małżonkowie Alves Ferreira, w eleganckich strojach i z kieliszkami w dłoniach, obserwowali najmłodszego generała w historii Portugalii - Fernanda Abrantesa, który obejmując ramieniem talię swej świeżo upieczonej małżonki, rozmawiał z wysoko odznaczonym kolegą pilotem.

Facet rzeczywiście miał więcej szczęścia niż rozumu, a tym ostatnim i tak zdecydowanie górował nad innymi, pomyślał major. Sam nie pogardziłby również tak reprezentacyjną, słodką żoną. Czy Abrantes potrafi dać swojej zachwycającej Elisabete to, czego oczekiwały kobiety od swoich mężów? Z pewnością nie - ten surowy człowiek nie był zbyt otwarty na uroki życia.

Jakie szczęście miała ta dziewczyna o okropnym imieniu, myślała żona majora. W Portugalii nie ma chyba drugiego takiego mężczyzny jak Fernando Abrantes, którego kariera okazała się jeszcze bardziej olśniewająca niż jego wygląd.

Pechowy dzień, myślał natomiast sam Fernando. Spotkanie z Juju całkowicie wytrąciło go z równowagi. Po raz pierwszy w życiu spóźnił się do pracy i już samo to świadczyło o tym, że zdarzyło się coś wyjątkowego. Ponieważ i tak zjawił się wcześniej niż inni, nikt niczego nie zauważył, ale samego Fernanda bardzo zaniepokoiło to nieprzewidziane zakłócenie przebiegu dnia. Rutyna była dla niego bezcenna. Kiedyś pomogła mu odzyskać równowagę, stłumić ból i zignorować złamane serce.

W południe niemal zapomniał o spotkaniu z ministrem obrony i tylko zapobiegliwości swego sekretarza zawdzięczał, że w ostatniej sekundzie zjawił się jednak w Martinho. W czasie posiłku jego myśli wciąż krążyły wokół Juju, co w tym przypadku nie stanowiło wielkiego problemu. Minister był bęcwałem i nawet przy ograniczonej koncentracji Fernando znacznie nad nim górował. Rozmówca opowiadał głupstwa, popisывał się erudycją, chwalił wspaniałe jedzenie i dawał Fernandowi mnóstwo okazji do oddawania się marzeniom na jawie.

Jak pięknie wyglądała! Zupełnie inaczej niż Juju z dzikimi kędziorami na głowie i zaczerwienionymi policzkami, które tak kiedyś kochał, znacznie bardziej eterycznie, doroślej, bardziej arystokratycznie, a także na bardziej zepsutą. Ale za elegancką fasadą nadal kryła się ta sama dawna Juju. Jej dołeczki, gdy się uśmiechała. Mała szparka między przednimi zębami. Szczupła, biała szyja. Myszka na skroni. Mogła wyglądać jak jedna z tych delikatnych istot, które uśmiechały się do niego z tytułowych stron magazynów mody - z nazbyt szczupłą sylwetką, fryzurą pazia i spódnicą sięgającą dokładnie do pół łydki - ale przekorny wyraz jej twarzy zadawał kłam pozorom. Nadal była uparciuchem z Alentejo. Fernando tracił przez nią rozum.

- Jesteś jakiś nieobecny, mój drogi. Czy coś cię martwi? - Elisabete położyła szczupłą dłoń na ramieniu męża, co stanowiło maksimum fizycznej bliskości,

na jaką pozwalała sobie wobec niego publicznie. Musiała szybko odzwyczaić Fernanda od ciągłego obejmowania jej w niestosowny sposób.

- Ależ nie, skarbie. Wszystko w najlepszym porządku. - Potem pochylił się ku niej i szepnął: - Po prostu to spotkanie wydaje mi się dość nudne. Wyjdziemy niedługo, dobrze?

Elisabete zaczerwieniła się na myśl o tym, co czeka ją w domu. Z pewnością nie było jej do tego tak spieszo jak Fernandowi.

- Ale musimy najpierw pożegnać się z generałem Machado i jego małżonką. A z państwem Pereira nie zamieniliśmy jeszcze ani słowa.

- Jak uważasz. - Może dobrze się stanie, jeśli coś odwróci jego uwagę od niepokojących uczuć. Ponownie przypomniał sobie, co w minionych latach popychało go do działania i trzymało przy życiu - kariera zawodowa i społeczna. Machado i Pereira mogli mu się jeszcze przydać, a w tym celu warto wytrzymać błahe pogawędki z ich żonami.

Najwyższy czas naprawić poranny błąd. Nie powinien był w ogóle wysiadać z tramwaju.

## Rozdział Piętnasty.

Wiosna roku 1924 była jedną z najpiękniejszych, jakie pamiętano w Alentejo. Krajobraz, który zwykle kształtowały suche, gorące lata, co roku po zimowych opadach i pod wpływem ciepłego marcowego słońca zmieniał się w coś, czego próżno by szukać po całej Europie. Gdyby istniał przewodnik turystyczny tylko po tym regionie, w samych superlatywach opisywałby „wspaniałe dzikie kwiaty pokrywające całe wzgórza” lub „bujną zieleń ciągnącą się aż po horyzont”. Może wspomniałby o „spokojnie pasących się czarnych świniach, łagodnym klimacie lub gościnnych mieszkańcach”. Jednak bedeker dotyczący Hiszpanii i Portugalii - już samo połączenie znienawidzonych sąsiadów stanowiło obrazę dla każdego patrioty! - wspominał o Alentejo bardzo pobieżnie. Podróżni niemal tu nie zaglądali, a jeśli już, byli to Portugalczycy odwiedzający krewnych lub poszukujący pracy. Goście z zagranicy zjawiali się tak rzadko, że gościnność mieszkańców nie była wystawiona na próbę. Kiedy w okolicy pokazywali się ludzie o cudzoziemskim wyglądzie, spoglądano na nich z dużą nieufnością.

Gdy Juju wysiadała z wagonu pierwszej klasy, gapiowaty kolejarz tak niezdarnie pomagał jej zejść po stromych schodkach, że niemal się przewróciła. Już miała zacząć awanturę, ale powstrzymało ją spojrzenie na szeroką chłopską twarz. Biedny chłopak, pomyślała, umiera ze strachu, że ma do czynienia z żywą cudzoziemką. Uśmiechnęła się do niego zachęcająco i z lekkim alentejańskim akcentem udzieliła wskazówek dotyczących bagażu. Chłopak jak błyskawica zniknął we wnętrzu wagonu.

Juju rozejrzała się po peronie. Czy nikt po nią nie przyjedzie? Wzięła Laurę i Paulinha za ręce i ruszyła w kierunku poczekalni. Dzieci musiały biec, by za nią nadążyć. Zanim dotarli do budynku, wybiegły im na spotkanie dwie małe dziewczynki.

- Ciocia Juliana! Ciocia Juliana!



Córki Mariany rzuciły się jej w ramiona.

- Witajcie, śliczne! - Juju przyklęła i ucałowała siostrzenice. Gdy zobaczyła zbliżającą się Marianę, wstała i wzięła się pod boki. - Mariano, koniecznie musisz oduczyć je nazywania mnie „ciocią Julianą”. Czuję się przez to znacznie starsza, niż i tak jestem.

- Cóż za powitanie... Ach, Juju, jak to miło, że przyjechaliście! Laurinha, Paulinho - mój Boże, aleście wyrosli! - Mariana przytuliła wszystkich naraz i zasypała przybyłych oraz własne dzieci tysiącem pocałunków, po czym odpowiedziała na oskarżycielskie słowa Juju. - Wiesz przecież, że mama nalega, żeby nazywać cię Juliana.

- Dlaczego - wtrąciła się mała Octavia - nie możemy mówić do ciebie „ciociu Juliano”?

- Bo twoja mama i ja też miałyśmy kiedyś ciotkę Julianę - odparła Juju - i nie chcę się nazywać tak samo jak ona. - Nie mogła powiedzieć dziewczynce, że słysząc to imię, wciąż czuła ból. Ciotka Juliana, która podczas pobytu Juju w Paryżu głęboko zapadła jej w serce, jesienią 1918 roku zmarła na hiszpankę - jako jedna z prawie dwudziestu pięciu milionów ofiar na całym świecie.

- Aha - mała przybrała poważny wyraz twarzy. - Czy powinniśmy cię nazywać ciocią Juju?

- Tak - ale w żadnym przypadku nie przy donie Clementinie! - Juju mrugnęła konspiracyjnie do siostrzenicy i podała jej rękę, by przypieczętować pakt. - Nigdy? Obiecujecie?

- Obiecujemy. - Potem Octavia odwróciła się od ciotki i skierowała do kuzynki i kuzyna. Dzieci szybko straciły wszelkie zainteresowanie dorosłymi.

Mariana ujęła siostrę za ramiona, przytrzymała ją na wyciągnięcie rąk i przyjrzała się jej od stóp do głów.

- Mój Boże, Juju, jesteś o wiele za chuda! I taka blada. Ale przyznaję, ta suknia wspaniale na tobie wygląda! Wielka dama, co? No czekaj, wybijemy ci to z głowy. Gdy cię odkarmię, pewnie nie będziesz się już mogła wcisnąć w takie stroje.

Juju się roześmiała. Na szczęście Mariana była niemal taka sama jak dawniej. Po głodowej kuracji przed paroma laty zrobiła się tak chuda i nie do wytrzymania, że cierpiała na tym cała rodzina. Najwyraźniej siostra w końcu zaczęła sobie co jakiś czas pozwalać na kawałek czekolady, co pozytywnie wpłynęło nie tylko na jej figurę i cerę, ale także na temperament.

- Wyglądasz wspaniale, Mariano! Ach, jakże się cieszę, że tu jestem! Spędzimy kilka naprawdę pięknych dni, prawda?

- Oczywiście. Wiesz, że prowadzę samochód? Jeśli masz ochotę, możemy się wybrać na parę wycieczek. Krajobraz o tej porze roku po prostu zapiera dech.

- Ach tak? - Juju uniosła brew. - Czy wolno mi przypomnieć, że tu dorastałam i nie mam sklerozy? - Wręcz przeciwnie, pomyślała. Obrazy przeszłości dosłownie ją prześladowały. Odkąd zobaczyła się w Lizbonie z Fernandem - w końcu zgodził się na ponowne spotkanie - nie potrafiła myśleć o niczym innym. O ich niezakłóconej dziecięcej przyjaźni, o nieśmiałych próbach zbliżenia w młodości, o pierwszych nieporadnych pocałunkach. Nocą śniła o jego pieścizotach i tęskniła za jego objęciami. I choć wiedziała, że bliskość tego rodzaju jest wykluczona, gorączkowo oczekiwała kolejnego spotkania, które miało nastąpić za kilka dni - w drodze powrotnej z Alentejo na kilka dni zatrzyma się w stolicy. Ponownie usiądą naprzeciw siebie w kawiarni, nie mogąc znaleźć słów i w zakłopotaniu krusząc ciastka na talerzykach. Ach, nie mogła się już doczekać!

- No, podoba ci się, co? Po twojej minie zgaduję, że moje auto ci odpowiada? - Mariana spojrzała na siostrę, spodziewając się pochwał. Wyszli przed stację, a Juju nawet tego nie zauważyła. Bagażowy też już tam stał i czekał niecierpliwie, by włożyć kufry do samochodu i otrzymać napiwek.

- Och, to właśnie ten twój? Fantastyczny! I naprawdę prowadzisz sama?

- Nie sądziłaś, że to możliwe, prawda? Tak, prowadzę, choć nie tak dobrze jak Beatriz. To ona mnie nauczyła.

- Zmieścimy się wszyscy?

- Najwyżej położymy walizki na tylnym siedzeniu i posadzimy na nich dzieci.

Dzieci, które natychmiast zaczęły uważniej słuchać, wydawały się zachwycone planem. Po długim pakowaniu i upychaniu wreszcie byli gotowi do odjazdu. Mariana prowadziła nierówno, omal nie przejechała jakiegoś przechodnia, a następnie na pełnym gazie pomknęła przez wyboiste ulice, tory kolejowe i wreszcie po bitych drogach. Dzieci piszczały z radości i niemal uderzały głowami o sufit, ale Juju była śmiertelnie przerażona. Jednak jej podejrzenia, że Mariana nie wie nawet, gdzie znajduje się hamulec, okazały się nieuzasadnione. Przed Belo Horizonte

wóz stanął tak gwałtownie, że Juju niemal wyleciała przez przednią szybę, a dzieci przewracały się na tylnym siedzeniu. Śmiały się głośno, tylko Paulinho skrzywił buzię, jakby zaraz miał się rozplakać.

Laura pogardzała młodszym bratem równie mocno, jak kochała Belo Horizonte. Przyjeżdżali tu co roku i z roku na rok coraz bardziej tęskniła za tymi wizytami. Avó Clementina i avó Jose byli znacznie miłsi niż dziadkowie Filomena i Adalberto. Gdy mama nie patrzyła, dawali jej słodycze, za każdym razem mieli dla niej ładne prezenty i pozwalali jej się bawić z psami, kiedy tylko chciała. Laura podejrzewała, że gdyby mieszkała w Belo Horizonte na stałe, zapewne nie byłaby ani w połowie tak rozpieszczana - czasami jednak marzyła, że tu jest jej dom. Tia Mariana i tio Octavio poświęcali jej więcej uwagi niż rodzice, a kuzynki były jej znacznie bliższe niż nieznośny brat. Co prawda tia Beatriz napawała ją strachem, ale Laura nie widywała jej zbyt często, bo ta unikała towarzystwa dzieci.

No i ten dom! Belo Horizonte niemal zawsze wypełniał śmiech i wspaniałe zapachy. Pokój, który musiała dzielić z Paulinhem, nigdy nie był tak zimny i surowy, jak wydawał się jej czasem własny pokój w Laranjeiras, a jego urządzenie także podobało się Laurze znacznie bardziej. Prawdziwy dziewczęcy pokój z różowymi zasłonami i narzutami, ze słodkimi koronkowymi serwetkami i poduszkami, pełen lalek, pluszowych zwierzątek i książek z obrazkami. Pokój w ich domu był znacznie bardziej wytworny - i sztywniejszy.

- Nie chcę, by dzieci kształtowały swoje poczucie smaku na tych staromodnych ozdobach - usłyszała kiedyś matkę zwracającą się do avó Filomeny, gdy sprzeczały się o sposób urządzenia domu.

Również pozostałe pomieszczenia w Belo Horizonte Laura uznała za przytulniejsze niż w rodzinnej posiadłości. Meble były stare, ogromne i podniszczone. Nic nie szkodziło, gdy weszło się z butami na sofę, gdy się coś rozsypało lub zabrudziło dywan kredą. W całym domu stało niewiarygodnie dużo sprzętów, jednak dopiero niezliczone dywaniki, obrazy na ścianach i udrapowane zasłony w każdym oknie i w każdych drzwiach nadawały Belo Horizonte tę wyjątkowo ciepłą atmosferę.

Jednocześnie posiadłość miała w sobie coś tajemniczego. Belki stropowe wydawały dziwne, jęczące odgłosy. Najróżniejsze dawno nieużywane dobudówki pełne były pajęczyn i grubych warstw kurzu. W szopie

stały zardzewiałe urządzenia, oferujące świetne kryjówki, a ogród był tak zarośnięty chwastami, że Paulinho już na sam jego widok zaczynał się bać. Belo Horizonte stanowiło połączenie bajkowego zamku, domku dla lalek i domu, w którym straszy. Laura mogła całe dni myszkować po głównym budynku i pomieszczeniach gospodarczych. W każdym kącie mogły spoczywać ekscytujące skarby, za każdymi drzwiami zdawał się czaić duch, a każdy zakamarek wyglądał tak, jakby kryła się w nim tajemnica.

Podobne wrażenie miała matka Laury, choć tajemnica, którą wyczuwała, była zupełnie innego rodzaju.

Początkowo Juju oburzył stan posiadłości. Jak dona Clementina mogła dopuścić, by Belo Horizonte tak podupadło? I jak Marianie udało się w krótkim czasie odcisnąć na domu swoje piętno? Plusz i tandeta gdziekolwiek spojrzeć! Jednak potem, wieczorem w dniu przyjazdu, zauważyła coś, co zaniepokoiło ją znacznie bardziej. Było to niewidoczne, ale Juju miała wrażenie, że wręcz namacalne - atmosfera przesycona sekretami skrywanymi pod pozorem żywego, radosnego, kolorowego i chaotycznego gospodarstwa. Wydawało się, że każdemu zależy tylko na tym, by głośnymi rozmowami zatuszować milczenie, gorączkowym działaniem odwrócić uwagę od trosk, bałaganieniem zwalczyć nastrój przygnębienia. Wszyscy mieszkańcy zdawali się dźwigać jakąś tajemnicę. Świadczyła o tym już sama przemiana matki, która pozornie obojętnie obserwowała upadek domu. Albo fałszywe zachowanie szwagra Octavia. I poza złej ciotki przybrana przez Beatriz. Nie mówiąc już o chwilami nieobecnych, zmęczonym spojrzeniu ojca. A może to tylko złudzenie? Tak, na pewno. Przyczyną, dla której Juju doszukiwała się u innych jakichś problemów, były z pewnością sprawy, które sama próbowała ukryć przed bliskimi - jej nieudane małżeństwo, powtórne spotkanie z Fernandem, wyrzuty sumienia. Przecież dawniej nigdy nie miała w Belo Horizonte wrażenia, że jego mieszkańcy skrywają jakieś tajemnice. Dlaczego nagle miałyby być inaczej?

Ale Juju się nie myliła.

Dona Clementina cierpiała, ponieważ zbyt lekkomyślnie postąpiła z rodzinnym majątkiem. Nie wiedział o tym nikt poza Octaviem i jej

mężem, którego współwina była niemała. Zewnętrzne znaki mówiły jednak same za siebie. Dlaczego Belo Horizonte zostało tak zaniedbane? Dlaczego od lat nie urządzali przyjęć? I dlaczego trzeci sezon nosiła tę samą suknię, zamiast, jak przystało żonie patrao, co roku sprawiać sobie nową garderobę? Ponieważ posłuchali rady znajomego i zainwestowali bardzo dużo pieniędzy w ryzykowny projekt w Mozambiku, który całkowicie upadł. Dodatkowo nowa waluta - dona Clementina nadal nie przyzwyczaiła się do escudo i wciąż liczyła w reis - była bardzo niestabilna. Resztki pozostałe po nieudanych spekulacjach miały dziś zaledwie wartość papieru, na którym je wydrukowano. A jej niezaradny zięć Octavio? Nie udało mu się przywrócić Belo Horizonte do dawnej świetności. No bo jak, bez pieniędzy? Jego rodzice w znacznej części przekazali mu już rzekomo wysoki udział w spadku, lecz składał się on jedynie z kilku odległych i mało dochodowych posiadłości w koloniach, a Octavio wzbraniał się je sprzedać. Dona Clementina walczyła, krzyczała i przeklinała - aż wreszcie zięć się zbuntował.

- Dono Clementino, proszę nie zapominać, że to nie ja tak lekkomyślnie postępowałem z majątkiem Carvalhów. I proszę przestać mnie nakłaniać do sprzedaży ziemi. Pani wyczucie ekonomii nie jest być może, e... tak wielkie, jak sobie pani wyobraża. - Octavio co prawda zacerwienił się przy tej śmiałej wypowiedzi, ale osiągnął cel. Od tego dnia zaczęła się cicha kapitulacja dony Clementiny.

To był pierwszy raz, gdy Jose Carvalho poczuł dla zięcia coś w rodzaju szacunku. Samowole żony od dawna były cierniem w jego oku, ale odkąd dowiedziała się o związku męża z gospodynią Pescadory, jędrną i nienasyconą tlenioną blondynką imieniem Deolinda, niewiele mógł na to poradzić. Potem jednak Octavio już nigdy się nie zbuntował. Mariana i dzieci tańczyły mu po głowie, aż żal brał patrzeć, a biednemu chłopakowi wydawało się to wręcz sprawiać przyjemność. Nie podejmował żadnych prób wzmocnienia swojego autorytetu wśród rodziny, więc tylko on, Jose Carvalho, musiał dowodzić męskiej przewagi. Był w domu praktycznie jedynym mężczyzną, bo zięcia nie dało się za takiego uznać. Zniewieściały chłopaczek pod pantoflem Mariany - tak, to cały Octavio. W rzadkich chwilach, gdy pozwalał sobie na całkowitą szczerłość, Jose przyznawał co prawda, że więcej radości sprawiałoby mu odgrywanie roli kochanego dziadka, ale dziewczynki powinny się

przecież nauczyć, kto nosi w domu spodnie. Skąd mógł wiedzieć, że dzieci znacznie bardziej boją się Beatriz niż jego?

Beatriz w wieku trzydziestu sześciu lat wyglądała jeszcze gorzej, niż wszyscy się zawsze obawiali. Śmiertelny udar, który dosięgnął jej narzeczonego Casimira na trzy dni przed ślubem, przelał czarę goryczy. Beatriz była chuda i miała głębokie zmarszczki ciągnące się od nosa do opadających kącików ust. W jej włosach pojawiły się pierwsze siwe pasma. Choć właśnie zawitała moda na krótsze spódnice, a Beatriz miała bardzo ładne nogi, które śmiało mogła pokazywać, zawsze nosiła staromodne suknie do kostek. Była uosobieniem starej panny i robiła wszystko, by to podkreślić. Trzymała się sztywno jakby połknęła kij, jej spojrzenie było surowe, wypowiedzi krótkie i rzeczowe. Z siostrzenicami, gdy nie dało się tego uniknąć, rozmawiała jak z nieznanymi dorosłymi. Nie przechodziły jej przez usta żadne zdrobienia, czułości czy pieśczośliwe imiona. Nie szczędziła za to gróźb i przerażających opowieści.

- Na strychu mieszka duch starej wiedźmy - opowiadała - i jeśli podejście za blisko, to was zje.

Dzieci wierzyły jej na słowo. I nie tylko one. Również służba - w domu zostały już tylko trzy osoby, służąca Anunciacao, kucharka Maria do Ceu oraz gospodyni Maria da Conceicao - była przekonana, że na strychu straszy. Czasami dochodziły stamtąd dziwne odgłosy, Anunciacao zaś, która przed laty odważyła się wejść na górę, z drżeniem opowiadała, że widziała tam czaszkę. Gdy jakiś stary mebel miał trafić na strych, musiał się tym zawsze zajmować Jose z ogrodnikiem lub stajennym, a dzieci krzyczały w rozkosznym przerażeniu.

Pomysł z czaszką okazał się całkiem niezły, uznała Beatriz. Czaszkę małpy znalazła w sklepie z osobliwościami w Beja. Jacy wszyscy byli głupi, jacy przesadni! Duch starej wiedźmy, ha! Jedyłą wiedźmą, która przesiadywała na strychu, była ona sama, gdy zakradała się potajemnie, by rzucić okiem na listy - listy, jakie sama chciałyby otrzymać i jakich nie pisał do niej nawet Casimiro w przypiływie sentymentu. Oczywiście Beatriz wiedziała, że lepiej byłoby zniszczyć korespondencję skierowaną do Juju. Ale świadomość posiadania nadal czegoś, co dało jej kiedyś władzę nad młodszą siostrą, napełniała ją głęboką satysfakcją.

A teraz chłopak został generałem, niesłychane! Pięknym generałem, który w młodych latach pisał takie głupstwa jak „rozpalasz we mnie ogień, który nigdy nie zgaśnie"! I którego porywy serca przejawiały się na przykład w tym, że pozwalał swojej jedynej siostrze pracować u obcych ludzi. Czyż ona, Beatriz Carvalho, nie wiedziała zawsze, jaki to okropny człowiek?

Maria da Conceicao czuła się bardzo skrępowana, bo Beatriz wciąż gdzieś na nią czyhała i wypytywała o Fernanda. „Dlaczego brat nie sprowadził cię do siebie, do Lizbony?" - pytała, albo: „Czy ten twój wspaniały brat wstydzi się swego pochodzenia?". Może Beatriz po prostu należała do tych wielu kobiet, które przed laty były zakochane w Fernandzie, tłumaczyła sobie jej zachowanie Maria da Conceicao. Bolało ją jednak, że nie może bronić brata przed tą złośliwą wroną. Cóż miała odpowiedzieć? Prawda była zbyt wstydliwa, by mogła ją komukolwiek wyjawić. Chciał mnie zabrać do siebie, ale odmówiłam, wolałam zostać w Belo Horizonte. Bo tylko tu mam szansę od czasu do czasu spotkać Edmunda...

O ile po Beatriz wyraźnie było widać zgorzknienie, o tyle Maria da Conceicao w ogóle nie wyglądała na kogoś, kogo od lat dręczy nieodwzajemniona miłość. Zachowała dziewczęcą buzię i wcale nie wyglądała na kobietę po trzydziestce. Odkąd jej religijna pasja przerodziła się w normalną wiarę, co nastąpiło mniej więcej wtedy, gdy zakochała się w Edmundzie, twarz Marii straciła fanatyczny wyraz. Dziewczyna była wyjątkowo piękna i wszyscy zastanawiali się, dlaczego pozostała niezamężna.

Maria da Conceicao bez żalu porzuciła pracę u padre dla wyższej płacy i lepszych warunków. Tutaj miała wokół siebie życie, dzieci ją ubóstwiały, a dorośli dobrze traktowali, jadła najwspanialsze smakołyki i dostawała stare suknie dony Mariany. Jedynie żona szewca, dona Cristina, krakała, że tak ładne stworzenie nie ma czego szukać w Belo Horizonte, bo, jak wszyscy wiedzą, patrao wciąż ugania się za spódniczkami. Obawy dony Cristiny okazały się bezzasadne. Maria da Conceicao była zbyt drobnej budowy i miała zbyt drobne piersi, by zwrócić uwagę starszego pana. Czasami przyłapywała jednak młodego senhora Octavia, jak za nią patrzy. Cóż dałaby za to, żeby był to jego brat!

\* \* \*

Octavio nie miał najmniejszego zamiaru uganiać się za innymi kobietami. Kochał swoją Marianę z całego serca - choć nie było już ono tak silne jak niegdyś. Biło w nieregularnym rytmie, kołatało, by się zatrzymać na kilka uderzeń, albo waliło w jego piersi tak mocno i głucho, że gdy spoglądał na swój tors, mógł policzyć uderzenia. Komu jednak miał o tym powiedzieć? Mariana zrobiłaby okropne zamieszanie i sprowadziła z Lizbony najróżniejszych specjalistów, znacznie nadwyreżając nie tylko cierpliwość Octavia, ale także jego portfel. Swoich rodziców i brata również nie chciał o niczym informować. Martwiliby się i próbowali dociec przyczyn. Może poradziliby mu, by zdrowiej się odżywiał - co nie wchodziło w grę, bo bez maślanych keksów lub wędzonych kiełbas odczuwałby pewnie jeszcze gorsze dolegliwości. Może, znając tak dobrze jego wrażliwą duszę, sugerowałiby, żeby nie brał sobie wszystkiego tak bardzo do serca. Ale łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Inaczej niż w młodszych latach Octavio nie przejmował się już ciągle nieszczęściami świata, takimi jak głód w koloniach czy groza Wielkiej Wojny. Nie, tym, co go naprawdę denerwowało, była rodzina żony - dona Clementina, która obarczała go odpowiedzialnością za beznadziejny stan Belo Horizonte, Beatriz, która nieustannie dawała mu do zrozumienia, że jest od niego lepsza w rachunkach i prowadzeniu samochodu, senhor Jose, który wyraźnie uważał go za tchórza i dręczył, jak tylko mógł, a nawet ukochana Mariana, która nie chciała przyjąć do wiadomości, w jakiej sytuacji finansowej się znaleźli, i której musiał kupić nowe auto. Jedynie córki były dla niego czystym źródłem radości.

Laura nieco zazdrościła kuzynkom tego grubego, miłego ojca. Choć bardzo kochała swojego papę, uznała, że nie zawadziłoby, gdyby miał w sobie trochę serdeczności wuja. Tio Octavio nie oburzał się na brudne buty, gdy brał córki na kolana, tak jak nie obchodziły go poplamione sukienki lub rozwiązane warkocze, błędnie wyrecytowane liczby od jednego do pięćdziesięciu lub piskliwe tony wydobywane na flecie. Ale cóż, nie da się mieć wszystkiego. Jej papa był za to o wiele przystojniejszy. Takiego mężczyznę jak on chciała kiedyś poślubić. To znaczy, jeśli nie poślubi Joazinha, chłopca z pobliskiej quinty, którego poznała dziś podczas konnej przejażdżki i który zajrzał jej pod sukienkę. Dzięki tej tajemnicy czuła się bardzo ważna. I uznała, że



znacznie przewyższa swe kuzynki - te wyznały jej swoje tajemnice już w ciągu pierwszych pięciu minut.

Mariana, która bezwiednie stała się świadkiem potajemnej rozmowy dzieci, musiała się powstrzymać, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Jej najstarsza córka poważnym tonem wyznała, gdzie schowała przed rodzicami swoje skarby - kilka mlecznych zębów, parę muszelek z ostatniego wyjazdu do Algarve oraz pióro bązanta. Mariana знаła skrytkę - jako dziecko sama chowała w niej podobne znaleziska. Młodsza córka zdradziła, że spróbowała karmy dla psów, i to bezpośrednio z miski. Pozostali krzyczeli ze wstrętu, a Mariana, kręcąc głową, postanowiła odstawić miskę gdzieś, gdzie nie dosięgną jej dzieci. Paulinho wymamrotał tylko kilka bezsensownych słów - chyba nie pojmował sensu całego spotkania, ale był przecież najmłodszy. Gdy przyszła kolej na jej siostrzenicę Laurę, Mariana mimo woli nadstawiła ucha. Dziewczynka tak bardzo przypominała Juję, że to, co miała do powiedzenia, wydawało jej się ważniejsze niż tajemnice pozostałych.

- Nie mam żadnych tajemnic - powiedziała Laura - a nawet gdybym miała, na pewno bym ich wam nie zdradziła. Wtedy nie byłyby tajemnicami.

Mój Boże, pomyślała Mariana. Taka mała i już taka sprytna. Pozostałe dzieci naciskały na Laurę.

- No powiedz, powiedz! - Najwyraźniej mina dziewczynki przeczyła jej słowom.

- Ale tylko, jeśli mi obiecacie, że nie zdradzicie tego nikomu więcej. Wszyscy uroczycie przysięgli.

- No więc naprawdę nie mam żadnej tajemnicy. Ale moja mama tak. - Nagle ściszyła głos, najwyraźniej chciała szeptem przekazać poufną informację. Mariana nasłuchiwała, ale nie mogła wszystkiego zrozumieć. Jedyne, co do niej dotarło, brzmiało jak „...jakiś pan trzymał ją za rękę”.

Marianie przeszła ochota do śmiechu. I radosne oczekiwanie na wieczór, gdy chciała wyjawic własną dobrze strzeżoną tajemnicę. Może powinna jednak poczekać na wyjazd gości, nim powie rodzinie o kolejnej ciąży.

## Rozdział Szesnasty.

Im bardziej Juju tęskniła za spotkaniem, tym mniejszą dawało jej satysfakcję. Za każdym razem postanawiała, że skieruje rozmowę na sprawy, które ją naprawdę interesowały - i za każdym razem rozmawiali tylko o codziennych kwestiach, o pogodzie, stanie zdrowia krewnych lub o filmach z Charliem Chaplinem. W ciągu półtora roku, kiedy spotkali się może sześciokrotnie, nigdy nie udało się im przełamać tego dystansu. To było rozpaczliwe. Juju tak bardzo pragnęła odnowić dawną bliskość z Fernandem, która kiedyś cechowała ich przyjaźń, ale on z każdą jej wizytą w Lizbonie zdawał się coraz bardziej od niej oddalać.

Żyła nadzieją, by potem z rozczarowaniem wracać nad Douro i z jakiejś drobnej uwagi, wieloznacznego spojrzenia lub przelotnego dotknięcia czerpać nową nadzieję - która rosła dopóty, dopóki Juju znowu nie ruszyła do Lizbony. Musiała przerwać ten zakłęty krąg, albo przestając widywać się z Fernandem, albo zmuszając go do porzucenia dystansu. Ale czyż nie próbowała tego już niezliczoną ilość razy? Na pytania natury prywatnej odpowiadał wymijająco, niekiedy szorstko, a na wszystkie wypowiedzi Juju, w których subtelnie ujawniała swe prawdziwe uczucia, reagował wzruszeniem ramion. Nie mogła już bardziej bezpośrednio popychać rozmowy w kierunku, który pozwalałby im na większą bliskość. Fernando chyba naprawdę nie czuł do niej nic więcej niż do dawnej znajomej. Ale jeżeli mu na niej nie zależało, to dlaczego się z nią spotykał? I jeśli uważał ich związek jedynie za niewinną starą przyjaźń, dlaczego nigdy nie dopuścił, by poznała jego żonę?

Usiedli przy stoliku pod oknem w Pastelaria Suica. Fernando zajął miejsce obok Juju - inaczej niż zwykle, bo zawsze wybierał krzesło naprzeciwko. To było bardzo obiecujące.

Zamówili galao, kawę z mlekiem.

- Twój syn dobrze się czuje? - spytał Fernando po odejściu kelnera.

Będzie tak samo jak zawsze. Juju miała ochotę krzyczeć z rozczarowania. Zamiast tego udzieliła Fernandowi odpowiedzi, która brzmiała zapewne tak samo jak przy ich poprzednim spotkaniu.

- Tak. Paulinho dzielnie się trzyma. Jest bardzo mężny. - To było kłamstwo. Syn cierpiał z powodu choroby i wyraźnie to okazywał. Ale ani Fernanda, ani nikogo innego nie obchodziło, jak słaby jest chłopak, fizycznie czy psychicznie.

- A twoja córka, nadal taka krzykaczka? - spytała.

- Nie, na szczęście to już minęło. - Fernandowi nawet przez głowę nie przeszło, by opowiadać Juju, jaką udręką dla nerwów jest jego pierworodna. I jaka jest brzydka! Biedne dziecko po obojgu rodzicach odziedziczyło tylko niekorzystne cechy, po Abrantesach zbyt gęste włosy, po Almeidach niskie czoło. Wyglądało jak małopka, ale Elisabete upierała się, że to minie.

- To dobrze. - Potomstwo Fernanda było Juju całkowicie obojętne. Denerwowała ją tylko myśl o tym, jak przyszło na świat. Wizja Fernanda sypiającego z inną kobietą doprowadzała Juju do szaleństwa. Natychmiast odepchnęła brzydkie myśli i wróciła do rzeczywistości. Teraz Fernando zapyta o jej rodzinę w Belo Horizonte.

- A jak się wiedzie twoim rodzicom?

Juju milczała o kilka sekund za długo. Zamiast jak zwykle powiedzieć „wspaniale”, wydmuchnęła kunsztowne kółko z dymu i poszukała wzroku Fernanda. Ten wpatrywał się w pianę w filiżance kawy, ale uniósł głowę, gdy nie otrzymał odpowiedzi.

- Zbankrutowali.

- Co proszę?

- Dobrze mnie zrozumiałeś.

Ponownie spuścił wzrok, jakby rozpuszczająca się mleczna piana naprawdę przykuwała jego uwagę.

- Ach, Fernando, przestańmy przed sobą cokolwiek udawać. Moim rodzicom nie wiedzie się dobrze, mojemu synowi też nie, a już najmniej mnie samej.

Powiedziała to. Wreszcie odważyła się wyznać prawdę i przerwać wieczny krąg udawania i kłamstw.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Nic na to nie możesz poradzić. To mnie jest przykro.

- Ze względu na ciebie?

- Nie, ze względu na nas.

Gwałtownie uniósł wzrok. Wreszcie do niego dotarła, zrozumiał, co leżało jej na sercu. Milczenie między nimi było gęstsze od dymu, który unosił się z papierosa Juju spoczywającego w popielniczce. Nie umiała odczytać spojrzenia Fernanda - kryła się w nim zarówno żądza mordu, jak i namiętność, twardość, ale też współczucie. Juju nie wytrzymała jego wzroku. Niezdarnie zgasła papierosa.

- Nie musisz niczego żałować. Nawet się cieszę, że się wtedy nie pobraliśmy. Mój Boże, nadal byłbym zarządcą Belo Horizonte.

- Więc nie czułeś się... zraniony?

Czy był zraniony! Tego nigdy jej nie wyzna. Tak samo jak nigdy nie wyzna swej miłości - to dałoby Juju zbyt wielką władzę.

- Czułem się nieco zraniony - odparł - ale byłem na wojnie, miałem inne zmartwienia. A takiej młodzieńczej miłości nie można traktować naprawdę poważnie, czyż nie?

Gdyby teraz przyznała mu rację, wszystko byłoby stracone. Na zawsze.

- Raczej nie - usłyszała swoje słowa dochodzące jakby z wielkiego oddalenia.

Popatrzył na nią przeszywająco.

- Mimo to często myślę o tym, co by było, gdyby...

- Tak?

- Gdyby wszystko ułożyło się inaczej.

- Nie ma sensu patrzeć wstecz, Juju. Wtedy łatwo przeoczyć, co jest przed nami.

Co to znowu miało znaczyć? Cóż miała przed sobą poza przyszłością u boku męża, któremu jej szczęście było całkowicie obojętne? Poza wychowywaniem dwojga dzieci, które już za kilka lat odwrócą się do niej plecami i zaczną prowadzić własne życie? Poza obserwowaniem z daleka, jak Fernando robi karierę, powiększa rodzinę i odsuwa się od niej? Mimo woli jej oczy zaszyły łzami. Tylko nie to, pomyślała, tylko nie zacząć teraz płakać! Fernando by ją znienawidził. Zawsze uważał użalanie się nad sobą za jedną z najgorszych ludzkich słabości, a w przypadku Juju na pewno nie znalazłby w sobie ani odrobiny współczucia. Skąd miał wiedzieć, że decyzję o poślubieniu Ruiego podjęła z miłości do niego? I jak miała mu to wytłumaczyć? Dziś nawet dla niej samej wyjaśnienia brzmiałyby niewiarygodnie. Fernando nigdy nie zrozumiałby tak pokrętnej logiki.

- Tak, przede mną przede wszystkim długa podróż. Dziś po południu wracam i muszę się jeszcze spakować i załatwić różne inne rzeczy. Więc... lepiej już pójść.

Juju wstała, poprawiła przed lustrem kapelusz i wzięła torebkę. Fernando zerwał się gwałtownie.

- Co to ma znaczyć?

- Co co ma znaczyć?

- Usiądź.

Przez chwilę stała niezdecydowana, ale w końcu ugięła się pod jego władczy wzrok i bezwładnie opadła na krzesło. Spojrzała pytająco.

- Nie odchodź jeszcze. Proszę. - Fernando nie rozumiał, co go naszło. Jak mógł tak stracić opanowanie? Czyż nie chciał jej okazać obojętności? Ukarać Juju za wszystkie cierpienia, które mu zadała? Nie dać jej nigdy poznać, co nadal do niej czuje? A teraz płaszczył się przed nią jak zbity pies i zabiegał o uwagę!

- Bardzo bym chciał jeszcze chwilę z tobą porozmawiać. - Próbował nadrabiać miną. - Mam dziś nieco więcej czasu niż zwykle.

Juju nie mogła tego pojąć. Po raz pierwszy Fernando, choć tylko przelotnie, dał jej do zrozumienia, że jego dawne uczucia może nie całkiem wygasły. Lecz triumf smakował gorzko. Co im to da? Miał żonę, której nie zdradzi, i pozycję zawodową, która nie pozostawiała mu wiele czasu i okazji do widywania Juju. Ona sama musiała wziąć pod uwagę dzieci i ciekawską siostrę, a ta już rzucała dwuznaczne uwagi na temat częstych wizyt Juju. „Twój syn potrzebuje leczenia, a ty cienia”, żartowała i poufnym tonem doradzała jej, by znalazła sobie kochanka.

- Tak nie można. - Juju pochyliła się nad stołem do Fernanda, jakby chciała mu coś wyznać. - To był z mojej strony błąd, że cię odszukałam i nawiązałam z tobą kontakt. Lepiej, żebyśmy się już nie widywali. - Położyła dłoń na jego dłoni, by podkreślić te słowa, ale osiągnęła przeciwny efekt. Gest nie zdradzał determinacji, by położyć wszystkiemu kres, lecz raczej potrzebę czegoś więcej. Fernando odwrócił dłoń Juju i objął jej zimne palce. Juju zalała fala sprzecznych uczuć. A on czuł się podobnie.

Siedzieli w milczeniu, trzymając się za ręce, z głowami pochylonymi tak blisko, jakby coś do siebie szeptali. Każdy obserwator uznałby ich za wieloletnich kochanków.

- Przyjdź jutro po południu do Jardim da Estrela, około trzeciej. Proszę - powiedział cicho.

Uśmiechnęła się do niego smutnie, wstała i wyszła. Fernando nie miał pojęcia, czy miała na myśli „tak” czy „nie”, a fakt, że znowu go po prostu zostawiła, wywoływał w nim wściekłość.

Następnego dnia Fernando zjawił się w parku punktualnie co do minuty. Przez całą drogę z Palacio de Sao Bento wściekał się na siebie -na brak dumy, który kazał mu dosłownie błagać o spotkanie. Może Juju wcale się nie zjawi. Która kobieta przychodzi na spotkanie z tak płaszczącym się mężczyzną? Ale nie był w stanie postąpić inaczej. Jak przyciągany magnesem, zmierzał do miejsca, gdzie ona mogła na niego czekać.

Juju już tam była. Ujrzał ją, zanim go dostrzegła. Siedziała na ławce, szczupłe nogi założone elegancko jedna na drugą, uniesione ramię przytrzymujące kapelusz, by nie uleciał. Jej wzrok spoczywał na małej dziewczynce stojącej na brzegu stawu i karmiącej kaczki.

Fernando bez słowa usiadł obok i również spojrzał na dziecko. Mała wyglądała jak dokładna kopia matki, te same niesforne włosy, te same nieco zbyt szerokie usta - i ten sam zuchwały uśmiech, stwierdził, gdy się odwróciła i zawołała coś do matki.

- Lauro, chodź tu i przywitaj się z senhorem Abrantesem. To mój stary znajomy.

Dziewczynka usłuchała. Dygnęła, przywitała obcego pana i natychmiast pobiegła z powrotem do kaczek.

Jeśli Fernando potajemnie żywił nadzieję, że jest ojcem pierwszego dziecka Juju, musiał się rozczarować. Dziewczynka nie odziedziczyła po nim nic, zupełnie nic. Jednak wciąż chodziła mu po głowie taka możliwość. W każdym razie data się zgadzała. Juju mówiła, że Laura przyszła na świat w Boże Narodzenie 1916 roku.

- Może to moja córka - powiedział cicho i wbrew wszelkiemu rozsądkowi.

- Nie opowiadaj głupstw. Poza tym wcale cię nie przypomina.

- Twojego męża też nie.

- O, powinieneś kiedyś usłyszeć moją teściową. Twierdzi, że Laura całkowicie wdała się w da Costów. Ale porozmawiajmy o czymś innym.

- Może o pogodzie? - Natychmiast pożałował ostrego tonu. - Myślałem tylko... - ciągnął bardziej zgodnie - że będziemy mieli okazję być sami.

- Nie mogłam zostawić jej w domu. Paulo leży chory w łóżku, a jest przy nim opiekunka. Laura tylko by... ach, nie chcę cię nudzić moimi sprawami rodzinnymi.

- Nie nudzisz mnie.

- Nie mogę długo zostać. Ale może spotkalibyśmy się wieczorem? Tak byłoby dla mnie łatwiej, dzieci śpią... - Juju przerwała w samą porę. Niemal przyznała się, że nie miałyby nic przeciwko blaskowi świec i odrobinie romantyzmu.

Dla Fernanda wieczorne spotkanie było znacznie trudniejsze do zorganizowania. Ale do diabła - skoro już jako dzieciom udawało im się wymykać po nocy, dziś też bez trudu wymknie się żonie i teściom. Mógł się usprawiedliwić jakimś zebraniem albo naradą wojskowych o ambicjach politycznych. Nie byłoby to tak dalekie od prawdy, pomyślał, bo rzeczywiście coś się szykowało. Rewolucja wisiała w powietrzu.

- Tak. Odpowiada ci jutro? Skinęła głową.

- Zarezerwuję więc stolik w Cervejaria da Trindade. O dziewiątej.

Po kolacji w głośnej i mało romantycznej restauracyjce następnego dnia było spotkanie w barze Ginginha, drinki w hotelu Veneza i wyjście do teatru Sao Carlos, który jednak opuścili w czasie przerwy. Fernando dostrzegł najlepszą przyjaciółkę Elisabete - na szczęście zanim ich zauważyła - i bez wyjaśnień pociągnął Juju za sobą. Na placu przed teatrem narodowym rzucił: „Mało brakowało!”.

Zawsze istniała możliwość, że zostaną przyłapani, ale dopiero znalezienie się o włos od katastrofy uprzytomniło Fernandowi, po jak cienkim lodzie stąpają. Tak dłużej być nie mogło. Fernando narażał opinię nie tylko swoją i Juju, ale także własnej rodziny. Nikt by im nie uwierzył, że poza kilkoma niewinnymi dotknięciami i głębokimi spojrzeniami do niczego nie doszło. On sam ledwie mógł w to uwierzyć. W duchu Fernando zdradził żonę niezliczone razy, a pragnienie, by uczynić to fizycznie, stało się tak dominujące jak teraz wyrzuty sumienia.

- Pojutrze muszę wracać do Pinhao - powiedziała Juju, gdy niby dwoje dalekich znajomych szli w stronę Praca Luiz de Camões. - Nie da się tego dłużej odkładać. Ale wkrótce przyjadę znowu, obiecuję.

Na postoju taksówek pogładził ją po policzku. Szukał właściwych słów. Czy powinien - czy wolno mu było - zaprosić ją na intymne spotkanie?

- Byłaś już kiedyś w Taverna das Mónicas? To lokal fado, w Alfamie. - Wielki Boże, lokal fado. Brzydził się własną obłudą. Taverna była czymś więcej. Na piętrze wynajmowano pokoje. Na godziny. Fernando nigdy z nich nie korzystał, ale z rozmów z kolegami dowiedział się, że pomieszczenia są czyste, a gospodyni umie zachować dyskrecję. Przede wszystkim było to jedyne miejsce, gdzie prawdopodobieństwo spotkania kogoś z jej lub jego rodzinnego otoczenia równało się niemal zeru.

Juju zaprzeczyła.

- Czy miałabyś ochotę spotkać się tam jutro wieczorem? O dziesiątej? Uliczka nazywa się Travessa das Mónicas - a lokalu nie można przegapić.

- Dobrze. Zatem do jutra. - Juju wsiadła do taksówki, unikając wzroku Fernanda. Dobrze wiedziała, że Alfarna nie należy do dzielnic, w których bywają ludzie ich pokroju.

Pieśń fado była zachwycająca. Lokal nie. Juju czuła się jak intruz wśród biednie ubranych ludzi, rybaków, rzemieślników, kierowców autobusów, szwaczek i gazeciarzy. Wino było kwaśne, siedzieli na niewygodnej drewnianej ławce. Mimo to Juju rozkoszowała się wieczorem - blask świec i melancholijne dźwięki pieśni mówiącej o tęsknocie i nieodwzajemnionej miłości, o rozstaniu i dalekich krainach odpowiadały jej nastrojowi bardziej niż wytworne przyjęcie czy wieczór w teatrze rozrywki. „Bądź zdrowa, Lizbono” - brzmiał refren i Juju bezwiednie pomyślała o czekającym ją wyjeździe, pożegnaniu z Fernandem i powrocie do samotności.

W tawernie było tłoczno, więc siedzieli tuż koło siebie. Gdy po prawej stronie Juju nieprzyjemnie blisko usiadł korpulentny mężczyzna, przysunęła się jeszcze bardziej do Fernanda, który uznał to za zachętę. Objął ramieniem jej talię. Tam gdzie dotykały się ich uda i gdzie spoczęła dłoń Fernanda, skóra Juju płonęła pod krótką sukienką z frędzelkami. Była tak zdenerwowana, że nie umiała spojrzeć na Fernanda. Zamiast tego wbiła wzrok w śpiewaczkę i wstrzymała oddech.

Fernando obserwował szlachetny profil Juju. Czekąca, by przejął inicjatywę, to było oczywiste. No cóż, skoro nie nadstawiła mu ust do pocałunku, zacznie gdzie indziej. Pochylił się ku jej szyi, pocałował delikatnie i ruszył powoli w górę, by obrysować językiem ucho.



Juju z podniecenia dostała gęziej skórki. Drapanie brody Fernanda i delikatność jego ust były tak zmysłowe, że zamknęła oczy i westchnęła cicho.

- Chodźmy - wyszeptał jej do ucha. Dokąd, nie musiał mówić. Juju każdą cząstką swego ciała pragnęła Fernanda i podążałaby za nim do najgorszego miejsca na świecie, byleby tylko natychmiast znaleźć zaspokojenie.

Ale żar, który ją ogarnął, rozwiął się już na schodach chylącego się ku upadkowi budynku. Gospodyni, sapiąc, wchodziła przed nimi po niebezpiecznie stromych stopniach. Juju cały czas patrzyła na kołyszący się przed nią szeroki zadek kobiety, w brudnej spódnicy z oderwaną falbaną. Na drugim piętrze gospodyni przystanąła. Otworzyła jeden z pokoi i włączyła światło.

- Za użycie ręcznika dodatkowo pięć escudo - to mówiąc, obróciła się i zeszła po schodach, pobrzękując pękiem kluczy.

Pokój nie był nawet w połowie tak zaniedbany jak właścicielka, ale pachniał stęchlizną i w ogóle wyglądał dokładnie tak, jak Juju w najgorszych koszmarach wyobrażała sobie pokój w hotelu na godziny. Na dywaniku przed łóżkiem widniały bliżej niezidentyfikowane plamy. Różowy abażur spoczywał krzywo na małej lampce na nocnym stoliku. Z miednicy i dzbanka miejscami odprysnęła emalia, odsłaniając brzydkie czarne plamy. Łóżko przykryto prześcieradłem w kwiaty i sfilcowanym wełnianym kocem, a aksamitne obicie stojącego w rogu fotela było wytarte. Pokój sprawiał odpychające wrażenie.

Okropne otoczenie zdawało się nie przeszkadzać Fernandowi. Zgasił górne światło i zapalił nocną lampkę, po czym mocno przyciągnął Juju do piersi. Zdjął jej kapelusz, wyjął spinki z włosów i przesunął po nich dłonią. Żałował, że włosy Juju nie są już tak długie jak dawniej, ale ich zapach nadal był ten sam. Wciągnął go głęboko, zamknął oczy i przeniósł się w czasy, gdy wierzył jeszcze w spełnienie ich miłości.

Poczuł na szyi usta Juju. Powoli całowała go coraz wyżej, przez kanciastą szczękę zdążając do ust. Gdy ich wargi się spotkały, Fernando nie mógł dłużej opanować pożądania. Przycisnął Juju do siebie tak mocno, że musiała poczuć jego podniecenie. Pragnął jej, jak nigdy nie będzie pragnął innej, i chciał jej teraz, tu, na miejscu. Przesunął dłońmi po jej łopatkach, po czym cofnął ręce. Piersi Juju były cudowne w dotyku, okrągłe i twarde. Poglądził je delikatnie, powiódł powoli po twardych brodawkach, które dokładnie wyczuwał pod cienkim materiałem sukienki,

a potem objął mocniej. Poczul na szyi oddech Juju, gorący i coraz bardziej urywany.

Fernando nadal trzymał Juju w objęciach, ostrożnymi, małymi krokami prowadząc ją do łóżka.

Nagle jednak wyrzuciła z siebie:

- Nie mogę tego zrobić.

Fernando jęknął z niezaspokojonej żądz. Boże, czy nie mogła wcześniej uporać się ze swoim poczuciem winy?

Juju po zamglonym spojrzeniu Fernanda poznała, że musiał ją źle zrozumieć.

- Ja... też tego chcę. Ale nie tutaj.

Jemu było to obojętne. Nawet się nie rozejrzył, zauważył co prawda brzydotę pomieszczenia, ale go nie zniechęciła. Mieli przecież siebie, cóż im przeszkadza nędzny pokój? Dopiero teraz, gdy spróbował ujrzeć go oczami Juju, dostrzegł wszystko, co niskie, brudne i upokarzające. I całą sytuację. Nagle się zawstydził. Zaciągnął tu Juju jak jakąś ulicznicę.

Patrzył, jak wkłada kapelusz i pudruje twarz, przeglądając się w zabrudzonym lustrze. Przytrzymał przed nią drzwi, jakby były to drzwi wytwornego salonu, i podążył jej śladem na parter.

Gospodyni nawet nie mrugnęła, gdy stanęli przed nią tak szybko, młoda kobieta z zakłopotanym wyrazem twarzy, on z nieprzeniknioną miną. Elegancyjny ludzie z Lapa lub Baixa zawsze byli dziwni. A kiedy płacili taką sumę, za którą mogliby mieć pokój na całą noc, z szampanem w cenie, nie zadawała pytań. Ani gościom, ani sobie samej.

## Rozdział Siedemnasty.

Najpierw zobaczyła kruki. Całe stado, które w całkowitej ciszy siedziało na wpół uschniętym drzewie w pobliżu Porta de Avis. Niecałe trzy godziny później przy sprzątanii zbiła lustro, które pękło dokładnie na trzynaście dużych kawałków. Potem, przy obiedzie, dręczonej już złymi przeczuciami donie Gertrudes z drżących dłoni wypadła łyżka. Resztę dnia z obawy przed kolejnymi znakami spędziła sama w swojej izbie.

Była bardzo zadowolona, że sprzeciwiła się życzeniom Fernanda i nie chciała własnego mieszkania - tam cierpiałyby jeszcze większą udrękę niż w tym małym, skromnym pokoiku. Ze zdenerwowania ciągle się myliła, licząc oczka we wzorze ubranka, które robiła na drutach dla wnuczki. W nocy źle spała i nie potrzebowała już szczekającego o północy psa, by mieć całkowitą pewność - jej ziemski żywot dobiegał końca.

Trzydziestego maja 1926 roku dona Gertrudes zmarła w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, z własnej winy przejechana przez omnibus. Fernando otrzymał smutną wiadomość dopiero dwa dni później. Odłożył wszystko, by od razu ruszyć do Evory i zająć się pogrzebem. Przeklinał swojego brata i jego nienadającą się do niczego żonę, ale dostosował się do sytuacji. Gdyby sam szybko nie podjął odpowiednich kroków, matka skończyłaby jeszcze w mogile dla ubogich!

Fernando nie umiał opłakiwać dony Gertrudes tak bardzo, jak by to może uczynił w innych okolicznościach. Jej śmierć nastąpiła w niedobrym okresie - dwa dni wcześniej, 28 maja 1926 roku wojskowy pucz doprowadził do upadku republiki. Fernando odegrał w tym dość istotną rolę i teraz zyskał większe poparcie niż kiedykolwiek. Lud był co prawda przychylny ich działaniom, należało jednak dowieść, że wojsko potrafi zaprowadzić porządek w republikańskim chaosie. A jak wiarygodny może być generał, który zaraz po przewrocie wyjeżdża na wieś?

Musiał przeznaczyć na to przynajmniej trzy dni. Ani sąsiadka, która powiadomiła go telegraficznie, ani przedsiębiorstwo pogrzebowe nie miały telefonu, a Fernando wątpił, by jego polecenia wykonano poprawnie, gdyby przekazał je w telegramie. Musiał ustalić termin pogrzebu i wybrać nagrobek, należało zawiadomić sąsiadów, znajomych, przyjaciół i oczywiście krewnych dony Gertrudes. Jedyna osoba, która mogła się tym zająć, mianowicie jego siostra Maria da Conceicao, leżała właśnie z wysoką gorączką w łóżku.

Natychmiast po przybyciu do Evory Fernando zarezerwował na pocztę linię telefoniczną tylko dla siebie. Kazał niespełna dwudziestoletniemu urzędnikowi szczegółowo zapisywać każdą rozmowę i natychmiast go o niej informować, nawet gdyby młody człowiek musiał w tym celu udać się na Rua das Alcacarias. Urzędnik nie był zachwycony rolą chłopca na posyłki, ale rozumiał konieczność - tak jest, panie generale, ważne sprawy państwowe, generał Abrantes musi być w każdej chwili dostępny! Fernando pogratulował sobie w duchu przezorności, która kazała mu przyjechać do Evory w mundurze.

Po załatwieniu spraw na pocztę zajął się pogrzebem. Zapłacił ogromną sumę za jeden z najlepiej położonych grobów na cmentarzu oraz za wykonanie granitowego nagrobka. W lokalnej gazecie zamieścił nekrolog, odnalazł ludzi, z którymi matka w minionych latach utrzymywała kontakty, i zadbał o wszystko, co konieczne, by ugościć przybyłych na pogrzeb. Odszukał spowiednika matki i złożył hojną ofiarę na kościół, by mieć pewność, że ksiądz będzie mówił o zmarłej jedynie w pochwalnych słowach. Nie żeby istniały jakiegokolwiek wątpliwości co do jej nienagannego życia.

Najtrudniejsze zadanie polegało na przekonaniu miejscowych władz, by na czas pogrzebu zwolniono z aresztu jego brata. Fernando musiał osobiście poświadczyć, że Sebastiao punktualnie o drugiej po południu wróci do więzienia - gdzie zdaniem Fernanda było jego miejsce. Drań oszukał wuja swojej żony, senhora Rodriga, na ponad tysiąc escudo i tak głośno chwalił się tym przed kompanami od kieliszka, że nie miał nawet czasu wszystkiego przepić - policja złapała go z niemal stu pięćdziesięcioma escudo w kieszeni.

- Myślałem już, że nigdy nie przyjdiesz - powitał Sebastiao brata na progu celi.

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia w dniu pogrzebu matki? Którą, nawiasem mówiąc, swoim zachowaniem wpędziłeś do grobu?

- Gdybyś pożyczył mi potrzebne pieniądze, nie doszłoby do tego.
- Może nie - byłbyś wtedy wciąż tak pijany, że nie zdołałbyś przeprowadzić swego niewiarygodnie wyrafinowanego planu. A teraz chodź. Załatwiłem dla ciebie porządny garnitur, przyda ci się też golenie i kąpiel. Choć raz bądź dobrym synem i okaż matce należny szacunek. Na trzeźwo, jeśli możesz.

Sebastiao spojrział na brata tak, jakby ten zupełnie stracił rozum. Co temu Fernandowi strzeliło do głowy, że tak się popisuje? On, Sebastiao, nie jest żołnierzem, którym można by komenderować! To przecież on musiał przyjąć do siebie matkę. On karmił starą i wysłuchiwał jej pobożnej gadaniny. I to on oszuka dziś swego mądrego brata i ucieknie przed władzą. Na zawsze.

Sebastiao nie miał nic do stracenia. Nie doczekał się dzieci - jego żona Rosa nie nadawała się nawet do tego. A jej samej i tak obrzydł. Rodzeństwo go nie obchodziło. Nieliczni znajomi mężczyźni, których nazywał przyjaciółmi, także. A ojczyzna? Portugalia schodziła na psy, każdy to widział! Nieprędko znajdzie pracę, zwłaszcza teraz, jako karany. Właściwie nie miał żadnej ochoty na uregulowane życie. Lata spędzone u senhora Rodriga, w czasie których jako „asystent”, czyli nieco lepszy praktykant, oddawał się śmiertelnie monotonnym zajęciom, zupełnie mu wystarczały. Nigdy więcej, przysiągł sobie Sebastiao, nie pozwoli się tak upokarzać.

Za to w Brazylii mężczyzna taki jak on, prawdziwy mężczyzna, ma jeszcze szansę zdobyć majątek. Kraj jest ogromny i pełen naturalnych bogactw. Potrzeba tam odważnych i upartych chłopaków, którzy nie boją się ani ekstremalnego klimatu, ani jadowitych pajaków, wrogich plemion indiańskich czy działań niezgodnych z prawem. Tak, tam czeka go szczęście, a dzięki staremu znajomemu załatwił już sobie transport - na pokładzie frachtowca, na którym zatrudnił się do prostych prac fizycznych. No dobrze, wytrzyma jeszcze dwa tygodnie. A potem wolność, palmy kokosowe i półnagie Mulatki!

Musiał tylko uciec Fernandowi. I to teraz albo nigdy.

Sebastiao umył się, włożył marynarkę i, cały czas obserwowany przez Fernanda, udał się do ubikacji na klatce schodowej.

- Ale tam za mną nie pójdziesz, prawda? - Jego słowa ociekały sarkazmem.

Nie, Fernando wątpił, by jego brat, gdyby naprawdę wydostał się z domu przez małe okienko, zdołał daleko uciec. Bez pieniędzy i papierów Sebastiao nie miał cienia szans.

Jednak tu Fernando się mylił. Jego brat ukrył w spluczce nad toaletą część skradzionych pieniędzy. Poza tym zapłacił sporo za to, by kapitan brazylijskiego frachtowca nie zadawał pytań i przemycił go do kraju. W żałobnym garniturze Sebastiao wyglądał całkiem przyzwoicie, więc mógł niepostrzeżenie dostać się do portu w Lizbonie. Ha, Fernando mimo woli wyświadczył mu przysługę - cóż za ironia losu!

Gdy wdowa Carneiro wyjrzała z okna swego mieszkania na czwartym piętrze, pomyślała, że coś się jej przywidziało. Czyż ten szubrawiec z dołu nie siedzi za kratkami? Zatem dlaczego w biały dzień zjeżdża po rynnie na podwórze? Zawołała go po imieniu, ale nie otrzymała odpowiedzi. Sebastiao przecisnął się przez ogrodzenie na dziedziniec sąsiedniego domu, uwijając się przy tym zwawiej niż przy jakiegokolwiek dotychczasowej pracy.

Pogrzeb okazał się mniej przygnębiający, niż Fernando podejrzewał. Pogoda była ładna, mowa księdza wzruszająca, grób okryty kwiatami i wieńcami. Przyszło około pięćdziesięciu osób - gdy matka mieszkała w Evorze, nawiązała najwyraźniej wiele nowych przyjaźni. Drugi brat Fernanda, mieszkający w Angoli, nie dotarł na pogrzeb. Także Elisabete nie zdołała przyjechać - jej ciąża była zbyt zaawansowana, żeby mogła ryzykować podróż. Siostra jednak mimo grypy nie zrezygnowała z udziału w pożegnaniu dony Gertrudes. Maria da Conceicao wyglądała na dość przybitą - do choroby i żałoby po matce doszedł gniew z powodu zniknięcia Sebastiao.

Naprawdę to uczynił! W dniu pogrzebu! Fernando nie znajdował słów wobec tak bezczelnego postępk. Ale nie łamał sobie nad tym długo głowy. Natychmiast pospieszył na posterunek, poinformował o ucieczce i był pewien, że brat zostanie złapany jeszcze tego samego dnia. Jeżeli nie, myślał, później się zastanowi, jaki wpływ może to mieć na jego własną karierę. Teraz zajmie się tylko wspomnianiem matki.

Jednak nim Fernando zdołał sobie przypomnieć jakąś wyjątkową sytuację, pełen miłości gest lub czułe słowa dony Gertrudes, w jego myślach pojawiał się obraz Juju. Dzień, w którym matka wzruszyła się do łez, bo Fernando przyniósł do domu całą szynkę? Był to ten sam dzień, gdy siedzieli z Juju, trzymając się za ręce w spiżarni w Belo Horizonte, pełni obaw, że przyłapie ich kucharka. Niedzielna msza, kiedy matka dała mu swój niezwykle cenny obrazek z wizerunkiem świętego Antoniego?

Była to ta sama msza, podczas której dwunastoletni Fernando oczarowany wpatrywał się w różowy kapelusz dziewczynki w pierwszym rzędzie, która wcześniej przysięgała mu, że nigdy w życiu nie włoży okropnego nowego kapelusza. A Środa Popielcowa 1916 roku, kiedy przed jego powrotem do koszar matka dała mu własnoręcznie zrobione rękawiczki, zupełnie nieprzydatne w samolocie, bo tylko skóra skutecznie chroniła przed zimnym powietrzem? Tego dnia ujrzał Juju po raz ostatni na długi czas.

Jej widok, jak skacze pod korkowym dębem, wymachując nogami, na wieki wypalił się mu w pamięci. Jej paplanina wydawała się taka dziecinna i swobodna, gdy tłumaczyła, że od długiego czekania na siedząco ścierpły jej nogi. Wykonała wtedy wesoły taniec, tak bardzo kontrastujący ze świadomie eleganckim wyglądem - odpowiednia w dniu święta wysoko zapięta suknia, włosy ułożone w grzeczny kok, śliczne nóżki ukryte w czarnych sznurowanych bucikach.

Ogromna przepaść dzieliła tamtą Juju od tej, którą spotkał w Lizbonie. Nie tylko zewnętrznie. Fernando nie potrafił już sobie wyobrazić, żeby Juju kiedykolwiek siedziała po turecku, nawet w przydomowym ogrodzie albo na własnym łóżku. Tak samo nie wierzył, że dziś umie się śmiać równie serdecznie jak wtedy. Śmiechu można się oduczyć, wiedział to z własnego bolesnego doświadczenia. Podczas ich niedawnych spotkań Juju nigdy, ani razu nie roześmiała się głośno. W najlepszym razie obdarzała go zagadkowym uśmiechem, który sprawiał wrażenie, jakby ćwiczyła go przez lata. Och, pasował do niej idealnie - nadawał jej dramatyczny wyraz, jaki właśnie chyba był w modzie - ale ani trochę nie przypominał Juju, którą Fernando niegdyś kochał. Którą nadal kochał.

- ...i Ducha Świętego - usłyszał słowa księdza.
- Amen - odpowiedzieli żałobnicy.

Fernando zauważył, że wszystkie oczy zwrócone są na niego. Podeszedł do grobu i rzucił białą różę na wierzch trumny. Głuchy odgłos kwiatu uderzającego o drewno przywołał go do rzeczywistości. Wrócił do szeregu. Gdy Maria da Conceicao z rozdzierającym łkaniem również rzuciła kwiaty do grobu i na powrót stanęła obok niego, ujął jej dłoń, nie tyle, by pocieszyć siostrę, co raczej, by przypomnieć samemu sobie, gdzie i z jakiej to smutnej okazji się znajduje.

Boże, nie jest lepszy od Sebastiao! Czy istnieje jakaś różnica między nieobecnością fizyczną a nieobecnością duchową? I czy zdrada małżeńska,

choćby tylko w myślach, nie stanowi większej hańby niż kradzież? Co z jego moralnością? Oto stoi tu, przy grobie kobiety, która dała mu życie, a myślami jest wciąż przy kobiecie, przez którą niemal je stracił -gdy dowiedział się o pospiesznym ślubie Juju z owym da Costą, był tak nieostrożny i wykonywał w samolocie tak ryzykowne manewry, że często ocierał się o śmierć. Tak rodzili się bohaterowie.

Po pogrzebie żałobnicy udali się do pobliskiej kawiarni, w której Fernando zorganizował stypę. Podeszedł do niego sierżant policji i choć Fernando wiedział, o jaką niezwykle delikatną sprawę chodzi, w duchu odczuł ulgę. Wolał stawić czoło palącemu problemowi niż po prostu stać, ścisnąć dłonie obcych ludzi i wysłuchiwać kondolencji.

- Generale Abrantes, ja, e, my...

- Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność. Poinformowałem już Lizbonę i sądzę, że mój brat wkrótce zostanie wam z powrotem przekazany.

Policjantowi najwyraźniej spadł kamień z serca.

- Dobrze, bardzo dobrze. Zatem... nie obciążam pana dłużej tą sprawą. W tak smutnym dniu. Serdeczne wyrazy współczucia.

- Dziękuję, sergente.

Zaraz potem podeszła do niego Maria da Conceicao.

- Nie znam tu prawie nikogo. I niezbyt dobrze się czuję. Na pewno mam większą gorączkę. Chyba lepiej już pójdę.

- Chcesz już wracać do domu? - Fernandowi wydało się dziwne mówienie o Belo Horizonte jako o domu Conceicao.

Skinęła zmęczona głową.

- Nie, połóż się na trochę w mieszkaniu Sebastiao. Pójdę z tobą. Musimy sprawdzić, czy są tam jakieś rzeczy po mamie, które chcielibyśmy zachować na pamiątkę. Jeśli nie, każę komuś wynieść resztę rzeczy.

Maria da Conceicao była oburzona brakiem taktu Fernanda. W dniu pogrzebu nie można się zajmować spuścizną po zmarłym! Brat najwyraźniej zauważył jej nastawienie.

- Nie mamy czasu na sentymenty. Chcesz tu wrócić, gdy poczujesz się lepiej? Poświęcisz swój wolny dzień na tak niewdzięczny obowiązek?

Oczywiście miał rację. Maria da Conceicao zrezygnowana skinęła głową.



Niezauważenie opuścili kawiarnię, w której większość osób zdawała się całkiem dobrze bawić.

W mieszkaniu przywitał ich zapach szarego mydła i zimnego popiołu. Conceicao bezsilnie opadła na sofę, a Fernando zaparzył jej herbaty. Gdy przyniósł napój, siostra cicho łkała. Wypiła łyk i powiedziała, przełykając łyżę:

- Czworo dorosłych dzieci, siedmioro wnucząt - i niemal sami obcy na pogrzebie.

Co mógł jej powiedzieć na pocieszenie? Sam myślał podobnie.

- Dla niej to nie byli obcy. A z nieba na pewno widzi, że Manuel i Sebastiao myślami są przy niej - to przecież najważniejsze. - Sam nie bardzo wierzył we własne słowa, ani w niebo, ani w to, że bracia w duchu wspominają matkę. Podobnie jak jego żona i małe dzieci, których babcia niemal nie widywała.

- Zostań tu - powiedział do siostry. - Zobaczę, czy jest w jej izbie coś, co chcielibyśmy zachować na pamiątkę.

- Nie, pójdę z tobą - Maria da Conceicao była pewna, że brat nigdy by jej nie skrzywdził. Ale wiedziała też, że zniszczony modlitewnik, przetarta, własnoręcznie wyhaftowaną chusteczkę czy zasuszony bukiet kwiatów, które dla niej mogły mieć duże znaczenie, uznałby za bezużyteczne śmieci.

Izba była idealnie czysta i wysprzątana. Fernando rozejrzał się wokół, ale nie chciał zachować na pamiątkę żadnych mebli czy ozdób - małej drewnianej figurki Najświętszej Marii Panny Fatimskiej umieszczonej na chwiejącym się regale czy wydzierganych szydełkiem firanek. Otworzył szufladę prostego drewnianego stołu, który stał w rogu. Znajdowało się tam kilka całkowicie bezwartościowych ozdób. Fernando powiedział, wstydzając się własnych słów:

- Chciałaby, żebyś ty dostała jej biżuterię.

Opuścił izbę, zostawiając Marię da Conceicao z zadaniem przejrzenia doczesnego majątku dony Gertrudes. Usiadł na sofie i nieobecny duchem popijał herbatę siostry. Tutaj też nie było niczego, zupełnie niczego, co chciałby zatrzymać. Pewnie nawet handlarz starzyzną niczego nie znajdzie. Na ścianie tania reprodukcja, wytarty dywan - kto chciałby mieć coś takiego? Albo ten przechylony, dziurawy koszyk, z którego wystają dwa druty?

Fernando wstał, by przyjrzeć się z bliska zawartości koszyka. Nie znalazł się zupełnie na ręcznych robótkach, ale to, co zobaczył, bez wątplenia

było niemal gotowymi śpioszkami dla niemowlęcia. Dla jego dziecka, które lada dzień miało przyjść na świat. Jego trzeciego dziecka.

Fernando wyjął z koszyka robótkę razem z kłębkim wełny. Zatrzyma ją - i będzie myślał o pracowitych, umęczonych dłoniach matki.

Żadne przemowy, żadne kondolencje i żadna część skromnego spadku nie zdołała przeniknąć do jego serca i uświadomić mu bólu, a uczyniła to teraz owa niewinna robótką.

Fernando ukradkiem otarł łzy.

## Rozdział Osiemnasty.

Rui da Costa w wieku niecałych czterdziestu lat był wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. Siwiejące skronie i wąsy oraz zmarszczki wokół oczu nadawały mu tylko bardziej męski wygląd. Rysy jego twarzy stały się ostrzejsze niż w młodości, a przez to wyrazistsze. Cerę miał ogorzałą, sylwetkę niezmiennie szczupłą i muskularną. Niezliczone godziny na korcie tenisowym zrobiły swoje. Rui interesował się modą, ale jak przystało na człowieka interesów ubierał się dość konserwatywnie. Ogólnie sprawiał wrażenie kogoś, kto zarówno prywatnie, jak i zawodowo odnosi same sukcesy.

I tak też było - pozornie. W rodzinnym przedsiębiorstwie stał się nieodzowny. Dzięki plantacjom dębu korkowego, przekazanych w dniu ślubu przez rodziców Juju, fabryka korka, którą założył razem z ojcem, stała się niezwykle dochodowa. Byli największym eksporterem korków do wina w całym rejonie - dostawy trafiały głównie do winnic w Europie - i nieustannie zgłębiali zalety materiału, by otworzyć przed sobą kolejne rynki. Korek był świetnym izolatorem termicznym, wygłuszał dźwięki, nie przepuszczał wody, a w dodatku był wyjątkowo lekki. Stosowano go do zamykania butelek, a z korkowego granulatu wykonywano łazienkowe podłogi. Rui jednak marzył o tym, by rozpropagować korek jako materiał na podeszwy i wiele innych przedmiotów codziennego użytku. W swoich wizjach był osamotniony. Rodzice dawali mu co prawda do zrozumienia, że uważają te pomysły za wspaniałe, ale po cichu kręcili głowami na brak realizmu syna. A jego żona Juju? I tak nie interesowało jej to, co robił Rui. Ani fabryka korka, ani winnice. A już na pewno nie jego życie prywatne. Dzięki Bogu.

Odkąd na stałe przeprowadziła się do Lizbony, Rui mógł znacznie łatwiej wymykać się wieczorami. Cała sympatia, czy to rodziców, sąsiadów czy służących, była po jego stronie - nic dziwnego, że mężczyzna,

którego żona ciągle wyjeżdża, szuka rozrywek gdzie indziej. A Rui miał dość rozumu, by szukać rozrywek tam, gdzie nikt go nie znał. Gdyby udał się na łowy w Pinhao, jego „nienaturalne” skłonności szybko przestałyby być tajemnicą. W Lamego, Regua czy Porto mógł stosunkowo łatwo zniknąć w hotelu z umięśnionym chłopakiem. A lubił dużych, silnych chłopców, którzy mieli więcej mięśni niż rozumu. Wśród robotników nad Douro lub żeglarzy w Porto zawsze znalazł się jakiś młodzian, dzielący skłonności Ruiego.

Rui nienawidził tego, że musi utrzymywać w sekrecie swą skłonność do silnej płci. Nie uznawał tego za nienaturalne ani w żaden sposób naganne. Znał jednak ludzkie uprzedzenia i wiedział, jak katastrofalne skutki dla interesów miałyby ujawnienie jego tajemnicy. Po prostu nie mógł tego zrobić. Nie mógł się też nikomu zwierzyć. I tak samo nie udawało mu się poczuć czegokolwiek do kobiet. Próbował. Bez entuzjazmu spełniał małżeńskie obowiązki w nadziei spłodzenia dalszego potomstwa, co zdusiłoby w zarodku wszelkie złośliwe plotki czy nawet aluzje. Po Laurze koniecznie chciał syna - a gdy Paulo wreszcie przyszedł na świat, Rui zupełnie przestał dzielić łożę z Juju.

Być może tym właśnie wygnał żonę z domu. Może czuła, że wykorzystał ją tylko po to, by się rozmnożyć i stworzyć pozory zacności. Bo jego miła małżonka z pewnością nie była głupia. Mogła wykazywać szokujący brak zainteresowania wszystkimi sprawami gospodarskimi i politycznymi, mogła znudzona poświęcać się urządzaniu domu, który zresztą Rui uważał za bardzo gustowny, i mogła udawać brak ochoty do przygód i potrzebę spokoju - ale nie była głupia.

Rui zastanawiał się czasami, czy Juju w ogóle potrafi zająć się czymś z pasją, wykazać prawdziwy entuzjazm wobec czegokolwiek. Na początku, gdy się o nią starał, chciał wierzyć, że znajdzie w niej towarzyszkę i przyjaciółkę. Kogoś, z kim nawet jeśli nie połączy go czułość, to przynajmniej będzie mógł porozmawiać, snuć plany, śmiać się i marzyć. Ale Juju, która wtedy przyjechała do Pinhao jako jego żona, ani trochę nie przypominała pełnej życia młodej kobiety, jaką poznał.

Wątpił, by krył się za tym inny mężczyzna. Była przecież jeszcze dziewczicą. I zaraz po ślubie przeprowadziła się z nim nad Douro. Gdzie i jak miałyby poznać innego? Nie żeby go to specjalnie obeszło. Chciałby tylko wiedzieć, co się kryło za tą przemianą osobowości. Ale może oddalenie dobrze im obojgu robi. Czymkolwiek zajmowała się w Lizbonie - z pewnością nie mogło jej to zaszkodzić.

Rui nawet cieszył się trochę na ponowne spotkanie. Przede wszystkim brakowało mu dzieci. Minęło niemal pół roku, odkąd Juju przeniosła się do mieszkania w stolicy. Podała przekonujące powody:

- Klimat tu, na północy, pogarsza tylko astmę Paula. Częste podróże do Lizbony są uciążliwe dla wszystkich. Moja siostra już rzuca uszczypliwe uwagi, gdy znowu się zapowiadamy. A hotel jest taki... mało domowy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Rui rozumiał. Rozumiał również konieczność posłania Laury do szkoły z internatem. Wszyscy da Costowie od dziesiątego roku życia uczęszczali do ekskluzywnych szkół. Laura była już w odpowiednim wieku. Rui sam to zaproponował już przed paroma laty - mimo to miał teraz żonie za złe, że wysłała z domu dziecko na naukę. Juju chciała po prostu pozbyć się Laury. Była wyrodną matką, a on sam ją do tego doprowadził. Ach, nonsens! Boże Narodzenie zawsze nastrajało Ruiego refleksyjnie. Gwałtownie odsunął od siebie wszystkie myśli o ojcowskiej odpowiedzialności. Dzieci to w końcu kobieca sprawa. A już na pewno córki.

Inaczej niż większość dziewczynek w jej wieku, Laura w ogóle nie cieszyła się na swoje jedenaste urodziny. Wszyscy zapewniali ją, że to wielkie szczęście i prawdziwe błogosławieństwo urodzić się w Wigilię -i że jest prawdziwym dzieckiem Bożym. Ale ci, co tak twierdzili, nie wiedzieli, jak to wygląda naprawdę. Było okropne, że w dniu, w którym Laura powinna skupiać na sobie całą uwagę i otrzymać prezenty, odbywało się tak wielkie religijne święto. W Wigilię gotowano, składano wizyty, szło się na pasterkę. Owszem, dostawała prezenty, najczęściej bardzo dużo, a następnego dnia następowało kolejne obdarowywanie - ale nikt nie miał czasu na prawdziwe przyjęcie urodzinowe. Zresztą kogo miałyby na nie zaprosić? Dawne koleżanki, dziewczynki z Pinhao lub sąsiednich quint, obchodziły Wigilię. A nowych „przyjaciółek” z internatu, tych głupich gęsi, i tak nie chciała widzieć.

No cóż, pomyślała Laura, przynajmniej znowu jest w domu, choćby tylko na trzy tygodnie szkolnych ferii. Jeśli dostanie w prezencie rower, którego sobie zażyczyła, objedzie na nim całą okolicę. Będzie ćwiczyć jazdę bez trzymanki, jak to widziała u listonosza w Lizbonie, dawne przyjaciółki będą ją podziwiać, a dziadkowie upominać. Może nawet specjalnie spadnie, bo wtedy mama by jej współczuła, opatrzyła zbite kolano i przytuliła tak, jak tego już dawno nie robiła.

No tak, ona sama nie była tu całkiem bez winy. Gdy na początku września oddano ją do internatu, mama spoglądała za nią smutno i chciała pocałować córkę na pożegnanie. Ale Laura ją odepchnęła, jakby ta cierpiała na jakąś wstrętą zaraźliwą chorobę. Nie mogła przecież na oczach wszystkich innych dziewczynek tak się skompromitować i pozwolić się traktować jak dziecko, wykluczone! Poza tym kara była zasłużona. Laura gorączkowo broniła się przed odesłaniem, ale matka nie ustąpiła. „Nie odsyłamy cię, wróbelku. Chcemy tylko, żebyś otrzymała najlepsze wykształcenie, jakie można mieć za pieniądze”. Potem, w czasie trzech wizyt, które złożyła w Sintrze, matka nie próbowała jej już objąć.

Laura przemykała na palcach po domu. Jutro był jej „wielki” dzień, który, jak wiedziała z doświadczenia, nie będzie pewnie naprawdę wielki, ale może przynajmniej przyniesie prezent w postaci roweru. A ten musiał gdzieś stać. Laura chciała go koniecznie znaleźć. Szukała w najdziwniejszych miejscach, ale prezentu nie było ani w schowku na miotły, ani na strychu, ani w piwnicy za wielkimi beczkami, w których dojrzewało porto. Czyżby znajdował się w szopie na narzędzia? Nie, tam także niczego nie znalazła. Miała jeszcze tylko jedną szansę -ogromna szafa z ubraniami w sypialni rodziców była ostatnim miejscem, gdzie mógł się kryć przedmiot tej wielkości. Najciszej jak mogła Laura podkrađa się do drzwi pokoju, by przez dziurkę od klucza sprawdzić, czy w środku jest pusto.

Nie przypuszczała, że teraz, po południu, ktoś tam będzie. Tym większe było jej przerażenie, gdy zobaczyła matkę siedzącą na skraju łóżka i ojca nerwowo chodzącego po pokoju. Hm, bardzo ciekawe. Jeśli dobrze się przysłucha, może dowie się czegoś o swoim prezencie. Laura mocno przycisnęła prawy policzek do drzwi, by nie umknęło jej żadne słowo.

- To się musi skończyć. W jakim świetle nas to stawia? - doszedł ją głos ojca.

- Proszę cię, Rui. Nie żyjemy w średniowieczu. Jeśli nie wolno mi przyjmować męskich wizyt, to nie powinien do mnie przychodzić ani lekarz Paulinha, ani robotnik, by coś naprawić. I nie mogłabym, niestety, gościć twego szacownego doutora Bragi, skończyłyby się też przelotne odwiedziny miłego senhora Teobalda z trzeciego piętra. Jeśli cię to interesuje, on ma ponad osiemdziesiąt lat. Nie podejrzewasz chyba, że coś mnie z nim łączy.

- Przekręcasz moje słowa.
- Ależ wcale nie. Tylko twoją ocenę sytuacji - a ona i tak pochodzi z drugiej ręki.
- A jak mam to rozumieć, gdy Paulinho odpowiada mi, że jakiś pan wciąż wpada do was na kawę?
- Tak, jak ci to wyjaśniłam. Chodzi o mojego przyjaciela z młodości, z Alentejo. Co w tym złego, że widzimy się od czasu do czasu, żeby odświeżyć wspomnienia?
- Na ogół nic. Ale sposób, w jaki je „odświeżacie”, wydaje mi się nieco zbyt poufały.
- Tylko dlatego, że Paulinho widział, jak Fernando całuje mnie w rękę? Doprawdy, Rui, chyba ponosi cię wyobraźnia.

Laura, która nadal w napięciu tkwiła przy drzwiach, wierzyła słowom matki. Paulinho prawdopodobnie i tak wszystko zmyślił i przekręcił - jej brat w wieku sześciu i pół roku był najgorszym kłamczuchem, jakiego знаła. A także skarżypytą. Poza tym Laura była pewna, że brat tak naprawdę nie choruje na astmę. Dostawał ataków tylko wtedy, gdy mama znajdowała się w pobliżu.

- A zatem nazywa się Fernando, tak? - usłyszała głos ojca. - Wiesz, Juju, jest mi całkowicie obojętne, co wyprawiasz z owym Fernandem. O ile nie zajdziesz w ciążę i nikt się o tym nie dowie. A zwłaszcza nasze dzieci. Czy to jasne?

- Co to znaczy „czy to jasne”? Grozisz mi?
- Tak. Nie chcę, żeby dzieci dorastały ze świadomością, że ich matka dopuściła się zdrady małżeńskiej. Jeśli zatem jeszcze raz usłyszę, że ten mężczyzna cię odwiedza i całuje, choćby tylko w rękę, natychmiast wstrzymam wypłacanie ci pieniędzy.
- A ja skruszona wrócę tutaj? Czy tego chcesz? Za pozwoleniem, Rui, znam cię. Wiem dobrze, że wolisz, gdy schodzę ci z drogi. I żeby nie było nieporozumień - nie dopuściłam się zdrady.
- Choć pewnie dobrze by ci to zrobiło...

Laura nie była pewna, czy dobrze zrozumiała to, co usłyszała. Gorączkowo starała się sobie teraz przypomnieć historię, którą opowiedziała wtedy kuzynkom o matce, by odwrócić ich uwagę od własnej tajemnicy. Czy teraz spotykała ją kara? Czy zmyślona historia się sprawdziła?

Nagle Laura usłyszała głośne klaśnięcie. Szkoda, że nie mogła jednocześnie spoglądać przez dziurkę od klucza i nasłuchiwać. Co to było? Policzek? I kto komu go wymierzył?

Przez chwilę panowała całkowita cisza. Potem matka przerwała milczenie, ale jej głos brzmiał zupełnie inaczej niż przed chwilą - był zimny, opanowany, rzeczowy.

- Będę w Lizbonie przyjmować, kogo chcę. Nie możesz mi grozić. To przecież ty boisz się ujawnienia swoich prawdziwych skłonności, nieprawdaż? Co powiedzieliby dona Filomena i senhor Adalberto, gdyby wiedzieli, że ich idealny syn, no cóż, nie jest wcale taki idealny, jak zdaje się wierzyć cały świat? Sądzisz, że nie wiem, dlaczego tak się wzbranasz przed rozwodem?

W tym momencie Laura pospiesznie opuściła swój posterunek. Słowo „rozwód” wzbudziło w niej najgorsze obawy. Rodzice jednej z dziewczynek w internacie byli rozwiedzeni, a dziewczynkę ciągle wyśmiewano i szykanowano - robiły to nawet zakonnice. Nie istniało nic gorszego niż mieć rozwiedzionych rodziców, chyba tylko być nieślubnym dzieckiem. Ale takich Laura nie знаła, a nawet gdyby, zabroniono by jej się z nimi spotykać. Rozwód! Dobry Boże, tylko nie rozwód! Wszelkie myśli o rowerze dawno uleciały.

Juju usłyszała skrzypienie desek na korytarzu. Czas zakończyć rozmowę, nim ktoś stanie się świadkiem tej groteskowej wymiany zdań. Wyjdą z sypialni i będą się zachowywać tak jak do tej pory. Nie narazi Ruiego na śmieszność. Będzie nadal odgrywać farsę, by utrzymać pozory normalnej rodziny, przynajmniej przed dziećmi. Z tego samego powodu nie zaprosi już Fernanda do mieszkania. Była wstrząśnięta, gdy Rui skonfrontował ją z obserwacjami Paulinha. Jeśli chłopiec te pozornie niewinne spotkania odczytywał tak, jak w rzeczywistości należało je odczytywać, musiała umawiać się z Fernandem na popołudniową kawę gdzie indziej.

- Sądzę, że wszystko zostało powiedziane - rzuciła, stając w otwartych drzwiach. - Ach, zanim zapomnę - dopilnuj, żeby wieczorem wyjąć rower z szafy i postawić go w jadalni, najlepiej tuż pod drzwiami na werandę, żeby Laura go od razu zobaczyła, jeśli wstanie przed nami. -To mówiąc, łagodnie zamknęła drzwi i zeszła na dół do salonu, by zaprezentować się donie Filomenie i senhorowi Adalbertowi jako najlepsza z synowych. O tym, że w nocy uda się do pokoju gościnnego, starsi państwo nie musieli wiedzieć, podobnie jak nikt inny.

Następnego dnia Laura obudziła się wyjątkowo wcześnie. Na dworze było jeszcze ciemno, a w domu nie rozlegał się żaden dźwięk. Włożyła szlafrok



i pobiegła na dół. Co prawda stół już nakryto, a z kuchni dobiegał zapach świeżo zaparzonej kawy, ale poza Laurą i kucharką najwyraźniej nikt jeszcze nie wstał. Wszystkie nakrycia były nieruszone. Laura poczuła lekkie rozczarowanie, zmusiła się jednak do zachowania rozsądku. Czego w końcu oczekiwała, krążąc po domu o tej porze? Usiadła na swoim miejscu i urażona spoglądała na stary stojący zegar, jakby ten ponosił winę za jej nieszczęście. Dziesięć po siódmej. Mogło trwać wieki, nim ktoś się nad nią zlituje.

Chwilę później wszakże usłyszała kroki i podniecone szepty. Zasłona w przejściu do skrzydła kuchennego nieco się uchyliła. Laura ujrzała okrągłą twarz swej dawnej opiekunki, Aninhy, która teraz zajmowała się wyłącznie Paulnhem. Wreszcie zasłonę całkiem odsłonięto. Do jadalni uroczyście wkroczyły kucharka i Aninha, nucąc melodię urodzinowej piosenki i niosąc mały czekoladowy tort.

- Wszystkiego najlepszego! - zawołały razem i mocno przytuliły Laurę. Aninha podała jej nóż, pozwoliła ukroić kawałek ciasta i z przepaszającym spojrzeniem wetknęła w niego małą świeczkę. - Nie miałyśmy aż jedenastu. - Zapaliła świeczkę, pocałowała Laurę w policzek i razem z kucharką zniknęła za zasłoną.

Laura utkwiała wzrok w płomieniu. Po kilku minutach cienka świeczka się wypaliła. Wyjęła ogarek z ciasta. Wokół dziurki, w której tkwił, czekolada była roztopiona. Laura siedziała przygarbiona na krześle, z rękoma na kolanach i pochyloną głową. Patrzyła na dziurkę w torcie i walczyła ze łzami. Nie pomyślano nawet o świeczkach.

Napawała się cierpieniem. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło, żeby w swoje urodziny musiała sama siedzieć przy stole! Zwykle rodzice wstawali przed nią, dekorowali stół kwiatami, gałązkami albo szyszkami pinii, wokół krzesła Laury kładli pięknie opakowane prezenty i witali ją urodzinową piosenką. Laura wstydziła się zawsze, że ojciec tak brzydko śpiewa - teraz jednak niczego nie pragnęła usłyszeć bardziej niż jego fałszujących muzycznych życzeń. Wszystko byłoby lepsze od gorączkowego szczęku naczyń dobiegającego z kuchni.

Tuż przed ósmą przy stole zjawiała się kolejna osoba - jej brat. Ciągnął za sobą kocyk i wyglądał na bardzo zasnętego. Pamiętał jednak o prezencie. Niósł małą paczkę, przepięknie zapakowaną w ozdobny papier i z grubą kokardą. Zapewne prezent przygotowała Aninha, pomyślała Laura. Ale nieważne. To, że właśnie głupi mały brat pamiętał o jej urodzinach, w pewien sposób ją wzruszyło.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział nieśmiało. Paulo obawiał się swojej siostry, zwłaszcza wtedy, gdy robiła minę taką jak teraz.

- Dziękuję - Laura wzięła paczkę, jakby trzymała martwą żabę, i położyła ją na stole.

- Otwórz, otwórz! - domagał się Paulinho.

Nie chciała, by zauważył, jak ciekawa jest podarunku, choć przypuszczała, że chodzi raczej o jakiś dziecinny drobiazg niż o prawdziwy prezent. Umyślnie powoli rozwiązała kokardę i ostrożnie odwinęła paczuszkę. Ukazało się niepozorne tekturowe pudełko. Laura potrząsnęła nim, przyłożyła do ucha i próbowała zgadnąć, co się w nim kryje. Paulinho skakał wokół niej podniecony. Naraz wydał się Laurze bardzo słodki, więc pochyliła się ku niemu z uśmiechem. Potem ponownie zajęła się paczką. Otworzyła ją i początkowo nie mogła rozpoznać zawartości. Dopiero gdy wyjęła przedmiot, poznała, co to jest - klakson do roweru! Wpatrywała się w brata osłupiała.

- To klakson. Popatrz, naciska się tutaj i...

Rozległo się ogłuszające trąbienie. Paulinho roześmiał się i wesoło skakał po jadalni.

- Zostaw to. Daj, teraz jest moje. - Laura wyrwała bratu klakson. Jego radosną buzię natychmiast wykrzywił zalękniony grymas. - Ty głupku! Co mam z tym zrobić, skoro nie dostałam roweru? - Wściekle nacisnęła klakson. Tru tu tuuu! Paulinho wybiegł z płaczem. To niesprawiedliwe, że najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek podarował Laurze -i przy którego zakupie pomagała mu mama - został tak wzgardzony.

Piętro wyżej Rui obudził się z głębokiego snu bez marzeń. W błogosławionej niewiedzy na temat dramatu, który rozgrywał się na dole, naciągnął kołdrę po samą brodę i obrócił się na drugi bok. Jeszcze pięć minut. Przez mgłę drzemki zaświtało mu, że chyba o czymś - spotkaniu? meczu tenisa? - zapomniął.

## Rozdział Dziewiętnasty.

Jazda pociągiem ciągnęła się bez końca, ale to, co Juju widziała z okna przedziału, było warte wszelkiego wysiłku. W lutym francuska Riwiera prezentowała się podróżnym od wyjątkowo pięknej strony - mimozy kwitły w tak niewiarygodnej ilości i tak wspaniale, że konkurowały ze słońcem. Dziko poszarpane wzgórza Esterel pokrywały żółte plamki, a Morze Śródziemne, które wciąż pojawiało się między gąszczem roślin wzdłuż torów, wyglądało, jakby oprawiono je w złoto. Do Cannes było niedaleko, konduktor poinformował, że dojadą za mniej więcej dwadzieścia minut.

Cannes? Początkowo myślała, że Fernando żartuje. Ale mówił poważnie. Tak, Cannes. Powiedział, że musi wziąć udział w trzydniowym kongresie w Nicei, coś o przyszłości lotnictwa, o ile sobie przypominała, a jego żona wołała z nim nie jechać. Dlaczego, o to Juju nie spytała. Najchętniej w ogóle nie słyszałaby nic o tej kobiecie, która rodziła jedno dziecko po drugim i najwyraźniej nie była aż tak nieatrakcyjna, jak zawsze twierdził Fernando.

Samej Juju dość łatwo było wybrać się na małą wycieczkę. Od zeszłego roku Laura uczyła się w szkole z internatem, Paulinho zaś cieszył się, że spędzi karnawał w Pinhao z ojcem i dziadkami. A tych bardziej interesowała produkcja i sprzedaż porto niż Juju i jej podróże. Odkąd przeprowadziła się do mieszkania w Lizbonie, jej małżeństwo istniało tylko na papierze, a i to tylko dlatego, że według Ruiego rozwód zaszkodziłby interesom. „Nie bądź głupi, dziś już nikt nie uznaje rozwodu za skandal”, tłumaczyła. Rui jednak odmawiał. „Dlaczego tak ci zależy na rozwodzie? Twój honor doznałby znacznego uszczerbku. Poza tym jako mężatka masz znacznie więcej swobody - a już na pewno jako moja żona”. Tym argumentem zakończył dyskusję. I miał rację - Juju rzeczywiście nie obchodziło, czy jest żoną Ruiego, czy nie, dopóki pozwalał jej

prowadzić w Lizbonie takie życie, jakie jej odpowiadało. I dopóki Fernando był żonaty.

Zatem wkrótce rozpocznie swoją „kurację”. Na myśl o tym, co powiedzieliby w tej sytuacji krewni, Juju cicho zachichotała. Kuracja miłosa, ha! Och, na pewno poczuje się po tym urlopie znacznie lepiej i odzyska piękny wygląd. Wszyscy potwierdzą, jak dobrze zrobiła jej podróż, i będą ją zachęcać do częstszych tego typu wyjazdów. Juju jęknęła cicho. O Boże, musi przywołać się do porządku, bo zaraz dostanie hysterii!

Była podniecona jak młoda dziewczyna przed pierwszym bale. Co kilka sekund sprawdzała w lusterku swój wygląd i stwierdzała, że nie da się w nim nic poprawić. W każdym razie nie w pośpiechu. Wargi były idealnie umalowane, nos i czoło nie błyszczały, fryzura się trzymała. Juju miała na sobie bluzkę z krótkimi rękawami oraz sięgającą łydek wąską flanelową spódnicę, która bardzo ładnie podkreślała jej szczupłą sylwetkę, antracytowy odcień zaś nie zdradzał zbyt wyraźnie nastroju Juju. Gdyby jej na tym zależało, musiałaby ubrać się od stóp do głów na różowo. Ale jasnoniebieska bluzka wyglądała przyjemnie i dość zwiewnie, a gdy włożyła dodatkowo krótki perski żakiet i kapelusz, którego odcień pasował idealnie do spódnicy, będzie wyglądać bardzo elegancko i przyzwoicie. Jak przystoi małżonce generała Abrantesa.

Na to Fernando nalegał. „Jeśli nie podasz się za moją żonę, nie będziemy mogli dzielić pokoju. W każdym razie nie w Carltonie”. A co, jeśli będzie się musiała wylegitymować, argumentowała Juju. Tak się nie stanie, zapewnił ją Fernando, a w jego oczach pojawiły się takie same iskierki jak dawniej, gdy jako dzieci planowali zabronione przygody.

Pociąg mijał teraz stary zamek, wznoszący się tuż nad morzem. Przez okno Juju widziała przepiękną długą zatokę, na której wschodnim brzegu leżało rozświetlone białe miasto. To musiało być Cannes. Juju wtarła nieco perfum za uszy, włożyła żakiet i kapelusz, a gdy zauważyła, że pociąg zwalnia, otworzyła okno. Wychyliła się, jedną ręką przytrzymując mocno kapelusz i pozwalając, by owiewało ją letnie powietrze. Wiatr był jednak silniejszy, niż przypuszczała, więc zaczęły łzawić jej oczy. To nic, pomyślała, Fernando uzna je za łzy radości.

Zobaczyła go, nim on ją odnalazł. Miał na sobie jasny garnitur i wyglądał w nim jak gwiazdor filmowy. Nagle Juju uznała swój zbyt poprawny strój za nieodpowiedni. Ale Fernando już ją dostrzegł. Uśmiechnął się szeroko, a potem tak długo biegł obok, aż pociąg wreszcie się

zatrzymał. Kilka sekund później stanął w jej przedziale, przycisnął mocno do siebie i próbował złożyć na jej ustach powitalny pocałunek.

- Nie - szepnęła. - Jeśli nas ktoś zobaczy...

- Mężczyzna może przecież po tygodniach rozłąki powitać swoją małżonkę porządnym pocałunkiem - wyszeptał jej do ucha i przyciągnął bliżej. Ale Juju się wzbraniała. To było zbyt nowe, zakazane i niebezpieczne, żeby mogła swobodnie odgrywać tę rolę. Lekko pocałowała Fernanda w policzek i wysunęła się z jego objęć.

- Chodź, mój drogi małżonku, pociąg zaraz ruszy.

Boy otworzył drzwi do apartamentu i czekał, aż goście wejdą. Juju wahała się przez chwilę, ale nagle poczuła, że Fernando bierze ją na rękę. Chyba nie chciał naprawdę przenieść jej przez próg? Chciał. Zaczerwieniła się.

- Och, to, niestety, nie jest apartament dla nowożeńców, monsieur - przeprosił boy. - Musiała nastąpić pomyłka. Jeśli pan pozwoli...

- Nie, nie, wszystko w porządku - przerwał mu Fernando łamaną francuszczyzną. Postawił Juju na ziemi i mrugnął do niej.

- Mój mąż ma czasem skłonność do dziwnych żartów - Juju uznała, że winna jest chłopakowi wyjaśnienie. No i proszę, po raz pierwszy powiedziała mon mañ, mój mąż. Wcale nie okazało się to trudne i nie brzmiało dziwnie. Oczywiście mogło po prostu chodzić o obcy język. Co prawda Juju mówiła po francusku doskonale, ale nigdy nie był jej tak bliski jak portugalski. Paradoksalnie w obcym języku znacznie łatwiej przychodziło jej wyrażanie uczuć i je faime wypowiadała bez takiego skrępowania jak amo te, kocham cię. Popatrzyła na Fernanda, który odwzajemnił spojrzenie, jakby wiedział dokładnie, co się z nią dzieje.

Numer hotelowy okazał się przepiękny. Ogromny apartament położony od strony południowej, z widokiem na morze, wytwornie umeblowany, oprócz sypialni i eleganckiego salonu z balkonem miał także wyjątkowo dużą łazienkę, urządzoną bardzo nowocześnie. Wszystkie pomieszczenia były bardzo wysokie - co latem z pewnością było zaletą, ale o tej porze roku wadą, bo z trudem dawały się ogrzać. W kominku jednak migotał niewielki ogień, więc przynajmniej w salonie panowało przytulne ciepło.

Juju obeszła apartament, jakby miała się do niego wprowadzić na lata. Dokładnie przyglądała się każdemu szczegółowi, brała do ręki każdy przedmiot,

na przykład porcelanową figurkę stojącą w przedpokoju, a hotelowy papier listowy oglądała z taką samą uwagą jak kartę usług pokojowych. Zachwyciła się ręcznikami z wyhaftowaną nazwą hotelu, a potem usiadła na łóżku i przejechała dłonią po pościeli, jakby sprawdzając jej jakość. Fernando obserwował ją rozbawiony.

- Chyba nie pierwszy raz zatrzymujesz się w Grand Hotelu?

- Nie, ale zawsze wydaje mi się wspaniały. Te budynki mają w sobie coś... majestatycznego.

Fernando zdziwił się. Co prawda odnosił podobne wrażenie, ale zawsze zakładał, że to z powodu jego pochodzenia i że nadal w głębi duszy czuje się onieśmielony takim luksusem. Spodziewał się, że Juju potraktuje elegancję panującą w hotelu jako coś zupełnie naturalnego. Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że ma się do czynienia z damą, która nigdy nie musiała przyzwyczajać się do bogactwa. Już samo to, jak stała wcześniej w oknie pociągu! Wyglądała jak diwa, słynna śpiewaczka operowa czy inna gwiazda, która ubrała się na podróż wyjątkowo skromnie, żeby jej nie rozpoznano.

Fernando usiadł obok Juju na skraju łóżka. Ujął jej dłoń, przyciągnął ją do ust i łagodnie pocałował. Następnie zbliżył wargi do twarzy Juju. Jej oczy były przymknięte w oczekiwaniu pocałunku. Wstrzymała oddech. Gdy poczuła dotyk ust Fernanda, delikatny niczym muśnięcie piórkiem, zamknęła powieki. W tej chwili zadzwoniono do drzwi.

- To pewnie mój bagaż - powiedziała Juju i podskoczyła, jakby ucieszyła się z nagłej przeszkody. Ale tak nie było. Jeśli chodziło o nią, Fernando mógł ją całować wiecznie. Dobrze pamiętała te pocałunki, które zaczynały się tak nieśmiało - znacznie łagodniej, niż można by podejrzewać u mężczyzny o surowych rysach Fernanda - a których intensywność narastała, aż oboje ogarniała tęsknota, by w pożądaniu połączyć swe ciała. Juju jednak nadal ciążyło wspomnienie niefortunnej schadzki w Alfamie.

Odebrawszy bagaże, poprosiła o kilka chwil dla siebie, by szybko się odświeżyć i przebrać.

- Włóż, proszę, coś praktycznego. Może spodnie. I buty na niskim obcasie - poprosił Fernando, nim opuścił apartament. Juju uznała to za aroganckie. Nawet mąż nie wydawał jej żadnych nakazów co do garderoby.

Fernando siedział tymczasem w foyer, przygotowany na dłuższe oczekiwanie. Ku jego zaskoczeniu Juju zeszła na dół już po kwadransie.

Miała na sobie sukienkę i pantofle na niewielkim obcasie. Były to zapewne najpraktyczniejsze i najprostsze rzeczy, jakie zapakowała.

Zamówił dla niej kieliszek szampana. On sam wypił tylko szklankę wody.

- Za nas - powiedział, trącając jej kieliszek.

- Za nas - odpowiedziała zachrypniętym głosem i głęboko spojrzała mu w oczy. - Dźwięk szklanki z wodą nie jest zbyt piękny. Dlaczego nie pijesz szampana?

- Zaraz zobaczysz. Chodź, mam dla ciebie niespodziankę.

W minionych latach w lotnictwie osiągnięto wielki postęp. O ile pierwsze loty wojskowe w 1914 roku wykonywano na rozklekotanych maszynach, teraz, w 1928 roku, było wiele dużych, bezpiecznych samolotów. Czas pionierów i bohaterów lotnictwa, niezależnie od narodowości, odchodził w przeszłość. Czerwony Baron, Roland Garros czy Santos Dumont zostali niemal zapomniani, odkąd Charles Lindbergh w zeszłym roku sam i bez międzylądowań przeleciał nad Atlantykiem, a nawet dokonanie Lindbergha zbladło wobec galopującego rozwoju technologicznego pozwalającego konstruować coraz sprawniejsze maszyny.

Niebo już dawno zostało odkryte także przez cywilów, a im więcej prywatnych osób mogło podróżować samolotami, tym bardziej traciło to urok dla wszystkich uskrzydłanych pasją odkrywczą. Tym został już tylko kosmos, pomyślał Fernando z łagodnym rozbawieniem; no cóż, nie można wykluczyć, że człowiek pewnego dnia zdobędzie Księżyc. On sam pewnie tego nie dożyje. Ale w tej chwili całkowicie mu wystarczało, że pokonał ziemską grawitację samą siłą swych uczuć. Fernando był w siódmym niebie.

Obniżył ponownie klapy i odpuścił nieco gazu. Dziób samolotu lekko opadł. Osiągnęli odpowiedni pułap. Przy nim kobieta, którą kocha, pod nim zapierający dech w piersiach krajobraz francuskich Alp Nadmorskich, wokół tylko błękitne niebo - to jest życie. Lecieli na wysokości około dwóch tysięcy stóp, czyli siedmiuset metrów.

Juju jak zaczarowana wyglądała przez okno. Po raz pierwszy w życiu siedziała w samolocie. Nigdy by się na to nie zdecydowała, gdyby nie pilotował go Fernando. Kiedy samolot przyspieszył, a potem oderwał się od ziemi, tak mocno wsunęło ją w siedzenie, że niemal nie

mogła oddychać. Maszyna chwiała się, trzęsła i czyniła taki hałas, że Juju już chciała się przeżegnać - była przekonana, że wybiła jej ostatnia godzina. Teraz jednak, gdy silnik przycichł i znaleźli się w przestworzach, cieszyła się lotem, jak jeszcze niczym w życiu. Wspaniale było widzieć pod sobą zbocza opadające stromo ku ozdobionym koronkami piany falom, średniowieczne warownie na wzniesieniach, zwirowe plaże Nicei, przy których woda lśniła turkusowo, i wcale nie tak odległe pokryte śniegiem szczyty Alp. Widoczność była zdumiewająco dobra. Juju mogła nawet odróżnić zarysy Korsyki.

Chciała polecieć nieco niżej, by dokładniej przyjrzeć się budowłom i móc zaglądać do ogrodów bogatych willi, ale Fernando pociągnął za stery i ponownie uniósł dziób samolotu. Wyraźnie tracili prędkość. Boże, cóż on wyprawia? Dlaczego nie dodaje gazu? Juju kusilo już, by samej szarpnąć za dźwignię, jak to podpatrzyła u Fernanda, stłumiła jednak impuls. Na pewno wie, co robi. Jest najlepszym pilotem w Portugalii, prawda? Spojrzała na niego z niepokojem, a on bezczelnie się do niej uśmiechnął. Nagle usłyszała ostry pisk. Sekundy później maszyna ostro runęła w lewo i w dół. Spadali! O Boże, nie! Juju zamknęła oczy i wbiła palce w siedzenie.

Nie wiedziała, czy krzyczy, czy nie. Czowała tylko, jak wywraca się jej żołądek, gdy maszyna ponownie wyrównała lot, i to równie gwałtownie, jak wcześniej spadała. Juju otworzyła oczy. Znowu lecieli spokojnie. Popatrzyła na Fernanda - i po jego minie poznała, że „spadanie” nie było żadnym wypadkiem, lecz celowo zaprezentowaną sztuczką. Promieniał, jakby tym artystycznym pokazem zasłużył na wielką pochwałę. Mogłaby go zabić.

- No, i jak ci się podobało? - spytał dumnie, gdy wylądowali na lotnisku w Mandelieu.

Ukarała go lodowatym milczeniem.

Fernando sprawiał wrażenie rozczarowanego. Chyba naprawdę nie poczuwał się do winy, lecz szczerze wierzył, że podarował jej wyjątkowe przeżycie. No dobrze, będzie musiała mu powiedzieć.

- Nie chcę umrzeć, w każdym razie nieprędko, i nie chcę mieć wrażenia, że zaraz umrę.

- Nie wiedziałem, że jesteś taka wrażliwa. Dawniej uwielbiałaś przejażdżki na karuzeli.

- Boże, Fernando, to było co najmniej dwadzieścia lat temu. Poza tym karuzele są dość spokojne w porównaniu z tą piekielną maszyną. -



Energicznie kopnęła koło, które Fernando blokował właśnie drewnianymi klockami.

- Zostaw. To nie wina samolotu. Przeciągnięcie, które wykonałem, jest bardzo proste i całkowicie bezpieczne. Twoje życie ani przez chwilę nie było w niebezpieczeństwie. Jeśli chcesz, wytłumaczę ci, jak boczny ster...

- Nie chcę wiedzieć.

Fernando w milczeniu zabezpieczał samolot. Gdy skończył, obrócił się do Juju.

- No dobrze, przepraszam. Przepraszam, że chciałem ci pokazać, jakie wspaniałe jest latanie. Przepraszam, że chciałem dzielić z tobą swoją największą pasję. I przepraszam, że przeceniłem twoje zamiłowanie do przygód.

- Jeśli coś przeceniłeś, to tylko siebie.

- W żadnym wypadku. - Wzruszył ramionami. - Juju, nie chcę się z tobą kłócić. Porozmawiajmy o czymś innym. Tu w pobliżu jest przepiękny klub golfowy, gdzie podają bardzo przyzwoite jedzenie. Masz ochotę tam pójść?

Juju w zasadzie nie miała ochoty. Zupełnie straciła apetyt. Nie chciała jednak udawać bardziej nieprzejednanej niż w rzeczywistości, więc zaakceptowała propozycję.

- Jeśli chcesz.

W południowym słońcu i w miejscu osłoniętym od wiatru było dość ciepło, by usiąść na tarasie. Jedzenie okazało się smaczne i Juju, która dawno już zapomniała o skokach żołądka, jadła z dużym apetytem. Pachniało świeżo skoszoną trawą i piniami. Słońce wyczarowywało figlarne iskierki w oczach Fernanda i miedziany połysk na włosach Juju.

Patrzyli na siebie zakochani.

- Życzą sobie państwo deser? Kawę? - spytał kelner.

Juju pokręciła głową. Również Fernando odmówił i poprosił o rachunek. Nagle obojgu było bardzo spieszo, by wrócić do hotelowego pokoju.

Już w windzie Fernando przywarł do pleców Juju i zaczął całować jej szyję. Wstrzymała oddech. Windziarz stał odwrócony do nich tyłem i niczego nie widział. Winda zatrzymała się z szarpnięciem i wysiedli, jakby byli dalekimi znajomymi. Jednak gdy stanęli przed swoim apartamentem

i Juju drżącymi z podniecenia dłońmi otworzyła drzwi, ponownie poczuła za sobą Fernanda. Objął ją w talii i pochylił głowę nad jej karkiem. Jego gorący oddech doprowadzał ją do szaleństwa. Ledwie weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi, Fernando całym swoim ciężarem przycisnął Juju do ściany, szybko i gwałtownie, jakby chciał się upewnić, że nie ucieknie ani nie będzie stawiać oporu.

Chwycił jej nadgarstki i oparł je na ścianie na wysokości ramion. Pochylił głowę i pokrył czoło, oczy i nos Juju drobnymi pocałunkami. Potem jego usta powędrowały do jej ucha. Gryzł je, obwodził językiem jego kontury, a wreszcie pocałował ją w szyję. Zauważył, że Juju przeszywają dreszcze pożądania. Odchyliła głowę i zamknęła oczy, nadstawiając mu szyję, którą całował, ssał i gryzł. Jęknęła bezgłośnie. Gdy dotarł do ust, puścił jej dłonie, które natychmiast objęły jego biodra. Poczuł, jak Juju wyciąga mu koszulę ze spodni i wodzi rękoma po jego plecach. Fernando obrysowywał dłońmi jej delikatne kształty, lekko gładził piersi, talię i wreszcie zatrzymał się na pośladkach. Uniósł Juju na tyle, że gdyby nie przeszkadzały im ubrania, ich ciała mogłyby się od razu zespolić.

Juju niewiarygodnie podniecało, że czuje między nogami jego twardość. Wciąż mocno na nią napierał. Była zakleszczona między ciałem Fernanda i ścianą - jakby została pojmana, a on już nigdy nie miał jej wypuścić. Czowała się całkowicie zdana na niego i czerpała z tego przyjemność. Dłonie Fernanda podciągnęły jej spódnicę, wsunęły się pod nią, powędrowały w górę wzdłuż ud, gładząc ich wewnątrz - aż wreszcie dotarły do celu. Ze znajomością kobiecej anatomii, której Juju nie spodziewałaby się u żadnego mężczyzny, Fernando zgłębiał najtajniejsze zakamarki jej ciała, z niezwykłą łagodnością pieścił najwrażliwszy punkt i nie przestawał dotykać drapiącymi policzkami jej szyi i mamrotać miłosnych zaklęć.

Pod Juju ugięły się kolana. Wszystko w niej krzyczało o natychmiastowe spełnienie. I to wreszcie ona szybko pozbyła się bielizny, rozpięła mu spodnie, poprowadziła dłońią sztywny penis i otoczyła nogą biodro Fernanda, by ułatwić mu wejście. Fernando obiema dłońmi mocno chwycił jej pośladki i uniósł ją wysoko, jakby była lekka jak piórko. Objęła go drugą nogą. Wszedł w nią niezbyt łagodnie, ale jego niecierpliwość i pierwszy ból zespolenia jeszcze bardziej Juju podnieciły. Zamglonym wzrokiem popatrzyła Fernandowi w oczy. Oddychał ciężko, na czole miał krople potu. Poruszał się coraz szybciej i zachłanniej, i trzymał ją

niemal brutalnie. Z każdym pchnięciem jej plecy uderzały o ścianę, a rytmiczne dudnienie, które wywoływali, brzmiało w uszach Juju jak najpiękniejsza muzyka.

Nie przypuszczała, że miłość może się manifestować w tak gwałtowny sposób. Była świadoma swojego ciała jak nigdy dotąd. Coraz bardziej przywierała do Fernanda i wbijała palce w jego plecy, aż nagle poczuła, że jej wewnątrz odpowiada na cudowne wstrząsy niekontrolowanymi skurczami. Jęknęła głośno, gdy przeszył ją dreszcz, który zaraz potem ustąpił potężnemu rozluźnieniu. Po raz drugi tego dnia Juju miała wrażenie, że umiera - ale tym razem uczucie to mogło trwać wiecznie.

Także Fernando drżał, gdy sekundy po niej dotarł do szczytu, a jego ekstaza wyładowała się w kilku ostatnich, gwałtownych pchnięciach i ochrypłym krzyku. Spojrzał na Juju zamglonym wzrokiem i powoli ją opuścił. Gdy ponownie poczuła oparcie pod stopami, zauważyła, jak bardzo kręci jej się w głowie. Zdjęła nadal podciągniętą w talii sukienkę, podeszła do łóżka i opadła na nie. Fernando uczynił to samo. Nie zamienili ze sobą ani słowa i milczeli także wtedy, gdy w popołudniowym słońcu leżeli obok siebie nadzy na łóżku. To było wspaniałe milczenie i mówiło więcej niż wszelkie słowa.

Juju ani trochę nie wstydziła się nagości. O ile wcześniej po krytycznym przejrzeniu się w lustrze uznała swoje ciało za stare i brzydkie, zniekształcone przez ciążę, z piersiami już nie tak jędrnymi jak przed kilkoma laty, teraz czuła się w całkowitej harmonii z samą sobą. Czuła się piękna, bo Fernando ją taką widział. Pieścił jej ciało spojrzeniami, z których przemawiało zarówno pożądanie, jak i głęboka miłość, a ona odpowiadała na nieme komplementy, podziwiając jego ciało. Palcami powiodła po owłosionej klatce piersiowej, pogładziła jabłko Adama, chrząszczący pod dłonią zarost na brodzie, wreszcie łagodnie dotknęła ust i poczuła, jak Fernando ssie jej palce. Uśmiechnęła się, on też.

Po pewnym czasie zasnęli.

Gdy Juju obudziła się parę godzin później, zobaczyła, że Fernando ją przykrył. Sam siedział na skraju łóżka, obserwując, jak Juju się budzi, i delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy. Podał jej szklanekę wody, którą przyjęła z wdzięcznością i wypila jednym haustem. Potem poprosiła go o papierosa. Zaciągała się głęboko i z wielką przyjemnością. Śledziła spojrzeniem piękne obłoczki dymu unoszące się na tle słonecznych promieni wpadających przez okno.

- Która godzina? - spytała.

- Około czwartej. Masz jeszcze jakieś plany? Uśmiechnęła się do niego wymownie.

- Tak, a ty nie? - Potem zgasła papierosa i przyciągnęła Fernanda do siebie.

Tym razem dali sobie więcej czasu na miłosną grę, choć nadal cechowały ją zachłanność i gwałtowność, z których przemawiało niezaspokojone pragnienie, by nadrobić stracone lata. Fernando wziął Juju z pasją graniczącą z szałem. Ciągnął ją za włosy, gryzł, szarpał i całkowicie ją posiadał. Właśnie tego chciała. Delikatne pieszczoty, łagodne głaskanie i zakochane spojrzenia mogły poczekać. Pierwotne pożądanie nie.

Dopiero gdy słońce zniknęło na zachodzie i w pokoju zapanował półmrok, oderwali się od siebie. Razem wzięli prysznic, ubrali się i pospacerowali trochę po Croisette, póki ostatni blask dnia pozwalał podziwiać panoramę. Szli elegancką promenadą, trzymając się za ręce, a gdy zobaczyli już dość i zamknięto sklepy, usiedli w jednej z rybackich restauracji w porcie. Zjedli ogromny talerz ułożonych na lodzie ostryg, krewetek, krabów, małży i ślimaków, do tego wypili sancerre i nadal wydawało im się, że nie zaspokoili prawdziwego głodu i pragnienia. Ale mieli na to całą noc.

I wiele dni.

Ich pobyt w Cannes składał się z ciągu erotycznych igraszek z rzadka przerywanych romantycznymi spacerami lub wyjściami do restauracji. Jeszcze wiele lat później Juju potrafiła w wyobraźni przywołać te przeżycia niczym w zwolnionym tempie, a im więcej czasu mijało, tym bardziej przypominały jej sen. Gdyby nie zdjęcie, które kazali sobie zrobić na spacerze po Croisette, uznałyby cały wyjazd za wytwór swojej fantazji.

## Rozdział Dwudziesty.

Bez ryzyka nie ma wygranej? Dawniej splunęłaby na takie powiedzenie. Teraz jednak rozumiała, jak jest prawdziwe. Luiza Mendes odważyła się na coś i wyglądało na to, że zdobyła główną wygraną. Zatarła dłonie. Doprawdy sprytnym posunięciem było udać się za narzeczonym do Lizbony. W Coimbrze pracowała w domu starego lubieżnika, którego mieszkanie bez względu na to, jak często je wietrzyła, zawsze pachniało jakby serem, a jedyną nadzieją Luizy było, że stary wreszcie umrze i będzie o niej pamiętał w testamencie. Wtedy właśnie pan jej narzeczonego Manuela został nagle wezwany do stolicy i Manuel jako służący udał się razem z nim. Luiza stanęła przed wyborem, czy czekać na śmierć swego zgrzybiałego patrao, czy zrezygnować z potencjalnego spadku i odważyć się na nowy początek w Lizbonie.

Szczyście jej sprzyjało. Manuel opowiedział swojemu panu, profesorowi Salazarowi, obecnie ministrowi finansów, o jej położeniu, a ten uruchomił swoje kontakty. Luiza została zatrudniona w domu dony Juliany. Wspaniale! Praca była przyjemna, mieszkanie zadbane, a sama pani znośna. Tylko jej syn Paulo bywał uciążliwy, ale z nim sobie poradzi. Byłoby śmieszne, gdyby nie umiała pokazać siedmiolatkowi, gdzie jego miejsce! Chłopak codziennie celowo zostawiał za sobą bałagan, który ona, Luiza Mendes, musiała usuwać. Zawsze po chłopcu sprzątała, zamiatała i czyściła. Wczoraj na przykład mały potwór przewrócił na podłogę miskę z owsianką, patrzył przy tym służącej wyzywająco w oczy. Jego matki właśnie nie było, przy niej nigdy nie odważyłby się tak zachować. Ale Luiza nie na darmo właściwie sama wychowała sześcioro młodszego rodzeństwa - pochyliła się, łyżką zdrapała owsiankę z dywanu i postawiła przed chłopcem.

- No jedz, Paulinho - zaszcebiotała, gdy wróciła dona Juliana. - Tak smacznie wygląda. - Ha! W duchu pękała ze śmiechu, widząc wyraz

twarży małego, któremu z pewnością nie smakowało jedzenie pełne nitek z dywanu.

Tak, jeszcze go poskromi. I swojego Manuela też. Odkąd zaczął pracować u ważnej osobistości, niewiarygodnie się puszył. Minister Salazar to, minister Salazar tamto - można by odnieść wrażenie, że sam Manuel stał się finansowym geniuszem. Co on sobie właściwie myśli? Tylko dlatego, że odbiera płaszcze od gości ministra, nie należy jeszcze do wyższych sfer. Niedawno Manuel ze zblazowaną miną pouczał ją o zaletach wojskowych rządów i o tym, jak niezastąpiony jest jego profesor. Stał przed Luizą jak uczeń, który recytuje coś z pamięci, choć niczego nie rozumie.

- Przez szesnaście lat republikanie utworzyli czterdzieści cztery rządy, wybrali siedem parlamentów i mieli ośmiu prezydentów. Przeprowadzono dwadzieścia zamachów stanu i powstań i ponad sto pięćdziesiąt strajków. W samej Lizbonie eksplodowało trzysta bomb.

- Bardzo ładnie powiedziane, Manuelu - odparła ironicznym tonem, który błędnie zinterpretował. Widząc jego protekcyjny uśmiech, ciągnęła ostrzej: - Ale na to, że ludzie nie mają co do gęby włożyć, twój szacowny pan minister nic nie poradzi.

- Ależ tak. Dlatego go wezwano. Przed dwoma laty, po wojskowym puczu, nie chcieli jeszcze przystać na jego warunki. Ale teraz, gdy ostatni minister finansów okazał się nic niewart, zrobią wszystko, czego zażąda. I wszyscy na tym skorzystamy, ty także, Luizo. Gdy zmniejszy zadłużenie państwa i wydatki publiczne, w Portugalii znowu będzie się lepiej żyło.

- Jakie uczone znasz słowa, Manuelu... - Luiza nie miała ochoty psuć sobie tego ciepłego wieczoru na początku lata podobnymi rozmowami. A jeśli w ogóle, wolałaby wysłuchać samego ministra, który jako profesor ekonomii na pewno lepiej znał się na rzeczy niż Manuel. Przy okazji spytałaby Salazara, jak to jest, że przed rokiem za escudo mogła jeszcze kupić dwie bułki, a teraz tylko jedną. Jeśli umiałby to wytłumaczyć, a przede wszystkim, jeśli postarałby się, żeby jej pieniądze znowu były więcej warte, wtedy i tylko wtedy mogłaby zacząć go poważać tak samo jak jej narzeczony. Teraz wszakże nie był w oczach Luizy nikim więcej niż takim samym mądralą jak pozostali panowie ministrowie.

Jaki sens miało oszczędzanie, skoro pieniądze same znikwały, choć nic się za nie nie kupiło, i to tylko dlatego, że politycy do niczego się nie nadawali? Luiza gorączkowo odkładała każdy grosz na swoją wyprawę. Kiedyś Manuel

z pewnością poprosi ją, by za niego wyszła. A jeśli nie zrobi tego wkrótce, już ona mu pokaże. Po prostu nie pozwoli dotykać się w miejscach, które właściwie powinien oglądać i dotykać tylko mąż, a wtedy Manuel na pewno to odczuje. Oczywiście mogłaby także powiedzieć mu o wysokości swoich oszczędności, by przyspieszyć wesele, ale tego nigdy nie uczyni. Trzeba wystrzegać się mężczyzn, którzy polują na pieniądze kobiet. Ubogich dotyczyło to nawet bardziej niż bogatych.

Bogacze, pomyślała Luiza z pogardą, ci i tak mają dziwne problemy. Na przykład dona Juliana. Dłubała w najdelikatniejszych smakołykach i jadła same okruchy ze strachu, że może utyć. A przecież każde dziecko wie, że mężczyźni wolą kobiety pełniejszych kształtów. Dona Juliana robiła także zamieszanie wokół swoich włosów. Tak, pomyślała Luiza, z taką fryzurą, jaką ona sama musiała nosić, nigdy nie miało się podobnych problemów.

I to wszystko ze względu na mężczyznę. Niedawno odkurzając szufladę nocnego stolika, Luiza odkryła zdjęcie, przedstawiające jej wytworną panią z wymuskany panem w średnim wieku pod palmami, na jakiejś nadmorskiej promenadzie. Mężczyzna obejmował ramieniem donę Julianę, jakby był jej mężem. Ale na pewno nim nie był, bo tego Luiza widziała raz, gdy zjawił się z krótką wizytą w Lizbonie. Przystojny facet, nie ma co. Choć temu ze zdjęcia też niczego nie brakowało. To, że jej pani najwyraźniej miała kochanka, nie dziwiło Luizy. Było przecież ogólnie wiadomo, że bogaci nie mają moralności i sumienia. Lub też, jak to niedawno powiedziała głupiutkiej opiekunce do dzieci, są zepsuci do szpiku kości. I pewnego dnia Luiza wyciągnie z tego korzyści. Nie wiedziała jeszcze tylko, w jaki sposób.

Juju siedziała przed toaletką i walczyła lokówką ze swymi kręconymi włosami, by ułożyć je w lśniące, miękkie fale. Służbie dała dziś wolne. Była o wiele za łaskawa. Służące wkrótce zaczną jej tańczyć po głowie, jeśli ciągle będzie im dawać wychodne i wciskać w rękę drobne monety. Ale nie potrafiła inaczej. Odkąd wróciła z Francji, czuła się jak odmieniona. Chciała dzielić się z każdym swoim szczęściem, a skoro nie mogła opowiedzieć, co ją spotkało, robiła to w ten sposób.

Syna także za bardzo rozpieszczała. Nie wyjdzie mu to na dobre, już teraz był rozpuszczony. Lecz gdy tylko spoglądała na jego brązowe okrągłe oczka i zabawne usteczka, natychmiast ogarniało ją pragnienie, by tulić go do siebie i całować po jedwabistych włosach. Naprawdę był najpiękniejszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek widziała - ale pewnie

wszystkie matki myślą tak o swoich dzieciach. Pewnego dnia będzie łamać kobiece serca, a dziewczęta będą się za nim uganiać. O ile nie odziedziczył skłonności po ojcu... ale nie, Paulinho już teraz patrzył zachwycony na obfite piersi nowej pokojówki.

Juju nadal męczyła się z upartymi włosami, gdy ujrzała w lustrze, że Paulinho obserwuje ją przez szparę w drzwiach.

- Wejdz, mój najdroższy.

Paulo z wahaniem usłuchał, jakby oczekiwał pułapki. Jeszcze niedawno mama nie lubiła, by ktoś wchodził do jej pokoju. Poglądziła go po głowie.

- Ach, te twoje włosy, chciałabym takie mieć! - Mrugnęła do niego. - Masz ochotę wybrać mamie coś ładnego do ubrania?

Spojrzał na nią pytająco.

- Jesteś najważniejszym mężczyzną w moim życiu, prawda? No, to możesz zdecydować, co włożę.

- Nawet czerwoną sukienkę?

Juju powstrzymała śmiech. Nie, Paula nigdy nie będzie ciągnąć do mężczyzn. Czerwona sukienka była najbardziej wycięta ze wszystkich jej sukien, niemal wulgarna, a Juju kupiła ją tylko dlatego, że poszła do sklepu z Isabel, która źle jej doradziła. Do tej pory włożyła sukienkę tylko raz i mimo zachwyconych spojrzeń mężczyzn czuła się w niej nieswojo.

- Tak, nawet czerwoną - odpowiedziała. Nie zamierzała wychodzić z domu, nim nie wróci opiekunka i Paulinho głęboko nie zaśnie.

Chłopiec szperał w szafie. Wyciągnął czerwoną sukienkę i rzucił ją niedbale na łóżko, po czym wrócił, by upajać się zapachem dochodzącym z szafy, szelestem materiałów i blaskiem pięknych strojów z jedwabiu, organzy i satyny. Nigdy wcześniej matka nie pozwoliła mu choćby zajrzeć do garderoby, a teraz mógł nawet bezkarnie dotykać jej sukien. To było najprawdziwsze święto!

Juju obserwowała synka w lustrze i cieszyła się razem z nim.

- Zajrzyj do najniższej szuflady. Leży tam mój zielony szal - przynieś go, proszę.

Gdy Paulo podszedł do toaletki, wzięła szal i owinęła go chłopcu wokół szyi.

- Och, monsieur, jaki pan dziś elegancki!

Paulinho podskakiwał z radości. Obudził się w nim duch odkrywcy. Otwierał szuflady, początkowo nieśmiało, potem, gdy nie usłyszał żadnego ostrego słowa, coraz bardziej zdecydowanie. Wyciągał różne rzeczy



i po dokładnym obejrzeniu po prostu rzucał je na podłogę, szperał w jedwabnej bieliźnie, której matka nie pozwoliła mu jednak dokładnie zbadać, chodził po pokoju w jej o wiele za dużych butach i przymierzał perłowe naszyjniki i brylantowe broszki. To było lepsze niż karnawał, a najlepsze, że matka śmiała się głośno i podziwiała jego przebrania.

Paulinho rozdokazywał się. Krążył po pokoju, wygrzebywał z pudeł stare kapelusze i wkładał je matce krzywo na głowę. Zachwycony własną śmiałością i zachęcony radosną reakcją Juju otworzył wszystkie szuflady komody, a wreszcie zajął się zawartością nocnego stolika. Tam jednak znalazł coś dziwnego. Oburącz uniósł fotografię nad głowę niczym trofeum.

- Odłóż to. Natychmiast! - Dobry humor Juju natychmiast prysł.

- Kim jest ten pan na zdjęciu? - ośmielił się jeszcze spytać Paulinho, który nie mógł uwierzyć w tak nagłą zmianę nastroju.

- Nikim. A teraz włóż to z powrotem do szuflady, a potem idź do swojego pokoju. - Ton matki był ostry. Sprzeciw nie wchodził w grę.

Paulo zrobił, co mu nakazano. Opuszczając sypialnię, zdeptał gniewnie nocną koszulę, w której kilka minut wcześniej odgrywał ducha i którą zostawił na podłodze. Mama była równie nieprzewidywalna jak siostra, a to odkrycie bardzo go zdenerwowało. Jeszcze na korytarzu, w zasięgu jej słuchu, dostał ataku astmy.

Juju zastanawiała się czasami, jak innym ludziom udaje się przy licznych obowiązkach, zadaniach i drobnych przyjemnościach wypełniających dzień wykonywać jeszcze regularną pracę. Lub odwrotnie. Ona sama miała wrażenie, że dwadzieścia cztery godziny na dobę nie wystarczają. A należała przecież do grona uprzywilejowanych, którzy mogli stosunkowo swobodnie rozporządzać swoim czasem. Jej córka była na pensji, syn chodził do szkoły w Lizbonie i przynajmniej przed południem przebywał poza domem, mąż mieszkał w odległości trzystu kilometrów i nie musiała troszczyć się o chorych rodziców, teściów lub ciotki. Rzadko też wypełniała obowiązki reprezentacyjne - najwyżej raz w miesiącu odbywał się wieczorek jakiegoś stowarzyszenia charytatywnego, na które ona lub Rui dawali pieniądze.

Małe gospodarstwo również nie wymagało wiele pracy. Jej matka musiała cały dzień zajmować się mężem, pięcioma córkami oraz liczną służbą, natomiast Juju z Paulinhem i trzema służącymi miała bardzo

niewiele na głowie. Z kucharką, starszą osobą, Juju raz na tydzień ustalała jadłospis. Resztą kobieta zajmowała się sama, sprawnie i niezawodnie. Opiekunka do dzieci, Aninha, była u nich na służbie od narodzin Paula. Należała już niemal do rodziny, bo Paulinho był do niej bardziej przywiązany niż do matki. Mieli też nową pokojówkę, Luizę, którą polecano im z wielu stron. Juju uznała, że słusznie. Luiza okazała się dobrą służącą. Szorstkie, chłopskie uwagi, które czasami rzucała, nie były co prawda odpowiednie w obecności Paulinha, ale cóż, czego oczekiwać po kimś o tak proletariackim pochodzeniu? W każdym razie nie tłukła wciąż cennych kryształowych kieliszków, w przeciwieństwie do swojej poprzedniczki.

Juju znajdowała się zatem w godnej pozazdroszczenia sytuacji, w której dysponowała wystarczającą ilością czasu i pieniędzy, by wypełniać swoje dni samymi przyjemnymi zajęciami. Mimo to odnosiła wrażenie, że ma o wiele za dużo spraw na głowie, aby móc codziennie chodzić do muzeum lub do kina. Wystarczyło przyjrzeć się choćby dzisiejszym obowiązkom. Rano pobudka odpowiednio wcześnie, by zjeść śniadanie z Paulinhem, potem lektura gazety, następnie zabiegi toaletowe, przed południem wizyta w banku, żeby wypłacić służbie pensję, następnie u krawcowej przymiarka nowej wieczorowej sukni, którą chciała włożyć w przyszłym tygodniu na bal dobroczynny, po południu spotkanie z Isabel, po sjeście rozmowa z kandydatem na szofera - Juju chciała sprawić sobie auto, ale nie zamierzała jeździć sama po mieście -później godzina, gdy jak co dzień przeglądała prace domowe Paulinha, bawiła się z nim lub muzykowała, wczesnym wieczorem przechadzka po Chiado, która wcale nie zapowiadała się miło, lecz męcząco - musiała kupić prezent urodzinowy dla Mariany oraz upominek dla senhora Teobalda, do którego była jutro zaproszona na herbatę i który z okazji swoich wizyt zawsze przynosił jej jakiś drobiazg. Gdy wróci do domu, będzie już ósma. O dziewiątej podadzą kolację, a dopiero o dziesiątej, gdy Paulinho się położy, a służba będzie miała wolne, Juju znajdzie wreszcie chwilę dla siebie.

Dobra książka, płyta z piękną muzyką, załatwianie osobistej korespondencji - na to jest czas tylko wieczorem. A raczej był czas. Odkąd regularnie spotykała się z Fernandem, w jej dzienniku przestały się pojawiać kolejne wpisy. Notatki urwały się dokładnie w przeddzień jej wyjazdu do Cannes, a było to już niemal pół roku temu. Na płycie leżącej na gramofonie zebrał się kurz - na co przy najbliższej okazji musi

zwrócić uwagę Luizie - a napisanie listu do rodziców Juju odkładała już od tygodni.

Ale jakież to wszystko było teraz nieistotne! Odkąd miała pewność, że Fernando ją kocha, i odkąd odrzucili swe początkowe zahamowania i skrupuły, by jak najczęściej być ze sobą blisko, czuła się wolna i swobodna jak młoda dziewczyna. Czy „zdrada małżeńska” nie jest okropnym określeniem? Brzmi jak coś grzesznego i wstydliwego, tylko tyle. Nie wyraża ani szczerości ich uczuć, ani siły namiętności. Juju cieszyła się, że razem z Fernandem dopuściła się zdrady - nie chciała tracić ani sekundy z ich spotkań.

Ciążył jej fakt, że musi to ukrywać. Paulo nie mógł się dowiedzieć, że spotyka się z innym mężczyzną niż jego ojciec, służba i sąsiedzi także nie. Ale nie dało się tego całkowicie uniknąć. Starsza dama z mieszkania na parterze ośmieliła się już rzucić uszczypliwą uwagę na temat nocnych wyjść Juju, na co ta szorstko odpowiedziała, że podglądanie też nie jest cnotą. Mogła mieć tylko nadzieję, że sąsiadka zachowa swe odkrycia dla siebie i przynajmniej wobec Paulinha niczego nie zdradzi.

Ach, jej życie byłoby wprost idealne, gdyby mogła poślubić Fernanda! Ale jedyny raz, gdy poruszyła ten temat, Fernando zareagował tak stanowczo, że musiała zapomnieć o tych marzeniach. „Juju, zdajesz się zapominać, że przed laty wyraźnie dałaś mi do zrozumienia, iż nie nadaję się na twojego męża. Dziś sam widzę to podobnie”. Jego słowa zabolęły. Trafił w najczulszy punkt, i to celowo.

Rozwód z Ruim jakoś by uzyskała. Ale wydawało się wykluczone, by Fernando rozwiódł się ze swoją żoną. Juju nie była pewna, czy powodu należało szukać w jego nadmiernych ambicjach. Oczywiście nie robiło to dobrego wrażenia, gdy wysoki rangą wojskowy się rozwodził. Ale nie byłby to pierwszy raz i już inni przed Fernandem dowiedli, że można pogodzić rozwód i wysoką pozycję.

Więc o co chodziło? Juju nie mogła uwierzyć, by Fernando mówił to, co naprawdę myślał. Przecież w Cannes właśnie za jego namową podawała się za senhorę Abrantes, a on wydawał się z tego zadowolony. Czy była to zemsta za to, że przed dwunastu laty Juju nie dotrzymała słowa? Czy na przeszkodzie stanęły jego upór i duma? Czy nie mógł zapomnieć o przeszłości? Przecież od tego zależała ich przyszłość, ich szczęście! Nie mógł chcieć, by wszystko toczyło się tak jak do tej pory, z tym całym ukrywaniem, zawstydzającymi wykrętami i wymówkami, z ciągłym strachem przed odkryciem.

Jutro, gdy spotka się z Fernandem w teatrze varietes, jeszcze raz poruszy ten temat. Albo lepiej nie. Nie będzie błagać żadnego mężczyzny, by ją poślubił - nawet jeśli nazywał się Fernando. Ach, jeszcze coś wymyśli. Nie musi to być właśnie teraz. Ziewała już, a zmęczenie nie pomagało w myśleniu. Lepiej szybko napisze list do rodziców.

Juju usiadła przy sekretarzyku, wyjęła z szuflady arkusz papieru i odkręciła wieczne pióro. „Drodzy rodzice - napisała. - Jak bardzo mi Was brakuje!”. Potem już nic nie przyszło jej do głowy. Bezmyślnie wpatrywała się w kartkę. O tym, co ją naprawdę zajmowało, nie mogła opowiedzieć, o wszystkim innym wielokrotnie informowała. Po kilku minutach z powrotem zakręciła pióro. Przez ten czas atrament zdążył wyschnąć.

Nie mogła się skoncentrować na liście. Po głowie ciągle krążyły jej strzępki myśli, które napawały ją gniewem. Co teraz robi Fernando? Czy leży z żoną w łóżku i robi jej czwarte dziecko? Wizja ta doprowadzała Juju do rozpacz. Ale nie, szczerze zapewniał, że w małżeńskim łożu nic już się nie dzieje - i że miła Elisabete nie wydaje się z tego powodu nieszczęśliwa. Co za głupia kobieta, myślała Juju, nie umie nawet docenić, jakiego mężczyznę dał jej los. Czy jest górą lodową? Jak można dobrowolnie odepchnąć tak utalentowanego kochanka, co według Fernanda Elisabete czyniła wielokrotnie, aż całkowicie zaniechał prób zbliżenia?

Juju zgasiła lampę na sekretarzyku i poszła do swojego pokoju. Sen zawsze był lekiem na wszystkie jej troski. W minionych miesiącach jego ilość zmniejszyła się co prawda do normalnego wymiaru, ale ciepłe, miękkie łóżko nadal dawało Juju pocieszenie. A jeśli przed zgaszeniem lampki na nocnym stoliku spojrzała jeszcze na fotografię przedstawiającą ją i Fernanda na Croisette, zapadała w sen z najpiękniejszymi marzeniami.

Rozebrała się, włożyła powiewną nocną koszulę, rozczesała włosy, usiadła na łóżku i otworzyła szufladę. Uniosła leżącą w środku Biblię. Pod nią trzymała zdjęcie. Niezbyt dobra kryjówka, ale zwykle nikt nie wchodził do jej pokoju i nie otwierał szuflady nocnego stolika. Gdy Paulinho wyjął niedawno fotografię, przerażenie Juju było tak wielkie, że chciała już zniszczyć zdjęcie. Na szczęście tego nie zrobiła. Była to jedyna pamiątka po Fernandzie, która pocieszała ją w tych godzinach i dniach, których nie spędzali razem.

Ale zdjęcia nie było na zwykłym miejscu. Przesunęła Biblię. Potem wyjęła całą szufladę i przeszukała ją z niedowierzaniem.

Fotografia zniknęła.

## Rozdział Dwudziesty Pierwszy.

Dwudziestego czwartego października 1929 roku, w dniu, który zapisał się w historii jako Czarny Czwartek, załamanie nowojorskiej giełdy spowodowało falę samobójstw o niespotykanej dotąd skali. Następnego dnia, w Czarny Piątek, wiadomość o krachu na Wall Street dotarła do Europy, gdzie początkowo nie doprowadziła jednak do podobnej panicznej sprzedaży akcji. W Portugalii doniesienia o stanie międzynarodowej gospodarki zaledwie tydzień później zostały zastąpione informacją o śmierci byłego prezydenta republiki Antonia Jose de Almeidy.

Lecz dopiero nieszczęście, które wydarzyło się tydzień później, naprawdę obeszło Fernanda. Szóstego listopada 1929 roku niemiecki junkers G24 eksplodował nad Surrey w Anglii, zginęło sześć osób. Fernandowi żal było przede wszystkim samolotu. Piękny ptak, którym sam chętnie by poleciał. Ale nie dorównywał junkersowi G38 - mówiło się, że niemieccy inżynierowie przeszli samych siebie. Pierwszy lot trójkątnej maszyny składającej się niemal wyłącznie z powierzchni nośnych, w których siedzieli także pasażerowie, miał się odbyć już niedługo. Fernando był ciekaw, czy samolot się sprawdzi.

Z większą niecierpliwością jednak oczekiwał swego czwartego dziecka. Po trzech córkach bardzo pragnął chłopca. Elisabete zapewniała go, że się uda. Wraz z doświadczoną w takich kwestiach przyjaciółką radziła się wahadełka, a jego odpowiedź była wyraźna.

Wiara Elisabete w zjawiska nadprzyrodzone jeszcze bardziej oddalała od niej Fernanda. Poślubił mądrą, rozsądną, twardo stąpającą po ziemi kobietę - a teraz miał żonę zajmującą się astrologią i podobnymi bzdurami, do których czuł głęboki wstręt.

Wszystkie cechy jego charakteru tłumaczyła tym, że urodził się pod znakiem Koziorożca z ascendentem w Lwie. Z kolei Fernando przypisywał je temu, że w głębi duszy nadal był alentejańczykiem. Sucha ziemia

dawnej ojczyzny ukształtowała go bardziej niż układ gwiazd w dniu narodzin, ciężka fizyczna praca w młodości bardziej niż fazy Księżyca. Jedynie słońce, tu Elisabete mogła mieć rację, było decydujące dla jego życiowej drogi i wpłynęło na jego istotę - nigdy nie zapomni, jak pocił się przy winobranii w bezlitosnym wrześnieowym słońcu i jak kosz na plecach przecierał mu koszulę. Tak samo nie zapomni swego pierwszego samodzielnego lotu, magicznej chwili, gdy dwupłatowiec przebił pasmo chmur i promienie porannego słońca padły Fernandowi na twarz.

Elisabete co prawda nigdy nie ceniła zbytnio tak zwanych radości życia małżeńskiego, ale fakt, że mąż okazuje jej tak mało zainteresowania, głęboko ją ranił. Czy musi za każdym razem zachodzić w ciążę? Wystarczyło jedno spojrzenie na wypukły brzuch i opuchnięte nogi, by przyznać, że istotnie nie wygląda zbyt uwodzicielsko. Ludzie musieli odnosić wrażenie, jakby ona i Fernando cały czas spędzali w łóżku - siostra Elisabete wypowiadała się już ironicznie o jej płodności. Czwarte dziecko w ciągu pięciu lat, to było niemal nieprzyzwoite. Jak u biedaków.

Ciąże nie zaszkoziły wyglądowi Elisabete aż tak, by zauważali to obcy. W sumie wypadły jej trzy zęby, więc wstawiła sztuczne. Jeśli się o tym nie wiedziało, trudno je było zauważyć. Również inne zmiany były tego rodzaju, że poza Fernandem nikt ich nie widywał - ale to wystarczało. Piersi Elisabete, jeśli nie wypełniało ich mleko, obwisały, a na brzuchu widać było brzydkie rozstępy i fałdki, jeżeli nie tkwiło w nim właśnie dziecko.

Skoro jednak nie miała już młodzieńczej, promiennej urody sprzed kilku lat, to pragnęła przynajmniej, żeby mąż, który winien był tak gwałtownego zaniku jej uroków, cieszył się z dzieci. Żeby rozpieszczał ją w czasie ciąży, żeby słuchał życia rosnącego w jej brzuchu, żeby masował jej nogi lub w inny sposób dawał poznać, że nadal ją kocha. Ale inaczej niż przy dwóch pierwszych ciążach, teraz nic takiego nie robił. Może to rutyna, pocieszała się Elisabete. Ona sama też nie była tak podniecona jak przy pierwszym dziecku.

Zastanawiała się, kiedy w Fernandzie zaszła ta zmiana? Kiedy z troskliwego, czułego męża stał się kimś małym i obcym? Kiedy z czułego kochanka, jakim był na początku małżeństwa, przeobraził się w zwierzę, które rzucało się na nią gwałtownie i wściekle dokonywało

aktu niemającego nic wspólnego z miłością - a i to tylko sporadycznie? Kiedy przestał prawić jej komplementy, przynosić małe prezenty, sięgać pod stołem po jej dłoń i szeptać do ucha rzeczy, od których się czerwieniła? Dawno temu. Stopniowy zanik czułości musiał się zacząć tuż po ślubie, stwierdziła Elisabete z przerażeniem. A ona nie zauważyła tego w porę. Zajmując się dziećmi, myślała gorzko, musiała przeoczyć drobne oznaki, po których poznałaby wygasanie miłości. Może gdyby zareagowała w porę, zdołałaby go zatrzymać. Teraz już za późno. Serce Fernanda było dla innej - kimkolwiek była. Tylko poczucie odpowiedzialności trzymało go jeszcze przy Elisabete i dzieciach.

No cóż, czy to nie coś? Jeśli nie mogła uszczęśliwić Fernanda jako kobieta, będzie przynajmniej mistrzowsko odgrywać rolę małżonki i matki jego dzieci. Nie dostarczy mu żadnego powodu, by jeszcze bardziej zdystansował się od rodziny. Nie będzie narzekaniem i marudzeniem popychać go w ramiona innej. Będzie wobec niego zawsze przyjazna i opanowana, nawet jeśli w głębi serca czuła zupełnie inaczej, postara się, by miał przytulny, ciepły dom, udane dzieci i kobietę, która jest jego dobrą przyjaciółką, nawet jeśli nie kochanką. Kiedyś urok tej drugiej przemienie, jej zmysłowość zniknie - a zalety Elisabete jako dobrej słuchaczki, mądrej powierniczki i nieegoistycznej doradczynie stopniowo zyskają na wartości. Tak, tak uczyni. Położyła obie dłonie na brzuchu. Pewnego odległego dnia Fernando ponownie się do niej zbliży. Do tego czasu miała swoje dzieci.

Trzy małe dziewczynki bawiły się z dziadkiem w „jada, jada goście”. Piszczwały z radości, gdy podrzucał je na kolanach i łapał w ostatniej chwili. Przychodziły jedna po drugiej, Isabel, Sofia i Ana, i po dwudziestej kolejce nadal nie miały dość. Ojciec Elisabete też był niezmordowany. Ubóstwiał swe wnuczki i najwyraźniej chciał się cieszyć każdą spędzaną z nimi chwilą. Wiedział z doświadczenia, jak szybko dzieci wyrastają z takich zabaw. Teraz, w wieku pięciu, czterech i dwóch lat, były jeszcze takie słodkie - a on w pełni wykorzysta ten czas.

- I zrobili „bęc”.

Fernando przysłuchiwał się okrzykom. Początkowo uśmiechał się na myśl, że dziewczynki potrafią owinać sobie dziadka wokół palca, a ten bez oporu bierze udział w każdej nonsensownej zabawie, jaką zaproponują. Ale teraz słyszał głupi refren po raz pięćdziesiąty - wystarczy.

- No, dzieci, koniec. Wasz dziadek na pewno ma już obolałe kolana, gdy tak po nim skaczecie. - Spojrzał na teścia lodowato. Niech tylko nie przyjdzie mu do głowy się sprzeciwić, a już na pewno nie przy dzieciach.

Ale ten nie dał się zastraszyć. Nie tylko był w swoim domu, ale też jako starszy nie zamierzał słuchać nakazów zięcia. Niedoczekanie, by on, poseł Luiz Inacio Almeida dos Passos, w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat znajdujący się w pełni sił i jeszcze nie na tyle zdziwaczały, by łagodnym autorytetem należało powstrzymać go od starczych błazeństw, musiał dostosowywać się do poleceń Fernanda!

- Skoro tak bardzo zależy ci na moich kolanach, sam dla odmiany pobaw się z dziećmi. To w końcu twoje córki, nawet jeśli zdajesz się chętnie o tym zapominać.

- Isabel, Sofia, idźcie do swojego pokoju - powiedział Fernando surowo do obu starszych dziewczynek. - I zabierzcie Anę.

Dzieci odeszły z przygaszonymi minami. Kochały swego ojca równie mocno, jak się go bały, i nawet najmłodsza pojęła już, że lepiej być mu posłuszną.

- Nie pozwolę - powiedział Fernando, ledwo został sam na sam z teściem - żeby mi się ojciec sprzeciwiał przy dzieciach.

- Ach, nie pozwolisz? Ale będziesz musiał. Bo ja nie pozwolę, by taki nikt jak ty rozkazywał mi w moim własnym domu.

- Już niedługo będzie ojciec musiał znosić mój widok - Fernando wypowiedział to na głos w tej samej chwili, gdy myśl przyszła mu do głowy. O ile zwykle zastanawiałby się dłużej, rozważał wszystkie za i przeciw, radził się żony, a dopiero potem oznajmił decyzję, teraz był zupełnie pewien, że nie chce spędzić ani dnia dłużej pod jednym dachem z apodyktycznym starcem. - Zostawimy ojca w spokoju. Wkrótce będziemy mieć czworo dzieci i wszystkim zrobi się trochę ciasno w ojca domu.

Luiz Inacio przełknął ślinę. Tego nie przewidział. Fernando, którego uwagi nie uszła reakcja teścia, nie mógł się powstrzymać, by nie dodać:

- Oczywiście będzie ojciec zawsze mile widziany w moim domu - o ile nie zacznie podkopywać mojego ojcowskiego autorytetu.

Tak, stwierdził Fernando, nareszcie dobry, choć spontaniczny plan. Dlaczego już dawno się nie wyprowadził? Bo, przyznał, tak było wygodnie. Dom rodziców Elisabete był duży, mieszkali w nim za darmo,



a przede wszystkim Elisabete miała zawsze do towarzystwa dorosłych - więc on, Fernando, mógł ją zostawiać bez zbyt wielkich wyrzutów sumienia. Przynajmniej w ciągu dnia, gdy usprawiedliwiał się dużą ilością pracy. Wieczorne wyjścia przysparzały więcej trudności.

To się wkrótce zmieni. Gdyby nie był wciąż czujnie obserwowany przez teściów, mógłby spotykać się z Juju znacznie częściej albo nawet spędzać z nią noce. Był pewien, że Elisabete niewiele by to obeszło. Zapewne ucieszyłaby się, gdyby nie zaspokajał z nią swych popędów i gdyby mogła odpocząć od kolejnych ciąż. I prawdopodobnie sprawiłoby jej przyjemność, że ma wreszcie swój dom, w którym rządzi ona, a nie jej matka, i który mogłaby urządzić według własnego gustu, więc nie zwracałaby większej uwagi na jego eskapady.

Reakcja Elisabete była jednak inna, niż oczekiwał.

- Dlaczego mielibyśmy się przeprowadzić? Mnie bardzo się tu podoba. Mama jest nieocenioną pomocą, a papa uwielbia małe. Jest dość miejsca dla wszystkich, nawet gdybyśmy mieli jeszcze więcej dzieci.

- Nie przeprowadzilibyśmy się do innego kraju. Zapewne zostalibyśmy w sąsiedztwie, więc twoi rodzice często przychodziliby w odwiedziny. Nie mogę dłużej tolerować, by twój ojciec - który, przy okazji, uważa, że jestem nikim - jako pan domu rościł sobie prawo do krytykowania moich metod wychowawczych. Przeprowadzamy się i basta!

- Jak uważasz. Masz już odpowiedni dom na oku?

- Nie. Sądzę, że powinniśmy zająć się tym razem. Może pójdziemy jutro do pośrednika i zorientujemy się w ofertach? Wynajmu, rozumie się, bo na kupno nieruchomości, niestety, brakuje mi środków. - Dochody Fernanda były co prawda znaczne, ale na dom takiej wielkości, jakiej będą potrzebowali z czwórką dzieci, i odpowiadający wymaganiom Elisabete rzeczywiście nie miał dość pieniędzy. A od teścia nie przyjmie nawet escudo. Może obdarowywać swoją córkę, kupować jej stroje, meble lub finansować podróże - ale nowe lokum, uznał Fernando, to wyłącznie jego sprawa. W innym wypadku stary znowu chciałby udawać pana domu.

Perspektywa spędzenia całego przedpołudnia z mężem, szukania domu i zachowywania się jak normalne małżeństwo wywołała w Elisabete przelotne uczucie szczęścia, które rozwiało wszystkie jej wątpliwości.

- Tak, mój drogi, z przyjemnością rozejrzę się z tobą za nowym domem.

Ale radość Elisabete nie trwała długo.

Domy, które im odpowiadały, Fernando uważał za zbyt drogie. Na uwagę Elisabete, że mógłby opłacać czynsz częściowo z jej rocznej pensji, odparł:

- Mężczyzna musi umieć sam utrzymać rodzinę. - Zatem w końcu zdecydowali się na mieszkanie. Fernando uznał je za więcej niż odpowiednie do ich potrzeb, a czynsz w zasadzie przerastał jego możliwości, wiedział jednak, że Elisabete w głębi ducha była rozczarowana. Mieszkanie miało osiem pokoi i trzy łazienki. Zajmowało całe piętro pięciokondygnacyjnego budynku w Lapa i miało duże balkony zarówno od ulicy, jak i od podwórza. Sam budynek był bardzo elegancki, z misternie wykafelkowanym wejściem i windą. Niczego nie dało się mu zarzucić poza tym, że nie był domem. Ale proszę, dom w mieście! To coś dla wyjątkowo zamożnych ludzi, dla starej bogatej szlachty. Dla członka sił zbrojnych, nawet jeśli chodziło o wysokiego rangą generała, dom znajdował się poza zasięgiem. Mogliby sobie pozwolić jedynie na posiadłość za miastem, ale to w ogóle nie wchodziło w grę.

Przeprowadzili się cztery tygodnie po tym, jak Fernando podjął decyzję. Elisabete dopilnowała prac renowacyjnych, urządziła mieszkanie i z dumą zaprezentowała rezultat. Ale twarz Fernanda nie wyrażała nic prócz znudzenia - tapety, zasłony i większość mebli były wierną kopią wyposażenia domu jej rodziców.

O ile Elisabete brak zainteresowania Fernanda jej staraniami o stworzenie przytulnego domu przyjęła z cichym rozczarowaniem, to już po pierwszej nocy zaczęła nienawidzić nowego mieszkania. Dokładnie słyszała, co się dzieje w mieszkaniu powyżej, a to naruszenie sfery intymnej uznała za oburzające. Równie okropna była myśl, że każdy w domu wie, kiedy uruchamiają spłuczkę w klozecie. Również narzekania mieszkającej pod nimi damy nie przyczyniały się do dobrego samopoczucia Elisabete. Kobieta przynajmniej pięć razy dziennie skarżyła się na hałasujące dzieci, choć te były wyjątkowo grzeczne - najwyraźniej zmiana otoczenia odbiła się także na nich. Dona Camelia powinna ich posłuchać, kiedy naprawdę dokazywały.

Elisabete musiała zmobilizować całą siłę woli, by nie okazać Fernandowi niezadowolenia. Postanowiła być dobrą żoną, nie ksantypą. Za wszelką cenę zachować opanowanie. Za dnia, gdy męża nie było w domu, a dzieci przebywały pod opieką niani, znajdowała dość czasu, by się naużalać. Miała duże grono znajomych, a cierpienie wyraźnie malało,

gdy można się było zwierzyć bliskiej przyjaciółce, okazującej zrozumienie. Elisabete nie przyszło do głowy, że jej najlepsza przyjaciółka Alma wysłuchuje cierpliwie narzekań nie tyle ze współczucia, co dla pikantnych szczegółów. Zwierzała się Almie nawet z tych spraw, które dotyczyły tylko jej i męża, choć czyniła to w kwiecistych opisach.

- Sądysz, że ma metresę? - pewnego dnia spytała bez ogródek przyjaciółka.

Elisabete smutnie skinęła głową.

- Nie mam jednak całkowitej pewności. W zasadzie nie jest takim typem mężczyzny. Ale nie mogę pozbyć się podejrzeń, że musi być jakaś inna.

- Jeśli chcesz, możemy spytać wahadełka. Udziela wszelkich odpowiedzi.

Tym razem Elisabete energicznie pokręciła głową. Właściwie nie chciała wiedzieć. Wolała wmawiać sobie co innego, oddawać się iluzji, że może Fernanda zajmują jakieś ważne sprawy, na przykład problemy zawodowe. A poza tym niedługo przyjdzie na świat ich dziecko. Jeśli będzie to syn, mąż na pewno znajdzie dla niej więcej czułości. A gdy zeszczupleje, mogłaby spróbować włożyć śmiałą bieliznę, jak doradzała jej Alma. Albo nie, lepiej nie - tylko znowu zaszłaby w ciążę.

Elisabete trzymała się dzielnie. Jej życie nie różniło się zbyt od tego, które wiodła na Rua das Janelas Verdes. Często widywała rodziców, umawiała się z przyjaciółkami, dwie starsze córki uczyła kolęd i pilnowała, by najmłodsza nie wyciągała i nie malowała wszystkich książek z półek. Lekarz przychodził tylko po to, by ją zapewniać, że ciąża pod każdym względem przebiega idealnie. Patrzyła kucharce przez ramię, gdy ta zgodnie z życzeniem Elisabete przygotowywała egzotyczne potrawy, i co wieczór kazała ładnie nakrywać do stołu. Kiedy Fernando wracał do domu, miały na niego czekać śliczne dzieci, wspaniała żona i pyszne jedzenie.

I musieli czekać. Czasami Elisabete posyłała dzieci do łóżka, nim zobaczyły ojca, ponieważ Fernando zjawiał się dopiero po dziesiątej lub o jedenastej. W inne wieczory przychodził co prawda punktualnie na kolację, ale ani słowem nie wypowiadał się na temat smakowitych potraw, nie mówiąc już o chwaleniu. Połykał jedzenie, nic nie mówił, a potem wycofywał się do swojego gabinetu, gdzie można mu było przeszkodzić tylko wtedy, gdy przyszła pora powiedzieć dzieciom „dobranoc”. Pewnego dnia zaś, może miesiąc po przeprowadzce, nie wrócił na noc.

Sam Fernando cierpiał niewiele mniej niż jego żona. Wiedział, jak bardzo ją rani, gdy tak wyraźnie unika jej towarzystwa. I towarzystwa córek. Kochał dziewczynki, kochał je z całego serca. Ale nie potrafił zajmować się nimi dłużej niż pięć minut. Nie był w stanie poświęcać im tyle uwagi, ile pragnęły one same, a także ich matka. Brakowało mu po prostu cierpliwości, by doszukiwać się jakiegoś sensu w niezrozumiałej paplaninie Any, tak samo jak brakowało mu wszelkiej uczuciowości. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego histeryzującemu dziecku nie można dać się po prostu wypłakać, lecz trzeba je wysłuchać i obsypać czułościami - czyli zainwestować pół godziny cennego czasu tylko po to, by odkryć przyczynę nieszczęścia w poplamionej sukience lub złym śnie. Może kiedy dzieci dorosną, zaczną mówić normalnie i mieć poważne problemy, potrafi być lepszym ojcem. Ale teraz wydawały mu się obce. Czuł się tak, jakby wymagano od niego, żeby bawił się lalkami. I to w domu dla lalek, gdzie czuł się panem równie mało jak wcześniej u teścia.

Elisabete postarała się o osobne sypialnie, co niesłychanie ulżyło Fernandowi. Za każdym razem było mu przykro, gdy szorstko rzucał się na żonę. A zdarzało się to zawsze, kiedy wracał ze spotkania z Juju, rozczarowany, że nie mógł zaznać z nią spełnienia, i naładowany seksualnym pożądaniem. Było z jego strony złe, podłe i niskie, że musiała za to pokutować właśnie biedna Elisabete. Nie mógł temu zaradzić. Lepiej, przede wszystkim dla niej, że nie dzieli z nim łoża, nawet jeśli po epizodzie w Cannes nie istniało już niebezpieczeństwo, że jeszcze kiedyś tak się na nią rzuci.

Wyrzuty sumienia bardzo mu ciążyły. Fernando zawsze pogardzał mężczyznami folgującymi swoim słabościom. Mężczyznami takimi jak jego ojciec, który pijaństwo przypłacił życiem, jak brat Sebastiao, który za nieuczciwość trafił do więzienia, a nawet takimi jak jego dawny przełożony Alves Ferreira, którego liczne romanse uczyniły słabym i podatnym na szantaże, a tym samym położyły kres jego karierze. Fernando nigdy nie chciał stać się taki jak oni, ale do tego właśnie doszło. W rzeczywistości był jeszcze gorszy niż major. Miłostki tego ostatniego służyły tylko zaspokojeniu próżności, a poza tym niewiele znaczyły. Natomiast Fernando kochał inną kobietę, i to z pasją, która odsuwała w cień wszelkie uczucia, jakie kiedykolwiek żywił dla innych ludzi. Kochał ją nawet bardziej niż swoje córki i już sama ta myśl doprowadzała go do rozpacz. To nie było normalne. Ale silniejsze od niego. On,

Fernando Abrantes, który nigdy nie uciekał przed żadnym wyzwaniem, który mógł stawić czoło całemu światu, który pokonywał wszelkie przeciwności, musiał skapitulować przed ogromem swych uczuć dla Juju.

Pewnego wieczoru, gdy dzieci były już w łóżkach, Fernando, sądząc, że Elisabete jest w swoim pokoju, wkładał właśnie płaszcz, by udać się na schadzkę z Juju, gdy nagle w korytarzu stanęła jego żona. Nie zmienił wyrazu twarzy, jakby było czymś całkowicie normalnym, że tuż przed północą wychodzi z domu. Ale serce waliło mu mocno. Elisabete patrzyła na niego bez słowa. On także milczał. Co miał powiedzieć? Każde słowo byłoby albo kłamliwe, albo zbyt raniące, by je wypowiedzieć. Włożył kapelusz, wziął parasol i przelotnie zerknął w lustro. Ich spojrzenia spotkały się w odbiciu.

- Znowu idziesz do niej? - spytała Elisabete. Wyraz jej twarzy był całkowicie neutralny, nieodgadniony. Również ton pytania nie zdradzał uczuć. Nie słyszało się w nim rozgoryczenia, wyrzutu czy smutku. Równie dobrze mogła spytać, o której zamykają banki, albo poprosić, żeby podał jej gazetę.

Z oskarżeniami dałby sobie radę. Uporałby się z wymówkami. Mógłby żyć z przekleństwami. Ale ta demonstracja całkowitej obojętności, która, jak Fernando podejrzewał, wynikała z wielkiej samokontroli, zaszokowała go. Bardziej niż cokolwiek innego uświadomiła mu, jakim jest draniem. Oto jego ciężarna żona, z poważną twarzą, w jakiś sposób wzruszająca w różowej podomce, stoi tu i pyta go o to, o co zapewne już od dawna chciała zapytać. Teraz byłby właściwy moment, by objąć Elisabete, odłożyć płaszcz i z nią porozmawiać. Przynieść jej coś do picia, unieść nogi, pogłodzić brzuch i wymasować kark. Zachować się, jak przystoi przyzwoitemu mężowi.

Ale nie potrafił.

Pocałował ją w oba policzki i bez słowa opuścił mieszkanie.

## Rozdział Dwudziesty Drugi.

Czy senhor Raul w sklepie z tytoniem patrzył na nią dziwnie? A może tylko to sobie wyobraziła? Wcześniej gruby kupiec traktował ją z wyraźnie większym szacunkiem, prawda? Nie mogło chodzić o to, że nie lubił, gdy kobiety pałą - Juju kupowała u senhora Raula drogie zagraniczne papierosy, odkąd mieszkała w Lizbonie. No i sprzedawczyni ze sklepu delikatesowego na Rua da Lapa - czy nie rzuca nieufnych spojrzeń za każdym razem, gdy Juju nabywa ulubione queijadas de Sintra? Jakby dziwne zachcianki wytwornej senhory, która praktycznie codziennie przychodziła po jeden lub więcej owych cynamonowo serowych torcików, przypisywała niesłychanemu pomieszaniu zmysłów, a może nawet ciąży. Nawet miły listonosz nagle przestał się Juju wydawać równie miły jak dawniej. Dlaczego zawsze tak się jej przygląda? I jak sztucznie, dwuznacznie się uśmiecha!

Juju nie byłoby bardziej wstyd, gdyby zaginioną fotografię jej i Fernanda powiększono, powielono i przyklejono na ścianie każdego domu. Wszędzie widziała złośliwe twarze, słyszała lekceważące uwagi, czuła mdły posmak wyrzutów sumienia, których nie miała, dopóki nie zniknęło zdjęcie. Ani przez chwilę nie żałowała popełnionego „przestępstwa”, a tylko faktu, że została przyłapana. I nie wiedziała, przez kogo ani co ta osoba zrobi z tą informacją i dowodem w postaci fotografii.

Nie mogła uwierzyć, by jej mały Paulinho był zdolny do takiej podłości. Mój Boże, przecież ma dopiero osiem lat! Co by zrobił z fotografią przedstawiającą matkę z obcym mężczyzną? W domu było wiele zdjęć Juju samej lub z Ruim, a jedno - na którym we własnej ocenie wypadła wyjątkowo dobrze - oprawione w mosiężne ramki stało w pokoju Paulinha. Dlaczego więc jej mały synek miałby przywłaszczyć sobie właśnie fotografię z Cannes? Jedyne możliwe wyjaśnienie stanowił fakt, że ostatnio, gdy tak ostro na niego naskoczyła, poczuł się odsunięty

i był to rodzaj zemsty. Ale w takim razie znalazłaby zdjęcie w jego rzeczach, prawda?

Przeszukała wszystko. Każdy centymetr kwadratowy mieszkania. Zaczęła od pokoju Paulinha. Pod jakimś pretekstem wyprawiała Luizę z domu, a potem przejrzała każdy kąt. Dokonała kilku ciekawych odkryć, do których należał zbiór martwych much z amputowanymi skrzydełkami, ale nie znalazła fotografii. Szukała jej pod materacem, we wszystkich szufladach, w szkolnych zeszytach i w skrzyni z zabawkami, ale na próżno. Z jednej strony uspokoiła się, bo oznaczało to, że Paulinho nie jest złodziejem. Oczywiście, że nie! Jak mogła jako matka dopuścić do siebie taką myśl?

Z drugiej strony przekonanie, że Paulinho jest niewinny, pogłębiało tylko jej bezradność. W takim razie zdjęcie mogła zabrać tylko Luiza. Juju zastanowiła się, jaki cel przyświecał dziewczynie. Czy chciała w ten sposób szantażować chlebodawczynię? Ale dlaczego jeszcze tego nie zrobiła? Czy Luiza w ogóle rozpoznałaby, co przedstawia zdjęcie? Nie mogła przecież wiedzieć, że zostało zrobione na Croisette. Równie dobrze mogła to być niewinna fotografia z nadmorskiej promenady w Estoril - przedstawiała tylko dwie osoby, w tle morze i kilka palm. Nie, przypomniała sobie nagle, na dolnym brzegu widniało nazwisko fotografa, którego Juju zapomniała, i nazwa miejscowości - Cannes. No dobrze, zastanawiała się dalej, ale fakt, że ona i Fernando Abrantes byli w Cannes, nie musiał jeszcze nic znaczyć. Co wiedziała Luiza o jej życiu, o jej przyjaciółkach i rodzinie, o jej przeszłości?

Więcej, niż życzyłaby sobie Juju. Luiza była ciekawska i sprytna, co stanowiło połączenie cech niezbyt mile widziane u służby. Luiza od opiekunki Aninhii dowiedziała się wszystkiego, czego mogła, a co dotyczyło męża chlebodawczyni, jej teściów, życia i quinty w Pinhao. Czytała listy do dony Juliany i śledziła wpłaty i wypłaty na jej koncie oszczędnościowym. Wypytała Paulinha, co zaobserwował w mieszkaniu, gdy ona miała wychodne. W ten sposób odkryła na przykład, że senhor w szykownym mundurze ostatnio zjawiał się z wizytą również wieczorem. Wytworne gołąbki sądziły zapewne, że chłopiec już śpi. Tylko Luiza wiedziała, jak czujny potrafił być ten kwiatusek, gdy tylko miał okazję podsłuchiwać, szpiegować i wyprowadzać innych w pole. Znała ten typ - ona sama też taka była. Inaczej niż matka Paulinha, nawet przez chwilę nie dała się zwieść jego anielskiej buzi.

\* \* \*

- Mama? - Głos Paulinha był zaspany.
- Tak, skarbie?
- W moim pokoju były duchy. I mgła. - Jego głos brzmiał płacząco.
- Chodź tu, wróbelku.

Paulinho podszedł do łóżka matki. Objęła go. - To tylko sen. Nigdy nie pozwolę, żeby w twoim pokoju była mgła i duchy. - Pocałowała go w czoło. - A teraz marsz do łóżka.

Paulinho stał przed nią niezdecydowany.

- Boję się. Chcę spać z tobą. Juju wypełzła spod kołdry.
- Pójdziemy teraz sprawdzić, czy coś złego czai się w twoim pokoju. Jeśli naprawdę coś tam jest, przegonię to.

Razem sprawdzili pokój, w którym oczywiście wszystko było w całkowitym porządku. Ale gdy Juju kazała synowi wejść pod kołdrę, opierał się.

- Jeśli nie mogę spać z tobą w łóżku, to...

To co? Juju niemal stanęło serce. Nie odważyła się zapytać ze strachu, że koniec zdania będzie brzmiał: „wtedy pokażę wszystkim zdjęcie”. Patrzyła na Paulinha zdumiona. Czy rzeczywiście w jego oczach dostrzegła złośliwy błysk, czy też przemawiały tak jej własne wyrzuty sumienia? Ach, nonsens! Zapewne syn chciał tylko powiedzieć, że wtedy całą noc będzie chodził po mieszkaniu, śmiertelnie przestraszony, a jutro zaśnie w szkole. Juju zawstydziała się, że przypisuje swemu słodkiemu Paulinhowi złośliwe zamiary. Znowu go objęła.

- No dobrze, mój mały, ale tylko dziś w nocy. Jutro znowu śpisz w swoim łóżku. Obiecujesz?
- Słowo honoru.

Paulinho jednak nie dotrzymał słowa. Kolejną noc, tak jak wiele następnych, spędził w łóżku matki, która stopniowo zdawała się z tym godzić. Lubiła patrzeć na śpiącą istotkę, uwielbiała widok chłopca, gdy zwinięty w kłębek, obejmując rączkami pluszowe zwierzątko, leżał w jej łóżku, i chętnie słuchała regularnego oddechu pogrążonego w głębokim śnie Paulinha.

Oczywiście wolałaby słuchać oddechu Fernanda, ale po dwóch nocach, które u niej spędził, Juju doszła do przekonania, że lepiej będzie, jeśli już tego nie powtórzą. Wisząca nad nimi obawa, że zostaną przyłapani, uniemożliwiała im cieszenie się sobą w pełni.



Juju wiedziała, że Fernando nie wykaże zrozumienia dla jej zgody na to, by Paulinho sypiał z nią w łóżku, ale nie musiał o tym wiedzieć. Gdy wreszcie się dowiedział, przez przypadek, bo właśnie stał w korytarzu i zobaczył, jak chłopiec wchodzi do sypialni matki, czynił Juju wyrzuty.

- Jako ośmiolatek byłbym zadowolony, mogąc sypiać we własnym łóżku.

- Cóż, twoje skromne pochodzenie nie ma nic wspólnego z wychowaniem Paulinha, prawda?

- O wychowaniu nie ma mowy, Juju. Rozpuszczasz go. Nie jest już małym dzieckiem. Ośmiolatek musi umieć spać sam we własnym łóżku.

- Jesteś taki surowy, Fernando. A jeśli chłopiec się boi? Po to przecież są matki, żeby chronić swoje dzieci.

- Nie chronisz go, Juju. Przeciwnie, nie pozwalasz mu na jedną z najważniejszych lekcji w jego młodym życiu - że może i musi sam o siebie zadbać. Kiedyś nie będzie już mógł wpełznąć do łóżka matki. Bo jak długo zamierzasz jeszcze pozwalać na tę śmieszna sytuację?

- Najpóźniej za dwa lata Paulinho pójdzie do szkoły z internatem. Dlaczego nie mogę wykorzystać cennego czasu, który mi został?

W głębi duszy Juju wiedziała, że Fernando ma trochę racji. Mimo to coraz trudniej przychodziło jej przeciwstawiać się jakimkolwiek życzeniom Paulinha. Nikomu się z tego nie zwierzyła - jedyny człowiek, z którym mogłaby porozmawiać, czyli Fernando, byłby wściekły, gdyby się dowiedział, na co Juju pozwala synowi.

Paulinho nie lubi zielonej fasolki? Proszę bardzo - dostanie więcej ryżu. Nie chce już nosić krótkich niebieskich spodenek? W porządku, może włożyć eleganckie długie spodnie. Nie umie odrobić lekcji bez pomocy? Dobrze, mama rozwiąże z nim zadania z matematyki. Ten proces postępował tak szybko, że Juju czuła się bezradna. Za każdym razem, gdy przybierała surowy ton, wystarczało, by Paulinho powiedział jedno zdanie, które przypominało jej, że ma być uległa: „Bo powiem papie”. Co dokładnie chciał powiedzieć papie, tego nie zdradził. Jeden raz odważyła się spytać. „Co chcesz powiedzieć papie, skarbie? Że nie potrafisz sam odrobić lekcji? Sądzę, że bardzo by go to zdenerwowało”. Ale odpowiedź Paulinha była równie niejednoznaczna, co wiele mówiąca: „Nie, nie to. Coś innego”. „Tak?”, zachęciła go, ale chłopak wzruszył ramionami i rzucił jej złośliwe spojrzenie. Juju poddała się. Nie potrafiła się przeciwstawić tej tyranii, choć nadal podejrzewała, że zdjęcie ukradła Luiza. Paulinho z wyjątkowym wyczuciem jej podświadomych

lęków najwyraźniej domyślił się, że istnieje coś, co uczyni matkę idealną ofiarą jego humorów.

Również służąca czuła, że wyższość jej chlebodawczyni zanika. Luizie udało się, bez użycia jakichkolwiek środków nacisku, wymóc na wytwornej senhorze przysługi i prezenty, które jeszcze przed kilkoma miesiącami byłyby nie do pomyślenia. „Senhora dona Juliana, dawno już nie nosiła pani tej sukni. Czy wymaga naprawy?”, Luiza zadawała pytanie tonem, w którym pokora łączyła się z groźbą. Juju reagowała dokładnie tak, jak oczekiwała Luiza: „Ależ nie, sukni nic nie brakuje. Możesz ją sobie wziąć”.

Następnym razem chodziło o wolny dzień, potem o parę butów. Luiza stawiała się coraz śmielsza. Im mniej broniła się senhora, tym więcej wymagała Luiza. I kradła. „Luizo, co się stało z porcelanową misą z kredensu?” - spytała pewnego dnia Juju, tym razem naprawdę rozgniewana. Była to bardzo cenna rzecz, prezent od matki, do którego miała wielki sentyment. Podbródek Luizy drżał tak samo jak jej dolna warga, a głos łamał się, gdy przyznała: „Upadła mi. O Boże, droga senhora Juliano, proszę mi wybaczyć! Pokryję szkody, proszę zmniejszyć mi pensję! Ja... tak się wstydziałam, że pozbierałam skorupy i je wyrzuciłam”. Wydawało się, że za chwilę zaleje się łzami, a Juju nie pozostało nic innego, jak ograniczyć się do ostrzeżenia: „W przyszłości bardziej uważaj przy odkurzaniu”. Luiza pogratulowała sobie talentu aktorskiego i postawiła nietkniętą porcelanową misę w swoim skromnym domu na honorowym miejscu nad kominkiem.

Czasami Juju zastanawiała się, dlaczego pozwala na to wszystko służbie i synowi. Potem postanawiała, że energicznie sprzeciwi się tej formie szantażu. Za każdym razem jednak, gdy chciała wzmocnić swój autorytet, przeszkadzały jej w tym złośliwe spojrzenie lub podstępny uśmiezek, które niszczyły w niej silną wolę. To było nie do zniesienia. Juju czuła, że atmosfera w domu jest przytłaczająca. Widziała wrogów tam, gdzie ich nie było, i słyszała wyrzuty, gdy nikt niczego nie mówił.

Tylko jedna osoba trzymała w dłoni atut, wobec którego Juju czuła się bezradna - ale aż dwie czerpały z tego korzyści. Jak mogła stwierdzić, kto z dwojga był złodziejem, a kto pasożytem?

Jej zdolność oceny sytuacji została tak ograniczona, że Juju nie zastanawiała się nawet, co jej może grozić - najwyżej bura od męża, która

niewiele by ją obeszła, oraz rozstanie z synem, co w danej chwili nawet by jej odpowiadało. Nic gorszego nie mogło się zdarzyć, a jednak dla Juju nastąpiłby koniec świata, gdyby jej romans z Fernandem ujrzał światło dzienne.

Katolickie wychowanie naprawdę przesądza o wszystkim, myślała w chwilach rozsądku. Grzech i potępienie - do tego się to sprowadzało. Nie chciała zostać biedną pokutniczką, nie chciała być obrzucana błotem i już za życia smażyć się w ogniu piekielnym. W mętym świecie swoich uczuć, w którym wina mieszała się z brakiem wyrzutów sumienia, Juju nie widziała innego wyjścia, jak nadal godzić się z szykanami. Przecież nie są takie straszne, prawda? Musi co najwyżej dać czasem pokojówce starą bluzkę. I właściwie co w tym złego, że jak wiele matek spełnia pragnienia syna? Nie przyszło jej do głowy, że grzeszy w ten sposób przeciw innym ludziom.

Laura co drugi tydzień przyjeżdżała do domu, a to, co widywała tam ostatnio, napępniało ją bezgraniczną wściekłością. Miała już prawie trzynaście lat - była dość młoda, by tęsknić za uwagą i czułością matki, ale na tyle dojrzała, by nie szukać jej sama. Mimo to głęboko ją raniło, że jej mały brat sypia w matczynym łóżku - jej samej w tym wieku nigdy by na to nie pozwolono. Nie potrafiła też zrozumieć, dlaczego Paulinho może wybrzydzać przy jedzeniu i nie jest upominany, podczas gdy ona sama musiała zawsze wszystko zjadać. Równie niesprawiedliwe wydawało się jej, że nosił ubrania, na które był w zasadzie jeszcze za mały, a ją jako ośmiolatkę zmuszano do noszenia dziecięcych strojów i dwóch długich warkoczy. Ona także wolałaby się ubierać jak dama, ale to nie wchodziło w grę.

Ale dobrze, jeśli matka nagle postanowiła być bardziej łaskawa, ona, Laura, też chciała na tym skorzystać. Pewnego sobotniego ranka, gdy Juju na chwilę wyszła z domu, by załatwić kilka sprawunków, Laura przekradła się do jej pokoju, usiadła przed komodą i pomalowała sobie usta na jaskrawy czerwony kolor. Co prawda w kilku miejscach wyszła za linię warg, ale bardzo się sobie podobała. Szminka czyniła ją dorosłą. Tak, wygląda jak prawdziwa kobieta. I dlaczego nie? Przecież biologicznie już nią jest. Pół roku temu zaczęła miesiączkować i urosły jej piersi. Tylko rodzice najwyraźniej tego nie zauważyli, dla nich wciąż była małą dziewczynką.

Gdy Juju wróciła do domu i zobaczyła córkę, która wyglądała jak młoda ulicznica, zaszokowana upuściła zakupy i wymierzyła Laurze policzek. Zaraz pożałowała swojej gwałtownej reakcji, ale jej oburzenie nie minęło.

- Natychmiast to zmyj!

- Dlaczego?

- Bo tak powiedziałam.

- Sama używasz szminki. Dlaczego ja nie mogę?

- Bo jesteś za mała.

- Mam prawie trzynaście lat. Nie jestem już dzieckiem!

- Oczywiście, że nie jesteś już dzieckiem - dlatego nie powinnaś wdawać się ze mną w dziecinne dyskusje, lecz natychmiast zetrzeć to paskudztwo z twarzy.

- Nie.

Co?! Czy się przesłyszała? Juju zaniemówiła.

Gdy Laura zauważyła zraniony wzrok matki, poczuła nieodpartą chęć, by dodatkowo nacieszyć się swoim małym triumfem.

- Jeśli jestem dość duża, by mieć dzieci, jestem też dość duża, by używać szminki.

- Jaka jesteś? - Juju była zdumiona. O nieba, córka miała dopiero dwanaście lat!

- Dojrzała płciowo, mae.

Juju w duchu oburzyła się na dobór tego słowa, które było tak okropnie dorosłe i brzmiało uczenie. Ale wszystko się zgadzało. Ona sama osiągnęła dojrzałość płciową jako trzynastolatka, przypomniała sobie. Lecz była o wiele dojrzała, mądrzejsza, bardziej rozwinięta niż obecnie jej córka. Laura była dzieckiem. Bawiła się jeszcze lalkami. A może nie? Przed rokiem na pewno to robiła.

Juju starała się nie dać po sobie poznać, że nie uważa córki nawet w połowie za tak dojrzałą, jak ta by chciała. Przybrała więc rozsądny ton.

- Dojrzewanie, skarbie, to ważny nowy etap w twoim życiu. Nie wiąże się jednak z prawem do używania szminki i innych kosmetyków. Poza tym tak młodej i ładnej dziewczynie nie jest to wcale potrzebne. Tylko stare kobiety takie jak ja muszą używać szminki, żeby nie wydawać się bezbarwne. - Jaka świętoszkowata przemowa, pomyślała Juju. Ona sama w tym wieku pewnie też by się umalowała, gdyby dona Clementina posiadała tak nieobyczajne rzeczy jak róż czy szminka. Największym

sztucznym upiększeniem, na które pozwalała sobie matka, było nałożenie odrobiny pudru.

- Podobam się sobie z czerwonymi ustami. - Laura stanęła przed lustrem w przedpokoju i ściągnęła wargi, jakby całowała własne odbicie. Wiedziała, że doprowadza tym matkę do szału. Nagle dostrzegła Paulinha, który stał w drzwiach do jadalni i śledził wydarzenia, kto wie, jak już długo. Wydawał się zafascynowany wyglądem siostry. - A Paulinho - dodała Laura z zimnym uśmiechem - też mnie lubi z czerwonymi ustami. Bo wyglądam tak jak nasza kochana, niesprawiedliwa mama, która pozwala mu na wszystko. - To mówiąc, odwróciła się i odeszła, zostawiając matkę ze skamieniałą twarzą.

Pół godziny później ktoś zapukał do drzwi Laury. Nie miała ochoty wdawać się w dyskusje z matką, więc nie odpowiedziała. Drzwi uchyliły się powoli i wszedł Paulinho.

- Czy pozwoliłam ci wejść?

- Nie. - Nieśmiały uśmiech przemknął po ładnej twarzy chłopca. - Ale nie zabroniłaś, prawda?

Laure zdumiała dorosła pewność siebie brata. Jeszcze kilka miesięcy temu odszedłby zasmucony, gdyby potraktowała go z góry.

- Mama jest bardzo smutna przez to, co powiedziałaś.

- No, a co cię to obchodzi?

- Nie chcę, żebyś ją zasmucała.

- Więc się popłacz - odparła arogancko.

Ale nie uczynił tego. Nie spuszczał z niej wzroku, a z jego spojrzenia przemawiała większa dojrzałość, niż wszyscy sądzili. Zmiana, jaka dokonała się w jej młodszym bracie, w najwyższym stopniu zaniepokoiła Laurę - bardziej niż wcześniej mina matki na korytarzu i bardziej, niż irytowało ją własne, dorosłe odbicie w lustrze. Odwróciła wzrok od Paulinha i spojrzała na siebie. Nie wiedząc dokładnie dlaczego, starła rozmazaną szminkę.

Ostatnim, co zobaczyła, gdy Paulinho opuszczał pokój, był jego skryty, niemal złośliwy uśmiezek.

## Rozdział Dwudziesty Trzeci.

Alberto Baiao tylko przez przypadek znalazł się w pobliżu obór. Dochodził od nich intensywny, ciepły i znajomy zapach gnoju, ale w latach spędzonych z dala od rodzinnej posiadłości chłopak przyzwyczał się do innych aromatów. Wstrzymał oddech i jak najszybciej minął budynki gospodarcze. Pod murem leżała duża, parująca kupa odchodów. Do jego uszu dobiegało muczenie zwierząt. Podobnie jak w zapachu gnojówki w dźwięku tym było coś swojskiego, ale Alberto nie chciał tego słyszeć. Część obory składała się tylko z wysokiego do ramienia muru, a w otworze ponad nim tłoczyły się przyjazne, głupie pyski krów, jakby zwierzęta chciały odetchnąć świeżym powietrzem. Wpatrywały się w niego, a Alberto, który sądził, że o wpół do ósmej rano jest sam, rozmawiał z nimi, przechodząc.

- Tak, popatrujecie sobie bydlaki, co? - W jakiś sposób czuł się skrępowany, samotnie defilując przed tym szeregiem widzów.

- Bom dia, senhor Alberto! - zawołał wesoło parobek,

- O, bom dia, dzień dobry, Manuelu. - Aby zatuszować zakłopotanie, piętnastolatek gawędził dalej. - Tak wcześnie na nogach, co? I to w sobotę rano. Jak leci, jak się macie? Co robi żona, jak tam dzieci?

Parobek nie wiedział, czym zasłużył na takie zainteresowanie ze strony syna chlebobawcy, ale cieszył się, że może przerwać samotną i monotonną pracę chwilą rozmowy. - Tak, trzeba wydoić krowy, inaczej pobudzą całą rodzinę. Żona i dzieci mają się dobrze, dziękować dobremu Panu Bogu.

Alberto podszedł do otwartej ściany obory i zajrzał do środka. Zwierzęta uciekły przed nim. Parobek siedział na zydlu i sprawnymi ruchami ścisnął krowie wymiona. Szu, szu, szu - i znowu pół wiaderka pełne. Miał imponujące tempo i wydawało mu się ani trochę nie przeszkadzać, że obserwuje go syn patrao.

- Najmłodszy pójdzie w przyszłym roku do szkoły - dzieci, dzieci, ależ ten czas leci - mówił bardziej do siebie niż do nieoczekiwanego gościa. - Ale z panicza też już młody mężczyzna. Pamiętam jeszcze, jak tutaj...

Alberto jednak przerwał mu gwałtownie:

- Dobrze, dobrze, byle tak dalej. - To mówiąc, odwrócił się i poszedł swoją drogą. Cała scena była dla niego wyjątkowo zawstydzająca. Ścisnąć krowie wymiona, wycisnąć z nich mleko i siedzieć między nogami zwierzęcia - miał wrażenie, że to wyjątkowo gorszące i nieprzyzwoite. A podglądanie przy tej pracy parobka wydawało się niemal tak złe jak słuchanie rytmicznego trzeszczenia rodzicielskiego łóżka.

Alberto nieświadomie przyspieszył kroku. Gdy dotarł do skraju lasu, był zasapany. Gwałtownie zdeptał jakiś patyk, zły na samego siebie. Czy stał się taki delikatny w szkole? Od kiedy to nie może patrzeć na dojenie krów, nie czerwieniąc się przy tym? Co się z nim dzieje? Ciągłe chodziły mu po głowie jakieś świństwa. W każdym cylindrycznym przedmiocie widział fallusa, w każdej szparze lub otworze w kształcie kropli rzecz, z której nazwaniem miał trudność nawet nauczyciel biologii. Alberto nie mógł bez zażenowania jeść kiełbasek ani małżów. Było to bardzo uciążliwe, bo regionalne wędzone linguiga oraz porco a alentejana, marynowana wieprzowina z przegrzebkami, należały do jego ulubionych potraw.

Miał nadzieję, że ten stan szybko minie - minie całkowicie, a nie, jak przewidywał jego ojciec, przejdzie w stan nieco mniej doskwierający, ale nadal zawstydzający. „Kiedy będziesz w moim wieku, ucieszysz się z każdego wzrodu, którego dostaniesz przy żonie”, powiedział ojciec i wybuchnął gromkim śmiechem. Alberto rzadko kiedy czuł się tak okropnie. Tego samego wieczoru potajemnie przyglądał się matce i próbował wyobrazić sobie, jak z ojcem... ale przekraczało to granice jego wyobraźni, choć rozum podpowiadał, że przy czwórce dzieci nie mogli być zbyt powściągliwi. Alberto modlił się, by nikt nie odgadł jego brudnych myśli.

Ale o to nie musiał się martwić. Miał dziecinną buzię, na której ku jego wielkiemu zmartwieniu nie pojawił się jeszcze ani jeden włos. W dodatku był niski, więc wszyscy brali go za młodszego niż w rzeczywistości. Nikt, a już najmniej jego rodzina, nie podejrzewałby za niewinnym obliczem duszy młodego mężczyzny udręczonej mękami dorastania i przytłoczonej poczuciem winy z powodu bezwiednej lubieżności. Jediną osobą

na całym świecie, która zdawała się rozumieć, że on nie jest już małym dzieckiem, była Laura da Costa.

Pamiętał ją dobrze. Była kuzynką dziewcząt z pobliskiej quinty. Dawniej, jako dzieci, często bawili się razem w berka lub chowanego, on, jego brat Mario, trzy dziewczynki z Belo Horizonte, mały Paulo i właśnie Laura. Alberto dawno już nie widział Laury w okolicy, co jednak wynikało głównie z tego, że sam rzadko tu bywał. Teraz, w czasie świąt Bożego Narodzenia, znalazł się wreszcie w domu, w swej rodzinnej posiadłości Herdade do Bom Sucesso. Tym bardziej zdumiało go, jak dojrzałe stały się dziewczynki z sąsiedztwa i ich kuzynka. Laura była w jego wieku. Ale w przeciwieństwie do Alberta nie wyglądała już jak dziecko. I nie zachowywała się tak.

Flirtowała z nim. Gdy wczoraj spotkał ją na jednym z samotnych spacerów, spojrzała na niego tajemniczymi migdałowymi oczami, poczęstowała papierosem, a potem, gdy odmówił, sama zapaliła. Wydechając dym, sprośnie wydeła umalowane na czerwono usta, a Alberto niemal oszalał na ten widok. Usiedli na powalonym pniu drzewa i Laura tak wysoko zadarła nogi, że mógł zobaczyć jej podwiązki. Ojejku! Miał nadzieję, że nie zauważy jego stanu, ale ona nadal go drażniła, zadawała mu wstydlive pytania i uśmiechała się znacząco tylko po to, by nagle podskoczyć i zostawić go samego, rozdrażnionego i zakochanego po uszy. Tak, Alberto Baiao był święcie przekonany, że spotkał swoją wielką miłość. Miał nadzieję, że jego rozwój fizyczny szybko dogoni duchowy, że wreszcie będzie wyglądać jak mężczyzna, a nie jak chłopak. A potem, przysięgł sobie, poprosi Laurę da Costa, by została jego żoną.

Laurę bawiła przygnębiona mina chłopaka sąsiadów. Było go jej nieco żal. Jakże się wił, jaką udręką było dla niego pilnowanie, by zachowywać się uprzejmie i nie spoglądać wciąż na jej piersi! Sprawiało to Laurze przyjemność, stanowiło zadośćuczynienie - za każdym razem cieszyła się, gdy mogła zawrócić w głowie jakiemuś mężczyźnie. Nie sądziła, że właśnie tu, w czasie krótkiego pobytu w Alentejo, znajdzie tak idealną ofiarę. Było to jak nieoczekiwany podarek, rodzaj przedwczesnego prezentu urodzinowego.

Jutro nadejdzie ten dzień. Oczywiście Laura nie będzie świętować festa dos quinze anos jak inne dziewczęta, gdy kończyły piętnaście lat. Było Boże Narodzenie. Tym razem jednak cieszyła się na swoje urodziny - w obecności kuzynek oraz tii Mariany i tia Octavia, w lekko zaniedbanej quincie i w łagodnym krajobrazie święta traciły nieco z grozy, jaką



oznaczały dla Laury. Przez ułamek sekundy poczuła wyrzuty sumienia, że chętniej jeździ do Belo Horizonte niż do rodzinnego domu nad Douro, gdzie przebywali jej matka, ojciec, dziadkowie i Paulinho. Boże Narodzenie było jedną z niewielu okazji, gdy zbierała się cała rodzina. Ale potem przypomniały się jej wszystkie nieudane święta w minionych latach, upokorzenia, które musiała znosić z powodu Paulinha, atmosferę zatrutą kłamstwami i skrywaną wrogością. Nie, naprawdę nie miała sobie nic do zarzucenia. Słusznie, że przyjęła zaproszenie. Nie będzie się dręczyć wątpliwościami lub wyrzutami sumienia. Laura była zdecydowana w pełni rozkoszować się nadchodzącymi dniami, kiedy czuła się kochana i otoczona troską.

Po raz pierwszy mama pozwoliła jej na samodzielną podróż. Wsadziła ją do pociągu w Lizbonie, a tia Mariana odebrała na stacji w Beja. Ale w czasie jazdy Laura była zdana wyłącznie na siebie, przez co ogarnęło ją szczególne podniecenie. Niby dorosła kobieta siedziała w przedziale z blokiem rysunkowym na kolanach i bólem w oczach. Wypaliła kilka papierosów, nie musząc obawiać się zdemaskowania. W pobliżu nie było siostry przełożonej, żeby ją pouczać, ani siostry Rosalii, by przypominać jej, że młoda dama powinna spuszczać wzrok, gdy obcy mężczyzna zbyt uporczywie się jej przygląda albo wręcz ją zagaduje.

Ba! Nie uczyniła i nie uczyni nic podobnego. Było wspaniale, gdy mężczyźni patrzyli na nią jak na kobietę. Za żadne skarby nie zrezygnowałaby z tych pożądlivych spojrzeń - po latach spędzonych w pensji był najwyższy czas, by wypróbować, jak działa na mężczyzn, i cieszyć się tym. Do tej pory i tak nie miała ku temu zbyt wielu okazji. W Belo Horizonte w Boże Narodzenie 1931 roku przebywało dwóch mężczyzn, mianowicie jej wuj Octavio oraz jego brat Edmundo, a żaden nie wchodził w grę. Poza tym same kobiety. Ciotki Beatriz i Mariana, kuzynki oraz służące. No cóż, zrobi, co może. Alberto stanowił dobry początek.

Odkąd jej dziadkowie zginęli latem w wypadku samochodowym, nastrój w Belo Horizonte dziwnie się poprawił. Laura zastanawiała się, w jakim stopniu dona Clementina i senhor Jose mogli zatruwać atmosferę, ale żaden rozsądny powód nie przychodził jej do głowy. Wszyscy jednak wydawali się swobodniejsi niż podczas ostatniej wizyty Laury przed pogrzebem. Smutek żyjących wyczerpał się chyba w dniu pogrzebu, bo teraz, zaledwie pół roku później, wszyscy byli w dobrych humorach, biegali po domu, szykując bożonarodzeniowe dekoracje, wesoło omawiali menu i po kryjomu pakowali prezenty. Jedynie tia Beatriz

stała się jeszcze gorsza, co można było przypisać temu, że to ona prowadziła samochód i spowodowała wypadek. Gdyby nie pędziła tak pomimo złego wzroku, oboje starsi państwo jeszcze by żyli.

Na dzień przed Wigilią Laura z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie ma prezentu dla ciotki Beatriz. Nie cierpiała jej, ale brak prezentu to byłoby podle świństwo, na które nie zasługiwała nawet taka wiedźma. Laura wyciągnęła z bagaży blok rysunkowy i przekartkowała go. Nie, nie było w nim nic, co przyciągnęłoby uwagę ciotki. Cóż ją mogą obchodzić podróźni w pociągu albo peron w Lizbonie? Laura westchnęła cicho. Będzie musiała coś narysować - choć, jak przypuszczała, i tak prezent nie wywoła okrzyków radości. Ale nic na to nie poradzi. Poza rysunkiem nie miała nic do zaoferowania. Może portret? Hm, lepiej nie. Na pewno nie byłby pochlebny. A może widok z Belo Horizonte? Już prędzej. Brama wjazdowa? Tak, czemu nie? Laura wzięła papier i węgiel do rysowania, nałożyła ciepły płaszcz, udała się przed bramę i skoncentrowała na pracy.

Wyszło nawet dość dobrze, choć po półgodzinie na dworze jej palce zeszywniały i zziębły. Brama, kruszący się murek, w który była wpuszczona, z tyłu podjazd otoczony niepozornymi o tej porze roku krzakami i na końcu wspaniały dom - to wszystko zagaściło się na papierze w scenę, która mogła pochodzić z wiktoriańskiej powieści grozy. Wykonany czarnym węglem obraz sprawiał raczej ponure wrażenie, co, jak sądziła Laura, niewątpliwie odpowiadać będzie światopoglądowi ciotki.

Ocena ta z pewnością nie była bezpodstawna, ale reakcja obdarowanej w Wigilię okazała się chłodniejsza, niż Laura oczekiwała. Beatriz rzuciła zaledwie krótkie spojrzenie na rysunek, badawczo popatrzyła siostrzenicy w oczy i powiedziała:

- Tak to widzisz? Ja nie. - Żadnych podziękowań, żadnych komplementów i żadnego prezentu dla Laury. Mogła darować sobie te wysiłki.

Tym serdeczniej zachowały się ciotka Mariana i kuzynka Octavia, która wiekiem i charakterem była Laurze najbliższa z trzech dziewczynek. Zasypały Laurę pochwałami za jej rysunki, podziwiałały zwłaszcza obrazek, który dostała Beatriz, a potem wręczyły prezent od całej rodziny - sztalugi, płótno, pędzle i pudełko z dwunastoma tubkami farby olejnej. - Pomyśleliśmy, że z odpowiednimi przyborami będziesz mogła malować jeszcze lepiej.

Dostała cudowny prezent. Po raz pierwszy ktoś naprawdę pomyślał, co sprawiłoby jej radość. Nie była to wybrana bez miłości książka, sukienka odpowiadająca gustowi nie Laury, a jej matki, czy skromne pudełko czekoladek, którym co roku „zaskakiwał” ją Paulinho. Podziękowała wylewnie wujowi, ciotce i trzem kuzynkom. Niezdecydowanie przystanęła przed Beatriz. Czy też należała do obdarowujących? Czy jej również powinna podziękować pocałunkiem w policzek?

- Bez obaw - powiedziała ciotka. - Nie musisz się zmuszać do pocałunku. Nie miałam nic wspólnego z prezentem.

Laura zastanawiała się przez chwilę, skąd wzięła się ta wrogość, ale zapomniała o gniewie, gdy pozostali rozpakowywali prezenty i wreszcie pośród wielkiego zamieszania i chaosu przeszli do jadalni. Laura wiedziała, że w tej rozbieganej rodzinie potrwa jeszcze przynajmniej kwadrans, zanim wszyscy zasiądą przy stole i służba poda jedzenie. Wykorzystała ten czas, by szybko poprawić swój wygląd. Chciała nałożyć szminkę, którą otrzymała w prezencie od Alice, przyjaciółki z pensji - dziś, bez surowych spojrzeń rodziców i przy ogólnym dobrym nastroju, na pewno nikt nie wyrazi sprzeciwu. Myliła się jednak.

Pierwsza odezwała się Beatriz.

- Zupełnie jak matka, prawda? - spytała uszczypliwym tonem. Zaraz potem Mariana powiedziała:

- Mój Boże, Lauro, w twoim wieku nie można się tak jeszcze pokazywać!

Tylko Octavia wzięła ją w obronę, czym zasłużyła na gniewne spojrzenia matki.

- Uważam, że wyglądasz świetnie. Pożyczysz mi kiedyś szminki?

Młodsze dziewczynki nie mieszały się w spór, podobnie jak obaj panowie. Octavio zdawał się w ogóle nie rozumieć zamieszania, podczas gdy jego brat wyraźnie uważał Laurę za bardzo apetyczną. O ile wcześniej ledwo zwracał na nią uwagę, teraz nagle ujrzał przed sobą młodą, atrakcyjną damę.

Maria da Conceicao zakończyła dyskusję, wchodząc z dymiącą wazą i podając zupę. Napelniała po kolei talerze, tylko przy Edmundzie trochę się jej wylało. Kilka kropli spadło na jego spodnie.

- Uważaj, niezdar! - krzyknął. Maria cofnęła się ze łzami w oczach.

- Nie życzę sobie, żebyś tak się zwracał do mojej służby, Edmundo - powiedziała Mariana do szwagra. - Maria da Conceicao to perła, a do

tego sama zaoferowała się, że będzie pracować w święta. Wszyscy powinniśmy dobrze ją traktować.

- Ładna perła, która nie umie nawet nalać zupy na talerz - mamrotał Edmundo.

- To dlatego, że jest w tobie zakochana - odezwała się najmłodsza dziewczynka, Eduarda. Miała jedenaście lat i zupełnie przypominała matkę. Tak samo jak Mariana w tym wieku miała nienasycony apetyt na słodczyce oraz skłonność do swobodnego mówienia o rzeczach, które inni uważali za wstydlive.

Laura zachichotała.

- Naprawdę?

Edmundo wydawał się urażony.

- A dlaczego nie? - Cóż w końcu dziwnego w tym, że uwielbia go starzejąca się gospodyni? Zawsze podobał się kobietom, bez wyjątku. Nie ożenił się wyłącznie dlatego, że nie mógł się zdecydować na żadną z wielu kandydatek. I dobrze się czuł jako kawaler.

- Obawiam się - powiedziała Mariana - że to prawda. A przecież nie ma ku temu żadnego powodu, skoro Edmundo potraktował ją wtedy tak okropnie.

Laura spojrzała pytająco na ciotkę.

- Co to znaczy okropnie? - oburzył się Edmundo. - Nie chcesz mi chyba znowu wypominać historii, która już ponad piętnaście lat temu została po prostu zmyślona?

- Jakiej historii? - spytała Eduarda prostodusznie i Laura ucieszyła się, że kuzynka zadała pytanie, które jej samej wydawało się nie na miejscu. Napięcie między Marianą a Edmundem było wyraźnie wyczuwalne, a od takich zadawnionych waśni lepiej trzymać się z daleka.

- Było to tak - wyjaśniła Mariana, zwracając się do córki. - W dniu, w którym poznaliśmy się z waszym ojcem, Edmundo zgubił w aldeia guzik od mankietu. Maria da Conceicao go znalazła i odesłała - za co do dziś nie otrzymała choćby uścisku dłoni, nie mówiąc już o znaleźnym.

- Och - powiedziała dziewczynka. Nagle zrobiło się jej przykro, że odpowiedź stawia wuja w tak złym świetle. Bardzo go lubiła.

- To właśnie opowiada ta zakłamaną starą panną - gorączkował się Edmundo. - Prawda jest taka, że nie zgubiłem żadnego guzika do mankietu ani ta stuknięta osoba niczego mi nie odsyłała. Narzuca mi się, odkąd mieliśmy tę nieszczęsną awarię. Przysięgam wam, zgodziła się tu pracować tylko po to, by od czasu do czasu móc mnie widywać.

Zapewne z tego samego powodu zgodziła się dobrowolnie pracować w święta.

Wszyscy patrzyli na Edmunda bez słowa. Członkom rodziny ta wersja wydawała się bardzo niewiarygodna - z pewnością wynikała tylko z nadmiernego zadufania Edmunda i jego fałszywego odbioru rzeczywistości, co często można było zaobserwować u zatwardziałych kawalerów.

- Dobrze, że przynajmniej ty sam widzisz w sobie nieodpartego Don Juana - zwrócił się Octavio do brata. - Ale nikt nie ma ci tego za złe. Poza Marią da Conceicao pewnie nie interesuje się tobą już zbyt wiele kobiet.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Mariana nieoczekiwanie jadowitym tonem. - Żadna normalna i choć trochę inteligentna kobieta nie da się omamić pozorom. Od razu widać, jaki żałosny charakter kryje się za tą piękną fasadą.

Piękną? Co jest pięknego w tym starym pierniku, zastanawiała się Laura. Po raz pierwszy nieco dokładniej przyjrzała się mężczyźnie, którego знаła przez całe życie i w którym nigdy nie widziała nikogo innego jak tylko swego wuja Edmunda. Miał może czterdzieści lat, rzadkie ciemnoblonde włosy, które - bardzo niekorzystnie - nosił zapuszczone, oraz lekko obwisłe policzki. Z nosa i uszu wyrastały mu włoski. Trzeba by dużej wyobraźni, by dostrzec jego dawną urodę. Ale tak, może był kiedyś ładny. Spojrzeniem malarki analizowała każdy szczegół jego wyglądu i rzeczywiście przypomniała sobie wygięte usta, które dawniej całowały ją w policzki, i melancholijne oczy, które niegdyś oglądały się za jej matką.

Uwagi Edmunda nie uszło spojrzenie dziewczyny. Czuł się pochlebiony. Aby zakończyć nieszczęsną kłótnię o guzik do mankietu, którą prowadził z Marianą już tysiące razy, zwrócił się do Laury i uniósł kieliszek:

- Twoje zdrowie, młoda damo, najśliczniejsza panno w Belo Horizonte! Jeszcze raz wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Laura stuknęła się z nim kieliszkiem i odpowiedziała na jego zabawne mrugnięcie. Czyżby z nią flirtował? Ha, proszę bardzo.

Nie zauważyła, że nikt poza nimi nie uniósł kieliszka. Octavia była śmiertelnie urażona, że nie doceniono jej urody, jej rodzice zaś uznali za afront, że taki komplement spotkał właśnie Laurę, ich gościa, a nie którąś z ich córek. Kolejny raz utwierdziło to Marianę w ocenie szwagra.

Tylko dwie osoby przeanalizowały i rzeczywiście pojęły absurdalną sytuację, każda na swój sposób.

Beatriz, której surowemu spojrzeniu nie uszedł żaden szczegół, ze złośliwą satysfakcją obserwowała urażoną minę siostry i jej rodziny na widok swobodnego zachowania Laury. Dziewczyna była dokładnie taka jak jej matka Juju. Szukając poklasku, nie rozumiała, że stanowi tylko obiekt zalotów podstarzałego casanowy. A Mariana, która przed chwilą sama stwierdziła, że Edmundo jest kłamcą i draniem, wzięła sobie nagle słowa tego kłamcy do serca, jakby ich prawdziwość była dowiedziona. Choć, co musiała przyznać nawet Beatriz, Laura rzeczywiście była znacznie ładniejsza od Octavii z jej końskim zgryzem.

Maria da Conceicao śledziła wymianę zdań z korytarza. Podśluchiwała pod drzwiami i otrzymała za to zasłużoną karę. Z bólem zrozumiała, że stare kłamstwo od początku nie dawało jej nawet cienia szansy na zbliżenie się do Edmunda. Oczywiście, że nie. Grzechem było opowiadanie podobnych kłamstw. I zapewne określenie „zakłamana stara panna” dobrze do niej pasuje. Nigdy się za taką nie uważała, ale teraz, w bezpośrednim porównaniu z tą młodziutką dziewczyną, która tak bardzo przypominała swoją matkę, Maria da Conceicao dostrzegła, jak niepostrzeżenie i cicho lata po prostu przeciekły jej przez palce.

Otarła łzy, które nabiegły jej do oczu, i dzielnie pomaszerowała do jadalni, by wynieść talerze po zupie.

## Rozdział Dwudziesty Czwarty.

Gdyby Fernando podejrzewał, jakie ogromne znaczenie przypisuje jego żona różnym wyroczniom, symbolom i mistycznym kombinacjom liczb, byłby przerażony. Czasami mówiła na przykład: „Nasz syn w żadnym wypadku nie może przyjść na świat ósmego lutego 1933 roku, bo wtedy liczbą jego losu byłaby ósemka, która jeszcze nikomu nie przyniosła szczęścia, więc tylko mnie tego dnia nie denerwuj”. Mówiła takie rzeczy mimochodem i lekko żartobliwym tonem, więc Fernando odpowiadał w tym samym duchu: „A kiedy madame odpowiadałoby, żebym ją denerwował? Czy na przykład czwartego lutego wołałabyś, żebym nie doprowadzał cię do szaleństwa, tylko do połogu?”. Elisabete śmiała się zakłopotana, po pierwsze dlatego, że nie podobało się jej słownictwo męża - połów, coś takiego! - a po drugie, ponieważ czwarty lutego rzeczywiście zapowiadał się krytycznie. Co prawda tego dnia Księżyc znajdował się w korzystnym położeniu, ale suma cyfr liczby dnia, miesiąca i roku równała się cztery, co było jeszcze bardziej niekorzystne niż osiem.

Fernandowi podobałby się czwarty. Lubił parzyste liczby, tak jak lubił proste linie. Wolał kreski od kropek, kwadraty od kół, a koła od owali. Ale nie przypisywał żadnego znaczenia formom geometrycznym, o ile nie miały go z natury, i nawet by nie umiał. Po prostu miał rozwinięty zmysł porządku. Czuł się dobrze, gdy papiery i pióra na jego biurku leżały prosto, a nie krzywo. Doceniał pewne budynki, które widział z tramwaju w drodze do ministerstwa, bo miały proste, surowe fasady, albo dlatego że układ sześciu rzędów po sześć okien odpowiadał jego zamiłowaniu do regularności. Fernando zawsze dążył do perfekcji, szukał powtarzających się wzorów w ludzkich zachowaniach i poddawał się tylko logice nauk ścisłych. Dopóki w jego życiu nie pojawiła się Juju. Jedyne ona zakłócała dokładnie wyważony układ zębatek, uspokajającą jednostajność dnia codziennego.

Podczas ich ostatniego spotkania naprawdę szalała z wściekłości, ponieważ na trzy tygodnie przed ustaloną datą narodzin dziecka opowiedział jej o piątej ciąży żony. Popęłnił niewybaczalny błąd, twierdząc, że nie sypia już z Elisabete. Ale jak wytłumaczyć Juju, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim, że jedno jest obowiązkiem, a drugie lekiem, jedno domowym obiadem, a drugie wyszukany przysmakiem? Mężczyzna nie mógł się przecież ograniczać do tego, by tylko raz na kilka tygodni zaspokajać fizyczne potrzeby.

Juju zła była również dlatego, że ostatnio nie udawało mu się dotrzymać terminu ich umówionych spotkań. Ale chyba naprawdę nie oczekiwała, że dla niej zrezygnuje ze swej niewiarygodnej kariery, prawda? Fernando miał wysokie notowania u rządzącego obecnie Portugalią Antoniego de Oliveiry Salazara i nie mógł sobie pozwolić na to, by nie stawić się na choćby jednym zebraniu. Otrzymał niepowtarzalną szansę udowodnienia, z jakiej gliny jest ulepiony, zostania niezastąpionym doradcą, a pewnego dnia może nawet ministrem obrony. Przecież nawet Juju musiała to rozumieć.

Mimo to wybuchy wściekłości Juju poruszały Fernanda - bardziej, niż powinny. Co to ma znaczyć? Dla niej poświęcił swój honor, zranił żonę tak głęboko, że nigdy tego nie naprawi, zaniedbał dzieci, nawet lataniu poświęcał mniej czasu i wyzbył się dumy. A ona obarcza go swymi stosunkowo nieważnymi problemami. Zarzuty drażniły Fernanda. Rozmyślał o nich, podczas gdy powinien poświęcić więcej uwagi raportowi o niemieckich zbrojeniach. Widział zaczerwienioną z oburzenia twarz Juju, choć lepiej byłoby skupić się na sytuacji politycznej na świecie, która zaczynała być groźna. Boże, zanosi się na kolejną wojnę światową, a on łamie sobie głowę nad jakąś kobietą, daje sobie wmówić wyrzuty sumienia, choć przecież to ona jest naprawdę wszystkiemu winna!

Będzie musiał z nią o tym porozmawiać. Zachowywała się jak jakaś furia, a Fernando nie zamierzał tego tolerować. Juju nie miała prawa niby zazdrosna żona kontrolować każdego jego kroku tylko dlatego, że ich romans trwa już sześć lat i łączy ich bliższa więź niż ze swoimi małżonkami. Dziś wieczorem przeprowadzi z nią stosowną rozmowę - nie da się wyprowadzić w pole żadnym wyrafinowanym manewrem z tych, jakie zwykle wobec niego stosowała. Porozmawia z Juju tak samo, jak rozmawiał z przełożonymi i podwładnymi - rzeczowo, surowo, rozsądnie, chłodno.



Fernando spojrział na akta, które przed nim leżały i które powinien opracować do jutra. Salazar oczekiwał od niego sprawozdania i oceny sytuacji. Nie miał czasu na spotkanie z Juju, ale jeszcze raz dał się namówić przynajmniej na bica w kawiarni. Był głupcem! Już wcześniej wiedział, że czeka go dużo pracy, a teraz wyglądało na to, że przed północą nie wróci z biura. Nie miał głowy do przerwy na kawę, czuł jednak, że powinien stawić się na spotkanie. I to lepiej punktualnie. Spojrzął na zegarek. Ma jeszcze dwie godziny. No dobrze.

Juju siedziała przed toaletką i dokładnie studiowała każdą zmarszczkę na swej twarzy. To straszne, co wiek robi z człowiekiem. Po obu stronach od nosa do kącików ust ciągnęły się dwie fałdki, które, jak uznała, nadawały jej ponury wygląd, nawet gdy była w wyjątkowo dobrym nastroju. Najwyraźniej nikt poza nią nie zauważał owych zmarszczek, jej siostra Isabel posunęła się nawet do przesadnego stwierdzenia, że Juju stanowi wcielenie młodości. Co za nonsens. Isabel jeszcze nigdy nie wybrała się na zakupy z nią i Laurą. Nie chciała widzieć, jak mężczyźni oglądają się nie za Juju, ale za jej córką.

Juju odsłoniła zęby w sztucznym uśmiechu. Gdy się śmiała, z jej twarzy zniknął ten brzydki, zgorzkniały wyraz - ale z kolei drobne zmarszczki wokół oczu tworzyły siatkę, z którą wyglądała jak staruszka. To było okropne, a będzie jeszcze gorzej. Miała dopiero trzydzieści dziewięć lat. Jak będzie wyglądać za dziesięć? Albo jako osiemdziesięciolatka? O Boże! Szybko odepchnęła smutne myśli i skupiła się na przywracaniu twarzy nieco młodzieńczego blasku za pomocą pudru, kredki do oczu i szminki.

Wyrwała trzy siwe włosy, które w wyniku porannej inspekcji odkryła na głowie i które odstawały jak druty, jakby należały do zupełnie innego rejonu ciała. Wiecznie nie da się tak robić - bo nic jej nie zostanie na głowie i będzie wyglądać jak biedna dona Florinda z księgarni na rua Garrett. Ale dobrze, włosy można ufarbować. I oczywiście to robi. Przy dziesiątym siwym włosie, jaki odkryje, ostatecznie skończy z wrywaniem.

Uporawszy się z makijażem, Juju zajęła się strojem. W jasnoniebieskiej bluzce było jej do twarzy, jak we wszystkich jasnych kolorach wyglądała w niej młodziej i radośniej. Ale co do tego włożyć? Ciemnoszary kostium? Był nieco zbyt uroczysty jak na tę okazję. Przecież wypije tylko kawę ze „starym znajomym”. Nie, lepsza będzie beżowa sukienka.

Jednak gdy Juju włożyła sukienkę, przestała się sobie w niej podobać. Wycięcie było zbyt głębokie, choć, jak sobie przypomniała, z tego właśnie powodu ją kupiła - najwyraźniej w przyływie śmiesznie wysokiej samooceny. Jak to będzie wyglądało, gdy odsłoni pokryty piegami i już nie idealnie gładki dekolt? Na Laurze sukienka wyglądałaby porywająco, ale ona na pewno by jej nie chciała. Styl córki tak bardzo różnił się od stylu matki, że było to niemal przykre.

Wreszcie Juju zdecydowała się na czarną spódnicę i jasnoniebieską bluzkę. Do tego założyła perły. Włosy upięła w elegancki kok, a stwierdziwszy, że wygląda w nim jak stara wrona, wyciągnęła z niego kilka pasemek. Loczki wokół twarzy nadawały jej dziewczęcy urok. A może nie? Może wygląda głupio, jak stara wrona, która postanowiła udawać młodą turkaweczkę? Juju wzięła dwie spinki i z powrotem podpięła luźne kosmyki.

Co właściwie skłoniło ją do robienia takiego zamieszania? Spotka się z Fernandem, tak jak spotykała się z nim już niezliczone razy. Znał ją od dzieciństwa. Znał ją bez makijażu i ubrania. Znał ją w zakurzonych spodniach i rozczochraną. Znał ją na wskroś - a przynajmniej jej ciało. Juju wątpiła, czy kiedykolwiek zajrzał aż na dno jej duszy. I dlatego nigdy nie zrozumie, dlaczego postawiła sobie i jemu takie ultimatum.

Oczywiście nigdy by tego tak nie nazwała: „Jeśli dziś nie przyjdiesz, możesz już nigdy nie przychodzić”. Ostatnio dostatecznie wyraźnie dała mu odczuć, jak bardzo jej na tym zależy. Krzyczała, groziła i wywierała na niego presję. Miała dość. Nie chciała dłużej grać w jego życiu drugich skrzypiec. Albo trzecich. Najpierw obowiązek wobec ojczyzny. Potem małżonka dona Elisabete. A potem ona. Nie, tak dłużej być nie może.

- Luizo! - zawołała na pokojówkę. - Czy mój biały szal został już wyprany?

Wkrótce usłyszała na korytarzu drobne kroki Luizy, a potem dyskretne pukanie.

- Tak, tak, wejdz. No więc czy mogę dostać szal? Luiza przybrała skruszony wyraz twarzy.

- Przepraszam, dono Juliano. Przez nieuwagę wpadła mi do prania czerwona bluzka i...

- Co?! Mów dalej! Pomyślałaś, że zabierzesz sobie różowy szal do domu?

Luiza skinęła głową przygnębiona.

- Słuchaj, za długo już na to pozwalam. Albo jutro dostanę szal z powrotem, w dowolnym kolorze, albo możesz z szalem na szyi iść do opieki społecznej i ustawić się tam w długiej kolejce. Czy wyrażam się jasno?

Luiza przybrała taką minę, jakby walczyła ze łzami. Skinęła głową, ale rzuciła swej pani przebiegłe spojrzenie. Juju zauważyła je, ale była tak zdenerwowana, że wszelkie groźne gesty bezczelnej służącej stały się jej obojętne. Miała tego po dziurki w nosie. To musiało się skończyć. Natychmiast.

- Chciałaś mi jeszcze coś powiedzieć? - fuknęła.

- Nie, myślałam tylko, że jeśli senhora chce zrezygnować z moich usług, czego nie umiem sobie wytłumaczyć po wszystkich latach wiernej i dobrej pracy, to powinnam może zapytać kuzyna mojego męża, redaktora Mota da Costę z „Gazeta Popular”, czy nie potrzebuje uważnej pomocy domowej.

Oho! No to wszystko jasne. Juju spojrzała w złośliwe oczy Luizy. W mgnieniu oka jej ochota do kłótni się rozviała i ustąpiła miejsca cichej wściekłości. Jeśli stare zdjęcie kiedykolwiek ukaże się w prasie, będzie to koniec kariery Fernanda. Na fotografii aż nazbyt wyraźnie było widać, że nie są po prostu przyjaciółmi. Wyglądali jak para zakochanych. Przynajmniej Juju sądziła, że tak było - ostatni raz oglądała zdjęcie dawno temu.

- Rany boskie, Luizy, nie rób takiej sceny. Po prostu przynieś mi szal, w różowym też mi do twarzy, a potem o wszystkim zapomnimy.

Luiza skinęła głową, zamarkowała dyg i opuściła pokój jak wcielenie posłuszeństwa. Juju wiedziała, że już nigdy nie ujrzy szala. I wiedziała też, że na pewno nie został zafarbowany. W nagłym ataku nieopanowanej nienawiści Juju chwyciła rozpylacz do perfum i rozbiła go o ścianę. Zapach towarzyszył jej w drodze do kawiarni i czuła go, gdy siedziała przy stoliku i nad filiżanką bica. *La vie en rose*. Wyjątkowo trafne powiedzenie.

Antonio Saraiva uderzył młodego Francisca. Chłopak nie chciał jemu, głównemu kelnerowi, oddać swojej części napiwków. Franciscowi wyraźnie brakowało szacunku dla starszych oraz zrozumienia zasad i praw gastronomii. Przynajmniej takich jak kiedyś. Antonio jako młody chłopak musiał dzielić się napiwkami ze starszym kelnerem. Oczywiście istniały sposoby, by dodatkowe zarobki wydawały się bardzo niewielkie.

On sam szybko to pojął - z dziesięciu escudo sześć chował do tajnej wewnętrznej kieszonki kamizelki i dzielił się tylko czterema. Ale młody Francisco był za głupi nawet na takie sztuczki. Nie okazał się też dobrym kelnerem. Brakowało mu sprawności i obrotności zarówno fizycznej, jak i umysłowej. Przy więcej niż dwóch zamówieniach musiał wyciągać bloczek, by wszystko zanotować, a wydając resztę, mylił się zawsze na korzyść klienta. Nie, chłopak nie przynosił pożytku lokalowi, a jeszcze mniej samemu Antoniowi. Nie zostanie tu długo.

Przekazawszy chłopakowi wyraźnie swoją opinię, Antonio obserwował, jak Francisco udaje się na salę i tam przyjmuje zamówienie przy stoliku numer siedem. Najchętniej pobiegłby za nim i kopniakiem w tyłek zmusił do większego pośpiechu i przybrania lepszej postawy. Potem nagle rozpoznał siedzącego przy stoliku gościa. Była to piękna dama, która oczarowała Antonia na początku jego pracy w A Brasileira. Ile to już lat temu! Z pewnością dziesięć, jeśli nie więcej. Ostatnio bywała tu częściej, czasami sama, czasami w towarzystwie wojskowego, który wydawał się kelnerowi skądś znany, a czasami w towarzystwie innej damy w jej wieku. Dziś jednak bardziej niż kiedykolwiek przypominała Antoniowi o tym pierwszym razie. Spoglądała równie smutno jak wtedy i zamyślona śledziła wzrokiem kółka dymu, ulatujące z jej zmysłowych, czerwonych ust.

Dama niewiele się zmieniła. Mogła mieć około czterdziestu lat, ale nadal wyglądała bardzo pięknie. Bardzo uwodzicielsko. Miała teraz inne, dłuższe włosy niż w latach dwudziestych, także strój dostosowała do obowiązującej mody i włożyła krótszą spódnicę. A jednak wciąż, a może nawet bardziej niż wcześniej, roztaczała aurę kobiety z przeszłością, którą Antonio Saraiva uważał za tak pociągającą. Antonio wyrwał biednemu Franciscowi bloczek z zamówieniami z szorstkim wyjaśnieniem: „Tę damę obsłużę ja”. Potem kazał przy ladzie podać kawę i koniak i pospieszył do stolika. Postawił napoje i spytał:

- Czy łaskawa pani życzy sobie czegoś jeszcze?

Niecierpliwie bawiła się papierośnicą. Wyjęła jeden z długich papierosów i pozwoliła podać sobie ogień. Otoczyła dłonią rękę kelnera, jakby dla ochrony płomienia przed nieistniejącym wiatrem, co ośmieliło Antonia do rzucenia jej gorącego spojrzenia.

- To wszystko, dziękuję - powiedziała i dopiero teraz Antonio uprzytomnił sobie, że ta scena odbyła się już kiedyś dokładnie w ten sam sposób. Choć nie znał wytwornego francuskiego określenia na to

odczucie, doświadczył déjà vu. W wysokim ściennym lustrze napotkał spojrzenie kobiety i zobaczył, że ona również właśnie dokonała tego nagłego odkrycia. Uśmiechnął się do niej, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi. Szczęśliwy Antonio poszybował do baru, gdzie stał głupkowato uśmiechnięty Francisco i bezczelnymi pytaniami oderwał go od pięknych myśli.

Juju spojrzała na zegarek. Czekala już dwadzieścia minut. Piła drugą filiżankę kawy i drugi koniak, i z pewnością paliła trzeciego papierosa. Jeszcze dziesięć minut. Jeśli Fernando się nie zjawi, pójdzie do domu - i niech nigdy więcej nie pokazuje się jej na oczy. Sączyła koniak i czuła ciepło spływające po gardle. W przyszłości, myślała niewesoło, pozwoli wzdychać do siebie kelnerom i pić alkohol - to będzie jej jedyną pociechą.

Co też ten Fernando sobie myśli? Przecież właściwie poświęciła dla niego życie. Dla niego wstąpiła w związek małżeński z Ruim. Dla niego posłała dzieci do szkół z internatem. Dla niego pozwala się tyranizować pokojówce. Jej samej jest całkowicie obojętne, czy zdradziecka fotografia kiedykolwiek ujrzy światło dzienne. To o karierze Fernanda myśli, broni jego opinii i honoru. A on jak jej dziękuje? Każąc jej tu siedzieć jak uciążliwej wielbicielce, której od dawna chce się pozbyć. O nie, z nią się tak nie postępuje!

Fernando opracował pierwszą teczkę niewiarygodnie obszernych akt i zastanawiał się, czy potrafi dłużej znieść rozwlekłe wycpiny. Do diabła, pewnego dnia Portugalia udusi się pod ciężarem pism, które sformułowali jacyś biurokraci z fatalnym zamiłowaniem do rozbudowanych zdań. Żałośni autorzy leżących przed nim dokumentów potrzebowali stu pięćdziesięciu stron na to, na co on sam przeznaczyłby najwyżej dziesięć. I z pewnością nie rozpisywałby się tak pompatycznie jak ci bufoni. Tak, teraz rzeczywiście przyda mu się przerwa na kawę. Lecz jedno spojrzenie na ścienny zegar ścięło mu krew w żyłach. Rany boskie, zmarnował na te bzdury ponad dwie godziny! Nawet jeśli będzie teraz biec jak o życie, nie zdoła stawić się na spotkanie punktualnie.

Narzucił płaszcz, pospiesznie przekazał sekretarzowi kilka wskazówek i, ledwie wyszedł z budynku, ruszył biegiem. Miał dobrą kondycję i biegł szybko. W każdym razie szybciej, niż pokonałby ten odcinek jego szofer

lub tramwaj. Wpadł w rytm i liczył poszczególne kroki. Monotonne liczenie uspokajało go. Nie pozwalało mu myśleć o innych rzeczach. Na przykład o tym, co się stanie, jeśli nie zostanie już Juju w kawiarni. Miał głębokie przeczucie, że tym razem naprawdę weźmie mu to za złe i jakoś go ukarze, na przykład nie pozwalając na dalsze spotkania. Fernando biegł jak szatan.

Po dwa stopnie naraz wbiegał po schodach między Rua do Crucifixo i Rua Nova do Almada, a stamtąd na Rua Ivens. Przeszkadzało mu, gdy liczba stopni się nie zgadzała i musiał na koniec pokonać tylko jeden schodek. Nieparzyste liczby stanowiły niepotrzebne utrudnienie. Gdy znalazł się na górze, oddychał ciężko. Uff, nie jest już tak wytrzymały jak w młodości. Otarł drobne krople potu z warg i czoła. Nie chciał wpaść do kawiarni A Brasileira jak wariat.

Ale jego starania o odpowiednie wejście okazały się daremne. Juju już wyszła. Fernando spojrzął na zegarek. Spóźnił się trzydzieści pięć minut. Wiedział, że tu była. Nawet dość niedawno - powiew la vie en rose nadal słabo unosił się w powietrzu pośród intensywnej mieszanki zapachu kawy i papierosowego dymu. Wyczerpany Fernando opadł na krzesło i zamówił garoto escuro, espresso z niewielką ilością mleka. Gdy kelner o okrągłej twarzy, sprawiający wrażenie dość tępego, spytał go, czy życzy sobie do tego kawałek ciasta, Fernando bezwiednie pokręcił głową. Myślami był gdzie indziej. Nagle z bolesną jasnością uświadomił sobie to, co powinien dostrzec już lata temu - Juju była w jego życiu liczbą pierwszą.

Podzielną tylko przez siebie i przez jeden. A nigdy przez dwa.

1939-1950.

## Rozdział Dwudziesty Piąty.

Powinien popłynąć „Serpa Pinto”. Statek wkrótce zawinąłby do Nowego Jorku, a tam on sam nie tylko byłby bezpieczny, ale pewnie także zdołałby załatwić rodzinie wizę i zdobyć pieniądze. Tu, w Lizbonie, powoli robiło się niebezpiecznie. Po mieście krążyło już zbyt wielu uchodźców, a zbyt wielu biurokratów upatrywało w beznadziejnej sytuacji szansę na powiększenie swego zapasu gotówki. Pracy nie było -w każdym razie nie dla cudzoziemców wyłącznie z wizą tranzytową. Obie te rzeczy nie dotyczyły Antonia Coelho Lisboy.

Mimo to Jakob Waizman nie czuł się pewnie z paszportem zmarłego Antonia, do którego przepłacany fałszerz wkleił jego własne zdjęcie. Jakob przez kilka minut stał na nabrzeżu, spoglądał na ożywiony ruch statków na Tejo i zmuszał się do spojrzenia faktom w oczy. Statek, na którym z dużym trudem zdobył miejsce, odpłynął. Zamiast Jakoba popłynął nim starszy mężczyzna, który zapłacił mu za bilet trzy razy tyle, ile wcześniej sam Jakob. Nie warto było żałować tej okazji. Teraz musiał zrobić wszystko, by sprowadzić rodziców ze Szwajcarii, gdzie z turystyczną wizą nie mogli pozostać dłużej, i przekonać siostrę, że we Francji nie jest bezpieczna. W każdym razie dysponował teraz większą sumą pieniędzy.

Jakob inaczej wyobrażał sobie marzec 1939 roku. Miał nadzieję, nie, pewność, że po ukończeniu konserwatorium znajdzie zatrudnienie u Filharmoników Berlińskich. Marzył o tym, by jako solista zdobyć sławę i bogactwo. Był jednym z najbardziej utalentowanych skrzypków swego pokolenia i wierzył, że nic nie stoi na przeszkodzie jego błyskotliwej karierze muzycznej. Nie brakowało mu pewności siebie i zuchwałości. Dopóki brunatny motłoch nie spustoszył apteki rodziców Jakoba. Dopóki nie został wydalony z konserwatorium. Dopóki jego dziewczyna Helga nie odmówiła dalszego pokazywania się z nim publicznie.



Sześć minionych lat było okropnym okresem, który kosztował Jakoba niemal całą pewność siebie. Wstrząśnięty obserwował na samym sobie, jak szybko okoliczności czynią z cudownego dziecka chłopca do bicia, jak niewiele potrzeba, by opuścić arogancko uniesiony podbródek i poruszać się już w przygarbionej pozycji. I jak naziści dokonali czegoś, co nigdy nie udało się jego ojcu - zmusili Jakoba Waizmana, by stawił czoło swemu żydowskiemu pochodzeniu.

O ile wcześniej identyfikował się z tak wieloma sprawami - czuł się, i to w tej kolejności, mężczyzną, Niemcem, skrzypkiem, socjalistą i kibicem Herthy bardziej niż Żydem - o tyle szaleństwo krajanów zredukowało jego przekonania do przynależności religijnej. Właśnie Jakoba, który nigdy nie chodził do synagogi i chętnie jadł kanapki z szynką, który poza „szalom” nie znał prawie żadnego słowa po hebrajsku, określono jako „Izraelitę”.

Teraz, w wieku dwudziestu siedmiu lat, Jakob wiedział, że to wszystko naprawdę nie ma znaczenia. Przeżycie w najmniejszym stopniu nie zależało od religii czy narodowości. Jedynym, co się liczyło, były papiery i pieczętki. Paszport i wiza. Wiza na wjazd, wyjazd, przejazd i wiza turystyczna, ważna przez ileś dni lub tygodni, a potem się zobaczy. Kto nie zdołał w wyznaczonym czasie dotrzeć do następnej granicy, ten musiał od początku przechodzić drogę przez mękę w europejskich urzędach.

Jakob wsiadł w Cais do Sodre do tramwaju jadącego na dworzec Rossie. Miał jeszcze kilka godzin do lekcji z kolejnym uczniem, pulchnym trzynastolatkiem, któremu w ogóle nie podobała się gra na skrzypkach, ale którego matka niewzruszenie wierzyła w jego talent. To także było Jakobowi obojętne. Początkowo uszy mu wiodły, a serce krwawiło, gdy słyszał, jak wszystkie te rozpuszczone, nieutalentowane dzieci katują Vivaldiego. Dziś cieszył się, że w ogóle znalazł stosunkowo pewne źródło dochodów.

W Rossio jak zwykle panował ruch. W hali tłoczyło się mnóstwo ludzi o zaszczutych spojrzeniach. Emigrantów takich jak on. Do uszu Jakoba docierały niemieckie, angielskie, hiszpańskie, włoskie, francuskie, holenderskie i polskie urywki zdań obok portugalskich przekleństw i głośnych okrzyków. Portugalczyków można było najpewniej rozpoznać po tym, że nie ścisiali głosu - kolejna z nauk, którym Jakob zawdzięczał życie. Mówił po portugalsku już bez obcego akcentu, a im głośniej gadał, tym mniej zwracał na siebie uwagę. Nikomu nie przychodziło

do głowy, że może nie być Antoniem Coelho Lisboa, jak było napisane w jego paszporcie.

Jakob przespacerował się trochę, porozmawiał z podróżnymi i zebrał informacje o aktualnej sytuacji we Francji, po czym postanowił przed wykańczającymi nerwowo zajęciami usiąść jeszcze w Pastelaria Suica i przeczytać „Diario de Noticias”. Na ławce tuż przy wyjściu wpadła mu w oko młoda kobieta, wyjątkowo ładna i całkowicie skoncentrowana na wykonywanym rysunku. Szybkimi ruchami szkicowała węglem powitanie dwojga obszarpanych ludzi. Jakob przystanął na chwilę obok ławki i spoglądał artystce przez ramię. Uznał jej rysunek za bardzo udany. Miała dobre wyczucie detali, które umknęłyby zapewne innym obserwatorom sceny - rozbiegane, puste spojrzenia pary, wytarty płaszcz mężczyzny, toporne buty kobiety, skromna tekturowa walizka.

Nagle młoda kobieta uniosła wzrok znad bloku rysunkowego.

- Chciałby pan może zobaczyć pozostałe szkice? - spytała tonem oscylującym między flirtem a naganą.

- Koniecznie chce mi je pani pokazać? - odparł Jakob idealnym portugalskim.

Młoda kobieta zmieszała się trochę.

-Jest pan Portugalczykiem? Sądziłam, że...

- Tak?

- No cóż, że jest pan emigrantem. Może Żydem.

- Tak pani zdaniem wyglądam?

- Teraz tak nie uważam. Ale wcześniej... - Przewróciła dwie strony w bloku i bez słowa pokazała Jakobowi szkic.

Widział na nim młodego mężczyznę o zapadniętych policzkach, w niedopasowanej marynarce, z cieniem zarostu i bardzo wydatnym nosem, z pełnymi, ale zaciśniętymi ustami i nieufnym spojrzeniem. Żyd wieczny tułacz, jak z książki.

- Nie sądzi pani, że niepotrzebnie mnie pani postarzyła? - Jakob uśmiechnął się do artystki z nadzieją, że nie dostrzegła jego przerażenia. Jeśli choć trochę przypomina mężczyznę na rysunku, musi jeszcze mocno popracować nad sztuką maskowania się.

- Gdy się pan uśmiecha, wygląda pan znacznie młodziej.

- Czy mogę panią zaprosić na kawę? - Jakob uznał młodą kobietę za czarującą, a jeśli w minionych latach nauczył się czegoś, to że nie powinno się niczego odkładać na później.

- W zasadzie nie umawiam się z obcymi mężczyznami, których nawet nie znam z nazwiska.

- Antonio Coelho Lisboa - powiedział, skłaniając się lekko. - A z kim mam zaszczyt?

- Laura da Costa. - Po krótkiej przerwie dodała: - Sądzę, że dobra, mocna bica byłaby teraz bardzo odpowiednia.

W Pastelaria Suica zajęli miejsce przy stoliku tuż obok przejścia. Kąty i nisze były znacznie bardziej podejrzane, to Jakob wiedział. Jeśli rzeczywiście niemieccy szpiedzy lub ich portugalscy pomocnicy z tajnej policji Salazara mieliby tu szukać nielegalnych uchodźców, gości przy środkowych stolikach nie obserwowaliby nawet w połowie tak uważnie jak tych w głębi.

- Jest pani z zawodu artystką? - spytał swą towarzyszkę.

- Tak. Ale do tej pory bez większych sukcesów na koncie.

- Na pewno wkrótce przyjdą. Uważam pani rysunki za wspaniałe.

- To pierwszy raz, gdy wypowiedział pan zdanie twierdzące. Do tej pory na wszystkie pytania odpowiadał pan pytaniami.

- Niezupełnie. Przecież powiedziałem pani, jak się nazywam, prawda?

- Widzi pan, znowu pytanie.

- Jest pani dobrą obserwatorką.

- A pan dobrym kłamcą.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Bo pytania to najelegantsza metoda, by się nie zdradzić.

- Ależ proszę, menina Laura, ja...

- Laura. Niech pan, proszę, daruje sobie „panna” i nazywa mnie po prostu Laurą.

- Dobrze, Lauro. Niech mi pani zada wszystkie pytania, które cisną się pani na usta. Im więcej, tym lepiej - bardzo mi pochlebia, że okazuje mi pani tyle zainteresowania.

Jakob uznał, że Laurze wyraźnie brak taktu. Żyli w czasach, w których takie swobodne wypytywanie graniczyło z atakiem fizycznym. Mimo to nie będzie miał problemu z odpowiedzią na pytania o fikcyjną przeszłość. Zadbał o każdy szczegół, nauczył się na pamięć rzekomych układów rodzinnych i wymyślił także odpowiednie anegdoty. Obejrzał nawet szkoły podstawowe i place zabaw w Lizbonie, by wiarygodnie opisać swe dzieciństwo i młodość.

- Często zaprasza pan nieznanym kobietom na kawę? - spytała Laura.

- A czy pani zawsze chodzi na kawę z nieznanymi, którzy panią zapraszają?

Laura i Jakob popatrzyli sobie głęboko w oczy; wiedzieli, że zadadzą sobie jeszcze bardzo wiele pytań.

Następnego dnia Laura obudziła się z radosnym niepokojem w sercu. Ponownie umówiła się z młodym mężczyzną, który przedstawił się jako Antonio Lisboa. Było w nim coś wzruszającego, czego nie potrafiła dokładnie wyrazić ani określić. Nie wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie, choć zwykle zwracała na takie rzeczy uwagę. Przeciętnego wzrostu, miał asymetryczną twarz, gęste, czarne włosy, ostrzyżone krótko jak u żołnierza, a na policzkach blizny po trądziku. Ale zachowywał się szarmancko, miał przepiękny głos, a w jego ruchach i słowach było jednocześnie wyzwanie i ostrożność. Jeżeli, jak przypuszczała, był żydowskim emigrantem, to naziści nie złamali go w takim stopniu, jak to obserwowała u innych uchodźców.

Dziś wybierali się razem na obiad. Laura od dwóch lat mieszkała w mansardzie w dzielnicy Alfama, gdzie próbowała stanąć na nogi jako artystka. Na razie nie odnosiła sukcesów i utrzymywała się z tego, że przez trzy dni w tygodniu w pracowni azulejo malowała na zamówienie kafle dla turystów. Doprawdy, ludziom przychodziły do głowy najbardziej zwariowane pomysły. Niedawno pewien Amerykanin zamówił u niej zestaw kafli, na których miała wypisać „Mom for President” i ozdobić hasło tradycyjnym niebiesko żółtym szlaczkiem. Fuj, do diabła! Ale czego się nie robi dla pieniędzy?

Laura była zadowolona, że Antonio znów ją zaprosił. Mimo to nieco mu współczuła, bo nie wyglądał na kogoś, kto mógł sobie pozwolić na większe wydatki. zaproponowała więc skromny lokal, mało znany wśród turystów i emigrantów, ale o bardzo przystępnych cenach. Podawano tam wspaniałe dania rybne z grilla i przyzwoite wino stołowe.

Najpierw musiała jednak wypełnić niemiły obowiązek. Dziś przed południem matka miała jej pozować - w przypiływie poświęcenia Laura zgodziła się namalować jej portret. „Po co ci właściwie portret?”, spytała potem, a matka odpowiedziała zadziornie: „Może chcę go komuś podarować”. Ha, pomyślała Laura, powiedziała tak zapewne tylko dlatego, by wydać się ważną. Kto chciałby zabiegać o kobietę, która za miesiąc skończy czterdzieści siedem lat? I jakie trzeba mieć ego,

by w tym wieku dawać się jeszcze portretować? Ale dobrze, obiecała, więc uda się na Rua Ivens i jak najszybciej odbędzie uciążliwe posiedzenie. I tak nie będzie potrzebować dużo czasu. Znała twarz matki równie dobrze jak własną, która przypominała ją tak bardzo, że czasem to aż bolało. To przykre wiedzieć, jak będzie się samemu wyglądać za ćwierć wieku.

Posiłek, a raczej rozmowa, która mu towarzyszyła, początkowo przebiegała oporniej, niż Laura zakładała. Wstydziała się teraz za swoje naiwne i nazbyt śmiałe pytania poprzedniego dnia, próbowała więc omijać wszelkie tematy choć odrobinę związane z wojną, faszyzmem i światową polityką. Pytania o pochodzenie Antonia, jego rodzinę i tym podobne również nie wchodziły w grę. Co zostawało?

Przez pierwszy kwadrans właściwie mówiła tylko ona, rozpaczliwie starając się nie dopuścić do przygnębiającej ciszy. Jednak również Laura miała wiele do ukrycia. Nie chciała, by Antonio lub ktokolwiek inny dowiedział się, że jej ojciec jest niezwykle bogatym producentem porto, a matka elegancką damą, która przez cały dzień nie ma do roboty nic poza wydawaniem pieniędzy na elegancką bieliznę z Paris em Lisboa lub zbędne sprzęty domowe z domu towarowego Loja da America i picie z innymi znudzonymi małżonkami „białej herbaty” - wina lub jasnego porto - z delikatnych porcelanowych filiżanek.

Nikt nie powinien jej osądzać na podstawie czegoś, czego sama sobą nie reprezentowała, albo cenić za zalety inne niż jej własne - poczucie humoru, sztukę, liberalne poglądy. Opowiadała więc Antoniowi o życiu w dzielnicy Alfama. O braku prywatności, bo tyle osób mieszka razem na niewielkiej przestrzeni, o kłótniach kobiet na ulicach i bójkach między pijanymi mężczyznami, o tysiącach bezdomnych kotów i psów, nocą zakradających się do śmietników, ale także o szczodrości mieszkańców, którzy pomagali sobie jak tylko mogli, i o swobodnym nastroju na ulicach, gdy obchodzono uroczystość świętego Antoniusa.

- Santo Antonio, pański patron. To opiekuńczy święty Lizbony.
- Co pani powie? - Jakob spojrział na Laurę przebiegle. - Jakbym sam najlepiej o tym nie wiedział.
- Oczywiście. Przepraszam. Ja... ach, po prostu mówię za wiele bez zastanowienia.
- Więc należy pani do szczęśliwych.

I proszę - stało się. Sprowokowała Antonia do wypowiedzi, którą się zdradził.

- Ale teraz niech pan opowie - najlepiej o czymś, co pan dokładnie przemyślał. Niezbyt często przebywam w towarzystwie ludzi inteligentnych.

I Jakob opowiadał. Nie kłamał, ale tak naginał prawdę, że jego opowieść brzmiała całkiem koszernie. Mówił, że przez dłuższy czas mieszkał u bliskich krewnych w Szwajcarii i tam nauczył się płynnie mówić po niemiecku. Wspomniał o siostrze, która przebywa we Francji i której jako asystentce reżysera teatralnego trudno jest stanąć na nogi. Zabawiał Laurę prawdziwymi anegdotami o gwiazdorskich manierach wirtuozów skrzypiec i dyrygentach-tyranach, o rachitycznych trębaczach i opanowanych żądzą sławy tenorach.

Laura rozkoszowała się rozmową, dobrze wiedząc, że żadna z tych zabawnych historii nigdy nie przydarzyła się w Portugalii. Tylko to, co Antonio opowiadał o swoich uczniach, mogło z dużym prawdopodobieństwem dzieć się w Lizbonie. Dobrze pamiętała swego młodszego brata i jego katastrofalne lekcje gry na skrzypcach. Po kilku miesiącach matka cierpiała równie mocno jak sam Paulinho - teraz horrendalnie drogie skrzypce leżały pewnie gdzieś w ciemnym kącie salonu i pokrywał je kurz.

- Jeśli pan chce, mogę panu pożyczyć dobrze zachowanego cavallego - zaproponowała. - Swoje skrzypce mógłby pan zostawić dzieciom do sadystycznych palcówek.

- Nie są pani potrzebne? Mogłaby pani je sprzedać. - Antonio był poirytowany. Skąd Laura ma instrument słynnego lutnika? Jednak chociaż niczego nie pragnął goręcej niż zagrać na skrzypcach Astride Cavallego, odrzucił ofertę.

- Bardzo dziękuję, to z pani strony wyjątkowo wielkoduszne. Ale większość uczniów ma własne skrzypce. Rodzice sądzą chyba, że zakup drogiego instrumentu to już połowa sukcesu.

Laura roześmiała się. Tak, dokładnie tak u nich było, ze wszystkim. Jej rodzice do dziś nie pojęli, że drogi rasowy koń nie czyni światowej sławy jeźdźca, wysokiej klasy rakietą tenisowa - asa na korcie, a fortepian Steinwaya - wybitnego pianisty. Braku pasji nie dało się zastąpić luksusowymi akcesoriami. Z drugiej strony talent lub kielkujące zainteresowanie można było bardzo wesprzeć tym, że kupowało się dzieciom piękne przybory. Ona sama bez sztalug, płócien i drogich farb - które

otrzymywała nie od rodziców, lecz od ciotki Mariany - pewnie nie została wierna sztukom pięknym.

Oczywiście nie mogła o tym wszystkim opowiedzieć Antoniowi. Zamiast tego uśmiechnęła się i spojrzała mu głęboko w jasnobrązowe oczy, lśniące nawet w cieniu parasola, pod którym siedzieli. Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej wydawał się jej atrakcyjny. Laurze nie przeszkadzały już nawet blizny po trądziku. Nadawały mu surowy, męski urok. Pochyliła się nad stołem, jakby chciała coś wyszeptać. Antonio również się zbliżył.

- Ma pan bardzo charakterystyczną twarz - powiedziała Laura, starając się nadać swemu głosowi zmysłowe brzmienie. - Chętnie bym pana namalowała. Czy zechciałby pan mi pozować?

Jakob przełknął ślinę. Nie był przyzwyczajony, by kobieta składała mu tak jednoznaczne propozycje. Odchrząknął i już miał coś powiedzieć, ale Laura go uprzedziła.

- Tylko niech pan nie patrzy z takim oburzeniem. Chcę pana tylko namalować. I wyłącznie pańską twarz. - Ponownie oparła się na krześle i spojrzała na jego dłonie, które nerwowo składały serwetkę. - No, może także pańskie dłonie.

Pierwszy raz pozował jej kilka dni później, w Miradouro da Graca, punkcie widokowym tuż poniżej kościoła Graca. Spotkali się wczesnym rankiem, ponieważ Laura chciała, by wstające słońce oświetlało modela, którego chciała namalować na tle centrum miasta na zachodzie. Antonio wydawał się sobie zdecydowanie śmieszny, gdy tak siedział w porannym słońcu. Nie wiedział, jaki przybrać wyraz twarzy, a im dłużej Laura go obserwowała, tym bardziej stawał się niepewny. Wydawało mu się, że mięśnie twarzy nie chcą go słuchać. Poza tym oślepiało go słońce. Zaciskał oczy i dla poprawienia nastroju rzucił kilka w zamierzeniu dowcipnych uwag. Laura jednak poleciła mu, by milczał i siedział nieruchomo. Co jakiś czas lekko zmieniał pozycję, na co mu pozwoliła, żeby pośladki całkiem mu nie ścięły. Po blisko trzech godzinach, gdy słońce padało już z boku, skończyła pracę.

- Najwyższy czas. Bałem się już, że prawa strona mojej twarzy zrobi się całkiem brązowa, a lewa zostanie biała jak ser.

- Nic nie szkodzi - następnym razem pójdziemy gdzieś, gdzie zbrązowieje ci lewa strona.

Jakob jęknął w duchu. W co też dał się wciągnąć? Już teraz nie miał ochoty na dalsze posiedzenia. Zgodził się na nie tylko dlatego, że były idealnym pretekstem, by często widywać Laurę. Nie żeby potrzebował pretekstu. Mówili już sobie po imieniu, a Laura nie robiła tajemnicy z tego, że lubi jego towarzystwo tak samo jak on jej. W dodatku co jakiś czas wychodziła zza sztalug, zbliżała się do Jakoba, układała mu włosy lub poprawiała kołnierzyk. Nie przeszkadzało mu, że umazanymi farbą palcami zostawiała plamy. Te drobne chwile kontaktu fizycznego były warte wszystkich plam na świecie.

Dopiero po kilku tygodniach Jakob poskarżył się:

- Lauro, namalowałaś już chyba blisko dziesięć moich portretów. Czy nie chciałabyś teraz wyczarować na płótnie czegoś innego? Wydaje mi się, że moja twarz nie jest aż tak fascynująca.

- Ależ tak.

Siedzieli obok siebie w ulicznej kawiarni w Baixa i obserwowali przechodniów. Większość wyglądała na swobodnych i zadowolonych, kobiety w letnich sukienkach, mężczyźni w jasnych spodniach i koszulach z krótkimi rękawami. Niebo było intensywnie niebieskie, co zapowiadało dłuższy okres ładnej pogody, a powietrze pachniało miejskim latem - mieszaniną zapachu kwitnących drzew i gorącego asfaltu, spalin i aromatu kawy.

Laura spojrzała krzywo na Antonia, położyła dłoń na jego dłoni i westchnęła.

- No dobrze. Masz rację. To tylko dlatego, że nie ośmielam się jeszcze namalować twoich dłoni. Malowanie dłoni nie idzie mi zbyt dobrze.

- Zgodnie z tym, co wiem o sztuce, dłonie zawsze trudno namalować. Po prostu spróbuj.

Jak miała mu wyjaśnić, że nie chodzi tylko o to? Że przyczyna tkwi także w jego dłoniach? Że nie chce sprofanować tych cudownych dłoni dwuwymiarowością i bezruchem?

To były niezwykle dłonie, o szczupłych, długich palcach, z małymi kępkami czarnych włosów i dużych, kwadratowych, idealnie zadbanych paznokciach, połyskujących delikatnie jak macica perłowa. Te dłonie wyglądały jednocześnie na wrażliwe i silne. Nie jak dłonie delikatnego skrzypka, lecz mężczyzny, który potrafi się mocować. I Laura coraz bardziej pragnęła, by to właśnie z nią zrobił.

- Antonio?

- Tak?



Odchrząknęła. - Trudno mi to ubrać w słowa, ale coś stoi między nami niczym wysoki kamienny mur.

Zmarszczył czoło i upił łyk kawy. Gdy z hałasem odstawił filiżankę na spodek, Laura zauważyła, że jego dłoń drży.

- Lauro?

- Tak?

- Proszę, mów mi Jakob.

## Rozdział Dwudziesty Szósty.

Gdyby spytać o portret Luizę Mendes, nie brakowałoby jej słów. I to złych słów. „Obraz jest wynaturzony”, powiedziałyby może, albo, gdyby chciała się wyrazić bardziej dyplomatycznie, że „artystka w ogóle nie ma talentu”. Tak. Kolory raniły oczy, kanciaste formy fatalnie zniekształcały oblicze chlebobawczyni. Każde dziecko potrafiło namalować ładniejszy obrazek. Tak, nawet ona lepiej przedstawiłaby modela! Rany, gdyby ktoś wykonał jej portret, na którym byłaby tak zdeformowana jak senhora dona Juliana, porządnie dałaby się we znaki „artyście”.

Ale nikt w domu nie pytał Luizy o zdanie, ani na temat „dzieła sztuki”, ani w jakiegokolwiek innej sprawie. Odkąd opiekunka Aninha już tu nie pracowała, na służbie u dony Juliany zostali tylko Luiza, szofer oraz kucharka. Szofera widywała rzadko, a kucharka przychodziła tylko na godziny. Po południu od razu przygotowywała kolację i zawsze bardzo się spieszyła. Luiza prawie nie miała okazji, by z nią poplotkować, więc musiała zachowywać wszystkie swoje uwagi i narzekania na wolny wieczór. Manuel, którego żoną była od trzech lat, słuchał jej chętnie i uważnie. I słusznie - bez bystrości i ambicji nieustannie popychającej go Luizy nie zostałby asystentem szefa protokołu w pałacu rządowym. Czasami narzekał, uskarżał się na bezdzietność żony, chciał, żeby przebywała w domu. Luiza niezwykle się cieszyła, że nie jest skazana na życie kury domowej, z marudzącymi dziećmi i nieokrzesanymi sąsiadkami jako jedynym towarzystwem. W mieszkaniu dony Juliany miała przynajmniej kontakt z wyższym stylem życia. Zawsze trafiał się jej ten lub tamten delikates albo i śliczna sukienka, z której rezygnowała jej patroa. Dopóki mogła odkładać macierzyństwo, dopóty Manuel nie miał powodu, by zabronić jej pracować poza domem, zwłaszcza że teraz mogła się już tytułować „gospodynią”.

A z drugiej pensji korzystali w końcu oboje. Pewnego dnia oni także dadzą się sportretować - ale z pewnością nie temu beztalenciu Laurze da Costa ani na tak marnym papierze. To będzie musiał być prawdziwy olejny obraz, z dramatyczną alpejską panoramą w tle.

Z pełną niesmaku miną Luiza odłożyła portret na sekretarzyk, gdy już starła z niego kurz. W tym samym momencie do salonu weszła jej chlebodawczyni, a tuż za nią generał Abrantes, który zaglądał tu częściej niż szanowny małżonek dony Juliany. Abrantes, nie czekając na zaproszenie, usiadł w jednym z foteli przy kominku. Jakby był we własnym domu, pomyślała Luiza. Skłoniła się państwu unizenie i zabrała się do wyjścia.

- Luizo, przynieś nam, proszę, dzbanek kawy - rzuciła dona Juliana, gdy służąca stała już w drzwiach. Nawet na nią nie spojrzała.

- Oczywiście, dono Juliano. Natychmiast.

- Sądzę - powiedział Fernando, gdy Luiza opuściła pokój - że w jej tonie brak szacunku.

- Możliwe - Juju nie chciała zgłębiać tematu. Często kłóciła się o to z Fernandem. Zawsze prezentował przekonujące argumenty za tym, dlaczego powinna wyrzucić Luizę, a ona nigdy nie mogła mu wytłumaczyć, dlaczego tego nie robi. Z czasem Juju przyzwyczaiła się do kobiety, do jej śmiałego sposobu bycia, tak samo jak do jej solidnej pracy. Pomimo podniesienia pensji oraz awansu na „gospodynię” nadal była odpowiedzialna za wszystko w domu, również za wycieranie kurzu i inne podlejsze zajęcia. Jedynie polerowanie parkietów oraz czyszczenie okien Juju zostawiała personelowi, który zjawiał się wyłącznie w tym celu.

Wstała i podeszła do biurka w kącie salonu. Wyjęła karton z rysunkiem wykonanym świecowymi kredkami przez Laurę i odwróciła się do Fernanda, chowając obrazek za plecami.

- Mam dla ciebie prezent. - Jej twarz przypominała buzię dziecka, które zaskakuje rodziców pękiem kwiatów, zerwanym z cennych krzewów róż.

Fernando uśmiechnął się do niej. Jak słodko wyglądała - ani o dzień starszej niż gdy miała siedemnaście lat. Nie dostrzegął siwych nitek w jej włosach ani zmarszczek na twarzy. Widział tylko błyszczące oczy, podekscytowaną minę, zadarty nosek i śliczne dołeczki. Mogła to być ta sama Juju, która ponad trzydzieści lat temu przynosiła mu różne podręczniki techniczne.

Juju szybkim ruchem uniosła kartkę do jego twarzy, tak że widział zza niej tylko jej oczy.

- Och... to jest... czy to ty? Wydawała się rozczarowana jego reakcją.

- Oczywiście, że ja. Czy to nie wspaniałe? Dzieło Laury. - W głębi duszy Juju również nie była zachwycona, gdy córka oświadczyła, że nie chce namalować akwareli. Im dłużej jednak patrzyła na świecowy rysunek, tym bardziej się jej podobał. Laura rzeczywiście miała talent. Kilkoma kreskami uchwyciła charakterystyczne rysy jej twarzy, a przy całym ekspresjonistycznym doborze barw - usta Juju były zielone, włosy czerwone - dokładnie oddała jej typ.

- Lewe oko jest nieco krzywe - zauważył Fernando.

- Ach, w kwestii sztuki jesteś ignorantem! Tak ma być. Gdyby chodziło o wierność szczegółom, zrobiłabym sobie zdjęcie, prawda?

- Hm. - Fernando wziął arkusz do ręki i obejrzał rysunek z bliska. Potem odsunął go jak najdalej od siebie. Z dużej odległości rzeczywiście dało się w tym zniekształconym obliczu rozpoznać Juju. Owszem. Ale żeby coś takiego uchodziło za dzieło artystyczne? Może to prawda, Elisabete też zawsze twierdziła, że brak mu wszelkiego zrozumienia dla sztuki.

- Dziękuję, mój skarbie. Jest przepiękny. - Odłożył rysunek i wyciągnął rękę do Juju. - Ale nie tak piękny jak model z krwi i kości. Chodź tu. - Pociągnął ją na swoje kolana, ale wysunęła się z jego objęć.

- Poczekaj - wyszeptala - aż będziemy sami. Sekundę później weszła Luiza i podała kawę.

- Dziękuję, Luizo. Sądzę, że dziś nie będziesz już potrzebna. Możesz iść do domu.

Luiza dygnęła, podziękowała wylewnie i wyszła, rozmyślając o tym, co wkrótce będzie robić chlebodawczyni. O Boże, starcza rozpusta! Dobrze, że nie musi tu zostać i może jeszcze być świadkiem tych bezceństw.

Juju, słysząc, jak zamykają się drzwi mieszkania, usiadła Fernandowi na kolanach. Pogładziła go po policzkach, które po długim dniu w ministerstwie drapały. W jego brodzie migotały siwe nitki. Mój Boże, wcale nie wydawał się jej starszy niż wtedy pod drzewem truskawkowym. A przecież w przyszłym roku skończy pięćdziesiąt lat. Ostrożnie zdjęła mu okulary do czytania, które, jak wiedziała, lubił nosić nawet wtedy, gdy nie musiał niczego czytać - nadawały mu dystyngowany wygląd.

Jakby potrzebował takich pomocniczych środków. Fernando wyglądał olśniewająco. Nawet jeśli jego cera stawała się coraz bledsza, a włosy coraz bardziej siwe, kolor oczu pozostał bez zmian.

Najpierw spotkały się ich spojrzenia, chwilę później usta. Nie mówiąc ani słowa, Fernando wziął Juju na ręce i zaniósł ją do sypialni. Ależ jest lekka! Zachowała figurę młodej dziewczyny, pomimo macierzyństwa i wieku. „To nieprawda. Po prostu nie przyglądasz mi się tak dokładnie, inaczej byś to zauważył”, zarzuciła mu przed kilkoma miesiącami. Talię ma grubą jak dona Leonor z trzeciego piętra, a stopy tak szerokie jak niektórzy starsi panowie, których widywała codziennie w Gremio Literario. Od tej pory Fernando nie powiedział już żadnego komplementu na temat wyglądu Juju. Gdyby miał choć cień literackiego wyczucia panów z klubu i byłby w stanie ująć w słowa swoje uwielbienie dla jej urody, o każdym centymetrze jej ciała mógłby ułożyć wiersz.

Nie spiesząc się, rozebrali się nawzajem, z zażyłością ludzi, którzy znają się całe życie, a jednocześnie z ciekawością i pożądaniem świeżo zakochanych. Podobnie było z grą miłosną. Choć nie było im obce żadne upodobanie partnera i w najdrobniejszych szczegółach znali swoje ciała i reakcje, nigdy nie pojawiała się rutyna. Ciągłe cieszyli się poznawaniem siebie wszystkimi zmysłami, z pełnym oddaniem starali się dawać sobie największą rozkosz. Pożądanie i pośpiech pierwszych lat, pragnienie natychmiastowego zaspokojenia, ustąpiły wyrafinowanym pieszczotom, ale nie były one przez to ani trochę mniej namiętne. Wręcz przeciwnie - im więcej czasu sobie poświęcali, tym większa była przyjemność. O ile początkowo rzucali się na siebie jak głodny na talerz zupy, o tyle teraz powoli zaspokajali apetyt - wieloma przysmakami.

Nastała północ, gdy Fernando i Juju, nasyceni, zmęczeni i szczęśliwi, oderwali się od siebie. Właśnie biły dzwony w pobliskich kościołach. Juju zachichotała.

- Ding dong - to szczytowy punkt nocy.

Fernando uśmiechnął się, delikatnie ocierając pot z jej czoła i z zachwytem patrząc na loczki na skroniach.

- Fernando? - Głos Juju naraz nie brzmiał już tak dziewczęco i swobodnie jak przed chwilą.

- Tak, meu amor?

- Dlaczego nie chcesz się rozwieść? Jesteśmy jeszcze dość młodzi, by przejść razem długi odcinek drogi. Czy przez następne dwadzieścia lat ma być tak jak do tej pory?

- Dlaczego nie?

- Bo chcę cię mieć tylko dla siebie, dlatego.

Tak, chciałyby tego, myślał Fernando. Ale nie zamierzał poddać się całkowicie jej woli. Nigdy. Wiedział, jak jest zmienna i niekonsekwentna. Poślubiła innego mężczyznę tylko po to, by po latach wrócić do niego, Fernanda. Potem rozstała się z nim po niefortunnym spotkaniu, by rok później prosić o przebaczenie. Pewnie sama dobrze nie wie, czego chce. A gdy w końcu dostaje to, czego pragnie, po krótkim czasie to odrzuca. Z nim postąpiłaby tak samo - szanse na trwały związek, choć Juju miała skłonność do różnych wyskoków, były wyraźnie większe, jeśli nie zostaną małżeństwem.

- Sądzę - powiedział świadomie rzeczowym tonem - że nasza miłość i namiętność tylko dlatego nadal płoną, że nie jesteśmy starym małżeństwem. Poza tym rozwód to dziś wciąż nieprzyjemna sprawa.

- Ach, daj spokój. Nie nazywam się Wallis Simpson, a ty nie jesteś następcą tronu Anglii. Nikogo to nie obejdziesz, jeśli ja rozwiodę się z Ruim, a ty z Elisabete.

- Ależ owszem, na przykład moje dzieci. Nie zapominaj, że są znacznie młodsze niż twoje. Alberto ma dopiero sześć lat.

- Tylko mi o tym nie przypominaj. - Juju do dziś była oburzona, że Fernando i jego żona spłodzili pięcioro dzieci, z czego aż troje wtedy, gdy rzekomo nie dzielili już ze sobą łóża.

Fernando czuł się jak głupiec. Naprawdę nie powinien był od tego zaczynać - przekonał się już, jak silnie Juju reagowała na wszystko, co miało związek z jego żoną. Gdyby wiedziała, że nadal dopełnia małżeńskich obowiązków, chybaby go udusiła. Ale na szczęście nie będzie dalszych dowodów jego „niewierności” - które nawet on paradoksalnie za takie uznawał - Elisabete nie mogła już mieć dzieci. Aby nie zakończyć wieczoru kłótnią, uspokoił Juju propozycją wspólnej podróży.

- Co powiesz na to, by w przyszłym tygodniu pojechać ze mną do Bucaco?

- Do Palace Hotel?

- Tak. Mam się tam spotkać z przedstawicielem Hiszpanii. Moglibyśmy znowu zamówić dwa pokoje na drugim piętrze wschodniego skrzydła - wtedy nie byłoby niebezpieczeństwa, że zostaniemy zauważeni, gdy będziemy się przemykać do siebie korytarzem. Możemy po prostu przechodzić przez wspólny taras.

Juju uwielbiała Palace Hotel. Był to pałac w stylu neomanuelińskim,

którego przepych i zbyt bogate zdobienia wydawały się jej co prawda nieco przytłaczające, ale który dzięki położeniu pośrodku uroczego lasu miał w sobie coś z bajkowego zamku. Stare, ogromne cedry, idylliczne ścieżki i strome schodki, kaskada gorącego źródła Fonte Fria oraz Dolina Paproci czyniły ten zakątek idealnym azylem dla zakochanych - co docenił także syn budowniczych pałacu. Manuel II w 1910 roku spotykał się tu z aktorką Gaby Deslys.

Mimo to Juju nie zachwyił pomysł Fernanda.

- Jeśli jedziesz tam w sprawach służbowych, przez cały dzień będę sama. I nie lubię ani spacerować po dziesięć godzin dziennie, ani rozmawiać z gośćmi leczącymi w Luso nerki.

- No to nie - Fernando wyglądał na urażonego.

- Ach, kochany, nie obrażaj się tak zaraz. Lepiej pojedźmy znowu do Sintry lub Estoril - żebyś nie musiał dotrzymywać żadnych terminów. - Po krótkim namyśle spytała: - Co właściwie masz do załatwienia z Hiszpanami?

Fernando obrócił się na wznak i popatrzył w sufit. Dobre pytanie, pomyślał. Trudno było mu odpowiedzieć na nie zgodnie z prawdą. Nie chciał obciążać Juju kwestią patrolowania granic przez wojsko i podobnymi sprawami - dobrze wiedział, że takie tematy ją irytują.

Odpowiedział więc krótko, starając się używać neutralnych sformułowań.

- Nawet Anglia i Francja będą musiały prędzej czy później uznać reżim Franco. Więc nie mamy innego wyboru, jak tylko ułożyć się z Hiszpanami.

Fernando zawsze był pragmatykiem. To, że nie tylko rząd sąsiedniego kraju, ale także władze portugalskie coraz otwarciej sympatyzowały z nazistami, wcale mu się nie podobało. Uznawał jednak taką sytuację za mniejsze zło - alternatywą w Hiszpanii była tylko dyktatura według wzorców stalinowskich, a bolszewickie tendencje szybko przeniknęłyby do Portugalii. Lepsze już Estado Novo, Nowe Państwo, jakie ogłosił Salazar - braki w demokracji wynagradzał wewnętrzny spokój polityczny. Nie wybuchła wojna domowa, nie angażowali się też w spory potęg europejskich. Wielka Wojna głęboko zapadła Fernandowi w pamięć.

- Aha - powiedziała Juju sarkastycznym tonem. - Męskie sprawy.

- Tak - jeśli uważasz, że polityka, wojna i losy Portugalii to męskie sprawy. Ja widzę to inaczej. Sądzę, że ciebie również powinno interesować, co się dzieje z naszym krajem.

- Owszem, tak samo mężczyzn, równie mocno jak kobiety powinno interesować, co robią ich dzieci, czym się zajmują, czego się boją.

- Właśnie - przytaknął, choć w głębi serca uważał, że kontakty z dziećmi stają się wartościowe dopiero wtedy, gdy te nieco podrosną. Jeśli w ogóle - córka Juju Laura i jej syn Paulo byli najlepszym przykładem, że również dorosłe dzieci nie przysparzają samych radości.

Juju zdawała się czytać w jego myślach.

- Sądzisz, że zawiodłam przy wychowaniu moich dzieci, prawda?

- Proszę, Juju, nie zaczynaj znowu. - Tak często kłócili się na ten temat, że Fernandowi było naprawdę przykro. - Nie lubię się do tego mieszać, sama wiesz. Ale skoro mimo wszystko ciągle mnie wypytyjesz, by poznać moje zdanie, bądź przygotowana, że je usłyszysz, i nie wypominaj mi szczerości. - Wstał i usiadł na brzegu łóżka. - Poza tym jestem głodny. Mam ci coś przynieść?

- Nie, dziękuję. - Juju patrzyła za nim, jak zupełnie nagi opuszcza sypialnię. Co za ciało, nawet w tym wieku! Słyszała go hałasującego w kuchni i cieszyła się, że właśnie dziś nabyła kilka wyjątkowych smakołyków - francuski kozi ser, musztardę figową i belgijskie czekoladki, które idealnie nadawały się na późną przekąskę w łóżku.

Gdy Fernando wrócił, Juju najpierw spojrzała na jego wspaniałe ciało. Pomijając kilka siwych włosów na piersi, niewiele się zmieniło. Napięty brzuch, kanciasta, muskularna pierś i piękny członek - nie żeby widziała wiele innych - na którym jej spojrzenie spoczywało zbyt długo. Zawstydzona uniosła wzrok na twarz Fernanda. Jadł, uśmiechając się do niej. Potem popatrzyła na talerz, który trzymał w ręku.

- Mój Boże, Fernando, nie mogłeś sobie wziąć czegoś lepszego? - Na talerzu leżały dwie kromki białego chleba, który jadła służba, kawałek alentejańskiej kaszanki oraz okrągły, zwykły ser.

- Nie. To najlepsze, co znalazłem. Wszystko inne wydawało mi się zbyt... wyszukane. - Usiadł na łóżku, odkroił kawałek kaszanki i podetknął Juju pod nos. - Masz, spróbuj. Jest przepyszna.

- Fuj. Nawet nie wiedziałam, że coś takiego znajduje się w mojej kuchni. Być może zjadasz właśnie zapasy Luizy.

- No, tej grubasce to nie zaszkodzi.

- Laura też najbardziej lubi takie rzeczy. Nie ze względu na chłopskie podniebienie tak jak ty, ale dlatego, że wypiera się swojego pochodzenia.

Fernando ze smakiem ugryzł pajdę chleba, na której położył ser. Przeżuwając, odparł:



- Nie sędę. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że może po prostu lubić chleb, ser i kaszanke?

- Nie, nigdy nie przyszło mi to do głowy. I uważam taką myśl za zdrożną. Laura otrzymała wspaniałe wykształcenie - do którego należało także szkolenie kubków smakowych.

Fernando opróżnił talerz w rekordowym tempie. Odstawił go na nocny stolik i ponownie wsunął się pod kołdrę obok Juju.

- Może jesteś trochę zazdrosna, że żyje takim życiem, jakie uważa za słusne? - spytał, delikatnie gładząc piersi Juju.

Odsunęła jego rękę.

- Dlaczego miałabym być zazdrosna, że mieszka w ruderze w Alfamie? Albo że zarabia za mało, żeby odpowiednio się odżywiać? I chodzi w okropnych strojach, które szyje jej sąsiadka z najtańszych materiałów?

Trzy zaprzeczenia równają się potwierdzeniu, czy nie tak się mówi? A gwałtowność, z jaką Juju mu odpowiedziała, kazała Fernandowi przypuszczać, że wcale się nie mylił.

Z drugiej strony, czy Juju nie była zawsze istotą luksusową? Kobieta, która bezpieczeństwo materialne i komfort przedkłada nad własne uczucia? Prawdopodobnie naprawdę martwiła się o Laurę, choć, jak sądził Fernando, nie istniał ku temu żaden ważny powód. Z pewnością Laura była szczęśliwsza od matki.

- A komu są potrzebne piękne suknie? - wyszeptał Juju do ucha. Odrzucił kołdrę i całkowicie poświęcił się jej wspaniałemu ciału.

Gdy się obudzili, na dworze było jeszcze ciemno. Fernando leżał przy niej, mocno przytulony brzuchem do jej pleców. Obejmował ją władczo ramieniem. Juju czuła jego erekcję, ale czuła też, że on się spieszy. Jak zawsze. Chciał wrócić do domu, nim wstaną dzieci i zauważą nieobecność ojca. Jakże bardzo Juju chciałaby mieć czas dla niego i dla siebie, jakże bardzo pragnęła teraz miłosnej gry godnej tej nazwy. Zamiast tego pośpiesznie dokonają aktu, który zaspokoi jego głód, ale zaledwie pobudzi jej apetyt. Usunęła się przed jego pieszczotami.

- Muszę wstawać. - Fernando spojrział na zegarek. - Zastanów się jeszcze raz nad Bucaco. W przyszły wtorek i środę. - Ubrał się pośpiesznie, pochylił nad Juju i złożył pocałunek na jej ustach. - Adeus, meu amor.

Luiza Mendes nie po raz pierwszy była oburzona, że senhora wstaje o tak późnej porze. Leniwe tałajstwo, ot co! Kto tak długo sypia? Na

pewno nie porządni ludzie. Było już po dziesiątej. Luiza postanowiła z nieco większą werwą niż zwykle przesuwać meble, zamiatać i stukać naczyniami. Podziałało. Około wpół do jedenastej jaśnie pani przyszła na śniadanie.

- Luizo, już tysiąc razy ci mówiłam, żebyś nie robiła takiego hałasu. Potrzebuję snu.

- Dobrze, dono Juliano.

- Może powinnaś zaczynać później. Właściwie nie ma żadnego powodu, żebyś zjawiała się tu już o ósmej.

Tylko moja pensja, pomyślała Luiza.

- Twoja pensja zostałaby taka sama - po prostu rano przyjdiesz trzy godziny później, za to wieczorem zostaniesz godzinę lub dwie dłużej. - Pani uśmiechnęła się do niej. - No, to w zasadzie jakby podwyżka. Nie cieszysz się?

Luiza z trudem opanowała gniew.

- Oczywiście, dono Juliano, ależ tak. Bardzo dziękuję, dono Juliano.

Opuściła jadalnię i poszła do sypialni pościelić łóżko. Wstrząsała pościelą tak silnie, że bielizna głośno szeleściła. Niesłychane, jak zdecydowano tu o jej czasie. A jeśli wieczorem miała inne plany niż ścielenie łóżka rozpuszczonej senhorze?

Z latami atut, o którym dona Juliana sądziła, że ona, Luiza, ma go w ręku, przestał działać. Patroa coraz rzadziej dawała się zastraszyć dwuznacznymi spojrzeniami i niewypowiedzianymi groźbami. Powrócił układ niemal równie upokarzający dla Luizy jak w początkowych latach. Nadszedł czas, by odejść.

Przez chwilę Luiza cieszyła się na drugie śniadanie, które wkrótce ją czekało. Pani znowu zje tylko odrobinę delikatnego pieczywa i importowanej marmolady. Potem zwyciężył gniew i w głowie Luizy pojawiły się wszystkie obsceniczne uwagi o próżniaczym życiu senhory, które chciała wieczorem przekazać swemu Manuelowi. Z gniewem wcisnęła prześcieradło pod gruby materac tak mocno, że ten się wygiął i na pewno odgniecie senhorze palce u stóp.

## Rozdział Dwudziesty Siódmy.

Większość emigrantów przebywających w Lizbonie zapamiętała ten okres ze względu na przepełnione schroniska i astronomiczne ceny. Na zawsze zapadł im w pamięć z powodu czyhającego ciągle niebezpieczeństwa i nieustannego strachu o najbliższych, którzy nie dotarli jeszcze do „bezpiecznego portu”. W tych strasznych dniach uczyli się, że rozpychanie się łokciami jest warte więcej niż cywilizowane stanie w kolejce, a fałszywe papiery więcej niż prawdziwi przyjaciele. Był to czas, który mógłby przejść do legendy - a dla wielu stał się tylko powodem do wstydu i milczenia. Kto lubi opowiadać o haniebnych czynach, jakich dopuścił się dla ratowania własnej skóry?

Jakob widział rok 1939 w różowym świetle. Poznał miłość. Prawdziwą, czystą, wielką miłość, która nie miała nic wspólnego z dziecinnymi marzonkami albo gorączkowymi młodzieńczymi fantazjami. Laura okazała się kobietą, o której zawsze marzył, ale nie ośmielił się mieć nadziei, że istnieje naprawdę. Jednak była rzeczywista. Jej niezależność, liberalne poglądy, talent, zrozumienie muzyki, a wreszcie przepiękny wygląd - to wszystko składało się na całość, która całkowicie urzekła Jakoba. Gust i sposób wyrażania się Laury bardziej pasowałyby do kogoś z wyższej sfery niż ta, z której pochodziła. Musiała pochodzić - niewiele mówiła o swych korzeniach i rodzinie.

Ze względu na jej skromny styl życia Jakob przypuszczał, że Laura pochodzi z klasy robotniczej lub zubożałego mieszczaństwa. Być może nauczyła się wyszukanego języka od zamożnych koleżanek szkolnych i szkoliła gust muzyczny, słuchając utworów u pracodawców rodziców. Bo to, by Laura pochodziła z tak zwanych wyższych sfer, Jakob uważał za wykluczone. Kto w tych niepewnych czasach dobrowolnie zrezygnowałby z bezpieczeństwa zadbanego domu? Jako kobieta, w dodatku mieszkająca w Portugalii, wystawiała się na różne niebezpieczeństwa i wrogość, związane z tak niezależnym stylem życia.

Gdy tylko znajdzie dla niej odpowiednią galerię, poprosi Laurę, by z nim zamieszkała. Rudera, w której do tej pory wystawiała swoje obrazy, nie była godna jej prac, podobnie jak nędzny pokój na strychu nie był godny ich miłości. Poza tym Jakob zamierzał zdobyć więcej uczniów - razem mogliby sobie wtedy pozwolić na małe mieszkanie. Nic wielkiego i z pewnością nie w dobrym punkcie, ale w miarę przyzwoite lokum z dwoma pokojami i własną łazienką. Byłoby to już bardzo bliskie małżeństwu - tego, by rzeczywiście wzięli ślub, Jakob nawet nie chciał Laurze proponować. Fałszywe papiery i niepewna sytuacja życiowa nie pozwalały na taki krok.

Poprosił Laurę o kilka prac, które uważała za szczególnie udane, z jej pomocą skompletował teczkę i udał się w drogę. Samej Laurze było nieprzyjemnie całować klamki, a teczkę uznała za „skatalogizowane fuszerki”. Natomiast samemu Jakobowi zupełnie nie przeszkadzało zachwalanie jej prac, które uważał za genialne. Mimo to misja okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. Lizbona nie była stolicą artystów, rzadko trafiały się tu dobre galerie. Tych kilka, które Jakob uznał za odpowiednie, odmówiło. Nie ma zapotrzebowania na młodych portugalskich twórców, usłyszał. Obecnie w mieście przebywa tak wielu słynnych artystów z Europy Północnej, że nie warto się trudzić promowaniem nowego nazwiska. Gdy Jakob usłyszał to uzasadnienie po raz piąty, w dodatku od współpracownika, a nie samego właściciela galerii, nie odszedł, jak wcześniej, z opuszczoną głową.

- A kogo będziecie wystawiać, gdy wszyscy słynni artyści wyjadą do Stanów Zjednoczonych?

- Chyba nie muszę się przed panem tłumaczyć, młody człowieku. Jakoba zawsze doprowadzało do białej gorączki, gdy ktoś nazywał go „młodym człowiekiem”. Jednak stłumił gniew. Zamiast tego najuprzejmiej, jak potrafił, spytał po niemiecku:

- Czy mógłbym umówić się na spotkanie z pana przełożonym? Mężczyźnie nie drgnęła nawet brew. Wpatrywał się w Jakoba przez

kilka sekund, nim jego nieufną twarz wykrzywił wilczy uśmiech. - Oczywiście, szanowny panie - odpowiedział również po niemiecku. - Nie sądzę jednak, by te prace odpowiadały mu bardziej niż mnie. Teraz to Jakob patrzył na niego w milczeniu.

- Doprawdy? Czy nie są dość dobre? - Był tak przekonany o ich wartości, że nawet przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że mogą nie być dobre. Ale czy się na tym znał? Może na jego ocenę wpływała miłość do Laury?

- Och, rysunki są śliczne, bez dwóch zdań. I świadczą o pewnym talencie. Ale brak im... głębi. Siły przekonywania. Artystka musi jeszcze dużo nad sobą pracować.

- Ach, a kim pan jest, że wydaje pan takie opinie? - Jakob czuł się osobiście urażony. Człowieczek był zarozumiały, wyniosły i zupełnie ślepy na sztukę.

- Może będzie dla pana pocieszeniem, że dawniej reprezentowałem artystów kalibru Duchampa lub Ernsta. I mogę panu powiedzieć tylko tyle - artystka musi się wiele nauczyć. Jeśli będzie miała odpowiedniego nauczyciela, może coś z niej będzie.

- Ach, a ci nauczyciele biegają po ulicach stadami jak gazeciarze, tak?

Mężczyzna spojrział na Jakoba z drwiąco uniesioną brwią i odparł lakonicznie:

- Tak.

Godzinę później Jakob opuścił galerię bogatszy o adresy wielu artystów emigrantów.

Nauce Laury u Paula Adlera towarzyszył szereg ataków depresji oraz rzadkie i krótkie chwile radości. Malarz był nieubłagany. Kazał jej rysować palec tak długo, że nie wiedziała już, czym w ogóle jest palec. Jego perfekcjonizm sprawił, że zaczęła nienawidzić sztuki, i nauczył ją, jaką siłę można czerpać z tej nienawiści. Pół roku Laura pracowała pod nadzorem Adlera i przy jego wsparciu. Opłacała zajęcia w ten sposób, że zaoferowała swoje mieszkanie jako schronienie i adres kontaktowy dla uchodźców oraz obiecała zwrócić pieniądze, gdy tylko zacznie zarabiać.

- Jak chcesz być bogata i sławna, skoro nie potrafisz nawet narysować zmiętego banknotu? - drwił Paul i popychał ją do dalszych wykańczających nerwowo studiów.

Gdy jej nauczyciel zdobył wreszcie bilet do Nowego Jorku, Laura poczuła jednocześnie ulgę i smutek. Paul Adler dręczył ją, tak, ale wykrzesał z niej to, co najlepsze. Wreszcie zrozumiała, dlaczego jej poprzednie prace nie były dobre - bo że do niczego się nie nadawały, wiedziała już wcześniej. Nawet Jakob dostrzegwał, jak bardzo Laura dojrzała jako artystka. Był z niej wyjątkowo dumny. Jednocześnie martwił się o nią - Laura schudła, miała ciemne cienie pod oczami i wyglądała, jakby wkrótce miała paść z wyczerpania.

Wszystko jakoś się ułoży, powtarzał sobie Jakob. Zatróczy się o Laurę, zmusi ją do regularnych posiłków i dostatecznej ilości snu. Każdy uchodźca wiedział, jak ważne jest, by zachować siły i nie podporządkowywać potrzeb ciała potrzebom ducha. Znalazł małe mieszkanie w Alfamie, niecałe dwie przecznice od dotychczasowego lokum Laury. Umowę najmu podpisał swoim nazwiskiem i gdy się wprowadzili, zarówno wynajmujący, jak i sąsiedzi uważali za oczywiste, że chodzi o pana i panią Coelho Lisboa. Jakob i Laura pozwolili im w to wierzyć. Nie warto było komplikować spraw.

Młode „małżeństwo” czuło się jednak wystawione na ciekawskie, choć zazwyczaj serdeczne spojrzenia. Brakowało im prywatności, co dla obojga było bardzo uciążliwe - szczególnie gdy rano słyszeli komentarze o tym, jak długi lub głośny był ich akt miłosny. Kilka starszych kobiet wypytywało Laurę o zalety jej młodego męża w łóżku, z kolei mężczyźni rzucali przy Jakobie uszczypliwe uwagi na temat zbyt szczupłej figury Laury. A niektórzy sąsiedzi pytali ordynarnie: „Co, jeszcze nie ma bachora w brzuchu?”.

Nie, na szczęście nie, myślał Jakob. W obecnej sytuacji nie mogli myśleć o dzieciach. Z antykoncepcją też nie było łatwo. Czasami ogarniało ich tak palące pożądanie, że zupełnie przestawali myśleć i zapominali o wszystkim. Ale do tej pory jakoś się udawało, odpukać.

Jesień i zimę spędzili bardziej w łóżku niż poza nim, pieszcząc się i kichając. W pełnym przeciągów mieszkaniu było chłodno, oboje przeszli ciężkie przeziębienie. Dopiero w marcu Laura zaczęła znowu malować - wcześniej miała zbyt sztywne palce, by móc utrzymać pędzel lub kredę. Jednak to, co malowała, przynajmniej w oczach Jakoba warte było długiej przerwy. Już po samych szkicach jego dłoni poznawał, o ile jest lepsza. Nawet w trudnym okresie z Paulem Adlerem nie wychodziły jej tak dobre dłonie. Może to, czego się nauczyła, potrzebowało czasu, by się ugruntować. Z niektórymi jego uczniami bywało podobnie - dopiero gdy już opanowali technicznie trudne pasaży, w ich grze pojawiała się siła i uczucie. Dokładniej rzecz biorąc, Jakob miał tylko jednego ucznia, u którego zaobserwował ten fenomen.

Wiosną 1940 roku słońce z niezwykłą siłą zmieniło miasto w miejsce, w którym budząca się chęć życia tworzyła urlopową atmosferę. Zniknęli sprzedawcy kasztanów. Ich miejsce zajęli lodziarze. Jasne barwy zastąpiły ciemne, a nad wszystkim unosił się zapach kwitnących drzew. U Laury nieoczekiwany sukces z dłońmi usunął twórczą blokadę. Malowała

od wczesnego ranka do zmierzchu, a jej energia wydawała się niewyczerpana.

- Jakob, powiedz, nie zechciałbyś występować w roli mojego agenta? - spytała pewnego dnia.

- A czy już tego nie robię?

- Ach, ty i to twoje odpowiadanie pytaniami! Nie, chodzi mi o to, że nie powinienes się przedstawiać jako przyjaciel lub mąż artystki, tylko jako jej agent. To spora różnica, nie uważasz?

Miała rację. Dzięki jego zuchwałości i jej talentowi słynny właściciel galerii Jorge Kelekian zwrócił uwagę na Laurę da Costa i obiecał jej udział w zbiorowej wystawie we wrześniu. Laura przez całe lato malowała jak opętana. Nie przeszkadzał jej przytłaczający upał w mieszkaniu niezbyt nadającym się na atelier. Była zmotywowana jak jeszcze nigdy w życiu.

Gdy Jakob przebywał z Laurą, dawał się zarażać jej entuzjazmem. Nie chciał obciążać Laury swoimi problemami. Oczywiście wiedziała, w jakiej znajduje się sytuacji, i także martwiła się losem jego krewnych, których znała tylko z opowiadań. Mimo to, a może właśnie dlatego, że czuła, jak bardzo Jakob potrzebuje choć na chwilę oderwać się od trosk, niewiele o tym mówiła. Tak jakby okrucieństwa świata nie miały dostępu do ich skromnego mieszkania, ich gniazdka, w którym przebywali tylko oni, miłość i sztuka.

Jednak ledwie Jakob opuszczał mieszkanie, troski doganiały go ze zdwojoną siłą. Od rodziców nie miał żadnych wieści, siostra przebywała w południowej Francji i cierpiała pod prześladowaniami rządu Vichy. Ach, gdybyż jako przemytnik był choć w połowie tak skuteczny jak jako „agent artystki"! Spędzał całe dnie w palącym słońcu, pośród mas zrozpaczonych ludzi przed ambasadą Stanów Zjednoczonych, by załatwić wizę dla Esther Waizman, z której siostra w ogóle nie skorzysta, jeśli nie wydostanie się z Francji. A nie wydostanie się, jeśli nie otrzyma od Hiszpanii i Portugalii wizy tranzytowej, co z kolei ze względu na otwartą sympatię Franco i Salazara dla Hitlera było coraz trudniejsze.

Jednak nie docenił swojej siostry, jak to zapewne często zdarza się starszemu rodzeństwu wobec młodszego, a już na pewno starszym braciom wobec młodszych sióstr. Esther sama dała sobie radę. Z wielkimi przygodami wydostała się z Francji, częściowo pieszo, częściowo w ładowniach samochodów dostawczych pokonała Hiszpanię i za ostatnie pieniądze przekupiła portugalskiego strażnika granicznego. W każdym

razie taka była jej wersja wydarzeń. Jakob zmusił się, by nie zadawać dalszych pytań.

Na szczęście był w domu, gdy Esther nagle stanęła przed drzwiami ich lizbońskiego mieszkania. Gdyby Laura była sama, mogłaby jeszcze odprawić tę zabiedzoną postać. Nawet Jakob w wychudzonej, brudnej istocie z trudem rozpoznał swoją siostrę. Padli sobie w ramiona. Jakob czuł ulgę, szczęście i był tak wstrząśnięty, że ledwo opanował szloch. Natomiast Esther sprawiała wrażenie dziwnie obojętnej.

Ta apatia nie ustąpiła przez cały sierpień. Laure, która początkowo szczerze cieszyła się ze względu na rodzeństwo, zaczęło irytować zachowanie Esther. W ich mieszkaniu i tak było ciasno i gorąco, czy ta przygnębiona kobieta musi ciągle w nim przesiadywać? Traumatyczne przeżycia swoją drogą - ale dlaczego nie chce w niczym pomagać, nie pierze, nie robi zakupów, nie sprząta? Sama Laura przede wszystkim starała się ukończyć obrazy na nadchodzącą wystawę i bardzo przydałaby się jej pomoc w codziennych obowiązkach. Ale nic z tego. Esther, milcząco, siedziała w kącie, przeglądała stare książki Laury, lecz nie sprawiała wrażenia, że je czyta. Wreszcie pewnego dnia Laura ostro na nią naskoczyła:

- Nie wstyd ci, że jesteś takim darmozjadem?

Spojrzenie, jakie rzuciła jej Esther, było spojrzeniem umierającego stworzenia. Pierwszy raz od czasu swego przyjazdu do Lizbony Esther otworzyła przed Laurą swą zranioną duszę. Laura nienawidziła się za gniewne słowa, ale jednocześnie cieszyła się z reakcji, jaką wywołała. Udręczone spojrzenie Esther ogromnie ją fascynowało, a gdyby zdołała uwiecznić je na płótnie, byłby to z pewnością przełom w jej rozwoju artystycznym.

Potem Laura wciąż się dziwiła, dlaczego ten pomysł nie przyszedł jej wcześniej do głowy. Bo gdy już przyszedł, nie zostało wiele czasu. Esther wydawała się odczuwać ulgę, że na swój cierpliwy, cichy sposób może być użyteczna, nie opuszczając mieszkania. A Laura zachwycała się modelką - jej dawną urodą, ledwo widoczną za udręconą twarzą, obojętną miną, w której odbijał się cały tragizm świata, i podobieństwem do Jakoba, widocznym bardziej w wyrazie niż w kształcie ust, nosa czy oczu.

Laura wykonała tyle portretów Esther, ile zdołała w tak krótkim czasie. Wszystkie ukazywały młodą kobietę w mieszkaniu, czytającą na sofie, w zamyśleniu wyglądającą przez okno lub opierającą się łokciami



o stół. Prawie nic nie odwracało uwagi od jej twarzy, żaden wazon, żadna ozdoba, żadna powiewająca firanka. Inaczej niż na obrazach, które przedstawiały Jakoba - czy naprawdę było to zaledwie rok temu? - Laura zrezygnowała ze wszystkiego, co zbędne, z rozbuchanego tła i z krzyczących kolorów.

- Nie chcesz zobaczyć, jak cię sportretowałam? - spytała za pierwszym razem. Ester jednak przecząco potrząsnęła głową.

Tym większe zainteresowanie wykazywał Jakob. Chwalił Laurę i dodawał jej zapału - ale choć bardzo podziwiał jej dzieła, w duchu czuł ogromne rozczarowanie, że zdaje się nie dostrzegać w Esther tego, co widział w siostrze on sam. Czy aż tak się zmienił? A może zmieniła się Esther? Lub to właśnie punkt widzenia Laury jest słuszny, a jej obiektywne spojrzenie koncentruje się na czymś, co umknęło kochającym oczom brata? Kobieta na obrazach nie miała w każdym razie nic wspólnego ani z bezczelną dziewczuchą, która w dzieciństwie doprowadzała go do szaleństwa, ani ze śliczną dziewczyną, za którą oglądali się wszyscy mężczyźni na plaży i która częściej niż inni nurkowała w wodzie, bo umiała świetnie skakać na główkę i cieszyły ją pełne podziwu spojrzenia. Na płótnie wyglądała jak tonąca.

Wrześniowa wystawa została wysoko oceniona w prasie. Fakt, że wystawiono tylko trzy prace Laury, Jakob uznał za oburzający - wyraźnie była najlepszą artystką spośród tych, z którymi zawarł umowę Jorge Kelekian. Ale dobrze, to tylko początek. Kelekian już w pierwszym tygodniu sprzedał wszystkie trzy obrazy Laury, i to za całkiem niezłą cenę. Jakob był zły, że aż sześćdziesiąt procent kwoty dostawała galeria, a tylko czterdzieści artysta - ale to on sam w przypiływie euforii nie przeczytał uważnie umowy.

- Chodź tu, ty genialny agencie - wyszeptwała Laura, gdy leżeli w łóżku wieczorem po sprzedaży pierwszego obrazu i zdążyli już policzyć, jakie bogactwo zdobyli, oraz sto razy przeczytać decydujący - otrzeźwiający paragraf umowy. - Jesteś mi chyba coś winien.

Z trudem zachowali ciszę, by nie obudzić Esther.

Pod koniec września Jakob wrócił do domu z zaskakującą wiadomością, że będzie w stanie załatwić dwa bilety na „Nea Hellas”, grecki statek płynący do Nowego Jorku. Był ogromnie podekscytowany i Laura nie ośmieliła się psuć mu radości, mówiąc o swoich podejrzeniach. Ale może jej okres spóźniał się tylko ze względu na wielkie obciążenie nerwowe w minionych tygodniach.

Cena biletów okazała się zawrotna i rodzeństwo nie było w stanie pokryć kosztów nawet po sprzedaży cennego mauritiusa, który Jakob zachował w niepozornej kopercie właśnie na taką ewentualność. Handlarz zapłacił mu tylko ułamek wartości znaczka. Również skrzypce Cavallego niewiele pomogły. Jeśli Laura chciała ratować życie ukochanego, pozostało jej tylko jedno.

Dzięki pieniądзом otrzymanym za skradziony diadem matki mogli wreszcie kupić bilety. Już dwa dni później rodzeństwo wsiadło na pokład. Laura wybuchnęła płaczem - nie umiała powiedzieć, czy z ulgi, że Jakob będzie wreszcie bezpieczny, czy ze smutku spowodowanego rozstaniem. Również Jakobem targały sprzeczne uczucia, ale ze względu na Esther nie okazywał swojej rozterki.

Esther, choć nadal sprawiała wrażenie nieobecnej, miała dość taktu, by od razu udać się do kabiny i zostawić Laurę i Jakoba samych, by się pożegnali. Laura odzyskała już samokontrolę, miała jednak spuchnięte od płaczu powieki i zaczerwieniony nos. Nie chciała, żeby Jakob zabrał w podróż obraz rozhisteryzowanego kłębka nerwów.

- Gdy zbieram dość pieniędzy, przyjadę do ciebie - powiedziała sztucznie wesołym tonem, któremu przeczyła zapłakana twarz. - Tą barką i tak bym nie popłynęła.

- No jasne - odparł Jakob. - Przybędziesz luksusowym parowcem. Gdy będziesz już bogata - albo ja, co pewnie stanie się jeszcze szybciej - wynajmiemy dla ciebie przestronnąabinę. Tylko nie flirtuj ze wszystkimi spragnionymi uciech staruszkami na pokładzie. Ani z kapitanem!

Laura roześmiała się. Zauważyła, że w kącikach oczu znowu zbierają się jej łzy. Śmiech przeszedł w lekkie łkanie.

- Bądź zdrow, Antonio Coelho Lisboa - wyszeptała, rzucając się mu w ramiona. - Dużo szczęścia, Jakobie Waizman. - Oderwała się od niego, odwróciła i odeszła szybkim krokiem.

Jakob wszedł na statek zgarbiony jak starzec. Przy relingu odstawił zmęczony małą walizkę i wypatrywał Laury. Nie, nie będzie machać za nim mokrą chusteczką, i może tak było lepiej.

- Bądź zdrowa, Lauro - wymamrotał, gdy odwiązano cumy. - Bądź zdrowa, Lizbono.

„Nea Hellas” z ogłuszającym wyciem ruszyła na zachód.

## Rozdział Dwudziesty Ósmy.

To była największa farsa wszech czasów. Zaproszono około stu osób - krewnych ze strony da Costów, pół klanu Carvalho oraz wszystkich sąsiadów, przyjaciół, partnerów handlowych i dygnitarzy z doliny Douro. W środku wojny w Quinta das Laranjeiras odbywało się wystawne przyjęcie z okazji, która nie stanowiła szczególnego powodu do radości ani dla jubilatów, ani dla ich krewnych.

Szóstego czerwca 1941 roku senhor i senhora Rui da Costa obchodzili srebrne gody.

Paulo podsłuchiwał kilka rozmów telefonicznych między rodzicami i wiedział, że matka ze wszystkich sił starała się zapobiec uroczystości. Ojciec wszakże postawił ją przed faktem dokonanym, więc gdy już rozesłano zaproszenia, nie miała odwagi po prostu nie stawić się na przyjęciu. Przyjechała zatem, po raz pierwszy od dwóch lat. Uczucia Paula wahały się między złośliwą satysfakcją a ulgą. Satysfakcją, bo ojciec postawił na swoim i w oczywisty sposób odpowiedzialną za rozpad małżeństwa matkę przywołał do porządku niczym małą psotnicę. Ulgę, gdyż choć od czasu jego pobytu w szkole stali się sobie nieco obcy, mimo wszystko bardzo kochał matkę i cieszył się na jej widok.

Tego samego Paulo nie mógł powiedzieć o swojej siostrze. Laura zawsze była dziwna, ale w ostatnich latach jej dziwactwo jeszcze bardziej się nasiliło. Robiła wszystko, czego nie powinny robić przyzwoite dziewczęta, i opierała się wszelkim wynikającym z dobrej woli próbom ingerencji. Mieszkała sama, przebijała się jako artystka i głosiła jakieś zawile idee polityczne. I jakby na dowód swoich swobodnych obyczajów zaszła w ciążę. Oczywiście nie zamierzała wychodzić za mąż. Fakt, że miała czelność się pojawić, budził w Paulu pewien szacunek. Mimo to wolałby, żeby oszczędziła sobie i rodzinie wstydu.

Wyglądała okropnie. Brzuch sprawiał wrażenie, jakby lada chwila

miał pęknąć, a jej zazwyczaj idealna cera usiana była mnóstwem pryszczycy. Laura rozdrapała kilka wyprysków na podbródku i nie miała nawet tyle wstydu, by zakryć je pudrem. Nosiła swoje krasty tak samo jak brzuch niczym odznakę. To było wstrętne.

- Wyglądasz okropnie, siostrzyczko.
- Dziękuję, Paulinho, za te krzepiące słowa.
- Nazywam się Paulo, zapamiętaj to, Laurinha.
- Cóż, nie zachowujesz się jak dorosły Paulo. Raczej jak opóźniony w rozwoju Paulinho.
- Przynajmniej nie tak opóźniony jak ty. Przecież sama byłaś tak głupia, żeby dać sobie zrobić dziecko.
- Zgodnie z tym, co słyszałam, sam postawiłeś kilka dziewcząt w tej sytuacji.
- Koniecznie tego chcieli. Nic nie poradzę na to, że wszystkie baby za mną biegną.

Paulo rzeczywiście był bardzo atrakcyjny. Laura z łatwością wyobrażała sobie, że dziewczęta szaleją za jego wielkimi oczami w oprawie długich rzęs, za jedwabistymi włosami, pełnymi ustami i dobrze zbudowanym ciałem. Ale do spłodzenia dziecka potrzeba więcej niż zakochanej dziewczyny.

- Nie sądzę, by przyszłe matki, nosząc twoje potomstwo, wyglądały inaczej niż ja. Ale zapewne nie widziałeś żadnej z nich po tym, jak opowiedziały ci o twoim nieszczęściu, prawda?
- Prawda. W przeciwieństwie do ciebie te dziewczyny miały tyle przyzwoitości i wstydu, że nie pokazywały się w swoim stanie publicznie.
- Ile cię kosztowało odesłanie ich, żeby mogły w samotności wydać twoje dzieci na świat?
- Spytaj papy.
- Nie pomyślałeś nigdy, żeby poślubić taką dziewczynę i wziąć odpowiedzialność za nią i za dziecko?
- Jestem za młody na żeniączkę. Poza tym moja żona nie może być zhańbiona. Chcę poślubić dziewicę.

Laurze zebrało się na wymioty. Jej brat zawsze był świnią, ale nigdy nie podejrzewała go o taką obłudę i zakłamanie. Najwyraźniej zauważył jej wstręt.

- Nie musisz się tak gapić. Większość mężczyzn myśli podobnie jak ja. Ciebie z pewnością nikt już nie zechce. - Odwrócił się i ruszył do drzwi. Tam przystanął jeszcze i szepnął: - Jesteś zepsutym towarem.

Laura została z otwartymi ustami, oniemiała na arogancję i brak samokrytycyzmu brata. Jeśli ktoś tu był zepsuty, to Paulo, a to, że nie było tego po nim widać, dodatkowo pogarszało sytuację. Niczym przepiękne, jędrne jabłko, w środku zupełnie wyjedzone przez robaki.

Czy ojciec naprawdę pozwolił mu się tak łatwo wykryć? Czy zapłacił, żeby dziewczyny urodziły dzieci gdzieś za granicą i oddały je do adopcji, nie pociągając Paula do odpowiedzialności? Laura w to wątpiła. Co prawda nie miała teraz częstego kontaktu z ojcem, ale przez te lata nie stracił przecież poczucia sprawiedliwości. Do jego ulubionych angielskich wyrażen zawsze należało fair play, i Laura żywiła nadzieję, że nie dotyczyło tylko gry w tenisa.

Rui znalazł córkę w salonie, gdzie z zamyśloną miną siedziała pod wentylatorem.

- Mnie też jest za gorąco na dworze. Trzydzieści stopni na początku czerwca, uff! - powiedział i otarł chusteczką z czoła niewidoczne krople potu.

- Tak, a nie jesteś w dziewiątym miesiącu.

- Hm, nie. Ale dobrze, że poruszyłaś ten temat. Właśnie chciałem z tobą o tym porozmawiać.

- Sądziłam, że reprimendy mam już za sobą.

- Nie zamierzam ci prawić kazań. Chcę tylko wiedzieć, co się z tobą dzieje. Dlaczego to robisz?

- Co robię?

- No, sama wiesz - nosisz, e... nieślubne dziecko.

Laura mogłaby przysiąc, że jej ojcu niemal wyrwało się słowo „bękart”.

- Przysparzasz sobie tylko problemów - ciągnął. - Sama niepotrzebnie utrudniasz sobie życie. Twoja matka, brat, dziadkowie i ja kochamy cię, niezależnie od tego, co będzie. Ale inni ludzie będą gadać. Będą cię wytykać palcami. Dadzą ci odczuć swoją pogardę, a to zapewne będzie bardzo nieprzyjemne.

Laurę zdziwiła ta zaskakująco pozbawiona uprzedzeń wypowiedź. Ojciec dawno już z nią tak nie rozmawiał i miała wrażenie, że teraz, gdy ma zostać dziadkiem, chce naprawić wszystkie błędy, które popełnił wobec dzieci.

- Nie tak nieprzyjemne jak małżeństwo, które istnieje wyłącznie na

papierze. I to od dwudziestu pięciu lat, mój Boże. Naprawdę brak powodu do świętowania. Poza tym przypominam ci, że teraz już za późno, by jakoś „zaradzić” tej ciąży.

- Pomyśl o dziecku. Tobie może być obojętne, co mówią ludzie, ale biedne dziecko zawsze będzie ofiarą ludzkiej podłości. Musisz wyjść za mąż.

- Pai, nie bierz mi tego za złe, ale z własnego doświadczenia wiem, jak czuje się dziecko z szóstego miesiąca po ślubie. To wcale nie lepsze. Poza tym nie mam innego wyboru niż pozostać panną, ojciec nie może się ożenić.

Rui wywrócił oczami. Jeśli Laura związała się z żonatym mężczyzną, dlaczego nie postarała się zapobiec ciąży? A jeśli mężczyzna jest wolny, dlaczego nie ożenił się z Laurą? Była piękna, mądra i bogata - inaczej niż w przypadku wioskowych dziewcząt, które urodziły dzieci jego syna nieroba, nie istniał powód, by jej nie poślubić.

Laura podejrzewała, jakie myśli kłębią się w głowie ojca.

- To nie tak, jak sądzisz. Nie uciekł tak po prostu. Wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, nie wiedząc, że jestem w ciąży.

- Dlaczego mu nie powiedziałaś? Nie zadzwoniłaś do niego, nie napisałaś? Ameryka nie jest nieosiągalna. Mógłby wrócić albo ty mogłabyś pojechać za nim, bo ja wiem.

- Tak, co ty wiesz? Obawiam się, że niewiele. A o kobietach nie wiesz nic.

Rui spojrzał na córkę, jakby wymierzyła mu policzek. Czy znała go lepiej, niżby chciał? Ale nie, powiedziała to tak sobie. Wszystkie kobiety lubią otaczać się tajemnicą.

- Nie chcesz zdradzić jego tożsamości?

- Nie. - O nie, nigdy, pomyślała Laura. Komuś z krewnych przyszedłby jeszcze do głowy wspaniały pomysł, by odszukać Jakoba i zmusić go do czegoś, co naraziłoby jego życie. Niech żyje spokojnie w Ameryce, z dala od niej i od chaotycznej sytuacji w Europie. Po okropnych latach spędzonych jako uchodźca, bez żadnych praw i szans, powinien wreszcie mieć szansę udowodnić, do czego jest zdolny. Z całego serca życzyła mu, żeby kroczył własną drogą, był w Stanach szczęśliwy i prowadził w miarę normalne życie - bez przytłaczającej świadomości, że zostawił ciężarną kobietę. W odpowiednim czasie powiadomi go, że ma w Portugalii dziecko.

- A więc... - wymamrotał ojciec i zrezygnowany wzruszył ramionami.

- Sama wiesz, co robisz. Ale powiedz mi, jeśli czegoś ci będzie potrzeba. Wyglądasz, jakbyś dawno nie była u fryzjera. I przydałaby ci się nowa garderoba. To znaczy, gdy dziecko przyjdzie na świat - teraz już się nie oplaci.

Brawo, pomyślała Laura, kiedy opuścił pokój. Brat i ojciec chyba sprzysięgli się przeciw niej i starają się wspólnie, by czuła się wciąż wyjątkowo szczęśliwa i piękna. Dokładnie to, czego potrzebuje kobieta w jej położeniu.

Zasłużyli na to, pomyślał Pedro Domingues, gdy wczesnym wieczorem przybył do Laranjeiras. Nigdy naprawdę nie wierzył w Boga, ale teraz miał wrażenie, że w niebie jest jednak jakaś wyższa istota i troszczy się o sprawiedliwość. Słodka Laura, którą dobrze pamiętał z dawnych dni, gdy wraz z jego dziećmi bawiła się w ogrodzie quinty Pedra, była w odmiennym stanie - a rodzina da Costów nie mogła zaprezentować jej męża. No, to pan tatuś musiał się mieć z pyszna, ten łajdak. I ciekawe, co powiedział niewydarzony synalek?

Pedro Domingues nie wierzył, by przykre położenie Laury choć na sekundę skłoniło jej brata do myślenia. Paulo nie musiał ponosić konsekwencji swego postępowania - senior płaci, dziewczynę się ukrywa, wszyscy milczą, a junior może dalej postępować tak jak do tej pory. On zaś, Pedro Domingues, niewiele mógł na to poradzić. Paulo zdecydowanie odmawiał poślubienia jego córki. Wcześniej o coś takiego się pojedynkowano, ale teraz? Nie mógł nawet unikać da Costów - ich gospodarcza potęga była tak znaczna, że wszystkie drogi prowadziły przez nich. Aż rozpacz brała!

W każdym razie nie zamierzał zjawić się na dzisiejszej uroczystości, wiadomość o nieślubnej ciąży Laury wszakże błyskawicznie rozeszła się po okolicy i Pedro Domingues obiecywał sobie zadośćuczynienie: oto będzie świadkiem hańby całej rodziny. Załatwił zaproszenie przez matkę Ruiego da Costy, donę Filomenę. „Ależ oczywiście, że jest pan zaproszony, mój drogi senhor Pedro, pewnie pańskie zaproszenie zapodziało się na poczcie”. I oto siedział na werandzie wielkopańskiego domu, pocił się i obserwował znienawidzonych da Costów.

Byli zdecydowanie najprzystojniejszą rodziną, jaką kiedykolwiek widział, w dodatku zadbaną i bogatą. Nie dostrzegało się w nich zepsucia i Pedro Domingues poczuł nowy przyływ zazdrości i zgorzknienia.

Czy to sprawiedliwe, że Rui da Costa, który jest nawet nieco starszy od niego, nie ma ani łysiny, ani grubego brzucha? Co myślał sobie Pan Bóg, gdy tak wcześnie wezwał do siebie ukochaną żonę Pedra, podczas gdy dona Juliana, prowadząca, jak wiadomo, rozwiązłe życie w Lizbonie, zdaje się tryskać zdrowiem? Dlaczego Paulo nawet w wieku dwudziestu lat zachował wzruszająco niewinny wyraz twarzy, całkowicie sprzeczny z jego prawdziwą naturą? I jak Laura może tak bezwstydnie obnosić się ze swoim brzuchem, podczas gdy jego nieco młodsza córka chodzi ze spuszczonego wzrokiem? Czy to w porządku? Pedro Domingues pokręcił głową. Jak mógł żywić błędne przekonanie, że istnieje sprawiedliwość? Nie, coś w niebie jest zdecydowanie nie tak. Zapewne tam również rządzą ci, którzy nie mają skrupułów i sumienia - i niecznymi metodami stracili dobrego Boga z tronu.

- Senhor Pedro, jak miło znowu pana zobaczyć! - Laura podeszła z wyciągniętą ręką. Czy ma nie po kolei w głowie? Jak może w tym stanie tak bez skrępowania wyjść na werandę, na której znajduje się większość gości? Dopóki siedziała w domu, gdzie widział ją przed chwilą, jeszcze to jakoś uchodziło. Ale teraz? Czy nikt nie powiedział dziewczynie, gdzie jej miejsce?

- Lauro, wyglądasz uroczo! Małżeństwo ci służy - rodzice muszą być bardzo dumni, że podarujesz im pierwszego wnuka, prawda?

- No tak, oni... tak, zapewne muszą.

- A twój mąż? Czy też tu jest? Przedstawisz mi go?

- Nie, jest w Nowym Jorku, można powiedzieć, że w interesach. O, są i państwo Pereira - przepraszam, porozmawiamy jeszcze później, dobrze?

Zakłamana jak i cała reszta! I tchórzliwa. Pedro Domingues patrzył za nią, jak znika w głębi domu. Pereirowie ani trochę nie obchodzili Laury. Chciała tylko uciec przed jego pytaniami. Tak, ale on też podejdzie do Pereirów. Ma dużo do opowiadania.

Laura uciekła do swojego dawnego pokoju. Czego nie udało się osiągnąć jej rodzicom i bratu, czyli odsunąć ją od udziału w uroczystości, tego dokonał senhor Domingues kilkoma celnymi pytaniami. Zupełnie przeszła jej ochota na zabawę. Nastrój Laury zdecydowanie się pogorszył - nie ze względu na impertynencję sąsiada, tylko ze złości na samą siebie. Powinna wykazać więcej odwagi. Choć dumnie reagowała na zatroskane



wypowiedzi rodziców i bezczelne uwagi brata, ugięła się przy niewinnych pytaniach spoconego, grubego, niegdyś serdecznego senhora Dominguesa.

Ale czy owe pytania nie miały złośliwego podtekstu? Czy nie wyczuła w nich cienia nienawiści? Tak, gdy przypomniła sobie twarz rozmówcy, dostrzegła w niej nie tyle sąsiedzkie zainteresowanie, ile raczej drwinę i gniew. Dała się zmylić niewinnemu wyglądowi senhora Dominguesa, jego bujnym wąsom, czerwonemu perkatemu nosowi, który wyraźnie świadczył o nadmiernym spożyciu porto, oraz okrągłej sylwetce. Ale jego oczy mówiły zupełnie innym językiem.

Laura wzięła szkicownik i próbowała z pamięci uchwycić tę rozbieżność. Drogi senhor Domingues stanowił ciekawy obiekt studiów. Gdyby tylko miała odwagę wmieszać się między gości! Wtedy przyjrzałaby mu się dokładniej, mogłaby dopracować charakterystyczne szczegóły i sportretować go prawdziwiej, niż gdyby jej pozował - tak jak niegdyś na dworcu Rossio rysowała podróżnych, którzy nie czuli się obserwowani.

Natychmiast odepchnęła wszelkie myśli o tamtych czasach. Napelniały ją tylko tęsknotą, nieopisaną saudade, gdy myślała o pierwszym spotkaniu z Jakobem. W żadnym wypadku nie wolno jej użalać się nad sobą. Patrzyć do przodu, zawsze do przodu. Ze względu na dziecko.

W domu, na werandzie, a także w ogrodzie Quinta das Laranjeiras trwała uroczystość. Nieczęsto spotykała się cała rodzina, a wszyscy zdawali się tylko czekać na okazję taką jak ta. Juju dziwiła ogromna frekwencja. Przecież każdy wiedział, jakie było naprawdę jej małżeństwo - przynajmniej siostry mogły wykazać tyle zrozumienia, by zbojkotować przyjęcie Ruiego. Ale jak na złość wszystkie przyjechały, nie powstrzymała ich żadna odległość - Mariana, Octavio oraz ich trzy córki, jedna z mężem - przyjechali razem z Beatriz pociągiem z Beja, Isabel i Raimundo dotarli samochodem z Lizbony, ich syn zjawił się osobno, otaczając ramieniem długonogą blondynkę, którą przedstawił jako swoją narzeczoną, Joanę i Gustava przywiózł luksusowym autem szofer, a czworo ich dorosłych dzieci, wszystkie z małżonkami i potomstwem, też zawitało na uroczystość.

Mój Boże, kto mógł się w tym połapać? A byli to tylko jej krewni. Rodzeństwo Ruiego również pracowicie się rozmnażało, więc z jego strony

przybyło przynajmniej kolejne dwadzieścia pięć osób. Szkoda, myślała Juju, że jej rodzice i teść tego nie dożyli. Spodobałoby im się, że doczekali tak liczego potomstwa. Z ich pokolenia została tylko dona Filomena. Niemal osiemdziesięcioletnia dama wydawała się nie mieć żadnych problemów z rozróżnianiem wszystkich swoich wnucząt, ich małżonków i dzieci. Prawnucząt, przeszło przez głowę Juju, dona Filomena miała pięcioro prawnucząt, a niedługo zjawi się kolejne. Jezusie, Maryjo, miejmy nadzieję, że ona sama nigdy nie będzie tak stara, by musieć spamiętać imiona wszystkich swoich prawnuków! Wystarczająco źle było zostać babcią.

Jakby czytając w jej myślach, do Juju podeszła Beatriz i stanęła przy balustradzie werandy.

- Cóż za biblijna płodność - to doprawdy przeurocze, ile potomstwa naprodukowały moje siostry w ciągu tych lat. A jedyna osoba spośród moich siostrzenic i siostrzeńców, którą uważałam za sprytniejszą od pozostałych, postępuje zgodnie z rodzinną tradycją. Cieszysz się, Juliano, że zostaniesz babcią?

- Oczywiście, że tak. Ty też byś się cieszyła... - Po minie Beatriz Juju poznała, że siostra w duchu dokończyła zdanie: „...gdybyś nie została starą panną”.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się pysznicie swoim potomstwem. W końcu to żadne wielkie dokonanie, wydać na świat dzieci. Każde zwierzę robi to bez wielkiego szumu, zupełnie en passant.

- Niestety, nie chwaliłaś się nam swoimi dokonaniem na innych polach. Jak się czujesz w jesieni całkowicie bezużytecznego, nieproduktywnego życia, w którym dokonałaś mniej niż... każda krowa? - Juju nie zamierzała kłócić się z Beatriz. W zasadzie nawet jej współczuła. Jednak złośliwości siostry uniemożliwiały spokojną konwersację. A choć Juju nie chciała zadać pytania równie agresywnym tonem, naprawdę ciekawiło ją, dlaczego Beatriz tak zmarnowała życie. Ale nie oczekiwała odpowiedzi.

Ona sama została zmuszona przez ciężę do obrania klasycznej dla kobiety drogi - mąż, dzieci, dom. Mimo to udało się jej osiągnąć największą możliwą swobodę. Lecz Beatriz, skoro nie miała rodziny, wolno było przecież robić wszystko. Dlaczego nigdy nie nauczyła się zawodu? Dlaczego została w Belo Horizonte, by pozwalać się szykanować dzieciom Mariany? Zawsze jako argument przytaczała opiekę nad rodzicami, zasłaniała się swym rzekomym poświęceniem jak tarczą. A przecież

nikt jej o to nie prosił. I ta zasłona wraz ze śmiercią rodziców również się rozwiła. W Belo Horizonte tolerowano Beatriz jako samotną krewną, co samo w sobie było upokarzającym, raniącym określeniem.

Juju wydało się, że z otwartego okna na piętrze dobiegł jęk. Kątem oka dostrzegła, jak niektórzy służący biegną do domu. Goście chyba niczego nie zauważyli. Poza Beatriz.

- W tym szczęśliwym dniu - wyszeptała do Juju złośliwym tonem - twoja córka chyba się nie... ocieli?

Ale na to właśnie się zanosilo. U Laury przedwcześnie wystąpiły bóle.

Juju zwolniła kucharkę ze wszystkich obowiązków, żeby ta, matka siedmiorga dorosłych dzieci, mogła zająć się Laurą. I tak większość potraw była już przygotowana, z resztą poradzi sobie pozostała służba. Potem Juju udała się do ogrodu, dyskretnie ujęła pod ramię doutora Paivę i zaprowadziła go do domu, jakby musiała zasięgnąć rady w kwestii jakiegoś przykrego schorzenia. Błyskawicznie zaciągnęła go do pokoju Laury i nakazała całkowitą dyskrecję.

- Co też pani sobie wyobraża, dono Juliano! Obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

Tak, tak, pomyślała Juju, poza Pinhao, gdzie każdy znał najdrobniejszą bolączkę sąsiada. Ale nieważne, to, że jej córka spodziewa się dziecka, nie było tajemnicą. Lecz właśnie dziś, gdy w domu znajdowało się tyle osób, nie każdy musiał wiedzieć, co dzieje się na górze. W końcu chodziło o bardzo prywatne - i mało apetyczne wydarzenie. Ale przy odrobinie szczęścia wszystko potrwa tak długo, aż goście się rozejdą.

O Boże, jak może myśleć coś takiego? Jest wyrodną matką! Powinna pragnąć, by poród odbył się jak najszybciej, żeby Laura nie cierpiała dłużej, niż to konieczne.

Doktor uwolnił ją od wyrzutów sumienia.

- Jak dotąd wszystko wygląda dobrze. Ale oceniam, że nie weźmie pani wnuka na ręce wcześniej niż jutro rano.

Prognoza się sprawdziła. Siódmego czerwca 1941 roku, dokładnie o godzinie siódmej sześć, przyszedł na świat mały Ricardo, malutkie, pomarszczone stworzenie z mocno owłosionymi pleckami. Na widok jego niewypowiedzianej brzydoty nawet matce łzy nabiegły do oczu.

## Rozdział Dwudziesty Dziewiąty.

W 1943 roku na przekór całemu wojennemu zamieszaniu życie toczyło się dalej. W Lizbonie pełno było uchodźców. Ludzie gromadnie napływali na plaże, by uciec przed przytłaczającym miejskim upałem. Z roku na rok byli lżej odziani, choć portugalskie damy nigdy nie odważyłyby się pokazać w tak skąpych kostiumach jak cudzoziemki. Do kin wszedł właśnie film Amor de Perdicão, w niektórych leciało jeszcze Przemiętło z wiatrem. Tańczono swinga i zachwycono się ściskającymi serce pieśniami fado młodej fadisty Amalii Rodrigues. Awangarda słuchała Elli Fitzgerald, klasycy oplakiwali śmierć Siergieja Rachmaninowa. Powieści niejakiego Alberta Camusa robiły furorę wśród intelektualistów, a kolekcje hiszpańskiego krawca Balenciagi wśród zamożnych senhor. A pewna malarka, Laura Lisboa, podgrzewała nastroje wśród amatorów sztuki.

„Amatorska bazgranina”, mówili jedni, „pełne wyrazu dzieła”, twierdzili inni. Ci, do których zupełnie nie przemawiał styl LL, dowodzili, że „artystka” - jeśli w ogóle chodzi o kobietę, w co należy wątpić - nie ukrywałaby się za pseudonimem i nie stroniłaby od występów publicznych, gdyby się do czegoś nadawała. Inni, dla których LL stała się już rodzajem idola, obalali te argumenty, sugerując, że malarka, jak wszyscy prawdziwi artyści, jest nieśmiała. Zarówno jedna, jak i druga strona naciskała na właściciela galerii Oliveirę, by zdradził tożsamość Laury Lisboa. Ale Oliveira nie był głupi. Nie należało ucinać spekulacji - dzięki nim utrzymywało się zainteresowanie i wysokie ceny.

Laura była więcej niż zaskoczona własnym sukcesem. Nazwisko Lisboa wybrała z wdzięczności dla Jakoba, który niegdyś jako Antonio Coelho Lisboa skierował jej karierę we właściwą stronę. Uznała, że „Laura Lisboa” czyta się równie dobrze, jak wymawia, i najwyraźniej inni też tak uważali. Laura nie przypuszczała, ile znaczy w jej branży dobrze

brzmiące nazwisko. Początkowo czuła się nieswojo, jak oszustka, i dlatego wzbraniała się pozować do zdjęć i udzielać wywiadów. Po jakimś czasie jednak zaczęło jej sprawiać przyjemność podpisywanie prac kanciastym znakiem LL.

Nie było to wyrachowanie, przynajmniej nie z jej strony i nie na początku popularności. Dopiero gdy Oliveira zauważył, że tajemnicza LL uskrzydła ludzką fantazję znacznie bardziej, niż mogłaby kiedykolwiek Laura da Costa, matka nieślubnego dziecka, postanowiła nadal utrzymywać swoją tożsamość w tajemnicy. Nawet jej rodzina niczego nie podejrzewała. Napisała tylko do Jakoba, a on podziwiał jej „strategię”, choć w gruncie rzeczy nią nie była.

Ach, Jakob... ogromnie jej go brakowało! Ani kilka rozmów telefonicznych, ani ożywiona wymiana listów nie mogły zastąpić mężczyzny, którego kochała - i któremu zawdzięczała wszystko, co kochała, przede wszystkim syna i sukces. Tęskniła za dowcipami Jakoba, namiętnie pragnęła jego ciała i pocałunków. Wiedziała, że częste czytanie otrzymanych listów nie zmniejszy bólu, a tylko go nasili, wciąż jednak otwierała szufladę biurka, w której trzymała korespondencję. To było silniejsze od niej - po prostu musiała jeszcze raz przeczytać ostatni list, dobrze wiedząc, że przyprawi ją o depresję.

Santa Monica, L.A., 8/4/1943

Ukochana Lauro,

wszystkie słowa świata nie wystarczą, by opisać moją tęsknotę za Tobą! Wczoraj nie wsiadłem do samolotu i nie poleciałem do Nowego Jorku, by stamtąd udać się statkiem do Lizbony. W ostatniej chwili zatriumfował rozsądek, to okropne pozbawione humoru i namiętności miejsce w moim umyśle, przez które przypominam czasem księgowego albo profesora. A propos Nowego Jorku - moja siostra zaręczyła się z bardzo religijnym krawcem z Brooklynu, masz pojęcie? Znają się ledwie cztery tygodnie, nie wiem, dlaczego tak się spieszy z zamążpójściem. Jeszcze mniej rozumiem, dlaczego dobrowolnie wiąże się z ortodoksyjnym Żydem, inaczej ją wychowano, trudno mi ją sobie wyobrazić w peruce i z gromadą obszarpanych dzieci. Może chodzi o to, że pragnie domu, takiego, jaki znaleźliśmy dawniej, rodziny i ciepłego gniazdko. Po naszych rodzicach ślad zaginął, a wieści, które docierają do nas z Niemiec, odbierają resztki nadziei. Nie, to nieprawda - iskierka nadziei tli się zawsze, niezależnie od tego, jak beznadziejna wydaje się sytuacja. Wierzę więc nadal, że pewnego dnia znowu

się spotkamy, moja piękna. Gdy wojna się skończy, a Portugalia stanie się za mała dla takiego geniusza jak LL, przyjedź. Proszę, nie zostawiaj mnie tu samego! Czy wyobrażasz sobie, jak włóczę się po Los Angeles, samotny, oderwany od korzeni, zrozpaczony? No cóż, to nie do końca prawda -wśród wielu emigrantów, których zagnało tu tak samo jak mnie, znalazłem kilkoro przyjaciół. Jest wśród nich nawet pewna malarka, nazywa się Elsa Stern, ale oczywiście nie ma nawet odrobiny Twojego talentu. Przynajmniej mnie rozśmiesza, a to już coś, bo właściwie nie mam wielu powodów do śmiechu. Do wszystkich moich problemów i zmartwień osobistych dokłada się jeszcze lęk, że niedługo stracę pracę. Dyrygent orkiestry nienawidzi mnie, nie mam pojęcia dlaczego, nic mu się nie podoba. W wolnym czasie zacząłem komponować, kto wie, może jakiemuś potentatowi filmowemu spodobają się te smutne kawałki, w których zawsze pobrzmiwają dźwięki fado. I oczywiście moje przemożne, przesłaniające wszystko pragnienie Ciebie. Kocham Cię! Zawsze.

Twój Jacob.

PS: Teraz, kiedy masz już trochę pieniędzy, mogłabyś wreszcie założyć sobie telefon. Jak cudownie byłoby usłyszeć Twój głos...

PPS: Kup akcje Coca Coli. To okropny napój, ciemnobrązowa, przesłodzona lemoniada z lekkim medycznym posmakiem, ale tu wszyscy za nią szaleją, więc pewnie wkrótce pojawi się też w Europie.

Laura ujęła list obiema dłońmi, jakby mógł odlecieć. Drżała, a oczy jej zwilgotniały, jak zawsze, gdy go czytała. I jak już wiele razy wcześniej przeanalizowała poszczególne linijki.

Jakob, a raczej Jacob przez „c”, jak się od niedawna podpisywał, był na najlepszej drodze, by zostać prawdziwym Amerykaninem. W dacie najpierw wymienił miesiąc, potem dzień - bo z pewnością nie napisał listu ósmego kwietnia. Jego portugalski też nie był tak idealny jak przed trzema laty, już samo użycie staromodnego słowa „triumfować”, które pewnie musiał sprawdzić w słowniku, mówiło bardzo wiele.

Bardziej jednak martwiła Laurę owa kobieta, Elsa. Choć z całego serca życzyła Jakobowi szczęścia i choć miała świadomość, że w ciągu trzech lat, które minęły od jego wyjazdu, nie żył jak mnich, głęboko ją dotknęło, że zaprzyjaźnił się z tą malarką. Przynajmniej mnie rozśmiesza, do diabła! Mógł po prostu przyznać, że się w niej zadurzył. Nie opowiadał o Elsie nic więcej, co samo w sobie było znaczące. Gdyby chodziło o zwykłą przyjaźń, z pewnością bardziej by się rozpisał, choćby ze

względu na jej zawód. Laura była pewna, że coś się działo między Jakobem i tą Elsą - a ona sama nic nie mogła na to poradzić.

Nie mogła powiedzieć mu o dziecku przed końcem wojny. Wszystko w niej krzyczało, by przekazać Jakobowi każdy szczegół, donieść o każdej czkawce, każdym uśmiechu, każdej kolce i każdym słowie, którego nauczył się ich syn. Ricardo był niezwykłym dzieckiem i miał wyjątkowe zdolności. To prawda, nie chodził jeszcze tak dobrze jak inne dwulatki. Żona rzeźnika z parteru, dona Maria Jose, miała córkę w podobnym wieku, która biegała już po okolicy jak dorosła. Dziewczynka w przeciwieństwie do Ricarda od ponad roku przesypiała całe noce, a dona Maria Jose nie omieszkła przy każdej okazji wypominać Laurze, że albo jej synek jest lekko opóźniony, albo ona zawiodła jako matka. Ale Laura nie wierzyła ani w jedno, ani w drugie. Nie była gorszą matką od innych kobiet, a jej Ricardo na pewno nie był mniej zdolny.

Wydawało się raczej, że został obdarzony zbyt licznymi talentami. Który dwulatek potrafi już pisać? Zgoda, Ricardo nie pisał naprawdę, ale składał z klocków z literami słowa, które gdzieś zobaczył, na przykład restaurante. Zdolności syna niekiedy lekko przerażały Laurę, zwykle jednak napawały ją niewyobrażalną dumą i wynagradzały wszystkie bezsenne noce, które nadal się zdarzały. Inaczej niż matka chłopak zdawał się nie potrzebować więcej niż czterech godzin snu dziennie i nigdy nie wyglądał na zmęczonego lub wyczerpanego. Było to zdumiewające dziecko, zupełnie zdumiewające.

Przez chwilę Laura sądziła, że jako matka dostrzega w Ricardzie więcej, niż naprawdę się w nim kryje, tak jak wszystkie matki uważają swoje dzieci za najpiękniejsze i najmądrzejsze na świecie. Ale tak nie było. Również jej własna matka, właściciel galerii Oliveira i większość przyjaciół Laury zachwycali się wszystkim, co potrafił mały. Musiała uważać, by nie uczynić z niego swego osobistego klauna, jak zdarzyło się przed paroma dniami u Olgi i Afonsa. Kazali Ricardowi pokazywać różne sztuczki, na przykład układać karty do gry w określonej kolejności, co udawało mu się bez trudu. Najwyraźniej miał fotograficzną pamięć, ale Laura nie zamierzała dopuścić, by ludzie wykorzystywali ten fenomen dla swojej rozrywki.

Jej matka była chyba jedyną osobą, która traktowała talenty Ricarda zupełnie normalnie, jakby było oczywiste, że mały potrafi to wszystko. Zachowywała się wobec wnuka tak jak babcia dwulatek, z wielką czułością. Zasypywała go pieścotliwymi zdrobnieniami, głaskała, całowała,

tuliła i dawała mu wszystko, czego niegdyś pragnęła jej córka. A zatem nie jest zupełnie oziębła, myślała Laura. Coś musiało zablokować jej zdolność okazywania miłości dzieciom - ale teraz, przy wnuku, widać, że ma serce.

Laura korzystała z pomocy matki jako opiekunki częściej, niż to uważała za słuszne. Ale chłopak ubóstwiał swoją babcię. A ona jego. Dlaczego zatem miałyby zatrudnić kogoś do opieki, skoro wszystko tak dobrze się układało? Ricardo był w dobrych rękach, matka miała zajęcie - a ona sama swobodę potrzebną do pracy.

W tej sytuacji Laura widywała matkę znacznie częściej niż przed trzema laty. Za każdym razem, gdy przyprawiała synka na Rua Ivens, powracały niemiłe wspomnienia - upokarzające kłótnie, gdy matka zawsze trzymała stronę Paula, dziwnie sterylne elegancja mieszkania, w którym nie było prawie żadnych rzeczy osobistych, takich jak zdjęcia rodzinne, głęboki smutek ogarniający Laurę na myśl, że właściwie nie ma domu - nie uważała za dom ani quinty w Pinhao, ani pensji, ani tego lisbońskiego mieszkania. Jedynym miejscem na świecie, które wywoływało w niej uczucie zbliżone do ciepła rodzinnego gniazda oraz wspaniałego odprężenia i braku przymusu, jakie daje tylko własny dom, było Belo Horizonte.

I zawsze gdy Laura wkraczała do tego mieszkania, przychodziły jej do głowy wszystkie tajemnice, które miała przed matką. Najbardziej ciążyła jej sprawa najniewinniejsza - kradzież diademu. Laura była pewna, że gdyby matka знаła powód tego czynu, wykazałaby zrozumienie. Ale nigdy nie zdobyła się na wyznanie prawdy - bo to by oznaczało, że musi zdradzić więcej informacji o ojcu Ricarda, niżby chciała. „Jego ojciec przebywa w Stanach Zjednoczonych i nie może się podjąć wypełniania obowiązków rodzicielskich w Europie” - to najwięcej, co powiedziała na ten temat. „Czy przynajmniej przysyła ci pieniądze?” -pytała dalej matka i Laura uciekła się do kolejnego kłamstwa: „Tak, oczywiście”. Jak inaczej miałyby wytłumaczyć swój nagły dobrobyt? Bo oczywiście zataiła przed matką, że to ona kryje się za pseudonimem Laura Lisboa.

Czasami matka patrzyła na nią kątem oka, co wywoływało w Laurze niepokojące uczucie, że wie o niej wszystko. Tak, były do siebie podobne nie tylko zewnętrznie - a to oznaczało zapewne, że matka z własnego doświadczenia wie, jak to jest skrywać poważne tajemnice.

Dla Juju porozumienie z córką również było trudne. Teraz gdy Laura dorosła



i sama została matką, chętnie by z nią częściej rozmawiała i nawiązała serdeczniejsze stosunki. Ale córka opierała się gwałtownie otwieraniu się przed Juju. Ich spotkania miały w sobie coś przygnębiającego, jakąś obcość, której nie powinno być między matką i córką. Juju zastanawiała się, czym na to zasłużyła. Odpowiedź podsunął jej Fernando:

- Nic dziwnego, że ci nie ufa, skoro zawsze wolałaś syna.

- Proszę, Fernando, nie zaczynaj znowu z tymi starymi historiami. Tak, możliwe, że nie zawsze byłam sprawiedliwa. Ale to było lata temu. Teraz, jako dorosła kobieta, powinna umieć zapomnieć o takich sprawach.

- Powinna? Może tak jak i ty umiesz zapomnieć? Doprawdy, Juju, jesteś najbardziej pamiętliwą osobą, jaką znam - i nie potrafisz zrozumieć tej samej cechy u swojej córki.

Juju zignorowała ten zarzut. Zamiast tego narzekła dalej:

- Zawsze mnie unika. Nie odpowiada otwarcie i szczerze nawet na najbardziej niewinne pytania. Niedawno spytałam, jaki zawód uprawia ów tajemniczy ojciec dziecka. I wiesz, co mi odpowiedziała? „Nie taki, który by choć trochę odpowiadał twoim wyobrażeniom o wypłacalnym przyszłym zięciu”. Takie rzeczy ciągle mi powtarza i szczerze mówiąc, sędzę, że to więcej niż nieuprzejme.

- Może ma rację - Fernando opowiedział się po stronie Laury, którą widział przelotnie tylko jako dziecko i znał wyłącznie z opowiadań Juju. Mimo to jej córka w niewyjaśniony sposób wydawała się mu sympatyczna. Najwyraźniej odziedziczyła po Juju wszystkie dobre cechy, ale nie te mniej pożądane, jak egoizm, materializm i próżność. - Gdyby ten mężczyzna - ciągnął Fernando - był prostym rzemieślnikiem albo drobnym księgowym - jak by ci się to podobało? Wcale. Zapewne nawet w ukochanym wnuku doszukałabyś się wtedy cech, które przypisałabyś temu nieznanemu mężczyźnie, co być może by osłabiło twoją miłość. Laura zdaje się to rozumieć. Na jej miejscu też bym nic nie powiedział.

- Nie?

- Nie.

- Zatem nasuwa się oczywiste pytanie, co jeszcze przede mną zatajasz, rozumie się, wyłącznie ze względu na mój słaby charakter i skłonność do humorów.

Fernando uniósł brew, ale nic nie powiedział. Logika Juju wymykała się jego zrozumieniu. Czy nie rozmawiali właśnie o Laurze i jej stosunkach

z matką? Jak to się stało, że Juju nagle odbiegła od właściwego tematu i zaczęła pomawiać go o skrytość?

Juju wpatrywała się w Fernanda przenikliwie, jakby mogła spojrzeniem zmusić go do odpowiedzi, ale on milczał. Gdy ogarniał ją taki nastrój, że potrzebowała kozła ofiarnego, odpowiedzialnego za wszystko, co w jej przekonaniu było niesprawiedliwe, potrafiła przekreślić każde słowo w jego ustach.

Krzyki, które nagle doszły z sąsiedniego pokoju, uwolniły Fernanda od konieczności odpowiedzi. Po raz pierwszy ucieszył się, że jest z nimi dziecko. Zwykle mu to przeszkadzało - chociaż chłopiec potrafił godzinami spokojnie bawić się sam, Fernando zawsze odnosił wrażenie, jakby mieli z Juju świadka. Malec zakłócał piękne chwile we dwoje. Juju początkowo próbowała go przekonać, że jej wnuk jest cudownym dzieckiem. Chciała namówić Fernanda, zawsze stroniącego od dzieci, by więcej zajmował się chłopcem, bo sądziła, że zaintryguje go niezwykła inteligencja Ricarda. Ale przecież każdy jest przekonany o wyjątkowości swojego potomstwa. Fernando wzbraniał się i kiedyś Juju przestała naciskać, by zajmował się dzieckiem.

- Buduje samoloty - zauważyła Juju i dopiero wtedy spostrzegła, że lepiej o tym nie wspominać. Jeszcze Fernandowi przyjdą do głowy dziwne pomysły.

- Jeśli przypominają „samoloty”, które budował w tym wieku mój syn Alberto, chodzi pewnie o niezdarne konstrukcje, pierwsze nieudane próby. Zapewne właśnie ucieszył się, że w coś trafił. Lub że coś przewrócił.

- Stałeś się taki cyniczny.

No, to wrócili do jej ulubionego tematu. Fernando nie zamierzał wdawać się w dyskusje. Jeśli ona uważa jego realistyczny punkt widzenia za cynizm, proszę bardzo.

Kręcili się w kółko, jak często w ostatnim czasie. Rozmowy, które do niczego nie prowadziły, lecz zawsze wracały do punktu wyjścia, budziły w nim wstręt.

- Muszę już iść, meu coracao.

- Tak, moje serce, wiem. Zawsze musisz iść wtedy, gdy chcę rozmawiać o nas.

Słusznie, pomyślał Fernando. Cóż było na ten temat do powiedzenia?

- Nonsens. Muszę iść, bo o trzeciej mam ważne spotkanie. Muszę się pośpieszyć, jeśli chcę zdążyć. - Wstał, objął Juju i chciał ją pocałować. Ale go odepchnęła.

- No, czemu jesteś taka niechętna?

Czemu? Juju zdumiało niewzruszenie brzmiące w tym pytaniu. Czy Fernando tylko udaje? Ach, cóż to ma za znaczenie. Właściwie powinna się cieszyć, że już idzie, bo dzięki temu będzie mogła poświęcić całą uwagę wnukowi, który wydawał coraz bardziej zachwycone okrzyki.

Fernando uśmiechnął się.

- Musisz się teraz zająć ważniejszymi sprawami niż swoim podstarzałym kochankiem, prawda? - Znów objął ją w pól i przyciągnął do siebie. Tym razem Juju pozwoliła mu na to. Pożegnalny pocałunek był piękny.

Gdy Fernando wyszedł, udała się do dawnego pokoju Laury, który przeobraziła w prawdziwy dziecięcy raj, z górami zabawek, kolorowymi tapetami i jeszcze bardziej kolorowymi obrazkami, miniaturowymi mebelkami, miękkimi, nadającymi się do raczkowania dywanami oraz zabawnymi lampkami, pozytywkami i innymi kiczowatymi drobiazgami. Jej własne dzieci nigdy nie miały takiego pokoju.

Małemu nie przeszkodziło wejście Juju. Skoncentrowany budował papierowy samolot, który nie miał nic wspólnego z „niezdarną konstrukcją”. Co prawda sprawność palców chłopca wyraźnie nie dorównywała jego zdolnościom umysłowym, ale Juju uznała dzieło za niezwykle wyrafinowane jak na tak małe dziecko. Ricardo uniósł samolot i rzucił go w stronę Juju. Trafił ją w brzuch i tak się tym zachwycił, że zamachał ramionkami, jakby sam był ptakiem, który chce wzlecieć. Spojrzał na babcie, promieniejąc radością. W bursztynowych oczach błyskały zielone iskierki.

Juju przeszło tak wielkie przerażenie, że poczuła słabość w nogach. Mocno przytrzymała się framugi. Serce biło jej jak oszalałe. Ujrzała całą scenę jak w zwolnionym tempie. Chłopca, który spoglądał na nią niepewnie, bo nie rozumiał, dlaczego babcia nie cieszy się razem z nim. Papierowy samolot ze zgiętym dziobem, który leżał przed nią na podłodze. I siebie samą, jak w chwili zrozumienia patrzy na dziecko, jakby przybyło z innego świata.

Takiego, którego Fernando nigdy nie umiał jej wytłumaczyć.

## Rozdział Trzydziesty.

Gdyby okoliczności były inne, pełen energii i entuzjazmu rozpocząłby nowe życie. Jednak w tej sytuacji chwilę trwało, nim Jakob zaczął uważać się za szczęściarza. Mówiąc dokładniej, cztery lata. Potem nagle zrozumiał, jak dobrze trafił. Los Angeles było wspaniale pobudzające, nowoczesne, niefrasobliwe, powierzchowne i tak inne od europejskich miast z ciężkim brzemieniem historii. A teraz, gdy wiele z nich zostało zbombardowanych, musiały być jeszcze bardziej przygnębiające. W połączeniu z pogodą, przynajmniej w północnych regionach Europy nazbyt często smutną i zimną, Jakob nawet nie potrafił odmalować sobie tych okropności. I nie chciał.

Słońce świeciło. Kolory biły w oczy. Jakob odnosił coraz większe sukcesy zawodowe. Miał cudowną dziewczynę. Plaża była codziennością, nie urlopową wizją. Samochody były duże i kolorowe. Ludzie byli duzi i barwnie ubrani. Śmiali się często i głośno. Lubili słodkie napoje i ogromne steki. Początkowo to wszystko wydawało się Jakobowi nieco nierealne, jakby się zgubił i odnalazł nagle na planie filmowym, w zbyt jaskrawej scenerii oświetlonej potężnymi reflektorami i zapełnionej statystami, którym nakazano ciągle się uśmiechać i ukazywać niewiarygodnie białe zęby.

- Oni tacy są - tłumaczyła mu Elsa. - Są jak wesołe, zdrowe dzieci, którym wpojono obsesję na punkcie higieny, nie tylko zębów. Uwielbiają sport i świeże powietrze, szczycą się swoją kowbojską przeszłością i dlatego tak lubią jeść rybę z grilla i pieczone ziemniaki. Miastowi pewnie żałują tylko, że nie mogą już tak po prostu rozpalać ognisk. Ale wynagradzają to sobie paleniskiem do barbecue w ogrodzie.

Jakob roześmiał się na to celowo uproszczone przedstawienie sytuacji, ale odkrył w nim ziarno prawdy. Kilkoro ich wspólnych znajomych

wykazywało tę godną pozazdroszczenia skłonność do niewzruszonego optymizmu i radości. Gospodarz Alex Grey był taki. Podobnie jak Peter Martin, sprzedawca samochodów, u którego przed kilkoma miesiącami kupili jasnozielonego chevroleta. Najbardziej traumatyczne przeżycie Amerykanów nadal stanowił atak na Pearl Harbor cztery lata temu, gdy straciło życie dokładnie 2403 ludzi. Kto nie miał synów na froncie, dla tego cały ten horror był bardzo odległy i przejawiał się najwyżej w nienawiści do Japończyków.

Lecz Ameryka nigdy nie stałaby się tym, czym była, gdyby nie stykali się tu najróżniejsi ludzie i najróżniejsze opinie. Jakob i Elsa poznali melancholików i lekkoduchów, intelektualistów i materialistów, sprytnych i naiwnych, głośnych i cichych, fanatyków sportu i moli książkowych, z zahamowaniami i bez, wielbicieli klasyki i bebopu, estetów i ignorantów, amatorów steków i wegetarian, miłośników przyrody i asfaltu, komunistów i kapitalistów - i to pośród wszelkich ras i religii, które tłoczyły się tu w niewiarygodnej różnorodności. W Ameryce było wszystko. Spotkali nawet Żydów, którzy od pokoleń mieszkali w Stanach Zjednoczonych i patrzyli na wydarzenia w Europie z niemal odpychającą obojętnością. Jednak choć ludzie ci napawali Jakoba odrazą, był zachwycony, że istnieją. Przypominali mu, że wszystkim wolno tu swobodnie wyrażać swoje zdanie.

Jakob myślał o Portugalii rzadko i jak o śnie, w którym obrazy zacierają się tym bardziej, im bardziej próbuje się je uchwycić. Wymiana listów z Laurą niemal ustała. To była jego wina. Nie tylko dlatego, że z czasem pokochał Elbę. Obarczał się odpowiedzialnością, ponieważ dobrowolnie dał się wciągnąć w american way of Uje. Lizbona stanowiła inny świat. Zaduch w nagranych domach, wąskie uliczki, po których jeździły stare electricos, przestarzałe urządzenia sanitarne, budynki zdobione kaflami azulejo i pranie rozwieszane przed oknami - to wszystko wydawało mu się teraz tak obce i odległe, jakby spędził w Portugalii jedynie krótki urlop, a nie całe lata.

Laure pamiętał jeszcze słabiej niż Lizbonę. Zdarzały się chwile, gdy widział ukochaną wyraźnie w każdym szczególe, jakby właśnie pocałował ją na pożegnanie. Zazwyczaj jednak nie udawało mu się przywołać jej obrazu - i próbował coraz rzadziej. Wiele się od tego czasu zdarzyło. A dla młodych ludzi takich jak oni pięć lat bez kontaktu fizycznego stanowiło barierę nie do pokonania. Na pewno ona także kogoś poznała -bo dlaczego nie przyjechała do Ameryki? Przecież wystarczająco często

ją o to prosił. Nie mogło chodzić o pieniądze, bo najwyraźniej udało jej się wybić jako Laurze Lisboa.

Na pewno wykaże zrozumienie, jeśli napisze jej o zbliżającym się ślubie z Elsą. Tak, zapewne nawet się ucieszy i z całego serca będzie życzyć mu szczęścia.

Laura śledziła wydarzenia polityczne w 1945 roku z radosną niecierpliwością, odkąd niemiecki dyktator popełnił w kwietniu samobójstwo. Łąd na horyzoncie! Światło na końcu tunelu! Teraz to już długo nie potrwa, skończy się ta okropna wojna, a ona wreszcie zobaczy Jakoba. I rzeczywiście, po bezwarunkowej kapitulacji Niemiec w maju wojna oficjalnie się zakończyła, choć dopiero w sierpniu ustały ostatnie działania. Zrzucając pierwsze bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki, Amerykanie nie tylko zaszokowali świat, ale także wyraźnie dowiedli swojej potęgi.

Natychmiast po powrocie z Ricardem z urlopu nad morzem, w Algarve, Laura usiadła i zebrała siły, by napisać dawno odkładany list do Jakoba. We wrześniu wciąż panowała słoneczna i ciepła pogoda. Laura była opalona i zamiast skoncentrować się na leżącej przed nią czystej kartce, gładziła z zadowoleniem pojaśniałe włoski na brązowych przedramionach. Przesuwała obrączkę na palcu tam i z powrotem, bo nie mogła się napatrzyć na białą skórę pod spodem i cieszyła się, że wkrótce obrączka pełnoprawnie znajdzie się na jej palcu - do tej pory nosiła ją tylko po to, by uchronić siebie, a przede wszystkim syna przed złośliwymi uwagami. Poza tym odczuwała zadowolenie, że pierścionek jest tak luźny. Schudła, to dobrze. Nie chciałyby już nigdy przeżyć takiego upokorzenia, jakiego doznała przed urlopem ze strony matki. Ta chciała jej podarować sukienkę, Laura odmówiła. „No cóż, pewnie i tak by nie pasowała”, powiedziała matka i rzuciła bardzo elegancką lnianą sukienkę na stos rzeczy do oddania.

Laura raz po raz wyglądała za okno. Na Tejo przepływały statki, promy przeciskały się między wielkimi dźwigami. Niebo było intensywnie niebieskie, w powietrzu pachniało słońcem. Z ulicy dochodziło trąbienie, pisk opon i hamulców oraz ryk przeładowanych samochodów wspinających się po stromych uliczkach.

Nie była w nastroju do pisania listu. Pomimo najlepszych chęci nie przychodziło jej do głowy, jak powinna przekazać Jakobowi „nowinę”

sprzed czterech lat. Mimochodem? „Aha, nim zapomnę - mamy syna”. Melodramatycznie? Chłodno? Prosząc o wybaczenie? Oskarżająco? Płaczliwie? Wesoło? Nie, żaden ze sposobów, jakie wymyśliła, nie pasował. Poza...

Laura podskoczyła, chwyciła szkicownik i kilka kredek i pobiegła do pokoju Ricarda. Chłopak był całkowicie skoncentrowany na książce, której ilustracje studiował tak uważnie, jakby kryła się za nimi jakaś tajemnica. Gdy weszła Laura, na chwilę uniósł wzrok i zaraz powrócił do zgłębiania tajemnej mowy obrazków, zrozumiałej tylko dla niego.

Laura usiadła na małym łóżku. Widziała stamtąd Ricarda z profilu. Światło było idealne.

- Malujesz obrazek? Mnie?

- Tak, mój mały. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie. Wolno ci. Mogę go dostać?

- Chciałabym go dać komuś w prezencie. Ale chętnie namaluję dla ciebie jeszcze jeden.

Chłopiec zdawał się chwilę namyślać, po czym pokręcił głową. Potem na powrót zajął się książką.

Laura była bezradna. Ciągle robił takie rzeczy, a ona nigdy nie wiedziała, co dokładnie ma na myśli. Na przykład teraz - czy jednak nie chce, żeby go malowała? A może uznał, że nie potrzebuje swojego portretu? Nieważne, pomyślała. W każdym razie nie zapytał, dla kogo przeznaczony jest obrazek. Położyła blok na kolanach i zaczęła rysować. Siedzieli tak około pół godziny, syn zatopiony w książce, matka zatopiona w pracy - ucieleśnienie najpiękniejszej harmonii.

Laura ukończyła szkic i wstała, by możliwie cicho wyjść z pokoju. Była już w drzwiach, gdy Ricardo zażądał:

- Pokaż mi!

- Proszę. Pokaż mi, proszę.

- Tak, proszę.

Pokazała. Oglądał rysunek ze znacznie mniejszym zainteresowaniem niż dziecinne ilustracje w książeczce. Odwrócił wzrok i Laura ucieszyła się, że nie zadał pytania, na które czekała. Już zamykała za sobą drzwi, gdy w ostatniej chwili dobiegł ją jego głos:

- Mae?

- Tak, synku?

- Dla kogo jest ten obraz?

- Dla mojego starego przyjaciela.

Chłopak wydawał się zadowolony z odpowiedzi, bo w ciągu kilku następnych godzin, walcząc z każdą sylabą zbyt długo odkładanego listu, Laura nie usłyszała już ani piśnięcia. Było ciemno, gdy wreszcie ukończyła wersję, którą uznała za odpowiednią.

Lizbona, 16 września 1945.

Mój drogi Jakobie!

Odpakowałeś już prezent - zamiast, jak to robią dobrze wychowani ludzie, najpierw przeczytać list. Uśmiecham się, gdy sobie Ciebie wyobrażam, i Ty się uśmiechniesz, gdy przeczytasz te słowa. Poczujesz się przyłapany na gorącym uczynku.

Zastanawiasz się pewnie, dlaczego przesyłam Ci portret dziecka, obraz, jak pewnie zauważysz, którego nie można uznać za mistrzowskie dzieło Laury Lisboa. No cóż, ukończyłam go zaledwie pół godziny temu, dziś po południu, w swoim mieszkaniu.

Przedstawia naszego syna. Ricarda.

Teraz już się nie uśmiechasz. Zadajesz sobie tysiące pytań, a nim doczytasz do końca, sięgniesz po telefon. Co mam Ci powiedzieć? Nie jest mi przykro. Zataiłam przed Tobą ciężę, aby Cię chronić. Czy mogłam podejrzewać, że minie tyle czasu, aż wojna wreszcie się skończy? Teraz, gdy nie widzieliśmy się pięć lat, opowiadanie Ci o dziecku w odległej Europie wydaje mi się równie szalone, jak Tobie musi wydawać się ta wiadomość.

Ricardo jest cudownym chłopcem, bardzo inteligentnym i ślicznym (jakże mogłoby być inaczej?), jest raczej cichy, introwertyczny. Z pewnością zostanie kiedyś wielkim filozofem lub poetą. Ach, jest tak nieskończenie wiele rzeczy, które muszę Ci o nim opowiedzieć, że nie wystarczy mi papieru ani atramentu. Może powinnam Ci teraz pozwolić sięgnąć po telefon i dać wyraz zalewającej Cię radości. Bo to właśnie czujesz, prawda? Jeśli nie, lepiej się nie odzywaj.

Ściskam i całuję, Laura.

Laura zostawiła arkusz na biurku. Chciała się przespać i wczesnym rankiem zdecydować, czy wyśle taki list. Przeciągnęła się i ziewnęła. Zupełnie zapomniała o upływającym czasie, było już po jedenastej. A Ricardo? Czy nadal siedzi na podłodze i studiuje książeczkę? Jeśli nie położy go do łóżka, nie opowie bajki i nie pocałuje na dobranoc, chłopiec na pewno nie zaśnie. Laura cicho zakradła się do dzieciennego pokoju.



Rzeczywiście, jej syn siedział na podłodze, ale zajmował się już nieco ambitniejszą książką. Nic nie świadczyło o tym, że jest zmęczony. Ani szkliste oczy, ani zaspany wyraz buzi, ani agresywne zachowanie, jakie czasami można było obserwować u innych przemęczonych dzieci. Chłopiec wydawał się równie czujny i skoncentrowany jak po południu. Było to trochę straszne. Z drugiej strony, co w tym złego, o ile rośnie i rozwija się normalnie, nie czuje się osłabiony w ciągu dnia i zawsze ma dobry nastrój? Po prostu różni się od innych dzieci, pomyślała dumnie Laura.

Przygotowała go do spania, cierpliwie odbyła codzienny rytuał długiego czytania, całowania i otulania, a potem, sama wyczerpana i śmiertelnie zmęczona, padła jak kłoda na łóżko.

Obudziła się dziewięć godzin później, odświeżona i w dobrym nastroju. Ricardo musiał wstać znacznie wcześniej, bo w kuchni odkryła ślady jego prób zrobienia śniadania. Co z niej za matka? Aby mu to wynagrodzić, zrobi naleśniki. Zawołała synka, który nie wydawał się mieć jej za złe, że tak długo spała i go zaniedbała, i który bardzo się ucieszył z naleśników. Laura wzruszyła się niemal do łez wdzięcznością i wyrozumiałością chłopca.

- Następnym razem, gdy zaśpię, po prostu mnie obudź, dobrze? - Nie chciała zatrudniać pomocy domowej ani opiekunki, która codziennie o ósmej rano stałaby pod drzwiami. Przeszkadzało jej nawet, gdy dwa razy w tygodniu przychodziła sprzątaczką. Ludziom brakowało wszelkiego zrozumienia dla życia artysty, do którego największych przywilejów Laura zaliczała możliwość dowolnego dysponowania czasem. Spała wtedy, gdy jej to odpowiadało.

Po śniadaniu wzięła prysznic. Potem jeszcze raz przeczytała list, uznała, że jest w porządku, i włożyła go do koperty. Później chciała pojechać do matki, by na kilka godzin zostawić u niej Ricarda, a przy okazji wrzucić list do skrzynki.

Dobrze było wreszcie wyznać prawdę Jakobowi. Laura miała wspaniały humor i postanowiła tym razem pokazać się matce z jak najlepszej strony. A raczej ze strony, którą matka uważała za najlepszą. Włożyła jedną z eleganckich sukienek, jakie od niej dostała, upięła włosy w dość tradycyjny, bardzo wytworny węzeł i włożyła perły, otrzymane przed laty w prezencie od rodziców. Ha, pomyślała na widok swego odbicia w lustrze, dona Juliana jak żywa!

- Wyglądasz jak babcia - zauważył Ricardo, który właśnie wszedł do pokoju.

- O, dziękuję ci, mój bohaterze! Ale chyba młodziej i ładniej niż babcia, prawda?

Wydawał się poważnie zastanawiać nad odpowiedzią, co wyraźnie popsuło radosny nastrój Laury. Nieważne, pomyślała, nie będzie się już przebierać. Uznała, że w tym nietypowym stroju wygląda nawet całkiem ładnie. Inni najwyraźniej byli tego samego zdania, bo gdy Laura, trzymając Ricarda za rękę, dreptała po bruku na wysokich obcasach, oglądało się za nią znacznie więcej mężczyzn niż zwykle. Nie podejrzewała, że powodem jest jej pogodna twarz, a nie strój.

Tydzień później nadszedł list od Jakoba. No, no, zdumiała się Laura. Nie liczyła na tak szybką odpowiedź. Pospiesznie rozerwała kopertę. Ale jej radosne podniecenie szybko przerodziło się w rozczarowanie. Jakob zwyczajnym tonem donosił o wszelkich codziennych wydarzeniach, zabawnych, pamiętnych, smutnych. Opowiadał o swojej siostrze Esther, która z ortodoksyjnym krawcem wyjechała do Izraela. Przytaczał anegdoty ze środowiska emigrantów w Kalifornii, chwalił się, jakiego miał nosa przy zakupie akcji, narzekał na kolegów z pracy i z lekką ironią wspominał o swoim podziwieniu dla stylu życia Amerykanów. Wszystko to wydawało się Laurze nędzną próbą odwrócenia uwagi od właściwego tematu, owinięcia go w tyle waty, że niemal dało się przeoczyć najważniejsze.

Rozczarowanie Laury przerodziło się we wściekłość, gdy przeczytała końcowy akapit.

„Elsa i ja w przyszłym tygodniu się pobieramy - to znaczy, gdy ten list do Ciebie dotrze, pewnie będziemy już w drodze do Nassau, gdzie spędzimy miesiąc miodowy”.

Zdanie było wciśnięte między pochwałą bogatej oferty amerykańskich supermarketów - które jeszcze nie pojawiły się w Europie - a opis pięknych krajobrazów, jakie zgodnie z przewodnikiem można podziwiać na Bahamach. Laura miała ochotę krzyknąć ze złości. Sześciostronicowy list pełen banałów zawierający to jedno zdanie, które rozrywało serce. I które, gdyby myślała trzeźwo, powiedziałoby jej, że Jakob ma wyrzuty sumienia, bo inaczej nie pisałby o swoim ślubie w tak ostentacyjnie obojętny sposób.

Ich listy musiały się minąć. No to Jack, jak się teraz nazywał, zrobi oczy, gdy wróci ze swojego honeymoon. I jak się zdziwi Mrs Jack Waizman!

Ta wizja pocieszyła nieco Laurę po stracie Jakoba. A po jakimś czasie przyznała przed sobą, że ona i Jakob stali się sobie obcy. Dawny Jakob już nie istniał. A nowego Jacka Laura nie lubiła.

Spaliła list i postanowiła w najbliższych tygodniach nie odbierać telefonów.

Jack Waizman wrócił z dwutygodniowego urlopu wypoczęty i pełen energii. Miał w głowie niezliczone pomysły i chciał szybko je zapisać, nim ulecą. Udał się do swojego studia w piwnicy ich domu w Santa Monica i pracował z energią i zaangażowaniem, jakich nie czuł od dawna. Zmiana otoczenia okazała się najlepszym lekarstwem! Kompozycje wpływały mu spod pióra, aż radość brała, i wszystkie utwory brzmiały radośnie i słonecznie. Jack wiedział, że ta muzyka utrafi w gust Amerykanów. Była dokładnie tym, co zawsze chciał komponować, ale najwyraźniej z powodu wewnętrznej blokady mu się nie udawało. Podczas podróży węzeł się rozwiązał.

Elsa cieszyła się zapalem męża. Przypisywała go pozytywnemu wpływowi małżeństwa. Byli parą już od kilku lat, lecz Jack długo zwlekał z uczynieniem ostatecznego kroku. Ciągle jedną nogą tkwił w Europie, myślał o kobiecie, którą zostawił w Portugalii, i o rodzicach, którzy zginęli w obozie koncentracyjnym. Dopiero w chwili, gdy powiedział przed kapłanem „tak” - świadomie zrezygnowali ze ślubu w obrządku żydowskim - odrzucił przeszłość i zwrócił się ku przyszłości. Elsa była szczęśliwa. Jedynym, co nieco przesłaniało jej szczęście, był fakt, że już następnego dnia po powrocie musiała udać się do firmy i zastąpić chorego kolegę. Właściwie powinna mieć jeszcze tydzień wolnego, by zająć się domem, odpowiadaniem na życzenia i podobnymi sprawami. Miło byłoby poc celebrować trochę powrót do normalności w ich małżeńskim życiu. Ale w tej sytuacji poczta, która uzbierała się podczas ich nieobecności, jeszcze przez wiele dni leżała na komodzie w korytarzu w postaci budzącego wyrzuty sumienia stosu. Oboje umyślnie go ignorowali - w nadziei, że to drugie się nad nim zlituje. No cóż, jeden dzień mniej lub więcej nie miał teraz znaczenia.

Zapewne jak zwykle i tak nie było tam nic ważnego.

## Rozdział Trzydziesty Pierwszy.

Ronaldo Silva zszedł chwiejnie z pokładu „Sanf Any”. Nie tak to sobie wyobrażał. Marzył o triumfalnym przybyciu, o euforii związanej z nowym początkiem, o szczęściu i optymistycznym mrowieniu w żołądku. Portugalia, nadchodzę! Ale nie, przez ostatnie trzy dni płynęli po wzburzonym morzu. Pod Ronaldem uginały się nogi i wciąż czuł mdłości. Gdyby przynajmniej świeciło słońce. Lecz porywisty zachodni wiatr smagał Tejo, a deszcz przesłaniał widok na Lizbonę.

Musiał obiema rękami trzymać się barierki przy trapie, by nie upaść. Żeglarski worek, który przerzucił przez ramię, cały czas zjeżdżał do przodu, więc prawym łokciem musiał go przytrzymywać, by nie spadł. Gdy wreszcie poczuł pod stopami stały ląd i mógł wreszcie ułożyć bagaż na właściwym miejscu, nie doznał ulgi. Wciąż miał wrażenie, jakby znajdował się na morzu. Ziemia wydawała się unosić i opadać w tym samym rytmie co „SantAna” na wysokich falach Atlantyku. Kręciło mu się w głowie. Ronaldo postanowił, że pozwoli sobie na taksówkę - nie dlatego, że jego kiesa była tak grubo wypchana, ale dlatego, że czuł się paskudnie i chciał oszczędzić sobie cyrku z szukaniem właściwego autobusu.

Pierwszym żywym lizbończykiem, z którym nawiązał kontakt, okazał się taksówkarz. Choć Ronaldo miał paskudny nastrój, niemal roześmiał się głośno z akcentu mężczyzny. Ha, jak w dowcipach, które w Brazylii opowiadano o Portugalczykach! Poprosił kierowcę, by zawiózł go do taniego hotelu, najlepiej w pobliżu Lapa. Tym razem to taxista się roześmiał.

- Senhor, obawiam się, że w tej okolicy nie znajdzie pan tego rodzaju noclegu. Lapa to dzielnica dyplomatów.

- No to do pensjonatu w sąsiedniej dzielnicy. Gdzieś przecież dyplomacja się kończy.

Kierowca zawiózł go w końcu do pensjonatu w Campo de Ourique. Był to rodzaj schroniska, jakich Ronaldo wyjątkowo nie lubił, z ciekawską, obłudną gospodynią i surowymi zasadami. Ale pokój był czysty i tani, więc na początek zamierzał w nim zostać. Niedługo - myślał - już bardzo niedługo nie będzie się musiał przed nikim usprawiedliwiać, gdy wróce późno, nie zdążę na posiłek lub zechcę przyjąć wizytę jakiejś damy. Przy czym to ostatnie i tak nie wchodziło w grę - wszystkie kobiety, które do tej pory Ronaldo widział w Lizbonie, albo były niezgrabne, albo miały zarost, albo jedno i drugie.

Zdegenerowany lud, gdyby go ktoś pytał. Mieszkańcy Brazylii byli po prostu bardziej urodziwi, z połączenia krwi białych, czarnych, Indian i emigrantów z Azji powstawały najpiękniejsze mieszanki i dawały zapierające dech w piersiach rezultaty. Jak on sam.

Ojciec Ronalda był Portugalczykiem, jego matka Mulatką, która z kolei urodziła się z niebieskookiego Murzyna i półkrwi indiańskiej piękności o skórze koloru kawy z mlekiem. Ronaldo odziedziczył po wszystkich przodkach to co najlepsze. Kolor oczu dwudziestolatka wahał się między szarym a jasnobrązowym, w pewnym oświetleniu zaś można było spostrzec kilka niebieskich plamek. Jego skóra miała odcień karmelowy i była jedwabiście gładka jak u niemowlęcia. Był wysoki, długonogi, o wąskich biodrach, szerokich ramionach i apetycznych pośladkach, które już niejedną kobietę skusiły do podszczypywania. Czarne, miękkie, faliste włosy nie zdradzały w widoczny sposób afrykańskiej krwi.

I dobrze, myślał Ronaldo. Jeśli w samej Brazylii panuje tak silny rasizm, jak musi to wyglądać w Portugalii? Nie miał najmniejszej ochoty być dyskryminowany jako negro. Ale takie niebezpieczeństwo nie istniało. Jego wygląd był co prawda egzotyczny, ale dało się go wytłumaczyć wszelkimi możliwymi mieszankami - równie dobrze mógł być potomkiem Araba i Hinduski. Chociaż niewiele to lepsze niż jego prawdziwe pochodzenie. Ach, wszystko jedno. Odpowiednie pieniądze pomagają rozjaśnić każdą skórę - przynajmniej w oczach innych. A Ronaldo chciał zdobyć pieniądze, tak szybko i tak dużo, jak to możliwe.

Fernando siedział przy swoim ogromnym biurku w ministerstwie obrony i rozmyślał nad tym, jak mógł ponieść tak ogromną klęskę, zarówno zawodowo, jak i prywatnie. Jego praca pod rządami dyktatora przypominała wieczny koszmar, przed którym mógł uciec, tylko biorąc

udział w puczu lub przedwcześnie wycofując się z życia zawodowego. Oba rozwiązania uważał za wykluczone. Miał pięćdziesiąt siedem lat -był za stary na powstanie i za młody, a przede wszystkim nie dość zamożny, na emeryturę. Gdyby przynajmniej odniósł sukces w życiu prywatnym. Ale rodzina znaczyła dla niego mniej, niż powinna - dręczyły go tylko wyrzuty sumienia za brak ojcowskich uczuć - a Juju coraz bardziej się od niego odsuwała. Co zrobił źle? Dlaczego go unika? Podawała wszystkie możliwe wymówki, by nie musieć go widywać tak często jak dawniej, a gdy się spotykali, najwyżej raz w miesiącu, jej uciekające spojrzenie mówiło mu, że coś przed nim ukrywa.

Matka na pewno by to wyjaśniła, pomyślał ze smutnym rozbawieniem. Za przyczynę rodzinnej porażki Fernanda uważałaby fakt, że kiedyś wszedł do domu Elisabete lewą nogą, a jego trudności zawodowe uzasadniłaby zapewne tym, że otworzył parasol w zamkniętym pomieszczeniu. Może odkryłaby również tajemnicę Juju, czytając z fusów. Takie hokus pokus zupełnie nie odpowiadało jego racjonalnemu myśleniu, w głębi serca jednak Fernando uważał zabobony matki, świeć Panie nad jej duszą, za nie bardziej nonsensowne niż wszystkie inne teorie.

- Generale, na zewnątrz czeka młody człowiek, który chciałby z panem porozmawiać. - Fernando podskoczył na krześle, gdy sekretarz zapowiedział nieoczekiwanego gościa. Z nieprzyjemnym zdumieniem zauważył, że pogrążony w myślach narysował w notatniku malutkie drzewka. Czego matka by się w tym dopatrzyła?

- Niech go pan odeśle.

Sekretarz skinął głową i opuścił biuro, by za niecałą minutę znowu stanąć w drzwiach.

- Hm, generale, ten człowiek twierdzi, że jest synem kogoś z pańskiego rodzeństwa.

Oho, coraz lepiej! Za czyjego syna chciał się podać, Marii da Conceicao? Ale ciekawość Fernanda została obudzona.

- No dobrze, może wejść.

W drzwiach ukazał się najpiękniejszy młodzieniec, jakiego kiedykolwiek widział. Fernando był otwarty na fizyczne piękno - gdy podziwiał je u kobiet. Nigdy nie zauważał, czy mężczyźni są atrakcyjni, chyba że od początku dyskwalifikowały ich wyjątkowe zniekształcenia. Ale oto stanął przed nim ktoś, kto wyglądał jak grecki bóg. Mógł nawet być Grekiem, z tą jasnobrązową skórą, czarnymi kędziorami, prostym

nosem i pełnymi, mocnymi ustami. Fernando w milczeniu patrzył na adonisa i skinieniem dał mu znać, że może przedstawić swoją sprawę.

- Dzień dobry, generale. Nazywam się Ronaldo Silva, jestem synem Sebastiao Abrantesa.

Mówił z brazylijskim akcentem, który Fernando zawsze uważał za zabawny. Gramatyka była uproszczona, wymowa znacznie bardziej otwarta - niewiele to miało wspólnego z przyzwoitym portugalskim. Fernanda tak zafascynowało obce brzmienie języka, że potrzebował kilku chwil, by dotarła do niego treść słów.

- No proszę. Czy twój ojciec nadal jest takim pijanicą?

- Ojciec nie żyje, generale.

Och. Tego się nie spodziewał. Jeśli cała historia w ogóle jest prawdziwa. Zanim pozwoli sobie na luksus chwili żałoby po Sebastiao, będzie musiał wypytać młodzieńca.

- Kiedy umarł? I jak?

- Nie znam dokładnych okoliczności. Był... nie mieszkał z moją matką. Dowiedzieliśmy się wszystkiego przez osoby trzecie. Jakieś sześć miesięcy temu miał okropny wypadek przy dźwigu. Był robotnikiem portowym.

Na pewno się upił, pomyślał natychmiast Fernando, ale powstrzymał się od powiedzenia tego głośno.

- Aha - mruknął tylko.

Piękny mężczyzna spojrział na niego wojowniczo.

- Był przecież pańskim bratem, prawda? Fernando skinął głową.

- Jeśli chodzi o tego samego Sebastiao Abrantesa. Z pewnością jest wielu mężczyzn o tym nazwisku. Od ponad dwudziestu lat nie miałem żadnych wieści o bracie.

Ronaldo rozpiął marynarkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni.

- Proszę, dostałem to od niego. - Podał Fernandowi wygięty blaszany medal.

Tak, Fernando dobrze pamiętał. Sebastiao jako piętnastolatek wygrał wioskowe zawody w siłowaniu się na rękę i otrzymał to „trofeum”. Niedobrze, gdy człowiek po pięćdziesiątce nie może wspominać większych osiągnięć niż głupie zawody, w których zwyciężył czterdzieści lat temu.

- Czy to wszystko, co panu zostawił? - Ze względu na chłopaka Fernando miał nadzieję, że nie. Kto wie, może Sebastiao mimo wszystko do czegoś doszedł.

- Nie. Poza tym zostawił mały kawałek ziemi w Bahia. Z prymitywną chatą.

- W której nie kazałby pan mieszkać nawet psu?

- Tylko mojej matce.

Fernando wstydził się swojej arogancji oraz tego, że uznał młodego człowieka za „kogoś lepszego”, czego przyczyną bez wątpienia była jego uroda.

- Przykro mi. Nie wygląda pan tak, jakby mieszkał w tak skromnych warunkach.

- Bo nie mieszkam. Już nie. Odszedłem, gdy miałem czternaście lat. Ścinałem trzcinę cukrową, zbierałem kakao, pracowałem w tartaku. W wieku szesnastu lat uzbierałem dość, by pojechać do Rio, w wieku dwudziestu lat mogłem sobie pozwolić na bilet do Europy.

- I czego spodziewa się pan po Europie? Wygląda na to, że w Brazylii dobrze pan sobie radził.

- Byłem - jestem - ciekaw moich krewnych. Ojciec opowiadał niewiele i tylko gdy byłem dzieckiem. Potem straciliśmy kontakt. W każdym razie często mówił o braciach i o siostrze, Marii da Conceicao. Wie pan, tęsknił za domem.

- Mógł pan zaspokoić ciekawość pisemnie, przysłać list, zresztą bo ja wiem.

- Tak. Ale wydaje mi się także, że mam tu lepsze szanse zawodowe.

- A kim pan jest z zawodu?

- Aktorem - powiedział Ronaldo bez cienia zawstydzienia w głosie, choć sam wydawał się sobie oszustem. Nie był jeszcze prawdziwym aktorem. Ale wyglądał jak gwiazdor filmowy. Tu, w Europie, docenią jego urodę bardziej niż w domu, gdzie było wielu takich jak on.

Fernando w duchu wywrócił oczami, lecz postanowił przestrzegać podstawowych zasad uprzejmości. - Przypadkiem moja siostra przebywa teraz w Lizbonie, a jeśli mówi pan prawdę, jest to pańska ciotka Maria da Conceicao. Proszę dziś wieczorem przyjść do nas na kolację.

Rolando uznał, że sprawdziło się wszystko, co słyszał o Fernandzie Abrantesie. To „zaproszenie” brzmiało jak rozkaz, a on czuł się tu mniej chętnie widziany niż u najbiedniejszych chłopów w najgorszej brazylijskiej chacie.

- Dziękuję, z przyjemnością przyjdę.

\* \* \*



- Bękart mojego brata przyjdzie do nas na kolację - uprzedził żonę Fernando. - Dziwny typ, przystojny, ale jakby sztuczny. - Dla siostry znalazł oględniejsze słowa: - Wygląda na to, że Sebastiao uciekł wtedy do Brazylii. W każdym razie zgłosił się do mnie taki jeden, który podaje się za jego syna. Przyjdzie do nas wieczorem.

Zarówno Elisabete, jak i Maria da Conceicao po tej zapowiedzi były wyraźnie krytycznie nastawione do młodego RONALDA. Żadna nie liczyła na rozmownego gościa ani na miły wieczór. Obie przygotowały się na nieprzyjemne pytania, gorzkie wyznania i gniewne zarzuty.

Elisabete natychmiast zaczęła podejrzewać rzekomego bratanka męża o starania o spadek, podobnie jak przedłużającą się wizytę Marii da Conceicao tłumaczyła sobie bardziej interesami finansowymi niż siostrzaną miłością. Wyniszczona kobieta, mniej więcej w wieku samej Elisabete, była dla niej ciągłym powodem do wstydu. Maria da Conceicao mówiła z ciężkim alentejańskim akcentem, ubierała się jak wieśniaczka z początku wieku i miała tak samo okropne maniery przy stole jak Fernando przed i jeszcze na początku małżeństwa. Nie dało się ukryć jej pochodzenia. Fakt, że w dodatku poszła na służbę do obcych ludzi, Elisabete uważała za szczyt hańby. Z drugiej strony należało się jednak z tego cieszyć - co by to było, gdyby ta prostytutka mieszkała w ich domu przez ostatnie dwadzieścia lat i miała wpływ na dzieci.

Maria da Conceicao czuła się równie niezręcznie. Wciąż zwracała się do bratowej per „pani” i traktowała ją z równą unizonością jak służba swoich chlebobawców. Elisabete przeznaczyła dla niej przepiękny pokój gościnny, w którym Maria da Conceicao po raz pierwszy doznała uczucia, że mogła obrać inną drogę życia. Miłość do Edmunda, tak, jej szaleństwo na jego punkcie, uczyniło ją ślepą na wszystko pozostałe. Teraz było za późno. Musiała przyznać, że dla tego nicponia odrzuciła wszystko, swoją młodość, urodę, szacunek do samej siebie. Mogła założyć własną rodzinę i dojść do pewnej zamożności. Zamiast tego cała rodzina, jaką jeszcze miała, składała się z obcego już brata, madame szwagierki oraz bratanic i bratanków z wyszukany miastowymi manierami, którzy wyśmiewali się z ciotki za jej plecami. Chociaż ona również, ze swym chłopskim sposobem myślenia, nie ufała rzekomemu synowi Sebastiao, była jednocześnie mile podekscytowana perspektywą, którą uosabiał. Bardzo chciała odnaleźć w owym RONALDZIE kogoś, komu mogłaby matkować.

\* \* \*

Około ósmej wieczorem, gdy rodzina Abrantesów zebrała się w jadalni i starała się ignorować fakt, że Maria da Conceicao zachowuje się jak służąca - naprawdę pomagała nakryć do stołu! - na dworze rozpętała się gwałtowna burza. Tuż potem rozległ się dzwonek do drzwi. Butler Jose, który nie potrafił poprawnie wymówić pompatycznej nazwy swego stanowiska, otworzył gościowi, a pan domu osobiście wyszedł do holu.

- Dobry wieczór, Ronaldo.

- Dobry wieczór, generale. - Ronaldo nie potrafił zwracać się do tego mężczyzny o surowym wyglądzie per „stryju Fernandzie”.

- Może najpierw proszę się osuszyć w łazience - powiedział Fernando, gdy Jose odebrał od młodzieńca ociekający płaszcz. Najwyraźniej chłopak nie pomyślał o zabraniu parasola. - Poczekam tu na pana - ciągnął - żeby nie musiał pan wchodzić sam do jaskini lwów.

Po chwili Ronaldo wrócił z lśnącymi wilgocią, zaczesanymi do tyłu włosami. Wyglądał oszałamiająco, czego Fernando oczywiście nie zauważył.

Ale inni tak. Gdy gość wszedł, w jadalni zamilkły wszystkie rozmowy. Elisabete patrzyła na pięknego młodzieńca, jakby nie pochodził z tego świata, i po raz pierwszy w życiu wydawała się zupełnie nie zwracać uwagi na czyjąś nieco ciemniejszą skórę. Maria da Conceicao chwyciła się za pierś, tak bardzo jej puls przyspieszył na widok tego żywego posągu. Córki Fernanda, dwudziestodwuletnia Sofia i dwudziestoletnia Ana, były bliskie omdlenia. Nawet obaj chłopcy, Marcos i Alberto, z otwartymi ustami siedzieli przy stole, podziwiając rzekomego kuzyna z Brazylii. Mieli osiemnaście i czternaście lat, ale w ich przypadku nie było mowy o męskiej zawiści - wydawali się szczerze zafascynowani młodym człowiekiem, który zupełnie nie wyglądał na ich krewnego.

- Jesteś kolorowy - wyrwało się Albertowi. - Jak możesz być naszym krewnym?

- Do licha, Betinho - naskoczyła na niego starsza siostra - zadajesz głupsze pytania niż dziecko! - Następnie zwróciła się do gościa. - Przepraszam, cousin. Proszę, usiądź. Masz ochotę na porto - mamy wspaniałą białą rocznik, bardzo stosowny jako aperitif.

Elisabete była wyraźnie ujęta zachowaniem córki. Sofia instynktownie zrozumiała,

że wszyscy pozostali są sparaliżowani ze zdumienia, więc sama przejęła inicjatywę. No proszę, co znaczy kindersztuba. Nie musiała tylko nazywać gościa „kuzynem”. To wszystko stawiało ich w niemiłej sytuacji. Czy powinni teraz zwracać się do młodego człowieka per „ty”, jak przyjęło się wśród krewnych, czy per „pan”, jak do nieznajomego?

- Dziękuję, bardzo chętnie - odpowiedział Ronaldo. Głos miał głęboki i miękki, a czarujący brazylijski akcent wywołał u obecnych dam cudowną gęsią skórę. Gość usiadł na wskazanym miejscu między Fernandem i Elisabete i uniósł kieliszek porto, który spieszenie postawiła przed nim służąca. - Bardzo się cieszę, że mogę tu być dziś wieczór. Dobrze wiedzieć, że ma się... rodzinę.

Elisabete przeszedł dreszcz. Rodzinę? To jednak pewna przesada. Fernando niemal zakrztusił się winem, ale opanował się szybko, zanim ktoś zauważył, że na chwilę stracił zimną krew. Do diabła, chłopak robił wrażenie. Marii da Conceicao ze wzruszenia zwilgotniały oczy. Rodzina była dla niej najważniejsza na świecie i cieszyła się, że jej śliczny bratanek pojał to już w tak młodym wieku.

- Czy nie ma pan rodziny w Brazylii? - spytał Marcos. Niczyjej uwagi nie uszło, że użył formalnego zwrotu.

- O tak. - I Ronaldo zaczął opowiadać - o swojej matce, której babka była jeszcze niewolnicą, o siedmiorgu rodzeństwa, które rozjechało się po wielkim kraju, by znaleźć szczęście jako rybacy, rolnicy i rzemieślnicy, o ojcu, który dawniej opowiadał mu wspaniałe historie o życiu w Alentejo, o ciotkach, wujach, kuzynach i kuzynkach, którzy mieli znacznie ciemniejszą skórę niż sam Ronaldo i jako wyznawcy candomble znali ciemne moce rządzące niebem i ziemią. Ozdabiał opowieść niezwykle szczegółami. Była mowa o węzłach, które zabił maczetą, i o spadających orzechach kokosowych, z których jeden pozbawił życia jego kuzynkę trzeciego stopnia. Opisywał chaotyczne pochody karnawałowe na ulicach Salvador da Bahia i tajemnicze zgromadzenia na plaży dla uczczenia bogini morza Iemanja.

Z ust Ronalda płynął niepowstrzymany potok słów, a słuchacze nagradzali go pełnymi napięciami minami, zaskoczonymi okrzykami - „nie, naprawdę?!” - oraz tym, że ledwo zwracali uwagę na wspaniałe potrawy na talerzach, co z kolei dla kucharki, która razem ze służącą i lokajem Jose podsłuchiwała w sąsiednim pokoju i ośmielała się czasami zajrzeć przez dziurkę od klucza, stanowiło wielką przykrość.

- Szkoda, że nie ma tu Isabel - westchnęła Ana, gdy Ronaldo zrobił przerwę, by przełknąć kawałek bacalhau a bras.

Ronaldo spojrział na nią pytająco.

- To nasza najstarsza siostra. W zeszłym roku wyszła za mąż i mieszka teraz w Londynie.

- Owszem, Isabel lubi takie udane przedstawienia. Jest pan przecież aktorem, prawda? - To właśnie Marcos, który zwykle był nieśmiały i zawsze uważał, by nikogo nie rozdrażnić i nie zranić, nagle pokazał się od swej najbardziej krytycznej i zadziornej strony. Czyżby, pomyślał Fernando, jego dzieci nie były aż tak nieudane, jak sądził? Chłopak miał najwyraźniej więcej rozumu i śmiałości, niż podejrzewał. Może jeszcze coś z niego będzie - z pewnością istnieją takie zawody dla technicznych tępaków bojących się latać, które jednocześnie nie są zbyt kobiece.

- Tak - odparł Ronaldo - jestem. - Po sztucznej pauzie podjął urażonym tonem. - Rozumiem, że jestem traktowany nieufnie. Ja postąpiłbym tak samo. Nie oczekuję przyjęcia z otwartymi ramionami. Ale chciałbym, i to z całego serca, by mnie wysłuchano, by dano mi szansę nawiązania kontaktu z rodziną, którą mój ojciec niegdyś w sromotny sposób zdradził - i pozwolono mi spłacić stare długi. - Cała przemowa byłaby jeszcze lepsza, gdyby zwrócił się bezpośrednio do słuchaczy, pomyślał Ronaldo. Lecz spojrzenie w oczy „kochanej cioci” Marii da Conceicao powiedziało mu, że osiągnął pożądaną efekt.

Z osłupienia wyrwały wszystkich pojedyncze brawa. Marcos klaskał celowo powoli, w monotonnym rytmie. Dźwięk tego wyraźnie ironicznego aplauzu wypełnił jadalnię i rozbrzmiewał im w uszach głośniej niż dzwony pobliskiego kościoła.

- Czymkolwiek i kimkolwiek pan jest - powiedział Marcos - świetny z pana aktor. Nie rozumiem tylko, dlaczego szuka pan szczęścia w Portugalii, a nie od razu w Hollywood.

Tego, przemknęło przez głowę Ronaldowi, chłopak z pewnością nie będzie w stanie pojąć. Bogate dzieci nigdy nie rozumieją, dlaczego biedne dzieci wolą twarde chleb niż obietnicę świeżego.

## Rozdział Trzydziesty Drugi.

„Lauro, jak mogłaś nam to zrobić? A przede wszystkim, jak mogłaś to zrobić naszemu synowi?”

Co w tym jest niezrozumiałego? - zastanawiała się Laura po raz setny. Gdy czytała stary list, zawsze się denerwowała, także teraz, po trzech latach. Wyjaśniała Jakobowi w niezliczonych listach i telefonach, że chciała poczekać do końca wojny, by nie narażać go na niebezpieczeństwo, a potem było już za późno. W końcu to on wziął ślub, nie ona. On zapomniał w Ameryce o portugalskiej dziewczynie, on nie potrafił wytrzymać długiej rozłąki. Ale dobrze, teraz nie będzie mu już tego wyrzucać, zwłaszcza że z czasem i ona poznała kogoś, kto pozwolił jej zapomnieć o Jakobie. Opuścił Lizbonę już dawno i choć ich miłość była tak wielka, po ośmiu latach nawet Laura przeboleła stratę.

Poinformowała też rodzinę, kim jest ojciec Ricarda. Było to nieuniknione, gdyż jej mały synek coraz częściej pytał o tatę.

- Twój papa jest Amerykaninem. To wielki muzyk, pracuje jako kompozytor filmowy w Hollywood. Jest bardzo mądry, przystojny i bogaty - wyjaśniła Ricardowi.

Ten jednak nie dał się tak łatwo zbyć. Chłopak, który wkrótce miał ukończyć siedem lat, zadawał pytania godne wielkiego inkwizytora:

- Dlaczego nie mieszka z nami? Dlaczego nie zostałaś jego żoną? Czy mnie nie lubi? Czy to prawda, że jest śmierdzącym Żydem, jak powiedział wujek Paulo?

Laura uderzyła syna, choć właściwie to Paulo zasłużył na policzek.

- Żydzi nie śmierdzą. Ale Paulo tak - chętnie grzebie w brudach innych ludzi. I owszem, twój papa jest Żydem. To znaczy, że nie wierzy tak jak my w Pana Jezusa. Ale wierzy w dobrego Boga, w dziesięć przykazań i wiele innych rzeczy, których uczysz się w szkole, w Adama i Ewę, w arkę Noego, w Dawida i Goliata. Jest dobrym człowiekiem, rozumiesz?

Ricardo skinął głową i wbił wzrok w podłogę, by mama nie dostrzegła łez w jego oczach. Był to pierwszy raz, gdy go uderzyła.

Laura wyjęła inny list Jakoba, by ponownie podbudować się fragmentem, który do dziś napełniał ją złośliwą radością. „Nasze małżeństwo nie zostało jeszcze pobłogosławione dziećmi. Do tej pory nie uważaliśmy za konieczne, by skonsultować się z lekarzem - to znaczy, odsuwaliśmy po prostu myśl o tym, że jedno z nas może być niepłodne, co łatwo nam przychodziło wobec wyzwań zawodowych. Elsa jest bardzo rozchwytywana jako rysowniczką w studiu filmów animowanych, ja sam pracuję po szesnaście godzin dziennie, by nadążyć ze wszystkimi zleceniami. Gdy się dowiedzieliśmy, że mogę mieć dzieci, Elsa zrobiła badania i rzeczywiście odkryto kilka nieprawidłowości. Ale niezależnie od tego, co będzie, Elsa mówi, że zaakceptuje mojego syna, jakby był jej własnym”.

Do tego Laura nie zamierzała dopuścić. Ta Elsa ukradła już jej mężczyznę, dziecka z pewnością nie da sobie odebrać. Nigdy nie przyjmie zaproszenia, by razem z Ricardem przyjechać z wizytą do Los Angeles, które zawarł Jakob w dalszej części listu. Będzie musiał sam udać się do Portugalii, najlepiej bez żony. Laura w każdym razie nie miała zamiaru zapraszać tej osoby ani dopuszczać jej w pobliże Ricarda.

Do listu dołączono dwie fotografie. Jedna była profesjonalnym portretem państwa Waizman, który wyglądał całkowicie sztucznie, ale pozwalał na dokładne przestudiowanie obu twarzy. Druga stanowiła migawkowe ujęcie Jakoba, jak z rozwianymi włosami jedzie na rowerze nadbrzeżną promenadą. Laura wycięła Elbę ze studyjnego zdjęcia - z całkowicie nieegoistycznych pobudek, jak sobie wmawiała, bo inna kobieta u boku ojca tylko dodatkowo zmieszałyby Ricarda. List podała. Podobnie postąpiła z wszystkimi innymi listami, które kiedykolwiek otrzymała od Jakoba. Jaki sens miało przechowywanie pamiątek po czymś, czego nie lubiła wspominać? Zachować chciała tylko zdjęcia - dla Ricarda.

- Popatrz, to Jack Waizman, twój ojciec.
- Wygląda zupełnie inaczej niż na starym zdjęciu.

To była prawda. Jedyne zdjęcie Jakoba, jakie wcześniej posiadała Laura, zostało zrobione przed 1940 rokiem i ukazywało studenta, młodego beztróskiego chłopaka, który beczelnie uśmiechał się do aparatu. Nowe fotografie przedstawiały dorosłego Jakoba, mężczyznę o smutnych oczach i ze zmarszczkami wokół ust, zbyt głębokimi u człowieka w tym wieku - miał teraz trzydzieści sześć lat. Ale to z pewnością umknie oczom Ricarda. Chłopak da się oślepić szerokiemu uśmiechowi, który

dzięki talentowi amerykańskich dentystów ukazywał rząd nienaturalnie białych zębów. Skoncentruje się na ubraniu, rowerze i tablicach reklamowych widocznych na zdjęciu, świadczących o dobrobycie i beztrójce. Myliła się jednak.

- Co to za dziwne dziurki na jego policzkach? - spytał Ricardo ostrożnie. Nauczył się już, że przy wszystkim, co miało związek z owym tajemniczym ojcem, musi wykazywać największą ostrożność. Matka zawsze reagowała bardzo emocjonalnie.

- To blizny. Blizny po trądziku. Robią się, gdy w okresie dorastania, mniej więcej w wieku szesnastu lat, ktoś ma zbyt wiele pryszczycy.

- Czy ja też będę takie miał?

- Możliwe. Ale to nic złego. Dużo ważniejsze są inne rzeczy, które odziedziczyłeś po ojcu, na przykład mądrość.

Ricardo widział to inaczej. W jego oczach mężczyzna na fotografii wyglądał na złego, z tymi bliznami i zbyt wieloma zębami w ustach. Był gorzko rozczarowany, że ten ktoś ma być jego ojcem, i wzbraniał się uznać go za takiego, a nawet tak o nim mówić. Wolał trzymać się imienia „Jack”, to brzmiało poważnie i dawało Ricardo przewagę nad wszystkimi ludźmi, dziećmi i dorosłymi, którzy śmiali się, że jego matka nie ma męża. Ale to niedługo się zmieni.

Laura poznała Felipe na wystawie w Beja. Ekspozyty były okropne. W dodatku w katalogu napisano, że artysta rozumie „łączenie stylów jako manifest przeciwko konstruktywizmowi w guście Laury Lisboa”. Laura nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Jednego nie mogła jednak zrobić - wykazać artyście i organizatorom wystawy, że w guście Laury Lisboa zdecydowanie nie było też, gdy tacy pacykarze nurzali w brudach jej imię.

- Wydaje się pani nieco... rozczarowana - zagadnął ją jakiś mężczyzna, gdy stała przed malowidłem o równie pretensjonalnym, co nieodpowiednim tytule Śmierć jeden.

- Jeśli będę choćby minutę dłużej patrzeć na tę okropność, prawdopodobnie dopadnie mnie Śmierć dwa.

Mężczyzna roześmiał się i zaprosił ją na kawę.

Felipe był profesorem literatury. Wykładał na uniwersytecie w Evorze i chciał uprzyjemnić sobie nużące odwiedziny u krewnych w Beja, wybierając się na zachwalaną w prasie wystawę.

- No to był dla pana wyjątkowo udany dzień - powiedziała Laura drwiąco.

- Ależ tak. Poznanie pani wynagrodziło mi z nawiązką zarówno okropne obrazy, jak i niestrawny keks ciotki Barbary.

To wszystko wydarzyło się niecały rok temu. Od pięciu miesięcy Laura i Felipe byli parą. A od czterech miesięcy Laura mieszkała w związku z tym w Belo Horizonte, w domu swojej ciotki Mariany, około osiemdziesięciu kilometrów od Evory. Propozycja Felipe, by wprowadziła się do niego, wydała się jej przedwczesna - podobnie jak oświadczyły.

Życie w Belo Horizonte miało po prostu zbyt wiele zalet. Było tam mnóstwo miejsca, więc Laura mogła przebudować nieużywaną stodołę na pracownię, z oknami w dachu i kominkiem. Poza tym otoczenie nadawało się idealnie dla jej syna, który był rozpuszczany przez ciotkę Marianę i znalazł miłych towarzyszy zabaw w dzieciach ciotki Octavii. I, co niemal równie ważne, sama Laura z przyjemnością zamieszkała wśród ludzi okazujących jej taką samą serdeczność, jeśli nawet nie miłość, jak sobie nawzajem. To była najlepsza rodzina, jaką kiedykolwiek miała, i nie porzuci jej lekkomyślnie, by wprowadzić się do mężczyzny, który całe dni spędzał poza domem. Nigdy więcej nie chciała czuć się tak samotna jak na pensji.

Odkąd zmarła ciotka Beatriz, nastrój w Belo Horizonte wyraźnie się poprawił. Stara wiedźma niegdyś napędzała panicznego strachu Laurze i jej kuzynkom, a okropne historie o duchach na strychu podziały również na ich dzieci. Ricardo jako jedyny odważył się tam zajrzeć, i to tylko po to, jak przypuszczała Laura, by pokazać innym, że nieślubne dziecko też jest coś warte. Dzieci jej kuzynki Octavii - dwie pozostałe córki Mariany wprowadziły się z domu - podziwiała Ricarda za tę śmiałość.

Lecz kryła się za nią nie tyle odwaga, ile raczej przekonanie, że ciotka Beatriz prowadziła tylko podłą grę. Tuż przed śmiercią wyszeptała do ucha małemu Ricardowi, który z okazji tej audiencji drżał ze strachu: „Na strychu wcale nie straszy. Ha, ha, wszystko zmyśliłam! Ale kilka duchów mógłbyś tam spotkać. Na przykład swojego dziadka”. Ricardo nie do końca zrozumiał tajemnicze przesłanie i nigdy nie spytał nikogo o jego znaczenie. Zapamiętał jedynie, że strych nie jest niebezpieczny - i nie podzielił się z nikim tą wiadomością. Nie zamierzał stracić przewagi nad pozostałymi dziećmi, zdradzając prawdę.



\* \* \*

Siódmego czerwca 1948 roku był bezchmurnym, jak na tę porę roku niezwykle ciepłym dniem. Już o świcie przez okna wpadł gorący, suchy wiatr, później temperatura miała wzrosnąć do ponad trzydziestu stopni. Dokładnie o godzinie siódmej sześć - zawsze bardzo lubił tę analogię między datą i godziną swych urodzin - Ricardo pojawił się w jadalni i spojrzał na krewnych zaspanymi oczami. Zebrali się tam wszyscy -mama, avó Mariana, Ha Octavia, tio Inacio oraz ich dzieci, Xavier i Silvia. Były to siódme urodziny Ricarda, a fakt, że sześć osób śpiewa dla niego urodzinową piosenkę, potraktował jako kolejną wskazówkę, że siódemka i szóstka mają w sobie coś wyjątkowego.

Na Ricarda czekała ogromna góra prezentów, co w pewien sposób wynagrodziło fakt, że matka nie pozwoliła mu tego dnia nie iść do szkoły. Za to po południu będzie naprawdę świętował. Zaprosił połowę kolegów ze szkoły. Xavier i Silvia przyprowadzą swoich najlepszych przyjaciół, przyjdzie kilkoro dzieci z okolicy i zjedzie się mnóstwo krewnych, między innymi jego wujek Paulo i prawdziwi dziadkowie, avó Juliana i avo Rui, na co cieszył się tylko dlatego, że przywiozą prezenty. Poza tym napawali go strachem - babcia Juliana zawsze patrzyła na niego tak dziwnie, że dreszcz przebiegał mu po plecach. Swoją „przyszywaną” babcię, avó Marianę, lubił znacznie bardziej.

Laura wiedziała, jakie znaczenie mają dla dzieci udane urodziny. Być może, myślała, nieco przesadziła, urządzając takie zamieszanie - czym, tego była wyraźnie świadoma, rekompensowała sobie brak podobnych uroczystości w dzieciństwie. Ale jej syn nigdy nie powinien mieć wrażenia, że jego święto nie jest traktowane poważnie. Lepiej zaangażować o stu magików za dużo niż o jednego za mało. Chłopakowi i tak nie było łatwo.

To, że jej rodzice nie opuszczali żadnych urodzin wnuka, dowodziło tylko, że chcieli jako dziadkowie nadrobić zaniedbania wobec Laury. Siódmy czerwca był praktycznie jedynym dniem w roku, gdy spotykała się cała rodzina. Ojciec uda się samochodem do Lizbony, skąd zabierze matkę i Paula, i razem z nimi przyjedzie tutaj. Będą stwarzać przed wszystkimi pozory normalności, by następnego dnia wyjechać i ponownie pójść osobnymi drogami. I choć Laurze bardzo nie podobała się ta poza, tolerowała ją ze względu na Ricarda.

Gdy zjawili się da Costowie, Ricardo bawił się z chmarą dzieci w ogrodzie. Zawołano go do domu, by powitał przybyłych, więc z ciężkim sercem oderwał się od zabawy. Nienawidził tych wszystkich uścisków i niechętnie na nie przystawał. Jedynie tio Paulowi, o którym mama twierdziła, że śmierdzi, Ricardo pozwolił się obejmować nieco dłużej. Ale ten pachniał tylko perfumami.

Nieco później zjawił się również Felipe, którego Laura przedstawiła jako swojego narzeczonego. Paulo sceptycznie uniósł brew, ale go zignorowała. Biedny Alberto Baiao, który nadal spoglądał na nią zakochanym wzrokiem, choć od lat miał własną rodzinę, spadł boleśnie z chmur na ziemię, ale jakoś się pozbierał. Rodzice na szczęście powstrzymali się od komentarzy - Laurze byłoby niewypowiedzianie wstyd, gdyby ojciec wiercił biednemu Felipe dziurę w brzuchu pytaniami, jakie zadawałby dawniej narzeczonemu córki. Jednak żadne „młody człowieku, czy zdoła pan w ogóle utrzymać żonę?” ani tym podobne nie przeszło Ruiemu da Coście przez usta. Myślami wrócił do roku 1915.

Juju także pamiętała. Było wtedy gorąco. Wyszła z Ruim na werandę, na wyraźne życzenie ich matek. Spodobali się sobie. Podziwiali zachód słońca i krajobraz. We wspaniałych zachodach słońca i w idyllicznym krajobrazie nic się nie zmieniło. Tylko oni sami nie mieli już nic wspólnego z tymi młodymi, pełnymi nadziei ludźmi, którzy dokładnie w tym miejscu, w bardzo podobny dzień, nawiązali zapoczątkowany przez rodziców flirt.

Dziś siedzieli tu razem z innymi dorosłymi, pili przez słomki koktajle i patrzyli na bawiące się dzieci. Była to scena emanująca wielkim spokojem, z pszczołami przylatującymi do słodkich napojów, z wypiekami i słonymi przekąskami podanymi na białym obrusie, z gośćmi w świątecznych ubraniach i z porzrzuconymi na ziemi strzępami ozdobnego papieru i kokard. Wiał silny wiatr. Czasami róg obrusa pod-fruwał do góry i groził przewróceniem szklanki. Ale nic się nie działo, wszyscy rozkoszowali się powiewami. Dzięki nim nie odczuwało się tak bardzo upału.

Nagle wyjątkowo silny podmuch wyrzucił słomki i papierowe parasolki ze szklanek. Roześmieli się. I jeszcze nim zdążyli wydać służbie polecenie pozbierania słomek z grządek kwiatów, załatwiły to dzieci. Dziewczynki natychmiast schwyciły parasolki i włożyły je sobie za uszy jak egzotyczne ozdoby. Octavia nic nie powiedziała, ale z przerażeniem myślała o pozlepianych za uszami włosach swojej Sihdi.

Ricardo wziął dwie słomki i patrzył na nie zamyślony. Nikt nie zwracał uwagi na chłopca, który ze swym łupem usiadł na grządce i zaczął coś majstrować. Podskoczył, zebrał pod drzewem figowym kilka pięknych, dużych liści i wyrwał kilka źdźbeł trawy. Potem znów usiadł i z wielką cierpliwością i fantazją przystąpił do budowy samolotu. Słomki tworzyły podłużną oś, liście powierzchnie nośne, a źdźbła służyły do umocnienia konstrukcji. Dzieło wydawało się zupełnie niezdolne do lotu i brzydkie - a jednak miało duży zasięg i lepszą aerodynamikę niż jakikolwiek samolot zmajstrowany do tej pory przez Ricarda. Może to wiatr sprawił, że słomkowo figowy samolot poleciał tak daleko. Później się nad tym zastanowi. Teraz chciał się upajać widokiem twarzy dorosłych, którzy ze zdumieniem patrzyli na jego dzieło i podziwiali precyzyjne lądowanie pośrodku patery z keksem. Najzabawniejsza wydała mu się przerażona mina babci Mariany.

Tego wieczoru starsi państwo położyli się wcześniej. Średnie pokolenie - Laura, Felipe, Paulo, Octavia i jej mąż Inacio oraz sąsiedzi Alberto i Rosa Baiao - grało w karty, podczas gdy rozbrykane dzieci bawiły się w ciemnościach w chowanego. Od czasu do czasu słychać było głośny pisk lub groźne pohukiwanie. Laura była skrepowana, że państwo Baiao zostali tak długo. Wiedziała, dlaczego, i sądziła, że żona Alberta też wie. Siedział bez końca, a im więcej pił, tym smutniej szukał kontaktu wzrokowego z Laurą. Uciekała spojrzeniem i zastanawiała się, jak elegancko się ich pozbyć. Jeśli Alberto nie przestanie pić, będą go musieli zanieść do domu, do Herdade do Bom Sucesso.

Na piętrze nie wiedzano nic o zmartwieniach młodszych. Tutaj toczono własne wojny. Rui udał się już do łóżka, a teraz leżał i bez przyjemności czekał, aż dołączy do niego kochana żona. W Belo Horizonte nie było dość pokoi, by mogli spać osobno, a poza tym gospodarzom wydałoby się to więcej niż dziwne. Nie wiedział, czy zdoła zasnąć, jeśli Juju będzie leżeć obok. Ale dopóki na nią czekał, na pewno mu się to nie uda.

Na korytarzu Mariana wzięła siostrę na stronę i zaciągnęła do pokoju, w którym od śmierci Octavia każda płaska powierzchnia była zastawiona jego portretami.

- Musisz im powiedzieć.

- Komu powiedzieć o czym? - Juju dobrze wiedziała, co Mariana ma na myśli.

- Musisz wyznać Laurze, kto jest jej ojcem, żeby pewnego dnia mogła powiedzieć synowi, kto jest jego dziadkiem. I oczywiście musisz powiedzieć Fernandowi.

- Jeśli Ricardo się dowie, że nie tylko nie zna swego ojca, ale także jego dziadkiem jest ktoś inny, nie ten, którego do tej pory tak nazywał, ostatecznie się załamie. Już jest odludkiem. Nie mogę tego zrobić.

- Więc zostaw decyzję Laurze. Jej w każdym razie musisz wyznać prawdę. I wyobraź sobie twarz Fernanda, gdy dowie się, że macie córkę, a nawet wnuka.

- Właśnie to robię, Mariano. Wyobrażam sobie twarz Fernanda, gdy odbywam spowiedź życia. I to wyobrażenie zupełnie mi się nie podoba. Zdajesz się wierzyć, że będzie szczęśliwy. Za to ja sądzę, że mnie znienawidzi. Nazwij to egoizmem, ale nie chcę spędzić ostatnich lat życia w smutku, bo jedyny mężczyzna, którego kochałam, mnie odrzucił.

- Po pierwsze, masz dopiero pięćdziesiąt sześć lat, kilka ci jeszcze zostało. Po drugie, nie powinnaś sobie psuć tych lat kolejnymi kłamstwami. Nie widzisz, Juju, że gdy chcesz ochronić innych, zawsze szkodzisz tylko sobie? W rzeczywistości nie jesteś wystarczająco egoistyczna.

- Mariano, wiem, że dobrze mi życzysz. Tak jak dobrze życzysz wszystkim. Laura i Ricardo czują się tutaj bardziej w domu niż u mnie. Ale pozwól mi zdecydować samej. Wyświadczy mi tę przysługę i nie mieszaj się do tego.

- Bez obaw, tego się już nauczyłam. Ostatnio gdy chciałam się bawić w dobrą wróżkę, swoją reakcją zepsułaś mi przyjęcie zaręczynowe.

Siostry popatrzyły sobie poważnie w oczy. Juju uśmiechnęła się pierwsza. Potem również Mariana na wspomnienie katastrofalnej uroczystości wykrzywiła usta w słabym uśmiechu. Juju głośno parsknęła -i wreszcie obie roześmiały się na całe gardło.

- Zwymiotowałam to okropne medronho papy!

- Tak, a Rui otarł ci resztki z ust jak dziecku!

Obie śmiały się do łez i przywoływały kolejne strzępki wspomnień dawnych szaleństw i grzechów młodości. Jednak reszty rozmowy matki i ciotki Mariany Paulo już nie słyszał. Na palcach opuścił swoje stanowisko. Całkowicie wystarczało mu to, czego się dowiedział.

Nie usłyszał też, jak mały Ricardo zwabiony śmiechem, który słychać było nawet w ogrodzie, wszedł do pokoju.

- Babciu?

Nie usłyszał też, jak Juju i Mariana jednocześnie odparły:

- Tak?

Nie widział również, jak jego matka szybko wyszła, by się wypłakać w swojej sypialni, dlatego że uwielbiany wnuk nie ją, lecz Marianę uważa za swą „prawdziwą” babcię. Jednak w sypialni czekała na Juju kolejna niemiła niespodzianka. Nie mogła po prostu rzucić się na łóżko i dać upustu łzom. Leżał tam jej mąż. Niestety, też nie ten „prawdziwy”.

## Rozdział Trzydziesty Trzeci.

Generał dywizji w stanie spoczynku Antonio Alves Ferreira nie dostrzegał wielu zalet starości. Mądrość? Doświadczenie życiowe? Dobroć? Co z tego, kiedy wszyscy naokoło umierali, kiedy samotnego emeryta nikt nie traktował poważnie? Skoro niemal głuchy i w połowie ślepy nie mógł już latać? Nawet Abrantes, który czasami zapraszał go na wspólny lot, zdawał się odwracać od dawnego protektora, co jednak wynikało raczej z braku czasu niż z braku wdzięczności. Chłopak działał teraz na arenie międzynarodowej, jako doradca wojskowy czy Bóg wie kto, odkąd Portugalia w kwietniu 1949 roku razem z jedenastoma innymi państwami powołała Pakt Północno atlantycki.

Żona Ferreiry zmarła, a jego dzieci interesowały się bardziej własnymi dziećmi niż starym ojcem, przez co życie miało dla niego tylko jeden jasny punkt - śliczne młode kobiety. Generał dywizji w stanie spoczynku odczuwał ogromną dumę z tego, że w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, choć niezbyt dobrze już widział i słyszał oraz stracił większość własnych zębów, pod innymi względami był jeszcze w pełni sił. Nadal mógł dawać kobietom przyjemność, pomijając drobne prezenty i uprzejmości. I tak oto zdarzyło się, że generał dywizji w stanie spoczynku, po życiu bogatym w zawodowe i miłosne sukcesy, zmarł w białych, miękkich ramionach pulchnej damy imieniem Lucinda. Miało to miejsce dwie minuty przed północą, w chwili największego uniesienia. Młodą kobietę fakt ten wprawił w wielkie oszołomienie, a generała dywizji w stanie spoczynku nappełnił głębokim zadowoleniem. Czyż, zdążył jeszcze pomyśleć, może być piękniejsza śmierć?

Pogrzeb Miguela Antonia Alvesa Ferreiry przypadł tego samego dnia, kiedy Fernando Abrantes miał się spotkać w Paryżu z wysokimi rangą

przedstawicielami pozostałych krajów NATO na rozmowy dotyczące utworzenia wspólnych sił zbrojnych. Fernando ogromnie żałował, że nie może złożyć ostatnich wyrazów szacunku mężczyźnie, który przez lata był mu przyjacielem i protektorem. Ale, powiedział sobie, Ferreira zapewne chciałby, żeby przedkładał interesy żywych nad interesy zmarłych. Po powrocie z Paryża uda się na grób i wtedy, w samotności i spokoju, wyrazi swój smutek.

Gdy jednak wrócił, o spokoju nie mogło być mowy. Ku własnemu zaskoczeniu został wybrany na przewodniczącego Komitetu Wojskowego Rady Północno atlantyckiej - co wymagało przeprowadzki do Paryża. Elisabete była niezwykle podekscytowana. Cieszyła się, że teraz, gdy czworo dzieci wyprowadziło się już z domu, otwierają się przed nią nowe perspektywy. Gorączkowo zajęła się przygotowaniem do przeprowadzki oraz wyborem renomowanej szkoły dla najmłodszego syna, szesnastoletniego Alberta. Sam chłopak przyjął nadchodzące zmiany z wielkim opanowaniem, co upewniło jego ojca w przekonaniu, że syn jest na wskroś flegmatykiem. Alberto nie zamierzał udowodniać ojcu, że jest wręcz przeciwnie. On także cieszył się z wyjazdu i miał wiele planów, które we Francji mógł zrealizować znacznie skuteczniej niż w Portugalii.

Wyobrażał sobie, jak obraca się wśród literatów, odwiedza piwniczki jazzowe, przenika do kręgów filozofów - i wszędzie tam, pomimo młodego wieku, wzbudza zachwyt swym intelektem i zrozumieniem głębi ludzkiej duszy. Wyobrażał sobie również, że pozna miłość, że w intymnych rozmowach i ekstatycznych uściskach połączy się z jakąś uduchowioną piękną. Gdzie realizacja takiej wizji była bardziej prawdopodobna niż w mieście miłości?

Tylko Juju ogarnęło śmiertelne przygnębienie. Jeśli teraz opuści ją jeszcze Fernando, zostanie zupełnie sama. Odkąd Laura i Ricardo przeprowadzili się do Alentejo do Mariany, całe jej życie skupiło się na Fernandzie. Gdy on odejdzie, pozostanie tylko pustka - bo z trzech możliwych rozwiązań żadnego nie brała pod uwagę. Mogła także wyjechać do Belo Horizonte, ale po tak długim czasie spędzonym w mieście prawdopodobnie nie umiałaby się dostosować do tamtejszego życia. Mogła się przenieść do Paryża, ale to wydawało się jej zbyt nachalne. Kobieta musi przecież zachować pewną niezależność. Po trzecie, mogła zacząć się bardziej zajmować swoim najmłodszym wnukiem, pierworodnym Paula. Wiedziała jednak, że żona Paula, obłudna, dogłębnie

konserwatywna i świętoszkowata kobieta z mieszczańskim rodowodem, nie cierpi teściowej. W jej oczach była niemoralną osobą, reliktem swobodnych lat dwudziestych - a Juju nie miała najmniejszej ochoty podlizywać się swojej okropnej synowej, by cieszyć się bliższym kontaktem z wnukiem. Dwie wizyty tygodniowo musiały wystarczyć.

Co zatem zostawało? Jedyne nadzieja, że Fernando nie zapomni o niej w Paryżu i że szybko wróci. Jak długo trwają takie wyjazdy? No cóż, kiedyś i ten się skończy, choćby dlatego, że Fernando przejdzie na emeryturę. Ale to nastąpi dopiero za jakieś sześć lat! Nie - wykluczone! No dobrze, więc Juju ponownie odkryje swoją miłość do Paryża i zacznie jeździć tam kilka razy do roku, pal sześć dumę. Właściwie była to przyjemna wizja; jak w dawnych czasach zamieszkać w eleganckim Grand Hotelu i, w pewnym sensie na neutralnym gruncie, ponownie obudzić ich dawną namiętność.

Paulo da Costa urządził się niezle. Miał dwadzieścia osiem lat. Stare błędy zostały zapomniane i, również dzięki ślubowi z Fatimą, udało mu się stworzyć pozory całkowitej przyzwoitości. Teść załatwił mu ładne stanowisko w tajnej policji PIDE, Policia International e de Defesa do Estado, co zamknęło usta nawet jego ojcu, który ciągle narzekał na niesamodzielność syna. Oczywiście nie zrezygnował z dochodów napływających z ojcowskiego przedsiębiorstwa - doprawdy nie musiał żyć jak drobny urzędnik. Do pełni jego szczęścia przyczynił się nowo narodzony syn, choć Paula nie zachwycały ani nocne krzyki dziecka, ani wielkie jak spodki sutki żony. No cóż, to pierwsze z czasem minie, a tym drugim nie musiał się zadowalać.

Pewnego pięknego jesiennego dnia siedział w swym skromnie umeblowanym biurze przy Rua Antonio Maria Cardoso, tuż w pobliżu mieszkania matki, i jak zwykle otworzył najpierw gazetę. Jednak tym razem oprócz doniesień sportowych znalazło się coś, co obudziło jego zainteresowanie. Najczęściej obojętnie kartkował pozostałe strony. Lektura dostarczała mu przyjemności tylko dlatego, że skracala czas pracy i dawała Paulowi poczucie, że jest ważny. Gdy pozostali pracownicy przychodzili do biura, mogli zobaczyć, jak czyta część gospodarczą, co jednak zdarzało się rzadko. Dziś wszakże był naprawdę podekscytowany tym, co napisano w artykule pod fotografią i co wyrwało go z porannej ospałości.



Generał Fernando Abrantes, przeczytał Paulo, wkrótce uda się do Paryża, by tam przewodniczyć Komisji Wojskowej Rady Północno atlantyckiej. W artykule przedstawiono wspaniałą karierę generała oraz jego wzorowe życie rodzinne. Ha! Wzorowe mogły być zdrady małżeńskie bohaterskiego generała, pomyślał Paulo. Dla niego samego tacy mężczyźni stanowili wspaniały wzór, ale raczej nie to miał na myśli autor artykułu.

Paulo raz po raz spoglądał na zdjęcie i zawsze dochodził do tego samego wniosku - to bez wątpienia mężczyzna z fotografii, którą przed wieloma laty zabrał matce, ten sam, który dawniej regularnie przychodził z wizytą na Rua Ivens i którego nazwiska Paulo nigdy nie poznał. Nie pamiętał już, gdzie schował stare zdjęcie. Na pewno go nie wyrzucił. Pewnie leży gdzieś w kartonie razem z książkami, albumami i listami, które po ślubie i przeprowadzce do Lizbony schował na strychu i o których pewnie by zapomniał - gdyby nie ten artykuł.

Kiedy nie tak dawno temu, podsłuchując rozmowę między matką i ciotką Marianą, Paulo dowiedział się, że ojcem Laury jest niejaki Fernando, był co prawda zachwycony, ale ani trochę mądrzejszy niż wcześniej. Teraz jednak wszystkie elementy układanki utworzyły jasny obraz. Fernando Abrantes był kochankiem jego matki - najwyraźniej przez wiele lat. Między poczęciem Laury a wspomnianą „kuracją” upłynęło dwanaście lat, policzył. Kto wie, może szacowna dona Juliana i wzorowy senhor Fernando nadal są kochankami? Ale nie, w ich wieku potrzeby fizyczne prawdopodobnie się już nie liczą. Mimo wszystko Paulo postanowił złożyć wizytę wysoko odznaczonemu generałowi, i to możliwie szybko, nim ten uda się do Paryża.

Sekretarz generała Abrantesa mocno się zdziwił, gdy po raz drugi w ciągu dwóch lat stanął przed nim bratanek przełożonego. Cóż za niezwykle nagromadzenie bratanków! A przecież wcześniej, w ciągu piętnastu lat jego służby u generała, żaden nie złożył uszanowania.

- Panie generale, jest tu młody człowiek, który pragnie z panem mówić - zapowiedział gościa i by ubiec wszelkie próby odmowy, dodał zaraz: - Twierdzi, że jest pana bratankiem.

Fernando wywrócił oczami i przypomniał sobie z niesmakiem dzień, gdy zjawił się Ronaldo.

- No, no. Zatem niech go pan wpuści.

Gdy wszedł Paulo, Fernando pozornie zachował całkowity spokój, w duchu jednak zdrętwiał. Znał chłopaka czy raczej młodego mężczyznę, na jakiego wyrósł Paulo, z fotografii, które pokazywała mu Juju. Znał go również z jej opowiadań i choć wiedział, że Juju przemilczała przed nim najbardziej niekorzystne fakty, było jasne, że chłopak nie ma za grosz charakteru. Ale nie powinien dać po sobie poznać ani niechęci, ani tego, że rozpoznał gościa. Oficjalnie wcale go nie znał.

Pytająco uniósł głowę. Z tego ruchu przemawiała pewność siebie oraz wieloletnia wprawa w okazywaniu innym swojej wyższości. Młody człowiek nie dał się jednak onieśmielić.

- Dzień dobry, generale - powiedział pewnym siebie tonem. - Nazywam się Paulo da Costa i oczywiście nie jestem pana bratankiem. Sądziłem jednak, że to najlepszy sposób, by zostać do pana dopuszczonym.

- Pięknie. Czy teraz, gdy osiągnął pan cel, wyjaśni mi pan, co mają znaczyć te niskie sztuczki? I to możliwie krótko, mój czas jest bardzo ograniczony.

- Z przyjemnością. Jestem synem pańskiej kochanki, dony Juliany da Costa. Pod tym względem jestem dla pana rzeczywiście kimś w rodzaju bratanka, prawda?

- Jak pan śmie tak twierdzić? Będę zmuszony poprosić pana o natychmiastowe opuszczenie mego biura.

- Och, może pan poprosić. Jednak nie sędzę, żebym posłuchał pańskiego nakazu. - To mówiąc, Paulo wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki zdjęcie i położył je przed Fernandem na biurku. - To pan i moja matka w roku 1928 w Cannes, jak na szczęście głosi podpis.

- I? - Fernando z trudem hamował wściekłość. Domyślał się, do czego to wszystko zmierza.

- I wyobrażam sobie, że dla człowieka na pańskim stanowisku nie byłoby zbyt korzystne, gdyby opinia publiczna dowiedziała się o tym związku.

- O jakim związku pan mówi? Czy poważnie wierzy pan, że stara fotografia czegokolwiek dowodzi?

- Tak. - Paulo chętnie rzuciłby całą prawdę w twarz temu mężczyźnie, który zachowywał zaskakująco zimną krew. Jednak stary mógłby się wręcz ucieszyć, gdyby się dowiedział, że Laura jest jego córką.

- Cóż, widzę na zdjęciu dwie osoby, siebie i dawną znajomą z dzieciństwa, które w przyjacielskim objęciu pozują do fotografii, na co wpływ miało zapewne otoczenie i piękna pogoda.

- Tak? Ja widzę na zdjęciu dwoje ludzi, pana i moją matkę, którzy obejmują się miłośnie i najwyraźniej spędzają razem urlop z zamiarem dopuszczenia się zdrady małżeńskiej.

- To wyłącznie pański problem, młody człowieku. Ponieważ najwyraźniej nie wie pan, co zrobić ze zdjęciem, proszę, by mi je pan zostawił. Dla mnie ma przynajmniej pewną wartość... pamiątkową.

Paulo triumfował. Aha, pomyślał, więc jednak. Stary chce odkupić zdjęcie. Teraz musi tylko ostrożnie wybadać grunt, by go nie spłoszyć.

- Cóż, byłbym gotów dać panu tę fotografię, która przedstawia moją matkę jako młodą kobietę, więc i dla mnie ma wysoką wartość - rozumie się, nie bez wzajemnej przysługi.

Fernando milczał. Wpatrywał się w zdjęcie, którego odbitki sam nie miał. Jakie to były cudowne dni!

Wyglądali tak młodo i na takich zakochanych! Mój Boże, to już ponad dwadzieścia lat. Gdzie się podziały te lata? Oddałby majątek za ową fotografię, która przypominała mu o czasach, gdy ich miłość była jeszcze świeża, gdy nadzieja, że wszystko - kiedyś, jakoś - dobrze się ułoży, nie rozwiała się jeszcze w codziennych zmartwieniach i rutynie. Ale Fernando nie mógł i nie chciał nagradzać tego potwora, tego złodzieja i szantażysty, za jego występki.

- No cóż, w takim razie trudno. Jestem pewien, że w prasie zapłacą panu kilka escudo. Właśnie teraz, gdy tyle o mnie piszą, na pewno się ucieszą, mogąc opublikować takie piękne zdjęcie z lat mojej młodości. Mnie także bardzo by to odpowiadało. Aktualne fotografie są raczej... mniej pochlebne.

Paulo na chwilę zaniemówił. Stary cap nie chciał podjąć gry. Tego nie przewidział.

- Do niewidzenia, młody człowieku. I proszę przekazać swojej mamie moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

Audiencja była skończona. Paulo pienieł się z wściekłości. Ale co mógł zrobić? Stał bezradny w biurze generała i zastanawiał się gorączkowo, jak odwrócić sytuację, gdy usłyszał zimny, rozkazujący głos: - I niech jej pan również złoży moje szczere wyrazy współczucia. Dona Juliana nie zasłużyła na to, by mieć za syna takiego drania.

Paulo obrócił się na pięcie, zaczerwieniony minął w przedpokoju sekretarza i starał się nie wyrządzić kopniakami i podobnymi atakami większych szkód ani w windzie, ani w szklanych drzwiach wejściowych. Zachować spokój, powtarzał sobie, tylko spokój. Z czasem znajdzie się rada.

Fernando siedział nieporuszony za biurkiem. Poleciał sekretarzowi, by w ciągu następnej półgodziny nie łączył telefonów, nie zapowiadał gości i w ogóle już nigdy nie wpuszczał żadnych „bratanków”. Był zszokowany. Na jakim świecie żyje? Na świecie, gdzie pałętają się świny takie jak Paulo da Costa, ludzie, którzy chcą sprzedać własną matkę? Fernando chętnie zadzwoniłby teraz do Juju, by jej opowiedzieć o okropnym zajściu. Ale czy naprawdę mógł to uczynić? Jak przystało na matkę, stanęłaby po stronie syna. Prawdopodobnie nawet nie uwierzyłaby w to, co właśnie miało miejsce. Oskarżyłaby Fernanda o przesadę, zaprzeczyłaby, że jej ukochany Paulinho zdolny jest do tak haniebnych czynów, a gdyby spytał ją o fotografię, powiedziałałaby, że po prostu zaginęła. W rezultacie ukarałaby jego, nie Paula.

Fernando nie martwił się o to, że Paulo przysporzy mu poważnych problemów. Elisabete w zasadzie już wiedziała, podobnie Rui - równie dobrze mogli więc poznać tożsamość kochanków. Ich dzieci, z wyjątkiem Alberta, były dorosłe i nie martwiłyby się zbytnio ani nie obawiały, że rodzice się rozejdą. Prasy i opinii publicznej nie zainteresują stare prywatne fotografie. Fernando nie był gwiazdą filmową, tylko generałem, któremu poświęcano nieco miejsca na stronach dotyczących polityki, a i to jedynie chwilowo. Nawet Antonio Egas Moniz, tegoroczny portugalski laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, nie utrzymał się na tytułowych stronach dłużej niż trzy dni. Zamieszanie wokół osoby Fernanda ucichłoby w ciągu kilku tygodni i nikogo naprawdę nie obchodziłoby, czy, kiedy i z kim wyjechał na Riwierę. Poza tym mógłby wszystkiemu zaprzeczyć, tak jak to uczynił wobec Paula. Mógłby nawet zdradzić część prawdy, by dodać sobie wiarygodności: „Ach tak, w młodości szalałem za tą dziewczyną. Dzieci, dzieci, ależ ten czas szybko płynie”.

Dokładnie po trzydziestu minutach zadzwonił telefon. Fernando potrzebował kilka minut, by wrócić do terażniejszości i pojąć, czego rozmówca od niego chce. Paryż. NATO. Unia Zachodnia. Pakt o wzajemnej pomocy. MC 14/1. Sprawy, którymi i tak nie chciał obciążać Juju.

Może to i lepiej, że w najbliższych latach będzie musiał z niej zrezygnować.

## Rozdział Trzydziesty Czwarty.

Antonio Cabral był przyzwyczajony do tego, że go nie słuchano. Był też przyzwyczajony, że uczniowie rzucają w niego papierowymi kulkami, wykonują za jego plecami obsceniczne gesty, których znaczenia nie rozumieją, a nawet przechwalają się tym, jak złe oceny dostają z matematyki. To niełatwy los być nauczycielem w wioskowej szkole. Znacznie chętniej zostałby duchownym, ale ta droga została przeznaczona dla jego młodszego brata. On sam ustąpił naciskom rodziców i poszedł w ślady ojca. Profesor Cabral już dawno przestał się zastanawiać, jak mógł dopuścić, by sprawy zaszły tak daleko. Nie roztrząsał również kwestii, dlaczego, na Boga, wioskowego księdza i nauczyciela uznawano za najważniejsze osobistości w lokalnej wspólnocie. W jego oczach obaj byli tylko biedakami, którzy przez całe życie na próżno zajmowali się tym, by z głupich dzieci uformować ludzi popełniających wcale nie takie głupie grzechy. Cabral miał teraz pięćdziesiąt osiem lat i interesowała go już wyłącznie emerytura. Miał dość bezczelnych dziewczuch, nieokrzesanych ówków i bezwstydných łobuzów.

Jedynę, do czego Antonio Cabral nie przywykł, to krytykowanie treści lekcji. Wielokrotnie zakłócano spokój, ale żeby jakiś uczeń podważał poprawność zapisanego na tablicy równania, tego Cabral nie doświadczył jeszcze w ciągu niemal dwudziestu pięciu lat pracy nauczycielskiej. Ani razu. Być może dlatego początkowo nie słuchał uważnie, gdy ten smarkacz Ricardo coś do niego zawołał, oczywiście nie zgłaszając się i nie czekając, aż zostanie wywołany. Dopiero kiedy krnąbrny szczeniak znowu krzyknął, tym razem głośniej, Cabral usłyszał.

- Wcale nie wychodzi sto dwadzieścia pięć. Powinno być sto trzydzieści pięć.

- A skąd to wiesz, da Costa? Czy ukończyłeś może niedawno studia matematyczne?

- Nie, ale jeśli pan je ukończył, to ja też mogę.

Co za wiele, to za wiele. Antonio Cabral był spokojnym, rozsądnym człowiekiem, ale rozdrażniony i upokorzony w ten sposób przed całą klasą musiał podjąć odpowiednie kroki. Zdecydowanie podszedł do porysowanej ławki chłopaka, chwycił go za poły i pociągnął do tablicy.

- Przepraszam teraz za swoje zachowanie. Resztę lekcji będziesz mógł obserwować z kąta.

Ricardo jednak nie usłuchał. Milczał i patrzył na nauczyciela wyzywająco.

- No już, inaczej popamiętasz.

Ricardo nadal milczał. W jego oczach nauczyciel wyczytał przekorę. I arogancję.

- No pięknie, zatem będzie wpis do dziennika. Czwarty w tym tygodniu, jeśli się nie mylę. Jeszcze jeden taki wybryk i wylecisz.

Kąciki ust Ricarda drgnęły podejrzenie.

- Co, uważasz, że to śmieszne? - Cabral był oburzony taką reakcją. Spuszczenie głowy, zawstydzone wpatrywanie się w czubki brudnych butów lub cichy płacz - to wszystko znał. Ale żeby uczeń stał naprzeciw niego z tak pogardliwym spojrzeniem, tego jeszcze nigdy nie doświadczył.

Ricardo rzeczywiście uważał sytuację za zabawną. Myślał przede wszystkim o tym, jak chętnie by wyleciał - niestety, nauczyciel Cabral nie był w stanie pokonać praw fizyki, które to uniemożliwiały. Nauczyciel mógł najwyżej dążyć do tego, żeby wyleciał ze szkoły. Ale to się temu głupcowi nie uda. Ponieważ on, Ricardo da Costa, miał rację. Gdyby sprawa została przedstawiona w jakimkolwiek sądzie, mógłby dowieść, że wioskowy nauczyciel jest niekompetentny i niesprawiedliwy, i dlatego sam powinien odejść.

Poza tym Ricardowi było całkowicie obojętne, czy zostanie wydalony ze szkoły, czy nie. Ogólnie nie miał tu problemów - znalazło się kilkoro dzieci, z którymi się zaprzyjaźnił. Niektóre podziwiałały go za buntowniczość, co się Ricardowi podobało. Ale tak naprawdę nie lubił szkoły - lekcje portugalskiego, religii i historii uważał za nudne, a na matematyce i przyrodzie nie uczył się niczego, czego już by nie wiedział.

- Zaraz skończy się moja cierpliwość! - krzyknął nauczyciel.

- Moja też - odparł Ricardo.

- Dość tego. Idziemy do dyrektora. - Nauczyciel dodał, zwracając się do klasy: - Dopóki nie wrócę, rozwiązujcie zadanie ze strony dwudziestej drugiej. Pereira, pilnuj, żeby panował spokój.

Pereira oczywiście tego nie zrobił. Wracając, Cabral już z daleka słyszał dochodzące z klasy krzyki. Gdy wszedł do sali, zapadła całkowita cisza. Ku swemu wielkiemu zawstydzeniu odkrył na tablicy rysunek, który przedstawiał go jako biednego karła, a Ricarda jako geniusza. Tak, pomyślał Cabral zrezygnowany, przynajmniej ktoś w tej klasie ma jakiś talent artystyczny. Sam zmasał bazgroły z tablicy - gdyby był w pełni sił intelektualnych, moralnych i pedagogicznych, zrobiłby to jeden z chłopców - po czym wziął do ręki podręcznik. Nie miał już energii, by walczyć z uczniami.

- Almeida, chodź do tablicy i rozwiąż zadanie ze strony dwudziestej drugiej.

Ricardo był wściekły. Był tak wściekły, że w drodze do domu kopał każdy kamień, każdą gałązkę i każde źdźbło trawy, jakie znalazły się na jego drodze. Był tak niewiarygodnie wściekły, że szerokim łukiem wyrzucił zawartość tornistra na pastwisko chłopca Limy. Zeszyt do matematyki wylądował dokładnie na krowim placu. Tam, gdzie jego miejsce. Po kilku metrach przerzucił przez płot także pusty tornister. Kilka świń rozbiegło się, kwicząc i wzbijając kurz. Niech spokojnie osiadzie na tornistrze - Ricardo i tak nie będzie go już potrzebował.

Dyrektor nie chciał nawet wysłuchać, co Ricardo ma do powiedzenia. Podważanie autorytetu nauczyciela było wyraźnie większym przestępstwem niż nauczanie dwudziestu trzech chłopców samych bzdur. Właśnie to tak ogromnie zdenerwowało Ricarda, a nie fakt, że na trzy kolejne dni został zawieszony, co w jego opinii równało się raczej nagrodzie niż karze.

W domu również nie chciano go słuchać. Matka nie miała dla niego czasu, odkąd zaczęła biegać na jakieś zebrania polityczne. To znaczy, o ile nie bawiła właśnie w Evorze u swojego „narzeczonego”. Babcia Mariana, która może by mu uwierzyła, nie była już całkiem zdrowa na umyśle. Myliła wszystkie imiona, bez przerwy się powtarzała, czasami wpatrywała się przed siebie nieobecny wzrokiem, a potem mocno przyciskała do piersi swego małego „Fernanda”, jak go nazywała. Ciotka Octavia i wuj Inacio zaś nie czuli się odpowiedzialni za jego wychowanie - byli zbyt zajęci własnymi dziećmi, które zbierały kiepskie stopnie, nudziły się na lekcjach gry na pianinie i nie okazywały szacunku dorosłym, a wszystko to rzekomo wyłącznie dlatego, że Ricardo miał na nie zły wpływ.

Ricardo wielokrotnie już tego doświadczał. Dopiero gdy nadejdzie niebieski list od dyrektora, matka go wysłucha. Przybierze surowy wyraz twarzy i po jej minie wyraźnie będzie widać, że nie trzyma strony syna, nawet jeśli powie co innego. Przy odrobinie szczęścia przejrzy z Ricardem zadanie z matematyki. Nie była co prawda wybitna w tej dziedzinie, ale materiał z czwartej klasy nawet ona mogła opanować. Zrozumie, że Ricardo miał rację, a jeśli będzie właśnie w wojowniczym nastroju, oburzona zadzwoni do szkoły - tylko po to, by w końcu i tak przeprosić za nieodpowiednie zachowanie syna.

O nie, nie pozwoli kolejny raz na tak upokarzającą procedurę. Nikomu się nie przyzna. Przechwyci niebieski list. Poza tym przygotowuje pismo, w którym uniżenie poprosi, by nie wydalano Ricarda da Costy ze szkoły, by nie zniszczyć jego obiecującej przyszłości et cetera. Podpisze się jako Laura da Costa. Kiedyś już sfalszował podpis matki, a jedyny pech polegał na tym, że nie mógł się przed nikim pochwalić tym genialnym dokonaniem. Nikt niczego nie zauważył.

Należało jednak pokonać maleńką przeszkodę. Maszyna do pisania stała w pokoju, który górnolotnie nazywano „biurem”, choć trafniejszym określeniem byłoby „wysypisko”. W owym pokoju wypełnionym niepotrzebnymi gratami Ricardo nie mógł przebywać nawet minuty, żeby ktoś tego nie zauważył. O ile wuj z przygnębioną miną nie ślęczał właśnie nad książkami, to ciotka pisała tam list, Silvia bawiła się z najlepszą koleżanką w jakąś idiotyczną dziewczynską zabawę, Xavier siedział z powagą na drewnianym obrotowym krześle i ćwiczył bycie szefem albo służącą wycierała kurz. Wszyscy chętnie korzystali z biura i dlatego panował w nim taki nieporządek. Znajdowało się tuż obok jadalni, a drzwi między oboma pomieszczeniami zwykle były otwarte. Wyjątkowo trudno będzie napisać tam list. Ale już on coś wymyśli.

Ricardo powlókł się markotny nad jeziorko. Odkąd pozbył się szkolnych przyborów, jego nastrój niewiele się poprawił. W zasadzie teraz nawet trochę tego żałował. Kto wie, może autorzy podręczników nie są takimi matołami jak nauczyciel. I może jednak skorzystałby z książek. Z podręcznika do matematyki na pewno nie, przeczytał go już od deski do deski i wszystko uznał za dziecinnie proste. Ale książka do historii mogła być ciekawa. Albo czytania z portugalskiego. Ach, bzdura, powiedział sobie. Po co mu bajki lub wiersze? Piękne strofy nie dadzą mu ojca ani przewagi w karcianych sztuczkach, dzięki którym wyciągał pieniądze od innych dzieci.



Przeklęta szkoła, pomyślał. „Gówniana szkoła” - wymamrotał cicho. Sam się przestraszył, jak śmie mówić coś tak zakazanego. W końcu uśmiechnął się triumfująco. „Gówniana szkoła!” - zawołał głośno i było to niezwykle wyzwajające.

Przez trzy miesiące Ricardo mógł codziennie chodzić nad jezioro i tam pracować nad niezbyt jeszcze dojrzałą aerodynamiką samodzielnie budowanych samolotów. Nie chodziło o materiał. Gdy pergamin okazał się za lekki, a cienkie kawałki dykty za ciężkie jak na wielkość konstrukcji, zdecydował się na powierzchnie nośne z papy. Po prostu nie był dość zręczny. Próbował wszystkich możliwych form i szkieletów, do tej pory jednak najlepiej sprawdzały się cygara tia Inacia, który podejrzewał już własnego syna Xaviera o potajemne popalanie. Ricardo w duchu śmiał się do łez.

Mniej zabawne było to, że niezliczone samoloty lądowały na jezioro, skąd bardzo rzadko mógł je uratować. Raz, gdy całkiem udany egzemplarz poszybował na środek wody - dowód na to, że pomijając skłonność do skrętu w lewo, był naprawdę dobry, bo jezioro miało sporą powierzchnię - Ricardo w ubraniu skoczył na główkę. Woda jednak zniszczyła konstrukcję. Po wysuszeniu skrzydła się pogięły, a inne części odpadły przy lądowaniu i zatonięły.

Problem ze skrętem w lewo musiał jeszcze rozwiązać. Może to nie takie głupie kierować piękne dzieła na środek jeziora. Nie puszczał ich w pobliskim lesie. Rzucił je w jedynym możliwym kierunku, czyli równoległe do brzegu. Ale zawsze skręcały. Czy rzucał źle? A może powinien zwracać większą uwagę na kierunek wiatru?

Obserwacja owadów, które krążyły nad powierzchnią wody, była co prawda wciągająca, ale nie pomogła mu poczynić poważnych postępów. Potrzebowałby silnika, żeby naśladować trzepotanie skrzydeł ważek, ruchliwość komara lub gorączkowe bzykanie muchy. Nie zdołał się wiele nauczyć na podstawie eleganckiego tańca chmar komarów - jak na gust Ricarda bestie były po prostu zbyt krwiożercze i wydawały się wyjątkowo lubić jego krew.

Gdy pewnego dnia tuż przed rozpoczęciem letnich wakacji wrócił do domu, pogryziony na ramionach i nogach i w ubłoconych sandałach, matka czekała na niego z surową miną.

- Jesteś wreszcie. Miło było dzisiaj w szkole?

Ricardo nastawił ucha. Czy to groźba? Gdy matka była w takim nastroju, musiał wykazywać jak największą ostrożność.

- Hm, tak. Jak zawsze.

- To znaczy, że jak zawsze rozgniewałeś nauczyciela i razem z kolegami z klasy męczyłeś na podwórzu młodsze dzieci?

- Mniej więcej.

- Nie, nie. Chcę wszystko usłyszeć. Mów.

Ricardo milczał. Jego podejrzenie, że matka wie więcej, niż on by chciał, pogłębiło się.

- Powiedz mi, co się dzieje na lekcjach. Jakie będziesz miał świadectwo?

- Złe.

- Aha. A dlaczego, jeśli wolno spytać? Jesteś za głupi, żeby opanować materiał?

- Przecież mi nie wierzysz.

Laura była oburzona tą odpowiedzią. Napełniało ją nieskończonym smutkiem, że synek nie darzy jej większym zaufaniem. Mój Boże, miał dopiero dziewięć lat! Był za młody, by oddalać się od matki, zwłaszcza w sytuacji takiej jak ich. W końcu Ricardo tylko jej może się zwierzyć, skoro nie ma na co dzień ojca ani rodzeństwa. Kiedy zaczął się wymykać? Co zrobiła źle? Czy powinna go ostrzej traktować? Ale co począć z synem, który już jako niemowlę wykazywał niezwykłą samodzielność oraz błyskotliwą inteligencję? Sądziła, że postępuje słusznie, nie siedząc nad nim jak kwoka, osiągnęła jednak wręcz przeciwny skutek. Brak autorytetu sprawił tylko, że teraz chłopak nie okazywał szacunku również innym. Ale może nie jest za późno. Jest jeszcze tak młody - z pewnością wróci na właściwy tor, jeśli od tej pory Laura będzie nieco bardziej stanowczo nim kierować i powoływać się na swoje rodzicielskie prawa. Bo nie mogła po prostu zaakceptować tego, że nie zostanie promowany, jak powiedziała jej dziś rano matka innego dziecka z klasy Ricarda.

- Wierzę ci. Ale tylko wtedy, gdy mam wrażenie, że mnie nie okłamujesz.

- Ach tak. To znaczy, że gdy masz wrażenie, że cię okłamuję, wtedy mi nie wierzysz, nawet jeśli mówię prawdę.

- Tłumacz to sobie, jak chcesz. A teraz poinformuj mnie wreszcie, dlaczego Violante Verissimo opowiedziała mi u fryzjera, że zostajesz na drugi rok, podczas gdy jej tępy syn przynosi do domu wzorowe świadectwo.

- Bo to pewnie prawda. Nie mam pojęcia. Już od dłuższego czasu

nie chodzę do szkoły. I do niej nie wrócę. Chyba że dostaniemy nowego nauczyciela. Cabral jest głupi jak but.

Laura musiała się opanować, żeby nie spoliczkować Ricarda i nie wytrząsnąć z niego całej historii. Skinęła głową i dała mu do zrozumienia, że może mówić dalej. A potem, gdy bez najmniejszych wyrzutów sumienia przedstawiał jej ogrom swych występków, tylko dzięki największej sile woli udało jej się zachować jaki taki spokój. Trzy miesiące nie chodził do szkoły! Obraził nauczyciela i dyrektora, kłamał, fałszował podpisy i wywiódł wszystkich w pole. To było niewiarygodne. To była katastrofa. Syn wyraźnie zamierzał zostać nieukiem i kryminalistą.

O nie! Nie jej mały. Ona, Laura da Costa, natychmiast porzuci płótna i swego Felipe, zostawi wszystkie inne sprawy i nadrobi to, co w minionych latach zaniedbała. W razie potrzeby siłą. Jak mogła być tak naiwna, by wierzyć, że sklerotyczna ciotka Mariana albo zajęta sobą kuzynka zajmą się Ricardem? Chłopiec taki jak on potrzebował wyjątkowej uwagi i wsparcia, które tylko ona mogła mu dać. Fakt, że trzy miesiące próżnował i nie wyszło to na jaw, ostatecznie dowodził, jakimi wyjątkowymi talentami został obdarzony. Musiał się tylko nauczyć odpowiednio je wykorzystywać. O nieba!

- Pokaż mi najpierw tamto zadanie. Czy wiesz, jak by to wyglądało, gdybyś przypadkiem nie miał racji?

- Tak, głupio by wyglądało. Ale mam rację.

I rzeczywiście, gdy Ricardo uparł się, by przeliczyła z nim zadanie, i wyszło jej sto trzydzieści pięć, roześmiał się bez radości.

- Cabralowi wyszło sto dwadzieścia pięć.

- Mój Boże, Ricardo, każdemu może się zdarzyć pomyłka.

- No to dlaczego tego nie przyznał?

- Bo nie chciał się skompromitować wobec całej klasy. Wyraziłeś krytykę bardzo niedyplomatycznie.

- Widzisz, znowu trzymasz ich stronę. Laura objęła Ricarda, ale się wyrwał.

- Słuchaj, mały, trzymam twoją stronę. Zawsze. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że frontalne ataki często są mniej skuteczne od podstępów i sprytu.

- Nie chcę, żebyś mnie nazywała „małym”. Mam już dziewięć lat!

- Ojejku, nie zmieniaj tematu! No dobrze, mój duży, lekcja pierwsza - nie atakuj otwarcie nikogo, komu należy okazywać szacunek. Zrozumiano?

Skinął butnie głową.

- Lekcja druga - kłamstwa i oszustwa są zabronione! Jeśli jeszcze raz wykręcisz taki numer, naprawdę się wścieknę, zrozumiano?

Znowu potaknął.

- I wreszcie lekcja trzecia - nie zostaniesz na drugi rok. Natychmiast zrobisz wszystko, co ci powiem, bez sprzeciwu, i niech mnie piorun strzeli, jeśli cię nie promują. Zrozumiano?

Ricardo patrzył na nią nieszczęśliwy. Domyślał się już, co to oznacza. Będzie musiał przeprosić Cabrala i dyrektora. Matka będzie się przed nimi płaszczyć i na kolanach błagać, by zrobiono dla niego wyjątek i pozwolono napisać zaległe prace klasowe. Może powoła się nawet na jego „chorobę”, którą wymyślił w pierwszych dniach na wolności i podparł „prawdziwym” zaświadczeniem specjalisty z Lizbony - usprawiedliwienie od miejscowego lekarza byłoby zbyt ryzykowne. Ricardo sam się dziwił, jak łatwo przyszło mu wszystkich oszukać. Teraz, w ciągu dwóch tygodni pozostałych do wakacji, nie będzie mógł się zajmować niczym innym tylko nadrabianiem materiału z przedmiotów, których nie lubił - z innych i tak by zdał. Będzie musiał odłożyć eksperymenty lotnicze, i to właśnie w momencie, gdy dokonał decydujących postępów i jego aparaty świetnie latały.

- Nie - powiedział.

- Jak to nie? Czy to znaczy, że nie rozumiałeś? Nie daruję ci tego, Ricardo da Costa. Mam wytłumaczyć panu jaśniej?

- Zrozumiałem. Ale tego nie zrobię.

- Owszem, zrobisz. Nawet jeśli będę musiała cię tu zamknąć.

- Spróbuj.

- Bądź pewien, że to zrobię. I postaram się, żeby nigdzie nie było skrawka papieru ani innych rzeczy, które nadają się do budowy samolotów. Do wieczora masz czas do namysłu.

Laura wstała i wyszła z pokoju. Nie powstrzymałaby się ani sekundy dłużej, żeby się nie rozplakać, nie zacząć krzyczeć lub nie zbić chłopaka. Ricardo patrzył za nią krnąbrnie. Jeszcze zobaczy, co jej z tego przyjdzie. Chwilę potem wstał i poszedł do swojego pokoju. Zamknął się w nim i wyciągnął listy od Jacka, które czytał już tyle razy, że papier był zupełnie miękki i sfilcowany. Nigdy mu nie odpowiedział, zawsze wzbraniał się uznać Jacka za swojego ojca. Ale teraz, uznał, nadszedł czas, by się do niego zwrócić.

W ostatnim liście Jack napisał, że sound track do Showdown in Manhattan,

który skomponował, został nominowany do Oscara. Co to jest sound track, co to jest showdown? Może powinien jednak wrócić do szkoły. Ale nie, tam się tego nie nauczy. Starsi chłopcy mieli w programie łacinę lub francuski, nie angielski. Następnie Ricardo ponownie sięgnął po zdjęcie Jacka i zawahał się. Ten mężczyzna był mu całkowicie obcy. Nie wyglądał tak, jakby miał wykazać zrozumienie dla położenia syna. Być może nawet zastosowałyby znacznie bardziej drakońskie kary niż matka. Nie, lepiej odłożyć ten plan.

Ricardo schował listy i zdjęcia. Wziął do ręki jeden z samodzielnie zbudowanych samolotów i poczuł dumę ze swojego osiągnięcia, którego dotychczas nie docenił jeszcze nikt poza nim samym. Wszyscy uznawali jego konstrukcje za dziecinne zabawki, a przecież dawno przekroczył to stadium. Budował naprawdę wyrafinowane myśliwce, ze spiczastymi nasadkami na dziobie i zębatymi krawędziami skrzydeł. Najwyższy czas wykorzystać ten wspaniały samolot do innych celów niż tylko rzucanie w kaczki. A jeśli matka mówiła poważnie i naprawdę chce go zamknąć, w co Ricardo nie wierzył, nadeszła pora, by wypróbować maszyny w prawdziwej misji.

Wziął najbardziej wojenny z samolotów i niepostrzeżenie wymknął się z domu. Droga do Beja wydała mu się teraz, gdy codziennie pokonywał pieszo wiele kilometrów, znacznie krótsza niż przed trzema miesiącami. Ledwo dotarł do miasta, zobaczył kilka potencjalnych ofiar. Ukrył się za pnem platana i przez chwilę obserwował wroga, nim wybrał jednego ze starych dziadków siedzących w cieniu na ławce. Zezowaty staruszek wyjątkowo mu się spodobał - zwrócone do wewnątrz oko stanowiło lepszy cel niż jakakolwiek tarcza.

Potem rzucił.

Zezowaty Joao podskoczył jak ukąszony przez tarantulę. Samolot trafił go tuż pod zezowatym okiem i zostawił tam brzydką czerwoną kropkę, o której sam poszkodowany oczywiście w tej chwili nie wiedział. Czuł natomiast, że piekielnie go boli. Zobaczył biegnącego chłopaka, który, gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, odwrócił się do swej ofiary. Promień słońca padł bezpośrednio na jego oczy i wyczarował w nich zielone iskierki.

- Ty diable! - zakrzyknął zezowaty Joao. Rozgniewany wymachiwał laską, jakby to była szpada. - Poczekaj, Abrantes, ciebie też jeszcze dostanę!

Nie podejrzywał, jak szybko spełni się jego przepowiednia. Wieczorem tego dnia Ricardo został skazany przez matkę na dwutygodniowy

areszt domowy z poleceniem, by przerobił wszystkie podręczniki, które zresztą musiała ponownie kupić. Co wieczór odpytywała go z materiału i podczas gdy w pierwszym tygodniu niewoli Ricardo był jeszcze krnąbrny, w drugim nie zajmował się niczym innym jak wprowadzaniem w życie jednej z lekcji matki: „Nie atakować otwarcie osób, którym należy okazywać szacunek”. Sama to przecież powiedziała. Podstępem i sprytem można osiągnąć więcej niż frontalnymi atakami. Dziwne wydawało mu się tylko to, że najwyraźniej matka miała rację.

## Rozdział Trzydziesty Piąty.

Acne conglobata, przeczytał Ricardo, było najpoważniejszą formą trądziku, z „olbrzymimi zaskórnikami” i „wrzodami”. Prowadziło do „poważnych blizn”. Jedną z przyczyn stanowiły androgeny, męskie hormony płciowe. Zbyt wiele testosteronu zwiększało ryzyko łojotoku - przetłuszczenia skóry wskutek nasilonego wydzielania łoju. Poza zaburzeniami sekrecji testosteron mógł również prowadzić do zrogowaceń w drogach wydzielania łoju i tym samym powodować trądzik. Jako miejsca najbardziej narażone wymieniano twarz, piersi i górną część pleców, o czym sam dobrze wiedział. To było wstrętne. Równie odpychające jak wyrazy w leksykonie medycznym wuja.

W leksykonie nie opisywano jedynie upokorzenia, które niosła ze sobą ta forma trędowatości. Jak mogło być mu kiedyś tak spieszo, by ukończyć szesnaście lat? Gdyby podejrzewał, że z dorastaniem wiążą się takie problemy, wolałby na zawsze zostać dzieckiem. Paskudne pryszcze stanowiły ukoronowanie szeregu niepokojących zmian w jego ciele, głosie, skórze i owłosieniu. Fakt, że broda, której inni chłopcy w jego wieku nie mogli się doczekać, u niego rosła obficie, nie ułatwiał sytuacji. Jak, u diabła, miał się ogolić, skoro grube czerwone wypryski z białymi ropnymi łebkami uniemożliwiały łagodne przesuwanie żyłki? Ricardo nienawidził samego siebie - i wiedział, że dziewczęta też go nienawidzą.

Pogardzała nim teraz nawet gruba Sonia, która jeszcze trzy lata temu robiła do niego słodkie oczy i z którą wtedy nie zadałby się nawet we śnie. No dobrze, nie czuł z tego powodu żalu. Było mu tylko przykro, że nawet Aida nie może na niego spojrzeć, by natychmiast z odrazą nie odwrócić wzroku. Uważał, że Aida jest słodka. Kiedyś już nawet chodzili ze sobą, jako czternastolatki, gdy suchy całus w usta stanowił największą erotyczną przygodę, jaką potrafili sobie wyobrazić. Dziś Ricardo

wyobrażał sobie zupełnie inne rzeczy - tylko, niestety, żadna dziewczyna mu na nie nie pozwalała.

Musiał zatem trzymać się leksykonu wuja Inacia. Była to przestarzała książka, pochodząca jeszcze z czasów, gdy wuj studiował medycynę, nim po dwóch semestrach nie zrezygnował i jako „mogul korkowy” nie przeniósł się do Alentejo. Z mogula stał się skromnym rolnikiem, a ciotka Octavia, która wniosła w wianie ziemię, nieustannie awanturowała się z powodu nieudolności męża. Może lepiej by było, gdyby został lekarzem, myślał Ricardo, bo jako ziemianin rzeczywiście do niczego się nie nadawał. Tak czy siak dzięki skromnemu medycznemu księgozbiorowi wuja Inacia Ricardo dowiedział się tego i owego na temat kobiecego ciała. Tylko nie to, co chciał wiedzieć.

W leksykonie znalazł informacje o narządach rozrodczych, o pęcherzykach, jajnikach, szyjce macicy i innych rzeczach, niemal równie obrzydliwych jak jego trądzik. Znalazł dokładne, ale pozbawione finezji rysunki kanału rodnego i sromu. Czego nie znalazł, to zdjęć ładnych piersi lub delikatnej nagiej skóry. Leksykon nie wyjaśniał również, dlaczego wysoki kobiecy głos, słaby zapach konwalii otaczający niektóre dziewczęta lub zmysłowe kołysanie biodrami tak na Ricarda działają. Czysta biologia nie była bardziej podniecająca niż patrzenie na manekiny, akt rozrodczy zaś opisany w książce nie bardziej zmysłowy niż funkcjonowanie napędu odrzutowego.

Gdyby przynajmniej miał z kim o tym porozmawiać. Ale z kim? Kobiety nie wchodziły w grę. Przed wujem Inaciem wstydził się takich tematów. Z kolegami nie mógł się skonsultować, nie unikając kompromitacji - powinni go raczej uznawać za faceta, który uwiódł już połowę kobiet w wiosce. Swojego ojca, Jacka, znał tylko z listów, a pisemnie nie chciał pytać o żadne intymne sprawy. Zostawał jeszcze Felipe, narzeczony matki. Ale ten był stary, z pewnością już po czterdziestce, i prawdopodobnie nie miał o tym pojęcia.

Gdyby rodzina wciąż była bogata, tak jak przed wieloma laty, może posłano by do jego pokoju służącą, by go rozdiewiczyła. Ale dziś? Raz w tygodniu przychodziła z wioski brodata wdowa i pomagała ciotce Octavii w gospodarstwie, a Ricardo bynajmniej nie marzył, żeby owa kobieta wprowadzała go w arkana sztuki miłosnej. Wzdrygał się na myśl o tym, co może się znajdować pod jej staromodną czarną suknią, i odpychał od siebie te wizje. Drugą zaś najlepszą rzeczą po seksie - jeśli



rzeczywiście chodziło o najlepszą rzecz na świecie, jak twierdzili pozostali chłopcy - była technika.

Ricardo uwielbiał grzebać w silnikach. Zapach oleju, gumy i gorącego metalu wprawiał go w większe odurzenie niż jakikolwiek napój alkoholowy. Żadne wyzwanie tak go nie pociągało jak doprowadzenie do dobrego stanu rzekomo niesprawnego auta lub naprawa uszkodzonej lodówki. Nad zepsutym radiem lub starym telefonem zapominał o upływie czasu, który tu, w tej cholernej zapadłej dziurze, zwykle tak się włókł. Ricarda ogarniało uczucie najgłębszego zadowolenia przede wszystkim na widok swoich rąk, czarnych od oleju i sadzy. Były silne, energiczne i brudne -prawdziwie męskie dłonie. I do tego całkowicie wolne od pryszczycy.

Ricardo usłyszał zbliżające się kroki. Szybko zamknął leksykon i odstawił go na półkę.

- Jesteś niesamowity, wiesz o tym? - Ciotka Octavia stanęła obok, wytarła ręce o fartuch i spojrzała na chłopca niechętnie. - Zawsze można cię znaleźć tam, gdzie nie masz czego szukać.

- Tego nie wiesz.

- Co?

- Nie możesz wiedzieć, czy nie mam tu czego szukać.

- Twoja przemyślność też jest niesamowita. Ach, wszystko jedno. - Obróciła się na pięcie, jednak nim wyszła z pokoju, coś sobie jeszcze przypomniała. - Tylko nie zasmaruj książek wuja Inacia swoimi brudnymi paluchami.

Zostawiła Ricarda zdezorientowanego. Po pierwsze, czego tu szukała? Po drugie, jak mogła tak szybko o tym zapomnieć? Po trzecie, dlaczego normalna dorosła kobieta nazywa wobec niego swego męża „wujem Inacem”? Ricardo naprawdę był już na to za duży, a ściśle rzecz biorąc, nie chodziło nawet o jego prawdziwego wuja. Octavia była kuzynką jego matki, co czyniło ją jego ciotką drugiego stopnia, a może siostrzenicą babki? A wobec tego Inacio był co najwyżej kuzyno szwagrem matki, czy jak też zwano ten stopień pokrewieństwa? Pomimo dość brudnych rąk Ricardo zdjął z półki tym razem zwykły leksykon, by zgłębić tę kwestię.

Przy obiedzie patrzył na wszystkich zebranych przy stole i próbował przypisać im odpowiednie określenia. Jedyna osoba, wobec której nie było najmniejszych wątpliwości, jaki stopień pokrewieństwa łączy ją z Ricardem, czyli jego matka, była nieobecna. Podobnie jak Felipe - Ricardo ustalił, że gdyby ten poślubił Laurę, mógłby zostać jego ojczymem. Przy stole siedzieli natomiast siostra jego babki Mariana, ciotka

drugiego stopnia Octavia oraz jej dzieci, które Ricardo musiał określić jako kuzyna i kuzynkę drugiego stopnia. Nie znalazł jedynie odpowiedniego określenia dla Inacia, ale może nadrobi to przy najbliższej wizycie w bibliotece w Beja. Nie było to przecież takie ważne. W każdym razie mniej ważne niż pytanie, dlaczego tak niewiele łączy go z najbliższymi krewnymi. Z ojcem, babcią Juju, dziadkiem Ruim, wujkiem Paulem oraz jego żoną i dziećmi, ciotecznym rodzeństwem Ricarda.

- Dlaczego tak się na mnie gapisz? - spytała Silvia, jego kuzynka drugiego stopnia. - To jest w najwyższym stopniu nieuprzejme.

- W drugim stopniu - wymamrotał Ricardo i ponownie zajął się letnim caldo verde. Oparł się łokciami o stół i ledwo unosił łyżkę, nisko pochylając twarz nad talerzem zupy.

- Wariat! - wrzasnęła Silvia. - Sam jesteś drugiej klasy.

Ricardo powstrzymał się od dalszych komentarzy. Silvia dobrze wiedziała, gdzie go najbardziej zaboli. Przy każdej okazji lubiła mu wypominać, że nie jest naprawdę częścią tej rodziny, w zasadzie nie jest częścią żadnej rodziny, tylko nieślubnym dzieckiem.

Po zupie warzywnej ciotka Octavia, nie, kuzynka jego matki Octavia, wniosła główne danie. Składało się z rozgotowanych ziemniaków i łykowatej wieprzowiny, tonącej w oleistym sosie. Ricardo połykał jedzenie szybko i w jak największej ilości. Potem wstał, zabrał talerz do kuchni, gdzie odłożył go do zlewu, i wyszedł z domu. Słyszał, jak Inacio coś za nim woła, ale niewiele go to obeszło. Byle się stąd wyrwać.

Gdyby Ricardo miał więcej pieniędzy, nie przychodziłby do domu ani jeść, ani spać. Jednak tę drobną sumę, którą dysponował, niemal w całości przeznaczał na benzynę i akcesoria samochodowe. Zostawało kilka escudo, by od czasu do czasu wypić colę lub kupić papierosy. Gdy w wieku czternastu lat postanowił ostatecznie rzucić szkołę, matka drastycznie zmniejszyła mu kieszonkowe, żeby zmusić go przynajmniej do nauki zawodu. Ale Ricardo nie dawał się tak łatwo do niczego zmusić, a już na pewno nie do praktyki w warsztacie samochodowym Josego Pinty. Jeśli chodziło o skomplikowane problemy z silnikami, Ricardo był zdecydowanie lepszy niż mechanik i obaj jego pomocnicy i nie wyobrażał sobie, by swoje umiejętności i siły oddawać na usługi takiego głupka, jeżeli nie będzie za to nawet odpowiednio wynagradzany. Wolał się już chwycić doraźnych zajęć.

Rozeszła się wieść, że młody da Costa ma talent do wszelkiego rodzaju napraw. Raz musiał w willi burmistrza złożyć odkurzacz, który sprzątaczką

nieumiejętnie rozmontowała, ponieważ do tej pory posługiwała się tylko trzepaczką, raz wezwano go do salonu fryzjerskiego, bo suszarka zbyt szybko się rozgrzała i niemal całkowicie zrujnowała zniszczone trwałą włosy senhory Tavares. Naprawiał traktory i kombajny rolników, usprawniał samochody bogatej młodzieży, doglądał lokówek, mikserów i żelazek zamożnych matron.

Tylko z zapłatą zwykle nikt się nie spieszył. Burmistrz na podziękowanie poklepał go po ramieniu i oznajmił, że przymknie oko na następne wykroczenie, jakiego dopuści się Ricardo. Szefowa salonu fryzjerskiego ostrzygła go gratis, a fryzura wcale mu się nie spodobała. Chłopi dawali żywność, senhory wciskały w dłoń kilka groszy, bogaci młodzieńcy obiecywali, że pozwolą mu przejechać się samochodem - gdy tylko Ricardo będzie w odpowiednim wieku.

Ricardo wiedział, że ludzie chętnie go zatrudniają nie tylko dlatego, że jest szybki i solidny, ale przede wszystkim dlatego, że mogą liczyć na jego dyskrecję. Kto chciałby zapraszać do domu elektryka Andrade, żeby potem stary papla mógł do woli rozprawiać w knajpie o kiepskich instalacjach, przestarzałych urządzeniach lub, niech Bóg broni, innych rzeczach, które zobaczył? Panowało również przekonanie, że takiemu młodzikowi nie trzeba dużo płacić, co było prawdą o tyle, że Ricardo nigdy dużo nie żądał. Chciał tylko, żeby płacono mu za jego pracę. Jeśli nie dziś, to jutro. Nie musiał zapisywać wszystkich usług i escudo, które ktoś był mu dłużny. Dokładnie pamiętał, kto i kiedy miał uregulować rachunek, i ani myślał komukolwiek czegokolwiek darowywać. Gdy dona Margarida znowu będzie potrzebowała jego usług, co wobec stanu jej pralki, jak Ricardo podejrział przy okazji, nastąpi już niebawem, wyraźnie poprosi o zaliczkę.

Dziś także wydarzyła się podobna sytuacja. Obiecał żonie Antonia Gomesa, że obejrzy adapter - ale dobry senhor Antonio był już winien Ricardowi zapłatę za zainstalowanie nowego dzwonka do drzwi, co miało miejsce trzy miesiące temu. Być może Gomes miał nadzieję, że Ricardo zapomniał o tej drobnej przysłudze. Lecz Ricardo nigdy niczego nie zapominał. Jego pamięć była tak dokładna jak księgi sumiennego księgowego.

- Ach, Ricardo, dobrze, że jesteś. Chcemy jutro wydać małe przyjęcie, ale co to za uroczystość, gdy adapter nie działa? Talerz kręci się w złym tempie, nie da się tego wytrzymać. - Dona Joana przewróciła oczami w przesadnej rozpacz. - Pokażę ci. - Włączyła płytę z chórem

alentejańskich chłopów i tym razem to Ricardo miał ochotę przewrócić oczami. Kto by dobrowolnie słuchał takiej muzyki? Rzeczywiście talerz obracał się za wolno, więc wycie brzmiało jeszcze okropniej niż zwykle.

- Tak - powiedział. Jego małomówność większość ludzi uznawała za młodzieńczą nieśmiałość. Ricardo dobrze wiedział, co widziała w nim dona Joana, bo niewiele różniło się to od tego, co najwyraźniej widzieli w nim wszyscy dorośli - zaniedbanego bękarta i pryszczatego wyrostka, który uwielbiał majsterkować i powinien być wdzięczny za jakiegokolwiek zajęcie. Wzruszył ramionami, jakby nic się nie dało zrobić.

- Ricardo - zawołała, niemal załamującym się głosem - musisz coś wymyślić!

- Najpierw pani mąż musi zapłacić dwieście escudo, które obiecał mi w kwietniu. Z odsetkami byłoby to teraz, gdybym policzył takie samo oprocentowanie jak bank, dokładnie dwieście cztery escudo. Ale ja nie będę taki.

- Ojej, nie chcesz chyba robić takiego rabanu o parę groszy.

Parę groszy? Jeśli suma wydaje się jej tak niewielka, dlaczego po prostu mu nie zapłaci? Dwieście escudo bardzo by mu się teraz przydało.

- Nie - odparł, a dona Joana najwyraźniej miała trudności z przypomnieniem sobie, na jakie pytanie Ricardo odpowiada. - Więc proponuję, żeby dała mi pani po prostu dwieście za zeszły raz, do tego sto, żebym podjął się naprawy adapteru, wszystko gotówką na rękę - i może pani przygotowywać przyjęcie.

- To szantaż! - oburzyła się dona Joana.

Ricardo uniósł brwi, jakby uważał wypowiedź damy za niewiarygodnie głupią, jak też było naprawdę.

- W takim razie... - powiedział i ruszył do wyjścia.

- Nie możesz tego zrobić! Zostań!

Ricardo stał już w drzwiach. Pożegnał się lekkim ukłonem, który wyrażał bardziej drwinę niż szacunek. Odwrócił się gwałtownie i niemal zderzył się z młodą dziewczyną, która w tym momencie pojawiła się na korytarzu.

- Och... e, przepraszam - wymamrotał.

- Nie, to moja wina. Nie powinnam była tak biec - powiedziała. - Ale usłyszałam, jak ciocia coś woła, i sądziłam, że może czegoś ode mnie potrzebuje.

Ricardo poczuł się nagle jak sparaliżowany. O ile chwilę wcześniej

chciał wyjść zdecydowanym krokiem, teraz stał jak wrośnięty w ziemię i gapił się na dziewczynę. Była śliczna. Wyjątkowo śliczna.

- Jestem Marisa - powiedziała. Ricardo nie był pewien, czy nie wyobraził sobie lekkiego rumieńca, który pokrył jej policzki.

- A ja jestem Ricardo albo Rick. - Nigdy wcześniej nie przedstawiał się jako Rick, ale teraz nagle to amerykańskie imię wydało mu się właściwe.

- Hej, Rick. - Jej angielskie „r” brzmiało tak, jakby przywykła do mówienia w obcym języku. Uśmiechnęła się do niego i Ricardo poczuł się przyłapany. Jednak zamiast zawstydzony wpatrywać się w czubki swoich butów, jakby może zrobił kiedy indziej, nie spuszczał oczu z jej twarzy. Miała najśliczniejsze piegi, jakie kiedykolwiek widział.

Był tak oczarowany Marisą, że nie zauważył, kiedy za nim otworzyły się drzwi i stanęła w nich dona Joana.

- Co tu jeszcze robisz, nicponiu? - zakrzyknęła. - Nie potrzebujemy cię już. Wezwę fachowca, jak powinnam była od razu zrobić. A twojemu wujowi Inaciowi opowiem, jaki z ciebie gagatek. Na pewno nie pozwoli ci już jeździć pikapem.

Marisa popatrywała pytająco to na ciotkę, to na Ricarda. Ricardo wzruszył ramionami.

- Jak madame sobie życzy. - Nie wspomniał, że stary Ze policzy sobie za naprawę adapteru trzy razy więcej, niż dona Joana była winna jemu. Nie dodał też, że Ze namówi ją zapewne na nowiuteńki sprzęt, bo otrzymywał procent od sprzedawcy Gustava Carneira, gdy przyprowadzał mu klienta. Albo klientkę. - No to powodzenia. I miłego przyjęcia. - Skinął głową donie Joanie, przelotnie uśmiechnął się do Marisy i opuścił dom rodziny Gomesów z rękoma w kieszeniach i celowo bardzo swobodnym krokiem. W rzeczywistości czuł na plecach palące spojrzenie Marisy i niczego nie bał się bardziej, niż się przed nią ośmieszyć.

Groźba dony Joany, że porozmawia z wujem Inaciem, nie obeszała go zbyt. Nie bał się go. Zawarli umowę, która polegała na tym, że Ricardo odrestaurował niemal dziesięcioletniego peugeota 202, a w zamian mógł nim jeździć, o ile tylko pikap nie był potrzebny w quincie -jednak wyłącznie po mniejszych lokalnych drogach, gdzie nie istniało wielkie ryzyko kontroli policyjnej. Inacio dotrzyma swojej części umowy. Niedoszły potentat korkowy nigdy nie pozwoli, by zakrecono kurek z pieniędzmi, które Laura przeznaczala na utrzymanie Belo Horizonte. Inacio nie musiał wiedzieć, że Ricardo ani myśli relacjonować

swej wyrodnej matce wydarzeń w podupadłej quincie. Ani o tym, jak często jeździł już peugeotem po centrum Beja, tuż przed komendą policji.

Dziś jednak pojechał do miasta skuterem. Przed domem Gomesów nacisnął pedał i miał nadzieję, że silnik od razu zaskoczy. Marisa mogła przecież obserwować go z okna. Nieźle, pomyślał, gdy zaraz przy pierwszej próbie usłyszał głęboki warkot motoru. Kasku, który wisiał na kierownicy, Ricardo nie włożył. Zamiast tego ruszył tak gwałtownie, że pojazd stanął dęba. Odjechał na pełnym gazie. Nieźle. Ale znacznie lepszy byłby prawdziwy motor.

Zatrzymał się na Praca. Z chłopaków byli tylko Manuel i Joaquim. Oparli skutery obok fontanny i siedzieli z rozłożonymi nogami na schodach. Manuel palił papierosa, którego ukradł w kiosku dziadka, Joaquim żuł gumę, pokazując przy tym zrujnowane zęby, jakby był dumny z odłamków w swoich ustach.

- Zamknij gębę, na widok twoich zębów niedobrze się robi - powitał Ricardo kolegę. - E, Manuel, daj fajkę - powiedział do drugiego.

- Na twój zaropiałły pysk też nieprzyjemnie patrzeć, fujaro.

Nim Manuel zdołał wygrzebać papierosa z pomiętej paczki, Ricardo kopnął pustą butelkę, która leżała na stopniach fontanny. Jego spojrzenie podążyło za butelką, gdy z wielkim hałasem turlała się przez pół placu. Zatrzymała się dopiero u stóp parkowej ławki. Ricardo sięgnął po ogień i przytrzymał papierosa między kciukiem i palcem wskazującym tak, że cały był ukryty w jego dłoni. Po latach potajemnego popalania ma się dziwne przyzwyczajenia. Ricardo palił, odkąd skończył dwanaście lat.

Siedząca na ławce młoda kobieta z wózkiem rozejrzała się wokół. Zapewne myślała, że Ricardo specjalnie kopnął butelkę w jej stronę. Boi się mnie, przeszło mu przez głowę, a ta wizja napełniła go jednocześnie wstydem i poczuciem triumfu. Tak, powinni się bać, porządni obywatele tego przekłętego miasta. Chłopcy zauważyli ucieczkę młodej kobiety i wybuchnęli śmiechem.

- Strzał w dziesiątkę, Ricardo - chwalili go.

- Ta szmata była szybsza niż Aida, gdy cię widzi - dodał niepotrzebnie Joaquim.

Przez chwilę Ricardo miał ochotę przyznać rację matce, która pomimo swej wiecznej sympatii dla niższych klas społecznych nie wahała się nazywać jego kolegów „mętami”. Jednak gniew nie trwał długo. Gdy

już miał odpowiedzieć coś złośliwego, kątem oka ujrzał nadjeżdżającą na rowerze dziewczynę. Marisa - wyraźnie rozpoznawalna w jasnoniebieskich rybaczkach, białej bluzce zawiązanej w talii i z rozbujanym jasnobrązowym końskim ogonem. Teraz miała także okulary przeciwsłoneczne, w których wyglądała doroślejsz.

Podjechała tuż do fontanny i zatrzymała się około metra od Ricarda.

- Hej, Rick - powiedziała. Jego koledzy, chrząkając, szturchali się łokciami. - Cześć - dodała i skinęła głową obu chłopakom. Zsunęła okulary na czoło i wpatrywała się przenikliwie w Ricarda. Była taka słodka, że mógłby umrzeć. Słońce wyczarowywało złote punkciki w jej brązowych oczach, które mrużyła, marszcząc przy tym nosek.

- Ciotka opowiedziała mi, co się stało.

- Chyba nie.

- No cóż, nie wszystko. Reszty sama się domyśliłam. Powiedz, ile ci są winni?

- Co cię to obchodzi?

- Postaram się, żeby ci zapłacili.

- Rick! - zawołał Joaquim piskliwym damskim głosem. - Czy teraz już małe dziewczynki muszą się starać dla ciebie o pieniądze?

- Zamknij się, koleś - ofuknął go Ricardo. Do Marisy zwrócił się tylko nieco bardziej przyjaznym tonem: - Nie musisz. Sam się tym zajmę.

- Hm. Jak uważasz. - Niezdecydowana stała przed nimi z rowerem między nogami. - No to... adeus. - Ruszyła, jedną nogę stawiając na pedale, a drugą mocno się odpychając.

- Hej, zaczekaj! - zawołał Ricardo. Marisa zatrzymała się.

- Dziękuję.

- Za co?

Ricardo wzruszył ramionami.

- Tak tylko. E... czy nie miałabyś ochoty pójść w sobotę na festyn w Vila Seca? Zawsze jest tam niezła zabawa.

- Nie wiem. Zobaczą. No, muszę lecieć. - Pomachała mu i odjechała, z rozbujanym końskim ogonem i obiecującym uśmiechem na ustach.

Joaquim i Manuel zasypali Ricarda pytaniami o „miastową”, ale Ricardo był nieobecny myślami. Spojrzenie, które rzuciła mu na pożegnanie, było tak obiecujące, że zaczął wątpić w swoje zmysły. Wydawało mu się co prawda, że dostrzegł w owym spojrzeniu cień litości, ale wyjątkowo go to nie zirytowało. Bo jeśli Marisa rzeczywiście się nad nim

litowała, to najwyżej ze względu na jego sposób życia, co mógł jeszcze ścierpieć - przecież była tylko rozpuszczoną dziewczyną z miasta, od której czuł się znacznie lepszy, również z powodu swego niekonwencjonalnego stylu życia. W każdym razie nie sprawiała wrażenia, że przeszkadza jej coś w jego wyglądzie. Nie, podobnie jak dziś po południu przy pierwszym spotkaniu patrzyła mu w twarz bez cienia wstrętu, jakby nie widziała na niej żadnego pryszcza. Westchnął zatopiony w myślach. Jeśli było coś, z powodu czego nie chciał, by się nad nim litowano, to jego ogromne zaskórniki, z których jeden znowu rozdrapał.



## Rozdział Trzydziesty Szósty.

Jakże nienawidził mieszkania u ciotki! Jak zbrzydło mu ciągle matkowanie tej kobiety, która ani nie była jego matką, ani nie miała mu nic do powiedzenia! Dość już udawania grzecznego bratanka! Był dorosłym mężczyzną, a nie mógł nawet przyprowadzać do domu znajomych kobiet. Nie mógł też pić, palić, grać w karty i robić innych rzeczy sprawiających mężczyznom przyjemność. Niedobrze mu się robiło na myśl, że z własnej woli przystał na tę nieznośną zależność od rodziny Abrantesów. Mówiąc wulgarnie, rzygać mu się chciało.

Przed dziesięcioma laty Fernando Abrantes wpadł na wspaniałą myśl, że on, Ronaldo Silva, mógłby zamieszkać z Marią da Conceicao. Tak, sprytnie to sobie wymyślił stary generał. W ten sposób za jednym zamachem pozbył się zarówno działającej mu na nerwy siostry, jak i niespodziewanego krewnego z Brazylii, nie mając wyrzutów sumienia i nie narażając się na oskarżenia o brak serca. Starsza kobieta mieszkająca z bratankiem była poza wszelkimi podejrzeniami - a młody człowiek, który opiekował się ciotką, stanowił wzór dobrego krewniaka. Abrantes opłacał czynsz, a niewygodni krewni zostawiali go w spokoju. Rozwiązanie zadowalało wszystkich - dopóki Ronaldo nie zaczął czuć wstrętu do Marii da Conceicao.

Stało się to stopniowo i Ronaldo wiedział, że głównym tego powodem są jego niepowodzenia. Mimo to nie potrafił nie wyładowywać złego humoru na ciotce. Początkowo przestał przynosić jej kwiaty. Potem częściej wychodził z domu. Wreszcie nie starał się nawet udawać, że się o nią troszczy. Zupełnie otwarcie okazywał, że czuje wstręt do jej wykoślawionych palców, kwaśnego starczego zapachu, dziwnych chłopskich ubrań oraz manii dekorowania całego mieszkania krucyfiksami, madonnami i dewocjonaliami z Fatimy. Co najgorsze, jego drobne złośliwości i obraźliwe uwagi odbijały się od niej jak gumowe piłeczki od

betonowego muru. Najwyraźniej uparła się kochać go jak syna i akceptować wszystkie jego błędy. Czasami RONALDA ogarniała tak wielka ochota, by po prostu uderzyć starą krowę, że dla własnego dobra musiał szybko uciekać. Dopóki był zależny od generała, nie mógł sobie pozwolić na takie wyskoki. Ale co miał zrobić? Nie stać go było na własne mieszkanie, a nie miał widoków na bogatą żonę.

Jednak przy odrobinie szczęścia wszystko się zmieni. RONALDO przejechał palcami po swoich lśniących, czarnych włosach. Mogą zostać nieco potargane, to nadawało mu młodzieńczy wygląd. Nie miał ochoty ograniczać się do roli podstarzałego kochanka, gdy naprawdę się rozkręci. Wkrótce skończy trzydzieści lat, nie nadawał się już na ideał młodzieńczego buntownika. Dyskretnie przejrzał się w szybie kawiarni. Okej, pomyślał. Wszystko w jak najlepszym porządku. Wyglądał olśniewająco, jak zawsze. Umiejętnie zatuszował kręgi pod oczami. Warto było umieć posługiwać się szminką. A on to umiał, nawet jeśli przez lata pracował tylko jako statysta. Spojrzał na zegarek na ręce, prezent urodzinowy od ciotki Marii da Conceicao. Głupia gęś zapewne wydała na niego oszczędności całego życia, bo zegarek był szwajcarski. RONALDO sprawdził, że zostało mu jeszcze kilka minut do spotkania. Skinął na kelnera i zamówił kolejne bagaco. Alkohol pomagał opanować zdenerwowanie. Przy sąsiednim stoliku siedziały dwie młode dziewczyny, które patrzyły na niego bez skrępowania i chichotały. Dopiero będą chichotać, gdy RICARDO będzie wielki i sławny! Mrugnął do dziewcząt. To mrugnięcie stosował już tysiące razy, nigdy nie zawiodło. Kobiety uganiały się za nim tabunami. Niestety, tylko te niewłaściwe.

Upewniwszy się, że osiągnął zamierzony efekt, czyli zdumiony, niedowierzający uśmiech - co, naprawdę ma na myśli mnie?! - odwrócił się na powrót do oszklonych drzwi wejściowych. Obserwował przechodzących na zewnątrz w wiosennym słońcu ludzi, dzieci, przyciskające noski do wystawy kawiarni, gdzie prezentowano smakowite słodycze, oraz matki, które stanowczo brały je za ręce i odciągały. Spoglądał na kłęby tytoniowego dymu, w skośnych promieniach słońca układające się w najdziwniejsze wzory, i co chwila patrzył na swoje odbicie. Czy koszula nie jest zbyt rozchełstana, a jedynie tyle, by nadawać mu rys zuchwałości? Czy skórzana kurtka nie wygląda nieco przesadnie, szczególnie o tej porze roku? Czy na górnej wardze nie pojawiły się kropelki potu? Ale nie, wyglądał dobrze - egzotyczny i nieco doroślejszy wariant Jamesa Deana. W jednym z kin na Avenida da Liberdade

pokazywano właśnie Olbrzyma, a Ronaldo widział ten film już tyle razy, że znał go na pamięć. Uznał, że byłby godnym następcą hollywoodzkiego gwiazdora. Gdyby tylko dano mu szansę!

Ponad łąkami w dolinie rzeki zalegała mgła. Gęsta, biała, tajemnicza. Powyżej wznosiły się majestatyczne góry. Liście winorośli zabarwiły się już na żółto i czerwono. W świetle porannego słońca wschodnie zbocza lśniły niczym drogocenne klejnoty. Mgła u ich stóp wyglądała jak biała satyna wyściełająca kasetę z cennymi klejnotami. Niebo miało delikatną niebieską barwę, a później, gdy słońce zacznie grzać mocniej, przybierze ciemniejszy odcień. Samo Douro, podobnie jak sąsiednie rzeki i mniejsze strumienie, było niewidoczne. W ciągu dnia kolejne szczegóły wyłonią się nieśmiało krok po kroku - najpierw najwyższe drzewa, potem kominy budynków, a wreszcie maszty barek rabelo, które dziś służyły raczej jako atrakcja turystyczna niż środek transportu dla beczek porto. Gwiazda zwlekała z ukazaniem się, co tylko wzmagало jej czar. Najpóźniej około jedenastej mgła się przerzedzi i krajobraz ujawni swe sekrety. Potem jednak sięgnie po kolejne wyrafinowane sztuczki, by nie wypuścić obserwatorów spod swego uroku.

Nocą panował już przejmujący chłód, ale świeże poranne powietrze było niezrównane. Pokrywało skórę delikatną błoną wilgoci. Pachniało tak intensywnie wodą, łupkiem i pierwszymi jesiennymi liśćmi, że Ruiemu da Costa niemal zapierało dech w piersiach. Stał przy otwartym oknie sypialni i chciwie wdychał to cudowne powietrze. Powiódł spojrzeniem po swoich ziemiach, po winnicach, którym poświęcił niemal całe życie i które teraz leżały przed nim ogołocone i spokojne. Jesień, okres po winobranii, a przed przycinaniem pędów, gdy upał lata ustępował bardziej cywilizowanym temperaturom i gdy przy wtórze głośnego śmiechu gołymi stopami ugniatano zacier w kamiennych kadziach, zawsze była jego ulubioną porą roku. W tym roku jesień wydawała mu się jeszcze piękniejsza. To będzie świetny rocznik. Osiągną najwyższe ceny. Ale nie o tym myślał teraz Rui.

Powód, dla którego stał przy oknie w tak dobrym nastroju, pełen energii i radości życia, nie miał nic wspólnego ze sprzedażą porto. Rui był zakochany. Dopadło go naprawdę mocno. Nigdy wcześniej nie oddał się tak drugiemu człowiekowi jak teraz. To było wzniosłe uczucie, takie, które obraca wniwecz wszystko, co minione, i wszelkie dawne

plany. Rui podjął decyzję. Nie spodoba się jego rodzinie, ale cóż z tego? Czy oni go pytali, czy podoba mu się, co wyprawiają? Teraz jego kolej. Miał prawie siedemdziesiąt lat i będzie się cieszyć każdą chwilą, która mu została - nie oglądając się na nikogo.

Jakim był głupcem! Dlaczego przez te wszystkie lata opinia publiczna znaczyła dla niego tak wiele, że zrezygnował z prywatnego szczęścia? Dopóki pół roku temu nie spotkał tego chłopaka, poważnie zajmował się już tak niemiłymi sprawami jak własny pogrzeb. Dawniej lekarz przychodził niemal codziennie, by bogacić się na hipochondrii Ruiego, ale już go przepędził. Co miały znaczyć te bzdury? Był stary, ale pomijając przerzedzające się włosy na głowie, zupełnie niczego mu nie brakowało. Wieloletnie hartowanie ciała i sumienna pielęgnacja zdrowia opłaciły się - był uosobieniem dziarskiego emeryta, nawet jeśli odpychał od siebie myśl o emeryturze.

Do tegorocznych zbiorów pracował jak szalony i przez krótką chwilę żałował, że nie będzie już mógł triumfować z powodu świetnej jakości tinta roriz, za której uprawę niegdyś go wyśmiewano. Nieważne. W rzeczywistości miał dość porto. Kogo obchodziło, czy lepsze są zasadzenia w kształcie liry czy szpaleru? Czy kłótnia o zalety i wady rozcieńczania nie jest czysto akademicka? I jaki normalny człowiek wie, co to są szczepy uszlachetnione? No proszę. Przy tych wszystkich fachowych sporach zapomnieli, że chodzi wyłącznie o to, by wino smakowało, co z kolei zależało w znacznym stopniu od zdolności smakowych, ale nie od wiedzy. Ukochany wyraźnie mu tego dowiódł, pijąc proste ruby z większą przyjemnością, niż on sam smakował najszlachetniejsze colheita.

I dla kogo właściwie miałyby dalej harować? Z pewnością nie dla leniwego syna, on i tak dobrze radził sobie w życiu dzięki szwindlom. Dla kogo innego? Dla szanownej małżonki, choć niemal zapomniał, jak wygląda? A może dla Laury, o której Paulo twierdzi, że wcale nie jest jego, Ruiego, córką, w co wyjątkowo mu uwierzył? Dla miłych wnucząt? Jeden był kryminalistą, w dodatku nawet nie z jego krwi i kości, a dwoje pozostałych wyrastało w Lizbonie na rozpuszczonych zuchwalców, którzy nie chcieli mieć nic wspólnego z gospodarowaniem quintą? Nie, odkąd zmarła jego matka - w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat, co dawało Ruiemu nadzieję, że sam również dożyje tak biblijnego wieku - nie było już nikogo, dla kogo miałyby utrzymywać posiadłość. Sprzeda więc wszystko, przeniesie się do Lizbony i tam ze swoim ukochanym będzie wiódł wesołe życie. Zupełnie jawnie.

Oczywiście załatwi wszystko w sposób, jakiego należało oczekiwać po dżentelmenie. Juju nadal figurowała w katasterze jako właścicielka kawałka ziemi, który wniosła w wianie. Od tej pory będzie się mogła sama o niego troszczyć - co nie było trudnym zadaniem, bo w ciągu minionych czterdziestu lat Rui niemal potroił dochody z tych ziem. Przynosiły ładne zyski, które jego małżonka może sobie zabrać. Swego syna Paula obdarzy dużym pakietem akcji wartym z pewnością ćwierć miliona dolarów. Laurze przekaze większą sumę w gotówce. Nawet jeśli nie była jego prawdziwą córką, zawsze ją za taką uważał i kochał. Nie da się tego tak po prostu wymazać. Biedne dziecko nie może przecież pokutować za błędy matki.

W ten sposób wszyscy będą zadowoleni. Po sprzedaży ziemi i Quinta da Laranjeiras, o którą z pewnością będą zabiegać Sandeman, Graham czy inny z wielkich producentów lub rozlewników porto, zostanie mu pokaźny majątek. Więcej, niż był w stanie wydać. Nawet jeśli dożyłby setki. I więcej niż dość, by urządzić przyjemne życie swemu ukochanemu Ronaldowi i wspomóc jego karierę. Był okropnym aktorem. Jeśli wkrótce nie weźmie lekcji u profesjonalisty, nawet wspaniały wygląd mu nie pomoże.

Fernando nie wierzył własnym oczom. Jego bratanek, Ronaldo, siedział przy stoliku w kawiarni - z mężem Juju. Co to ma znaczyć? Co mają ze sobą wspólnego? Wątpił, by Juju wiedziała na ten temat więcej niż on, ale spyta ją przy najbliższej okazji. Bo żeby sam podszedł do stolika, by przywitać się z Ronaldem i wymienić uprzejmości ze swym starym rywalem, w ogóle nie wchodziło w grę. Facet nadal sprawiał, że Fernando czuł się niemilo. Ciągle był gogusiem. Nosił modne jasne marynarki i mniej modne, ale tym śmieszniejsze cienkie wąsiki. Mimo to Fernando bez zazdrości przyznawał, że jak na swój wiek - Rui musiał mieć mniej więcej tyle samo lat co on, czyli sześćdziesiąt siedem - trzymał się bardzo dobrze. Fernando przyspieszył kroku i miał nadzieję, że żaden z obu mężczyzn go nie zobaczył.

Gdy wrócił do domu, był spocony. Ostatnio ciągle się pocił, ale to go nie dziwiło. Nawet gdy temperatura na dworze wynosiła około dwudziestu stopni, Elisabete upierała się, by palić w kominku. Ona bowiem wiecznie marzła. Pomimo upału panującego w salonie siedziała przed migoczącym ogniem w wełnianym bluziaku. Była całkowicie pogrążona

w lekturze bulwarowej gazety, w dwóch trzecich wypełnionej zdjęciami królowej, jej imienniczki. Co kilka minut unosiła wzrok znad pisma i wołała „Posłuchaj, Fernando!” albo „To niesłychane!”. Fernanda ani trochę nie interesowało, co angielska królowa zjadła podczas pobytu w Lizbonie, jak była ubrana bądź jakie zabytki obejrzała. Mimo to słuchał żony, gdy czytała mu jakieś wyjątkowo ekscytujące w jej przekonaniu fragmenty. Co mu pozostawało? Dni stały się tak długie, odkąd wrócili z Paryża, a on zrezygnował ze służby. Takie puste. Kobiety nauczyły się zapełniać sobie czas, nawet gdy dzieci nie mieszkały już w domu. On nie. Inaczej niż żona i Juju nie potrafił spędzać wielu godzin na czytaniu, ręcznych robótkach lub rozmyślaniu o nowych zasłonach. Czuł się niepotrzebny i stary.

A były przecież sensowne rzeczy, na które chętnie poświęciłby czas. Nagle poczuł głęboką tęsknotę za zajęciami z młodości - rąbać drewno, okorowywać dęby, zbierać winogrona, kosić trawę, zrywać oliwki. Ogarnęła go niewytłumaczalna tęsknota za Alentejo. Ale wszystkie dawne więzi zostały zerwane, a żona nie wyrażała pragnienia, by spędzić wakacje w „tej zapomnianej przez Boga okolicy”. Bardziej ciągnęło ją za granicę, na Lazurowe Wybrzeże, do włoskich kurortów, do eleganckich miast. Jeśli już w Portugalii, to najchętniej jeździła do willi w Casicais, którą odziedziczyła po rodzicach, albo do feudalnej quinty swoich przyjaciół w Sintrze. Fernando zaś ugiął się przed wolą Elisabete. Przynajmniej tyle mógł zrobić, by odpokutować za lata niewierności.

Jak miło byłoby teraz siedzieć z Juju pod drzewem oliwnym, łaskotać ją źdźbłami trawy i przyglądać się, jak patrzy w bezchmurne niebo. Jednym uchem Fernando słuchał, jak żona czyta kolejny rzekomo ciekawy fragment ze swojego brukowca. Czy nie mogłaby choć na chwilę zamilknąć? Tak cudownie było oddawać się marzeniom na jawie. Fernando wyobrażał sobie, jak mieszka z Juju w ślicznym domku, białym z pomalowaną na niebiesko podmurówką i niebieskimi szlaczkami wokół okien i drzwi, z ogromnym kominem, na którym gnieźdzą się bociany, i z dużym kawałkiem ziemi wokół, gdzie uprawiałby owoce i warzywa. Och, a przez środek ogrodu przepływałby mały strumień, w którym mogliby moczyć nogi i w którym pluskałyby się ich wnuczeta, często przyjeżdżające z wizytą. Za domem zbudowałiby werandę i tam przesiadywaliby do późna w nocy na bujanych fotelach, z kieliszkiem wina i wzrokiem utkwionym w rozgwieżdżonym niebie. I nieważne, czyby milczeli, czy prowadzili ożywioną rozmowę - nigdy

nie byłoby między nimi tej pustej ciszy, która zawsze ciążyła mu w obecności żony.

- Czy w ogóle mnie słuchałeś? Fernando otrząsnął się z zamyślenia.

- Oczywiście, moja droga.

- Aha. I co sądzisz? Mają rację?

- Przestań mnie egzaminować. Nie, sądzę, że nie mają racji. I na tym koniec dyskusji.

Elisabete spojrzała na męża sceptycznie. Przynajmniej nie stracił jeszcze refleksu. Dobrze wiedziała, że nie ma pojęcia, o czym mówiła, ale po tylu latach w polityce potrafił nie dać po sobie poznać wątpliwości czy niewiedzy.

- Wiesz, Fernando, życie emeryta w ogóle ci nie służy. Może powinieneś wybrać się w podróż. Nie do Cascais albo Sintry, dobrze wiem, że nie czujesz się tam swobodnie. Pojedź raczej do swojego ukochanego Alentejo. Zetnij kilka spróchniałych dębów, sama nie wiem. Ale zrób coś. Nie można z tobą wytrzymać, gdy wciąż przybierasz tę cierpiętniczą minę.

Czy snuł swe wizje na głos? Czy ona umie czytać mu w myślach? A może po prostu zna męża i jego mimikę - choć o „cierpiętniczej minie” nie mogło być mowy - tak dobrze, że poznała, za czym tęskni? Przerazająca wizja.

- Tylko nie patrz na mnie jak chłopak przyłapany na sięganiu do słoika z cukierkami. Znam cię, Fernando Abrantesie, i wiem, że w głębi serca nadal jesteś rolnikiem. Jeśli cię to uspokaja, chcę ci tylko dać okazję, żebyś się wyszalał, zanim wpadniesz na pomysł, by wyładować nadmiar ogrodniczej energii na moich różach. - Jej usta ułożyły się w uśmiech, ale spojrzenie pozostało chłodne.

- Twoja propozycja nie jest taka zła. - Fernando starał się nie okazywać podniecenia. To było to! Mógł spełnić swe najgłębsze pragnienie, a żona nawet dawała mu swoje błogosławieństwo. - Przemyślę ją na spokojnie.

Nie widział, jak Elisabete przewraca oczami. Na spokojnie, Boże! Jeśli chodzi o nią, mógł wyjechać natychmiast. Odkąd przez całe dni siedział w domu, jej życie stało się udręką. Ten człowiek nie interesował się niczym, co nie wiązało się z samolotami, wojskiem lub Alentejo. Nie grał w brydża, nie plotkował ze znajomymi, nie chadzał do eleganckich restauracji. Oddalił się od dzieci - jeśli kiedykolwiek był im bliski - i nie

lubił bawić się z wnukami, zresztą z wzajemnością, ponieważ się go bały. Nie mógł brać udziału w jej codziennym życiu. Chciała usunąć go sobie z drogi, i to lepiej dziś niż jutro.

Fernando odłożył gazetę, która leżała na jego kolanie i której nie czytał już od półgodziny. Podniósł się z fotela.

- Psiakrew, jaki tu nieznośny upał. Gdybyś mnie szukała, będę w pracowni.

Elisabete nawet nie uniosła głowy, gdy wychodził.

Fernando był niezwykle podekscytowany. Naraz poczuł się o dwadzieścia lat młodszy. Perspektywa spędzenia kilku dni, a może nawet tygodni z ukochaną kobietą w nie mniej ukochanych rodzinnych stronach wyzwoliła w nim energię, jakiej nie czuł od lat. Sięgnął po telefon i wybrał znany numer.

- Juju, meu amor, mam wspaniałą wiadomość.

- Tak?

- Pojedziemy razem do Alentejo, tylko ty i ja. Możemy wynająć dom. Albo pokój w którejś quincie, gdzie otwarto pensjonat.

- Och... a kiedy mielibyśmy jechać?

- Tak szybko, jak to możliwe! Ach, Juju, będzie fantastycznie!

- Nie będzie.

- Dlaczego? Pora roku jest idealna na taką podróż, a...

- Nie pojedziemy - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Cieszyła się, że Fernando jej nie widzi. Nigdy nie umiał sobie radzić z płaczącymi kobietami.



## Rozdział Trzydziesty Siódmy.

Co po nowym adapterze, skoro płyty były stare? Co to za przyjęcie, na którym najwyraźniej nikt nie słyszał o rock'n'rollu? Kobiety siedziały po jednej stronie pokoju, mężczyźni rozmawiali po drugiej, i nikt nie doceniał alentejańskiej muzyki ludowej nagranej na zupełnie podrapanej płycie. Ciotka powinna raczej zamówić mały zespół, wtedy może ktoś by tańczył. A może goście potrzebowali jeszcze trochę alkoholu, by się rozluźnić. Tutejsi ludzie byli bardzo szczegółni. Marisa już żałowała decyzji o spędzeniu ferii u ciotki. Jednak nie pozwalano jej jeszcze podróżować samej - może nawet by się na to nie odważyła - a towarzyszenie rodzicom do kurortu w Szwajcarii wydawało się jej gorszą alternatywą. Cóż za błąd - nic nie mogło być gorsze niż ta senna dziura z dziwnymi mieszkańcami. Co jej przyjdzie z bardzo hojnego kieszonkowego - rodzice przeszli samych siebie - skoro w całej okolicy nie ma eleganckich sklepów ani kawiarni?

Jedyną iskierką nadziei był dla Marisy ten chłopak, który przedstawił się jako Rick i zaprosił ją na festyn w Vila Seca. Zaprosił? W zasadzie nie było to prawdziwe zaproszenie, czyż nie? Bo gdyby było, nie musiałyby się teraz zastanawiać, jak tam dotrzeć. Przyjechałby po nią. Ale tak? Krążenie nocą na rowerze po okolicy nie wydawało się Marisie zbyt rozsądne. Nie chciała też prosić ciotki i wuja, by zabrali ją na festyn - zadawaliby niewygodne pytania albo, co byłoby znacznie gorsze, poszliby razem z nią. Hm, musiała coś wymyślić. Bo tego Ricarda koniecznie chciała znowu zobaczyć.

Pomijając brzydki trądzik, był całkiem przystojny. Miał zielone oczy, a przynajmniej błyszczące na zielono. Już samo to Marisa uznała za czarujące. Poza tym miał świetną figurę, piękny męski głos, gęste czarne włosy, charakterystyczny podbródek i wspaniałe białe zęby. Nie żeby je często pokazywał. Chłopak rzadko się uśmiechał, w czym przypominał

innych ludzi z okolicy. Poza tym jednak niewiele go z nimi łączyło, jak sądziła Marisa, choć oczywiście po dwóch krótkich spotkaniach nie mogła mieć pewności.

Sprawiał wrażenie inteligentnego i zastanawiała się, dlaczego zadaje się z tymi ograniczonymi chłopakami, z którymi siedział przy fontannie. Był zupełnie innego kalibru. Czy musi się kolegować z takimi idiotami? A może Ricardo rzeczywiście, jak twierdziła jej ciotka, był jednym z najgorszych łobuzów w okolicy, który już zszedł na złą drogę i który w najlepszym wypadku skończy w więzieniu? „Ależ, ciociu Joano, jeśli nie zapłacisz mu za pracę i jeśli jego pozostali klienci też go tak potraktują, nie zostanie mu nic innego, jak zarabiać na życie w niegodny sposób”. Marisa nigdy nie miała zamiaru usprawiedliwiać jakichś kryminalnych poczynań, ale podwójna moralność ciotki wyraźnie ją do tego zmusiła. „E tam - odparła ciotka. - Mógł chodzić do szkoły. I nie musiałby zarabiać na utrzymanie, bo jego rodzina ma pieniądze. Przynajmniej dość, by wyżywić chłopaka. Tak, ale w tych okolicznościach nie będzie dziwne, jeśli kiedyś wyląduje w rynsztoku...”. Nie chciała powiedzieć nic więcej, czym naprawdę uskrzydliła wyobraźnię Marisy.

Marisa jeszcze nigdy nie spotkała chłopaka uchodzącego za niebezpiecznego, wykolejonego, za kogoś z nieodpowiedniego towarzystwa. Znała tylko chłopców w swoim wieku, z porządných rodzin, którzy grzecznie uczęszczali do szkoły, pewnego dnia mieli zostać lekarzami lub prawnikami, grali z ojcami w tenisa, pozwalali się ubierać matkom i których jedyna forma buntu przeciw rodzicom polegała na tym, by wzdychać do plakatu Brigitte Bardot zawieszzonego w szafce w sportowej szatni. Marisa uznała za ekscytującą znajomość z chłopakiem, który był zupełnie inny. Buntownik. Niech no tylko opowie o tym swojej najlepszej przyjaciółce!

No tak, przywołała się do porządku, ale najpierw musi go bliżej poznać. Na razie nie było wiele do opowiadania. A w tym celu musiała się udać na festyn w Vila Seca.

Marisa siedziała zmęczona na drewnianej ławce i rozmyślała, czy się nie pożegnać i nie położyć, gdy nadeszło wybawienie w postaci lekko podchmielonej starszej pani. Kobieta usiadła obok Marisy - przy czym ławka niebezpiecznie się przechyliła - nalala sobie wina z jednej z karafek, które stały wokół na wszystkich stołach, i zagadnęła:

- Musi być bardzo nudne takie przyjęcie, na którym są tylko starzy, prawda?

Mój Boże, czego ona się spodziewa? Że Marisa przytaknie, najlepiej dodając jeszcze, że to właśnie ludzie tacy jak ona sama przyczyniają się do nastroju ogólnego przygnębienia? A może skłamać i udać, że się świetnie bawi? Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, kobieta powiedziała:

- Moje dzieci są mniej więcej w twoim wieku. W sobotę wszystkie wybierają się do Vila Seca. Też powinnaś iść, zawsze jest bardzo wesoło.

- Tak? - Marisa nagle się ożywiła.

- Mój Tiago mógłby cię zabrać. Jeździ już samochodem.

- To byłoby... cudownie.

- Tutaj nie ma wielu dziewcząt tak ładnych jak ty - wyszeptała jej do ucha kobieta obrzydliwie poufałym tonem i roześmiała się. Marisa czuła jej przepojony winem oddech. Czy ta stara zamierza ją stręczyć?

- Muszę najpierw spytać ciotki i wuja. Ale bardzo dziękuję za propozycję. - Odsunęła się nieco. - Jak się pani nazywa? - Zorientowała się, jak nieuprzejmie zabrzmiało pytanie, i dodała: - To znaczy, muszę powiedzieć cioci, który Tiago ma być moim szoferem.

- Jestem senhora Josefina Andrade.

- Bardzo mi miło, senhora Andrade. Zastanowię się. A teraz naprawdę muszę się położyć, padam z nóg. Dobranoc.

- Cóż, dziecko, wy, lizbończycy, nie znacie się raczej na zabawie, prawda?

Marisa, nie chcąc urazić gościa, obdarzyła ją fałszywie naiwnym uśmiechem i uciekła.

Leżąc w łóżku, jeszcze godzinami rozmyślała o tym, jakie perspektywy otworzyła jej ta niemożliwa osoba z prawdopodobnie jeszcze gorszym synem. Tak, pojedzie z Tiagiem na festyn, niezależnie od tego, jakim jest bałwanem. I pokaże tym wieśniakom, że lizbończycy też potrafią się bawić.

Ricardo siedział obok kobiety, którą uważał za swoją babcię, choć właściwie była jego cioteczną babką. Nieważne, nadal będzie ją nazywać avó, vovó albo avózinha, w zależności od nastroju. Gdy musiał okazać surowość, nazywał ją doną Marianą. Właśnie teraz nadeszła chwila, gdy dobre słowo nie wystarczało.

- Dono Mariano, musisz otworzyć usta!

Niechętnie posłuchała jego rozkazu. Opuściła lekko dolną szczękę i luźno trzymała wargę.

- Szerzej! Jak ma się tu zmieścić łyżka, żeby wszystko nie spadło? Opuściła szczękę jeszcze trochę. Dopóki nie otworzy porządnie ust,

Ricardo nie poda jej papki, bo narobiłby ogromnego bałaganu. Nie rozumiał, dlaczego nie może po prostu zastosować się do woli staruszki i karmić jej czekoladowymi cukierkami. Czy w jej wieku zrównoważona dieta odgrywa jeszcze jakąś rolę? Czy to nie całkowicie obojętne, czy jest gruba, czy chuda, silna fizycznie czy nie? Czy komuś w takim stanie umysłowym nie można pozwolić na drobną przyjemność, jedną małą rzecz, która zdawała się sprawiać jej radość, czyli słodycze?

Ricardo kochał swoją babcię Marianę. Była jedyną osobą w rodzinie, która zawsze okazywała mu zrozumienie i opowiadała się po jego stronie. Ale zmiany, które w niej zaszły, napawały go lękiem. I szczerze mówiąc, odpychały. Mimo to zajmował się babcią, gdy tylko czas mu pozwalał. Czasami, w lepszych chwilach, zabierał ją do pikapa i woził po polnych drogach. Zawsze się wtedy głośno śmiała, ale czasami też krzyczała.

- Fernando, znowu jedziesz za szybko! To nie samolot! - zarzuciła mu w zeszłym tygodniu.

Nie był to pierwszy raz, gdy nazwała go Fernandem, a Ricardo nie bardzo się tym przejmował. Z pewnością chodzi o jej młodzieńczą miłość, wywnioskował. Jakiś głupi stary przyk. Albo martwy stary przyk. Zdecydowanie wolał jednak, gdy nazywała go Fernandem, niż gdy nic nie mówiła, tak jak teraz, i całkowicie bezwolnie pozwalała na poniżającą procedurę karmienia. Przynajmniej, pomyślał Ricardo nie bez odrobiny wyrzutów sumienia, nie musi towarzyszyć jej do toalety. Za to odpowiadały kobiety.

Przykład babci Mariany wyraźnie pokazywał, że nie warto się starzeć. W każdym razie mając na uwadze dwa minione lata, odkąd jej stan gwałtownie się pogorszył, Ricardo postanowił nie przeżyć ani dnia ponad czterdzieści lat.

Potem sam zakończy swe życie. Nie chciał obarczać opieką nad sobą ani ewentualnych potomków - których właściwie nie zamierzał powoływać na świat - ani dalekich krewnych. Poza tym jaki sens miało życie w tak podeszłym wieku? Jediną zaletą był może brak pryszczycy.

Mariana zakrztusiła się jedzeniem. Ricardo poklepał ją po plecach. -Już dobrze, dobrze. Ja, szczerze mówiąc, też bym tego nie zjadł. Obiecuj mi, że będziesz tu siedzieć spokojnie, dobrze? - Spojrzał na nią badawczo, nie spodziewając się naprawdę reakcji. - Pobiegnę szybko

obok i podkradnę kilka migdałów w czekoladzie, które ciotka Octavia trzyma w szufladzie nocnego stolika, okej?

Ricardo ujrzał iskierki w oczach babci Mariany i wiedział, że postępuje słusznie.

Kilka godzin później siedział w starym peugeocie, bardzo świadomy faktu, że postępuje niewłaściwie. Guarda Civil będzie dziś w nocy stać na ulicach i kontrolować pijanych kierowców. Gdyby go zatrzymali, miałby problem. Wiele problemów - a poziom alkoholu we krwi byłby najmniejszym z nich. Ale jak miał wprowadzić swój plan w życie bez samochodu? Na skuterze nie dało się przytulać, a to właśnie przewidywał na dzisiejszy wieczór. Ta Marisa ciągle chodziła mu po głowie. Popytał i dowiedział się, że pochodzi z Lizbony, że spędza ferie u krewnych i że w przyszłym tygodniu wyjedzie. Więc nie zostało mu wiele czasu.

Toczył się po nieutwardzonych bocznych drogach i za każdym razem, gdy jechał równoległe do głównej ulicy, wyłączał reflektory. Nie miało to wiele sensu, w końcu była pełnia. Samochód wzbijał ogromny tuman kurzu, widoczny z daleka, gdy tylko księżyc wychodził zza chmur. Mimo to Ricardowi udało się bez przeszkód dotrzeć do celu. Zaparkował w pewnej odległości od placu, więc gdy później pójdzie z Marisą do auta, będzie musiał przejść kilka ciemnych uliczek. Wtedy obejmie ją, przyciśnie mocno do siebie, a potem...

- Hej, zaropialcu! Czemu nas nie wzięłeś, skoro jesteś samochodem? - Obok Ricarda jakby znikąd pojawił się Joaquim.

- Nie twoja sprawa, głupku. Poza tym sam dałeś sobie radę.

- Masz - Joaquim podał Ricardowi butelkę piwa. Ricardo pociągnął duży łyk i oddał.

- I?

- No tak.

- Hm.

- Możesz mówić głośno.

Zawsze prowadzili takie rozmowy i rozumieli się świetnie. Więcej nie mieli sobie właściwie do powiedzenia. Gdy dotarli do tanecznego podium wzniesionego na środku wsi, rozejrzeli się za znajomymi twarzami.

- Gdzieś tu musi być Manuel.

- Hm. - Ricardo szukał zupełnie innej osoby, ale nigdzie jej nie widział. -  
Przynieś nam piwo. Popilnuję miejsca.

Joaquim usłuchał. Ricardo bez wątpienia był ich przywódcą. Lepiej robić, czego zażądał.

Ledwo skręcił za róg, Ricardo spostrzegł Marisę. Nie mógł tego pojąć! Przyszła razem z Tiagiem Andrade, tym półgłówkiem! Ten zupełny nieudacznik, syn elektryka, u którego Ricardo wytrzymał całe trzy dni, nim odszedł ze względu na jego niekompetencję, ten Tiago jakoś zdołał zostać towarzyszem najatrakcyjniejszej dziewczyny w okolicy. Jak tego dokonał? I jak Marisa wytrzymuje u boku tego głupka?

To samo pytanie zadawała sobie wielokrotnie Marisa w czasie jazdy na festyn. Tiago był gruby i tępy. Na szczęście był też bardzo nieśmiały, więc nie musiała martwić się jego natarczywością. Ledwo dotarli na wioskowy plac, ujrzała Ricarda. Mrugnął do niej, co uznała za nieodparcie urocze.

- Posłuchaj, Tiago, muszę pójść do ustronnego kącika. Ale baw się spokojnie beze mnie. - To mówiąc, zostawiła po prostu zdumionego chłopaka samego. Udała się do wioskowego baru, weszła do środka i stanęła przed ladą. Serce waliło jej głośno i szybko. Wokół niej byli tylko mężczyźni, którzy patrzyli na nią jak na intruza. Stojący za ladą właściciel spytał, czego sobie życzy. Zamówiła lemoniadę w nadziei, że Ricardo okaże się dość sprytny, by pójść za nią. Nie uwierzy chyba, że woli towarzystwo Tiaga od jego?

- Ola - Ricardo stanął obok niej, gdy szukała w portmonetce monet, by zapłacić za lemoniadę. Zaskoczona Marisa drgnęła, słysząc nagle charakterystyczny głos z tak bliskiej odległości.

- Przestraszyłem cię? - Uśmiechnął się do niej.

- Oczywiście, że nie. A co, zamierzałeś? Pokręcił głową.

- Dla mnie piwo - zawołał do gospodarza. By ukryć zakłopotanie, długo szukał pieniędzy w kieszeniach spodni.

Gdy piwo stanęło na ladzie, wziął butelkę i stuknął się z Marisą. -Saude.

- Saude.

Popatrzyli po sobie, milcząc przy tym dłużej, niż chcieli. Każde zastanawiało się gorączkowo, co może powiedzieć inteligentnego lub dowcipnego.

Marisa pierwsza przerwała milczenie, choć czuła się przy tym wyjątkowo głupio.

- Dlaczego właściwie mówisz o sobie Rick?

Tym razem Ricardo niezauważalnie drgnął. Dlaczego naopowiadał jej takich bzdur? Ponieważ nie przyszło mu do głowy nic lepszego, oznajmił spontanicznie: - Mój ojciec jest Amerykaninem.

- Ach, naprawdę? To na pewno płynnie mówisz po angielsku, prawda?

- Nie. Nie znam wcale ojca. I nigdy nie byłem w Ameryce.

- To dlaczego nazywasz się Rick?

Wpadł w jej pułapkę jak ostatni uczeń. Zastanawiał się usilnie, jak odpowiedzieć na pytanie i nie zacząć gadać o wszystkim. Marisa na pewno zaraz zapyta, jak to się stało, że jego ojciec jest Amerykaninem, gdzie mieszka, co robi. Potem będzie chciała wiedzieć, czym zajmuje się matka Ricarda, czy ponownie (!) wyszła za męża i czy on sam ma rodzeństwo. Następnie zapyta go, kim chce zostać. A w najgorszym wypadku wspomni jeszcze o jego znaku zodiaku. Dziewczyny zawsze interesowały się takimi bzdurami.

By nie narażać się na zawstydzające wypytywanie, Ricardo odparł tylko:

- Zapomnij o tym. - Zraniony wyraz jej twarzy powiedział mu, że może nie było to wcale takie mądre. Ale co mu zostawało? Widział już jej drwiącą minę, gdyby wyznał prawdę. „Moim ojcem jest kompozytor Jack Waizman, zdobył trzy Oscary za muzykę filmową. Moją matką jest Laura Lisboa, słynna malarka”. Ha, ha, ha. Trzęsłaby się ze śmiechu, a potem odparła: „A ja jestem cesarzową Chin”. Lub coś w tym stylu. Ricardo doświadczył tego niejedną raz i nie zamierzał doświadczyć powtórnie.

Komuś, kto rzucił szkołę i żył na prowincji, utrzymując się z dorywczych prac, i tak nikt by nie uwierzył, a już na pewno nie w tak wstrząsającą historię. I nikt by nie zrozumiał, dlaczego Ricardo nazywa się da Costa, skoro jego rodzice nosili inne nazwiska. On sam już od dłuższego czasu wiedział, że matka ukrywa się pod pseudonimem Laura Lisboa, lecz nigdy jej o to nie zapytał. Nadal czekał na dzień, gdy sama weźmie go na stronę i powierzy mu swoją tajemnicę. Póki tego nie zrobi, nie widział powodu, by samemu przyznawać się do czegokolwiek.

Ach, właściwie było całkowicie obojętne, kim są jego rodzice. W końcu to on, nie oni, nakłoni Marisę do tańca. To on postawi jej piwo - lemoniada

nie sprzyjała zbyt jego celom - i to on później odprowadzi ją do domu. Nie jego ojciec i nie matka.

On sam. I to on ją potem pocałuje. Jednak żeby tego dokonać, musiał być nieco mniej odpychający.

- Przykro mi - powiedział. - Po prostu nie lubię, gdy zadaje mi się tyle pytań. Poza tym możesz nazywać mnie Ricardo, jeśli Rick ci się nie podoba.

- A więc, Ricardo, zdradź mi przynajmniej, dlaczego zajmujesz się tymi głupimi naprawami i nie wyuczysz się porządnego zawodu.

To piłowanie. Rany, jak ona go denerwuje tymi pytaniami, z których wszystkie trafiają dokładnie w jego czułe punkty! Czy dziewczyna nie może po prostu cieszyć się festynem, a potem wybrać się z nim pikapem na przejażdżkę? Czy musi ciągle zadawać takie głupie pytania?

- Bo jestem lepszy niż człowiek, u którego mógłbym terminować.

- W to nawet ci wierzę. Ale on uchodzi za fachowca i każe sobie odpowiednio płacić, a ty zarabiasz gorzej niż najgorszy terminator.

- Poczekamy, zobaczymy. - Ricardo był w głębi duszy przekonany, że pewnego dnia coś z niego będzie. Jak tego dokona, nad tym nie łamał sobie teraz głowy. Kiedyś im wszystkim pokaże.

- Ale na co chcesz czekać? Aż się zestarzejesz i wciąż będziesz wykonywać najgorsze prace? Aż...

Więcej Marisa nie powiedziała, bo w tej chwili Ricardo ujął ją za rękę i pociągnął na parkiet. Leciało Rock around the clock Billa Haleya i choć Ricardo niezbyt dobrze tańczył rock'n'rolla, do tej piosenki nogi zawsze mu się rwały.

Na skraju parkietu stali jego koledzy, Manuel, Joaquim i jeszcze trzech inni z paczki, i wykonywali za plecami Marisy obsceniczne gesty. Ricardo próbował ich ignorować. Kilka metrów od nich stał Tiago i patrzył jak zbity pies. Wszyscy uważnie obserwowali parę na parkiecie. Nie uszło ich uwagi, że Ricardo nadrabia brak pewności siłą, kręcąc Marisą najbardziej szalone piruety. Ani to, jak dobrą tancerką była dziewczyna, której spódniczka, halka i koński ogon latały dziko, nadając całemu spektaklowi nieodparty czar. A już na pewno zauważyli, jaką śliczną stanowili parę.

Gdy skończyła się piosenka i zagrano wolniejszy utwór, opuścili parkiet. Zadyszana Marisa wykrztusiła:

- Musimy to jeszcze trochę poćwiczyć, co? - A Ricardo, który był bardzo dumny, że nie tylko pokonał wewnętrzny opór, ale także tańczył



całkiem nieźle, odpowiedział, również ciężko oddychając i dość urażony, że ona nie umie docenić jego zdolności tanecznych:

- Może ty. - Potem ze wzrokiem utkwionym w zbliżającego się Tiaga dodał złośliwie: - I oto nadchodzi ktoś, z kim możesz to zrobić.

- Oj, lepiej szybko się ulotnijmy. - Udała, że w ogóle nie widziała Tiaga, odwróciła się i ciągnąc Ricarda za rękę, skierowała się do jednej z drewnianych ławek stojących pod platanami.

Gdy tam dotarli, puściła dłoń Ricarda, jakby się sparzyła. Nagle ten gest wydał się jej stanowczo zbyt intymny. Ludzie musieli sobie o niej myśleć Bóg wie co. Usiadła, obejrzała się dyskretnie i z ulgą stwierdziła, że Tiago nie poszedł za nimi.

- Wiesz, że w Ameryce Bill Haley jest już zupełnie passe? - spytała Ricarda, gdy odpoczęli nieco po wyczerpującym tańcu, a on przyniósł im piwo. - Młodzież słucha teraz Elvisa Presleya. Jest znacznie przystojniejszy i tańczy... e, trochę wulgarnie.

- Skąd to wiesz? Macie telewizor?

- Tak, mamy. Ale nie stamtąd wiem - teraz leci tylko RTP, z ocenzurowanymi wiadomościami.

Ricardo zdumiał się. Dopiero od marca tego roku, czyli 1957, była w Portugalii telewizja i tylko niewielu miało odbiorniki. - To skąd wiesz?

- Mój starszy brat studiuje w Stanach. Opowiadał nam, że na koncertach Elvisa dziewczyny mdleją i tak dalej.

Ricardo uniósł brwi z miną, która zdawała się mówić: „historyczne baby”.

- Nie patrz tak z góry.

- Wcale nie patrzę z góry. - Oczywiście wiedział, że patrzył dokładnie w ten sposób. Robił to ciągle, nieświadomie, i uraził tym już wiele osób. Ale co miał na to poradzić? Tak właśnie wyglądał. Jeśli ludzie uważali wyraz jego twarzy za arogancki, nie mógł tego zmienić.

Potem ani jemu, ani jej nie przyszło do głowy nic sensownego. Pili w milczeniu, ukradkiem spoglądali po sobie i byli nawzajem boleśnie świadomi swej obecności.

Atmosfera między nimi stawała się coraz bardziej nieznośna.

- Masz ochotę jeszcze raz zatańczyć? - spytała w końcu Marisa, gdy skończyło się piwo i coś trzeba było powiedzieć.

- Przy tej muzyce? Bardzo dziękuję. - Nie chciał tańczyć nie ze względu na muzykę. Chodziło o złośliwe twarze kolegów, którzy, jak widział kątem oka, nadal go obserwowali, a także o to, że jego pewność

siebie jako tancerza po narzekaniach dziewczyny została poważnie nadszarpnięta.

- To chyba lepiej się pożegnam, co? - Marisa miała już okazję się przekonać, że rady jej babki zwykle się sprawdzają. A w tej sytuacji babka z pewnością powiedziałyby: „Trzeba iść wtedy, gdy jest najlepiej”. Nie żeby teraz było naprawdę dobrze - ale lepiej z pewnością nie będzie.

- Chcesz już wracać do domu? - Ricardo triumfował. Jeśli chciała udawać trudną, to się nacięła.

- Tak.

- Mam cię odwieźć?

- Twoim skuterem? Lepiej nie - nie jestem na to odpowiednio ubrana.

- Przyjechałem samochodem.

- Ach tak?

Skinął głową i miał nadzieję, że nie wygląda przy tym zbyt arogancko.

- Możesz już prowadzić?

- A kogo to obchodzi? - Uśmiechnął się do niej krzywo, mrugnął i w tej samej chwili wiedział, że wygrał.

Pół godziny później Ricardo został zatrzymany przez policję. Jeden z policjantów pojechał z nimi na komendę, skąd zadzwonił do krewnych Marisy, żeby mogli odebrać dziewczynę. Ricarda zatrzymano nieco dłużej, ale w końcu zadzwoniono do jego matki, która przyjechała z podpuchniętymi oczami, wpłaciła kaucję, uiściła opłatę za odholowanie pikapa i wymierzyła synowi policzek. Dopiero wtedy Ricardo naprawdę oprzytomniał - do tego momentu wydarzenia wydawały mu się dziwnie nierealne. Głośne kłaśnięcie oraz piekący ból gwałtownie przywróciły mu świadomość, że zawałił sprawę. Wyrwały go ze snu.

## Rozdział Trzydziesty Ósmy.

Posiadacze wczesnych dzieł Laury Lisboa mogli się cieszyć z ogromnego wzrostu ich wartości. Dziś oryginały LL kosztowały majątek. Obrazy malarki wisiały w najznamienitszych muzeach Europy, a większość miłośników jej sztuki musiała się zadowalać sygnowanymi reprodukcjami.

Najdziwniejsze jest to, myślała Laura, że żaden z nielicznych wtajemniczonych nigdy nie zdradził jej prawdziwej tożsamości. Nadal współpracowała z właścicielem galerii Oliveirą. Pytanie tylko, jak długo jeszcze. Był stary i coraz bardziej schorowany. Wkrótce będzie musiał przekazać interes młodszemu, a kto wie, czy następca okaże się równie dyskretny. Laurę zdumiewało także, że nawet w urzędzie finansowym nie było przecieków, ale w tej kwestii nie robiła sobie nadziei. Kiedyś jakiś nieznany jej, godny zaufania urzędnik zostanie zastąpiony przez młodszego, na którego uczciwość nie będzie można liczyć.

Laura nie przejmowała się ludźmi ze swojego najbliższego otoczenia. To naprawdę niesamowite, jak byli ślepi. Nie widzieli nawet, co dzieje się tuż pod ich nosami. Odkąd przeprowadziła się do Alentejo do ciotki Mariany, nikt nie powziął nawet najmniejszych podejrzeń. A przecież w skrzydle, które zamieszkiwała z Ricardem w Belo Horizonte i w którym znajdowała się jej pracownia, wszędzie stały lub wisiały na ścianach obrazy, które oprócz daty nosiły charakterystyczny, zygzakowaty podpis „LL”. „Gdybyś przynajmniej odnosiła takie sukcesy jak ta Laura Lisboa, którą wiecznie kopiujesz, twój syn na pewno tak by się nie stoczył”, zarzucił jej niedawno brat. I chyba był jedynym, który w ogóle zbliżył się do prawdy. Pozostali nawet nie słyszeli o LL. Nikt z rodziny jej kuzynki Octavii nie czytał felietonów w prasie, a syn Laury i tak żył we własnym świecie.

Jedynymi poza nią i Oliveirą osobami, które znały prawdę, byli Jakob, czyli Jack, oraz Felipe. Obu mężczyzn zobowiązała do milczenia i najwyraźniej dotrzymali słowa. Obaj wykazywali jednak coraz mniejsze zrozumienie dla jej życzenia, by nie mówić o niczym chłopcu. Gdy Ricardo był jeszcze mały, owszem, było jasne, że lepiej nie przekazywać mu tego rodzaju informacji, by mimo woli ich nie wypaplał. Ale dziś? Właśnie skończył siedemnaście lat - a więc bez wątpienia osiągnął odpowiedni wiek, by się dowiedzieć, że jego matka jest artystką o międzynarodowej sławie. Felipe ciągle nalegał, by wreszcie powiedziała o wszystkim Ricardowi, a Jack, z którym prowadziła bardzo nieregularną korespondencję, groził nawet, że sam poinformuje syna.

Może mieli rację. Co prawda Laura obawiała się, że ta informacja bardziej zaszkodzi chłopcu, niż mu pomoże, ale czemu nie? Na dłuższą metę zawsze lepiej mówić prawdę, nawet ryzykując, jak w tym przypadku, że będzie to miało niszczący wpływ na chwiejną psychikę Ricarda. Gdy dowie się o bogactwie matki, zyska kolejną wymówkę, by nie starać się o praktykę lub prawdziwą pracę. Nigdy nie chciała, by dorastał tak jak ona - w internatach, otoczony aroganckimi dziećmi zamożnych ludzi i ze świadomością, że nie musi naprawdę się starać, by do czegoś dojść. Przy odpowiednim pochodzeniu i po ukończeniu stosownych szkół działo się to samo przez się. Jednak jeszcze mniej chciała, by stał się społecznym odludkiem. A więc dobrze. Znacznie gorzej być już nie może. Zebrała się w sobie i poszła do syna.

Zapukała niezdecydowanie. Żadnej reakcji. Wiedziała, że jest w środku, więc zapukała nieco mocniej i zawołała przez zamknięte drzwi:

- To ja. Proszę, otwórz. - Miał niedobry zwyczaj zamykania się od środka. Po chwili usłyszała, jak przekręca klucz. Uchylił nieco drzwi i popatrzył na matkę zagniewany.

- O co chodzi?

- Chciałabym z tobą porozmawiać. Ale nie w progę.

Wpuścił ją niechętnie. Laura zdumiona rozejrzała się po pokoju, do którego nie wchodziła niemal od roku. Ricardo pozwalał czasami wchodzić do swego królestwa tylko sprzątacze - nikogo innego nie chciał widzieć. Laura zawsze to respektowała. Młodzi także mają prawo do prywatności. Nie podejrzewała, że pokój syna jest tak uporządkowany. Ani że wygląda jak centrala instytutu naukowego. Na ścianach wisiały tablice przedstawiające Układ Słoneczny i rysunki rakiet. Z sufitu zwisały modele samolotów, głównie bombowców. Na regale stały niezliczone książki

opatrzone na grzbietach sygnaturami, najwyraźniej pozycje z biblioteki, dotyczące niemal wyłącznie nauk przyrodniczych i techniki. Niemal każdy centymetr kwadratowy biurka i komody zastawiony był dziwnymi aparatami, z których Laura zdołała zidentyfikować tylko jeden jako coś, co kiedyś mogło być radiem.

Ricardo patrzył na nią wyzywająco, zapewne oczekiwał kazania.

Laura nie wiedziała, jak elegancko rozpocząć tak drażliwy temat. Zapytała zatem wprost:

- Czy nazwisko „Laura Lisboa” coś ci mówi?

- Tak. Taka malarka. Totalne gówno. A co?

- Ach, nic, nic. - Odwróciła się i opuściła pokój, drżąc z wściekłości na samą siebie, bo w decydującym momencie zabrakło jej odwagi, i walcząc ze łzami, ponieważ jedyny człowiek, którego opinia rzeczywiście coś dla niej znaczyła, nie doceniał sztuki swojej matki.

Ricardo zamknął za nią drzwi i zdziwił się, dlaczego nie upomniała go za użycie słowa „gówno”. Nie uważał, by zachował się zbyt prostacko - w końcu on też musiał ciągle wysłuchiwać, jaki jest okropny.

Pierwsza połowa 1958 roku była dla Laury bardzo udana finansowo. Czego nie dało się powiedzieć o życiu prywatnym. Jej śliczny, mądry syn coraz bardziej się wykolejał, czemu musiała się bezradnie przypatrywać. Nikogo nie słuchał, a już najmniej matki. Z Felipe często się ostatnio kłóciła, zwykle o błahostki, co prowadziło do tego, że również w łóżku nie działo się nic szczególnego. To znaczy, nie działo się nic -u niego. Laura jednak szukała przyczyny problemów u siebie. Bo tego, że Felipe najwyraźniej może, dowodziły jego liczne skoki w bok. Z pewnością zawsze znajdowały się chętne studentki, które z wyrachowania szły do łóżka z profesorem. W wieku czterdziestu jeden lat Laura wydawała się sobie stanowczo za młoda, by żyć cnotliwie, i jeśli miało tak być dalej, może też rozejrzy się za kochankiem. Z Felipe łączyła ją jeszcze tylko walka przeciw samowoli i cenzurze reżimu Salazara.

Z rodziną nie miała już prawie nic wspólnego. Matka prowadziła wygodne życie w Lizbonie jako słomiana wdowa, ojciec w Pinhao udawał lokalnego matadora, brat zdobył wysoką rangę w tajnej policji PIDE i wreszcie mógł do woli wsadzać nos w nie swoje sprawy i folgować sadystycznym skłonnościom. Laura widywała wszystkich troje tylko przy większych rodzinnych uroczystościach. Te z kolei stały się rzadkie. Ricardo

nie chciał już obchodzić urodzin z krewnymi, wesela dawno nie było, a ostatni pogrzeb - Isabel, siostry jej matki, z którą prawie nic ich nie łączyło - miał miejsce trzy lata temu.

Jedyną osobą, z którą Laura czuła się rzeczywiście związana i która na pewno ją kochała, była jej ciotka Mariana. Ale ona przypominała już tylko cień samej siebie. Więdną, zatopioną w świecie, gdzie zmarli przebywali na równi z żywymi, gdzie nie istniały granice między pokoleniami i nie obowiązywały miary czasu. Do niej, Laury, ciotka Mariana coraz częściej mówiła „Juju”, co było o tyle zrozumiałe, że podobieństwo między Laurą i jej matką stawało się wyjątkowo wyraźne. O ile przed kilkoma laty różniły je całkowicie odmienne fryzury i styl ubierania, teraz stopniowo różnice się zacierały. W dodatku Laura wyglądała na starszą niż w rzeczywistości, a jej matka jak na sześćdziesiąt sześć lat -zaskakująco młodo. Mogłyby podawać się za siostry.

Jak by to było pięknie, gdyby łączyły ją z matką siostrzane stosunki. Ach, wystarczyłoby już normalny układ matki z córką! Ale na to było za późno. Po kilkudziesięciu latach uprzejmego dystansu nie mogły nagle nawiązać głębokiej przyjaźni, nawet jeśli obie tego chciały. Czasami w wyobraźni Laury pojawiała się scena, w której jej bardzo jeszcze młoda i piękna matka czesze córce włosy.

Matka nuciła wtedy popularny w tamtych czasach szlagier, bawiła się włosami Laury i robiła jej różne fryzury, aż Laura wreszcie na którąś się zgodziła. Matka przytuliła ją, pocałowała i obdarzyła swoją „małą księżniczkę” różnymi głupiutkimi komplementami. Czy ta scena rzeczywiście miała miejsce? A może wyobraźnia płatała jej figle?

Jak doszło do tego, że stały się sobie tak obce? I w ogóle dlaczego są taką dziwną rodziną? Dlaczego nie mogą, jak większość Portugalczyków, żyć w ścisłym gronie rodzinnym i szanować się nawzajem, a nawet kochać? Jak mogli pozwolić, by pojawiła się między nimi tego rodzaju obojętność? A przecież zostali obdarzeni wszystkim, o czym inni ludzie mogli tylko marzyć - zdrowiem, urodą, majątkiem, sukcesami -i potrafili się tym cieszyć. Niemal świadomie zamykali się na szczęście. Ze strachu, że pewnego dnia może im się wymknąć, w ogóle nie dopuszczali go do swoich dusz. Jakby na to nie zasłużyli i jakby kroczenie przez życie ze zbyt radosnym sercem przyciągało nieszczęścia.

A przecież nie chodziło o to, że nie są zdolni do głębokich uczuć. Laura nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktoś na świecie kochał drugiego człowieka bardziej niż ona Ricarda. Ale jej miłość nie miała wiele wspólnego

ze szczęściem. Stanowiła raczej wielkie brzemię. Nieustanna troska o ukochane dziecko prowadziła prosto do osobistego piekła, którego końca nie było widać i które tylko dlatego mogła znieść, że nie porzucała nadziei. Ludzie bezdziejni, tacy jak Felipe, nigdy nie będą w stanie tego zrozumieć.

W tym samym czasie, kiedy Laura rozmyślała w Belo Horizonte nad tym, kiedy, jak i dlaczego jej życie przybrało ten smutny zwrot ku duchowemu osamotnieniu, młody tenente Alberto Morais ze wstrętem przyglądał się więźniowi. Nie chce mówić? Proszę, zatem wytluką z niego zeznania. Nie spotkał nikogo, kto wytrzymałby tego rodzaju przepytanie. Nawet najbardziej uparci alentejańczycy - a stamtąd pochodziła większość komunistów, buntowników i ateistów - nie byli gotowi zapłacić życiem za ochronę towarzyszy lub za swoją sprawę. Wcześniej czy później wszyscy zaczynali mówić.

Tenente patrzył na skulone ciało na surowej betonowej posadzce. Piwnicę oświetlała tylko naga żarówka zwisająca z sufitu. Dziennego światła nie było. Kiedy spędzili tu wystarczająco dużo czasu i zaburzono ich rytm snu i czuwania, więźniowie stawali się bardziej podatni. Tenente zamierzył się do kolejnego ciosu, ale tym razem go powstrzymano.

- Wystarczy. Powinien zachować przytomność. - Przełożony Alberta Moraisa zbliżył się nieco do więźnia. Zmarszczył nos - przesłuchania naprawdę były bardzo nieapetyczne. - Podnieś go i przywiąż do krzesła.

- Tak jest, commissario.

- I zostaw mnie z nim na pół godziny samego.

Tenente gorliwie spełnił polecenia szefa, po czym opuścił celę. W jego przekonaniu zabawa spokojnie mogła potrwać nieco dłużej. Ci alentejańscy bluźniercy byli twardzi.

Zostawszy sam na sam z więźniem, Paulo da Costa uniósł jego twarz, by spojrzeć mu w oczy. Mężczyzna był w paskudnym stanie. Paulo napotkał nienawistny wzrok, na który odpowiedział uśmiechem. Mężczyzna nie stanowił już niebezpieczeństwa. Miał złamany nos, wybite dwa siekacze i podpuchnięte oczy.

- A więc, mój drogi Felipe, jesteśmy, można rzec, en familie. Czy zechciałbyś wreszcie spełnić moją serdeczną prośbę i złożyć zeznania?

- Bękart! - Felipe splunął. Brunatna ciecz wylądowała dokładnie na kremowych zamszowych butach Paula, co najwyraźniej wywołało większy gniew oprawcy niż wyzwisko.

- Te buty kosztowały prawie pięćdziesiąt funtów szterlingów. Dopiszę ci tę kwotę do rachunku. Razem z kosztami, które ponieśliśmy z powodu twojej krnąbrności.

Felipe ledwo mógł zebrać myśli. Chciał zemdleć, żeby choć na chwilę uwolnić się od bólu i tortur. Ale pozostał przytomny.

- A więc jeszcze raz od początku - wiemy, że wasze konspiracyjne spotkania odbywały się w środowe wieczory na uniwersytecie pod przykrywką seminarium literaturoznawczego. Czy podasz mi teraz nazwiska konspiratorów, czy mam przesłuchać wszystkich osobno? Na przykład tę ładną rudą, tę przepytałbym osobiście...

Felipe zamknął oczy i spróbował się zastanowić. Ale nie był już zdolny do logicznego myślenia. Ból złamał w nim ducha.

- A swoją siostrę też chcesz osobiście przepytać? - wybełkotał z trudem.

- Proszę, nie nadwyreżaj niepotrzebnie sił, zadając takie głupie pytania. Od zadawania pytań jestem tu wyłącznie ja. Ty tylko odpowiadasz. - Paulo podszedł bliżej do więźnia, który wyglądał żałośnie i wyjątkowo odpychająco. Potem okutym obcasem kremowego, szytego na miarę buta nastąpił na palce pojmanego i przydeptywał je tak długo i mocno, aż wreszcie Felipe naprawdę stracił przytomność.

Laura szalała z gniewu. Wieczorem zjawiała się u niej jedna z uczestniczek „seminarium” i opowiedziała, że Felipe został pojmany i przewieziony na przesłuchanie do Lizbony. Młoda kobieta dokładnie opisała obu policjantów z PIDE i choć żaden opis nie pasował do jej brata, Laura była pewna, że kryje się za tym Paulo. Ten potwór! Ten zbrodniarz! Ta świnią! Ktoś przecież musi go powstrzymać! O ile w normalnych okolicznościach nigdy nie poprosiłaby rodziców o pomoc, teraz to zrobiła. Może mają jeszcze jakiś wpływ na ten diabelski pomiot.

- Mae, tym razem posunął się za daleko - oznajmiła matce z oburzeniem.

- Kazał pojmać Felipe i na samą myśl o tym, co może mu zrobić, dostaję mdłości. Proszę, zrób coś! Wydziedzicz go, wyklnij, cokolwiek, ale proszę zrób coś!

Juju również była wstrząśnięta, lecz nie mogła uwierzyć, że Paulo zastosowałby



przemoc fizyczną, a już na pewno nie wobec życiowego partnera swojej siostry.

- Posłuchaj, skarbie. Jesteś zdenerwowana, to rozumiem. Ale czy naprawdę wierzysz, że Paulinho mógłby wyrządzić krzywdę twojemu Felipe? A poza tym jeśli Felipe niczym nie zawinił, nic mu się nie stanie, prawda? Zobaczysz, że wypuszczą go zaraz, gdy tylko złoży zeznania. Na pewno najpóźniej jutro będziesz go miała z powrotem w dobrym stanie.

O Boże! Matka jest naprawdę najbardziej naiwną osobą na ziemi. Laura nie widziała sensu w tłumaczeniu jej perfidnych metod tajnej policji lub zasad demokracji w ujęciu Salazara. Matka i tak nie potrafiłaby zrozumieć, dlaczego ludzie odczuwają potrzebę swobodnego wyrażania swoich myśli - ona sama była przecież mistrzynią sekretów.

- Wracaj do łóżka i śpij słodko! - Laura rozwścieczona rzuciła słuchawkę. No dobrze, może ojciec okaże się bardziej pomocny.

- Pai, Paulo aresztował Felipe! Czy możesz jakoś powstrzymać tego wyrodka?

- Tylko po kolei, co się stało? Czy jesteś pewna, że Paulo jest za to odpowiedzialny? Czy wiesz, dokąd zabrali Felipe? I czy masz powód podejrzewać, że mają coś na niego?

Laura głęboko wciągnęła powietrze i przedstawiła najważniejsze fakty. Bardzo ostrożnie dała ojcu do zrozumienia, że Felipe niekoniecznie był zawsze wierny reżimowi, ale o ile jej wiadomo, nie popełnił żadnego poważnego przestępstwa. - Chyba że uznasz za karalne opowiadanie się za wolnością prasy.

- Skontaktuj się z Paulem i najpierw wysłucham, co ma na ten temat do powiedzenia.

- Tak, tak, a potem znowu puścisz mu wszystko płazem i podsypiesz pieniądze. - Laurze drżał głos. - Pai, jeśli Felipe spadnie choćby włos z głowy, żadne pieniądze świata tego nie naprawią. - Znowu odłożyła słuchawkę bez pożegnania. Potem zakryła twarz dłońmi i zapłakała.

Było tak, jakby puściła w niej jakaś tama. Kiedy już zaczęła płakać, nie mogła się powstrzymać. Wszystkie niewylane łzy za jej porażkę jako matki, niewierność Felipe i sytuację w Portugalii wezbrały nagle w potok, jakiego się nie spodziewała. Kiedy aż tak płakała? Trzęsa się od łkań? Tak poddała się wściekłości i smutkowi, że nie mogła złapać tchu?

Troska o Felipe dawno zeszła na drugi plan. Była tylko bodźcem. Teraz Laura płakała nad samą sobą, nad całym swoim nieudanym życiem.

Nikt inny tego nie robi. U szczytu rozpaczony Laura wyobraziła sobie własny smutny pogrzeb, na który mało kto przyjdzie, nie mówiąc już o wylewaniu łez. Kto miałby opłakiwać jej śmierć? Kupiliby najdroższą trumnę, złożyli wielkie wieńce, zamówili najpiękniej położony grób i wyszukali najbardziej elokwentnego księdza. Ale nikt by po niej nie płakał.

Kilka osób nawet wyraźnie by się ucieszyło, gdyby pożegnała się z ziemskim padółem - największy kolekcjoner jej dzieł, bankier z Genewy, zacierałby dłonie, że zgromadzone obrazy nagle osiągną potrójną wartość.

## Rozdział Trzydziesty Dziewiąty.

Nie mogło to już długo potrwać. Niemal osiągnęli cel. Teraz Amerykanie jeszcze bardziej się pospieszą. Po szoku wywołanym w zeszłym roku misją Sputnika Zachód nie mógł sobie pozwolić, by Sowieci wyprzedzili go w wyścigu o podbój kosmosu. Polecą na Księżyc i na nim wylądują. Kilka dni temu, 29 lipca 1958 roku, amerykański prezydent Eisenhower podpisał dokument, który jeszcze przyspieszy ten ambitny plan. National Aeronautics and Space Act przewidywał utworzenie agencji lotów kosmicznych, a jej celem miało być właśnie wysłanie załogowego lotu na Księżyc, nim uczynią to Sowieci.

Fernando żywił nadzieję, że doczeka tego dnia. Spojrzał na swoje dłonie, sękaty i pokryte starczymi plamami. Gdyby przyszedł na świat pięćdziesiąt lat później! Nie tylko nie widziałby dwóch okropnych wojen światowych, ale może nawet wziąłby udział w odkrywaniu i zdobywaniu kosmosu. Tak, gdyby był teraz młody, zrobiłby wszystko, by pojechać do Stanów Zjednoczonych i tam studiować. Postarałby się o pracę w tej przyszłej agencji kosmicznej i zostałby pilotem rakiety. Jako jeden z pierwszych postawiłby stopę na Księżycu. I bez względu na to, jak wielka pustka by tam na niego czekała, jedno było pewne - z kosmosu miałby na pewno większy dystans do Ziemi i wszystkich niepokojących współczesnych wydarzeń. Westchnął cicho. Od tych marzeń dzieliło go tylko pięćdziesiąt lat! W dziejach Ziemi to niezwykle krótki okres - ale dla niego oznaczał całą wieczność.

Koniec z tym! Nigdy nie narzekał i nie użalał się nad sobą i teraz też nie będzie. Nie mógł zmienić rzeczywistości. A jeśli w jego wieku niebo nie jest już dostępne, przypomni sobie o ziemi. Na koszenie trawy i grabienie grządek na pewno starczy mu sił - Fernando cieszył się świetnym zdrowiem. Odłożył naukową część gazety, wstał i poszedł do korytarza za kuchnią. Znajdowały się tam jego robocze buty, rękawice

i kapelusz, który chronił przed palącym słońcem. Tylne drzwi wynajętego domu wychodziły na mały ogród.

Co prawda ogrodnictwo niekoniecznie odpowiadało wyobrażeniom Fernanda o pracy fizycznej, ale była to najlepsza alternatywa. Nie miał własnej ziemi, którą mógłby uprawiać, i nie mógł też działać na cudzym terenie. Czy powinien poprosić kogoś, żeby pozwolił mu okorować dęby? Albo zżąć pole pszenicy? Uznaliby go za zupełnie zdziwaczałego staruszka i ubezwłasnowolnili! Ale ogrodnictwo nie było takie złe i Fernando uzyskał od właściciela domu zgodę na dowolne prace w ogrodzie, o ile nie będzie ścinał drzew. Pewnie właściciel śmiał się w kułak i skrycie cieszył, że oprócz płacenia czynszu naiwny lokator za darmo zajmie się zaniedbanym ogrodem.

Fernando podparł się pod boki, rozejrzał wokół, sięgnął po motykę i zabrał się do pracy. Grabił, kopał, rąbał, kosił, dźwigał i harował cały dzień, nie zauważając, jak słońce schodzi coraz niżej - i ani przez chwilę nie narzekając na upał. Przeszkadzały mu tylko muchy. W ciągu tych wszystkich lat spędzonych w mieście zapomniał, jaką plagą mogą być te bestie, nieustannie latające wokół i siadające na nim chmarami, wyraźnie odporne na wszelkie sposoby odpędzania.

Wieczorem Fernando wyniósł na zewnątrz krzesło, z dumą spojrzął na efekty całodziennej pracy, a potem siedział i patrzył na wschodzący księżyc. Już dawno nie był tak zadowolony z siebie i ze świata. Upił łyk piwa, które otworzył dla uczczenia tej chwili. Ogromny, biały krąg wyłonił się stopniowo zza łagodnie wybruszonych pagórków i oblał ziemię niesamowitym światłem - niezwykle widowisko. Nawet księżyc, myślał Fernando, wygląda w Alentejo ładniej niż w Lizbonie. Każdy, kto narzekał na suche lato w głębi kraju, powinien choć raz móc podziwiać ten księżyc, a już nigdy nie krytykowałby tutejszego klimatu. Jak by to było stać tam w górze i patrzeć na Ziemię? Ach, do diabła! Znowu wrócił myślami do lotów kosmicznych, które były już dla niego nieosiągalne!

Aldora Freitas była kobietą z zasadami. Należało do nich między innymi ściśle przestrzeganie dziesięciu przykazań, a także punktualność, praworzędność, cotygodniowa spowiedź oraz nienaganne utrzymywanie księgozbioru. Nie pozwalała, żeby sprzątaczkę migąły się od pracy albo żeby korzystający z biblioteki wnosili na salę inne przybory niż

ołówki. Za swoją osobistą misję uznała ochronę bibliotecznych zasobów i troskę o nie, jakby chodziło o jej własne dzieci. I w pewnym sensie tak było. Ponieważ Bóg nie dał Aldorze Freitas szczęścia własnej rodziny, obdarzała macierzyńskim uczuciem książki. Podobnego efektu oczekiwano po celibacie księży - kto nie miał własnych dzieci, tego rodzicielskie uczucia powinny się skierować na innych ludzi lub rzeczy, w których mogło się spełnić naturalne powołanie właściwe każdemu chrześcijaninowi.

Drogi Pana są niezbadane, ale dona Aldora nie wątpiła, że Stwórca wyznaczył ją na strażniczkę miejscowej wypożyczalni książek. Obawiała się dnia, gdy przejdzie na emeryturę. Młodzież była taka niedbała! Na przykład młoda Fernanda. Skończyła studia, była dyplomowaną bibliotekarką, nie ukrywała, że chce jak najszybciej zastąpić przełożoną -a mimo to nie potrafiła sobie przyswoić podstawowych zasad sumiennego bibliotekarza. Przedłużała nawet terminy zwrotu książek, nie wysyłając upomnień!

Jednak donie Aldorze zostało jeszcze kilka lat, a jeśli Wszechmogący zechce, nagrodzi sukcesem jej starania, by wychować niesforną Fernandę. Spojrzała na ścienny zegar i oburzona pokręciła głową. Dwie minuty po dziewiątej, a dziewczyny jeszcze nie ma. Niesłychane. W tym momencie dona Aldora usłyszała charakterystyczne skrzypienie pierwszych szklanych drzwi. Tędy wchodził każdy odwiedzający bibliotekę i każdy pracownik. Za nimi znajdował się krótki korytarz, a dopiero na jego końcu kolejne szklane drzwi, które prowadziły prosto do najświętszego przybytku. No cóż, może jeszcze nie wszystko stracone. Dwie minuty spóźnienia można wybaczyć, uznała dona Aldora w rzadkim przypiływie wyrozumiałości. Zsunęła okulary na czubek nosa, by rzucić grzesznicy surowe spojrzenie. W drzwiach nie ukazała się jednak Fernanda i dona Aldora tylko z najwyższym wysiłkiem zdołała ukryć przestkach.

- Bom dia - powiedział starszy pan, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Odpowiedziała na pozdrowienie i spojrzała na niego pytająco. Coś w jego twarzy wydawało się jej znajome.

- Powiedziano mi, że będę tu mógł przeczytać kilka zagranicznych gazet.  
- To prawda. - Dona Aldora była dumna ze swojego zadbanego archiwum prasowego. - Mamy gazety i czasopisma z Angoli, Mozambiku,

Goa, Makau i innych portugalskich kolonii. Znajdzie pan również wybrane periodyki angielskie, francuskie, niemieckie i hiszpańskie. Jednak nie będą to bieżące wydania - zawsze nieco trwa, nim do nas dotrą, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Aż za dobrze, senhora...

- Aldora Freitas.

- Bardzo mi miło. Jestem Fernando Abrantes. - Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała łaskawym uśmiechem.

Podobał się jej ten najwyraźniej dobrze sytuowany pan o wytwornych manierach.

- Proszę mi wybaczyć ciekawość, ale nie pochodzi pan stąd, prawda? Jeszcze nigdy nie widziałam pana w mieście.

- Och, bo jest pani za młoda - odparł Fernando. - Pochodzę stąd, ale opuściłem rodzinne strony już pół wieku temu.

Dona Aldora lekko się zarumieniła. Taki miły komplement usłyszała ostatnio piętnaście lat temu, gdy starał się o nią nauczyciel Antonio Cabral - jednak starał się nieco zbyt nieśmiało, więc mu nie uległa. W przekonaniu dony Aldory od adoratora należało przede wszystkim wymagać nieco uporów. Porządna kobieta nie może w końcu ustąpić już przy pierwszej próbie mężczyzny. Gdyby Cabral miał choć odrobinę zdobywczego ducha swojego historycznego imiennika, teraz zapewne byłaby senhorą Aldorą Cabral - i wdową. Nauczyciel przed dwoma laty zmarł na wylew. Dona Aldora zdołała się powstrzymać przed zrobieniem znaku krzyża. W końcu nie była sama.

Wyjaśniła miłemu gościowi, gdzie w jej bibliotece - bo że jest to jej biblioteka, nie istniały żadne wątpliwości, rozumieli to nawet ojcowie miasta, którzy pokazywali się tu dość rzadko - może znaleźć poszukiwane publikacje. Zaprowadziła go do dużej czytelnicy i wyjaśniła obowiązujące zasady tonem znacznie mniej surowym niż ten, który przybierała wobec uczniów. Pan Abrantes zrobił na niej bardzo dobre wrażenie.

- Dobry Boże, oczywiście, że nie będę robił notatek atramentem! - zawołał. Dona Aldora wyjątkowo puściła mu to płazem. W czytelnicy tolerowała tylko szept.

Po jakiejś godzinie Fernando opuścił bibliotekę, wcześniej dziękując długo donie Aldorze za jej kompetentną i miłą pomoc.

Potem bez celu błąkał się po Beja. Pomijając kilka nowych lokali i sklepów, niewiele się tu zmieniło. Tylko na Praca wałęsało się kilku wyrostków, których ominął szerokim łukiem. Co prawda Fernando sądził,

że poradziłby sobie z tymi mizernymi chłopaczkami - trzydzieści lat ćwiczeń z nienadającymi się do niczego kadetami nie poszło na marne - ale wołał spokój. Nie chciał psuć sobie urlopu przez tych łobuzów, którzy podobnie jak ich rówieśnicy w Lizbonie najwyraźniej czerpali perwersyjną przyjemność z prześladowania najslabszych w ich oczach członków społeczeństwa - kobiet, dzieci, starych i upośledzonych.

Nawet nie spostrzegł, jak droga zaprowadziła go do starej twierdzy. Okrążył budowlę, aż dotarł do miejsca, gdzie razem z Juju ukrywali się jako dzieci. Położył dłoń na ocienionym murze. Był chłodny i wilgotny. Jak mogli wtedy tak się bać? To był tylko stary mur. Fernando musiał się uśmiechnąć na wspomnienie dziecięcych lęków, niewątpliwie pobudzonych wszystkimi historiami o duchach, które dawniej opowiadano. Dziś już niewielu ludzi wierzyło tak jak jego matka w różne zabobony. Najwyraźniej twierdza nikogo nie napawała strachem - w zaroślach u stóp muru leżały puste paczki po papierosach i odłamki butelek po piwie. Fernando niezadowolony zmarszczył brwi i powędrował z powrotem do centrum, gdzie zaparkował samochód. Najwyższy czas zająć się brzoskwiniami, które pomimo żalosnego stanu drzewka wisiały na nim pełne urody i w ogromnej ilości, i musiały pilnie zostać zerwane. Może zanieś koszyk surowej donie Aldorze. Coś przecież trzeba zrobić z owocami, a nie umiał ich przetworzyć. Gdyby Juju mu towarzyszyła, też by nie potrafiła.

Powietrze drżało. Upał nie pozwalał oddychać. Zaległ na piersi Ricarda ciężki i ściskający niczym ochronny fartuch, który musiał włożyć zeszłego roku przy prześwietleniu złamanej nogi. Na ulicach nie było prawie nikogo. W południe wszyscy chronili się w domach lub przynajmniej w cieniu. Wiał lekki wiatr, nie chłodził jednak, lecz bardziej przypominał gorące wyziewy z rury wydechowej po uruchomieniu silnika. Wiatr miał zaledwie tyle siły, by rozsypać kilka skrawków papieru leżących na kupce. Potem musiał najwyraźniej odpocząć i dopiero po mniej więcej minucie mógł poruszyć i przesunąć coś innego. Najpierw zwał z czoła Ricarda włosy, które chłopak długo układał w ściśle określony sposób. Potem gorąca bryza poderwała kilka suchych liści. Tylko kupa, którą pies dony Joany dumnie zdeponował na środku placu, nie poddawała się wysiłkom wiatru. Głupi kundel. I przekłeta zapadła dziura, w której nie pozostaje do roboty nic innego jak wpatrywać się

w odchody niewychowanych psów, bo czytanie w południe było urzędowo zakazane.

Cóż to za pokrętna logika, zgodnie z którą ustalono czas otwarcia biblioteki? Kiedy, jeśli nie w południe, jest czas, żeby tam się udać? Ale dokładnie o dwunastej bibliotekę zamykano aż do piętnastej trzydzieści i nie należało liczyć na odstępstwa - stare pudło było tak punktualne, że pół Beja nakręcało według niej zegarki.

Ricardo kopnął oponę skutera. Miło byłoby pojeździć teraz po okolicy. Odświeżająco. Ale paliwo niemal się skończyło, a Ricardo nie miał nawet tyle pieniędzy, żeby zatankować. W każdym razie jeszcze nie. Na drugą umówił się z senhorem Pedrem z lodziarni, że obejrzy zepsutą maszynę do lodów. Będzie nalegał na zadatek, a wielki wafel z lodami czekoladowymi i truskawkowymi przyjmie z wdzięcznością jako napiwek. Do tej pory musiał się smażyć w upale i mieć nadzieję, że Joaquim nadal będzie odgrywał jego gońca i bez narzekania przynosił mu jeden kubek wody za drugim. Ricardo tylko jednej rzeczy pragnął bardziej niż wody.

Po epizodzie z Marisą, który miał tak żaloszny koniec, Ricardo zastanowił się nad sobą. Musiał przyznać, że Marisa chyba miała rację. Jeśli nie skończy szkoły i nie zdobędzie wykształcenia zawodowego, jeszcze za sto lat będzie siedzieć przy fontannie i oglądać psie kupy. A zatem postanowił coś zrobić.

Miał teraz siedemnaście lat. Nie mógł i nie chciał wrócić do szkolnej ławy - już jako dziesięciolatek wiedział więcej niż nauczyciele. Na studia, ze względu na nieukończone liceum, nie miał wstępu. Czy da się go uzyskać w inny sposób? Może test predyspozycyjny? Ricardo był stuprocentowo pewien, że celująco zdałby wszystkie egzaminy z matematyki i fizyki. Z drugiej strony czy naprawdę chce tracić cenny czas, łąząc po uniwersytecie i zajmując się teoriami antycznych uczonych? Bardziej liczyły się dla niego kwestie praktyczne. A zatem nauka zawodu. Lecz wzdrygał się już na samą myśl o warsztacie samochodowym Josego Pinty. Nigdy! I tak dłużej niż przez trzy dni nie zniósłby upokorzeń, które czekały go tam ze strony majstra.

Ricardo nie doszedł na razie do żadnego rozsądnego wniosku, ale postanowił zająć się przynajmniej swoją edukacją. Nigdy nie wiadomo, co się przyda. Poza tym sprawiało mu to przyjemność. Podczas gdy nocie najchętniej poświęcał majsterkowaniu, w ciągu dnia czytał książki. O ile nie załatwiał właśnie jakichś zleceń. Joaquim i Manuel, ci krety, wyśmiewali go,



ale to było Ricardowi obojętne. Najważniejsze, by Marisa nie pogardzała nim jako głupim chłopakiem. W przyszłym roku, gdy znowu przyjedzie na ferie do ciotki - w tym roku rodzice posłali ją latem do Anglii, jak mu napisała - chciał zaimponować jej wiedzą, jakiej nie miał w Beja nikt inny.

Niemal codziennie chodził do miejskiej biblioteki i jak sucha gąbka wchłaniał wszystkie informacje, jakie wyczytał. Pogardzał literaturą piękną, lecz nie uchował się przed nim żaden podręcznik do matematyki, leksykon inżynieryjno przyrodniczy, poradnik techniczny i żadna pozycja z zakresu biologii. Dona Aldora знаła dobrze Ricarda i odkładała dla niego nowe książki, które mogły go zainteresować. Uważała za wyjątkowo godne pożalowania, że chłopak z takim głodem wiedzy i takim talentem jest skazany na stosunkowo skromny wybór publikacji dostępnych w tej bibliotece.

Oceniała krytycznie także fakt, że chłopak zdobywał wiedzę bez jakiegokolwiek nadzoru pedagogicznego. Nie mógł opanować angielskiego, ucząc się na pamięć słowników! Ale chyba właśnie to robi i o ile dona Aldora mogła ocenić, dotarł już do litery P. Kiedyś zapytała go, dlaczego zawsze ma obok siebie otwarty słownik, skoro czyta tylko książki portugalskie. Choć chłopak był wyjątkowo zamknięty w sobie, uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Żebym później nie musiał tego robić. - Z tego dona Aldora wywnioskowała, że Ricardo zamierza przeczytać amerykańskie publikacje fachowe, których, niestety, mieli wyjątkowo skromny zbiór.

Dokładnie o piętnastej trzydziści Ricardo i dona Aldora weszli do biblioteki. Bibliotekarka poddała Ricarda dokładnym oględzinom i wreszcie oznajmiła oburzona:

- Tymi czarnymi rękoma nie pozwolę ci dotknąć moich książek!

Ricardo zawstydzony spojrzał na swoje dłonie. Stara miała rację. Przekłeta maszyna do lodów! Naprawa trwała znacznie dłużej, niż przewidywał, lodziarz kategorycznie odmówił zapłacenia więcej, a teraz Ricardo miał jeszcze kłopot z powodu ubrudzonych smarem palców.

- Już dobrze, pójdę je wyszorować. Ale potem też nie będą wyglądały za dobrze.

Gdy Ricardo wrócił, dona Aldora przyjrzała mu się jeszcze dokładniej niż przedtem. Ogromnie go to zirytowało.

- Co znowu? Czy trzeba być elegancikiem, żeby przeczytać cholerną książkę? - Wiedział, że takie gadki mu nie pomogą. I właściwie stara

panna nie zasłużyła na taki ton - była w porządku, nawet jeśli na taką nie wyglądała.

- Pohamuj się, Ricardo da Costa! - Dona Aldora spojrzała na niego zmrużonymi chytrze oczami. - I bierz lepiej przykład z dziadka. To prawdziwy dżentelmen. - Gdy Ricardo mył ręce w łazience, dona Aldora nagle doznała olśnienia. Zrozumiała, dlaczego senhor Abrantes wydawał się jej tak znajomy. Chłopak i on byli do siebie podobni jak dwie krople wody, choć oczywiście niezbędnym było wyostrzony zmysł obserwacji, by to odkryć. Ze względu na znaczną różnicę wieku i stroju oraz okulary jednego i pryszcze drugiego należało dokładnie się przyjrzeć, aby zauważyć podobieństwo. Ale jeśli umiało się dostrzec to, co ważne, było ono oczywiste.

- Przecież nie zna pani mojego dziadka!

- A właśnie, że znam. Był dziś rano w mojej bibliotece.

- Bullshit! - wyrwało się Ricardowi.

Biedna dona Aldora patrzyła na niego zdumiona. Co prawda nie zrozumiała użytego przez chłopaka słowa, ale była przekonana, że to jakieś przekleństwo.

- Jeśli nadal będziesz używać nieprzyzwoitych słów, przestanę cię wpuszczać.

- Przepraszam, dono Aldoro - powiedział Ricardo z udawaną skruchą - ale to nie mógł być mój dziadek. Mieszka na północy, nad Douro, i przypadkiem wiem dokładnie, że nie zatrzymał się tu dzisiaj.

- No, jak każdy masz chyba dwóch dziadków. Może to był ten drugi.

- Tego zagazowali.

- Boże, miej mnie w swojej opiece! - Dona Aldora przeżegnała się. Potem ostro spojrzała na Ricarda. Tego mu nie daruje. Celowo powiedział coś tak okropnego, by ją zaszokować. Ale zabawa się skończyła. Z takich spraw się nie żartuje. - Proponuję, żebyś poszedł teraz do domu i przemyślał...

- W Auschwitz - przerwał jej Ricardo.

Dona Aldora zamknęła oczy i uniosła twarz ku niebu. „Senhor, daj mi cierpliwość do tego chłopca!” - Proponuję zatem, żebyś w ciszy przemyślał, czy zostało w tobie jeszcze cokolwiek z umiłowania prawdy. Jeśli jutro odpowiednio mnie przeprosisz, przymknę oko i pozwolę ci dalej korzystać z biblioteki.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie? Ależ to w ogóle nie podlega dyskusji!

- Ależ tak. Powiedziałem prawdę i nie zamierzam za to przeproszać. Jeśli w ogóle, mógłbym ewentualnie przeprosić za urażenie pani delikatnych uczuć.

- Jak uważasz. Ale jeśli zamierzasz jeszcze pokazywać mi się na oczy, to następnym razem przynieś książki, które ukradłeś. Jeżeli nie, zgłoszę to na policji. Co właściwie powinnam była zrobić już dawno.

Tym razem to Ricardo spoglądał zdumiony na donę Aldorę. Czyżby stara cały czas wiedziała, że on wynosi książki? A więc nie jest tak głupia, jak sądził? A jeśli nie jest głupia - o co jej chodzi z tym złowieszczym „dziadkiem”?

Bez słowa odwrócił się i opuścił bibliotekę. W tej zawikłanej sytuacji duma nie pozwoliła mu zadawać dalszych pytań.

## Rozdział Czterdziesty.

Marisa opadła na fotel, prezent od rodziców z okazji dziewiętnastych urodzin. Nogi położyła na żółtoszarym stoliku, na który namówiła ich rok wcześniej. Stopniowo jej pokój zaczynał wyglądać naprawdę nieźle. Musi się tylko jeszcze pozbyć prastarego biurka z brązowo czarnego drewna palisandrowego zdobionego koszmarnymi zawijaszami w stylu neo manuelińskim, wtedy będzie naprawdę fajnie. Ale ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć. - To bezcenna rzecz, Mariso! Dziewiętnasty wiek, Brazylia. Co masz przeciw temu biurku? - Nie dał się przekonać, że mebel jest staromodny i roztacza niezdrową aurę. - Może naczytałaś się za dużo ponurych powieści o inkwizycji.

A zatem Marisa siedziała w nowiuteńkim fotelu, ale nie przy owym monstrualnym biurku, które okryła wielką serwetą i na którym postawiła swoje skarby - asymetryczne wazony, futurystyczną kulistą popielniczkę, zestaw do układania fryzur oraz ramki ze zdjęciami przyjaciół, krewnych, a przede wszystkim swoimi własnymi. Pisanie nie okazało się takie proste z blokiem listowym na kolanach i bez bezpośredniego oświetlenia. Tak, przydałaby się jedna z tych fajnych podłużnych lamp. Marisa ustawiłaby ją przy fotelu i skierowała na fotel, żeby móc wygodniej czytać oraz, jak teraz, pisać.

„Hej Rick”, zaczęła. Potem nic nie przyszło jej do głowy. Powiodła wzrokiem po pokoju i w wyobraźni modnie go urządziła. Przydałyby się nowe zasłony. Może matka się zlituje. Spróbowała znowu skoncentrować się na niemal dziewiczej kartce. Nie miało sensu skupiać się na dekorowaniu pokoju, skoro wkrótce może już w nim nie mieszkać. Gdyby to zależało od Sergia, dawno byliby po ślubie. Jednak jak na jej gust za bardzo się spieszył - znali się dopiero od kilku miesięcy.

„Miło było znowu otrzymać od Ciebie list”. Do diaska, nie potrafiła kreślić zamasztych, eleganckich liter, siedząc skulona na fotelu. Wyprostowała się,

zdejęła nogi z płaskiego stolika i pisała dalej. „Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze”. Ojejku! To poniżej jej poziomu. Z drugiej strony czyż to nie wszystko jedno, co myśli o niej ten chłopak? Znajomość z wakacji, która z niezrozumiałych powodów przerodziła się w trzyletnią korespondencję. Marisa nie widziała Ricarda od lata 1957 roku. Nawet go dobrze nie pamiętała. Jedyne, co pozostało niezapomniane, to nocna wizyta na komendzie oraz wściekłość ciotki. Dziś mogła się z tego śmiać. Wtedy niemal zsiusiała się ze strachu. Urok zakazanego owocu rozwiewał się niezwykle szybko, gdy zostało się przyłapanym.

„U mnie na razie wszystko w porządku. Jesienią zacznę studia w Paryżu, a potem - zobaczymy. Może zanieś mnie do Coimbry”. Przed wszystkim miała ochotę wreszcie wyrwać się z domu. Czy pretekstem będą studia, czy ślub, to było jej w zasadzie obojętne. Do tej pory, nie wiedząc czemu, nie napisała Ricardowi o Sergiu. Cóż, jeśli miała być szczerą, powód był oczywisty. Bo wtedy przestałby do niej pisać, dlatego. A to by się jej nie spodobało. Adoratorów nigdy za wielu.

Chciał wiedzieć, czy przyjedzie znowu do Alentejo. Mało prawdopodobne. A może powinna? Jej śliczny nowy fiat potrzebował trochę rozruchu - podróż wynosząca około dwustu kilometrów byłaby całkiem odpowiednia. Ale co miała robić w tej sennej okolicy? Latem zaplanowała wakacje razem z rodzicami, bratem i jego narzeczoną oraz swoją przyjaciółką Ines, która zapewne zabierze też brata. Zróżnicowane, wesołe towarzystwo sprawdziło się już w zeszłym roku, nawet jeśli Ines nie potrafiła porzucić nadziei, że Helder, brat Marisy, zwróci na nią uwagę.

W tym roku pewnie i Sergio będzie chciał jechać. Dom, który wynajęli w Nazare, mógł pomieścić wszystkich. Oczywiście młodzi, dopóki nie byli po ślubie, spali osobno. I oczywiście rodzice zawsze czujnie ich pilnowali. Mimo to mieli mnóstwo okazji do flirtowania. I całowania się. A nawet więcej, ale Marisa powiedziała kategoryczne „nie”. Co prawda bardzo chciała stracić wreszcie niewinność, ale nie z jakimś przypadkowym synem rybaka! Choć ten Victor był całkiem niezły.

No cóż, Ricardo też, o ile dobrze pamiętała. Co teraz porabia? Nigdy nie pisał o swojej codzienności, o pracy lub planach życiowych. W ostatnim liście na przykładzie Buddy'ego Holly'ego i Eddiego Cochrańa rozwlekle filozofował o tym, dlaczego najlepsi zawsze umierają młodo - no doprawdy! Rok wcześniej - a może przed dwoma laty - tłumaczył jej budowę Sputnika i, co za fantasta! Ale nigdy nie pisał o żadnych sprawach osobistych,

choć często o to pytała. Może byłoby całkiem zabawnie złożyć znowu wizytę drogiej cioci Joanie i drogiemu wujowi Antoniowi. Jeśli zrobi się nudno, najwyżej pojedzie z Ricardem nad morze. Z Beja było tylko około stu kilometrów nad Atlantyk. I nie musiała zostać na cały tydzień. Kilka dni, nie dłużej.

„Rzeczywiście zastanawiam się nad krótką wizytą w Alentejo - napisała. - Może na Wielkanoc. Będiesz wtedy? Miło byłoby znowu Cię zobaczyć". Choć zapewne nie mielibyśmy sobie nic do powiedzenia, dodała w duchu. I choć zupełnie nie rozumiem, dlaczego w ogóle się z tobą zadaję, wykolejonym chłopakiem z najniższych warstw. „I innych. Co porabia Tiago? A Twoi dziwni przyjaciele, Joaquim i Manuel? Czy masz dziewczynę?". Ostatnie pytanie Marisa najchętniej by przekreśliła. Ale nie wysyła się listów z przekreśleniami, a zaczynać od nowa wydało się jej zbyt wielkim poświęceniem jak na starą korespondencyjną znajomość. Nieważne, niech sobie myśli, co chce. „Czekam na Twoją odpowiedź i mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Do zobaczenia, serdeczne pozdrowienia z zimnej i mokrej Lizbony - Marisa".

Szybko przejrzała list. W porządku. Nie był to szczyt korespondencyjnej prozy, ale dla tego wiejskiego chłopaka wystarczy. Zanim zdążyła zmienić zdanie, wstała, wyciągnęła z szuflady biurka kopertę i znaczek, przy czym niemal zrzuciła serwetę i zniszczyła piękną aranżację, i przygotowała list do wysłania. Spojrzała na budzik w obciążonym skórą składanym pudełku. Niemal czwarta, i tak musi już wychodzić. Wygładziła spódnicę, poprawiła pończochy, wskoczyła w czółenka, przeciągnęła usta szminką i wyruszyła na spotkanie.

Ricardo rzadko dostawał listy. W ciągu ostatnich trzech miesięcy przyszedł do niego dokładnie jeden list, mianowicie wezwanie na komisję wojskową. Co za nieszczęście. Nie chciał, żeby jacyś dewianci zaglądali mu między pośladki, i w ogóle nie chciał iść do wojska. A więc w wieku osiemnastu lat nadawał się do zabijania, ale nie mógł mieć prawa jazdy, jeśli ojciec nie udzieli wyraźnego pozwolenia? Co to za kretyńskie zasady? Dlaczego dopiero ukończenie dwudziestu jeden lat oznaczało pełnoletność, ale na wsi już czternastolatek uchodził za normalnego robotnika? O rany. Ale i tak go dopadną, w najgorszym wypadku wezmą siłą. Od powołania mógł się wykręcić tylko ten, kto był głową rodziny - innymi słowy jedynym mężczyzną w domu - lub kto

się zupełnie nie nadawał, czy to z przyczyn fizycznych, czy ze względu na niedorozwój psychiczny. Oczywiście Ricardo mógł udawać ofermę. Ale musiałby odgrywać zupełnie skretyniałego, bo Joaquima też wzięli, a on, jak wiadomo, był głupi jak but.

Ricardowi przyszły do głowy tylko dwa rozwiązania, jak uciec przed koszmarem wojska, i oba miały decydujące wady. Po pierwsze, po prostu zapaść się pod ziemię. Zabrać jakiś obraz Laury Lisboa, opchnąć go i żyć szczęśliwie z dala od Portugalii. Ale wtedy nie mógłby wrócić, by nie zostać pociągniętym do odpowiedzialności. Nie, to nie wchodziło w grę. Więc numer dwa - zabrać obraz Laury Lisboa albo i dwa, opchnąć i ruszyć do Ameryki. Dzięki ojcu otrzymałby amerykańskie obywatelstwo. A może nie? Największym problemem było to, że nie chciał płaszczyć się przed Jackiem. On, Ricardo da Costa, nigdy nie prosił nikogo o przysługę. A już na pewno nie swojego ojca, któremu wielokrotnie oznajmiał pisemnie, że nie chce go poznać osobiście. I tyle mu z tego przyszło.

W ogóle obie opcje były nierealne. Babcia Mariana umarłaby z głodu albo ze zmartwienia, gdyby nie mógł dłużej karmić jej czekoladą.

Gdy Ricardo zobaczył kopertę, którą ktoś wepchnął pod jego drzwi i która leżała adresem do dołu, w pierwszej chwili ścisnęło mu serce. Z pewnością kolejne wezwanie do stawienia się na komisji. Możliwe, że pod groźbą grzywny. Potem jednak podniósł kopertę i z ulgą zobaczył, że list jest od Marisy. Znał już dobrze jej pismo, w ciągu minionych lat otrzymał od niej około dziesięciu listów. Owszem, to niewiele, ale dość, by podtrzymać nadzieję na ponowne spotkanie.

Rozerwał kopertę i wyjął małą kartkę, zapisaną tylko w połowie. Jej listy stawały się coraz krótsze, niebawem ich korespondencja zupełnie wygaśnie. Ach, są przecież inne ładne dziewczyny. Na przykład Amalia, której piersi zmieniły się w „mordercze cycki” i która jakże odpowiednio pracowała w leitaria, sklepie nabiałowym swoich rodziców. Odkąd twarz Ricarda znowu wyglądała w miarę przyzwoicie, Amalia czyniła mu wyraźne awanse. Jeśli to prawda, co mówiono, czyli że najgłupsze dziewczyny są najlepsze w łóżku, Amalia musiała stanowić prawdziwą mieszankę wybuchową. Ricardo jednak wątpił, by naprawdę tak było. Jeśli dziewczyna otwierała usta i wydobywał się z nich tylko głupi bełkot, tracił nią wszelkie zainteresowanie. Pociągała go inteligencja. Jedyna dziewczyna, z którą kiedyś coś go łączyło, okazała się równie naiwna co nieśmiała, przy czym to ostatnie dotyczyło

również Ricarda. Niekoniecznie chciał powtarzać takie doświadczenia. Następna powinna być wyjątkowo inteligentna, a najlepiej jeszcze nosić okulary.

Z listów Marisy nie była jednak, niestety, wielka błyskotliwość. Mój Boże, jak mogła wysłać tak dziecinny list? Szkoda zachodu. No dobrze, najwyraźniej nie zadała sobie trudu, widział to już po piśmie. Jeśli naprawdę przyjedzie, Ricardo z chęcią da jej okazję, by udowodniła, że nie jest rozpuszczoną gęsią, na jaką, może wbrew swoim zamierzeniom, wyglądała. Zielone Świątki, kiedy to w ogóle wypada? Ricardo zszedł do kuchni, gdzie wisiał dwunastostronicowy kalendarz z nadrukiem pomocy drogowej i zdjęciami z egzotycznych rajdów. On sam go tam powiesił i nikt nie zadał sobie trudu, by go zdjąć. W ogóle już nikt tutaj nie zadawał sobie trudu. Silvia i Xavier wyjechali na studia, Inacio zwykle przebywał poza domem, Octavia potajemnie piła, a babcia Mariana była przykuta do łóżka. Wszyscy się stoczyli. Bez pieniędzy jego matki dawno znaleźliby się na ulicy.

Ricardo zdjął kalendarz ze ściany i przekartkował. Tu, w czerwcu. Świetnie, będą mogli wspólnie świętować jego urodziny. O ile wcześniej nie pochwyli go wojsko. Ironiczny uśmiech pojawił się na jego ustach - no, ta wizyta była przynajmniej jakimś powodem, żeby zostać w kraju i nie uciekać przed poborem. O ile rzeczywiście dojdzie do skutku.

Marisa przyjechała. Dała przy tym pokaz, o którym jeszcze przez wiele dni rozprawiano w całej okolicy. Gdy czwartego czerwca 1960 roku, w sobotę przed Zielonymi Świątkami, Marisa wjechała do miasteczka swym małym samochodem, zrobiła to tak szybko, że wpadła na wózek ciągnięty przez osła - prawdopodobnie nie spodziewała się go na ulicy i przeceniła też jego prędkość. Wózek się przewrócił, i to dokładnie na ustawiony na skraju drogi stragan, na którym pewna okoliczna rodzina sprzedawała wyroby garncarskie. Wszystkie naczynia, o ile nie zostały rozbite przez wózek, padły ofiarą toczących się melonów. Powstał okropny bałagan i jeszcze większy wrzask. Plantator melonów, jego osioł, rodzina garncarzy - wszyscy podnieśli raban. Ludzie obwiniali się nawzajem i już mieli zacząć się bić, gdy wreszcie odkryli prawdziwego winowajcę.

Marisa stała sztywno jak kołek obok zdemolowanego auta i śledziła



scenę jak z filmu. Sama nie brała w niej udziału, oszołomiona chaosem, który wybuchł nagle przed jej oczami, i nieświadoma swojej winy. Dopiero syrena policyjnego wozu przywołała ją do rzeczywistości.

- Czy coś się pani stało, młoda damo? Dobrze się pani czuje? - Młody wachmistrz zmierzył Marisę wzrokiem od stóp do głów. Miał nieprzyjemne uczucie. To była turystka i, sądząc po sportowym wozie, w dodatku bogata. Jeśli ucierpiała na skutek szoku, a on nie podejmie odpowiednich kroków, będzie miał kłopoty. - Najlepiej wezwę karetkę.

- Nie, nie, bardzo dziękuję. Czuję się dobrze. Tylko przez chwilę... Wie pan, przestraszyłam się. Jeszcze trochę się trzęsę.

Policjant był pod wrażeniem reakcji młodej kobiety. Nie płakała, nie jęczała ani nie krzyczała na nikogo histerycznie.

- Więc dobrze, proszę mi zatem opowiedzieć, co się tu stało.

- Obawiam się, że wjechałam na wózek, który się tam przewrócił.

Krótko, precyzyjnie, rzeczowo. Policjant lubił takie odpowiedzi. Jednak kilka sekund później musiał zrewidować początkową opinię. Młoda kobieta zaczęła się śmiać, najpierw cicho, potem coraz głośniej, aż w końcu nie mogła się już powstrzymać. Łzy stanęły jej w oczach i ze śmiechu chwyciła się za brzuch. Ewidentny przypadek kobiecej hysterii. Podążył za jej spojrzeniem, by poznać przyczynę niestosownej wesołości, ale zobaczył tylko rozgniecione melony i gliniane skorupy. Nie było to aż takie śmieszne.

Marisa nie stawiała oporu, gdy nadjechała karetka i sanitariusze ostrożnie ujęli ją pod łokcie i zaprowadzili do wozu. Uspokoila się już, ale uznała, że dobrze będzie oddalić się z miejsca wypadku - poszkodowani byli wyraźnie zdenerwowani, rzucali jej mordercze spojrzenia i klęli. Cóż, lepiej niech wyładują agresję na jej eleganckim fiacie - i tak miał poważne wgniecenia.

Tego samego wieczoru Ricardo zadzwonił do domu jej krewnych i poprosił Marisę do telefonu. Dona Joana nie mogła się powstrzymać, by nie wysyczeć do słuchawki:

- Ty, ty łobuzie, wszystkim przynosisz nieszczęście! - Mimo to zawołała Marisę do aparatu.

- Ola! Twój przyjazd był bardzo dyskretny...

- Och, cześć, Ricardo! Tak, komisariat w Beja należy do największych atrakcji w regionie. Musiałam go zobaczyć jeszcze raz.

Ricardo roześmiał się cicho.

- Zostawili ci prawo jazdy?

- Tak, dzięki Bogu.

- No to wszystko załatwione. Samochód dostarczę ja. Ale proszę, obchodź się z nim jak z jajkiem. Albo jak z wózkiem pełnym melonów...

- Ha, ha, ha. - Po krótkiej przerwie dodała: - O czym ty właściwie mówisz, jesteśmy umówieni czy jak? Nie przypominam sobie niczego takiego.

- Tak, jesteśmy. Może wypadek nieco uszkodził twoją pamięć. O ósmej. W Cafe Simóes. Do zobaczenia. - Odłożył słuchawkę, uniemożliwiając jej dalsze głupie gierki.

Serce podchodziło mu do gardła. Czy przyjdzie? Jak teraz wygląda? Czy się rozpoznają? Co ma włożyć? Czy powinien wystąpić w nowiuteńkim mundurze, w którym wyglądał jak głupek, ale o którym wszyscy bez wyjątku mówili, że bardzo mu w nim do twarzy? Ale czy niebieskie dżinsy, koszulka i skórzana kurtka nie będą bardziej odpowiednie? Czy Cafe Simóes jest właściwym miejscem? Czy Marisie spodoba się szafa grająca i automaty do gier? Czy należało wybrać bardziej elegancki lokal? Nie było ich znowu tak wiele. Ricardo potrzebował kilku minut, żeby się uspokoić. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze pół godziny, by się przygotować i pojechać do miasta. Spokojnie zdąży -ale czy zostawił Marisie dość czasu? Baby zawsze robią taki cyrk wokół swojego wyglądu.

Nie zdecydował się na mundur - już samą fryzurę miał dość wojskową - i włożył swój ulubiony strój. Pod białą koszulką wyraźnie zarysowywały się mięśnie, a Ricardo wiedział, że kobiety lubią patrzeć na dobrze zbudowane męskie ciało, nawet jeśli czynią to tylko ukradkiem. Ze starego nawyku przejechał palcami po włosach, ale nie zostało mu wiele tego, co mógłby wzburzyć. Podeszedł blisko do lustra na korytarzu, by ponownie sprawdzić stan swojej cery. No, ujdzie. Większość pryszczy się zaleczyła i pozostawiła brzydkie blizny, ale dzięki opaleniźnie nie wyglądało to aż tak źle. Potem chwycił kluczyki od samochodu i pojechał, dobrze wiedząc, że dwaj policjanci z drogówki, którzy nieustannie go szykanowali, następnego dnia biorą udział w zielonoświątkowej procesji i że dziś wieczorem nie mają służby.

Kawiarnia była wypełniona po brzegi. Ricardo witał się z gośćmi, torując sobie drogę do ostatniego wolnego stolika. Znał niemal wszystkich obecnych, ale nie miał ochoty wdawać się w rozmowy. Usiadł, zamówił piwo i starał się obserwować drzwi. Było jasne, że Marisa każe mu czekać. Mniej niż półgodzinne spóźnienie dziewczyny uznawały za uwłaczające

ich czci. Jakby w przeciwnym wypadku mężczyzna mógł pomyśleć, że zaraz rzucą się mu na szyję.

Jednak gdy Marisa zjawiała się dokładnie trzydzieści minut po umówionej godzinie, udało się jej zaskoczyć Ricarda. Był zagłębiany w lekturze starego czasopisma i podskoczył, kiedy stanęła obok niego.

- Nie dałeś mi dużo czasu - powiedziała. Zrzucić winę na innych, nim wpadną na ten sam pomysł - to był bez wątpienia mądry ruch. Szczególnie w kontaktach z mężczyznami.

Ricardo uśmiechnął się. Wyglądała porywająco.

- Nawet bez wielkich starań wyglądałabyś świetnie - powiedział, wstając i witając ją dwoma pocałunkami w policzek. Przewyższał ją o pół głowy. Dawniej byli niemal równi wzrostem.

- Dziękuję. Ty także wyglądasz nieźle. - Usiadła obok niego, kusząco założyła nogę na nogę i bez skrępowania zmierzyła Ricarda wzrokiem od stóp do głów. Na tle opalonej twarzy jego oczy wyglądały na jeszcze bardziej zielone niż w jej wspomnieniach, a zęby na bielsze. Dobrze mu było w krótkich włosach, tak samo jak w koszulce, pod którą wyraźnie widziała muskularny tors. Wyglądał oszałamiająco, nawet blizny po trądziku nie psuły wrażenia. Wręcz przeciwnie - bez nich byłby może zbyt ładny, zbyt gładki. Nadawały mu nieco zuchwały, twarde rysy. Zaledwie rysy, ale wystarczające, by uznać go za mężczyznę, nie chłopca.

Ricardo obserwował oceniającą go wzrokiem Marisę z uniesioną brwią.

- Mam wstać i się obrócić? - spytał w końcu. Jej zakłopotanie było tak oczywiste, że natychmiast zrobiło mu się przykro.

- Chyba nieźle ci się wiodło w ciągu tych trzech lat - uprzedziła go.

- Człowiek robi, co może. - Do diabła! Przywołał się do porządku. Nie mógł z nią rozmawiać jak z Joaquimem, banalnymi frazami i nic niemówiącymi urywkami zdań. - Szczerze mówiąc, obecnie nie jest tak wspaniale. Wzięli mnie do wojska!

- Ach tak.

- A ty?

- Mnie nie wzięli do wojska.

Popatrzyli na siebie i roześmiali się na całe gardło. Lody zostały przełamane.

Kolejne dwie godziny minęły jak z bicza strzelił. Opowiadali o swoich rodzinach, o planach, o lękach i marzeniach. Mówili o zespołach muzycznych

tak samo poważnie jak o wieczności, Bogu i religii, i z równym zapałem dyskutowali o nowych filmach, jak o polityce kolonialnej Portugalii. Nigdy wcześniej Ricardo nie czuł się tak dobrze w towarzystwie dziewczyny, nigdy nie czuł się tak rozumiany. Właśnie ona, pomyślał. Właśnie rozpuszczona panienka z miasta okazała się osobą, która zdawała się zaglądać wprost do jego duszy.

Marisa miała podobne wrażenie. Przeszło jej przez myśl, że nie jest to zwykły wioskowy chłopak. Wyglądał lepiej niż inni i wyraźnie miał więcej w głowie, niezależnie od tego, czy ukończył szkołę. Po raz pierwszy zainteresowała się kimś w swoim wieku. Był nawet o kilka miesięcy od niej młodszy. To jej się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Zwykle durzyła się w mężczyznach przynajmniej o cztery lub pięć lat starszych, ponieważ równolatków uważała za infantylnych i niemęskich.

- Powiedz mi - przyszło jej nagle do głowy - skąd właściwie miałeś mój adres? Nigdy cię o to nie pytałam. Ciotka Joana raczej ci go nie zdradziła, prawda?

Ricardo spojrział na Marisę, jakby postradała zmysły.

- Skąd? Przecież sama go wtedy podałaś, na komisariacie.

- I zapamiętałaś?

- Tak.

- To... niesamowite.

Ricardo nie lubił, gdy traktowano jego pamięć jako coś wyjątkowego. Nie był zwierzęciem cyrkowym. Jeszcze mniej podobało mu się, że Marisa najwyraźniej mu nie uwierzyła. Jej spojrzenie wyrażało duże wątpliwości. W przypadku innych ludzi było mu obojętne, co myśleli. Ale przed nią nie chciał wyjść na oszusta. Poza tym zapamiętanie adresu, nawet skomplikowanego, nie stanowiło wielkiego wyczynu.

- Zatem chcesz powiedzieć, że możesz bez problemu zapamiętać zagraniczny numer telefonu, na przykład 459 72 20, nie widząc go na piśmie ani nie notując?

Spojrzał na nią krzywo i uśmiechnął się.

- To głupstwo. - Jeśli coś drażniło go bardziej niż robienie z siebie małpy, to takie sprawdzające pytania. No dobrze, raz jeszcze jej to wybaczy - ale tylko ze względu na te słodkie piegi. - Masz ochotę pojechać ze mną nad jezioro? - zmienił raptownie temat.

- W środku nocy?

- Wtedy jest najładniej. Gdy księżyc odbija się w wodzie.

Marisie nie całkiem to odpowiadało. Wszystko posuwało się za szybko. Z drugiej strony obcesowi faceci byli znacznie lepsi niż sieroty w rodzaju Sergia. Skinęła głową. Ricardo wziął ją za rękę i pociągnął przez zatłoczoną kawiarnię w kierunku drzwi. Marisa była świadoma spojrzeń wszystkich obecnych gości. Ricardo również. Napęniało go dumą i poczuciem triumfu, że wszyscy widzą, jak trzyma się za rękę z najpiękniejszą dziewczyną. Przybrał jak najbardziej obojętną minę, ale słyszał swoje głośno bijące serce. Nienaturalnie głośne pulsowanie w skroniach nie ustało i wtedy, gdy w milczeniu jechali przez pustą okolicę.

Marisa, która cieszyła się, że sama nie siedzi za kierownicą, patrzyła sztywno przed siebie. Na polnej drodze pojazd kilkakrotnie mocno podskoczył. Potem naraz znaleźli się nad jeziorem. Ricardo nie przesadzał. Było tu wprost niezwykle pięknie. Marisa zapomniała o całym napięciu, wysiadła i podziwiała księżyc odbijający się w gładkiej jak lustro powierzchni.

Ricardo stanął obok niej i wrzucił kamyk do wody. Księżyc rozmył się w malutkich falkach. Był to widok równie fascynujący jak migoczący w kominku ogień. Jednak chwila, gdy tylko lśniąca woda i korzenne, pachnące ziemią i lasem powietrze upajały ich zmysły - chwila, gdy nie byli świadomi siebie nawzajem - minęła o wiele za szybko. Potem nagle powróciły nerwowość i niepewność, bicie serca i wilgotne dłonie.

Gdy Marisa poczuła, że ramię Ricarda otacza jej talię, na chwilę wstrzymała oddech. Przyciągnął ją do siebie, a ona wyczekująco zwróciła ku niemu twarz. Patrzyli sobie w oczy z tak bliska, że widziała każdą rzęsę i każdą plamkę na jego źrenicy jak przez szkło powiększające. Pachniał przyjemnie, gorzką mieszaniną oleju silnikowego i wody po goleniu. Zamknęła oczy.

W ułamku sekundy jego usta znalazły się na jej ustach, a dłonie na jej plecach. Delikatnie wsunęły się pod bluzkę, gdy pocałunek stawał się coraz głębszy. Tętno Marisy przyspieszyło. Z trudem oddychała przez nos. Ich usta oderwały się od siebie, chwyciły powietrze, odnalazły się znowu i stopiły w grze, w której wargi, języki i zęby same zdawały się wiedzieć, co mają robić. W wilgotnej i podniecającej grze. Oboje dyszeli. Dłonie Ricarda powędrowały do pośladków Marisy i delikatnie je uniosły. Marisa objęła ramiona Ricarda i stanęła na palcach. Przyciskał ją do siebie tak mocno, że wyraźnie czuła między udami jego erekcję. Gdyby nie mieli na sobie ubrań, już byłoby po wszystkim.

Jednak namiętna chwila została brutalnie przerwana - objął ich blask reflektorów zbliżającego się wozu. Ricardo i Marisa odsunęli się od siebie i spojrzeli pod światło. Nie dało się rozpoznać, kto nadjeżdża.

- To Joaquim, ten kretyn - powiedział w końcu Ricardo ochryłym głosem. Odchrząknął. - Poznaję po warkocie silnika.

Joaquim nie wysiadł z auta. Podjechał najbliżej jak mógł i opuścił szybę.

- Ricardo, szybko! Twoja babka zaraz wykituje!

W drodze do Belo Horizonte Marisa i Ricardo nie zamienili ani słowa. Myśli Ricarda krążyły wokół zaprzepaszczonych szans i nieodpowiednich momentów. Nie łamał sobie natomiast głowy nad szorstkimi słowami Joaquina. Pasowały do niego i Ricardo byłby bardziej wstrząśnięty, gdyby kumpel powiedział na przykład „twoja babka kona” albo „walczy ze śmiercią”. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały i należał do nich brak wrażliwości Joaquina. Była to jedyna pocieszająca myśl podczas tej niekończącej się jazdy.

## Rozdział Czterdziesty Pierwszy.

Minęli zardzewiałą bramę. Skrzydła zwisały krzywo na zawiasach umocowanych na dwóch murowanych słupach, które niegdyś musiały wyglądać imponująco. Teraz jednak odpadała z nich farba, a kilka azulejos było ukruszonych.

„B lo Ho z te”, przeczytała Marisa. Nie miała trudności z uzupełnieniem w myślach brakujących liter. Belo Horizonte. Zatem tu mieszkał Ricardo.

Minęli zwirowy podjazd, który składał się raczej z szutru i wyboistej wyjeżdżonej gliny. Na jego końcu wznosił się ogromny dom. Quinta z ubiegłego wieku, która teraz, w blasku księżyca, była tak oszałamiająco piękna, że Marisa zadrżała. Im bardziej jednak zbliżali się do budynku, tym wyraźniej widziała, jak dalece był zaniedbany. Od dziesięcioleci nikt tu nic nie naprawiał. Od drzwi i okiennic odpadał lakier, na murach ciągnęły się głębokie rysy, a coś, co niegdyś musiało być ogródkiem warzywnym, zostało nie do poznania zapuszczone. Pod wydeptanymi schodkami prowadzącymi do tylnego wejścia rosły tylko chwasty.

Poszła za Ricardem, który wcale nie zwracał już na nią uwagi. Wiadomość wyjątkowo go wzburzyła i Marisa nie ośmieliła się przypominać o swojej obecności lub o tym, że kiedyś musi wrócić do domu. Podążała zatem za Ricardem w nadziei, że z jego babcią nie jest tak źle. Weszli do korytarza prowadzącego do kuchni. Wszędzie stały zabłocone buty, na wieszakach wisiały płaszcze przeciwdeszczowe i smycze, piękne stare płytki podłogowe były pokruszone, a większe dziury zakryte szarą szpachlą. Weszli do kuchni i tu wreszcie zauważono obecność Marisy.

- Czy twoja śmiertelnie chora babka to najnowsza atrakcja turystyczna? - ofuknęła Ricarda Octavia.

Ten odwrócił się i dopiero teraz zorientował się, że Marisa cały czas mu towarzyszy. Nie odpowiedział na przykrą uwagę Octavii.

- Gdzie ona jest?

- W salonie. - Octavia zmarszczyła brwi. - Nie wiem, dlaczego wciąż o ciebie pyta. - Najwyraźniej niechętnie to przyznawała. Jej własna matka umiera i kogo wzywa w godzinę śmierci? Wnuka swojej siostry!

Ricardo pobiegł do salonu. Mariana siedziała na wózku inwalidzkim i wyglądała wprost strasznie. Na czole miała pobieżnie opatrzoną ranę. Charczała.

- Co jej zrobiliście? - spytał Octavię, która weszła za nim do pokoju z dzbankiem herbaty.

- Nic. Spadła ze schodów. Nie mam pojęcia, jak bez niczyjej pomocy zdołała dostać się ze swojego pokoju na schody, ale najwyraźniej się to jej udało.

- Powiadomiliście lekarza? Octavia skinęła głową.

- Powiedział, że nie można nic więcej zrobić, a potem od razu odjechał do Paulinhy, która rodzi. Nie miał nawet czasu, by zanieść ją ze mną na górę.

- Zadzwoniliście po księdza? - Ricardo widział po spojrzeniu babci, że jej życie wkrótce dobiegnie końca.

Nie lubił klechów, ale wiedział, że babcia Mariana umrze spokojniejsza, jeśli się wypowiedzi i otrzyma ostatnie namaszczenie. Octavia ponownie skinęła głową.

- Przyjdzie, jak tylko czas mu pozwoli.

Ricardo przeklinał księdza, który, o ile go znał, był pewnie zbyt pijany, by dopełnić obowiązków. Zajmie się nim później. Teraz musi się zatroszczyć o babcię Marianę.

- Vovó? Rozumiesz mnie? - Ujął jej dłoń i pogłaskał. - Miałaś dziś ochotę na przystawki, co?

Ledwo zauważalny uśmiech przemknął po pomarszczonej twarzy.

- Powiedz, byłaś głodna? Nie zareagowała.

- Już wiem, czego szukałaś tu na dole. - Ricardo odwrócił się do Octavii.

- Przynieś czekoladę - polecił jej szorstko. - Albo cukierki. A jeśli nie ma nic innego, przynieś migdały w czekoladzie z szuflady swojego nocnego stolika.

Octavia wpatrywała się weń osłupiała.



- Więc to byłeś ty?! To doprawdy szczyt wszystkiego! Moim zdaniem...
- No już. Później możesz na mnie krzyczeć.

Octavia wróciła po chwili, niosąc tabliczkę czekolady. Ricardo rozerwał opakowanie, odłamał kawałek i pokazał Marianie. Otworzyła usta, a on położył czekoladę na jej języku, jakby to była hostia. I sądząc po błogim wyrazie twarzy, babka rzeczywiście uznała czekoladę za rodzaj chrześcijańskiego objawienia.

Brązowa ślina pociekła jej z kącika ust. Ricardo wziął chusteczkę i delikatnie wytarł babce wargi.

- Chcesz mi coś powiedzieć, avózinha?

Mariana tylko trzepotem powiek dała do zrozumienia, że go rozumiała.

- Może, że gdy zjesz już całą tabliczkę czekolady, wrócisz do łóżka? - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Żebyś mogła jutro spałaszować resztę zapasów słodyczy?

Znowu tylko po drobnym drgnieniu jej oczu można było poznać, że rozumie, o co chodzi. Potem nagle wyprostowała się nieco na wózku. - Nando... Ju... - wybełkotała z wielkim wysiłkiem.

- Ależ tak. Jestem tu, a dona Juliana z pewnością za chwilę przyjedzie. - Fernando zastanawiał się, czy Octavia pomyślała o tym, by powiadomić siostrę Mariany mieszkającą w Lizbonie. Nie wątpił, że „Nando” miało oznaczać „Fernanda”, czyli jego. Już wcześniej go tak nazywała. - Inni na pewno też wkrótce się zjawią. Twoje dzieci, wnuki - wszyscy bardzo się o ciebie troszczą. - Ricardo wiedział, że to nieprawda. Pozostałe dzieci Mariany od wieków nie pokazywały się w Belo Horizonte, a jej wnuki w ogóle. Co najwyżej Xavierowi i Silvii zależało jeszcze może na starej kobiecie na tyle, by teraz do niej pospieszyć. Mieszkali jednak daleko i było wątpliwe, czy Mariana wytrzymałaby do ich przybycia.

Wsunął jej do ust kolejny kawałek czekolady.

- Lepiej teraz tyle nie mów, to tylko niepotrzebnie cię męczy.

Nie usłuchała go. Wychyliła się jeszcze trochę do przodu i nabrała powietrza. Brzmiało to tak, jakby się dusiła. Z trudem wymamrotała coś, co brzmiało jak „tw... cia...”.

- Tak, moja babcia zaraz przyjedzie.

Gdy podawał jej kolejny kawałek czekolady, Marisa po raz pierwszy odważyła się odezwać.

- Sądzę, że powiedziała „twój dziadek”.

Ricardo obrócił się ku niej przestraszony. Zupełnie zapomniał, że też tu jest.

- Bzdura, nigdy nie miała nic wspólnego z moim dziadkiem.

Ale Mariana wyglądała na bardzo podekscytowaną. Z jej ust wydobywały się bulgoczące dźwięki, oczy miała szeroko otwarte.

- Chcesz mi opowiedzieć coś o moim dziadku? Dziadku Ruim? Pokręciła głową, po czym bezsilnie opadła na oparcie fotela.

- Widzisz - powiedział Ricardo do Marisy - nie o to chodziło.

- Ustalcie to między sobą - odezwała się wreszcie Octavia - i zostawcie mnie na trochę samą z matką.

Ricardo już chciał się sprzeciwić, ale uświadomił sobie, że rzeczywiście to matka Octavii, a dla niego tylko cioteczna babka siedzi tu z zamkniętymi oczami, całkowicie już wyczerpana. Octavia miała prawo spędzić nieco czasu sama z matką - nawet jeśli swoim zachowaniem na to nie zasłużyła. Czy babcia Mariana spadłaby ze schodów, gdyby Octavia się nią dobrze opiekowała? No właśnie.

Mimo to wyszedł z pokoju. Zaprowadził Marisę do kuchni. Wyglądało tam jak po uderzeniu bomby. Ricardowi było wstyd, że Marisa widzi cały ten bałagan i brud. W zlewie piętrzyły się talerze i filiżanki, na stole leżały nieokreślone resztki, a na podłodze widać było zaschnięte plamy po jakimś rozlanym płynie.

- Lepiej już się wyniosę - powiedziała Marisa, nie patrząc mu w oczy.

- Tak. Proszę, weź mojego pikapa. - Podał jej kluczyki. - Mogę odebrać go jutro.

- Ja... - Marisa szukała właściwych słów, ale przychodziły jej do głowy same frazesy. - Więc... przykro mi, że tak się stało z twoją babcią. Pewnie nie zobaczymy się już przed moim powrotem do Lizbony, a twoim do koszar, prawda?

Ricardo bezradnie wzruszył ramionami.

- Raczej nie.

- W takim razie... wszystkiego dobrego. - Stała na palcach i lekko pocałowała go w usta. - Szkoda. - Odwróciła się i poszła.

Ricardo stał w kuchni jak skamieniały. Poruszył się dopiero, gdy usłyszał warkot silnika, a jednocześnie wołanie Octavii. Pobiegnął do salonu. Ciotka przykucnęła przy wózku i głośno łkała. Głowę złożyła na kolanach Mariany. Podeszedł do nich obu, sprawdził babci puls i delikatnie pogładził Octavię po głowie; coś, czego nigdy by nie uczynił, gdyby był

przytomny. Potem uciekł, pobiegł do swojego pokoju i płakał tak bardzo, jak nie zdarzało mu się nawet w dzieciństwie.

Wrogość, jaką odczuwał Ricardo do rodzonej babki, była niemal namacalna. W dzieciństwie Ricardo rzekomo uwielbiał donę Julianę - jednak o ile sam pamiętał, nigdy jej szczególnie nie lubił. Za bardzo przypominała jego matkę. Teraz miał jej także za złe wygodne życie. To, że wyglądała olśniewająco i najwyraźniej cieszyła się świetnym zdrowiem, było po prostu niesprawiedliwe. Dlaczego to ona nie mogła być schorowana, a babcia Mariana żywa, elegancka i zadbana? Dlaczego nie mogła umrzeć zamiast siostry? Dony Juliany i tak by nikomu nie brakowało. Oprócz Mariany - którą dziś mieli pochować.

Ricardo walczył ze sobą, czy powiedzieć donie Julianie, że Mariana w ostatnich chwilach myślała właśnie o niej. Juliana nie zasługiwała na to, by ta dobra, kochana i współczująca kobieta tak się o nią troszczyła. W końcu jednak postanowił wyznać prawdę. Może zrobił to tylko dlatego, by pokazać Octavii, która najwyraźniej również nie miała ochoty przekazać Julianie ostatnich słów matki, jak należy postępować.

Poszedł do salonu, gdzie zebrała się większość rodziny. Babka znowu dziwnie na niego patrzyła. Nie wiedział, dlaczego go nienawidzi, ale było oczywiste, że tak jest. Prawdopodobnie nadal widziała w nim bękarta, nieślubne dziecko, które przyniosło hańbę rodzinie. Tak, pewnie o to chodzi. Ci konserwatywni, bogaci starcy byli niereformowalni. A ta kobieta była najgorsza ze wszystkich. O ile pamiętał, nigdy go nie przytulała, jak to zwykle robiły babcie z wnucętami. Zawsze patrzyła na niego tym czujnym wzrokiem.

- Dono Juliano, czy może pani wyjść ze mną na chwilę na werandę? Chciałbym pani coś powiedzieć. - Zwracał się do babki wyłącznie „dono Juliano” - wszystkie inne formy brzmiałyby fałszywie.

Juju zbladła. Również matka oraz dziadek Rui patrzyli na Ricarda ciekawie. Było bardzo niezwykle, by chłopak sam z siebie odzywał się do kogoś, a zwłaszcza do swojej babki.

- Oczywiście, mój drogi.

Lekko wstała z fotela i wyszła za Ricardem na zewnątrz.

- Nie chciałem tego mówić przy wszystkich. Więc, hm, powinna pani wiedzieć, że babcia Mariana tuż przed śmiercią mówiła o pani.

Juju chwyciła za oparcie zmurszałego plecionego fotela. Miała wrażenie,

że uginają się pod nią kolana. Przewidywała, co teraz nastąpi, opanowała się jednak. Pozornie swobodnym tonem spytała:

- Ach tak? Mogła jeszcze mówić?

- Nie, niezbyt wyraźnie. Ale wymamrotała coś o „Nando” i „Ju”. Juju wstrzymała oddech.

- Nando to pewnie ja. Często nazywała mnie Fernandem. Nie mam pojęcia dlaczego. A Ju może znaczyć tylko Juju. Zawsze tak się do pani zwracała, prawda?

- I? Co jeszcze?

- Już nic. Więcej nie mogła powiedzieć. Sądziłem, że będzie dla pani pocieszeniem, że babcia Mariana tuż przed śmiercią była myślami przy pani.

Do oczu Juju napłynęły łzy. Przyciągnęła jeden z plecionych foteli i opadła na niego.

- Usiądź, Ricardo. - Niewiele brakowało, a jej też wyrwałoby się „Fernando”. Podobieństwo między chłopcem a jego dziadkiem z roku na rok stawało się coraz większe. I coraz bardziej niepokojące. Trudno jej było patrzeć na niego jak na wnuka i tak go traktować.

- Czy Mariana opowiadała ci, kim był Fernando? - spytała, gdy Ricardo także usiadł.

- Nie i nigdy jej o to nie pytałem. Sądzę, że byłoby jej przykro o tym mówić. Zakładałem, że chodzi o jakiegoś zmarłego ukochanego lub kogoś takiego.

Juju była rozdarta. Nadarzała się idealna okazja, by wyjawić Ricardowi prawdę. Kto wie, kiedy znowu będą mogli porozmawiać w cztery oczy? Łatwo byłoby nawiązać teraz do tego wątku i powiedzieć po prostu: „Nie, nie był jej zmarłym ukochanym. Był moim kochankiem. I jest ojcem Laury - a twoim dziadkiem”. Jednocześnie Juju odczuwała ogromną pokusę, by już na zawsze zachować milczenie. Mariana dotrzymała słowa. Nigdy nie wyznała Ricardowi prawdy. Tylko na starość zaczęła mylić chłopca z Fernandem, ale nawet tym nie wzbudziła jego podejrzeń.

Ricardo obserwował wyraz twarzy babki. Widział, że coś chodzi jej po głowie.

- Więc kim był? - rzucił niecierpliwie.

- Ach, starym przyjacielem - odparła bez zastanowienia Juju. - Jesteś do niego trochę podobny. - Odetchnęła głośno. Decyzja zapadła. Teraz i dzisiaj nic mu nie powie. Jak mogła wpaść na taki pomysł? Przecież, jeśli w ogóle, powinna najpierw wyznać wszystko córce. A ona mogła

potem zdecydować, co zrobić z tą informacją, czy przekazać ją Ricardowi, czy nie. Wtedy nie byłby to już problem Juju. Uśmiechnęła się do chłopca. - Sprawy starych ludzi. Wszyscy na starość stajemy się trochę zwariowani. Sentymentalni. Myślmy o osobach z przeszłości. Nie łam sobie nad tym głowy.

- No dobrze. Zatem... najlepiej będzie, jeśli wrócimy do środka.

- Tak. Ale dziękuję, że mi powiedziałaś. Bardzo kochałam Marianę. Ricardo pogardliwie uniół brwi i odwrócił się. Kłamała. Ta kobieta była wcieleniem egoizmu i nie potrafił sobie wyobrazić, by mogła kiedykolwiek kochać kogokolwiek poza sobą.

Pogrzeb odbył się w gronie najbliższej rodziny, składającej się z piętnastu osób. Był piątek po Zielonych Świątkach, bardzo gorący dzień na początku czerwca. Lśniące błękitne niebo nie pasowało do okazji. Słońce paliło ramiona ubranych na czarno żałobników, niektórzy ocierali pot z czoła. Ricardowi nie przeszkadzał upał. Tym bardziej bolał, że nie może stać w pierwszym rzędzie. Nagle stopień pokrewieństwa zaczął znaczyć więcej niż przywiązanie, więzy krwi wydawały się ważniejsze niż odczuwany ból. Co zrobiły pozostałe dzieci Mariany, sami na wpół obcy mu ludzie około pięćdziesiątki, by móc okazywać swój fałszywy smutek w pierwszym rzędzie i pierwsi rzucić kwiaty na trumnę? Nic. Nie wiedzieli nawet, jakie były ulubione kwiaty babci Mariany. On wiedział. I to właśnie je podaruje jej na ostatnią drogę. Nugatowe czekoladki w formie różyczek.

Gdy wreszcie przyszła kolej na Ricarda, wystąpił do przodu, wrzucił „kwiaty” do grobu, gdzie uderzyły o wierzch trumny nieprzyzwoicie głośno, po czym zaraz opuścił małe zgromadzenie. Gapili się na niego. Na pewno myśleli, że wrzucił coś okropnego i dlatego tak mu było spieszo odejść. W rzeczywistości Ricardo nie chciał, by ktoś dostrzegł jego wilgotne oczy. Wskoczył do pikapa i odjechał.

Na wąskiej drodze prowadzącej z cmentarza niemal zderzył się z innym wozem. Oba auta jechały zbyt szybko, a drugi kierowca najwyraźniej także nie był skoncentrowany na prowadzeniu. Ricardo przetoczył się po zaroślach na skraju drogi i kątem oka dostrzegł jeszcze, że w drugim samochodzie siedzi starszy mężczyzna. Te stare dziadki są niebezpieczne. Po sześćdziesiątce nie powinno się ich już dopuszczać za kierownicę.

\* \* \*

Fernando dotarł na cmentarz za wcześnie. Wszyscy nadal tam byli. Prawie wszyscy - młody chuligan już odjechał. Z powodu odbłasku na przedniej szybie nie mógł go dobrze dojrzeć, ale uznał, że to Ricardo, wyrodny wnuk Juju. Fernando wolał nie wchodzić w drogę jej krewnym. W nekrologu wyraźnie była mowa o kręgu najbliższej rodziny, a choć Fernando znał Marianę długo, do krewnych się nie zaliczał.

Został więc w samochodzie i obserwował grupkę, która powoli się rozchodziła i zmierzała w kierunku wyjścia. Była tam Juju, wyraźnie widoczna w eleganckim kostiumie, dużym kapeluszu i ciemnych okularach. Tuż obok niej szła Laura, jej córka, dla Fernanda równie łatwo rozpoznawalna - podobieństwo do matki było uderzające. Laurze brakowało jednak wytwornego blasku Juju. Mężczyzna u boku Laury to z pewnością Felipe; Juju opowiadała Fernandowi, co przydarzyło się temu biedakowi, ale i tak na pierwszy rzut oka poznał, że jest on człowiekiem złamanym. Felipe musiał dobrze wiedzieć, że na pogrzebie spotka Paula, i Fernando zastanawiał się, co dzieje się teraz w głowach oficera PIDE i ofiary jego tortur.

Paulinho, ten zbrodniarz, zjawił się z rodziną. Ładna żona, dorodne dzieci. Utrzymywali wyraźny dystans wobec siostry Paula i jej narzeczonego. Pozostałych żałobników Fernando nie znał. Z pewnością były to dzieci Mariany ze swoimi rodzinami. Żadne z nich nie wyglądało na przytłoczone smutkiem. Z tyłu spacerował Rui, jakby chodziło o miłą wycieczkę. Dobrze wyglądał, uśmiechał się zamyślony, co wprawiało Fernanda we wściekłość. Ani Rui, ani żaden z obecnych nawet nie spojrzął na niego, ukrytego w samochodzie za gazetą. I dobrze.

Odczekał jeszcze kilka minut, po czym włożył przeciwsłoneczne okulary i wysiadł. Nie widział Juju odjeżdżającej z córką, ale ponieważ nie stały przy świeżym grobie i nie było ich widać nigdzie indziej, uznał, że już ich nie ma. Jednak zmierzając do grobu Mariany, nagle je zobaczył - Juju stała ze smutną twarzą nad grobem rodziców, Laura i jej narzeczoney trzymali się kilka kroków za nią, zapewne by zostawić w tym momencie Juju samą z jej myślami. Tak, myślał Fernando, teraz i ona wie, jak to jest, gdy rodzice i całe rodzeństwo nie żyją, gdy zostało się jedynym ze swojego pokolenia, a młodszy traktują cię tylko jako ciężar.

Ruszył zwirową alejką i miał nadzieję, że nikt go nie zauważył. Jednak Juju dostrzegła go i drgnęła. Skinął jej głową, odwzajemniła gest. Nic więcej.

- Kto to był? - spytała Laura matkę. - Znasz tego człowieka?
- Ach, bardzo dawny znajomy. - Juju po cichu pogratulowała sobie zdolności udawania, którą w ciągu lat doprowadziła do perfekcji. Niemal zawsze umiała na zewnątrz wyglądać na obojętną lub przynajmniej na opanowaną, nawet jeśli w jej duszy szalała burza. Tak jak teraz. Co też przyszło Fernandowi do głowy, że zjawił się tu nieproszony? A gdyby zobaczył Ricarda? Uznała wyjście wnuka za niezwykle niegrzeczne i niecywilizowane, ale teraz się z tego cieszyła. Nie do pomyślenia, co by się stało, gdyby obaj stanęli naprzeciw siebie!
- Aha - mruknęła Laura. - To chyba niezbyt dobry znajomy, skoro nawet się nie zatrzymał, by złożyć kondolencje.
- Nie. - Tylko twój ojciec, pomyślała Juju.

## Rozdział Czterdziesty Drugi.

Carolina Cardoso poprawiła poduszki i oparła się wygodnie. Przytulna kanapa okazała się dobrym zakupem. Carolina była z siebie dumna. Od pięciu lat pracowała jako stenotypistka i mogła już wygodnie urządzić własne małe mieszkanie. Żadnej z jej koleżanek z pracy się to jeszcze nie udało. Co prawda nadal musiała spłacać raty za telewizor, ale była pracowita i oszczędna, więc te długi nie przysparzały jej zmartwień. Zakup naprawdę się opłacił. Czy może być coś lepszego, niż po całym dniu pracy usiąść na kanapie z kieliszkiem wina i perspektywą wielu godzin przyjemnej rozrywki?

Oczywiście było wiele programów, które ani trochę nie interesowały Caroliny, ale nawet te oglądała albo pozwalała im lecieć, przygotowując sobie kolację w maleńkiej kuchennej wnęce lub prasując. Telewizor dawał jej wrażenie miłego towarzystwa tam, gdzie dawniej panowała tylko samotność i pustka. A ponieważ Carolina co wieczór oglądała telewizję, nie musiała już nawet kupować gazet. Wszystkie informacje, jakich potrzebowała, by w biurze nie uchodzić za całkowicie nieorientowaną głupią gęś, czerpała z telewizji i nie wymagało to od niej najmniejszego wysiłku.

Czegóż też dowiedziała się w samym 1961 roku, co dawniej by jej umknęło! W kwietniu Rosjanie wysłali kosmonautę imieniem Jurij Gagarin w rakiecie dokoła Ziemi, mniej więcej w tym samym czasie nieszczęsnym Amerykanom, którzy w podboju kosmosu zawsze znajdowali się w tyle za Rosjanami, nie udała się inwazja na Kubę - Carolina zapamiętała głupią nazwę „Zatoka Świń”, ale żadnych szczegółów. Współczuła przede wszystkim nowemu amerykańskiemu prezydentowi Johnowi F. Kennedy'emu, którego uznawała za wyjątkowo atrakcyjnego. Jednak nie wypadł najlepiej, odkąd razem z de Gaulle'em zaczął krytykować politykę kolonialną Portugalii. Naprawdę nic mu do tego, jakie plany ma Salazar dla Angoli, prawda?



W Niemczech zaczęto budowę muru przez środek Berlina, co Carolina uznała za co najmniej dziwne. Wystarczyło wyobrazić sobie mur biegnący przez Lizbonę, na przykład oddzielający Babca od Chiado, by całe przedsięwzięcie uznać za bezsensowny wybryk. Z pewnością mur nie utrzyma się długo. Poza tym zmarł pisarz Hemingway, którego nie знаła, oraz uwielbiany przez nią aktor Gary Cooper. Płakała, gdy dowiedziała się o jego śmierci. W owym czasie w wiadomościach dominowały doniesienia o inwazji indyjskich oddziałów na portugalską kolonię Goa. Czy te bestie nie mogły się uspokoić przynajmniej w adwencie? Nie trzeba przecież napadać na katolicki kraj właśnie w grudniu! Ale Carolina Cardoso i nad tym nie łamała sobie długo głowy. Co ją mogły obchodzić dalekie kolonie? Znacznie piękniejsze były nadawane w telewizji romantyczne komedie. A na dziś wieczór zapowiedziano film, którego za nic nie chciała przegapić. Występował w nim jej ulubiony aktor Ronaldo Silva.

Ach, cóż za mężczyzna! Owszem, skórę miał nieco zbyt ciemną, by brać go pod uwagę jako narzeczonego, Carolina jednak oddawała się czasem temu marzeniu. Był kawalerem, tyle wiedziała. A czy ona nie byłaby dla niego idealną żoną? Młoda, zdrowa, pracowita, uczciwa i z pewnością niespragniona pieniędzy czy pławienia się w sławie. Nie, gotowałyby jego ulubione potrawy, codziennie zaskakiwała innym ciastem i dawała mu całe ciepło i bezpieczeństwo, jakiego z pewnością nie zaznał w tym frywolnym filmowym biznesie. Och, wspaniale byłoby rozpieszczać mężczyznę takiego jak Ronaldo Silva!

Jedno spojrzenie w lustro wystarczyło, by zniszczyć piękne wizje Caroliny. Właściwie nie była brzydka, ale nie mogła konkurować z oszałamiającymi blondynkami, które zawsze wisały na ramieniu Ronalda, gdy pokazywał się publicznie. Pomimo młodych lat wyglądała jak matrona. Dobrze wiedziała, że u mężczyzny takiego jak Ronaldo Silva nie ma żadnych szans. W końcu była realistką. W każdym razie zazwyczaj.

Kiedyś uległa pokusie, by napisać do obiektu swoich westchnień. Znalazła jego adres w pewnym czasopiśmie i w szalonym impulsie natychmiast zabrała się do układania listu, w którym dawała wyraz swemu zachwytowi. Świadomie zachowała uprzejmy i rzeczowy ton - wiadomo przecież, że sławy są dręczone przez fanów najróżniejszymi obscenicznymi listami, a w żadnym wypadku nie chciała wyjść na taką osobę. I choć rozsądek mówił jej, że nigdy nie otrzyma odpowiedzi, serce biło w ślepej nadziei. Może pewnego dnia...?

Carolina wzdrygnęła się, słysząc głośny hałas dochodzący z sąsiedniego mieszkania. Starsza pani jest bardzo chora, może upadła? Carolina oderwała się od telewizora, zadzwoniła do drzwi sąsiadki, a gdy nie otrzymała odpowiedzi, otworzyła je zapasowym kluczem. Znalazła donę Marię da Conceicao rzeżącą na podłodze. Ścisnęła chudą dłoń starszej pani i ponieważ wzywianie pogotowia wydawało się jej pozbawione sensu, została z nią, póki ta niecałe pięć minut później nie wydała ostatniego tchnienia.

Ronaldo nie otrzymał od rodziny Abrantesów ani powiadomienia, ani zaproszenia na pogrzeb, co przyjął z wielką ulgą. Dowiedział się o śmierci „ciotki” z gazety, w której rodzina zamieściła mały, ale ładny nekrolog. Nie dowiedział się natomiast, że Maria da Conceicao Abrantes każdemu z pięciorga bratanków i bratanic zostawiła kwotę, która wystarczała na kupno małego samochodu. Może gdyby Ronaldo był lepszym „bratankiem”, sam stałby się właścicielem tego niewiarygodnego majątku, jaki Maria da Conceicao, jak stwierdzono później, zawdzięczała wieloletnim wyrazom wdzięczności ze strony swej dawnej pani dony Mariany oraz wzrostowi wartości akcji Coca Coli, w które zainwestowała. I może dobrze się stało, że Ronaldowi oszczędzono tej informacji. To by go dobiło - pomimo nadziei, że jego stary i coraz bardziej uciążliwy dobroczyńca uczyni go swym spadkobiercą.

Rui da Costa często się zastanawiał, jak to się mogło stać, że dwoje cywilizowanych ludzi takich jak Juju i on sam mogło wydać na świat podobne monstrum. Paulo stał się istotą, którą Rui pomimo ojcowskiej miłości zaliczał do najniższych form życia na planecie - wysokim funkcjonariuszem PIDE. I jakby samo to nie było dość odpychające, Paulo nieustannie nadużywał swojej władzy. Bez skrupułów.

Sam nie miał ani odrobiny honoru, sądził jednak, że może wypominać ojcu jego rzekomo zdrożne życie. Im bardziej Rui zastanawiał się nad rozmową, którą poprzedniego dnia przeprowadził z synem, tym mniej rozumiał prawdziwy cel Paula. Dlaczego mu groził? Co zamierzał przez to osiągnąć? Czy chciał wydusić z niego więcej pieniędzy? Ale czy Rui nie potraktował go wyjątkowo hojnie? Co to wszystko miało znaczyć? Raz jeszcze przywołał w głowie dialog, który w takiej formie

nigdy nie powinien mieć miejsca między ojcem a synem. Właśnie to było naprawdę odstręczające, nie występki, o które podejrzewał go Paulo.

- Powinieneś przestać tak często spotykać się ze swoim „bratankiem”. To wstrętne. I rzuca złe światło na całą naszą rodzinę - powiedział Paulo, marszcząc nos.

- To dla mnie nowość, że masz aż tak bujną wyobraźnię. Nie do końca wiem, co sobie wymyśliłeś, ale sądzę, że większość twoich przypuszczeń jest daleka od prawdy.

- Wolę nie znać szczegółów, pai. Każdy wie, co wyprawiacie, nawet jeśli Ronaldo ciągle przelatuje jakieś blondynki.

- Twój sposób wyrażania się pozostawia wiele do życzenia.

- Podobnie jak twój styl życia. I w przeciwieństwie do mojego słownictwa to, co robisz, jest karalne.

- Donieś na mnie, Paulinho. - Celowo nazwał syna zdrobniałym imieniem, bo wiedział, że Paula wyjątkowo to denerwuje. - No, dalej. Niewiele mnie to obchodzi. Sądzę jednak, że bardziej zaszkodziłbyś samemu sobie. Twoją wspaniałą karierę sadysty czekałby pewny koniec, gdyby wyszło na jaw, że twój ojciec być może oddaje się „sprzecznym z naturą wszeteczeństwom”.

Gdyby tylko tak było, myślał sobie Rui. Po krótkiej pauzie zmęczonym głosem spytał:

- Czego właściwie ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś posłał do diabła tego łowcę spadków Ronalda. I nie utrzymywał dla przyjemności żadnych innych chłopców.

- A sam czego się spodziewasz? Więcej pieniędzy? I tak ich nie dostaniesz - wszystko, czego nie przepuszczę, przeznaczę na cele charytatywne. A teraz, mój drogi synu, czas, żebyś opuścił to mieszkanie.

- Bardzo chętnie. Chyba jednak nie pozwolę moim dzieciom nadal utrzymywać z tobą kontaktów. Możesz być ich dziadkiem, ale nie jesteś dla nich odpowiednim towarzystwem.

Paulo wyszedł bez pożegnania.

Gdyby Rui wiedział, jak się płacze, w tym momencie właśnie by to zrobił. Odsunięcie od niego wnuków stanowiło ukoronowanie długiej listy potwornych czynów Paula.

To wszystko jednak wydarzyło się wczoraj. Dziś świat wyglądał znacznie przyjaźniej. Paulowi nie uda się zakazać dzieciom kontaktów z dziadkiem. Były dość duże, by same decydować, kogo chcą widywać,

a kogo nie. Rui był stuprocentowo pewny, że zdecydują na jego korzyść, i to nie tylko dlatego, by przeciwstawić się ojcu. Lubiły Ruiego. Odkąd zamieszkał w Lizbonie, rozpuszczał je, jak tylko dziadek może rozpuszczać wnuki. Sprawiało mu to dużą przyjemność. I nadal tak było. Chłopiec i dziewczynka mieli teraz dwanaście i jedenaście lat i Rui często zapraszał ich do kina lub teatru. Nie sprawiali wrażenia, jakby towarzyszyli mu z poczucia obowiązku. Cieszyli się jego towarzystwem tak samo jak on ich obecnością.

Wnuki na powrót zbliżyły Ruiego do Juju. Czasami przychodziła do niego z wizytą razem z dziećmi, czasami to on gościł u niej, by pograć z nimi w karty. Fakt, że dziadkowie żyją osobno, nie wydawał się im zbyt przeszkadzać. Kilka razy pytały o to, a odpowiedź zawsze brzmiała: „Nie, nie jesteśmy rozwiedzeni. Ale też nie jesteśmy już prawdziwym małżeństwem. Raczej dobrymi przyjaciółmi”. O ile początkowo oboje z konieczności kłamali, by nie kłopotać niepotrzebnie dzieci, stopniowo ich związek dojrzał do prawdziwej przyjaźni, jakiej nie doświadczyli w ciągu czterdziestu pięciu lat małżeństwa.

W oczach Ruiego Juju zewnętrznie zupełnie nie odpowiadała typowemu wizerunkowi babci. Nie była gruba i nie nosiła włosów upiętych w kok, a nawet je farbowała i modnie je tapirowała. Również stroje Juju były bardziej młodzieńcze niż zwykle u dam w tym wieku, a nosiła je z godnością kobiety, która nigdy nie wątpiła w swoją urodę. Jego zapewne dotyczyło to samo - w każdym razie Rui uważał, że wygląda znacznie lepiej niż równolatkowie. Czy ich wnuki też tak myślały? A może w ich oczach byli tylko bepcłowymi, aseksualnymi starymi ludźmi, którzy dziwnie się ubierali, dziwnie mówili, mieli dziwny gust muzyczny i w ogóle nie wiedzieli nic o życiu i miłości? Rui uznał to wyobrażenie za zabawne. Śmieszyli go ci młodzi ludzie, których myśli krążyły tylko wokół nich samych i ich miłosnych dramatów, choć większość już po dwóch tygodniach przyćmiewała kolejna wielka tragedia.

Właściwie dlaczego nie, pomyślał naraz. Nastawił płytę Beethovena i podszedł do sekretarzyka, przy którym od lat odpowiadał na listy fanów Ronalda. Zajęcie to nadawało jego dniom odrobinę sensu. Na wierzchu leżał list od tej dziewczyny. Rui wziął go do ręki i przeczytał. Był taki wzruszający, taki czysty i niewinny. Gdyby biedne dziecko wiedziało, jakim pozbawionym charakteru człowiekiem jest Ronaldo! I sam Rui również. Czyż nie śmiał się równie serdecznie z nieporadnych sformułowań

i drobnomieszczańskiej obyczajowości, która przebijała z każdej linijki? Teraz Ruiemu zrobiło się przykro. Usiadł za biurkiem, wziął arkusz jasnoniebieskiego czerpanego papieru i zaczął pisać eleganckim piórem.

Moja droga Carolino,

bardzo dziękuję za Pani miły list. Dobrze wiedzieć, że wśród tylu telewizyjnych widzów znajduje się tak cnotliwa dama. Niestety, ze względu na liczne zobowiązania nie mogę przyjąć Pani zaproszenia. Zapewniam jednak, że w przyszłości przy każdej roli, którą zagram, będę myślał także o Pani - a w czasie każdej przerwy w zdjęciach o Pani bez wątpienia bajecznym *acorda de mariscos*.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Ronaldo Silva.

Rui włożył list do koperty, zaadresował, przykleił znaczek, a potem umieścił list na podstawce w korytarzu, żeby nie zapomnieć go zabrać, wychodząc na spacer. Miał przy tym wyrzuty sumienia. Kto wie, czy nie wyrządza biednej dziewczynie krzywdy, pozwalając jej wierzyć, że Ronaldo odpowiedział na list? Później będzie go jeszcze zarzucać dalszymi epistołami albo nawet na niego czatować. Owa Carolina Cardoso wpadnie w najgłębszą rozpacz, gdy nie przyjdą kolejne listy. Nie, lepiej go nie wysyłać.

Kilka godzin później Rui wybrał się na swój zwykły wieczorny spacer. Koperta leżała na podstawce i zdawała się z niego drwić. Był dziecinniały, sentymentalnym staruszkciem - doprawdy, odpowiadać na listy fanów Ronalda! Jednocześnie pomyślał o krótkiej chwili idealnego szczęścia, którą mógł podarować tej dziewczynie. Wziął kopertę i nim zdołał zmienić zdanie, wrzucił ją do pierwszej mijanej skrzynki.

Radość adresatki nie mogła być większa. Carolina jednak na tyle mocno stała na ziemi, by odczytać między wierszami życzenie swego idola, aby więcej się mu nie naprzykrzać. Niech Bóg broni! Z pewnością nie podda się ponownie tak dziecinnemu nastrojowi. Czytała list mnóstwo razy, wahała i przykładała do policzka, jakby mogła w ten sposób znaleźć się bliżej ukochanego Ronalda. Pewnego dnia zamknęła go razem z perłami babki oraz innymi, mniej cennymi ozdobami w szkatułce, na której dnie przez długi czas leżał zapomniany.

Przypomniała sobie o liście dopiero wiele lat później, gdy chorobie, do której pierwszych ofiar należała ona, Carolina Cardoso, nadano nazwę „uzależnienia od telewizji”. Z perspektywy czasu wstydziła się za swój list napisany w dziewczęcym uniesieniu i miała nadzieję, że jej ówczesny idol go zniszczył i że nikt go nigdy nie odnajdzie. Kręciła głową nad głupstwami młodości. Powiedziała swojej córce, że nie pisze się miłosnych listów do obcych ludzi, a ta odpowiedziała arogancko: „Ach, co ty o tym wiesz? Podobają ci się takie stare pierniki jak Ronaldo Silva!”. Carolina uśmiechnęła się do siebie - a potem włączyła nowiutki kolorowy telewizor, który jej mały, gruby mąż pozwolił kupić tylko dlatego, że dzięki temu sam mógł oglądać w kolorze rozgrywki klubu Benfica.

## Rozdział Czterdziesty Trzeci.

Powietrze było gorące i duszne. Cała skóra swędziała. Pot, brud i lęk, że zdradzi się jakimś nieostrożnym ruchem, sprawiały, że czuł każde ścięgnię. W tropikalnej gęstwinie roiły się niezliczone komary. Wymagało od niego wielkiego wysiłku, by ich nie odpędzać. Głowa gotowała się pod hełmem. W brzuchu znowu burczało. Czy już nie dość długo cierpiał na biegunkę? Wiedział jednak, że tym razem nie chodzi o zepsute jedzenie i niezdatną do picia wodę. Chodziło o zwłoki. A raczej o leżące wokół odrąbane głowy.

Brutalność bojowników angolskiego podziemia była nieopisana. Nawet on, który początkowo żywił wiele sympatii dla niepodległościowych dążeń kolonii, zaczynał mieć wątpliwości. Tutejsi ludzie okazali się dzicy i straszni. Wyraźnie nie dojrżeli do tego, by sami sobą rządzić. Masakrowali nie tylko znieawidzonych białych panów kolonialnych, ale także własnych ziomków. Prowincja Uige, a szczególnie jej północno wschodnia część z miejscowościami Maquela do Zombo, Damba i Quimbele, stanowiła wylegarnię terrorystów. Bacongo otrzymywali wsparcie z zagranicy, z Konga Belgijskiego, i mordowali wszystkich, którzy stanęli im na drodze - również Bailundus, ponieważ ci popełnili błąd i chcieli razem z białymi panami uciec z odległych osad.

Ricardo próbował oddychać przez usta. Unoszący się wokół zapach rozkładu był nie do zniesienia. Kiedy i jak mieli pozbyć się zwłok i odciętych głów, skoro wszędzie czaili się rebelianci? Kiedy wreszcie spadnie deszcz i zmyje strumienie krwi? Tu, pod Cjuibocolo, na wszystkich drogach było widać i czuć przerażające ślady żądzy mordu UPA, Uniao das Populações de Angola.

Ricardo spojrział w lewo. Około trzydziestu metrów od niego w podszyciu leżał Jacinto Assis z odbezpieczoną bronią i wzrokiem wbitym

w polną ścieżkę. Bojownicy UPA nie mogli być daleko. I z pewnością skosiliby Ricarda, Jacinta i pozostałą ósemkę z ich oddziału. Może, myślał Ricardo, im również obciąliby głowy. Dopiero wtedy mieli pewność, że człowiek nie żyje. Zwłok z zaledwie kilkoma dziurami po kulach nie traktowali poważnie.

W tej samej chwili ich usłyszał. „Ułala, UPA, UPA...” - wołali chórem, jakby zaklinali w ten sposób bogów. Owe mordercze zawołania w jego własnym, a jednak niepokojąco obco brzmiącym języku przeszywały Ricarda dreszczem. Ładna mi „Unia Ludów Angoli”. Byli dzicy. Powinni się nawzajem pozabijać. Czego właściwie Portugalia szuka w takim kraju? Poza kawą, fasolą i orzeszkami ziemnymi nie dawał wielu korzyści. Dlaczego młodzi ludzie tacy jak on muszą wyruszać do tej dżungli, by powstrzymać tubylców przed zdobyciem niepodległości? Powinni ją uzyskać. Zobaczyliby, co by im z tego przyszło. Wszystko to przemknęło Ricardowi przez głowę w ułamku sekundy. Nie mógł sobie teraz pozwolić na rozmyślanie o polityce. Skoncentrował się wyłącznie na ludziach, których musiał w tej chwili traktować jak wrogów. Aby uratować życie ostatnich białych w tym rejonie, należało najpierw ochronić własne. Zaczął strzelać.

Luanda nigdy jeszcze nie była w jego oczach tak piękna. Trudy minionych dni, strach, smród i inne okropności wydawały się odległe o wieki. Po raz pierwszy od dawna mógł znowu spać spokojnie, choć również teraz nie potrzebował więcej niż czterech godzin snu. To się nie zmieniło. W stolicy mieli czystą wodę i prawie smaczne jedzenie. Miejscowi okazali się przyjaźnie nastawieni do portugalskich żołnierzy, coraz liczniejszych w mieście. Skóra i głosy afrykańskich kobiet były miękkie i przyjemne, tak jak powietrze na plażach. Pachniało solą i saudades. Za kilka dni Ricardo dostanie rozkaz powrotu do Portugalii. Na jego miejsce przyjadą inni młodzi żołnierze i będą dalej prowadzić bezsensowną walkę.

Ricardo nadal się zastanawiał, jaki diabeł go podkusił, by dobrowolnie zgłosić się na szkolenie spadochronowe. Czy naprawdę wierzył, że skończy się na szybowaniu w powietrzu? Niestety, musiał przyznać, że tak właśnie było. Miał przed oczami wyłącznie chwilę, gdy znajdzie się sam między niebem a ziemią, a jego życie zawisnie na kilku nylonowych linkach. Przede wszystkim nie przewidział, że zostanie wysłany



do dzikiego kraju, w którym roi się od wrogów, że będzie musiał nosić na plecach całe swoje wyposażenie, ważące więcej niż on, że nie będzie mógł liczyć na zaopatrzenie i wsparcie sił lądowych i że pomimo względnej samodzielności nadal będzie musiał słuchać rozkazów przełożonych, bez względu na to, jak nielogiczne mogły mu się wydawać.

Czas spędzony w wojsku, a zwłaszcza służba w Angoli nauczyły go jednak czegoś więcej niż tylko skutecznej infiltracji wrogiego obszaru i przeprowadzania precyzyjnych ataków. Został wyrwany z pewnego zamroczenia, szybko i brutalnie. Nagle zrozumiał, że zmarnował młodość. Gdy przy czterdziestu stopniach w cieniu leży się z obolałymi członkami, pulsującym bólem głowy i paraliżującym strachem w sercu w polu fasoli i wygląda bezlitosnego wroga, zaczyna się tęsknić za dawnymi zmartwieniami. Za błahymi problemami.

Jak, dziwił się Ricardo, mógł być tak głupi, by rezygnować z szans, jakie oferowali mu rodzice? Dlaczego przestał chodzić do szkoły? Dlaczego wyśmiewał matkę, gdy chciała zafundować mu rok za granicą? Dlaczego zawsze odrzucał prośby Jacka, by odwiedził ich w Ameryce? Czy zupełnie oszalał? Co, do diaska, trzymało go w Alentejo? Dlaczego wydawało mu się ważniejsze, by pozować przed kumplami na niezależnego, niż robić coś naprawdę niezależnego, na przykład używać rozumu?

Dopiero nowe otoczenie obudziło go z letargu. Najwyraźniej potrzebował zmiany powietrza, by komórki jego mózgu zaczęły pracować. Musiał nabrać dystansu, żeby się uwolnić z diabelskiego kręgu, w którym tkwił w domu. Z oddalenia wszystko widział znacznie wyraźniej. Choć Ricardo nie umiał się dopatrzeć wiele dobrego w wojsku i polityce kolonialnej Salazara, to jednak właśnie im zawdzięczał wyzwolenie od obojętnej, monotonnej, pozbawionej wizji codzienności. Wreszcie się obudził. Od tej pory wszystko będzie inaczej. Nie zaniedba swoich talentów i nie zmarnuje życia.

- Da Costa znowu blefuje - powiedział jego przyjaciel Jacinto.
- Ach, Assis, ty szczawiku. Czemu już pasujesz?
- Bo nie mam królewskiego pokera, dlatego.
- Cóż... - Ricardo oczywiście też nie miał nic szczególnego w ręku, ale te głupki wciąż dawały się oszukiwać.
- Szczęście w kartach, pech w miłości - drwił Assis. - Lepiej oszczędzę pieniądze i kupię za nie pierścionek zaręczynowy dla Rosinhy.

- Jeśli tymczasem nie związała się z kimś innym.  
- Przestań, da Costa. Jeszcze jedno złośliwe słowo o mojej dziewczynie i wypoleruję ci gębę.

- Podnoszę o dziesięć. Kto wchodzi? - Ricardo udawał, że w ogóle nie słyszał Jacinta. Dobry Assis był nieco popędliwy. A Ricardo nie miał najmniejszej ochoty się z nim mierzyć. Lecz towarzysz nie dawał mu spokoju. Pewnie trochę za dużo się mu nazbierało.

- A kto będzie czekał na ciebie, gdy wrócisz? He? Nikt. Tak to wygląda. Bo jesteś paskudny.

Ricardo już chciał odpowiedzieć, ale tego nie zrobił. Nie zamierzał dodatkowo drażnić biedaka, który tego wieczoru przegrał pół żołądu, na przykład rozprawiając o wyglądzie jego narzeczonej. Jacinto wszystkim pokazywał jej zdjęcie. Miała wyłupiaste oczy i niskie czoło.

- Tak - ciągnął wściekle Jacinto Assis, rozsierdzony milczeniem Ricarda - w ojczyźnie żadna cię nie chce. Możesz mieć tylko czarną kochankę w Luandzie.

- Powiedz no, Saldanha, czy też słyszysz w tym zazdrość? - zwrócił się Ricardo do żołnierza po swojej lewej.

- Przestań. - Jose Saldanha niespokojnie poruszył się na krześle. Był pokojowo nastawionym człowiekiem.

- Cóż, ja wyraźnie słyszę zazdrość w głosie Assisa. Bo on nie może mieć murzyńskiej kochanki, nie zdradzając swojej Rosinhy. Za to ja mogę mieć dziesięć. Albo i więcej. Za pieniądze, które dziś od was wygram, będę mógł urządzić prawdziwą orgię. - Roześmiał się sztucznie, ale natychmiast znów spoważniał. Wygląd Assisa nie zapowiadał niczego dobrego. Chłopak był w nastroju do bójki.

- No, jeszcze raz dziesięć i sprawdzam. - Ricardo nagle poczuł palącą potrzebę, by wycofać się z tej rundy. Nie dlatego, że obawiał się bójki z Jacintem - prawdopodobnie wyszedłby z niej zwycięsko - ale ponieważ chciał uniknąć bolesnych sińców i skaleczeń. Położył swoje dwie marne pary na stole i wstał, nim zobaczył karty Dioga.

- Hej, nie chcesz wygranej? - zawołał za nim Diogo. Co, wygrał tymi blotkami? Niepojęte.

- Nie, niech Assis ją sobie weźmie. Żeby na koniec pobytu w Angoli mógł sobie pozwolić na coś miłego i miękkiego.

- Tchórz! - usłyszał jeszcze wołanie Assisa, nim zamknęły się za nim drzwi.

Ricardo spojrział na zegarek. Już po dziewiątej. W Portugalii było

o godzinę wcześniej. Tak, mógł jeszcze zadzwonić. Dawno powinien był to zrobić. Należało przynajmniej powiadomić matkę o rychłym powrocie. Miał nadzieję, że uzyska połączenie. Zwykle trzeba było bardzo dużo cierpliwości, jeśli chciało się przeprowadzić rozmowę międzynarodową.

Jednak już po półgodzinie telefon zadzwonił i urzędniczka połączyła go z matką. W słuchawce co prawda skrzypiało i trzeszczało, ale zakłócenia nie były aż tak silne jak na ogół.

- Mae, to ja.

- Ricardo! Dobrze się czujesz? Gdzie jesteś? Dlaczego tak długo nie dawałeś znać? Odchodziliśmy od zmysłów ze zmartwienia.

My? - zdumiał się Ricardo. Co to znaczy? Czy mówiła o sobie w pluralis maiestatis?

- Muszę się streszczać, mae. Jestem teraz w Luandzie, w poniedziałek wracam do Portugalii. Czuję się nieźle. Zgłoszę się po powrocie, dobrze?

- Dobrze. Uważaj na siebie, skarbie!

- W porządku. Adeus, mae. - Odłożył słuchawkę i pokręcił głową. Minęły chyba całe lata, odkąd ostatni raz nazwała go „skarbem”. Tak, czegoś to nie zdziałała długa nieobecność.

Inaczej niż zwykle w urzędzie nie było długiej kolejki. Może wszyscy żołnierze wykonali już obowiązkowe telefony do domu. Ricardo chętnie usłyszałby głos kogoś z dawnych kolegów, tak po prostu. Ale żaden z nich nie miał w domu aparatu. Jego babka miała, ale nie znał numeru.

Ricardo miał wielką ochotę porozmawiać z kimś, kto nie był żołnierzem. Po tak długim czasie sprzykrzyli mu się towarzysze. Poprosił o pozwolenie, by jeszcze raz skorzystać z aparatu, i podał telefonistce numer, który na zawsze zapadł mu w pamięć. - Paryż, Francja - powiedział do urzędniczki. Właściwie tylko zgadywał. Może Marisa wymyśliła sobie ten szereg cyfr - 459 72 20 - a mówiąc „międzynarodowy numer”, nie miała na myśli specjalnej linii we Francji.

Ricardo włączył się po korytarzu przygotowany na dłuższe oczekiwanie. Jednak został wezwany już po godzinie - uzyskano połączenie.

- Alló?

Ricardo poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

- Alló? Marisa?

- Qui est ce? - zabrzmiało nieco gniewnie.

To był jej głos, bez wątpienia. Niewiarygodne! Numer się zgadzał i naprawdę tam była. Co miał jej powiedzieć? Co za idiotyczny pomysł przyszedł mu do głowy!

- Tu Ricardo, ola. Pomyślałem, że zamelduję się z frontu. - Rany, nie mógł wpaść na nic głupszego?

- Ricardo! Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

I tyle mu to dało. Myślała, że oszalał. Musiała go uważać za zupełnie pomyłonego, skoro wieczorem o wpół do jedenastej wybrał numer we Francji i chciał rozmawiać z kobietą, której nie widział od wieków. Granoczyło z cudem, że w ogóle go pamiętała.

- Och, e... u mnie wszystko dobrze. Jestem w Angoli. Ale za kilka dni ruszam do domu. A ty? Gdzie jesteś? Co porabiasz?

Nie odpowiedziała, tylko sama spytała:

- Skąd masz ten numer?

- Zapomniałaś już? Sama mi go kiedyś podałaś. - Pomimo trzasków w słuchawce słyszał, jak Marisa po drugiej stronie linii głośno wciąga powietrze.

- Nie mówisz poważnie, prawda?

- Ależ tak. Posłuchaj, nie mam dużo czasu. Chciałem ci tylko powiedzieć, że o tobie myślałem. Czy będziesz niedługo w Portugalii? Zobaczymy się? - Ricardo wiedział, że musiało to zabrzmieć rozpaczliwie -sprawiał wrażenie kogoś, kto w ciągu najbliższej półgodziny chce popełnić samobójstwo.

- Przypadkiem tak. We wrześniu jadę do domu na dużą uroczystość rodzinną. Ale wtedy będę...

- Mam tylko kilka sekund - przerwał. - Podaj mi szybko swój numer telefonu w Lizbonie.

- 27 04 51.

- Dziękuję. Do usłyszenia. - Rozłączył się.

Marisa przez kilka minut siedziała nieruchomo przy aparacie. Co za dziwny zbieg okoliczności. Właśnie wczoraj myślała o Ricardzie, o ich wakacyjnym flircie, który nigdy nie przerodził się w coś więcej i w przyszłości też nie będzie mógł. Prześladował ich pech. Najpierw przykra akcja policyjna, potem śmierć babci Ricarda. Marisa wiedziała, że Ricardo już zawsze będzie ją kojarzył z tym nieszczęśliwym dniem. Tak jak ona nigdy nie mogła myśleć o wuju Afonsie, nie wspominając równocześnie

śmierci swojego pudelka, z którym wuj ostatni wyszedł na spacer. Tak to już jest. Marisa była równie niewinna śmierci babci Ricarda co wuj Afonso śmierci pieska, a jednak w pamięci żałobników będą się zawsze łączyć ze smutnym wydarzeniem.

Szkoda. Ich pocałunek uznała za niezwykle obiecujący - i bardziej zmysłowy niż wszystkie pocałunki, jakie kiedykolwiek wymieniała z Sergiem. Dłonie Ricarda były delikatne, a zarazem silne, czego nie mogła powiedzieć o łapskach Sergia.

- Kto to był? - chciał wiedzieć.

- Ach, stary znajomy.

- Z Lizbony? Dlaczego go nie znam? Nigdy nie opowiadałaś mi o tym Ricardzie.

- Nie, z Beja. Poznałam go, gdy byłam z wizytą u ciotki Joany.

- I dlaczego dzwoni tu do ciebie, w dodatku w środku nocy?

- Sergio, proszę. Zachowujesz się jak zazdrosny mąż. Nie jest środek nocy.

- A dlaczego dzwonił? - powtórzył pytanie.

- Nie mam pojęcia.

- Ach tak?

- Powinieneś się teraz zobaczyć, Sergio. O co mnie właściwie posądzasz?

- O nic. Wolałbym tylko, żebyśmy nie mieli przed sobą tajemnic. Chcę znać twoich przyjaciół.

Marisa wzruszyła ramionami. To nie takie dziwne, w końcu byli zaręczeni. Poza tym nie miała nic do ukrycia, prawda?

- Trochę z nim flirtowałam.

- Aha, zbliżamy się do sedna. I co dalej?

- Nic dalej.

- Na pewno to jakiś nieokrzesany cham, jak ci rybacy w Nazare.

- Proszę, nie bądź grubiański - ofuknęła go. Takimi frazesami zawsze najlepiej okazywać swoją moralną przewagę. Mimo to nieco ją zabolalo, że Sergio najwyraźniej wie o niej więcej, niżby chciała. - Stary przyjaciel zadzwonił do mnie z Angoli. Zapewne służy tam w wojsku. Nie wiem, jakie ma problemy, że zgłasza się właśnie teraz, choć od wieków się ze mną nie kontaktował. Ale tobie nie przychodzi do głowy nic innego niż zaraz zarzucać mnie brudnymi podejrzeniami.

- Zatem teraz to już stary przyjaciel, a nie stary znajomy.

- Przestań. Najlepiej już sobie idź. Najwyższy czas. Konsjerżka zaraz

rozpowie, że przyjmuję męskie wizyty „w środku nocy”. - Uśmiechnęła się złośliwie.

Sergio wstał, wziął marynarkę z oparcia krzesła, ubrał się i skłonił jak służący. - Jak mademoiselle sobie życzy. Adieu.

Gdy wyszedł, Marisa naląła sobie kieliszek nalewki anyżowej Ricard. Nie miała lodu, ale trudno. Ich pierwsza małżeńska kłótnia, pomyślała, i to jeszcze przed ślubem. Miał się odbyć we wrześniu, a jej matka robiła z tego powodu straszne zamieszanie. Zaproszono ponad sto osób -ponad stu świadków tego, jak Marisa mówi „tak” mężczyźnie, którego naprawdę nie kocha. Może anyżówka odświeży jej umysł. Marisa po raz pierwszy tak wyraźnie uświadomiła sobie, jakie głupstwo zamierza popełnić.

Sergio do niej pasował. Był inteligentny, wykształcony, pochodził z dobrego domu, miał w perspektywie świetną karierę w zawodzie adwokata i wyglądał całkiem przyzwoicie. Był miły. Jego rodzice byli mili. Rodzice Marisy lubili go i doradzali, by przyjęła oświadczenia. Jej brat dobrze się z nim dogadywał. Rodzice obojga zaprzyjaźnili się i spotykali się w Lizbonie na kawie. Sprawa nie budziła wątpliwości. A może jednak?

Sergio polecał za nią do Paryża, co wszyscy oprócz Marisy uznali za bardzo romantyczne. Wolałaby mieć więcej kontaktu z Francuzami, w końcu o to chodziło. Jak mogła szlifować francuski, skoro ciągle mówiła po portugalsku? Z drugiej strony oczywiście dobrze było mieć kogoś, kto łagodził tęsknotę za domem, kogoś, kto zabierał ją do restauracji lub teatru.

Marisa przebywała w mieście już kilka miesięcy, nim Sergio zjawił się nieproszony. Wiedziała, jak samotnym można się czuć wśród milionów obcych ludzi. A jednak.

Pozornie miała swoją niezależność. Mieszkała sama w chambre de bonne, dawnej służbówce na szóstym piętrze budynku bez windy. Była to zaledwie izdebka na strychu, ale zarazem jej pierwsze własne królestwo. Dom należał do dalekich krewnych Marisy i tylko dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności właśnie dziś pilnowała ich mieszkania na pierwszym piętrze - inaczej Ricardo nigdy by się do niej nie dodzwonił.

Sergio lubił się wprawdzie zachowywać jak pan domu, ale oczywiście nie wchodziło w grę, by się do niej wprowadził. Nie byli jeszcze małżeństwem, a choć Francuzi lubili przechwalać się panującą u nich

swobodą obyczajową, okazali się wcale nie mniej konserwatywni i katoliccy niż Portugalczycy. Sergio na czas pobytu w Paryżu wynajął pokój w hotelu. To do niego pasowało. Musiał zawsze chwalić się odziedziczonym majątkiem.

Marisa naląła sobie kolejny kieliszek letniej nalewki. Spojrzała na butelkę. Ricard. Brakowało tylko „o”. Co też mu leżało na duszy? Angola, biedak. Dochodziły stamtąd okropne wieści. Być może wobec tak strasznych przeżyć ogarnęła go po prostu melancholia, poczuł tęsknotę za miłym głosem i swobodną pogawędką. Na pewno był samotny. I może miał nadzieję, że w rozmowie z osobą niezbyt bliską, w tym wypadku z nią, znajdzie więcej zapomnienia niż w rozmowie z najbliższymi. Tamci by go wypytywali, mówili o swoich lękach i z pewnością nie odsunęliby odeń tego koszmaru. Tak, tak właśnie musiało być. To jedyne sensowne wyjaśnienie.

Marisa zamknęła oczy. Lekko kręciło się jej w głowie. Przyszło jej na myśl, że wcześniej nic nie jadła. Alkohol zadziałał podwójnie szybko. Nie było to nieprzyjemne uczucie. Bardzo podobne do zawrotów głowy, jakie miała po tańcu z Ricardem na tym okropnym festynie. Czy to już pięć lat? Mój Boże, naprawdę jest beznadziejnym przypadkiem! W umyśle wirowały jej strzępki wspomnień. Ach, tylko na chwilę wyciągnąć nogi. Marisa położyła się na kanapie, zamknęła oczy i oddała się miłym wrażeniom, które dała jej anyżówka. Głęboki głos. Męskie, silne dłonie. Pełne, mocne usta. Cień na policzkach i podbródku. I te zielone iskierki... Jego oczy były ostatnim obrazem, jaki zobaczyła, nim na sofie kuzynów zapadła w głęboki sen.

## Rozdział Czterdziesty Czwarty.

Kwitły kamelie. Ich ciężki i słodki zapach unosił się nad parkiem, gdzie Juju i Fernando siedzieli na ławce. Juju patrzyła na dzieci stojące nad stawem i drażniące kaczkę. Fernando co chwila spoglądał na kamienną, czarno białą szachownicę. Dwaj mężczyźni mniej więcej w jego wieku grali w szachy. Ruch należał do białych i Fernando zastanawiał się, dlaczego gracz jeszcze zwleka. Nie było miejsca na pomyłkę. Piski dzieci wyrwały go z rozmyślań, jak sam w trzech ruchach dałby mata białym. Zuchwałe dziewczuchy rozwścieczyły łabędzia, który gęgając, rzucił się na nie. No, to będzie dla nich nauczka. Mrugając, spojrzął na Juju. Oślepiało go zachodzące słońce. Oświetlało włosy, które wymknęły się z jej wysoko upiętej eleganckiej fryzury, przez co Juju wyglądała jak w aureoli.

Gdy dzieci odbiegły, zamknęła oczy. Cieszyła się ciepłem na ramionach, szyi i głowie. Zapach kwiatów był upajający i gdyby nie odległy hałas ulicznego ruchu - trąbienie, dzwonienie electricos, przytłumiony warkot motorów - mogłaby wręcz uwierzyć, że jest w Alentejo.

- Pamiętasz jeszcze, Fernando, jak wtedy siedzieliśmy pod dębem? - spytała i otworzyła oczy.

Czy pamiętał!

- Siedzieliśmy? - mrugnął do niej i na jeden ruch rzęs byli znowu młodzi i zakochani.

Uśmiechnęła się i ponownie zamknęła powieki. Było tak miło siedzieć tu razem z nim. Nie chciała niszczyć tego spokojnego, kontemplacyjnego nastroju. Nie teraz. Juju postanowiła jeszcze trochę poczekać. Gdy słońce zejdzie tak nisko, że będzie oświetlać tylko koronę kasztanowca po drugiej stronie ścieżki, wtedy mu powie.

Fernando ujął dłoń Juju i trwali w milczeniu obok siebie, upojeni zarówno czarem letniego dnia, jak i wspomnieniem czasów, gdy nie musieli siedzieć na ławce.



Cień na pniu kasztanowca niepowstrzymanie piął się w górę. Juju zebrała siły.

- Pamiętasz, tego dnia, gdy musiałeś wracać do koszar...
- Tak?
- Kochaliśmy się.
- Tak.
- Pamiętasz to jeszcze? Minęło już ponad czterdzieści lat.
- Czterdzieści sześć. Niemal co do dnia.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Mój Boże, Fernando, twoja słoniowa pamięć naprawdę może napędzić strachu. - Wokół zaczęła krążyć pszczoła i Juju szorstko ją odgoniła. - Do diaska, ta głupia paskuda doprowadza mnie do szaleństwa.

- Dawniej pszczoły ci nie przeszkadzały.
- Ale dziś tak. - Ponownie spróbowała przepłoszyć owada, ale pszczołę tylko to rozjuszyło.
- Zaraz cię użądli.
- Nie, jeśli ją wcześniej zabijesz.

Fernando gestem pokazał Juju, że przez chwilę ma siedzieć spokojnie. Gdy owad usiadł na jej przedramieniu, uderzył go zrolowaną gazetą. Ale było już za późno - pszczoła wbiła żądło.

- No, brawo - powiedziała Juju. - W tej sytuacji mogłeś sobie oszczędzić uderzenia. - Potarła ramię, jakby gazeta zostawiła na nim ślad. Widać było jednak tylko małe ukłucie, wokół którego szybko rosła brzydka czerwona plama.

- Musiałam dożyć siedemdziesiątki, żeby po raz pierwszy użądliła mnie pszczoła.

- Dobrze, że w naszym wieku takie premiery też można przeżyć - powiedział Fernando.

On zaraz przeżyje inną premierę, pomyślała gorzko Juju. W wieku siedemdziesięciu dwóch lat zostać naraz ojcem i dziadkiem - niewielu mogło to o sobie powiedzieć. Potarła rękę. Diabelnie swędziały. Również na podszwach stóp czuła nieprzyjemne mrowienie. Gorączkowo drapała paznokciami wnętrze dłoni, ale wrażenie nie zniknęło. Jej serce biło coraz mocniej, oddech się urywał. Mój Boże, tylko dlatego, że po latach postanowiła wreszcie przerwać milczenie, nie musi w tak młodzieńczy sposób okazywać strachu. Nagle wystąpił na nią zimny pot. -Fernando, ja... jest mi... - Więcej nie zdołała powiedzieć. Nieprzytomna padła w jego ramiona.

\* \* \*

- To cudowna okolica - Marisa siedziała z podciągniętymi nogami na suchej jak pył ziemi oparta plecami o pień drzewa i podziwiała górzystą panoramę. Na zachodzie dopalało się słońce. Było ogromne i lśniło intensywną pomarańczową barwą, jakiej Marisa jeszcze nigdy nie widziała. Powietrze drżało od upału. Na tle zachodzącego słońca zaznaczały się pojedyncze, sękaty drzewa jako czarne sylwetki wśród pól pszenicy. Drzewa oliwne i dęby korkowe. Był to magicznie piękny widok i Marisa nie mogła oderwać od niego wzroku. Tam, gdzie nie sięgał czerwony blask słońca, niebo przybrało niebieski kolor, oscylujący między fioletem i zielenią. Oświetlane od dołu chmury odbijały rozżarzone światło. Słychać było cykanie świerszczy - i lekkie grzmoty dochodzące z oddali.

- Zapowiada się burza - powiedział Ricardo. - Dziwne. Ale deszcz dobrze zrobi ziemi. - Popatrzył na niebo, jakby był rolnikiem z długoletnim doświadczeniem w obserwacji pogody. No cóż, na pogodzie się znał. Kto siedział w tak wielu samolotach i tak często z nich skakał, musiał mieć minimum wiedzy meteorologicznej. Mimo to własna uwaga wydała mu się całkowicie bezsensowna. Czy nie mógł wymyślić niczego bardziej romantycznego? Czy musiał obarczać elegancką dziewczynę z miasta spostrzeżeniami na temat suszy?

- Tak - odparła. - W naszym ogrodzie też prawie wszystko wyschło. - To nieco uspokoiło Ricarda. Wypowiedzi Marisy były niewiele bardziej błyskotliwe.

Wiatr przynosił ochłodę. Zwiewał na czoło Marisy kosmyki włosów, które natychmiast odgarniała do tyłu. Twarz miała zwróconą do słońca. W czerwonym świetle wyglądała na bardzo młodą i wrażliwą. Spojrzenie Marisy było melancholijnie utkwione w dali, lecz Ricardo przypuszczał, że dziewczyna udaje i nie jest wcale tak bardzo zatopiona w myślach. Miał taką nadzieję. Miał nadzieję, że Marisa denerwuje się równie mocno jak on, że serce podchodzi jej do gardła i że tak samo pragnie pocałunku. Ricardo mógłby ją zjeść. Zerwał źdźbło trawy i połaskotał Marisę po karku tak, by tego nie widziała. Uderzyła dłonią w to miejsce - pewnie myślała, że spaceruje po niej owad. Powtórzył zabawę. Tym razem potarła skórę, jakby rzeczywiście coś ją ugryzło. Ricardo uśmiechnął się. Nim się zdenerwowała, pogładził ją źdźbłem po uszach i policzkach, tym razem tak, by to zobaczyła. Spojrzała na niego i odpowiedziała uśmiechem.

W łagodnym świetle ostatnich promieni słońca w jego oczach tańczyły zielone iskierki. Nie mogła się oprzeć Ricardowi. Wyglądał trochę jak jej ulubiony aktor, Alain Delon. Miał nieco ciemniejszą cerę, a blizny na twarzy nadawały mu bardziej surowy charakter. Ale otaczała go podobna aura niebezpieczeństwa i zapalczywości. Ze spojrzenia Ricarda przemawiała zdolność głębokiego odczuwania, pod każdym względem. Marisa widziała, że potrafił równie mocno nienawidzić, jak gwałtownie kochać. Pomyślała przelotnie o Sergiu i jego ograniczonym spektrum emocji, które rzadko odbiegały od stanu neutralnego - hamowany gniew, powstrzymana potrzeba miłości, powściągnięta duma. Z kolei Ricardo na pewno potrafiłby doprowadzić Marisę do utraty zmysłów. I siebie zapewne też.

Pochylił się do niej. Gdy jego twarz znalazła się całkiem blisko, zatrzymał się na chwilę, jakby czekał na znak Marisy. Ostatnie centymetry, które ich dzieliły, pokonała ona. Wyciągnęła się ku niemu, a gdy ich usta się spotkały, poczuła jakby małe porażenie prądem. Pocałunek był cudowny. Zaczął się od nieśmiałego dotknięcia ust, szeregu drobnych, nieśmiałych całusów. Potem stał się głębszy, mocniejszy, aż ich usta i języki stopiły się w odbierające dech pragnienie.

Dłoń Ricarda spoczęła na karku Marisy, zagłębiła się w jej włosy i coraz bardziej stanowczo ją przyciągała, podczas gdy druga dłoń badała jej ciało. Ricardo niezręcznie gmerał przy zapięciu biustonosza i Marisa chętnie by mu pomogła, gdyby w tej chwili gruba kropla deszczu nie wylądowała dokładnie na jej czole. Wysunęła się z jego objęć i spojrzała na niebo. Byli tak zajęci sobą, że zupełnie nie zwracali uwagi na pogodę. Ciemne kolumny chmur przesuwwały się tuż nad ziemią. Na twarz Marisy spadła kolejna kropla i jeszcze jedna.

- Chodź, wróćmy lepiej do samochodu. - Wstała, strzepnęła kurz ze spódnicy i podała Ricardowi rękę, by pociągnąć go do góry.

- Z pewnością skończy się na kilku kroplach. Tu często tak jest. Zawsze wygląda bardzo groźnie, a potem nic się nie dzieje.

- Nieważne. Nie chcę ryzykować. - Chwyciła kosz piknikowy, który do tej pory zupełnie ignorowali, i poszła do samochodu.

Już w drodze do pikapa stojącego na polnej drodze około stu metrów od „ich” drzewa prognoza Ricarda okazała się fałszywa. Krople spadały coraz gęściej - grube krople, z pluskiem uderzające o ich skórę i o ziemię.

Marisa podbiegła do drzwi od strony pasażera, Ricardo jednak poszedł na tył samochodu i zręcznie wskoczył na platformę. - Jeśli szybko

podciągniemy plandekę, możemy tu miło posiedzieć! - zawołał. Skinęła głową i dołączyła do niego. Wziął od niej koszyk, podał jej rękę i pomógł wejść na górę. Mieli szczęście. Nadal padały tylko pojedyncze krople - prawdziwy deszcz lunął dopiero wtedy, gdy plandeka była już rozpięta.

Uderzenia kropli o brezent brzmiały bardzo przytulnie. Przez otwór w plandecie, którą w tym celu nieco podciągnęli, mieli wspaniały widok. To był prawdziwy biblijny potop. Z nieba lały się strumienie, pogrążały krajobraz w ciemności, zmywały kurz z drzew, a na gliniastej drodze tworzyły coraz bardziej rwące strumienie. Za każdym razem, gdy niebo przecinała błyskawica, w niezmiernie jasnym świetle mogli obserwować spektakl, który z minuty na minutę przybierał na sile.

- Cudo! - zachwycała się Marisa. Siedziała naprzeciwko Ricarda oparta plecami o boczną ścianę pikapa. Wyciągnęła ramię na zewnątrz, jakby dopiero przez bezpośredni kontakt z wytęsknionym deszczem mogła uwierzyć, że naprawdę pada. Porywisty wiatr od czasu do czasu wciskał krople i deszczową mgiełkę do ich przytulnego schronienia.

- Cała zmokniesz. Cofnijmy się trochę.

Siedząc, odsunęli się nieco od otworu. Ricardo zdołał zerknąć pod sukienkę Marisy - zauważył też, że suwak na plecach nie jest do końca dopięty. Myślał o głupich przypadkach, które wchodziły im w paradę zawsze wtedy, gdy zaczynało się robić gorąco. Zatem teraz burza. Z drugiej strony taka niepogoda może również działać pobudzająco.

- Co dobrego masz w koszyku? - spytał.

- Hm, kanapki, ciasto, brzoskwinie. I butelkę wina. Ale teraz na pewno jest już ciepło.

- To mi nie przeszkadza. A tobie?

- Nie. - Marisa wyjęła butelkę z koszyka i podała ją Ricardowi. Szperała dalej w koszu, ale nie znalazła tego, czego szukała. - Chyba zapomniałam korkociągu.

Ricardo wyjął z kieszeni scyzoryk, przy którym znajdował się również korkociąg, i uniósł go dumnie.

- Wspaniale się uzupełniamy, nie sądzisz?

- Tak - odpowiedziała i chyba nie odnosiło się to tylko do otwierania butelek wina.

Gdy odkorkowywał butelkę, wyjęła z koszyka dwie zwykłe szklanki. Podała je Ricardowi, a on nalał po brzegi.

- A zatem: za nas.

- Tak, za nas.

Brakuje tylko świec, pomyślał Ricardo. Było bardzo ciemno. Gdyby nie burza, dzień pożegnałby się, zostawiając aksamitne, granatowe niebo. Teraz jednak ledwie cokolwiek widzieli. Bębnienie deszczu o plandekę nie ustawało. Wiatr przybrał na sile. Ciskał grube krople przez ich prowizoryczne okno, więc tylna część platformy była już całkiem mokra. Pojedyncze strumyczki torowały sobie drogę do środka.

- Chyba lepiej opuszczę już plandekę. Inaczej zaraz będziemy siedzieć w kałuży. - Ricardo przeczołgał się do klapy, chwilę manipulował przy sznurkach, które przytrzymały brezent, i wreszcie zdołał zasłonić otwór. Sam całkowicie przy tym przemókł.

- Eh! - Zdjął koszulkę i niedbale rzucił ją w kąt jak szmatę.

- Masz papierosy? - spytała Marisa.

- Tak. Zaczekaj. - Wygrzebał opakowanie z tylnej kieszeni spodni. -Hm, chyba zamokły. Tu. - Przytrzymał przed nią otwartą paczkę. Wyjęła papierosa. Podał jej ogień, a następnie sam zapalił. W migoczącym świetle płomienia zobaczył, jak Marisa mierzy spojrzeniem jego nagi tors, nim jej wzrok powędrował do góry i napotkał jego spojrzenie. Ricardo miał wrażenie, że w ogóle nie chciała palić, lecz od początku chodziło jej tylko o źródło światła. Zapalka zgasła. Teraz było tak ciemno, że widzieli jedynie dwa żarzące się czubki papierosów. Marisa odsunęła nieco boczną plandekę, by strząsnąć popiół na zewnątrz. Odwróciła się przy tym tak, że niby przypadkowo otarła się o Ricarda.

Natychmiast dostał gęsiej skórki, pomimo wilgotnego gorąca, które panowało w ich schronieniu. Przyciągnął Marisę blisko do siebie, objął i pocałował.

To objęcie i pocałunek były tak intensywne, że pozbawiły Marisę oddechu. Jakby po długim życiu na nizinie spojrzała po raz pierwszy we wspaniałą, niebezpieczną przepaść, przez którą przedziera się huczący potok. Jakby po latach mdłej diety po raz pierwszy próbowała ostrego dania. Albo jakby usłyszała wielką operę, gdy wcześniej znała tylko gamy.

Oddech Ricarda również przyspieszył. Gdy powoli rozpiął suwak jej sukienki, Marisa gładziła jego nagą pierś, przebiegała palcami przez gęste włosy, krążyła czubkami palców wokół brodawek, które natychmiast zeszywniały. Powędrowała dłonią dalej, do spodni. Tam zatrzymała się na chwilę, a potem zsunęła palce w dół i delikatnie pogłaskała twarde wybrzuszenie.

Ricardo niemal przestał oddychać. Nie chciał zrobić niczego, czego oboje by później żałowali. Ale nie chciał też powstrzymać Marisy. Pragnął jej tak bardzo, że aż bolało, i obawiał się, że cała siła jego woli nie wystarczy, by przestać.

- Jesteś jeszcze...

- Nie.

- Bierzesz pigułki?

- Dowcipniś. Zapisują je tylko mężatkom. Masz coś ze sobą?

- Nie. - Ricardo zdziwił się, dlaczego właśnie niezamężne kobiety, u których zapobieganie ciąży miało więcej sensu niż u mężatek, nie otrzymywały tego sensacyjnego nowego środka. Ale nie był to odpowiedni moment na zadawanie dalszych pytań. Ściśle rzecz biorąc, nie był to też odpowiedni moment, by kontynuować pieszczoty. Nie chciał, by Marisa zaszła w ciążę.

Ona zaś, choć musiała rozumieć powód jego nagłej bierności, ujęła dłoń Ricarda i poprowadziła ją pod swoją sukienkę.

- Marisa, nie - jęknął. - Inaczej się zapomnę.

- Tak, zapomnij się, zapomnij o wszystkim wokół nas - i podaruj nam niezapomnianą noc.

Rozebrali się, z powodu ciemności i pośpiechu niezgrabnie, ale z tym większą namiętnością. Uklękli przed sobą, dotykając swoich ciał, oddając się grze ust, aż oboje poczuli, że zaraz wybuchną z pożądania. Ricardo na ślepo zgarnął ubrania na kupkę, usiadł na niej i pociągnął Marisę ku sobie. Marisa dosiadła go z rozłożonymi nogami, poprawiła nieco ubrania, żeby i jej kolana spoczywały miękko, i na chwilę zatrzymała się w tej pozycji. Ricardo bardzo chciał ją widzieć, musiał się jednak zdać na pozostałe zmysły. Czuł oszałamiający zapach perfum zmieszany z potem i kobiecością. Czuł pocałunki smakujące winem i papierosem. Słyszał jej oddech, szybszy niż jego własny. Czuł jej skórę, delikatną i gładką. Czuł, jak jej piersi dotykają jego ramion i jak jej łono spoczywa tylko milimetry nad jego wyprostowanym członkiem. Objął jej pośladki i delikatnie nacisnął, żeby wreszcie osunęła się na niego.

Zrobiła to tak przesywająco, niesamowicie, cudownie powoli, że Ricardo musiał się opanować, by po prostu nie chwycić jej brutalnie i nie wejść w nią gwałtownie. Stopniowo jednak tempo Marisy zaczęło narastać, unosiła się i opadała coraz szybciej, nadawała ruchom więcej siły, a rytmowi więcej ognia. Ricardo objął jej talię, chwycił ją mocno i nadał jeszcze szybsze tempo, do którego chętnie się dostosowała. Przywarła

do niego i odrzuciła głowę do tyłu. Ukrył twarz w jej szyi, całował ją, gryzł i czuł wibracje na jej gardle, gdy jęczała, najpierw cicho, potem coraz głośniejsze i jęśliwiejsze. Pocił się. Dyszał. Wreszcie doszedł - ze skurczem i charczeniem, które brzmiałyby w jego uszach obco, gdyby nie zagłuszył go okrzyk namiętności Marisy.

Jeszcze przez chwilę przywierała do niego. Gdy wreszcie odsunęli się od siebie, Marisa usiadła obok Ricarda. Poszukała ich ubrań, znalazła coś i wsunęła sobie pod pośladki.

- Twój pikap nie jest szczególnie wygodny.
- Ale wyjątkowo przestronny. Zachichotali.
- I wyjątkowo ciemny.
- I wyjątkowo mokry. - Ubrania, których użyli jako poduszki, były przesiąknięte ciekącym do środka deszczem.
- W szoferce mam latarkę. Przyniosę ją. Nie mogę już bardziej zmoknąć.
- Ricardo niecierpliwie grzebał przy plandecie, potem nagusieńki zeskoczył na ziemię i wkrótce wrócił z latarką.

Sceneria, która się im ukazała, nie była zbyt romantyczna i oboje cieszyli się, że chwilę wcześniej nie mieli światła. Po podłodze płynęły strumienie deszczu, ubrania leżały wokół jak szmaty, oni sami byli potargani i nagle wyraźnie świadomi swojej nagości. Ricardo postawił latarkę w rogu, a blask, który rzucała na brezentowy dach, nie wydawał się im już tak jasny i bezlitosny.

Ricardo nalał wina do obu szklanek i jedną podał Marisie. Potem zapalił dwa papierosy i znowu podał jej jednego. W milczeniu palili i pili, i patrzyli po sobie, jakby ledwo mogli uwierzyć, co ich właśnie połączyło.

- Co to właściwie za ważna uroczystość rodzinna, że przyjechałaś na nią specjalnie aż z Paryża? - spytał Ricardo, któremu najpierw zaczęła przeszkadzać cisza.

- Mój ślub.

Uniósł się gwałtownie i spojrzał na nią niedowierzająco. Co to ma być, żart? Wcale nieśmieszny. Marisa popatrzyła na niego poważnie i stopniowo Ricardo zrozumiał, że wcale nie żartuje. Wyjdzie za męża, za kogoś tam. On sam nie był dla niej niczym innym niż miłą rozrywką. Prawdziwy alentejańczyk, dobrze pasował do jej kolekcji. Coś wiejskiego, surowego. Żeby móc bardziej docenić elegancję. Mała szybka przygoda, nim powoli udusi się w uścisku małżeństwa i przyzwoitości.

- Masz - rzucił jej zupełnie zniszczoną sukienkę. - Wysadzę cię w mieście.

Marisa mogłaby mu podać tysiące wyjaśnień. I każde brzmiałoby głupio, pusto i fałszywie. Czy powiedzieć mu, że nawet przed ich dzisiejszym spotkaniem myślała o tym, by odwołać wesele? Nigdy by jej nie uwierzył, niezależnie od tego, czy było to prawdą. Czy miała mu tłumaczyć, jak podziałał na nią jego niespodziewany telefon? Sama ledwie mogła w to uwierzyć, więc jak miałyby uwierzyć Ricardo?

Stała przed wyborem, by albo zaprezentować się jako nierealistyczna marzycielka, która pod wpływem emocji odrzuca całe swoje dotychczasowe życie i plany na przyszłość, albo pozwolić mu wierzyć, w co chciał. Wiedziała, że nie będzie to dla niej pochlebne. Opinia Ricarda wcale nie była Marisie obojętna, ale musiała zachować resztki dumy. Zamiast jeszcze bardziej rozwścieczać go niewiarygodnie brzmiącymi wyjaśnieniami, lepiej milczeć. I w ogóle jaki to straszny grzech popełniła? Że powiedziała prawdę? Że zbyt późno się w nim zakochała? A może że zaplanowała wesele, nim w jego ramionach po raz pierwszy doświadczyła prawdziwej namiętności? Był zraniony? To jej należało współczuć!

Gdy nad Lizboną rozpięta się burza, Juju, którą reanimowano w szpitalu, zapadła w śpiączkę.

Gdy burza przeszła, było wiadomo, że nigdy się nie obudzi.

Choć Fernando prosto z parkowej ławki szybko zaniósł ją na rękach do taksówki i natychmiast zawiózł do najbliższego szpitala, lekarze nie mogli już uratować Juju. Silna reakcja alergiczna na owadzi jad, brzmiała diagnoza. Fernando jak sparaliżowany siedział obok szpitalnego łóżka i patrzył na kobietę, którą kochał przez całe życie. Sprawiała wrażenie, jakby tylko drzemała. Jej biała skóra ledwie odcinała się od pościeli. Włosy nadal były idealnie uczesane, nawet szminka wyglądała tak, jakby niedawno ją nałożyła. Ile jeszcze czasu mu dadzą? Kiedy wpadną tu nazbyt gorliwe pielęgniarki, by na zawsze rozdzielić go z Juju? Ujął jej idealnie wypielęgowaną dłoń i pogłaskał, jakby mógł w ten sposób odpędzić lęk przed tym, co czekało Juju. Zawsze bała się śmierci. A teraz śmierć przyszła tak po prostu, nieoczekiwana i szybka, zjawiała się jak nieproszony gość i zabrała ją ze sobą.

- Musi pan teraz zostawić żonę - powiedziała pielęgniarka z zaskakującym



współczuciem w głosie. W każdym razie nie mówiła o „zwłokach”. - Powinien pan powiadomić resztę rodziny. Czy jest jakiś zakład pogrzebowy, który, e... ma się tym zająć?

Fernando przestraszył się. Jego żona? Reszta rodziny? O Boże! Nabazgrał na kartce dwa nazwiska i adresy - Laura da Costa w Beja, Paulo da Costa w Lizbonie. - To są jej dzieci. Proszę je odnaleźć. - To mówiąc, szybko wybiegł z pokoju, zostawiając piękną zmarłą i wielce urażoną pielęgniarkę.

Na dworze powietrze, oczyszczone przez burzę, zdawało się z niego drwić. Wszystko oddychało życiem, świeżością, czystością. Tylko Juju nie oddychała. I on sam też już nie chciał oddychać. Mimo to jego nozdrza wydymały się, kiedy wbrew swojej woli i raczej odruchowo głęboko wdychał powietrze, które po szpitalnych wyziewach sprawiało wrażenie czystsze niż wszystko, czym kiedykolwiek do tej pory oddychał. Instynkt przeżycia jest silniejszy niż wszelki smutek, pomyślał przygnębiony.

Wrócił do domu pieszo. Po drodze dręczyły go myśli o tym, co się teraz stanie. Wizja, jak przykrywają Juju całunem, doprowadzała go do szaleństwa. Obraz jej ciała w wąskiej, ciemnej chłodni rozrywał mu serce - przecież zawsze ogrzewała swoje zimne stopy na jego nogach! Wyobrażał sobie, jak później, gdy zgodnie ze starym zwyczajem zostanie złożona w domu pogrzebowym na katafalku, zacznie się rozkład i jak ułożą stopy lilii, by przytłumić zapach, i ogarnęła go rozpacz z powodu bezradności wobec nieuchronnego przemijania. Wreszcie w wyobraźni ujrzał pogrzeb, garście ziemi spadające na drewnianą trumnę, kryjącej niegdyś tak piękną twarz, teraz zjadaną przez robaki.

O Boże! To za wiele! Przycisnął ręce do brzucha, jakby dręczyły go okropne skurcze, pochylił się do przodu, pozwolił płynąć łzom i przejmująco zaszlochał.

Wokół na ulicy nie było żywej duszy, więc historyczna chwila minęła bez świadków. Generał Fernando Abrantes po raz pierwszy w życiu stracił panowanie nad sobą.

1969-1974.

## Rozdział Czterdziesty Piąty.

Lizbona urosła. Z góry Ricardo widział nowoczesne osiedla ciągnące się na północnym brzegu Tejo wokół centrum miasta. A na drugim brzegu, outra banda, z pewnością wkrótce też tak będzie. Odkąd otwarto nowy most - który także widział dobrze z samolotu podchodzącego do lądowania - można było łatwo dostać się na południe, nie będąc zdanym na promy. Ponte Salazar stanowił czerwoną stalową konstrukcję długości dwóch kilometrów, wyraźnie utrzymaną w stylu Golden Gate Bridge. Ricardo uważał oryginał za bardziej imponujący, nawet jeśli na jego południowym krańcu nie rozciągał opiekuńczo ramion Cristo Rei. Ten ostatni był zresztą tylko kopią figury Cristo Redentor z Rio de Janeiro. Najwyraźniej Portugalczykom brakowało własnych pomysłów.

Przycisnął czoło do małego okienka. Rozciągał się przed nim wspaniały widok. Letni dzień był suchy i bezchmurny. W oddali Ricardo widział Atlantyki i białe plaże, o tej porze z pewnością przepełnione. Może powinien poszukać odpowiednich terenów na południu. Dzięki nowemu mostowi Costa da Caparica stanie się niezwykle popularna. Złożył stolik oraz oparcie fotela. Zatkanął nos. Zmiany ciśnienia wywoływały ucisk w uszach. Potem usłyszał, jak wysuwa się podwozie. Za chwilę wylądują. I po raz pierwszy od trzech lat stanie na portugalskiej ziemi.

Gdy przemierzał halę przylotów, odbierał bagaż i przechodził cło, zalała go fala najróżniejszych odczuć. Ludzie wyglądali inaczej, byli niżsi i ciemniejsi. Wszędzie wisiały tabliczki, które w jego ojczystym języku wskazywały rozmaite miejsca na lotnisku. W poczekalni pachniało świeżym espresso - och, jakże tęsknił za porządną kawą! Przystanął przy małym barze i zamówił bica. Czuł się dziwnie, mówiąc znowu po portugalsku i będąc rozumianym. Wygrzebał z kieszeni spodni dolara i położył na ladzie. Mężczyzna w barze powiedział, że może

wydać tylko escudo, na co Ricardo odparł, że nie trzeba. Tamten podziękował wylewnie.

Espresso było bardzo mocne. A może tak mu się tylko wydawało po długim pobycie w Stanach? Tamtejsza cienka kawa wyglądała raczej jak herbata. Poza tym Amerykanie mieli bardzo dziwne nawyki żywieniowe. Nigdy naprawdę nie przyzwyczał się do ich jedzenia, za to tym szybciej przywykł do pozostałych aspektów życia. Uwielbiał amerykańską wiarę w postęp i fascynację technologią, podziwiał wolę czynu i chęć osiągnięcia rzeczy niemożliwych. Lubił drapacze chmur i wielkie samochody, driver thrus i shopping malls, i mnóstwo innych rzeczy, których nie było w Europie. Nie było dawniej, poprawił się w myślach Ricardo. W ciągu trzech lat wiele mogło się zmienić.

Gdy opuścił budynek lotniska, dostrzegł najpierw suche trawniki, smętnie zwisające liście na drzewach i przywiedłe kwiaty. Choć klimat w Kalifornii także był suchy, w niektórych rejonach znacznie bardziej niż tu lub nawet w Alentejo, wszędzie widziało się tam jaskrawo zielone trawniki i rośliny, które wyglądały tak soczyście i sprężyste, jakby zrobiono je z plastiku. Ricarda fascynowało również, jak rozrzutnie Amerykanie obchodzą się z wodą. Nie pochwalał takiego postępowania, ale uwielbiał wyrażającą się w ten sposób beztroskę.

Wsiadł do taksówki, która wydała mu się dziwnie staroświecka.

- Na Rua Ivens, faz favor.

Taksówkarz najwyraźniej uznał go za Amerykanina, może ze względu na ubiór, i próbował łamaną angielszczyzną nawiązać rozmowę. Ricardo uśmiechnął się, wyjaśnił, że dobrze zna podstawy języka portugalskiego, i bez przyjemności, ale uprzejmie odpowiedział na kilka pytań, którymi zarzucił go kierowca. Gdy zbliżali się do centrum, Ricardo stawał się coraz bardziej małomówny. Wyglądał przez okno i dziwił się wszechobecnym oznakom biedy i zaniedbania. Czy było tak zawsze, czy tylko dawniej tego nie zauważał?

Zardzewiałe samochody liczące sobie dobre trzydzieści lat, fasady, od których odpadły azulejos i po których biegły chaotyczne linie przewodów elektrycznych, przygarbione kobiety w czarnych chustach na głowach, pomarszczeni staruszkowie przesiadujący grupami w cieniu drzew i palący papierosy, zakurzone szyby, przed mercearias kilka nędznych skrzynek z czosnkiem i zwiędłymi główkami sałaty, dziury w asfalcie i ogromne kratery na brukowanych chodnikach, spod których przebijały suche chwasty, młodzieńcy wyprzedzający ich na hałaśliwych vespach i ukazujący

w uśmiechu dziurawe zęby oraz dziewczęta w skromnych, niemodnych sukienkach, odsłaniających owłosione nogi - Ricardo patrzył na wszystko, jakby widział to po raz pierwszy.

Miasto wydawało mu się nierzeczywiste. Jak film. Wrażenie nasiliło się jeszcze, gdy taksówka podskakiwała na tramwajowych szynach prowadzących do Chiado. W Hollywood zachwycano by się podobną scenerią. Chorobliwy urok zacofanego południa Europy. Kruszejąca fasada podstarzałej piękności. Zmatowiała powierzchnia drogocennej perły, która tu i ówdzie i tylko przy wyjątkowo korzystnym oświetleniu błyszczy dawnym blaskiem.

W najelegantszej dzielnicy Lizbony ulic nie zapełniali co prawda biedacy ani skromne sklepowe wystawy, czas jednak zdawał się stać tu w miejscu tak samo jak w okolicach, przez które przejeżdżali wcześniej. Ricardo widział witryny, których najwyraźniej nie zmieniano od lat dwudziestych. Pełne zawijasów napisy na wypukłych tabliczkach w drewnianych ramach obwieszczały, o jaki sklep chodzi. Ricardo poczuł się przeniesiony w czasy, których nie znał z doświadczenia - była tu luuaria Barroso & Filhos, sklep z rękawiczkami, chapelaria modystki Joany Soares, poza tym retrosaria, pasmanteria oraz warsztaty złotnika, lutnika, introligatora, sztukatora i przedstawicieli różnych zawodów gdzie indziej zagrożonych wymarciem.

Przechodnie byli elegancko ubrani. Powoli przechadzali się po ulicach, siedzieli wygodnie pod parasolami i nie wydawali się nigdzie spieszyć. Jedynie dzwonienie tramwajów i natrętnie trąbienie samochodów przypominało, że znajdują się w mieście, a nie w urlopowym kurorcie poza sezonem. Wyłożone płytkami fasady wyglądały nieco lepiej niż te, które mijał wcześniej, ale także sprawiały wrażenie starych, nieco niechlujnych, o kolorach bardziej wyblakłych niż pierwotnie. Tam, gdzie niegdyś lśniły biel i królewski błękit, teraz emanowały bezmiernym smutkiem beż i gołębia szarość. Tak, wszystko sprawia smutne wrażenie, pomyślał nagle Ricardo. Jest przepojone wiekami saudades, nostalgii i żalu, że wielkość Portugalii, dawnej światowej potęgi, została niepowtarzalnie utracona.

Teraz inni walczyli o władzę nad światem, przy czym dla zachodniego Europejczyka nie mogło być wątpliwości, kto ostatecznie wygra zimną wojnę - Stany Zjednoczone, kraj, który nawet nie istniał w czasach największych portugalskich zdobywców. A Ricardo da Costa dobrze wiedział, dlaczego tak się stanie. Ponieważ Ameryka była młoda, nie

zajmowała się roztrząsaniem przeszłości, lecz zawsze patrzyła do przodu. Nie marnowała czasu na żale i niewzruszenie wierzyła w siebie i w swoją wyższość. Pod koniec XV i na początku XVI wieku Portugalczycy też tak robili, podobnie jak później Anglicy. Kto był bojaźliwy, kto wątpił, wahał się, miał skrupuły, przyznawał się do własnych słabości lub godził się na równouprawnienie innych ludów, ten niczego nie osiągał, nie mówiąc już o staniu się światową potęgą. Wygrywał tupet. A bezczelni, zuchwali, bezwstydni i przekonani o swej nieśmiertelności byli tylko młodzi.

Ricardo był młody. No cóż, miał już dwadzieścia osiem lat, ale nadal był dość młody, by wnieść powiew świeżego amerykańskiego powietrza do swej sennej ojczyzny, która już na pierwszy rzut oka czyniła przybysza zmęczonym i ospałym. Powstrzymał ziewnięcie i spojrzał na zegarek. Jeszcze go nie przestawił. W Los Angeles była teraz dokładnie trzecia dwanaście. Nic dziwnego, że prawie zasypiał. W Lizbonie musiała być jedenasta dwanaście - dobra pora. Będzie mógł skrócić spotkanie z matką, by potem, po wczesnym lunchu, położyć się spać.

Jeśli w ogóle ją zastanie. Co prawda zapowiedział, że w lipcu wraca do Portugalii, ale nie podał dokładnego terminu. Nie chciał, by skrupowani spotkali się na lotnisku. Najchętniej wynająłby pokój w hotelu, zamiast zamieszkać u matki, ale równałoby się to wypowiedzeniu wojny. A Ricardo nie zamierzał naruszać pokojowego dystansu, który cechował ich stosunki.

Należało zadzwonić z lotniska. Nieuprzejmie jest zjawiać się tak bez zapowiedzi. Poprosił taksówkarza, by się zatrzymał.

- Ale do Rua Ivens zostały jeszcze dwie przecznice.
- Tak, wiem. Mimo to chciałbym wysiąść już tutaj.

Zapłacił dolarami. W przeliczeniu opłata wydała mu się śmiesznie niska, więc podał mężczyźnie pięć dolarów, mówiąc, że reszty nie trzeba. Ricardo dziwił się sobie, jaki jest niespokojny. Mógł przecież wymienić trochę pieniędzy na lotnisku. Czyżby powrót do domu był dla niego ważniejszy, niż sam przed sobą przyznawał?

Wziął swoją małą walizkę i udał się do ulicznej kawiarni. Zamówił pastel i carioca, nieco słabszą kawę. Nawet ta dla jego odzwyczajonego podniebienia okazała się dość mocna. Potem poprosił wyglądającą na godną zaufania damę przy sąsiednim stoliku, by przez chwilę popilnowała jego bagażu, bo musi zadzwonić. Senhora spojrzała na niego, jakby złożył jej nieprzyzwoitą propozycję, ale skinęła głową. Dziwne, pomyślał Ricardo,

podchodząc do lady i prosząc o telefon, czy lizbończycy zawsze byli tacy nieufni? W Kalifornii na jego prośbę zareagowano by serdecznie i z szerokim uśmiechem.

Wybrał numer z pamięci. Sygnał zabrzmiał sześć lub siedem razy, nim usłyszał głos matki.

- Aid?

- Mae, to ja, Ricardo.

- Ricardo, gdzie się podziewasz? Kiedy wreszcie wracasz do domu?

- Właściwie jestem już przed drzwiami. Nie chciałem cię tylko... obudzić czy coś takiego.

- No to się pośpiesz!

- Będę za około pół godziny, okej?

- Tak, okej - odparła z rozbawieniem, jakby użycie angielskiego słowa nie było dla niej zbyt naturalne.

Ricardo usiadł ponownie przy stoliku, przesadnie uprzejmie podziękował senhorze i myślał o czekającym go spotkaniu. Zmęczenie jakby się rozwiało. Ponownie zapłacił dolarami, co w kawiarni doprowadziło niemal do zamieszek, po czym chwycił walizkę i udał się na Rua Ivens, którą odnalazł bez trudu. Co prawda nigdy nie mieszkał dłużej w Lizbonie, ale dobrze pamiętał jeszcze okazjonalne wizyty u babki. Po jej śmierci matka przeprowadziła się do mieszkania dony Juliany. Był ciekaw, jak je urządziła.

Z zewnątrz budynek wyglądał niemal tak samo jak dawniej. Był stosunkowo świeżo pomalowany na delikatny róż, co nadawało mu przyjazny wygląd. Przez elegancki hol wejściowy, pokryty w całości cennymi starymi azulejos, Ricardo dotarł do windy z harmonijkowymi drzwiami, które sprawiały wrażenie nie mniej sędziwych. Wybrał schody, zwłaszcza że mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. W Stanach Zjednoczonych first floor oznacza parter, pomyślał, wchodząc na górę. Musiał pokonać tyle stopni, ile w LA potrzebowałyby do wejścia na third floor - ze względu na niezwykle wysoki hol, półpiętro także znajdowało się wysoko. Walizka wydała się naraz Ricardowi bardzo ciężka.

Gdy stanął na ostatnim stopniu, ujrzał matkę stojącą już w drzwiach. Z rozpromienioną twarzą ruszyła ku niemu, wyciągając ramiona. To ułatwiło mu ukrycie zakłopotania. Objęli się, pocałowali i uśmiechnęli. Ach, właściwie nie było tak źle znaleźć się znowu „w domu”, choć tu, w Lizbonie, nie czuł się jak w ojczyźnie.

- Ależ amerykańsko wyglądasz! - Zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów i wydawała się zadowolona z tego, co zobaczyła.

- A ty wyglądasz wspaniale nieamerykańsko, mae. Wyglądasz świetnie. - Mówił prawdę. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat była kobietą o zapierającej dech w piersiach urodzie. Drobna i szczupła, sprawiała wrażenie kruchej - petite, powiedzieliby w Ameryce, używając jednego z niewielu obcych słów, jakie znali. Laura nie wyglądała na osobę, która kiedykolwiek w życiu zajmowała się pielęgnacją przydomowego ogródka, wypróbowywaniem nowych przepisów lub hipoteką domku na wsi. Co odpowiadało rzeczywistości. Nie wyglądała też jednak jak typowa dojrzała portugalska senhora, których wiele Ricardo widział wcześniej na ulicy i w kawiarni, a wszystkie wydawały się mu przysadziste, smutne i nieatrakcyjne w swych ciemnych sukniach. Matka wyglądała mniej więcej tak, jak zapamiętał babkę Julianę, z mlecznobiałą cerą i umalowanymi na wiśniowo ustami oraz ciemnymi lokami, których siwe pasma ukrywała henna. Tylko strój Laury był zupełnie inny. Nosila kaftan i kilka ciężkich, orientalnych naszyjników. Ricardo miał przed sobą fascynujące połączenie eleganckiej damy i sześćdziesięcioletniej Cyganki.

W mieszkaniu nastąpiła podobna przemiana. Podczas gdy parkiet, stiuki, marmurowy kominek i kilka cennych mebli świadczyły o ponadczasowej elegancji i dobrobycie, nowoczesne lub egzotyczne przedmioty stanowiły ciekawy kontrast. W salonie stał biały telewizor. Ogromna ciemnobrązowa sofa, północno afrykańskie pufy i siedziska z tłoczonej skóry otaczały niski stolik, który wyglądał jak olbrzymi mosiężny talerz. Na nowoczesnym kredensie stała fajka wodna, na ścianach wisiały obrazy współczesnych artystów - ale żaden autorstwa Laury Lisboa. Na marmurowym gzymsie nad kominkiem stała kamienna figurka nagiej kobiety. Na podłodze leżał dywan z Arraiolos pochodzący jeszcze z czasów dony Juliany, a w kącie pod oknem stał filigranowy sekretarzyk z XVII wieku, który Ricardo także widział już wcześniej. To połączenie kultury mieszczańskiej i hipisowskiej bez wątpienia miało w sobie coś.

Uwagi Laury nie uszły zdumione spojrzenia syna.

- Sporo się tu zmieniło, prawda?

- Można tak powiedzieć. - Po chwili milczenia spytał: - Co się stało z Belo Horizonte? Dlaczego stamtąd odeszłaś?

- Czulaam się zbyt samotna. Po śmierci Inacia Octavia przeprowadziła się do jednego z tych okropnych nowych osiedli na obrzeżach Beja.



Ona też była w Quincie samotna. Silvia i Xavier wyprowadzili się wiele lat temu, ale to, jak sądzę, sam wiesz.

- Tak. Sprzedaliście Belo Horizonte?

- Nie, nie miałam serca. To był przez wiele lat mój dom. Twój przecież też. Spłaciłam wszystkich krewnych. Teraz należy tylko do mnie. Ale jeszcze nie wiem, co powinnam zrobić z posiadłością. Wyraźnie podupada.

- Gdy byłem tam ostatnim razem, już wydawała się mocno zniszczona.

- Tak. Ale to nieważne, porozmawiajmy o przyszłości.

W tej chwili przez korytarz przemknął mężczyzna, którego Ricardo nigdy wcześniej nie widział. Miał rozczochrane włosy i poza ręcznikiem obwiązany wokół bioder był całkiem nagi.

- Och, e... nie przeszkadzam?

Laura spojrzała synowi prosto w oczy, jakby był dzieckiem, któremu musi przekazać niemiłą wiadomość.

- Nie, nie przeszkadzasz. I mam nadzieję, że on też nie przeszkadza. To Joao Carlos, mój... narzeczony.

Ricardo pogratulował sobie rozwagi. Gdyby wcześniej nie zadzwonił, zapewne zjawiłby się w środku czegoś, czego nie chciał sobie zbyt dokładnie wyobrazić, między swoją matką a tym facetem. Mimo to bawił go zawstydzony wyraz jej twarzy. Dlaczego robi takie przedstawienie? Doprawdy, jest dość dorosła, by mieć przyjaciela czy kochankę, a nawet wielu.

- Co się stało z Felipe?

- Ach, teraz to nieważne. Opowiem ci innym razem. A ty masz dziewczynę? Czy przedstawiś mi prawowitą amerykańską żonę?

- Nie.

- Szkoda. I nie zechcesz mi podarować pulchnych blond wnuków? No, no.

Odpowiedział na jej uśmiech, unosząc przy tym brew. Laurze ta mina boleśnie przypominała młodego mężczyznę, którego bardzo kochała. Gdy jeszcze nazywał się Jakob.

- A co porabia Jack? Jak wygląda? Jak mu się wiedzie?

- Przywiozłem mnóstwo zdjęć. Ale - wysłałem ci też jakieś, prawda?

- Tak, wysłałeś. Choć oczywiście nie zastąpią sprawozdania na żywo.

- Nie wiem, od czego zacząć. Większość już napisałem lub opowiedziałem ci przez telefon. - Ricardo znacznie przesadzał i dobrze o tym

wiedział. Jego listy były krótkie i nieosobiste, podobnie jak rozmowy telefoniczne. Zgłaszał się tylko z poczucia obowiązku, a nie z prawdziwej potrzeby podzielenia się przeżyciami.

- Cóż, sądzę, że wiecie mu się nieźle. Zdobył cztery Oscary i jest bardzo znany w branży. Mimo to nie ma dużo pieniędzy. Prawdopodobnie wszystko idzie na opiekę nad Elsą. Jeździ na wózku. Stwardnienie rozsiane. Ale trzyma się nieźle. To naprawdę fajna babka.

Ostatniego zdania Laura wolałaby nie usłyszeć. Na szczęście jej „narzeczony” Joao Carlos zmienił temat. Był świeżo wykąpany, pachniał mocno wodą po goleniu i miał na sobie luźne białe spodnie i rodzaj tuniki. Pozbawione kołnierzyka wycięcie ukazywało gęsto owłosioną klatkę piersiową i łańcuszek z zawieszka w kształcie rekina.

Ricardo pomyślał o swoich znajomych ze Stanów, którzy ubierali się podobnie - ale byli o dwadzieścia lat młodszy od tego na oko czterdziestoletniego mężczyzny. Joao Carlos sprawiał wrażenie dirty old man, zapitego starego dziadka. Zapewne udawał tylko zainteresowanie Indiami, żeby wypróbować kolejne pozycje z Kamasutry. Od początku wydał się Ricardowi niesympatyczny, zresztą najwyraźniej ze wzajemnością. Podali sobie dłonie, Laura dokonała prezentacji, a potem trwali w milczeniu, mierząc się pogardliwymi spojrzeniami.

Joao Carlos, jak okazało się na podstawie krótkiej, utykającej rozmowy, był kupcem w kolonii Goa, nim została zaanektowana przez Indie -no dobrze, czyli pod tym względem Ricardo się pomylił. Od ośmiu lat mieszkał znowu w Portugalii, gdzie, jak się zdawało, dzięki zarobionym bądź odziedziczonym pieniądzą prowadził słodkie życie i propagował wolną miłość - jeśli nie uprawiał jej właśnie na swoim jachcie, którym często i chętnie pływał po Morzu Śródziemnym. Ricardo nigdy nie darzył szczególną sympatią hipisów, ale oburzyło go, że ich poglądy tak cynicznie wykorzystują dla własnej przyjemności faceci pokroju Joao Carlosa.

- A ty, Ricky? Dlaczego nie zostałeś przynajmniej do Woodstock? Podobno będzie grać kilka całkiem dobrych zespołów.

Co do diabła miałby robić na takim prowincjonalnym festiwalu? Bob Dylan nie przyjedzie, a Joan Baez nie chciał ani widzieć, ani słyszeć.

- Ach, Johnny - odparł - czułbym się nie na miejscu. Na pewno bywają tam wyłącznie ludzie twojego pokroju.

Matka popatrzyła na niego skonsternowana. Aby przerwać niemiłą ciszę, nastawiła płytę. Janis Joplin. Ricardo w duchu wznosił oczy do

nieba. Gdzie do diabła wylądował? Czy zaraz zaproponują mu LSD albo ciastko z haszyszem? Co im strzeliło do głowy, by zachowywać się jak młodzież? Czy organizują też marsze protestacyjne przeciwko wojnie w Wietnamie? I jak to się stało, że tu, w środku zaspanej, zacofanej Lizbony, rozwinęła się taka subkultura? Czuł się jak w komunie. Nagle Ricardo pomyślał, że może tu przebywać więcej tego typu ludzi.

- Powiedz - zwrócił się do matki - nie koczują tu przypadkiem jacyś inni chłopcy od Hare Kriszny?

- Co to ma znaczyć? - zdumiała się. - Masz coś przeciwko naszemu stylowi życia? Sądziłam, że w Kalifornii nauczyłeś się nieco tolerancji...

- Już dobrze. Przykro mi, sorry. - Mówił szczerze. Naprawdę żałował, że poddał się na chwilę stereotypom. Niech żyją, jak uważają za słuszne. Niech matka od każdego nowego mężczyzny przejmuje jego life style, zainteresowania, gust i przekonania polityczne. Bo takie właśnie sprawiała wrażenie - ze względu na wyraźnie młodszego kochanka udawała, że należy do bitników. Jej zdolność adaptacji - i chęć dostosowania się do mężczyzn - gniewała Ricarda. Ładna mi bojowniczką o wolność, pomyślał, która nie ma nawet dość pewności siebie, by sygnować swoje dzieła własnym nazwiskiem.

- A ty, Ricky, co porabiasz w życiu, jeśli nie krytykujesz właśnie myślących inaczej? - spytał Joao Carlos.

- Oczywiście gonię za zyskiem. Cóż by innego? - Powiedział to tak, jakby chciał tylko rozdrażnić rozmówcę, ale nie odbiegł daleko od prawdy.

Mężczyzna zaśmiał się gromko i odparował pytaniem, które jeszcze długo miało dręczyć Ricarda.

Zarówno jadąc taksówką do hotelu - ze względu na okoliczności mógł jednak zachować niezależność, nie raniąc przy tym za bardzo matki - jak i podczas odpływania w długo wytęskniony popołudniowy sen pytanie wciąż krążyło mu po głowie, a on nie znajdował zadowalającej odpowiedzi.

- Ha, i po to wracasz właśnie do Portugalii? - spytał niedowierzająco Joao Carlos i jeszcze kilka tygodni później Ricardo rozmyślał nad tymi słowami.

Tak, dlaczego właśnie Portugalia?

## Rozdział Czterdziesty Szósty.

Po trzydziestu trzech latach dyktatury Antonia Oliveiry Salazara Portugalia była odizolowana na arenie międzynarodowej. Gospodarczo wlokła się w ogonie Europy. W rejonach wiejskich liczba analfabetów sięgała siedemdziesięciu pięciu procent. Jak w każdym rozwijającym się kraju wyższym warstwom wiodło się świetnie, podczas gdy robotnicy i chłopcy cierpieli z powodu biedy i niskiego poziomu życia. W ciągu minionych dziesięciu lat niemal milion Portugalczyków opuściło ojczyznę. Exodus nie dotknął poważnie jedynie głównych ośrodków przemysłowych Lizbony i Porto. Prowincja się wykrwawiała. Kto w roku 1969 oczekiwał poprawy sytuacji, musiał się rozczarować. Co prawda z powodu wylewu Salazar od ubiegłego roku nie był już szefem rządu, ale totalitarne Estado Novo, Nowe Państwo, nadal rozwijało się zgodnie z jego myślą.

Mogło się wydawać niezwykle, że ludzie pokroju Laury da Costa i Joao Carlosa Carneiro, zamożni, wykształceni i bywali w świecie, prowadzą tak nowoczesny i swobodny styl życia - lecz dopóki nie protestowali otwarcie przeciwko reżimowi, było to całkowicie dopuszczalne. W Portugalii istniały obok siebie jakby dwa równoległe, skrajnie obce sobie światy. Z jednej strony stała masa ludności, świadomie kształtowana na niedouczonej, bezwolnej i katolickiej i żyjąca niekiedy w warunkach gorszych nawet niż w średniowieczu, z drugiej strony wąska grupa ludzi, którzy dzięki reżimowi zdobyli liczne przywileje i w których interesie leżało, by wszystko zostało po dawnemu. Jednocześnie ci sami ludzie najmniej trzymali się dyktowanych z góry wartości.

Marisa uważała istnienie takiego dwuklasowego społeczeństwa za oburzające. A jeszcze bardziej oburzało ją, że tłumi się wszelką opozycję, że wolność prasy i poglądów są w ustach rządu obcymi słowami

i że ludziom zabrania się dostępu do postępowej myśli. Do diabła, przecież był rok 1969! Powstawały rakiety latające na Księżyc, zaawansowane sposoby przekazu telewizyjnego i zdolne do coraz większych osiągnięć komputery - a Portugalia uparcie trzymała się swojej polityki kolonialnej, która odpowiadała myśleniu wczesnorennesansowemu! To niepojęte, co tu się działo! Nielicznych młodych ludzi, którzy nie wyjechali jeszcze do pracy za granicą, wysyłano do Angoli, Mozambiku i Gwinei, żeby prowadzili beznadziejną, szaloną wojnę, choć sami w nią nie wierzyli. W kraju nie został niemal nikt, kto mógłby przeciwstawić się reżimowi.

Lecz w chwilach, gdy ucichało słuszne oburzenie, Marisa zastanawiała się, czy to rzeczywiście zaangażowanie polityczne spowodowało ją z powrotem do Portugalii? Czy nie chodziło raczej o przywiązanie do ojczyzny, którego nie odczuwała ani we Francji, ani w Anglii? Czy naprawdę jest beznadziejną romantyczką? „Reakcyjną aktywistką”, jak to powiedział jej chłopak Cristiano? Ach, cóż on wiedział o skomplikowanych procesach zachodzących w głowie kobiety? Cristiano uważał za reakcjonistę każdego, kto kupował eleganckie meble - zapewne dlatego, że sam nie mógł sobie na takie pozwolić. Za to, myślała Marisa, wyjątkowo chętnie przesiadywał w jej „reakcyjnym” ulubionym fotelu elda, futurystycznym projekcie autorstwa Joego Colombo, składającym się z białej obrotowej misy ze sztucznego tworzywa i grubych, czarnych skórzanych oparc. Mebel łączący delikatną ironię z komfortem, rodzaj wygodnego fotela do nowoczesnego wnętrza. Cristiano nawet nie wiedział, na czym się rozsiadał.

Od dwóch lat żyła z Cristianem w „dzikim małżeństwie”, choć o „dzikości” w zasadzie nie było już mowy. Za to o „małżeństwie” owszem, nawet jeśli po katastrofie z odwołanym ślubem Marisa obiecała sobie, że nigdy więcej nie posunie się z żadnym mężczyzną tak daleko. Ale stało się to i bez aktu ślubu. Ich związek zaczął być nudny. Cristiano zaczął zachowywać się jak mąż. Naprawdę oczekiwał od niej, że będzie mu gotowała! Ładny buntownik, który zagnieźdżał się u dziewcząt z wyższych sfer i pozwalał się obsługiwać - jeśli nie tonął właśnie w eldzie. Marisa miała już tego dość.

Skoro jednak pokonała tak wiele przeciwności, wreszcie skłaniając rodziców i brata, by na powrót przyjęli do serca córkę marnotrawną i wybaczyli jej błędy, byłoby jej wyjątkowo trudno przyznać się otwarcie do porażki. „Wszyscy mieliście rację, ten facet do niczego się nie nadaje”.

Nigdy się tak nie upokorzy. Jeżeli w ogóle, to powie z wysoko uniesioną głową: „Widzicie, jak dobrze, że go nie poślubiłam!”. Co z kolei nie było wyłącznie jej zasługą. Cristiano ani razu nie spytał, czy zechciałaby zostać jego żoną - kolejna rzecz, którą miała mu za złe. Choć oczywiście powiedziałyby „nie”.

Marisa uznała, że jest zdecydowanie za młoda na podobne frustracje. A jednak tak było. Duma trzymała ją w związku, który już się rozpadł. W swoim zawodzie, jako tłumaczka z francuskiego, nie miała wielu perspektyw. Nudziło ją tłumaczenie ciągle rozmów i tekstów, które dotyczyły cel importowych i pozwoleń na wywóz. Zaczęła też wątpić w swój kraj, choć tak go kochała. W jej życiu musiało się coś zmienić, jeśli nie chciała wkrótce stać się zgorzkniałą starą kobietą. Za dwa lata skończy trzydziestkę. Napawało ją to przerażeniem.

- Ten Joaquim Agostinho jest niewiarygodny. Popatrz na to! - zawołał Cristiano z salonu. Marisa stała w kuchni i eksperymentowała ze składnikami afrykańskiego dania o niemożliwych do wymówienia nazwach.

- Od kiedy to interesujesz się kolarstwem? - zawołała w odpowiedzi i odgarnęła z czoła pasmo włosów. Zabrudzone chili palce musiały dotknąć lewego oka, bo nagle zaczęło ono piekielnie palić i łzawić. Marisa odwróciła wodę, przemyła bolące oko jak największą ilością wody i przez głośny szum nie dosłyszała odpowiedzi Cristiana. W zasadzie nie miało znaczenia, co powiedział. I tak nie odpowiadało to prawdzie. Zainteresował się Joaquimem Agostinho dopiero wtedy, gdy zaczęto ciągle pokazywać go w telewizji. Oglądanie telewizji należało do ulubionych rozrywek Cristiana.

Kiedy łzawienie nieco ustało, Marisa wytarła nos i wróciła do gotowania. Niezmiernie ją denerwowało, że jej chłopak w niczym nie pomaga. Dysponował większą ilością wolnego czasu, ale zawsze miał gotową wymówkę. Raz powiedział z udawaną skruchą:

- Ach, wiesz przecież, że wszystko, co ugotuję, smakuje okropnie. Wyświadczysz sobie przysługę, jeśli sama się tym zajmiesz. - Niestety, była to prawda. Raz przygotował posiłek, w dodatku wtedy, gdy przyszli z wizytą znajomi. Nikomu nie smakowało. Później Cristiano powoływał się na zobowiązania polityczne, potem na wykańczającą nerwowo pracę doktorską. Marisa zawsze ulegała. Ale teraz miała dość!

- Cristiano? Chodź, proszę, do kuchni i pomóż mi trochę. Ten przepis jest dość skomplikowany, mógłbyś na przykład obrać cebulę i czosnek.

- Cii! Nie teraz! - Cristiano nawet nie odwrócił się w jej stronę. Siedział przed telewizorem jak zahipnotyzowany królik.

No dobrze, nie, to nie. Nie teraz i już nigdy. Marisa wrzuciła pokrojone chili do kosza, pozostałe rzeczy schowała do lodówki i zrobiła sobie kanapkę. Posmarowała ją grubo masłem, nałożyła dużo sera i szynki. Potem nalała sobie kieliszek wina i wygodnie usiadła przy kuchennym stole. Skromny posiłek smakował jej wybornie. Gdy skończyła, udała się do sypialni, przebrała się i, nie mówiąc ani słówka, przeszła przez salon w kierunku drzwi. Gdyby nie zasłoniła telewizora, Cristiano prawdopodobnie nie zauważyłby, że wychodzi.

- Co z jedzeniem? - spytał.

- Moje mi smakowało. Co z twoim, nie wiem. Wreszcie obudził się z transu.

- Co się dzieje? Płakałaś?

- Już nic. Wychodzę. Nie mogę dłużej znieść widoku siedzącego przed telewizorem lenia. I nie, nie płakałam, tylko z powodu twoich kulinarnych preferencji chili wpadło mi do oka.

- A zatem... - Usłyszała w jego głosie przekorę.

- Ponieważ jest to moje mieszkanie, chcę od czasu do czasu móc w nim przebywać. W tej chwili przychodzi mi do głowy tylko jedno rozwiązanie.

- To mówiąc, wyszła i zostawiła Cristiana z przerażoną miną.

Marisa nie została jednak sama po wyprowadzce Cristiana nocą siedemnastego lipca - a zatem w dniu, gdy Joaquim Agostinho został zwycięzcą czternastego etapu Tour de France, co miało mu zapewnić ósme miejsce w klasyfikacji łącznej.

Początkowo zapraszała do siebie koleżanki, by narzekać razem na mężczyzn, wypłakiwać się i upijać. Po kilku dniach jednak nadmiar damskiego towarzystwa zaczął Marisie działać na nerwy. Brakowało jej Cristiana. Właściwie nie był taki zły - może powinna go tylko lepiej wychować. Ale czy musiała ciągle wpadać z jednej skrajności w drugą?! Od kury domowej do wojującej feministki w ciągu pięciu minut, niech ktoś tego dokona. Potem znowu gratulowała sobie mądrej decyzji, by wyrzucić Cristiana - przynajmniej mogła przesiadywać z podciągniętymi kolanami na ulubionym fotelu tak długo, jak chciała. I robiła to, podczas gdy znajomi obu płci tłoczyli się na małej sofie oraz na wełnianym dywanie - w okolicach dwudziestego lipca 1969 roku mieszkanie Marisy

dzięki kolorowemu telewizorowi najnowszej generacji należało do ulubionych miejsc spotkań jej paczki. Nikt, nawet największy wróg techniki, nie chciał ominąć transmisji z lądowania na Księżycu.

Na całym świecie około pięciuset milionów ludzi jak urzeczeni śledziło na ekranach szczytowy punkt misji Apolla 22. Dwudziestego pierwszego lipca 1969 roku Neil Armstrong jako pierwszy człowiek postawił stopę na Księżycu. Trzydzieści minut później dołączył do niego Edwin „Buzz” Aldrin, pilot promu księżycowego Eagle. Astronauci zatknęli amerykańską flagę i przebywali na Księżycu prawie dwie i pół godziny, ustawiając różne naukowe aparaty do pomiarów i zbierania próbek. Świat wstrzymał oddech. Najbardziej powszechną reakcją był niewiarygodny podziw, ale spektakularne wydarzenie wywołało również uczucia nienawiści, zazdrości i inne. Wszelkie - poza obojętnością.

Fernando i Elisabete Abrantes siedzieli przed telewizorem i tym, co widzieli, byli równie podekscytowani i poruszeni jak reszta świata. Fernando jednak należał do nielicznych zapewne osób, które w tej wielkiej chwili myślały również o Michaelu Collinsie, pilocie modułu załogowego. Musiał on utrzymać pojazd w miejscu i dlatego nie mógł stanąć na Księżycu. Ach, myślał Fernando, zawsze to lepiej spoglądać na Ziemię z pokładu Columbi niż w ogóle nie brać udziału w tej historycznej misji.

Nie popełnił tego błędu, by podzielić się z żoną swoimi odczuciami - niestety, niepodzielanymi.

- Mój Boże, wyobraź sobie tylko, co przeżywają biedne żony tych mężczyzn! - zawołała, a on uznał, że z tej wypowiedzi przemawia całkowity brak zrozumienia, który w ciągu czterdziestu lat małżeństwa tak ich od siebie oddalił. Żony powinny czuć dumę. Ich mężowie byli bohaterami i staną się narodowymi pomnikami, jeśli wręcz nie świętościami. Czego mogła jeszcze żądać kobieta od swego męża?

Mimo to milczał. Elisabete już kilka miesięcy temu wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie chce być „przytłaczana” technicznymi szczegółami misji, więc zachowywał tę wiedzę dla siebie. Konstrukcja rakiety Saturn-V AS-506 i statku kosmicznego CSM-107, problemy przy odczepianiu modułu księżycowego LM-5 i przeprowadzony potem bez pomocy komputera pokładowego śmiały manewr lądowania - o tym wszystkim nie miał z kim porozmawiać. Pewną ulgę dawały mu tylko media. Kupował wszelkie gazety, portugalskie i zagraniczne, oraz



wszystkie dostępne czasopisma naukowe i chciwie pochłaniał każdą znaną informację. Dobrze było wiedzieć, że nie tylko on uległ fascynacji technicznymi aspektami lotów kosmicznych.

Laura da Costa i jej towarzysz Joao Carlos siedzieli na podłodze przed telewizorem. Joao opierał się plecami o sofę, Laura spoczywała między jego nogami. Ramionami obejmował ją od tyłu w tali. Obok nich na cennym dywanie z Arraiolos stały dwa kieliszki z czerwonym winem. Marihuana zawsze wysuszała usta. Oboje śledzili wydarzenia na ekranie z otwartymi ustami, od czasu do czasu wzdychając. Nie byli zupełnie pewni, czy spektakl ten odbywa się naprawdę, czy jest to tylko wizja, którą zawdzięczają skrętowi.

Gdy pierwszy z astronautów opuścił pokład Eagle i w niekształtnym białym skafandrze niezgrabnie szedł po schodkach, uśmiechali się do łez. Później, kiedy obie grubo wypchane postacie, które wyglądały jak ludziki Michelin, zatknęły amerykańską flagę, doszli do przekonania, że cały film to rodzaj reklamy.

Rui da Costa w czasie tego niezwykłego wydarzenia znajdował się w Grand Hotelu na wybrzeżu Amalii. Żałował swej pośpiesznej decyzji, by o tej porze roku udać się do Positano. Było tu równie gorąco jak w Portugalii, stary hotel nie miał klimatyzacji, a goście składali się głównie z hałaśliwych, grubych Europejczyków z północy lub nie mniej hałaśliwych rodzin z Włoch. Nie tak to sobie wyobrażał.

W przyszłym roku o tej porze, gdy będzie świętować swoje osiemdziesiąte urodziny, pojedzie do Skandynawii. Choć mówiło się, że tamtejsze lato może być równie gorące i przede wszystkim pełne komarów. To może lepiej rejs? Tak, byłoby nieźle. Zawsze miła świeża bryza, brak insektów i wulgarnych ludzi. I mnóstwo atrakcyjnych stewardów. Na myśl o schludnych białych uniformach Rui ponownie zwrócił się w stronę telewizora, który najwyraźniej miał usprawiedliwiać horrendalną opłatę za pokój. Ledwo mógł uwierzyć w to, co widział. Czy owi astronauty w białych skafandrach naprawdę chodzą po Księżycu? Niewiarygodne, zupełnie niewyobrażalne! Rui przypomniał sobie różne sztuczki, które stosowali czasem reżyserzy i które Ronaldo, gdy jeszcze byli razem, kiedyś mu objaśnił. No cóż, właściwie nie objaśnił. Ale podczas

oglądania filmu otworzył mu oczy na to, jak niewiele z tego, co widzą, jest prawdziwe. A to, co właśnie widział Rui, nie mogło być prawdą. A może jednak? A jeśli tak, jak długo potrwa, nim na Księżyc złączą latać turyści? I czy sam jeszcze tego doczeka? Przy wspaniałej wizji, jak to pewnego dnia spędzi wakacje na Księżycu, w stanie nieważkości i na pewno bez owadów, Rui da Costa zasnął.

Również młody człowiek, który uważał się za wnuka Ruiego da Costy, spędził ów pamiętny dzień w hotelu. Jednak nie był to hotel nawet w połowie tak wygodny i luksusowy jak ten w Positano. Ricardo zakwaterował się Lizbonie w średniej klasy pensjonacie. W pokoju stały okropne meble w orzechowej okleinie i leżał zielony jak mech dywan, chyba kwintesencja tej barwy. Telewizor znajdował się tylko w hotelowym lobby. Tam zatem siedział Ricardo i razem z nocnym portierem, jego żoną, która przyniosła mężowi przekąski, taksówkarzem, który zaparkował auto w niedozwolonym miejscu, kioskarzem oraz garstką hotelowych gości oglądał lądowanie na Księżycu. Widzowie wpatrywali się zdumieni w ekran, bo nawet dla najprostszego i zupełnie niewykształconego człowieka było jasne, że sceny te zapowiadają nową erę w historii ludzkości.

Ricardo również był bardzo podekscytowany całym wydarzeniem. „Niewiarygodne” lub „niewyobrażalne” - brzmiały komentarze pozostałych gości, on jednak tak nie uważał. Przecież można to było przewidzieć. Poprzednie loty w kosmos przebiegły wyjątkowo pomyślnie. Collins w statku Gemini 10 odbył nawet spacer w kosmosie, Aldrin po misji Gemini 12 miał doświadczenie w opuszczaniu kapsuły kosmicznej, a komendant Armstrong też był już w kosmosie. Wszyscy trzej astronauty podczas sensacyjnego lotu Apolla 8 należeli do załogi rezerwowej. Teraz nastąpiła tylko konsekwentna kontynuacja amerykańskiej polityki lotów kosmicznych, której główny cel stanowiło pokonanie Rosjan. Wreszcie to osiągnęli.

Ricardo pomyślał o znajomych w Stanach Zjednoczonych. Ich patriotyczne serca na pewno były mocno w tej chwili. Nie poznał tam wielu osób, ale wystarczyło mu towarzystwo tych nielicznych. Pomyślał o swoich byłych dziewczynach, Helen i Joyce, oraz kolegach ze szkoły - Robiem z Missouri, za którego ciastowatą twarzą krył się niezwykle bystry umysł, Haroldzie z Vermontu, po którego smukłej sylwetce nikt by się nie domyślił, z jaką odwagą, czasem wręcz brawurą, potrafi latać

swoją maszyną, i Stelli z Florydy, jedynej kobiecie wśród łącznie dwunastu przyszyłych nauczycieli lotnictwa, która potrafiła przepięć każdego z nich i nawet jego, Ricarda, przechytrzyć w pokerze. Wszyscy siedzieli teraz pewnie w miękkich fotelach, chrupali ziemniaczane chipsy, z zapartym tchem śledząc wydarzenia na ekranie i marząc o tym, by samemu kiedyś polecieć w kosmos. Czy nie tak robił każdy pilot? Przynajmniej każdy pilot amerykański i radziecki. To, by jako Portugalczyk miał kiedyś szansę odbyć ten największy ze wszystkich lotów, Ricardo uważał za wielce nierealistyczne. Ale bardzo tego chciał.

W hotelowym lobby rozległ się zbiorowy jęk. Z telewizora dochodziły same trzaski, obraz składał się wyłącznie z białych i czarnych, migoczących pasków. Nocny portier podszedł do odbiornika i kilka razy uderzył w niego dłonią.

- Czasem tak ma. To zaraz minie. - Ale nie minęło. Portier nie był już tak pewny siebie. Gorączkowo obracał antenę na wszystkie strony, lecz nie uzyskał poprawy. Taksówkarz pierwszy stracił zaufanie do jego technicznych umiejętności.

- O rany, mam dość. Spadam. W Palacio po drugiej stronie też jest migoczące pudło. - Dołączyły do niego jeszcze dwie osoby.

- Mogę? - Ricardo podszedł do portiera i spojrzał na wadliwy sprzęt z miną fachowca. Pracownik hotelowy najwyraźniej niezbyt docenił próbę pomocy, która podważała jego autorytet w tej dziedzinie. Spojrzał na Ricarda podejrzliwie. Młody człowiek nie wzbudzał zaufania. Blizny po trądziku, niewystarczająco zakryte baczkami, chłodne spojrzenie jasnych, zielonkawobrazowych oczu, butna postawa, arogancki ton i dziwne zagraniczne ubranie - wszystko to wcale się portierowi nie podobało. Ale czy miał jakiś wybór?

- A co tam. Ale jeżeli potem nie będzie się do niczego nadawał, pokryje pan szkody.

Ricardo wzruszył ramionami, zdjął kraciastą marynarkę i zabrał się do pracy. Potrzebował około kwadransa, z czego dziesięć minut upłynęło na poszukiwaniu przez portiera śrubokrętu. Potem odbiornik działał już bez zarzutu. Pozostali widzowie nagrodzili Ricarda oklaskami. Dopiero później pojęli, że stracili decydujący moment, gdy Neil Armstrong wypowiedział słynne słowa, które następnego dnia wydrukowano na pierwszych stronach wszystkich gazet: „To mały krok dla człowieka, ale wielki krok dla ludzkości”.

## Rozdział Czterdziesty Siódmy.

Ana Maria Delgado była najbardziej niezawodną listonoszką w okręgu Beja. W ciągu minionych dwudziestu czterech lat ani razu się nie spóźniła i ani jednego dnia nie chorowała. Wcześniej, w czasie drugiego roku pracy na poczcie, opuściła łącznie trzy tygodnie, ale zaraz po narodzinach dziecka natychmiast wróciła do wykonywania zawodu. Chłopcem zajęła się cała gromada krewniaczek, przede wszystkim obie babcie, między którymi rozgorzała zaciekle kłótnia o to, która, kiedy i jak długo może opiekować się dzieckiem. Przez chwilę wyglądało na to, że spór podzieli rodziny Any Marii i jej męża. Obie damy wszakże jakoś zdołały się pogodzić - we wspólnym oburzeniu na niemacierzyńskie zachowanie Any Marii.

Ona sama decyzję o powrocie do pracy uważała obecnie za równie słuszną jak wtedy. Jej syn wyrósł na wspaniałego młodego mężczyznę, co dowodziło, że nie była aż tak złą matką. Tymczasem zmarły obie babki, jak również jej mąż, więc Ana Maria naprawdę się cieszyła, że została w zawodzie. Wdowia renta na nic by nie wystarczyła. I tak nie było lekko. Ale nie zwykła się skarżyć. Lubiła swoją pracę. Znała praktycznie każdego w swoim obwodzie, często miała okazję do pogawędek, a niekiedy, gdy czas pozwalał i nie istniało niebezpieczeństwo, że dowie się o tym naczelnik poczty, dawała się nawet namówić na aguardente de medronho. Oczywiście tylko przy wyjątkowych okazjach i tuż przed zakończeniem pracy. Jak na przykład mogłaby odmówić państwu Castro, którzy w tym tygodniu obchodzili złote gody, zaproszenia, by wypić kieliszeczek za ich zdrowie?

Oczywiście w pracy senhory Delgado zdarzały się także problemy. Jednym z nich było pocztowe auto. Silnik, szczególnie zimą, zaskakiwał dopiero po wielu próbach, więc Ana Maria przyzwyczaiła się do zostawiania go w ciągu dnia przez cały czas na chodzie. Nawet jeśli spędzała

kwadrans u znajomych, silnik pracował. Wydawało jej się zupełnie nierealne, by ktoś zechciał ukraść samochód. Daleko by nie ujechał, nie wzbudzając podejrzeń, w końcu widok starego forda był nierozłącznie związany z widokiem szczupłej, surowej twarzy Any Marii.

Kolejnym zmartwieniem, ale jeszcze nie najgorszym, były domowe zwierzęta. Ana Maria zdecydowanie wolała agresywne psy od przyjaznych. Właściciele groźnych zwierząt zwykle brali je na smycz, gdy listonoszka zapowiadała się trąbieniem lub dzwonieniem. Przyjazne psy miały niemiłą skłonność, by przesadnie ciepło witać Anę Marię, skakać na nią i brudzić jej uniform, który utrzymywała w idealnym stanie. A właściciele najwyraźniej byli dumni z wesołego temperamentu swoich podopiecznych, więc nie przychodziło im do głowy, żeby je powstrzymać. Również koty ocierające się o nogi przeszkadzały Anie Marii.

Ale nie tak bardzo jak źle zaadresowane przesyłki. Brakujący numer domu i niepełny kod pocztowy nie były jeszcze takie straszne. Jeśli zgadzało się nazwisko odbiorcy i ulica, Ana Maria i tak wiedziała, o kogo chodzi. Kiedy jednak zarówno nazwisko, jak i ulica lub dzielnica zostały błędnie zapisane, potrzebowała wiele wyobraźni, by odnaleźć właściwą osobę. A coś takiego zdarzało się częściej, niż przeciętnie inteligentny człowiek uznałby za możliwe.

Ana Maria mogła tylko z dezaprobatą kręcić głową na taki brak staranności. Jak na Boga ktoś może od niej oczekiwać, że dostarczy list do „Dony Angeliki, Rua do Creio”, gdy brakowało nazwiska damy, a ulica naprawdę nazywała się „Rua do Correio”? Tylko wyjątkowej intuicji Any Marii należało zawdzięczać, że takie przesyłki także trafiały do adresatów, i to bez wyjątku. W ciągu dwudziestu sześciu lat na poczcie nie dostarczyła dokładnie dwóch listów i jednej paczki pomimo wykonania iście detektywistycznej pracy, ale te nadeszły z zagranicy, jak niemal wszystkie nieczytelnie lub błędnie zaadresowane przesyłki. Ana Maria nauczyła się podchodzić do zagranicznej poczty z największą nieufnością i tylko dzięki pięknym egzotycznym znaczkom nie zniechęciła się całkowicie do jej roznoszenia.

Również dziś było wiele zagranicznych listów. Jak zawsze nadeszły w większości z portugalskich kolonii w Afryce. Poczta z frontu. Ana Maria osobiście wręczała ją matkom żołnierzy, z których wszystkie знаła, i mówiła przy tym kilka współczujących słów. Jej własny syn, dzięki Bogu, dwa lata temu wrócił cały, więc dobrze rozumiała sytuację krewnych.

Były też różne pocztówki, jedna ze Szwajcarii, jedna z włoskiej Adrii i jedna z Londynu. Ana Maria przeczytała wszystkie i ponownie zdumiała się tekstami, które brzmiały tak podobnie, jakby jeden nadawca przepisywał od drugiego. Dalej była paczuszka z Lyonu we Francji, wysłana rodzicom przez Claudię Soares, pracującą tam jako pomoc domowa, oraz gruba koperta lotnicza z Niemiec od kulawego Eduarda, który znalazł zajęcie w tamtejszej fabryce samochodów, dla siostry. Ana Maria pomacała kopertę. Chyba zawierała dokumenty. Czy kulawy Eduardo przysłał je siostrze, żeby wkrótce do niego dołączyła? W Europie Północnej najwyraźniej pilnie potrzebowano pracowników, więc nawet kaleka taki jak Eduardo czy głupiutka niezdara, jak jego siostra, mogli się przydać.

Ale dwie przesyłki wzbudziły większe zainteresowanie Any Marii niż wszystkie pozostałe, choć nie pochodziły z zagranicy i pod żadnym względem nie wyglądały na wyjątkowe. Dwa listy z Lizbony, poczta urzędowa, jak się wydawało, przesadnie poprawnie zaadresowana do senhora Ricarda da Costy.

Ricardo da Costa? W Belo Horizonte? To było interesujące. Ana Maria postanowiła, że zmieni nieco dzisiejszą trasę. Najpierw pojedzie do Belo Horizonte i dopiero potem uda się do wiosek, co przeczyło wszelkiemu rozsądkowi i racjonalnemu planowaniu czasu.

Od wieków tędy nie jechała. I najwyraźniej nikt inny też nie. Na polnej drodze wiodącej do Quinty rosła wysoka po kolana trawa, która drapała i uderzała niebezpiecznie o karoserię, podczas gdy od góry maltretowały biedne auto zwisające gałęzie. Ana Maria jednak pokonała odcinek bez większych przeszkód, co przypisywała swojej ostrożnej jeździe oraz wieloletniemu doświadczeniu na nieprzebytych drogach, kamienistych ścieżkach, zalanych zwężeniach i miękących w upale smolistych nawierzchniach. Poza śniegiem i lodem niewiele rzeczy na drodze mogło ją przestraszyć. A nic nie budziło w niej tak gorączkowej ciekawości jak dostarczanie poczty do tego zaniedbanego, budzącego lęk domu.

Ricardo przybył tu przed tygodniem, a widok Belo Horizonte jemu też wydał się straszny. Jeszcze gdy tu mieszkał, posiadłość znajdowała się w rozpaczliwym stanie, uznał jednak za wyjątkowo przygnębiające, że w tak krótkim czasie - w końcu po odbyciu służby w Angoli nie było go

tylko pięć lat, z których dwa spędził w akademii wojskowej w Leirii, a trzy w Stanach - do tego stopnia podupadła. Skoro już matka przejęła Belo Horizonte, utrzymywanie posiadłości należało właściwie do jej obowiązków. Po co spłacać krewnych i nabywać dom, skoro pozwala się mu niszczyć?

W środku pachniało stęchlizną i kurzem. Ricardo otwierał jedne trzeszczące drzwi po drugich, obchodził systematycznie wszystkie pomieszczenia i w każdym znajdował tę samą pustkę i zatęchły zapach. Wszystkie wartościowe meble zabrano lub sprzedano. Nie było żadnych zasłon, dywanów, obrazów - nic, co nadawałoby tej bezwzględnej, nagiej nędzy choćby powiew godności. Na pożółkłych ścianach widniały duże brunatne prostokąty w miejscach, gdzie niegdyś wisiały obrazy. Między drewnianymi deskami na podłodze powstały centymetrowe szpary, w których zebrał się kurz. Pewnie już wcześniej były tak szerokie, tylko zakrywały je dywany. W skrzydle gospodarczym całą podłogę i ściany do wysokości ramion pokrywały stare azulejos, ale kafle szpeciły odłamane rogi.

Ricardo wszedł na piętro, bardzo ostrożnie stawiając krok po kroku. Schody nie sprawiały wrażenia, jakby mogły wytrzymać duże obciążenie. Sypialnie wyglądały podobnie jak pokoje na dole. Otwierał kolejne drzwi, rzucał krótkie spojrzenie w głąb zaniedbanych pomieszczeń i tylko w swoim dawnym pokoju zatrzymał się kilka sekund dłużej. Na ścianie wisiał jeszcze plakat przedstawiający Układ Słoneczny, a z sufitu zwisał prymitywny model samolotu. Ricardo musiał się uśmiechnąć. Ta prymitywna, brzydka konstrukcja była niegdyś jego największą dumą.

Dotarł do końca korytarza i kijem podniósł klapę na suficie, z której wysuwało się drabinę. Wszedł mniej więcej do połowy, rzucił krótkie spojrzenie na zakurzony bałagan i wycofał się, kręcąc głową. Strych trzeba będzie uprzątnąć. Ale miał na to czas.

Wreszcie udał się do przebudowanej szopy, gdzie matka urządziła sobie kiedyś pracownię. Tu wszystko wyglądało jeszcze w miarę cywilizowanie. W przeciwieństwie do głównego budynku w szopie nie tak dawno przeprowadzono poważne naprawy i renowację. Podeszedł do małej niszy kuchennej, której matka nigdy nie używała, ponieważ jeżeli już zjawiała się w domu, jadła posiłki z resztą rodziny. Odkręcił kran. Po długim gulgotaniu i syczeniu pojawiła się brązowa breja. Puścił wodę i rozejrzał się po łazience, gdzie również odkręcił zawór. Obok dużej pracowni

znajdowała się oddzielna izba sypialna. Podobnie jak reszta stodoły wymagała generalnego sprzątnięcia i uporządkowania, ale w pełni nadawała się do zamieszkania. Gdy woda się przeczyszczyła, Ricardo na powrót zakręcił wszystkie krany. Tak, tutaj się urządzi. Miał wodę, prąd uzyska dzięki agregatowi, nim budynek zostanie znowu podłączony do sieci, a meble oraz kilka wiader białej farby szybko uda mu się zdobyć.

Zadowolony z siebie i z perspektywy pracy fizycznej, którą wykona w nadchodzących dniach i tygodniach, na zakończenie obszedł teren wokół domu. Będzie musiał wezwać handlarza złomu, by usunąć te stare graty. Stały tam pługi, jakich używano pięćdziesiąt lat temu, rolka zardzewiałej siatki ogrodzeniowej i pogięte koło dziecięcego rowerku. Wszędzie leżały pokruszone dachówki, w połowie pusty, skamieniały worek cementu oraz różne inne przedmioty, które nie oparły się pogodzie i postępowi techniki. Ricardo skręcił za róg, by zyskać ogólny obraz spustoszenia. To, co nagle zobaczył, sprawiło, że mocniej zabiło mu serce. Oparty na kilku dużych blokach, pozbawiony kół, lusterek i siedzeń, stał tam jego ukochany peugeot pikap rocznik 1943. Po raz pierwszy, odkąd przybył do Belo Horizonte, Ricardo poczuł, że jest w domu.

Wszystko to wydarzyło się przed tygodniem i quinta nadal nie wyglądała ani trochę lepiej, choć Ricardo pracował dzień i noc. Była to prawdziwie syzyfowa praca. Na każdy śmieć, który podniósł i rzucił na dużą stertę przeznaczoną do wywiezienia, przypadały dwa nowe, których wcześniej nie zauważył. Każda usterka, jaką odkrył i próbował usunąć, pociągała za sobą dalsze naprawy. Mimo to był dobrej myśli. Po bliższym obejrzeniu Belo Horizonte uznał, że okoliczne ziemie są idealne dla jego planów - nawet lepsze, niż oczekiwał.

W ciągu minionych sześćdziesięciu lat obszar posiadłości drastycznie się zmniejszył. Chociaż, jak sprawdził Ricardo w starych księgach katastralnych, w roku 1910 w posiadaniu rodziny Carvalho znajdowało się jeszcze dwanaście tysięcy hektarów, to ziemie należące obecnie do Laury da Costa obejmowały „tylko” około dwóch tysięcy hektarów. Wciąż jednak była to duża posiadłość i zupełnie wystarczająca do celów Ricarda - jednak kręcąc głową, zastanawiał się, jak rodzinie udało się tak doszczętnie roztrwonić dawne bogactwo. Sąsiednia Quinta, Herdade do Bom Sucesso, w podobnych warunkach zachowała swój areał, a nawet



go powiększyła - znaczna część dawnych ziem Carvalhów należała teraz do Alberta Baiao, który stał się obecnie niezaprzeczalnie największym posiadaczem ziemskim w całej okolicy.

Upadek Belo Horizonte został częściowo spowodowany tym, że pradziadkowie Ricarda, Jose i Clementina Carvalho, mieli pięć córek - siostry otrzymały po stosunkowo małym kawałku ziemi, a Mariana, która została w Quincie, musiała je dodatkowo spłacić. Samo to jednak nie spowodowałoby aż takiego upadku. Dawną feudalną posiadłość doprowadziło do ruiny po prostu złe gospodarowanie. Najpierw dobroduszny Octavio, mąż Mariany, podjął szereg błędnych decyzji, a potem jego zięć Inacio, potrafiący się tylko przechwalać i niewykazujący ekonomicznej dalekowzroczności, zadał Quincie ostateczny cios.

Mąż dony Juliany, Rui da Costa, w przeciwieństwie do mężów pozostałych sióstr, zawsze dbał o utrzymanie i zagospodarowanie kawałka ziemi z wiana żony. Do jej śmierci pozostał zapisany na donę Julianę. Chodziło o blisko pięćset hektarów lasu dębowego na wschodnim brzegu jeziora, nad którym Ricardo w młodości przeprowadzał swoje aerodynamiczne eksperymenty - i nad którym spotkał się z Marisą. Gdy dona Juliana umarła, większość tego dochodowego terenu przypadła w równych częściach jej dzieciom, Paulowi i Laurze, przy czym Paulo szybko odprzedał siostrze swoją część. Małą, niezagospodarowaną, a zatem bezwartościową działkę Juliana zapisała jednak komu innemu, co po otwarciu testamentu dobre pięć lat temu wywołało wielkie wzburzenie. Wtedy Ricardo nie interesował się szczegółami - wszystko, co wiązało się z jego babką, a więc także spadek po niej, było mu całkowicie obojętne. On sam nie chciał czekać na żaden spadek i liczyć na śmierć innych. Nigdy nie pragnął niczego innego niż samemu do czegoś dojść. Mimo to drażnił go ten niespodziewany zapis, dziś znacznie bardziej niż wtedy.

Dona Juliana zarządziła, że niejaki Fernando Abrantes ma otrzymać pięćdziesiąt hektarów jej ziemi, właśnie tę działkę, która na północy ciągnęła się do drogi prowadzącej do wioski, a na wschodzie sięgała do słupa granicznego gminy. Na zachodzie kończyła się przy starej studni, a na południu na leśnej ścieżce. Chodziło o niepozorny kawałek ziemi, ani szczególnie żyzny, ani porośnięty wartościowymi drzewami, ani wyjątkowo piękny krajobrazowo. Jediną ciekawą rzeczą był ogromny, stary dąb, zdecydowanie za duży i za sękaty, by dało się z niego uzyskiwać znaczące ilości korka, i służący obecnie za swego rodzaju drogowskaz.

Dlaczego, do diabła, zastanawiał się Ricardo, babka zapisała działkę temu staremu generałowi? Czy chodziło o tego samego tajemniczego Fernanda, z którym myliła go zawsze babcia Mariana? Ale jeśli był dawnym ukochanym Mariany, co miała z nim wspólnego jej siostra? Dona Juliana nie mogła mu już tego wyjaśnić, a jego matka Laura nie знаła odpowiedzi na te pytania. „To i tak bez znaczenia - orzekła, gdy niedawno ją o to zagadnął. - Zostało jeszcze dość ziemi. Pozwól temu biednemu staruszkowi wziąć sobie kawałeczek. Zapewne wiązą się z nim jakieś wspomnienia sprzed stu lat”.

Ricardo chętnie poszedłby za tą radą. Ale właśnie ziemia, która należała obecnie do owego Abrantesa, obejmowała wyjątkowo korzystnie położone wzniesienie, ważne dla realizacji planów Ricarda. No cóż, pomyślał, po prostu odkupię od niego działkę. To wszystko tylko kwestia pieniędzy.

Ana Maria Delgado była bystrą kobietą, która nie dawała się łatwo zapędzić w kozi róg. Jednak wspaniały dom, grożący ruiną, oraz niesamowita cisza unosząca się nad posiadłością nawet ją napawały lękiem. Gdyby nie warkot forda, którego jak zwykle zostawiła przed głównym wejściem z chodzącym silnikiem, czułaby się jak w strasznym śnie. Weszła po schodach i pociągnęła za dzwonek. Rozległ się zardzewiały, brzękliwy dźwięk. Nikt nie odpowiedział. Ana Maria ostrożnie cofnęła się o jeden stopień, by mieć lepszy widok na front domu. Żadne okno nie było otwarte, w żadnym nie widziała ruchu. Gdy drzwi niespodziewanie otworzyły się tuż przed nią, niemal spadła z pozostałych schodków. Szybko jednak doszła do siebie.

- Ricardo da Costa! - zawołała przestraszona i zdumiona, że naprawdę go zastała. - Czy to możliwe? Co słyhać, jak leci? - Ana Maria unikała bezpośredniego zwrotu. Wydawało się jej dziwne mówić do niego per „pan”, ale mówienie na „ty” również nie wchodziło w grę. Przed nią stał dorosły mężczyzna i wcale nie wyglądał tak, jakby można było z nim żartować.

- Dona Ana Maria! - Młody człowiek wyglądał na uradowanego. - Nadal dusza i podpora tutejszej poczty, prawda? - Nie przywykła do takiej uprzejmości z jego strony. Dawniej, gdy jako dorastający chłopak stanowił wzór dla wszystkich wagarowiczów w okręgu, sprawiał wrażenie znacznie bardziej zamkniętego w sobie. I w jakiś sposób bardziej

agresywnego. Choć nadal nie wyglądał łagodnie. Patrzył na nią przenikliwie, jak drapieżnik, który czai się na kolejną ofiarę i zaraz na nią skoczy. To spojrzenie napędziło Anie Marii lekkiego strachu, co jednak zatuszowała celowo wesołym tonem.

- Tak, można tak powiedzieć. Na wakacjach? W domu zrobiło się trochę cicho, prawda?

- Tak, jest dość samotnie. Ale to z pewnością wkrótce się zmieni. Planuję urządzić się tu na dłużej.

- Ach tak? - W rezultacie Ana Maria zasypała dawnego, a zarazem nowego mieszkańca podupadłej quinty mnóstwem pytań o losy pozostałych osób, które kiedyś w niej mieszkały - poza Octavią, o której wiedziała, że mieszka na nowym osiedlu na skraju miasta. Chciała poznać dokładniej stosunki rodzinne Ricarda i sprawiała wrażenie bardzo rozczarowanej, gdy odparł, że nie sprowadza się tu z żoną ani dziećmi.

- Ale - to jak ma tu być znowu ruchliwiej?

Ricardo właściwie nie miał zamiaru zbyt wcześnie zdradzać swoich planów. Z drugiej strony, gdy zacznie odpowiednie prace, i tak wieść rozejdzie się błyskawicznie. A to nastąpi już wkrótce. Mógł więc już teraz powiedzieć miłej listonoszce, co zamierza.

- Zakładam szkołę lotniczą.

Nie uszedł jego uwagi osłupiały wyraz pociągłej twarzy starszej pani. Po jej minie wyraźnie było widać, co myśli - Ricardo da Costa, wagarowicz i włóczęga, najwyraźniej musiał przedsięwziąć coś niezwykłego. Poznał również, że kobieta umiera z ciekawości i najwyraźniej ma nadzieję, że on zaprosi ją na kawę.

Ale tej uprzejmości jej nie wyświadczył.

## Rozdział Czterdziesty Ósmy.

Prazeres - przyjemności, radości, uciechy. Jak można nazwać cmentarz Cemiterio dos Prazeres? Czy to przyjemność pochować tu ukochaną osobę? Czy zmarli cieszą się, że tu leżą i nie spoczywają w pokoju, odkąd coraz więcej i coraz większych samolotów przylatuje nisko nad cmentarzem, ponieważ dokładnie nad nim przebiega korytarz powietrzny lotniska? Czy to radosne, że stare i w znacznym stopniu zniszczone nagrobki i mauzolea przypominają o przemijaniu?

Fernando podszedł zwirową alejką do grobu Juju, nie oglądając się na lewo ani prawo. Kamienne pomniki, w większości przewrócone lub pokryte mchem, napawały go rozpaczą. Co pozostaje z człowieka? Grób, o który nikt się nie troszczy? Imię uwiecznione na szerniałej metalowej płycie? Fernando nie wierzył ani w Boga, ani w niebo czy nieśmiertelność duszy. Jeśli w ogóle istniało życie po śmierci, to w jego przekonaniu polegało na tym, że materia, z której składa się ludzkie ciało, dołączała do wiecznego cyklu natury. Zwłoki zjadały robaki, te zjadane były przez ptaki, a one padały ofiarą zwierząt. W jakiejś formie prędzej czy później wracało się do człowieka, choćby tylko dlatego, że ptasie odchody użyźniały pola. Wizja, że ciało Juju w tym obiegu może kiedyś wspomagać wzrost ziemniaka, wydała mu się straszna. Zrobiło mu się niedobrze.

Fernando podszedł do grobu. W swej prostocie był piękny i przejmujący. W duchu podziękował mężowi Juju, że zdecydował się na tak skromny nagrobek. Gdyby Juju trafiła do jednego z grobowców, w których zapieczętowane trumny znajdowały się nad powierzchnią ziemi, zamknięte w komorze i widoczne od zewnątrz, doprowadziłoby go to do szaleństwa. Być może zwariowałby podobnie jak niegdyś król Dom Pedro I, który kazał ekshumować swą zamordowaną ukochaną Ines de Castro i pośmiertnie ukoronować, a następnie zmusił dwór, by przed

nią klękano i całowano jej gnijącą dłoń. Fernando był kiedyś z Juju w Alcobaca, gdzie widok sarkofagu tej tragicznej pary napełnił ich pełną grozy fascynacją.

Tak czy siak Pedro i Ines zostali połączeni po śmierci. Jemu i Juju nie było dane nawet to. Pewnego dnia u jej boku zostanie pochowany Rui da Costa, który najwyraźniej jako miejsce ostatniego spoczynku wołał Lizbonę od swej dawnej ojczyzny na północy. Oczywiście, przecież tu mieszkały ich dzieci i wnuki.

Fernando spocznie obok Elisabete. Zarezerwowała już miejsce na pompatyczny rodzinny grobowiec - tuż obok swoich rodziców. Ach, przywołał się do rozsądku, właściwie powinno być mu to obojętne. W końcu nie wierzył w życie po śmierci, tylko w jego biologiczne i ekologiczne znaczenie. A może nie? Może pewnego dnia zjednoczy się z Juju w przewodzie trawiennym robaka, który później skończy przedwcześnie jako przynęta wędkarza. Weź się w garść, Fernandzie Abrantesie!

Położył kwiaty i znalazł pewną pociechę w fakcie, że przynajmniej jeszcze jedna osoba opłakuje Juju. Inaczej niż na wielu sąsiednich grobach na kamieniu nie stały plastikowe kwiaty, lecz wazon ze świeżym bukietem. Ciekawe od kogo? Fernando nie sądził, by Rui da Costa był zdolny do takiego gestu. Może córka, Laura? Czy kochała matkę bardziej, niż to dawała poznać za jej życia?

W górze zagrzmiał ogromny boeing 747. Fernando uniósł głowę i spojrzał na brzuch potwora, zastanawiając się, czy kiedyś wsiądzie do takiej maszyny. Może jako pilot. Jako pasażer w żadnym wypadku. To, co się stało z lotnictwem, było w jakiś sposób perwersyjne. Setki ludzi zdanych na umiejętności jednego człowieka oraz nieprzewidywalną pogodę. Fernando nie wsiadłby też na pokład statku, gdyby sam nie mógł nim sterować. W powietrzu ludzie nie mieli nawet złudnej nadziei, że w razie nieszczęścia zdołają się uratować. I jak łatwo mogło dojść do katastrofy! Fernando wiedział, jak to jest być wciągany w powietrzne dziury, napotykać nieprzewidywalne prądy termiczne nad wzgórzami, z powodu uderzenia pioruna stracić kontakt radiowy, lądować przy wyjątkowo silnym bocznym wietrze lub jednocześnie z mniej sprawnymi pilotami nadlatywać w to samo miejsce. Istniały niezliczone niebezpieczeństwa i w jego opinii loty pasażerskie były pod tym względem wyjątkowo ryzykowne.

Stwierdził, że dziś nie może jakoś nawiązać niemego dialogu z Juju, więc ruszył z powrotem. W drodze do wyjścia zachowywał się dokładnie

tak jak wielu innych spacerowiczów. To zatrzymywał się przed wyjątkowo pięknym nagrobkiem, by podziwiać pracę kamieniarza, to rozkoszował się widokiem na miasto i most nad Tejo. Przystanął na chwilę w cieniu wielkiego cyprysu. Jak na tę porę roku było o wiele za gorąco. Jego wzrok padł na grób Luizy Mendes. Czy nie tak nazywała się okropna pomoc domowa Juju? Ale, pomyślał, idąc dalej, takie popularne nazwisko w mieście wielkości Lizbony na pewno występuje często. Odepchnął wszelkie myśli o służącej i, teraz już zwawym krokiem, ruszył do wyjścia. Musiał zdążyć na tramwaj numer 34, jeśli chciał punktualnie stawić się u adwokata.

Również ta sprawa była czymś, czego chętnie unikałby w swoim wieku. Głupstwo, „w swoim wieku” - jako młody mężczyzna też nie chciałby się parać takimi rzeczami! Nie chciał być nagabywany ofertami kupna. Powiedział nie i na tym koniec. Nie sprzeda tego kawałka ziemi, który zapisała mu Juju, i basta! Nie mógł zrozumieć, czemu wszyscy naciskają, by to zrobił. Czy dlatego, że jest już stary, nie ma prawa do własnego zdania? Jeśli Elisabete, ich dzieci i wnuki tak bardzo chcą się pozbyć działki, ponieważ zaproponowana suma znacznie przekracza to, co uzyskaliby w normalnych okolicznościach, muszą poczekać do jego śmierci. Nie odda swej własności, nawet gdyby ten wariat zaproponował mu okrągły milion! Fernando zauważył, że na samą myśl o Ricardzie da Costa, niewydarzonym wnuku Juju, którego nigdy osobiście nie spotkał, przyspiesza mu puls. Chłopak jeszcze wpędzi go do grobu tą swoją natarczywością. Ale to się wkrótce skończy. Fernando zamierzał dziś polecić swemu prawnikowi, by uzyskał zakaz, zgodnie z którym Ricardowi da Costa nie wolno byłoby zwracać się do niego, Fernanda Abrantesa, w jakiegokolwiek formie ze swymi idiotycznymi ofertami kupna. Ani pisemnie, ani ustnie, ani w bezpośredniej rozmowie, ani przez pośredników. Nigdy więcej!

W tym samym czasie, gdy Fernando siedział u prawnika i zarzucał mu, że jest agentem przeciwnej strony, ponieważ on również doradzał mu sprzedaż, Ricardo znajdował się niecałe trzy przecznice dalej w ulicznej kawiarni i, jak niemal zawsze w ostatnim czasie, rozmyślał o zawikłanej sytuacji. Dlaczego, do diabła, ten stary piernik nie chce sprzedać działki? Nigdy nie uzyska wyższej ceny za bezużyteczną ziemię. A jeśli chodzi o względy sentymentalne, czemu nigdy się tam nie

pojawia? Ricardo wiele razy dziennie mijał ów teren, ponieważ leżał on tuż obok jedynej przejezdnej drogi prowadzącej do Belo Horizonte, ale ani razu nikogo tam nie widział. Żaden staruszek nie siedział zamyślony pod drzewem, a na skraju drogi nie stał żaden pojazd.

Ricardo zasypywał matkę pytaniami o tego mężczyznę, lecz nie umiała mu pomóc.

- Nie, nigdy nie spotkałam go osobiście, na otwarciu testamentu wysłał pełnomocnika, nie, nie mam pojęcia, dlaczego twoja babka zapisała mi ziemię, i uważam, że to nie nasza sprawa, nie, wątpię, by Paulo wiedział na ten temat coś więcej.

Tu poważnie się myliła. Jednak nawet gdyby odpowiedziała inaczej, Ricardo nie wybrałby się do wuja, by wypytać go o Abrantesa - kontakt między nimi urwał się wiele lat temu. Zresztą nic by mu to nie dało. Paulo zachował tajemnicę dla siebie i dopóki nie widział w tym osobistych korzyści, nigdy by jej nie zdradził. Sekretne wiadomości o prawdziwych zależnościach rodzinnych dałyby mu nawet prawdziwą satysfakcję. Paulo da Costa uśmiełby się do łez nad ironią losu, która z wnuka i dziadka uczyniła wrogów.

Jedyną szansą, jaka mu została, myślał Ricardo, to odwołać się do lotniczej dumy starego piernika. Poszperał nieco i dowiedział się, że Abrantes w czasie pierwszej wojny światowej brał udział w misjach wojskowych jako pionier portugalskiego lotnictwa. Został bohaterem, otrzymał wiele wysokich odznaczeń i stopień generała, i w ogóle pozytywnie się zasłużył. Wspaniała kariera, wspaniała rodzina, wspaniały facet - ale od początku do końca wydawał się Ricardowi niesympatyczny. Jeszcze jeden z tych, którzy dochrapali się czegoś za Salazara. Ale co mu to daje?

Oderwał kawałek papierowej serwetki, wyjął długopis z kieszeni na piersi i zabrał się do szkicowania listu, który napisze. Nie pominie żadnego lotniczego stereotypu, będzie szafował patetycznym wojennym słownictwem, bohaterskim i chwalebnym, wzruszy staruszką do łez planem otwarcia szkoły lotniczej i wskazania najdzielniejszym, najmądrzejszym i najsilniejszym mężczyznom w kraju sensu życia, czegoś, za co warto było umrzeć. Czy coś w tym stylu. Z tym umiarem powinien się może powstrzymać, starym ludziom nie bardzo to pewnie odpowiada. Nie musiał też wyraźnie pisać, że chodzi o instytucję cywilną,

gdzie praktycznie każdy będzie mógł nauczyć się latać, o ile tylko spełni wymogi fizyczne, co nie było takie trudne. Może Ricardo będzie miał nawet uczennice. Nie, tego nie wolno mówić Abrantesowi - na pewno należał do pilotów starej daty, którzy kobietę w kokpicie uważali za naruszenie boskiego porządku.

Ricardo tak długo rozmyślał nad różnymi sformułowaniami, że jego kawa zdążyła wystygnąć. Uniósł głowę znad pogryzmołonej kartki, by zawołać kelnera. W wąskim przejściu na chodniku, które nie było zastawione stolikami, tłoczyli się ludzie. Jakaś kobieta przecisnęła się tak blisko Ricarda, że uderzyła go torebką w ramię. Odwrócił się zagniewany. Już go minęła, ale nawet od tyłu wydała się dziwnie znajoma. Czy to naprawdę ona? Serce zabiło mu mocniej.

- Marisa! - zawołał tak głośno, że pozostali goście unieśli głowy. Kobieta przystanęła i rozejrzała się. To była ona. Ricardo pomachał. - Marisa! Tutaj! - Spojrzała na niego, jakby musiała sobie przypomnieć, kogo widzi. Niczym w zwolnionym tempie jej usta rozciągnęły się w uśmiechu i wreszcie podeszła do jego stolika.

- Ricardo da Costa!

- To dopiero przypadek! - rzucił. Miał wrażenie, że oszalał.

- Tak. - Wciąż stała obok jego stolika i niecierpliwie przytupywała nogą.

- Spieszysz się? - spytał.

- Nie.

- Chodź, usiądź. Chciałem właśnie coś zamówić. Na co masz ochotę?

- Po tym szoku? Koniak.

Ricardo zamówił koniak i kawę. Gdy kelnerka odeszła, nagle poczuł się skrępowany. O czym on chce rozmawiać z tą kobietą, która zapewne ma teraz okropnie przyzwoitego męża oraz gromadkę dzieci, a poza tym interesuje się tylko najnowszą modą? Milczał i przypatrywał się jej uważnie, co zresztą ona odwzajemniała.

Nie nosiła obrączki. Miała świetną figurę i małe piersi - Ricarda zirytowało, że Marisa paraduje w cienkiej bluzce bez biustonosza. Ale najwyraźniej nie miała dzieci. Rozpuszczone włosy z przedziałkiem założyła za uszy jak studentka, a nie szacowna małżonka poważanego prawnika lub lekarza. Była modnie ubrana, w wąskie niebieskie dżinsy biodrówki, rozkloszowane od kolan. Wyglądały spod nich sandały z korkowymi podeszwami. Na nadgarstkach pobrzękiwały bransoletki,



a na dekolcie zwisały niezliczone łańcuszki. Dość hipisowsko, przeszło przez myśl Ricardowi, ale w końcu taka jest teraz moda, prawda? Skoro nawet jego matka biega w dziwnych przepaskach na czole...

Twarz Marisy tylko nieznacznie się zmieniła. Sprawiała wrażenie nieco bardziej surowej niż dawniej, być może dlatego, że nie nosiła już końskiego ogona. Nie była mocno umalowana, co mu się podobało. Zresztą nie musiała się malować, z tymi ślicznymi piegami na małym nosie i czole. Miała lekką opaleniznę, którą podkreślały jasno uszminekowane usta - jedyny kosmetyk, jakiego zdawała się używać. Jej włosy wydawały się jaśniejsze, niż pamiętał. Jasnobrązowe z pojedynczymi blond pasemkami.

Podeszła kelnerka, postawiła przed nimi napoje - przy czym jemu podała koniak, a Marisie kawę - i przerwała tę wzajemną obserwację. Ricardo ujął kieliszek, by postawić go przed Marisą. Ona uczyniła to samo z kawą. Ich dłonie niechętnie otarły się ponad stołem. Uśmiechnęli się do siebie. Pierwsze uczucie niepokoju zniknęło.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała. - Co porabiasz?

- Jestem teraz pilotem.

- O! Latasz tymi wielkimi maszynami, jumbo jetami? Uśmiechnął się, może z lekką wyższością.

- Kto by chciał być pilotem w jednej z tych wielkich linii lotniczych? Nie mówiąc już o naszym portugalskim TAP. Nie, latam na mniejszych maszynach. Awionetkach i innych tego rodzaju.

- Tego rodzaju... - Marisa patrzyła na niego z nieskrywaną ciekawością. Nie był to już ten sam dręczony poczuciem niższości Ricardo, z którym przed laty miała małą przygodę na wakacjach. Siedział przed nią pewny siebie mężczyzna, który do czegoś doszedł i najwyraźniej napawało go to dumą. Pilot, kto by pomyślał? Niezła kariera jak na kogoś, kto jeszcze dziesięć lat temu naprawiał obcym ludziom żelazka i nawet nie otrzymywał za to przyzwoitej zapłaty. Ta nowa pewność siebie wspaniale do niego pasowała. Wydawał się jej jeszcze bardziej atrakcyjny niż dawniej.

- No tak, w Stanach latałem prywatnymi samolotami. W Portugalii popyt nie jest taki duży - wiesz, mniej milionerów.

- Aha. Więc co tutaj robisz?

- Jestem z wykształcenia instruktorem lotnictwa. Zakładam szkołę lotniczą.

Marisa spojrzała na niego niepewnie. Czy to był żart? Czy ma się teraz roześmiać? A może rozplakać? Cóż to za pomysł, od którego włosy na głowie stają dęba?

Chyba zrozumiał, co sobie pomyślała, ponieważ pochylił się i powiedział z naciskiem:

- Warunki są idealne. W okolicy nie ma większych obiektów topograficznych, które mogłyby utrudniać latanie, wysokich gór i tym podobnych, w dodatku przez cały rok panuje dobra pogoda bez ekstremalnych zjawisk klimatycznych takich jak huragany, śnieżyce i tak dalej, słabo zaludniony region, gdzie nie będzie poważnych skarg na hałas, a w końcu kraj, w którym są bogaci miłośnicy lotnictwa, ale za mało możliwości, by nauczyć się latania. W Stanach Zjednoczonych poznałem wielu zamożnych Portugalczyków, zdobywających tam licencję. A już niedługo będą ją mogli zdobyć u mnie.

- To szaleństwo! - tylko tyle zdołała wydobyć z siebie Marisa.

- Owszem, trochę tak - odparł Ricardo, jakby chodziło o obiektywną analizę sytuacji.

- I gdzie jest ta szkoła? W Alentejo?

- Tak. Belo Horizonte i okolice należą do mojej matki, a ona mi je dzierżawi.

- Matka się na tobie bogaci?!

- Oczywiście, że nie. Chciała mi przekazać ziemię, ale to by było głupie. Koszty dzierżawy mogę odpisać od podatku i...

- ...wszystko zostaje w rodzinie - dodała Marisa.

- Słusznie. - Ricardowi było obojętne, co jego matka zrobi z pieniędzmi. Nim umrze, a on jako jedyne dziecko przejmie po niej spadek, minie, miejmy nadzieję, jeszcze wiele lat - w tym czasie sam zamierzał się wzbogacić. O własnych siłach i dzięki własnym umiejętnościom. Ale nie chciał tego teraz dokładnie Marisie tłumaczyć.

- A masz samoloty? Na pewno kosztują majątek?

- Kupiłem jednosilnikową cessnę, rozumie się, używaną. Maszyny nie kosztują aż tak drogo, jak się powszechnie uważa. Nowe około osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Moją nabyłem za jedną trzecią tej sumy, ale muszę włożyć w nią jeszcze wiele pracy.

- Szaleństwo! - stwierdziła ponownie Marisa i Ricarda powoli zaczęło denerwować jej zdumienie i brak zrozumienia.

- A ty? - spytał. Już dość długo rozmawiali o jego „szalonych” planach.

- Ja, cóż, jestem tłumaczką.

W głosie Marisy usłyszał frustrację, więc nie wypytywał dokładniej o jej pracę.

- I żoną, jak przypuszczam? - zapytał zamiast tego.

- Nie. A ty się ożeniłeś, masz dzieci?

- Nie. - Ricardo czuł się pod jej spojrzeniem nieco nieswojo. Sięgnął po filiżankę. Kawa, niestety, znowu wystygła. Popatrzył na Marisę poważnie.

- To też jest szalone, prawda?

- W jakiś sposób tak.

- Chodzi mi o to, że się spotkaliśmy. Że teraz tu siedzimy.

- Też to miałam na myśli - powiedziała i spuściła wzrok. Sięgnęła po koniak i wypła do ostatniej kropli, trzymając kieliszek niemal pionowo nad pochyloną do tyłu twarzą.

- Masz ochotę na jeszcze jeden?

- Tak, poproszę. I papierosa, jeśli masz.

- Nie. Rzuciłem palenie. Ale kelnerka na pewno przyniesie nam paczkę. Jaka marka?

- Już dobrze, nie trzeba. No, a teraz, Ricardo da Costa, chcę usłyszeć całą historię. Od początku do końca. Jak znalazłeś się w Ameryce? I co tam robiłeś? Jak zapłaciłeś za naukę? I przede wszystkim, dlaczego wróciłeś do Portugalii?

I Ricardo opowiedział. Dobrze było w końcu móc z kimś porozmawiać, mieć kogoś, kto słuchał jego niewiarygodnej historii bez uprzedzeń, nie stawiając zawsze na pierwszym miejscu własnych odczuć, tak jak jego matka, która chciała wiedzieć więcej o Jacku niż o przeżyciach syna. Marisa przerwała mu tylko raz, i to zaraz na początku.

- A tak, twój ojciec. Amerykanin. Wiesz, wtedy w to nie uwierzyłam.

- Ja wtedy też bym nie uwierzył.

Roześmiali się. Ricardo podjął swoją opowieść i po jakiejś godzinie i dwóch kolejnych filiżankach kawy zakończył słowami:

- I teraz jestem tutaj.

- Tak - powiedziała Marisa. - Za to ja nie mogę już długo zostać. Byłam w drodze do... koleżanki. I tak kazałam jej czekać. - Wstała, wygrzebała z torebki banknot i położyła na stole. Ricardo pokazał gestem, by go schowała.

- Ja stawiam.

- Dziękuję. No to...

- Twój numer telefonu. - Nie sformułował tego jak pytania lub prośby,

lecz tak, jakby to było od dawna oczywiste i jakby chciał jej tylko o tym przypomnieć. - Na jutro wieczór nie masz żadnych planów?

Podawała mu numer i pożegnała dwoma pocałunkami w policzek. Ricardo patrzył za nią i po cichu wyrzucał sobie swoją gadatliwość. Słowa po prostu z niego tryskały, zapewne dlatego, że zbyt długo nie dzielił się z nikim myślami. Ale czy w ogóle była to wymiana myśli? Marisa prawie nic o sobie nie powiedziała. A on nie pytał. Teraz miał pewność, że uważa go za niewrażliwego drania. A przynajmniej on się za takiego uważał.

Kilka dni po wizycie u adwokata Fernando Abrantes otrzymał list, który tak go zdenerwował, że trzeba było wezwać lekarza.

- Trzymaj konowała z daleka ode mnie! - krzyczał na żonę. - Poślij lepiej psychiatrę do Belo Horizonte, by powstrzymał tego błazna! On naprawdę zamierza każdego ciemnęę uczyć latania i wypełniać niebo niekompetentnymi głupkami, którzy chcą się nazywać pilotami! Ale po moim trupie, powtarzam ci, po moim trupie.

Elisabete pozwoliła mu dalej wykrzykiwać. Pociągnęła lekarza za rękaw do drzwi i konspiracyjnym szeptem poprosiła go, by zechciał uprzejmie zrobić jej mężowi zastrzyk na uspokojenie. Ona odwróci uwagę chorego, a senhor doutor będzie mógł wykorzystać moment zaskoczenia i zrobić zastrzyk. Tak też się stało. Dawka była może nieco za duża, bo Fernando natychmiast osłabł i upuścił na podłogę list, który tak go rozwścieczył. Elisabete podniosła kartkę, pogładziła męża po policzku i opuściła pokój, by w spokoju przeczytać, co takiego straszego napisano w liście. Uznała go za bardzo serdeczny i pełen szacunku i mimo najlepszych chęci nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego Fernando ma coś przeciwko temu, by na wspomnianym terenie otwarto szkołę lotniczą. Właśnie on, z jego fascynacją lotnictwem!

Co w niego wstąpiło?

## Rozdział Czterdziesty Dziewiąty.

Cristiano otworzył drzwi mieszkania najciszej, jak się dało. Nie chciał, by sąsiedzi wiedzieli, o jakiej porze wychodzi lub wraca do domu. Szczególnie najbliżsi sąsiedzi, rodzina Nogueira, nie musieli znać każdego jego kroku. Ich dorastająca córka zaczęłaby czatować na niego znacznie częściej, niż to robiła teraz. Dziewczynka miała może trzynaście lat. Uwielbiała Paula McCartneya z Beatlesów. Mówiąc ściślej, z eks Beatlesów - grupa właśnie się rozpadła. A Paul McCartney znowu zgolił brodę. Mimo to Cristiano ze swoimi smutnymi oczami bernardyna, długimi do ramion jedwabście brązowymi włosami i dzikim zarostem stanowił dość dobrą namiastkę obiektu westchnień. Mała miała przynajmniej tyle rozsądku, by wiedzieć, że Paul McCartney znajduje się zdecydowanie poza jej zasięgiem.

Cristiano pchnął drzwi, sięgnął do włącznika światła na korytarzu i właśnie chciał zamknąć od środka, gdy zobaczył dziewczynkę. Udawała, że właśnie przypadkiem schodzi na dół. W jednej ręce trzymała niepełny kosz ze śmieciami. Pewnie pół wieczoru spędziła, czatując za drzwiami i czekając na tę właśnie chwilę.

- Ola, Cristiano.

- Ola, Vanessa.

- Właśnie wynoszę śmieci - powiedziała Vanessa głupio.

- Ach tak? No to miłego wieczoru. I pozdrowienia dla dony Caroliny. - Zamknął drzwi, dwukrotnie przekręcił klucz, i to tak gwałtownie, że dziewczynka musiała to usłyszeć, po czym odetchnął z ulgą. Nasłuchiwał odgłosów z klatki schodowej, ale panowała cisza. Z pewnością jego adoratorka nadal stoi przed drzwiami i także nasłuchuje. Cristiano po prostu nie mógł się powstrzymać - poszedł do malutkiej łazienki, która znajdowała się tuż obok wejścia do mieszkania, podniósł klapę toalety tak zamaszyście, że uderzyła o ścianę, i celowo głośno opróżnił pęcherz.

Uruchomił spłuczkę, wrócił na korytarz, ostrożnie wyjrzał przez judasza, ujrzał Vanessę dokładnie tam, gdzie się jej spodziewał, i zanucił kilka taktów Let it be.

Potem udał się do salono jadalnio sypialni niewielkiego mieszkania, nastawił płytę Grateful Dead i podkręcił głośność. Nie dlatego, że tak bardzo lubił słuchać głośno muzyki, i nie dlatego, by zdenerwować sąsiadów. Zrobił to wyłącznie po to, by zagłuszyć dźwięki telewizora dochodzące zza ściany. Matka Vanessy, dona Carolina, od rana do wieczora oglądała jakąś tandetę. A żeby wtedy, gdy była na przykład w łazience lub w kuchni, nie umknęła jej ani sekunda Niewolnicy Isaury lub innej brazylijskiej telenoweli, które Portugalia masowo importowała, nastawiała telewizor na poziom krzyku.

Cristiano opadł na sofę, która nocą służyła mu za łóżko. Przestraszył się, gdy twardo wylądował. Cóż, to nie elda. W ogóle nie było tu jak u Marisy. Kawalerka była ciemna i zatęchła, tandetnie umeblowana i w dodatku okropnie zaśmiecona. W niszy kuchennej piętrzyły się brudne filiżanki. W staromodnym, kamiennym zlewie tylko dlatego nie stały talerze, że Cristiano od tygodni nie jadł w domu. Od czego ma się przyjaciół? Leżąc na niewygodnej sofie, spojrzął na biurko. Ono również ugięło się pod niezalutowaną pracą. Książki, które wypożyczył w pierwszym momencie euforii, leżały nieprzeczytane. Gdy omawiał z profesorem temat pracy doktorskiej, był jeszcze pełen zapału. Teraz zajmowanie się „zastosowaniem cybernetyki w socjologii” uważał za absurdalne. Znacznie bardziej interesowało go znalezienie i zastosowanie niezawodnej metody odzyskania Marisy.

Może posunął się za daleko. Jako socjolog - z psychologią jako drugą specjalizacją - powinien umieć lepiej ocenić jej potrzeby. Powinien był wiedzieć, że Marisa nie uwolni się łatwo od wielkomieszczańskich przyzwyczajień, że pochodzenie społeczne zbyt silnie ukształtowało jej charakter. Ale, powiedział sobie na usprawiedliwienie, sama chciała się dowiedzieć, jak to jest u normalnych ludzi! Wyparła się swoich korzeni, by zyskać uznanie w środowisku studenckim, coraz bardziej kształtowanym przez tendencje komunistyczne. Cóż, teraz już wie. A on, Cristiano, wie, że ta kobieta nigdy nie nauczy się skromności. Zawsze będzie stawiać swe indywidualne pragnienia ponad celami kolektywu. Była po prostu całkowicie rozpuszczoną przedstawicielką burżuazji.

I kochał ją za to. Imponowało mu, że Marisa tak się interesuje nowoczesnymi autami i modnymi kurortami narciarskimi. Podobało mu się, że

swoje gusta - w jedzeniu, ciuchach, sztuce czy w muzyce - prezentuje z takim przekonaniem i arogancją, jakby nigdy nie przyszło jej do głowy, że inni ludzie mają prawo do odmiennych upodobań. W duchu Cristiano zazdrościł Marisie tej pewności siebie, którą mogą mieć tylko dzieci ludzi bogatych. W jakiś sposób bolało go też, że ukrywa tę wyższość, by się dostosować do niego, biednego syna murarza. Cóż, ale w końcu jej natura zwyciężyła. Cristiano nie wiedział, czy powinien za to Marisę jeszcze bardziej kochać, czy czuć do niej wstręt - bo takie nowe podejście oznaczało, niestety, że on nie może już być częścią jej życia.

Zza ściany słyszał ogłuszającą muzykę Beatlesów. Abbey Road był obecnie ulubionym albumem denerwującej Vanessy. Potem jej ojciec coś krzyknął, wmieszała się w to głośno dona Carolina, podkrecono telewizor, a wreszcie ktoś z góry zastukał kijem od szczotki w podłogę, jakby to właśnie Cristiano robił cały ten cyrk. To było nie do wytrzymania. Postanowił, że jednak jeszcze wyjdzie. U Josego mógł się zjawić o tej porze, nie narażając się na nieprzyjemne pytania - i w dodatku dostać coś do picia. Wolał słuchać gadania Josego o walce klasowej niż krzyków sąsiadów.

Przejrzał się krótko w brudnym lustrze nad umywalką i przygnębiony stwierdził, że jego oczy rzeczywiście wyglądają jak u Paula McCartneya, za którym szalały tylko naiwne małe dziewczynki, podczas gdy wszystkie rozsądne kobiety, jeśli już interesowały się którymś z Beatlesów, to Johnem Lennonem. Postanowił włożyć okrągłe okulary w niklowanych oprawkach. Niekoniecznie po to, aby wyglądać jak John Lennon, lecz aby przekonać Josego, by podzielił się z nim swoimi zapasami piwa. Niemal bezgłośnie zamknął za sobą drzwi mieszkania. Tym razem ostrożność była zbędna - rodzina Nogueira nadal na siebie pokrzykiwała.

- Na zdrowie.
- Za nasze spotkanie.
- Trzecie.

Tręcili się uroczyście kieliszkami na długich nóżkach, rozległ się jasny dźwięk. Chablis wyjątkowo smakowało Marisie, znacznie bardziej niż tanie kwaśne wino, które musiała pić w ciągu ostatnich dwóch lat. Natomiast Ricardowi smak wina był obojętny. Równie dobrze mógłby mieć w kieliszku spirytus. Najważniejsze, że siedzieli tu razem otoczeni

aksamitnym powietrzem letniej nocy, patrzyli sobie w oczy ponad migoczącą świecą i cieszyli się romantyczną randką. Już dwukrotnie spotykali się w skromniejszych lokalach i było to ich pierwsze spotkanie w eleganckiej scenerii. I na razie ostatnie - następnego dnia Ricardo musiał wracać do Belo Horizonte.

Dawno już nie czuł się tak dobrze w towarzystwie kobiety. Ostatnio było tak z Helen, w której zakochał się po uszy, ponieważ zupełnie nie przypominała Amerykanki. Pochodziła z rodziny meksykańskich imigrantów, wyglądała prześlicznie z wydętymi ustami i ogromnymi ciemnymi oczami i miała ogromny temperament. Tak wielki, że zraniła Ricarda w czoło, gdy szalejąc z zazdrości, rzuciła w niego nocną lampką. Choć wcale nie był jej niewierny. Nigdy mu nie uwierzyła, a gdy nieco później się z nią rozstał, uznała to za potwierdzenie wszystkich swoich podejrzeń.

Wcześniej związał się na krótko z Afroamerykanką imieniem Joyce. Swym miękkim ciałem i ciepłym głosem przypominała mu kobiety z Angoli, choć miała znacznie jaśniejszą skórę, a usta i nos wyraźnie węższe niż u Afrykanek. Była wyjątkowo piękna, wysoka - miała metr osiemdziesiąt wzrostu, niemal tyle co Ricardo - i wyjątkowo mądra. Studiowała medycynę, a jej jedyna wada, która ostatecznie doprowadziła do rozstania, polegała na tym, że w każdym nieprzemyślanym geście, w każdej krytycznej uwadze i w każdym pytającym spojrzeniu dopatrywała się przejawów rasizmu. W końcu Ricarda zaczęło to denerwować i musiał powiedzieć Joyce, że nie jest rasistą tylko z powodu swojej jaśniejszej skóry i że tak naprawdę to ją zaczyna podejrzewać o rasizm.

Teraz zatem siedział tu z Marisą, z którą coś go łączyło choćby ze względu na narodowość - i z którą dzieliło go tak nieskończenie wiele. Jego długa nieobecność miała przy tym najmniejsze znaczenie. Nie mogliby być bardziej różni, myślał - jej oczywiste lewicowo liberalne poglądy i jego kapitalistyczne cele, jej spokojne dorastanie w harmonijnym domu rodzinnym i jego spartaczone dzieciństwo i młodość, jej artystyczne zainteresowania i jego zamiłowanie do techniki i nauk przyrodniczych - to wszystko do siebie nie pasowało. Ricardo jednak nie mógł się pozbyć wrażenia, że całość dobrze się układa, idealnie łączy, że wspaniale się uzupełniają. Gdyby nie były mu całkowicie obce wszelkie sprawy ponadzmysłowe i wiara w fatum, pomyślałby, że Marisa jest mu przeznaczona. A tak wiedział tylko, że ponownie się w niej zakochał.



Marisa uważnie obserwowała wyraz twarzy Ricarda. Najchętniej zapytałaby go, o czym właśnie rozmyśla, ale wiedziała, że na to pytanie nie usłyszałaby szczerzej odpowiedzi, ponieważ żaden człowiek nie potrafił nazwać po imieniu niezliczonych strzępków myśli, które w danej chwili krążą mu po głowie. A tego, co chciałaby usłyszeć, Ricardo i tak zapewne by nie powiedział - że jest czarująca, że ponownie odkrył swoje uczucia dla niej, że potrzebował dużo czasu, by poradzić sobie z żalem, że dawno jej przebaczył i że pragnie teraz zacząć od początku.

- Wiesz już, co zamówisz? - spytał zamiast tego.

- Tak, okonia z grilla. A ty?

- Ja też. - Była to jedna z najdroższych potraw w karcie, Ricardo wszakże nie chciał w żaden sposób dać po sobie poznać, że musi się liczyć z pieniędzmi. Nie był biedny, ale nadal bardzo wiele dzieliło go od upragnionego bogactwa. Projekt, który szybko posuwał się naprzód, pochłaniał astronomiczne sumy. Ricardo zawsze marzył o pięknym, asfaltowym lądowisku, ale z realizacją musiał jeszcze poczekać. Pas na trawniku też wystarczy - a i tak będzie wymagać wielu nakładów.

- Sprawiasz wrażenie nieco... przygnębionego - zauważyła Marisa.

- To nic. Mam tylko problemy z upartym staruszkiem, który sabotuje moje plany, jak mi się wydaje, z czystego uporu. - Uniósł kieliszek, spojrzał na nią przez szkło i powiedział: - Porozmawiajmy o czymś piękniejszym. O tobie na przykład.

Marisa uśmiechnęła się do niego w milczeniu. Jak długo już nie słyszała takiego komplementu! Chciała ich więcej, dosłownie usychała z pragnienia, żeby obsypał ją komplementami - ale fishing for compliments nie było jej godne. Jej babka - która co prawda nie władała angielskim, ale bardzo dobrze znała podobne sztuczki - mawiała, że tak robią tylko dziewczęta, które muszą się do tego uciekać. Marisa nagle zatęskniła za babką, za jej mądrymi radami. Co poradziłaby jej starsza dama w tej sytuacji? Zachowywać się wyczekująco? Chłodno? Poprzez dystans obudzić instynkt łowiecki mężczyzny? Może to nie byłoby takie głupie. Z drugiej strony, uznała Marisa, musi sama wyjść naprzeciw Ricardowi - bez sygnału, że jej zainteresowanie nim również nie wygasło, nigdy nie otrzyma od niego niczego więcej niż komplement na temat wyglądu.

- Ach, nie stanowią zbyt ciekawego tematu - odparła. - Opowiedziałam ci już prawie wszystko o moim mało ekscytującym życiu.

- Najciekawsze pominęłaś.

- Czyli co? - Domyślała się, o co mu chodzi.

I on wiedział, że się domyśla. Upił łyk wina i popatrzył na nią przenikliwie, nie mówiąc już ani słowa.

Marisa czuła się pod tym spojrzeniem nieswojo. Ten mężczyzna miał niepokojącą umiejętność sprawiania wrażenia, jakby przejrzał ją na wskroś. Nie zamierzała go upewniać, że jest tak naprawdę.

- Obawiam się, że muszę cię rozczarować. Nie mogę dorównać tak pełnej przygód karierze jak twoja. Ale opowiedz, o co chodzi z tym staruszką, z którym tak walczysz? Stara waśń rodzinna? Ach, uwielbiam takie historie! - Obrigada, avó - dziękuję, babciu. Jak nauczyła ją babka, mężczyźni można było w mgnieniu oka owinać sobie wokół palca - wystarczyło zadać im kilka głupich pytań o sprawy osobiste. Nie spotkała mężczyzny, który nie lubiłby mówić o sobie.

- Dlaczego zmieniasz temat?

- Wcale tego nie robię.

Ricardo zebrał się w sobie. Dalsze owijanie w bawełnę prowadziło donikąd.

- Miałem nadzieję dowiedzieć się, jak to było z tym weselem, przed którym chciałaś jeszcze szybko zaliczyć wiejskiego chłopaka.

Och! Marisa przeraziła się. Nie musiał być tak bezpośredni, nie teraz, gdy siedzieli razem miło i właśnie rodził się między nimi obiecujący flirt. Z taką delikatną roślinką należało obchodzić się z wielkim wyczuciem. A on bezwzględnie ją deptał. No dobrze, sam tego chciał.

- Za takiego się uważasz? Za biednego, bezwolnego, głupiego chłopaka ze wsi? O ile wspomnienia mnie nie mylą, wtedy już nim nie byłeś. Poza tym należałoby zapytać, kto kogo zaliczył? Można to też widzieć tak, że cyniczny rozpustnik bezwstydnie wykorzystał romantyczny nastrój naiwnej dziewczyny, prawda? A potem, gdy już dostał, czego chciał, odstawił ją do domu w zabrudzonym ubraniu niczym worek śmieci.

Ricardo starał się nie dać jej odczuć, jak bardzo zraniła go ta świadomie zniekształcona wersja wydarzeń.

- Nadal nie powiedziałaś mi, jak to było z twoim ślubem.

- A co miało być? Gdy biedna zhańbiona dziewczyna wróciła do miasta, narzeczonego nie chciał już jej widzieć. - Spojrzała na niego wyzywająco.

Ricardo uniósł brew i odpowiedział na jej spojrzenie drwiną.

- Tak się postrzegasz? Jako biedna zhańbiona dziewczyna?

- Nie.
- A twój narzeczony też tego nie zrobił, prawda? Posłałaś go do diabła.
- Tak.

Ricardo uznał to za bardzo zachęcające. I dość zabawne. Uśmiechnął się, najpierw z dystansem, potem coraz szerzej.

- Odwołałaś ślub? - spytał.

- Na trzy tygodnie przed wyznaczoną datą. Rozesłano już zaproszenia. - Marisa zachichotała. - Sukienka była praktycznie gotowa. - Śmiała się coraz serdeczniej. - Ustalono nawet menu. - Teraz nie mogła się już powstrzymać od śmiechu.

- Miesiąc miodowy zaplanowany?

Skinęła głową. Łzy napłynęły jej do oczu, wytarła nos. Nagle Ricardo nie wiedział już, czy płacze ze śmiechu, z hysterii czy z rozpacz. Nie mógł znieść widoku płaczących kobiet.

- Nie patrz na mnie tak współczująco. Nie płaczę, śmieję się.

- A co w tym śmiesznego?

- Właściwie nic. Na pewno nie dla Sergia - tak miał na imię mój narzeczony. Ale cieszę się, że odwołałam ślub. Nie ułożyłoby się nam dobrze. - Po krótkiej przerwie, spojrzawszy na jego zamyśloną twarz, dodała: - Nie musisz żałować Sergia. Chyba nie skończył tak tragicznie. Pół roku później poślubił inną dziewczynę, po sześciu miesiącach przyszło na świat ich pierwsze dziecko. Teraz mają troje.

- A ty? Nie spotkałaś potem nikogo, kogo chciałabyś poślubić?

- Nie. Nie wierzę w małżeństwo. Zinstytucjonalizowana miłość - to dobre dla drobnomieszczaństwa.

Ricardo widział to inaczej. Miał niezamężną matkę i babkę, która większą część życia spędziła w separacji z mężem. Dorastał u Mariany, która wcześniej owdowiała, i u Octavii i Inacia, których związek odpowiadał dokładnie temu modelowi życia, jaki zapewne miała na myśli Marisa, potępiając małżeństwo. Ale u Jacka i Elsy zobaczył, jak może wyglądać prawdziwy związek. Zdecydowanie nie byli drobnomieszczanami. Zazdrościł im przyjaźni, miłości, bliskości i partnerstwa.

- Czy powiedziałaś „nie”, gdybym tu i teraz na kolanach poprosił cię, żebyś została moją żoną?

Marisa niemal zachłysnęła się winem.

- Proszę?!

- Zrozumiałaś mnie.

- A ty już się upiłeś.

Bardzo możliwe, pomyślał Ricardo. Rzadko pił alkohol. Był w nastroju dziwnie podniosłym, ale też zaczepnym. Właściwie chciał tylko sprowokować Marisę. Kobiety takie jak ona wygadują różne feministyczne bzdury, ale w rzeczywistości chcą tylko, by spektakularnie zdobył je jakiś zwycięski bohater i poprowadził do ołtarza. - No to jak, zrobiłabyś to?

- Powiedziała „nie”? - Wzruszyła ramionami. - Spróbuj.

Mój Boże, w co też się wmanewrował? I to jeszcze nim podano główne danie i opróżnili pierwszą butelkę wina.

- Ach, bzdury, w końcu małżeństwo jest takie drobnomieszczańskie. - Upił z kieliszka kolejny łyk, choć dobrze wiedział, że w tej chwili nie wpływa to dobrze na jasność jego myślenia. - Poza tym nie zwykłem się angażować w przedsięwzięcia pozbawione perspektyw.

Czy tylko to sobie wyobraził, czy Marisa rzeczywiście wyglądała na nieco rozczarowaną? Ha, było dokładnie tak, jak myślał - w głębi duszy miała nadzieję, że ją poprosi.

- Tchórz - powiedziała teraz z aroganckim uśmiechem, ale w jej głosie kryła się czułość.

- To się nazywa mądrość. Nie cenię zbyt prób odwagi. Ostatnią odbyłem w wieku siedmiu lat - oczywiście z sukcesem.

- Jasne. Musiałeś pewnie tylko ukraść mszalne wino z zakrystii.

Roześmiał się głośno, ponieważ właśnie na tym polegała głupia próba. Potem on, Joaquim i Manuel godzinami wymiotowali, bo słodkie wino okropnie im zaszkodziło.

- Miałam sześć lat, gdy ukradłam mszalne wino. I zabrałam jeszcze hostię.

- No tak, dziewczynkom łatwiej jest być niegrzecznymi, bo mniej się tego po nich oczekuje.

- Chyba nie twierdzisz poważnie, że jestem niegrzeczna? - spytała, zalotnie trzepocząc rzęsami.

Ricardo na myśl o dość niegrzecznym wieczorze na tyle pikapa przed niemal sześcioma laty poczuł się zupełnie inaczej. Nagle zrobiło mu się bardzo gorąco. Rozluźnił krawat i odpiął górny guzik koszuli. - Weźmiemy jeszcze jedną butelkę chablis?

Wizyta u Josego nie była dobrym pomysłem. Zamiast, jak miał nadzieję, oderwać się u przyjaciela od miłosnych rozterek, Cristiano doświadczył

czegoś zupełnie przeciwnego. Jose opowiedział mu, że widział Marisę z jakimś nieznanym na tarasie pewnej restauracji, lokalu słynącego z wykwintnego jedzenia oraz wysokich cen.

- Nawet nie próbowała udawać, że się wstydzi tej zdrady. Pomachała do mnie z tej burżuazyjnej stodoły! I co ty na to?

Cristiano nie był zbyt oburzony - dowodziło to tylko, że Marisa odnalazła swoje dawne „ja”. Powstrzymał się jednak przed powiedzeniem tego na głos. Zresztą znacznie bardziej zależało mu na tym, by dowiedzieć się czegoś o facecie.

- Jak wyglądał? Jakie sprawiał wrażenie? Czy to tylko... przypadkowy znajomy? Czy wyglądali raczej jak...

- Zakochani? Nie wiem. Tak, możliwe. Typ trzymał ją za rękę. I pochylali się do siebie.

Cristiano czuł się tak, jakby jego wnętrze osunęły się w dół. Nie wiedział, że zazdrość może się manifestować w tak fizyczny sposób. I to u niego, który opowiadał się za otwartymi związkami i seksem bez zobowiązań. Mimo to musiał dowiedzieć się jak najwięcej o rywalu.

- Jak wyglądał? Młody, stary, mały, duży, gruby, chudy?

- Nie mam pojęcia, stary. Przecież siedzieli. Powiedziałbym, że młody, mniej więcej w naszym wieku. Ciemnowłosa. Niezbyt przystojny. Ale bogaty. Wyglądał na bogatego. Jak cholerny amerykański turysta.

Cristiano jęknął w duchu. Wolałby na przeciwnika Portugalczyka. I człowieka z podobnego środowiska. Ale bogaty Amerykanin? To jedyne, z czym w swoim przekonaniu nie mógł konkurować. Wstał i wyjął butelkę piwa z lodówki Josego, nie przynosząc drugiej przyjacielowi.

O wpół do czwartej nad ranem wrócił do domu zalany w trupa i bardziej nieszczęśliwy niż przedtem. Na klatce schodowej pachniało acorda de marisco dony Caroliny. Cristiano miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. W mieszkaniu mdłości szybko minęły. Nie zadał sobie trudu, by rozłożyć kanapę. Padł na nią w ubraniu i chwilę potem zapadł w głęboki sen bez marzeń. W ciągu kilku sekund między czuwaniem a snem wydało mu się, że słyszy jeszcze zza ściany Beatlesów, którzy skarżyli się cicho na utratę Yesterday.

## Rozdział Pięćdziesiąty.

Trzydzieści jeden lat. Czy w ogóle go rozpozna? A on ją? O czym mieliby rozmawiać? Jak powinna się zachować wobec jego żony? Jak potraktuje tę sytuację Joao Carlos? Czy spotkanie, którego wszyscy uczestnicy poza nim byli po pięćdziesiątce, nie da mu zbyt wyraźnie odczuć różnicy wieku? Co powinna na siebie włożyć? Boże, to był szalony pomysł! W ciągu trzydziestu jeden lat zbyt wiele się zmieniło. Nie byli już tacy sami. I nie istniało nic, co by ich nadal łączyło. Poza synem.

Gdy Laura otrzymała list od Jacka, w którym zapowiadał wizytę swoją i Elsy w Lizbonie, w pierwszej chwili była ucieszona, podniecona, a zarazem przytłoczona perspektywą ujrzenia ponownie mężczyzny, którego przez lata - nim spotkała Joao Carlosa - uznawała za wielką miłość swego życia. To było kilka tygodni temu. Teraz nie była już pewna, czy ta wizyta ma sens. „Udajemy się w wielką podróż po Europie: Portugalia, Hiszpania, Francja, Włochy, Szwajcaria, Niemcy. Stamtąd polecimy do Izraela, odwiedzimy moją siostrę i krewnych Elsy”. Będą mogli zostać w Lizbonie tylko kilka dni, napisał, potem pojedą do Ricarda do Alentejo. Wyraził nadzieję, że Laura będzie w mieście i zechce spotkać się z nim i z Elsą. Bardzo się cieszył, że zobaczy ją znowu po tak długim czasie.

Tak, myślała Laura, mógłby napisać każdy daleki krewny. Ale dobrze, nie są dla siebie właściwie nikim więcej. Od dwudziestu lat co roku otrzymywała od niego pocztówkę - jak praktycznie, że jej urodziny przypadają w Boże Narodzenie, nie musiał wysyłać życzeń dwa razy. Ona sama także wysyłała mu nic niemówiące kartki. Właściwie nie знаła już Jacka. A on zapewne wiedział o niej tylko tyle, ile opowiedział mu Ricardo. Wobec niezbyt wielkiej rozmowności syna Laura mogła podejrzewać, że Jack nie wie nic.

Natomiast Joao Carlos wydawał się szczerze cieszyć zbliżającą się wizytą.

- Jack Waizman! Fantastycznie! I ta historia, ty i on, Lizbona anno tysiąc dziewięćset czterdzieści - po prostu niewiarygodne. Potem wielkie ponowne spotkanie, ponad trzydzieści lat później. Gdybym był pisarzem, przerobiłbym ten materiał na powieść.

Laura zareagowała na to wyjątkowo gniewnie.

- Wiesz, nie mam najmniejszej ochoty, żebyś przypatrywał się temu spotkaniu spojrzeniem badacza, który studiuje pod lupą kopulujące mrówki lub tym podobne. To nie film. I nie powieść. I nie jesteśmy jakimiś tam starymi ludźmi, którzy przeżyli prześmieszne historie, jakie tobie i twojemu pokoleniu wydają się odległe o całą wieczność. To jest prawdziwe, Joao Carlosie Carneiro. I nie chcę, by twój zepsuty hollywoodzki punkt widzenia wszystko zniszczył. Dlatego sądzę, że lepiej będzie, jeśli Jack i ja spotkamy się najpierw w cztery oczy.

- Oczywiście skarbie. Też tak sądzę.

Zawsze robił coś takiego. Zabierał jej wiatr z żagli. Za to go kochała - nawet jeśli w tej chwili w żadnym wypadku nie chciała dać mu tego odczuć.

- Gdybyś przynajmniej miał tyle przyzwoitości, by udawać, że jesteś choć odrobinę zazdrosny o mojego byłego, który nagle zjawia się znikąd, w dodatku ojca mojego...

- Umieram z zazdrości, amor. A teraz chodź już do łóżka. - Joao Carlos chwycił Laurę za rękę i pociągnął ją ku sobie na białe prześcieradła, które były zmiętoszone i przykrywały tylko jego łydki.

To także się jej w nim podobało. Całkowicie wolny od fałszywego wstydu i pruderii, znał kobiety i był dość młody, by nie doświadczać jeszcze zaburzeń erekcji ani strachu przed nimi, który bywał jeszcze bardziej paraliżujący. Miał wspaniałe ciało i umiał je wykorzystywać. I miał piękną duszę, z czego również umiejętnie korzystał. Czasami już samymi słowami doprowadzał Laurę do wrzenia. Był najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miała.

Natomiast co on widział w niej, kobiecie o trzynaście lat starszej, tego dokładnie nie wiedziała. Ale nie mogła wyzbyć się podejrzeń, że kiedy porozmawia z Jackiem o dawnych czasach, Joao Carlos zobaczy ją w innym świetle. Wtedy nie będzie już dla niego ładną, nowoczesną, otwartą, niezależną młodą kobietą, o ile kiedykolwiek taką była; nagle dostrzeże w niej kogoś, kto przeżył podobne rzeczy jak jego rodzice. Jezu Chryste! Jeszcze tylko brakowało, by odkrył w niej cechy macierzyńskie. I tak źle się stało, że spotkał jej dorosłego syna.

Laura przytuliła się do Joao Carlosa i wyobraziła sobie, jak by to było przyjść na świat trzydzieści lat później. Miałyby teraz dwadzieścia kilka lat, całe życie przed sobą, i pod każdym względem, szczególnie seksualnym, czułaby się swobodniejsza niż kobiety z jej pokolenia. Pigułka dała im wolność. Lek, głupi preparat hormonalny, myślała Laura, uwolnił je od tysiącletniego jarzma. Zaraz potem zastanowiła się, jaki wpływ mogło to mieć na kruche męskie dusze. Nie spodoba im się, że kobiety jeszcze przed zamążpójściem zaczną zbierać bogate doświadczenia i będą dokonywać porównań, a przy tym nie będzie nad nimi wisiał damoklesowy miecz niepożądanego ciąży.

Pewnego dnia zapanuje takie równouprawnienie, że kobiety będą mogły mieć młodszych kochanków - albo nawet takich o niższym statusie społecznym - i nikt nie będzie patrzył na nie krzywo. Dziś nikt się nie oburzał, gdy odnoszący sukcesy mężczyzna wiązał się ze swoją sekretarką, natomiast w przypadku odnoszącej sukcesy kobiety romansującej z ogrodnikiem zaraz mówiono, że „oddaje się” biedakowi. Cóż za wołająca o pomstę do nieba niesprawiedliwość! Ale pewnego odległego dnia również kobiety zyskają wolność. Choć pewnie potrwa to dłużej niż dyktatura w Portugalii.

Tak czy siak już teraz w miarę swobodnie można było publicznie świętować wolność. Dokładnie przed dziesięć laty, w 1961 roku, dwaj portugalscy studenci, którzy uczynili to w pewnej lizbońskiej restauracji, zostali skazani na siedem lat więzienia. Z powodu tego strasznego zajścia, które wywołało oburzenie w całej Europie, powstało Amnesty International. Pewien Anglik walczył o prawa zatrzymanych studentów zacieklej niż jakikolwiek Portugalczyk. Wkrótce, o tym Laura była przekonana, również Estado Novo, istniejący od niemal czterdziestu lat reżim totalitarny, przejdzie do historii. W szerokich warstwach społecznych mnożyły się oznaki zmiany myślenia. Wszyscy będą wspólnie pić za wolność i jak jeden mąż wołać Liberdade ja! - nie można przecież aresztować całego kraju.

- Co z tobą? - usłyszała szept Joao Carlosa.
- Chciałabym być o trzydzieści lat młodsza - odparła bez namysłu.
- Podobasz mi się taka, jaka jesteś. Kto by chciał głupią, niedoświadczoną dziewczynę, która się wstydzi i kryguje?

Ach, nic nie rozumiał! Te kilka zmarszczek było jej stosunkowo obojętne i właściwie cieszyła się, że comiesięczne przypomnienie o reproduktywnej funkcji jej ciała wreszcie ustało. Włosy farbowała, figurę



dzięki codziennej gimnastyce zachowała szczupłą i giętką, i była też znacznie bardziej zrównowazona niż w młodszych latach. Oczywiście mogły się do tego przyczynić także pieszczoty, którymi Joao Carlos znowu ją obsypywał. Laura zamknęła oczy i z przyjemnością się im oddała.

Po fakcie jest się zawsze mądrzejszym.

Gdyby wcześniej wiedziała, jak przebiegnie ponowne spotkanie z Jakobem, z Jackiem, poprawiła się, zapewne nigdy by się na nie nie zgodziła. Wtedy mogłaby przynajmniej zachować wspomnienie młodego, bezczelnego, nieustraszonego, mądrego i zmysłowego człowieka, który szykował się do podboju świata. Teraz jednak rzeczywistość przesłoniła piękny obraz. Stał przed nią stary człowiek. Niepozorny dziwak, łysawy, ze zbyt dużą sztuczną szczęką i zbyt szerokim fałszywym uśmiechem. Towarzyszyła mu Elsa, zniszczona kobieta na wózku inwalidzkim, która wyglądała na zgorzkniałą i nawet nie próbowała farbować włosów. Nie była wiele starsza od Laury, ale mogłaby uchodzić za jej matkę. Nie, nawet to nie, pomyślała Laura, na to była o wiele za brzydka.

Ceremonia powitania na lotnisku przebiegła w wielkim napięciu i ten dziwny nastrój nie rozwiął się w dalszej części dnia. Wszyscy czuli się oszołomieni. Laura dlatego, że Jack w „wolnych” Stanach Zjednoczonych najwyraźniej nie znalazł tego wszystkiego, co miał nadzieję znaleźć - jak się okazało, nigdy nie otrząsnął się z polowania McCarthy'ego na komunistów i ludzi, którzy rzekomo uprawiali „działalność anty amerykańską”, choć po tym trudnym okresie ponownie zaczął odnosić sukcesy zawodowe. Elsa była zaskoczona, jak atrakcyjną kobietą jest Laura - widziała jej zdjęcia jako młodej dziewczyny, ale fakt, że również w dojrzałym wieku pozostała piękną, mocno ją wzburzył. W Jacka zaś jakby piorun strzelił, gdy jechali taksówką przez miasto i zobaczył, jak mało zmieniła się Lizbona, przynajmniej w centrum. Wspomnienia uderzyły go z taką siłą, że oczy mu zwilgotniały.

Z rozmowy w cztery oczy nic nie wyszło. Elsa zawsze była obok. Dla Laury i tak nie miało to większego znaczenia - Jakob, z którym w dawnych czasach umiała cieszyć się życiem, nie istniał. Laura wstydziła się nieco przed Joao Carlosem, że ów obcy człowiek był niegdyś jej kochankiem.

Joao Carlos jednak najwyraźniej uznał towarzystwo za sympatyczne. Przy posiłku, na który zaprosili Waizmanów, zarzucił ich pytaniami, które z powodu pozornej naiwności dodatkowo zaostrzyły napiętą sytuację. Laura wiedziała, że Joao Carlos udaje głupszego, niż jest, i wiedziała też, że robi to dla niej - nie chciał dopuścić do nie milej ciszy, a ponieważ jako jedyny obecny nie czuł na barkach brzemienia przeszłości, mógł zadawać pytania, które w przypadku pozostałych byłyby nie na miejscu. Joao Carlos chciał na przykład wiedzieć, w jakim języku goście rozmawiają ze sobą w domu. Słuszne pytanie - Jack mówił po portugalsku z amerykańskim akcentem, a po angielsku z niemieckim. Z kolei ojczysty niemiecki zapewne zupełnie zapomniał.

- Mieszanką angielskiego i niemieckiego - odparł Jack, na co Joao Carlos dopytywał się dalej, jak to jest nawet w języku nie mieć prawdziwej ojczyzny.

- Mamy ojczyznę w sobie - powiedziała Elsa.

Laura chętnie by ją zastrzeliła za ten pełen namaszczenia ton. Wstała, by dopilnować w kuchni jedzenia, choć nie było zbyt wiele do zrobienia. Gdy się pozbierała i ponownie usiadła przy stole, rozmowa dotyczyła trasy podróży Waizmanów.

- W środę chcemy pojechać do syna Jacka - usłyszała słowa Elsy. Żądza mordy Laury rosła. Czy ta zasuszona, bezpłodna kobieta chce ją, matkę syna Jacka, zdegradować do roli kury nioski?

- Którego z jego synów ma pani na myśli? - spytała i poczuła ogromną satysfakcję, że Elsa na chwilę zbladła.

- Rick opowiadał nam o swojej szkole lotniczej - wtrącił się Jack, a Laura uznała za okropne, że nazywa Ricarda „Rickiem”. To było jeszcze gorsze niż „Jack”. - Zdaje się, że idzie mu całkiem dobrze - ciągnął. - Czy leciał pan z nim kiedyś? - spytał Joao Carlosa. - To prawdziwy as.

- Nie, nie miałem jeszcze, niestety, tej przyjemności.

- A ty, Lauro? Leciałś już z nim? Czy pokazał ci ten okropny stall? No mówię ci, umarłem tysiąc razy! Rick mnie potem za to wyśmiał, a ja cieszyłem się, że przeżyłem, i również głośno się śmiałem.

- Ricardo - powiedziała Laura z przesadnym naciskiem - nie pozwoliłby sobie na takie makabryczne żarty wobec matki. - Było to zgodne z prawdą, ale nie tłumaczyło, dlaczego tego nie robił. Laura w głębi duszy czuła się urażona, że Ricardo latał z Jackiem, ale jej nie zaprosił. No cóż, pewnie i tak nie wsiadłaby do jego rozklekotanej maszyny - bała się latać również większymi samolotami.

- W każdym razie uważam za wspaniałe - powiedział Jack sztucznie wesołym tonem - że wtedy umożliwiłaś mu podróż do Stanów.

- Och, ale... ja tego nie zrobiłam. Choć Bóg wie, ile razy mu to proponowałam. Zawsze sądziłam, że ty go zaprosiłeś i pokryłeś koszty podróży i nauki.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie bezradnie. Potem Jack ze sztuczną nonszalancją rzucił:

- No, może miał jakąś starą Laurę Lisboę, którą sprzedał. -Starą Lisboę? Takich skarbów zwykle nie znajduje się na strychach. - Joao Carlos był oburzony.

Jack popatrzył na Laurę ze smutkiem. Zrozumiał, że również swemu obecnemu partnerowi nie zdradziła, kto kryje się za pseudonimem Laura Lisboa.

- Co się z nią stało? - spytał.

- Zmarła.

- Och, przykro mi. Kiedy to było?

- Ach, już przed laty. Tuż po pojmaniu Felipe. Czowała się tak, jakby nie zostały w niej żadne barwy.

- I, e... czy po jej śmierci opinia publiczna poznała prawdziwą tożsamość artystki?

- Nie, została pochowana bardzo cicho. Był przy tym tylko właściciel galerii i ja.

- Nigdy nie opowiadałaś mi, że znałaś Laurę Lisboę - poskarżył się Joao Carlos. - I to najwyraźniej bardzo dobrze. Musisz przy okazji opowiedzieć mi o niej więcej - podziwiam jej twórczość. Masz jakieś jej dawne obrazy? Muszą być warte majątek.

Elsa, która przez cały czas milczała, patrzyła ze swojego wózka na Joao Carlosa ze współczuciem.

- Tak - odparła Laura - była moją starą przyjaciółką. Dlatego rzeczywiście możliwe, że Ricardo miał lub ma jakieś jej prace. Kiedyś często go rysowała.

- Syn Jacka - zwróciła się Elsa do Joao Carlosa - był uroczym dzieckiem. Widziałam zdjęcia. Z pewnością także bardzo dobrym modelem.

- Widziałam go in natura i wyjątkowo przyznam pani rację - Ricardo był uroczym dzieckiem. - Laurę zdumiewał tupet tej kobiety. Czy sądziła, że Ricardo w jakiś sposób stanie się mniej potomkiem Laury, a bardziej jej własnym, jeśli będzie tak impertynencko nazywać go „synem Jacka”? Laura niezwykle się cieszyła, że w dzieciństwie Ricarda

zdołała zapobiec jego spotkaniu z ojcem. I tak mówił już do niewłaściwej kobiety „babciu”. Wizja, że mógłby jeszcze niewłaściwą kobietę nazywać mae, sprawiała, że Laura trzęsła się z wściekłości. Joao Carlos objął ją za ramiona.

- A ja uważam - powiedział bardziej jej na ucho niż do wszystkich - że twój syn również jako dorosły wygląda całkiem nieźle. - Instyktownie wyczuł wrogi nastrój między obiema kobietami. Laura kochała go w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Który mężczyzna byłby w stanie wyczuć takie spięcie?

- Musi to mieć po mnie - uśmiechnął się Jack i przez chwilę było w nim coś z dawnego Jakoba.

- Jasne. - Laura mrugnęła do niego. - Po kim by innym?

W ten sposób lody zostały przełamane i dalsza część wieczoru minęła bez spięć. Jack i Elsa opowiadali, jak trudno jest podróżować z wózkiem i że właśnie Lizbona pomimo wielu stromych uliczek jest stosunkowo łatwa do pokonania dzięki windom kursującym z dolnego do górnego miasta. Mówili podekscytowani o swoich planach, o tym, co zamierzają zwiedzić i zobaczyć. Cieszyli się jak dzieci perspektywą wizyty w Rzymie, którego oboje nie znali, i zarzucali Laurę pytaniami o miasto, jego mieszkańców oraz wartość odwiedzenia miejsca. Odparła, że, niestety, nie może służyć wielką pomocą - ostatni raz była w Rzymie wieki temu. Natomiast Joao Carlos potrafił opowiedzieć więcej o Włoszech i Hiszpanii i wywiązała się ożywiona dyskusja na temat rozwoju Europy, wspólnoty gospodarczej i kulturowej różnorodności stosunkowo niewielkiego rejonu.

Spędzili miły wieczór, jednak Laura i Elsa nie przestały przypatrywać się sobie nieufnie nawet wtedy, gdy Joao Carlos i Jack już dawno wypili bruderszaft. Goście wyszli około pierwszej w nocy, a wesoły nastrój Laury i Joao Carlosa przerodził się w dziwnego kaca, niczym wilgotna mgła przyćmiewająca światło. Wraz z Waizmanami zniknął też powód do dalszego picia i zostało tylko pytanie, dlaczego udawało się przed tymi ludźmi bliskość. Wielkie otrzeźwienie.

Joao Carlos sprawiał wrażenie kogoś, kto właśnie wyszedł z kina, gdzie zobaczył ekranizację swojej ulubionej książki - a postaci, które podczas lektury zapadły mu w serce, zostały beznadziejnie obsadzone.

Również Laura jak ktoś podekscytowany filmem i aktorami miała potrzebę porozmawiania o całym wieczorze. Ale daleko nie zaszła.

- Tę Elbę inaczej sobie wyobrażałam - zaczęła. W takim nastroju mogłaby

godzinami rozwodzić się nad tą kobietą. Joao Carlos był idealnym partnerem do plotkowania i miała nadzieję, że uczyni kolejny krok w tym kierunku. Postąpił jednak wręcz przeciwnie.

- Bądź nieco bardziej wyrozumiała. Ona umiera. Chce jeszcze raz zobaczyć wszystkich swoich krewnych i prawie krewnych, nim spokojnie pożegna się ze światem - ze świadomością, że życie toczy się dalej.

Laura spojrzała na niego niedowierzająco. O rany, jak młody człowiek w wieku zaledwie czterdziestu jeden lat mógł być tak mądry? Tak cholernie dobroduszny? I w dodatku tak seksowny? Lekko kręciło się jej w głowie. Była już nieźle wstawiona. Nagle przeszła jej ochota na rozmowy o śmiertelnie chorej kobiecie.

- Chodź tu, ty mój święty - i zrób ze mną parę nieświętych rzeczy.

## Rozdział Pięćdziesiąty Pierwszy.

Marisa siedziała z podciągniętymi nogami na fotelu elda i oglądała telewizję. Nadawano prastary odcinek Płomieni namiętności, miniserialu, który już przy pierwszej emisji uznała za niestrawny - a miała wtedy dopiero dwadzieścia lat i nie była jeszcze krytyczna. Teraz program wydał się jej jeszcze bardziej idiotyczny i tylko niesamowicie przystojny, obecnie zapomniany aktor Ronaldo Silva czynił całość znośną. Marisa przypominała sobie słabo, że wokół owego pięknisia przed kilku laty wybuchł skandal i w rezultacie gwiazdor w tajemniczych okolicznościach zniknął z Portugalii. Ach, wszystko jedno, czy facet był gejem, czy nie - ważne, że dobrze się prezentował w Płomieniach namiętności.

Na stoliku stały krakersy, czekoladowe groszki i coca cola. Marisa sięgnęła na oślep do pudełka z krakersami i włożyła do ust kilka naraz, nie odrywając wzroku od telewizora. Zaraz musi nastąpić scena, w której bohater - piękny Ronaldo - porywa ukochaną sprzed ołtarza prosto ze szponów obrzydliwego rozpustnika. Wspaniałe! Dlaczego takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym życiu? Ponieważ, przywołała się do rozsądku Marisa, żadna normalna kobieta nie wpada w tarapaty dlatego, że jej ojciec z politycznego wyrachowania sprzedał ją obrzydliwemu rozpustnikowi. Coś takiego zdarza się tylko w domach królewskich, a raczej zdarzało się. Marisa wątpiła, by współczesne księżniczki na coś takiego pozwoliły.

A gdzie nie ma potworów, tam nikt nie wymaga ratunku, to takie proste. Potencjalni bohaterowie nie znajdowali dziś okazji, by dowieść swego męstwa. Marisa sięgnęła po czekoladowe groszki i chrupała je zatopiona w myślach, gdy zadzwonił telefon.

W samym środku dramatycznej sceny! E tam, niech sobie dzwoni. Marisa nie chciała odbierać. Po pierwsze aparat znajdował się daleko, więc musiałyby wstać z wygodnego fotela, a po drugie to na pewno

znowu Cristiano. Jak można mieć tak mało dumy? Od miesięcy prześladował ją telefonami, wystawał pod jej domem, śledził ją i szpiegował. To było obrzydliwe. Zachowywał się dokładnie tak, jak córka jego sąsiadów, z której zawsze się naśmiewał. A inaczej niż w przypadku dziewczynki Cristiana nie usprawiedliwiał nawet wiek - nie był już przecież nastolatkiem.

No cóż, sama Marisa także nie była bez winy. Po pierwszym zerwaniu, które miało miejsce dobre półtora roku temu, postępowała zbyt niekonsekwentnie. Nadal spotykała się z Christianem - i za każdym razem łądowała z nim w łóżku. Ale, do diabła, czy musi żyć jak zakonnica? Od niemal trzydziestoletniej kobiety nie można na serio oczekiwać cnotliwości tylko dlatego, że nie ma stałego chłopaka. A jedyny mężczyzna poza Christianem, z którym mogłaby wyobrazić sobie seks, rzadko się zjawiał.

Po tym wieczorze, gdy zabrał ją na elegancką randkę, niestety, nie nastąpiły dalsze. Szkoda, szkoda, szkoda. Zaczęło się tak obiecująco. Po wybornym posiłku i pikantnej rozmowie, która znacznie wykraczała poza zwykły flirt, udali się do nocnego klubu, wstawieni, upojeni, roześmiani i przytuleni. Potem całowali się w bramie domu Marisy. Objął ją i mocno przycisnął do ściany. To był zapierający dech w piersiach pocałunek i Marisa wiedziała, że nie musi specjalnie zapraszać Ricarda na górę. I znaleźliby się tam, gdyby w tej chwili w wejściu nie pojawił się inny mieszkaniec domu, który, również nieco wstawiony, przeklinając, szukał kluczy. Ricardo natychmiast puścił Marisę, pożegnał się szorstko i zniknął. Niemal popłakała się z rozczarowania i niezaspokojonego pragnienia. Może nawet to zrobiła, ale nie pamiętała już, jak trafiła do swojego mieszkania i do łóżka.

Teraz, pół roku później, Marisa uznała, że Ricardo zapewne podjął słuszną decyzję. W ogóle do siebie nie pasowali. Co z tego, że dobrze uzupełniali się w łóżku, skoro na co dzień byli jak ogień i woda? Nawet najlepszy seks ucierpi kiedyś w tak niesprzyjających warunkach. Poza tym nie sądziła, by Ricardo należał do mężczyzn, którym chodzi wyłącznie o łózkową przygodę. Chciał dostać wszystko albo nic - a w jej przypadku zostawało tylko to ostatnie. Mimo najlepszych chęci nie potrafiła sobie wyobrazić związku z człowiekiem takim jak Ricardo.

Po niemiło zakończonym wieczorze Marisa miała wrażenie, że nie mogą tego tak po prostu zostawić. Z Ricardem musiało być podobnie, bo kilka tygodni później zadzwonił i powołał się na „starą przyjaźń”, która

w takiej formie właściwie nigdy nie istniała. Chciał zatuszować zgrzyt, jakim zakończyło się ich ostatnie spotkanie - i Marisa była mu wdzięczna. Przyjęła więc zaproszenie na wspólny lot i pojechała do Alentejo. Działo się to zeszłej jesieni. Lot był przepiękny, a potem Ricardo napędził jej panicznego strachu akrobatycznymi sztuczkami. Z dumą oprowadzał ją po lotnisku, wyjaśniał działanie samolotu i opowiadał o swoich planach i wizjach przyszłości. A ona śmiertelnie się nudziła.

Marzenia Ricarda zupełnie nie pokrywały się z tym, co uważała za ekscytujące, piękne lub warte zdobycia. Żył w męskim świecie, który dla Marisy na zawsze pozostanie zamknięty. Stał, maszyny, smar i hałas silników - tylko to zdawało się go poruszać. Nie było tu nic miękkiego, ciepłego, kolorowego, przytulnego. „Szkoła lotnicza”, która pomimo różnych początkowych trudności najwyraźniej funkcjonowała bardzo dobrze, składała się zaledwie z ustawionego na skraju lądowiska nędznego baraku, skąd Ricardo utrzymywał kontakt radiowy z tymi uczniami, którzy latali już samodzielnie. Nie było wieży kontrolnej ani hangaru. Mała cessa stała pod gołym niebem, a na noc lub przy niepogodzie po prostu przywiązywano ją liną. Wszystko wydawało się bardzo prymitywne, ale Ricardowi najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Marisa zapytała, czy w takich warunkach może w ogóle udzielać wartościowych lekcji, a on popatrzył na nią bez zrozumienia.

- Dlaczego nie miałyby być wartościowe? Ludzie uczą się teorii tu, w baraku. Muszą ukończyć kurs na radiooperatora i zdać egzamin w odpowiednim urzędzie w Lizbonie. A poza tym latamy. Nauka u mnie jest lepsza niż gdziekolwiek indziej. Na tankowanie lecimy do Evory lub Lizbony, co i tak przewidziano w planie ćwiczeń. Do tej pory wszyscy moi uczniowie zdobyli licencję. - Nie wspomniał, że na razie było ich tylko trzech.

Całe to przedsięwzięcie nie wydawało się Marisie godne zaufania. Sprawiało wrażenie amatorskiego. Gdyby przynajmniej barak wyglądał porządnie albo gdyby Ricardo miał sekretarkę lub jakiegoś współpracownika. Ale nie - prowadził szkołę mniej lub bardziej o własnych siłach i tak też wyglądała. W pomieszczeniu do zajęć teoretycznych znajdowała się tablica, pięć krzeseł oraz dwa duże stoły, na których stały filiżanki z pleśniejącymi resztkami kawy. Ściany były oplakatowane mapami nawigacyjnymi, listami ćwiczeń - na przykład alfabetem lotniczym - tablicami meteorologicznymi oraz zdjęciami pięknych samolotów, na które Ricardo nie mógł sobie pozwolić. Gdy przebywał



w powietrzu, na drzwiach wisiała tabliczka „Zaraz wracam”. Raz w tygodniu kobieta z wioski przychodziła posprzątać.

Jeszcze smutniejsze wrażenie wywarł na Marisie stary dom. Niszczał, a Ricardo nie podejmował żadnych działań, by temu zaradzić. Urządził się w przebudowanej szopie, gdzie panowały warunki równie kiepskie jak w baraku.

- Mój Boże, Ricardo, dlaczego tego nie odnowisz? - oburzyła się, a on zbył ją krótko:

- Wszystko w swoim czasie. - Jednak brak pieniędzy nie mógł być jedyną przyczyną tego spustoszenia, bo Marisie od razu przyszło do głowy mnóstwo pomysłów na ulepszenie, które praktycznie nie kosztowałyby nawet escudo. Już samo posprzątanie wiele by pomogło.

Nim wróciła do Lizbony, zaprosił ją na obiad do prostego lokalu, w którym jadał co wieczór. Zapewne zamawiał zawsze to samo, bo gospodyni od razu postawiła przed nim talerz z kotлетem wieprzowym, ziemniakami i warzywami. Tego dnia Marisa dowiedziała się o Ricardzie więcej niż w ciągu wszystkich minionych lat. I niezbyt się jej to spodobało. Mężczyzna tak skoncentrowany na swym celu, że zapominał o wszystkim wokół, nie budził zaufania. Brak zmysłu piękna to poważna skaza. A facet, który najwyraźniej czuł się lepiej w towarzystwie swojego samolotu niż ludzi, i tak cierpiał na poważne zaburzenia. Marisa była przekonana, że ona i Ricardo nie mają szans na trwały związek. Wróciła do Lizbony z przytłaczającym, ale niezachwianym wrażeniem, że już nigdy go nie zobaczy.

Z drugiej strony z ogromną fascynacją obserwowała, jak dochodzi do czegoś wyłącznie o własnych siłach. Pomysł, by na pustkowiu założyć szkołę lotniczą, nie był pozbawiony pewnego uroku -i świadczył o odwadze. To się Marisie podobało. Imponował jej również fakt, że Ricardo niestrudzenie walczył o swoje marzenia, że nie przejmował się ludzkim gadaniem i bez wielkiego halo robił swoje. Ta inna sfera, w której się poruszał, ów świat techniki i liczb, który był Marisie całkowicie obcy i wręcz ją odrzucał, miał w sobie zarazem coś pociągającego. Nadawał Ricardowi dziwną tajemniczość. Mężczyźni zajmujący się sztuką byli jej bliżsi - a tym samym wyjątkowo łatwi do przejrzenia.

Podobał się jej również wygląd Ricarda. Jedynie włosy miał zbyt krótkie i ostrzyżone po wojskowemu. Ale właściwie było mu w nich do twarzy; fryzura pasowała do jego charakteru. Poza tym z dłuższymi włosami wyglądałby pewnie jak przestępca. I tak było w nim coś bezwzględne,

zimnego, co wyjątkowo Marisę pociągało. Miał kanciastą, męską twarz i bursztynowe oczy z zielonymi iskierkami, z których czasem bił chłód, a czasem wrażliwość. Gdyby zadał sobie trochę trudu i zadbał o ubiór, robiłby oszałamiające wrażenie. Przy czym, uznała Marisa wobec bardzo jeszcze żywego wspomnienia epizodu sprzed siedmiu lat, bez ubrania też wyglądał oszałamiająco.

To wszystko przemknęło Marisie przez głowę w ułamkach sekundy, gdy na ekranie Ronaldo Silva ścigał złego typa i walczył z nim. Dziwne, dlaczego rozmyśla o tym właśnie teraz? Sądziła, że temat jest zamknięty. Ale z niezbadanych przyczyn ten facet ciągle zaprzętał jej myśli. Mariso Monteiro Cruz, pilnie potrzeba ci mężczyzny! Upadła już tak nisko, że oddawała się erotycznym marzeniom na jawie, w których główną rolę odgrywali porzuceni wakacyjni kochankowie. Długo tak nie wytrzyma. Może powinna jednak ulec naciskom Cristiana?

Gdy w telewizji piękny bohater brał właśnie w ramiona swą ukochaną, której strój w strategicznych miejscach był poszarpany, choć oczywiście nie brała udziału w walce, telefon zadzwonił znowu. Okej, pomyślała Marisa. Najlepsze już widziała. I nie zaszkodzi ruszyć tyłek z fotela. Zawsze istniała szansa, że to nie Cristiano. A jeśli dzwoni Ricardo? Może jest właśnie w Lizbonie, może nawet od kilku dni - a Marisa straciła okazję spędzenia z nim kilku miłych godzin, ponieważ ospale siedziała przed telewizorem, użalając się nad sobą i opychając niezdrowymi rzeczami. Nagle poczuła przyływ energii, jakiego nie doświadczyła od tygodni. Pobiegła do telefonu i radośnie podekscytowana zawołała: - Tak?

- Marisa, skarbie, tak bardzo za tobą tęsknię. Stoję na dole, w budce na rogu - wpuścisz mnie? - usłyszała marudny głos Cristiana i cicho westchnęła.

Kiedy zamierza im zaprezentować wnuki, spytała Elsa, a Ricardo się zawstydził. Wymigiwał się od rozmowy na temat przyszłej „żony”, która nie chciała nią zostać. Dopiero potem przyszło mu do głowy, że nigdy nie będzie mógł dać wnuków Elsie.

Czy zatem poznają kiedyś szczęśliwą wybrankę, dopytywała się Elsa, znowu stawiając Ricarda w głupiej sytuacji. Wcześniej powiedział im, że wkrótce zamieszka razem z kobietą swoich marzeń. Ale założenie, że podczas krótkiego pobytu w Portugalii nie będą zbyt dokładnie dociekać prawdy,

okazało się błędne. Elsa wypytywała o Marisę, jakby musiała się upewnić, że następca tronu wybrał odpowiednią małżonkę. Ricardo opowiedział zgodnie z prawdą, czym zajmuje się Marisa, jak wygląda i z jakiej „stajni” pochodzi. Udzielał odpowiedzi na najbardziej drobiazgowo pytania Elsy i starał się przy tym zachować największą cierpliwość i uprzejmość. Gdyby nie siedziała na wózku inwalidzkim jak kupka nieszczęścia, jego reakcja z pewnością byłaby inna.

Jedyne, czego nie mógł zrobić, to pokazać Marisy z krwi i kości. Gdyby przedstawił ją ojcu i jego żonie, musiałyby to wyglądać jak pierwsza wizyta u przyszłych teściów - i szczyt drobnomieszczaństwa. Poza tym Elsa ze swoją bezpośredniością w ciągu sekundy odkryłaby, że rzeczywistość wcale nie jest taka, jak to przedstawił Ricardo.

Poczuł wielką ulgę, gdy oboje wreszcie postanowili wyjechać.

O tym, że wszystkie jego wymówki i bajki nie zdołały ich zmylić, przekonał się dopiero wtedy, gdy razem z Jackiem pchał wózek Elsy do samolotu, którym Waizmanowie mieli lecieć do Madrytu.

- Słuchaj, Rick - szepnęła mu Elsa - ona wydaje mi się dobrym wyborem. Musisz ją zdobyć, zanim zrobi to ktoś inny. Niedługo skończysz trzydzieści lat - na co jeszcze czekasz?

Tak, zastanawiał się teraz, na co? Że Marisa zakrzyknie „tak!”, nim ją poprosi? Że będzie czytać w jego myślach? Że odwiedzi go ponownie w Belo Horizonte bez wyraźnego zaproszenia z jego strony? Że zaczeka na niego tak długo, aż wreszcie on będzie mieć dość czasu i pieniędzy, by zaprezentować się jako odpowiedni kandydat na męża? To pewnie jeszcze potrwa.

Może i tak już wszystko spała. Ostatni raz widzieli się pół roku temu, jesienią. Przyjechała, rozejrzała się rozczarowana i - Ricardo wyraźnie widział to w jej oczach - uznała go za nieudacznika. Od tamtej pory dzwonił do niej kilka razy. Rozmowy były frustrująco krótkie. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. W minionych tygodniach także próbował do niej zadzwonić, ale nigdy nie odebrała.

Czasami zazdrościł jej życia w mieście, dużego kręgu znajomych, towarzyskiego usposobienia, częstego wychodzenia z domu. W takich chwilach odczuwał ogromną ochotę, by wszystko rzucić. Wybrać się do Lizbony, poszukać normalnej pracy, przestawać z normalnymi ludźmi, mieszkać w normalnym mieszkaniu i przede wszystkim jak całkiem normalny mężczyzna mieć dziewczynę. Która jednak nie powinna być całkiem normalna.

Powinna być taka jak Marisa, wyjątkowo inteligentna, śliczna i wymagająca jak księżniczka. Bo właśnie to podobało mu się w niej najbardziej - pomimo otwartej, liberalnej postawy zdawała się sądzić, że trzeba być zawsze do jej usług, przez cały czas o nią zabiegać i ją zabawiać, najlepiej wyszukаныmi komplementami na temat jej wewnętrznego piękna i oszałamiającej urody. Tę cechę Ricardo uważał za bardzo kobiecą i pociągała go ona bardziej niż wszystko inne. Bardziej niż dołeczki Marisy, bardziej niż uniesione do góry kąciki ust, bardziej niż piegi na powiekach i nawet bardziej niż apetyczne, nieznające biustonosza piersi.

Poza tym była tak wspaniale bezlitosna w swoich osądach, bez względu na to, czy dotyczyły muzyki, jedzenia czy jego szkoły lotniczej. Nie lubił być ofiarą jej kpin, ale same kpiny mu się podobały. Pewnego dnia nie będzie już miała powodu naśmiewać się z jego ubrań lub manii żucia gumy, do czego przyzwyczał się w Stanach. Do tej pory nawyk pewnie mu przejdzie.

Ale co mu pozostaje innego niż inwestować cały czas i pieniądze w swoje projekty? Teraz albo nigdy. Nie mógł sobie pozwolić na przywrócenie posiadłości do dawnego stanu, gdy trzeba było obsługiwać prywatne lotnisko. Również nowa garderoba musiała poczekać, aż wszystko pójdzie zgodnie z planem. A hucznie balować Ricardo zacznie dopiero wtedy, gdy najgorsze będzie już poza nim. Pracował osiemnaście godzin na dobę, jak mógł przy tym myśleć jeszcze o długim obiedzie, miłym spacerze, zakupach lub relaksujących wyprawach wędkarskich? Irytowało go, że nie ma ani chwili wolnego czasu, ale cóż z tego. Musi jakoś wytrzymać.

W Belo Horizonte dokuczała mu też samotność. Teraz, gdy nadeszła wiosna i mógł siedzieć wieczorami na dworze i przy kieliszku wina podziwiać wschód księżyca, jeszcze jakoś sobie radził. Ale zima była ciężka. Przez długi czas panowały zbyt wielkie chłody na majstrowanie przy starym pikapie, bo dłonie niemal przymarzały do obcęgow. Więc Ricardo siedział w okropnym baraku sam jak palec, przez całą noc licząc, kalkulując i ślęcząc nad księgami. Choć był twardy, potrzebował niewiele snu i zwykle wołał własne towarzystwo od towarzystwa innych ludzi, nawet jemu wydawało się to rozpaczliwe.

Jednak nie miał weselszych perspektyw. Próbował skontaktować się ze swoimi starymi przyjaciółmi, ale dowiedział się, że Joaquim zginął w Afryce. Manuel poślubił grubą Sonię i zrobił jej czworo dzieci. Ricardo

spędził jeden wieczór z ich rodziną, dzielił się z Manuelem wspomnieniami o wspólnym przyjacielu, pozwalał się przekarmiać Sóni i dręczyć okropnie głupim i brzydkim dzieciom. Już nigdy tam nie poszedł. Potem odwiedził Octavię na nowym osiedlu - kolejne doświadczenie, którego nie chciał powtarzać. Mieszkała razem z pięcioma kotami w mieszkaniu o powierzchni trzydziestu pięciu metrów kwadratowych i Ricardo musiał cały czas wstrzymywać oddech, tak bardzo śmierdziało tam kocim moczem. Nie odważył się zapytać Octavii, dlaczego nie pomagają jej dzieci, ale i tak udzieliła mu odpowiedzi - Silvia mieszkała z drobnym urzędnikiem i dwojgiem dzieci w Bragancy i sama musiała oszczędzać, a Xavier w wyniku różnych złych inwestycji był zupełnie zrujnowany. No, brawo, myślał Ricardo -zapewne Octavia już się cieszyła, że „bogaty siostrzeniec z Ameryki” pospieszy na jej ratunek.

Poza tym w okolicy była tylko jedna osoba, którą Ricardo chciał zobaczyć, ale zwlekał z wizytą. Musiał się przełamać. Być może teraz, gdy dni stały się dłuższe i humor mu się poprawił, nadszedł już czas - jeśli chciał się tu poczuć naprawdę dobrze, musiał koniecznie przeprosić donę Aldorę, bibliotekarkę. Jakiż był wtedy ślepy! Stara dama, o czym teraz wiedział, lubiła go i wspierała w jedyny możliwy sposób, czyli biorąc go pod swoje skrzydła, ale nie dając mu tego odczuć. Rezerwowała książki i zamawiała różne pozycje wyłącznie dla niego, traktowała go jak dorosłego, nawet kryła jego kradzieże - a on, zamiast jej podziękować, po prostu przyniósł skradzione książki i odszedł urażony.

Ricardo spojrział na zegarek. Tuż po czwartej. Mógł właściwie zaraz jechać do miasta. I tak musiał kupić jeszcze kilka rzeczy, szczególnie artykuły biurowe. To także już długo odkładał. Na czarny golf narzucił jedną ze swoich amerykańskich marynarek, które wszędzie wywoływały rozbawione spojrzenia, włożył lotnicze okulary przeciwsłoneczne. Ujdzie. Może się poddać surowej ocenie dony Aldory. Wyszorował ręce i uśmiechnął się na wspomnienie surowych kontroli bibliotekarki. Tak, teraz naprawdę się cieszył, że zobaczy znowu starą damę.

W bibliotece dowiedział się, że dona Aldora już tam nie pracuje. Gdzie może ją znaleźć? Wzruszenie ramion. Ricardo najchętniej spoliczkowałby znudzoną osobę za kontuarem, ale to pewnie też by nic nie dało. Opuścił bibliotekę i udał się prosto na komisariat.

- Oho, słynny da Costa! Proszę, proszę - jednak zrobiliśmy z ciebie porządnego obywatela.

Wachmistrz się zestarzał. Ricardo przyjął bez komentarza jego protekcyjnalne zachowanie oraz tykanie tylko dlatego, że nie chciał wdawać się w dyskusje, lecz jak najszybciej dowiedzieć się, gdzie może znaleźć donę Aldorę. Miał nadzieję, że nie umarła.

- Nie mam uprawnień, by podawać nieupoważnionym adresy naszych obywateli - odparł policjant w niezamierzenie śmiesznym biurokratycznym żargonie.

- A gdybym miał prezent dla dony Aldory? Albo chciałbym jej przekazać wiadomość o wielkim spadku? A gdyby wygrała na loterii?

Policjant nie znał litości i po raz pierwszy wypowiedział zdanie, z którego wynikało, że jednak ma coś takiego jak mózg:

- Jakby nasza rozsądna dona Aldora miała kiedyś grać na loterii! Ricardo uśmiechnął się.

- Ach, proszę, tenente, niech mi pan poda adres. Nie chcę jej skrytobójczo zamordować. Może miałby pan ochotę przelecieć się kiedyś ze mną nad swoim domem?

Kwadrans później Ricardo stanął przed wejściem malutkiego domku w pobliżu dworca. Zapukał kilka razy. Usłyszał, jak ktoś zakłada łańcuch. Drzwi nieco się uchylły.

- Tak?

- Dono Aldoro, nie pamięta mnie pani? Jestem Ricardo da Costa.

Drzwi zamknęły się na chwilę, zdjęto łańcuch, a potem stanęli naprzeciw siebie. Tak jak oczekiwał, zażywna bibliotekarka, która wcale nie wyglądała bardzo staro, przyjrzała się mu uważnie od stóp do głów.

- Ricardo da Costa - a czego tu szukasz? Miałam nadzieję, że ktoś taki jak ty zajdzie dalej.

Ricardo zaniemówił. To było powitanie, jakiego jeszcze nigdy nie słyszał. Podobało mu się.

Uśmiechnął się do niej i w końcu ona również pozwoliła sobie na uśmiech.

- No cóż, przynajmniej nauczyłeś się, że trzeba myć ręce, zanim przystąpi się do straszenia starszych pań. Wejdz.

Poprosiła, by usiadł, nastawiła kawę i dołączyła do niego w porządnie wysprzątanym pokoju. Najwyraźniej dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie ma już do czynienia z chłopcem, bo nieco zakłopotana powiedziała:

- Wcześniej zwracałam się do pana na „ty” ze starego przyzwyczajenia. Proszę mi wybaczyć. Jest pan dojrzałym mężczyzną.

Nim Ricardo zdołał odpowiedzieć, że sposób zwracania się do niego jest mu całkowicie obojętny, podjęła:

- Chociaż uważam, że powinien pan wyjąć z ust tę gumę do żucia. Na coś takiego nie pozwoliłabym nigdy w mojej bibliotece i szczerze mówiąc, w domu też nie odpowiada mi widok przeżuwających szczęk.

Ricardo spojrział na nią zdumiony, przestał żuć i rozciągnął usta w uśmiechu, który stawał się coraz szerszy, aż wreszcie roześmiał się głośno.

- Jest pani cudowna, dono Aldoro!

- Czy to właśnie chciał mi pan powiedzieć i dlatego zadał sobie trud, by mnie tu odwiedzić? - spytała z oburzeniem. Uznała zapewne, że Ricardo z niej kpi.

- Tak. Właśnie to chciałem pani powiedzieć.

Skonsternowana pokręciła głową i poszła do kuchni, by przynieść kawę. Gdy szczekała naczyniami, Ricardo wpadł na pewien pomysł. Wspaniały pomysł, mówiąc ściślej.

Kiedy dona Aldora weszła do salonu z tacą, zastawiła stół dobrą porcelaną i zdjęła z babki piaskowej siatkę chroniącą przed muchami, by odkroić kawałek ciasta, plan w głowie Ricarda był gotowy we wszystkich szczegółach.

Musiła się tylko zgodzić.

## Rozdział Pięćdziesiąty Drugi.

Paulo da Costa już żałował swojej decyzji. Nie powinien był nigdy dać się namówić żonie, by pojechali na urlop razem z synem i jego młodą rodziną. Teraz przez następne dwa tygodnie był skazany na wysłuchiwanie paplaniny swego pierwszego wnuka oraz wymądrzających się kobiet, które próbowały wykazać się jak największą wiedzą na temat niemowląt.

- Musisz go trzymać tak, żeby patrzył ci przez ramię, a potem poklepać po plecach.

- Ale wtedy mnie pobrudzi!

- Podłóż sobie serwetkę.

To były tematy, którymi dzień w dzień zajmowały się jego żona Fatima i synowa Claudia. Najgorsze było to, że on sam zmieniał się w opiekuna niemowlaka i spędzał z wnukiem więcej czasu, niż mogło być dobre dla pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Paulo właśnie przyłapał się na tym, że powiedział do dziecka „gagaga” i połaskotał je w podbródek. Uśmiech chłopca naprawdę go rozbijał. Tymczasem jego nieudany syn Antonio chrapał na słońcu. Mój Boże, miał dopiero dwadzieścia dwa lata i już zachowywał się jak emeryt. Dlaczego tak się pospieszył z żeniactwem i zakładaniem rodziny? Dzisiaj nie trzeba było się już żenić -choć oczywiście dawniej też istniały sposoby, by tego uniknąć.

Antonio i jego żona nazwali synka Ricardo, po zmarłym ojcu Claudii. Właśnie. Nie dało się ich od tego odwieść i w końcu, kiedy nawet Fatima zdenerwowała się, że mąż ciągle ingeruje w te sprawy, Paulo się poddał. W taki sposób doszło do tego, że w piękny lipcowy dzień 1971 roku raczkował na plaży za małym Ricardem, próbował zainteresować go babkami z piasku i w ogóle robił z siebie pajaca.

Chłopak uparcie zmierzał do morza. Na szczęście był odpływ. Odsłonięty przez wodę piasek stał się mokry i ciężki. Mały przysiadł przed



zamkiem z piasku jakiejś niemieckiej rodziny i oczarowany przyglądał się postępom w budowie. Paulo sam był zafascynowany teutońskim pędem twórczym, który najwyraźniej nie ustawał nawet na wakacjach. Dziadek i wnuk siedzieli przez chwilę obok budowli. Potem Paulo stwierdził, że przyglądanie się jest jeszcze gorsze niż przystąpienie samemu do pracy. To, co osiągnęli owi turyści, on sam potrafił od dawna. Kilka metrów obok niemieckiego zamku zaczął wznosić fundamenty portugalskiej warowni. Ricardo piszczał z zachwytu i rzucał mokrymi packami piasku.

Po godzinie w palącym słońcu ich dzieło zaczęło nabierać kształtów - i to wyraźnie nie średniowiecznego zamczyska, lecz Quinta das Laranjeiras, dawnego domu Paula w Pinhao. Każdy psychiatra, pomyślał Paulo, zacierałby ręce wobec zdradzieckiej siły podświadomości. Ale w pobliżu nie było żadnego szarlatana, a także nikogo, kto znałby Quinta das Laranjeiras na tyle dobrze, by zidentyfikować nieforemny piaskowy twór. Żona Paula na początku ich małżeństwa była tam może raz czy dwa. Teraz przepiękna posiadłość należała do Anglików.

Reszta ich dawnego majątku także znalazła się w obcych rękach. On sam, przyznawał Paulo, nie był tu zupełnie bez winy. Tę wpadkę z Ronaldem naprawdę mógł sobie darować. Ojciec okazał się nieprzejednany i chyba rzeczywiście zamierzał przehulać wszystkie pieniądze. A najwyraźniej miał na to jeszcze dużo czasu - w wieku osiemdziesięciu jeden lat Rui da Costa nie był wcale gotowy, by się wycofać. Paulo nie wiedział, czy powinien przeklinać, czy błogosławić długowieczność cechującą ród da Costów. Dobrze, że i on odziedziczył tę skłonność - uważał się za bardzo atrakcyjnego i młodzieńczego jak na swój wiek.

Paulo zrobił małą przerwę w męczącej i bezsensownej pracy, którą i tak zniszczy kolejny przyptyw. Popatrzył na swoją rodzinę. Z daleka Fatima w niemodnym, zbyt zabudowanym kostiumie wyglądała jak stara babcia. Synowa nie była wiele lepsza z pofałdowanymi udami. A Antonio też nie mógł uchodzić za adonisa. Paulowi nie przyszło do głowy, że obserwująca go rodzina może myśleć o nim to samo. Pomijając pokaźny brzuch, nadal wyglądał przecież całkiem nieźle.

I był zdecydowanie za młody, by zostać dziadkiem. Paulo podniósł niemowlę, przytrzymał piszczące dziecko przed sobą na wyciągnięcie ramion i zaniósł z powrotem na ich miejsce.

- Chyba był trochę za długo na słońcu. - To mówiąc, odwrócił się od krewnych i zaczął się przechadzać nad brzegiem z nadzieją, że nikt nie

skojarzy go z brzydką, hałaśliwą rodziną, która zajmowała sporo miejsca na plaży ze swymi parasolami, koszem piknikowym i zabawkami.

Dostrzegł kobietę, która od tyłu wyglądała wyjątkowo apetycznie, ze sprężystymi, jędrnymi pośladkami w opiętych, modnych, wyjątkowo małych majteczkach bikini. Kobieta oparła ręce na biodrach i spoglądała w niebo. Niedawno nad plażą zaczęły latać samoloty ciągnące za sobą plakaty reklamowe. Paulo zbliżył się do kobiety, stanął obok i również spojrzął w górę. To będzie idealny pretekst do nawiązania rozmowy. Jednak na widok reklamy po prostu zaniemówił. „Poszerz swoje horyzonty. Escola de Aviação Belo Horizonte. Także loty turystyczne. Tel. 04/9 75 34”.

- Ach, byłoby pięknie umieć latać - usłyszał głos kobiety. Paulo obrócił się do niej i po raz pierwszy zobaczył jej twarz. Była zniszczona i szpecił ją ogromny rzymski nos. Odszedł bez komentarza.

Był zbyt zdenerwowany, by wrócić na miejsce i słuchać babskiej paplaniny. Szybko stąpał po piasku i tak pograżył się w myślach, że nie czuł ani palących stóp, ani strumyków potu spływających mu po plecach. To już szczyt! Jak Ricardo - ten niewydarzony szczeniak, ten kundel! - miał czelność zrobić taki cyrk? Ktoś wreszcie musi chłopaka nauczyć pokory. Nie można przecież pozwolić, by nieślubny syn żydowskiego ojca i matki również pochodzącej z nieprawego łoża zachowywał się tak arogancko, podczas gdy przyzwoitym ludziom, dobrym katolikom i praworządnym obywatelom wiodło się coraz gorzej. Loty turystyczne! Kogo w tych ciężkich czasach stać na coś takiego?

Jeszcze boleśniej niż świadomość, że jego siostrzeniec - przyrodni siostrzeniec - najwyraźniej do czegoś doszedł, uderzyła Paula świadomość własnej porażki. Nic nie wiedział, zupełnie nic. Stał się nieuważny. Nie wiedział ani o tym, że Ricardo wrócił ze Stanów, co zdaniem Paula świadczyło o bezgranicznej głupocie, ani nie śledził losów Belo Horizonte. Sądził, że podupada, skoro Laura przeniosła się do Lizbony, a Octavia i jej dzieci się wyprowadziły. Jakimż był głupcem! I jeszcze za grosze odsprzedał Laurze część spadku po matce - tę ziemię, nad którą teraz Ricardo zapewne wykonywał swe loty. Merda!

Paulo wielokrotnie przeszedł już ograniczoną skałami plażę. Krew uderzyła mu do głowy, co spowodowane było zarówno wściekłością, jak i upałem. Krótco ochłodził się w wodzie, z trudem chwycił powietrze i pobiegł do rodziny. Mały Ricardo natychmiast do niego podpełzł, ale Paulo szorstko odsunął wnuka.

- Na pewno pielucha jest pełna - powiedział do Claudii. - Czuć. -Synowa wzięła dziecko i powąchała jego pupę. Paulo miał nadzieję, że nie widział tego nikt z pozostałych plażowiczów. Rany boskie, czy młode matki nie mają żadnego poczucia wstydu?

A dalej było jeszcze gorzej. Gdy Claudia stwierdziła, że diagnoza teścia się zgadza, zaczęła na rozłożonym ręczniku zdejmować dziecku pieluchę. Potem zaniósła malca do wody i obmyła mu pupę. Pełną pieluchę, jedną z tych nowoczesnych jednorazówek, wrzuciła do kosza na śmieci. Paulo bez słowa przyglądał się temu szokującemu pokazowi.

Przysiągł sobie, że już nigdy nie wykąpie się na publicznej plaży.

Odkąd dona Aldora zaczęła na pół etatu pracować w jego szkole, początkowa euforia Ricarda znacznie ustąpiła. Wreszcie miał czas, by zatroszczyć się o sprawy, które leżały mu na sercu. Dona Aldora walczyła z urzędami, deklaracjami podatkowymi, księgowością oraz utrzymaniem pomieszczeń - i to z gorączkowym zapałem. Ta kobieta okazała się prawdziwym skarbem. Była inteligentna, pracowita i dokładna. Choć nie zdobyła wykształcenia sekretarki i знаła tylko podstawy pisania na maszynie i księgowości, wdrożyła się w błyskawicznym tempie i załatwiała wszystkie powierzone jej zadania z właściwą sobie sumiennością. Potrzebowała może dwóch minut dłużej niż wykwalifikowana pomoc, by napisać na maszynie list, ale nie musiała go przepisywać na nowo, bo nie było w nim pomyłek. Dona Aldora nie robiła błędów. Już po krótkim czasie Ricardo nie musiał czytać dokładnie każdego pisma, lecz podpisywał je po krótkim przejrzeniu. Ufał jej bezgranicznie. Nie tylko w kwestiach pisowni.

Dona Aldora nie bała się niczego, nie dawała się nikomu oszukać i była całkowicie nieprzekupna. Sprawiało jej radość kontaktowanie się z urzędami, wielu urzędników bowiem, którzy znali ją jeszcze z dawnych czasów w bibliotece, okazywało jej respekt. Rezulutna dama rozkwitała w nowej pracy. Miała sześćdziesiąt siedem lat, ale zarówno duchowo, jak i fizycznie była sprawna jak czterdziestolatka. Zaczęła nawet zgłębiać sama podstawy lotnictwa - by rozumieć, co się wokół niej dzieje. Chciała móc odróżnić sensowne polecenia ze strony nadzoru lotniczego od niepotrzebnych szykan, a poza tym być bardziej zorientowaną niż impertynenckie matolki, które uczyły się latać u Ricarda da Costy. Znała większość z nich. Skoro oni byli w stanie

zrozumieć prawa aerodynamiki, to niech ją gęś kopnie, jeśli i ona sobie nie poradzi.

Ale do samolotu nie wsiądzie już nigdy w życiu. Chłopak - tak nazywała w myślach swojego pracodawcę - zabrał ją kiedyś na wspólny lot i to jej wystarczyło. Śmigła głośno huczały i wprawiały samolot w wibrację, a w powietrzu objęli się między grubymi chmurami, aż robiło się niedobrze. „Termika” - wyjaśnił chłopak, który, jak podejrzewała dona Aldora, po cichu cieszył się z turbulencji. Na jego twarzy malowało się uszczęśliwienie. Nie - choć bardzo się cieszyła, że Ricardo da Costa odnalazł swoje powołanie, ona nie będzie podzielać jego zachwyty lotnictwem.

A przy tym dona Aldora nawet nie wiedziała, czego oszczędził jej Ricardo. Z nikim nie leciał nigdy tak ostrożnie. Na wspomnienie skamieniałej twarzy starszej pani Ricardo nadal śmiał się w duchu. Dowiodła odwagi, to trzeba jej było przyznać. Nie krzyczała, nie trzęsa się, nie trzymała się kurczowo siedzenia ani w żaden inny sposób nie dała po sobie poznać, że się boi. Zdołała nawet mocnym głosem spytać o przyrzady i ich znaczenie. Uważnie słuchała objaśnień i Ricardo był przekonany, że zapamiętuje je dokładniej niż jego uczniowie, z których niemal wszyscy chcieli wykonywać same ryzykowne manewry.

Szkoła sprawiała teraz znacznie poważniejsze wrażenie, co również było zasługą dony Aldory. Zaraz na początku pracy złażała sprzątaczkę za niedbalstwo i skleciła sobie zaimprovizowany kontuar, za którym siadywała jak w bibliotece. Każdy, który przyszedł do szkoły po raz pierwszy i zobaczył donę Aldorę, w mgnieniu oka nabierał szacunku. Przy telefonie nie było inaczej. Ludzie zainteresowani lotami słyszeli szelest, jakby dona Aldora musiała przeglądać cały kalendarz w poszukiwaniu wolnego dnia. Klienci zawsze byli bardzo zadowoleni, gdy wyjątkowo udało się im jeszcze uzyskać wybrany termin.

Jedynym, co nie podobało się Ricardowi w cudownej asystentce, był fakt, że wydawała się przekonana, iż jej autorytet rozciąga się również na jego sprawy osobiste. Prywatne życie przełożonego naprawdę nie powinno jej obchodzić. Zaczęło się od uwag typu: „Ricardo, musi pan jadać regularnie”. Teraz doszło już do tego, że kazała mu szukać żony.

- Ricardo, nie może pan mieć jako jedyne damskiego towarzystwa takiej starej panny jak ja. To panu nie służy.

- Ależ przeciwnie, służy mi świetnie! - roześmiał się. - Odkąd pani tu jest, wszystko idzie jak z płatka.

- Tak. Poza pana życiem uczuciowym.

Ricardo niemal się zakrztusił, ale zdobył się na rzeczową odpowiedź:

- Przepraszam, dono Aldoro, ale to w ogóle nie powinno być pani zmartwieniem.

- Ale jest. Tak często lata pan do Lizbony, ale zawsze wraca jeszcze tego samego dnia ze smutną miną. Dlaczego nie zabierze pan gdzieś swojej dziewczyny wieczorem? Mógłby pan zostać na noc. Oczywiście u pańskiej matki.

Ricardo zdziwił się, skąd wie o „jego dziewczynie”, ale szorstko zakończył dyskusję. O tych sprawach z nikim nie chciał rozmawiać, a już na pewno nie ze starą panną taką jak dona Aldora. Cóż ona wiedziała o miłości?

Zapewne byłoby mądrzej zupełnie zerwać kontakt z Marisą niż sporadycznie spotykać się z nią na kawie. Gdy Ricardo był w Lizbonie, zawsze dzwonił do niej do biura, a jeśli czas jej pozwalał, umawiali się w pobliżu jej firmy. Pół godzinki tu, kwadrans tam - to wszystkie spotkania, jakie odbyli w minionym miesiącu. Erotyczne podteksty coraz bardziej ustępowały stosunkom kumplowskim. Zachowywali się jak dobrzy znajomi. Doprowadzało to Ricarda do szału. Lecz wspaniały pomysł dony Aldory, by zabrać gdzieś Marisę wieczorem, był po prostu nierealny - Marisa mieszkała z mężczyzną. Cholernym intelektualistą imieniem Cristiano.

Ricardo nienawidził tego nieznanego faceta bardziej, niż nienawidził kiedykolwiek wroga na wojnie, bardziej nawet, niż nienawidził upartego starca, który nadal był właścicielem ziemi przeznaczonej pod wieżę kontroli lotów. Wobec Marisy jednak nie dał po sobie nic poznać. Udawał swobodnego i wesołego i dopiero w drodze do domu dawał upust emocjom, kręcąc niebezpieczne spirale lub latając zbyt blisko burzowych chmur.

Po co właściwie tak się dręczy, skoro jedyna kobieta, której pragnął, nim pogardza? Jeśli szkoła będzie się dalej tak świetnie rozwijać, za kilka lat Ricardo stanie się bogaty. I co wtedy zrobi z pieniędzmi? Dalej będzie zostawiał je u Clarice, którą czasami odwiedzał i która dbała przynajmniej o to, by jego płyny organiczne znajdowały się w równowadze? Rozejrzy się w wiosce za żoną wśród tych wszystkich młodych kobiet, które były za głupie lub za bojaźliwe, by szukać szczęścia za granicą?

W podeszłym wieku będzie nadal spotykać się z Marisą na kawie i z nieporuszoną miną pytać o jej gromadkę dzieci, jaką bez wątpienia zrobi jej ten cholerny Cristiano? Wszystko, tylko nie to!

Nie, postanowił Ricardo, najwyższy czas odrzucić wszelką przyzwoitość. W normalnych okolicznościach nigdy nie odebrałby kobiety innemu mężczyźnie, ale co to są „normalne okoliczności”? W zasadzie miał do Marisy dawniejsze prawa. Nie dbając o Cristiana, zaprosi ją na kolację. A może najlepiej od razu na dłuższą wycieczkę. Co może mu się stać, jeśli odmówi? Bo jeśli poważnie traktuje tego faceta, na pewno to zrobi. A jeśli wbrew oczekiwaniom się zgodzi, to ona sama złamie dobre obyczaje.

Jego zamiar osłabł już następnego ranka. W zasadzie Ricardo chciał od razu wylecieć, ale w prognozie pogody zapowiedziano poważne burze.

- I to dziś, gdy właśnie chciałem zmienić pani dobrą radę w czyn - powiedział do dony Aldory.

- Którą radę?

- Tą z nocowaniem... u mojej matki.

- Ach tak. - Zamknęła segregator z aktami, wstała i z miną eksperta spojrzała na ciemne niebo. - Ricardo, nie chce mi pan chyba wmówić, że przestraszy pana kilka śmiesznych cumulonimbusów?

Popatrzyła na niego surowo. Jej poważne spojrzenie nie straciło nic ze swej surowości, gdy Ricardo wybuchnął cichym śmiechem i chwycił kluczyki.

## Rozdział Pięćdziesiąty Trzeci.

Leciał jak po życie. W powietrzu dziko nim trzęsło, a mała cessna była tylko zabawką dla potężnych, zderzających się ze sobą prądów powietrza. Wylądował twardo - i czuł się potem bardziej żywy i radosny niż kiedykolwiek. Jeszcze z lotniska zadzwonił do Marisy, ale numer okazał się zajęty. No dobrze, tak czy siak była w domu. Jasne, bo przecież kiedy, jeśli nie w sobotę przed południem? Pojechał do niej taksówką, zapłacił, wysiadł i zadzwonił. Zadzwonił ponownie. Taksówka odjechała, rozchlapując brudną wodę, która wylądowała na spodniach Ricarda. Na drugim piętrze otworzyło się okno.

- Kto tam? - Domofony, powszechne w Stanach, w Lizbonie rzadko się spotykało. Ricardo cofnął się o kilka kroków i stanął na ulicy. W rześnym deszczu spojrzął do góry. To była Marisa.

- Byliśmy na dzisiaj umówieni! - przekrzyczał grom i głośny szum wody. Dwie minuty później zeszła i otworzyła drzwi. - Przyznaj się, zapomniałaś o naszej randce? - przywitał ją i przejechał dłońmi po zupełnie mokrych włosach.

- To niewybaczalne, wiem - Marisa uśmiechnęła się ironicznie i spojrzała na niego badawczo. - Powiedz, leciałeś w taką pogodę?

- Musiałem. Nie mogłem się do ciebie dodzwonić.

- Niektórzy ludzie muszą spać. Ja do nich należę. - Uznała za niewiarygodnie zuchwałę z jego strony, że zjawia się niezapowiedziany, w dodatku w porze, gdy każdy normalny człowiek nie jest jeszcze gotów przyjmować gości, a potem przybiera ten pełen wyrzutu wyraz twarzy, bo nie podeszła do telefonu. Marisa niedawno wstała. Jeszcze nie wzięła prysznic, nie wypła kawy i tylko szybko narzuciła podomkę, by go wpuścić. Z czystej uprzejmości spytała: - Chcesz wejść? Możesz na górze wysuszyć włosy. Postaram się znaleźć jakąś koszulę, która by na ciebie pasowała.

Ricardo skinął głową, pomyślał jednak, że wolałby zrezygnować z suchej koszuli, gdyby się okazało, że należy do tego faceta. Wspiął się za Marisą po stromych schodach i podziwiał jej nogi i ładną pupę.

- Jesteś... sama? - spytał, gdy stanęli przed drzwiami. Wcześniej nie zamierzał wchodzić do jej mieszkania. Co, jeśli panoszy się tam ów facet?

- A wolałbyś, żebym była?

- Tak.

Wreszcie Marisa obdarzyła go prawdziwym, przyjaznym uśmiechem. Ta szczerość jej się podobała. Była rozbrajająca.

- Cristiano wyjechał na weekend z kilkoma przyjaciółmi.

Ricardo z ulgą podążył za nią korytarzem. Zobaczył telefon. Słuchawka leżała obok aparatu. Weszli do salonu, który wyglądałby jak centrala dowodzenia „Enterprise”, gdyby nie stare fragmenty stiuków na suficie. Stały tu dziwne kształty meble ze sztucznego tworzywa w kolorach białym i pomarańczowym, futurystyczne okrągłe lampy i nowoczesny telewizor z pilotem na kablu. Zauważył też adapter i magnetofon, także białe i w modernistycznym stylu, a poza tym mnóstwo drobnych akcesoriów w ostrych barwach. Gdy Ricardo zdumiony rozglądał się po tej świątyni nowoczesnego designu, która wyglądała jak wyjęta prosto z kolorowego czasopisma, Marisa krzątała się w kuchni.

Nieco później postawiła przed nim kubek kawy.

- Wyjaśnisz mi teraz, co to za najście?

- Miałem ochotę cię zobaczyć.

- A nie zastanowiłeś się, czy ja mam ochotę cię zobaczyć?

- Owszem. Uznałem, że tak.

- Takie ego jest naprawdę godne pozazdroszczenia. Dla tego, kto je ma. Dla innych jest zupełnie nieakceptowalne.

Och, wyglądała tak słodko, gdy stała przed nim nieuczesana, w powiewnych szatkach, z oburzoną miną!

- Czy to znaczy, że nie miałaś ochoty mnie widzieć?

- To nieistotne. W żadnym wypadku nie miałaś prawa tak zniecka mnie nachodzić i zakładać, że ci się uda.

Oczywiście miał takie prawo - jeśli cieszyła się z jego odwiedzin, to znaczy, że postąpił w jedyny słuszny sposób. Jej logika była wyjątkowo poplątana. Ricardo bezradnie wrzucił ramionami.

- A gdyby był tu mój chłopak? Co byś wtedy zrobił? - spytała gniewnie.



- Zastrzelił go?

Marisa mimo woli musiała zachichotać.

- No dobrze, Ricardo da Costa. Na co, mówiłeś, byliśmy umówieni?

Po deszczowej sobocie w kinie nastąpiła słoneczna niedziela na plaży, potem środowy wieczór przy blasku świec w lokalu fado w dzielnicy Alfama. W ciągu kolejnych tygodni widywali się często i Ricardo zastanawiał się, jakim niedojdą jest ten Cristiano. Na jego miejscu już dawno rozmówiłby się z rywalem lub nawet go pobił. A może wcale nie był z Marisą? Może chodziło tylko o wynajmowanie mieszkania? Nie, bo wtedy Marisa z pewnością byłaby bardziej otwarta wobec Ricarda, prawda? Nie dała mu nic więcej niż kilka powłóczystych spojrzeń i elektryzujących momentów. Może powinien wytoczyć cięższe działa? Zacząć pisać gorące listy miłosne? Ach, co tam, na pewno uznałaby to za drobnomieszczańskie.

Nie potrafił sobie wyjaśnić tego dystansu. Z pewnością nie była to jego wina, nie mógł wyraźniej okazywać swych intencji. Ale gdy zbliżał się październik, znów dona Aldora pomogła mu dokonać decydującego przełomu.

- Ricardo, wiem, że to nie moja sprawa. Ale cokolwiek twierdzą dziś młode panny, żadna kobieta nie miała nigdy nic przeciwko czerwonym różom. - O rany, pomyślał, Marisa mnie udusi, jeśli zdobędę się na taki konserwatywny, przestarzały gest. Dobra dona Aldora nie była całkiem up to datę. - Niech pan to po prostu zrobi, przecież pana nie udusi - powiedziała dona Aldora, jakby czytając w jego myślach. Dobrze więc. Marisa nie może jeszcze bardziej go wyśmiać.

Nie wyśmiała go jednak. Była nawet bardzo uradowana, wręcz wzruszona, i zdumienie Ricarda było równie wielkie jak świeżo zdobyte przekonanie o swoim talencie uwodziciela. Miał wrażenie, jakby pękła tama. Postanowienie, by zabiegać o Marisę tak staromodnymi metodami, wyzwoliło w Ricardzie olbrzymie pokłady energii. Będzie się o nią starał zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki - i nie spocznie, dopóki Marisa nie zostanie jego żoną. To znaczy potem także nie spocznie. Było mu całkowicie obojętne, czy inni uznają środki, których się chwycił dla osiągnięcia celu, za przesadne, wstydlive czy śmieszne. Liczyła się tylko Marisa. Co miał do stracenia? Przyjazne pogawędki nie posuwały go ani o krok do przodu. Teraz pomagały wyłącznie ekstremalne -

a w razie potrzeby również ekstremalnie kiczowate - metody. W końcu cel uświęca środki.

Żaden prezent nie mógł być zbyt romantyczny, żaden gest zbyt uczuciowy, żadne słowo zbyt kwieciste. Ale wbrew zaleceniom dony Aldory, która zdawała się w ten sposób dawać wyraz wszystkim swoim dawnym dziewczęcym marzeniom, nie pisał dla Marisy wierszy. Za to robił polaroidem zdjęcia, które opatrywał dwuznacznymi podpisami i wysyłał pocztą - nie mógł przecież ciągle latać do Lizbony. Jedno ze zdjęć ukazywało jego dłoń kołyszącą się nad dwoma jabłkami, niezdecydowaną, po które sięgnąć najpierw, czerwone i chrupiące czy pomarszczone. Napisał pod nim: „Udręka wyboru...”. Inne przedstawiało nagą stopę w strumieniu, podpis głosił: „Kto się boi skoku na głęboką wodę?”. Na innym widać było skrzydło samolotu, pod tym zdanie: „Tylko teraz nie odleć”. Jedynie na tyle było go stać, jeśli chodzi o artyzm, ale sposób najwyraźniej działał.

I rzeczywiście, gdy pewnego dnia wielokrotnie przeleciał nad jej firmą z flagą, na której niczym wydrapana na korze drzewa wiadomość widniało „RYM”, wieczorem tego samego dnia zdołał Marisę pocałować. Gdyby tylko wiedział wcześniej, że podobają się jej takie głupstwa, codziennie robiłby z siebie błazna! Byłby już wtedy znacznie bliżej celu.

Marisa raz po raz przypatrywała się polaroidom. Miał piękne dłonie i stopy. Smukłe, ale silne i męskie. Na zdjęciu ze stopą widać było również łydkę, opaloną na brązowo, masywną, kształtną i pokrytą ciemnymi włosami, które, mokre i gładkie, przywierały do skóry. Jakież to seksowne! Jak wspaniałe jest ten mężczyzna! Przystojny, inteligentny, odnoszący sukcesy, z wyobraźnią, w dodatku zabiega o Marisę tak, jak zapewne większość kobiet mogła tylko pomarzyć. Wykazywał upór, a jeśli pamięć ją nie myliła, był także dobrym kochankiem. Spełniał właściwie wszystkie wymagania, jakie stawia się księciu z bajki. Tylko dwie rzeczy zupełnie się Marisie nie podobały i to dlatego nie decydowała się, by dać mu więcej - choć tak naprawdę niczego nie zrobiłaby chętniej, niż wskoczyła Ricardowi do łóżka. Po pierwsze, wiedziała, że nie da jej spokoju, dopóki nie zostanie jego żoną. Po drugie, zabiegi Ricarda powoli przybierały cechy lekkiej manii. Była przekonana, że ją potajemnie obserwuje lub każe obserwować, a to zupełnie jej nie odpowiadało.

Zaledwie wczoraj znowu zauważyła tego człowieka, jak czytając gazetę, siedział za kierownicą samochodu zaparkowanego przed jej domem. Czy był to prywatny detektyw? Czy Ricardo nie cofa się nawet przed takimi środkami tylko po to, by się dowiedzieć, kim jest dla niej Cristiano? Któremu w rzeczywistości pozwalała tylko u siebie mieszkać i z którym, pomijając kilka wyskoków po nadmiernym spożyciu wina, nic już jej nie łączyło. I którego wkrótce znowu wystawi za drzwi - jego żalosna postawa działała Marisie na nerwy. Niech sobie gotuje dla niej, ile chce.

Poszła do przedpokoju i poszukała w książce telefonicznej numeru Belo Horizonte.

- Szkoła lotnicza Belo Horizonte, bom dia. Czym mogę służyć? - usłyszała głos starszej damy wypowiadającej tę przyjazną formułę w najpiękniejszym amerykańskim stylu. Na pewno nauczył ją tego Ricardo - sama z siebie, jak to zwykle w Alentejo, kobieta na pewno rzuciłaby szorstkie „tak?”. Musiało chodzić o legendarną donę Aldorę, o której jej opowiadał.

- Bom dia. Chciałabym rozmawiać z Ricardem da Costą.

- W jakiej sprawie?

- Prywatnej.

- A jak brzmiało pani nazwisko?

- Moje nazwisko brzmiało i brzmi Marisa Monteiro Cruz.

- Och - chwileczkę. - Minęła wieczność, nim wróciła do aparatu. - Menina Marisa? Senhor Ricardo właśnie lata z uczniem. Czy chciałaby pani zostawić wiadomość?

Marisa zastanawiała się, ile Ricardo opowiedział o ich znajomości swej cennej asystentce, że ta ośmiela się już zwracać do niej per „menina Marisa”, panno Mariso. Ale to osobna sprawa. Teraz chciała załatwić coś innego.

- Tak. Proszę mu przekazać, żeby natychmiast odwołał swoich szpicli. Jeśli jeszcze raz zobaczę tu ten samochód, może się już do mnie nigdy nie odzywać. - Po tych słowach odwiesiła słuchawkę i zostawiła na drugim końcu wstrząśniętą donę Aldorę, która zastanawiała się, czy nie wyrzuciła chłopakowi niedźwiedziej przysługi. Ta Marisa jest niemożliwa!

Godzinę później zadzwonił Ricardo.

- Co to ma znaczyć? Przestraszyłaś donę Aldorę tą złowieszczą wiadomością.

- Pięknie, że o swoją pracownicę troszczysz się bardziej niż o mnie. Więc, mój drogi, słuchaj uważnie - jeśli jeszcze raz zobaczę przed moimi drzwiami tego prywatnego detektywa czy kimkolwiek jest, już nigdy w życiu nie pokazuj się mi na oczy! - Jej serce biło mocniej, gdy wreszcie dała wyraz wściekłości.

- Co to za bzdury opowiadasz? - spytał Ricardo i kątem oka zauważył oburzoną minę dony Aldory. - Dlaczego miałbym kazać cię śledzić?

- Dlaczego? Bo... bo jesteś jak opętany. Bo pewnie płoniesz z zazdrości o Cristiana. Bo nie przestaniesz, póki nie będziesz mnie miał na talerzu. Bo...

- Bo cię kocham? Marisa wstrzymała oddech. Dona Aldora wyszła z baraku.

A Ricardo poczuł, jak uszy robią mu się gorące i czerwone. Czy naprawdę właśnie to powiedział?

- Więc przyznajesz? Uważasz, że miłość usprawiedliwia takie szpiegowanie?

- Nie. - Proszę, dobry Boże, spraw, by przyszło mi do głowy coś pomysłowego! - To znaczy - tak, przyznaję, że cię kocham. - No, powiedział to znowu. Tym razem było to już znacznie łatwiejsze. - I nie - nie zwerbowałem nikogo do obserwowania ciebie czy pilnowania. Boli mnie, że podejrzewasz coś takiego.

- Ach, więc to tobie trzeba współczuć? Okej, Ricardo da Costa. Więc sobie współczuj. Ja nie zrobię nic podobnego. - Rzuciła słuchawkę.

Ricardo siedział przy telefonie jak ogłuszony. Przez okno widział, jak dona Aldora rozmawia na zewnątrz z uczniem. Był jej bardzo wdzięczny za okazany takt. I cieszył się, że właśnie teraz zjawił się spragniony przygód uczeń. Tym razem ulegnie jego prośbom i wykonają kilka naprawdę ekscytujących akrobacji.

Marisa natomiast nie miała nic, co odwróciłoby jej uwagę. Była strasznie zdenerwowana. Czowała puls na szyi. Płakała, sama nie bardzo wiedząc, czy to z wściekłości, czy z radości z powodu jego miłosnego wyznania. Podeszła do okna, spojrzała na dół i znowu zauważyła samochód. A jeśli naprawdę był to przypadek? A jeśli to jakiś sąsiad potajemnie palił w samochodzie papierosa, bo nie mógł tego robić w domu? A jeśli śledzony był ktoś inny z ich domu, może profesor z czwartego piętra? Nie, to niemożliwe. Również przy innych okazjach Marisa miała wrażenie, że ktoś ją śledzi. Nawet w czasie przerwy obiadowej

czuła się obserwowana. Ten typ na dole czaił się na nią i na nikogo innego, to było jasne. Otworzyła okno, wzięła mosiężną konewkę, której już od dawna chciała się pozbyć, i rzuciła ją na dach samochodu, gdzie konewka wylądowała z wielkim trzaskiem. Marisa szybko zamknęła okno. Dobrze jej to zrobiło. Szkoda tylko, że nie mogła zobaczyć wgniecenia na samochodzie i wyrazu twarzy mężczyzny.

Alberto Baiao od razu zauważył, że instruktor jest dziś w niezwykłym nastroju. Syn jego dawnej flamy, kto by pomyślał, że będzie go kiedyś uczył latania? I kto by przypuszczał, że w bezpośrednim sąsiedztwie ich posiadłości powstanie lotnisko? Alberta bardzo to cieszyło. Co prawda żona czasami skarżyła się na hałasy, ale on sam uważał je za mniej uciążliwe niż na przykład zapach gnoju lub inne przykrości, na które było się narażonym na wsi. Nauczy się latać, a potem kupi sobie mały samolot. Wycieczki do Lizbony lub nad morze nie będą już się wiązać z wielogodzinną jazdą samochodem. Lotnictwo wyzwalało. Zbliżało ich odosobnioną posiadłość do miejsc, gdzie toczyło się prawdziwe życie.

Alberto wszedł do jednosilnikowej cessny z lewej strony, Ricardo zajął miejsce po prawej. Mieli za sobą kontrolę zewnętrzną, teraz musieli sprawdzić wszystko w kokpicie przed uruchomieniem silnika. Drzwi zamknięte. Radio i urządzenia elektryczne wyłączone. Wlot paliwa odkręcony. Regulacja klap. Regulator mieszanki - pełen. Stan gaźnika - gotowy. Główny przycisk włączony. Zapłon. To był jeden z najpiękniejszych momentów, gdy śmigło zaczynało się obracać, a mały samolot trząsł się i dygotał.

Następnie, jeszcze stojąc w miejscu, odhaczają kolejne punkty z listy. Alberto Baiao nie musiał już zaglądać do książki - znał spis na pamięć. Skrupulatny instruktor nalegał jednak, by krok po kroku przeszli całą listę. Sprawdzanie ciśnienia oleju, obroty tysiąc na minutę, radio włączone, kontrola instrumentów monitorujących. Potem, podczas toczenia się po pasie, sprawdzenie przedniego koła, hamulców, żyrokompasu oraz klap. Wreszcie, przed startem, przy obrotach silnika wynoszących tysiąc siedemset na minutę, kontrola instrumentów monitorujących pracę silnika, amperometru, ssania oraz wstępnego rozgrzania gaźnika i kompasu. Potem jeszcze sprawdzenie sterów, ustawienie klap i start. Pełny gaz, mocne kołysanie nad pasem, a przy pięćdziesięciu węzłach delikatne uniesienie dziobu. I już byli w powietrzu.

Schowanie klap do dziesięciu stopni, natychmiastowe odczucie rosnącej prędkości, widok oddalających się domów i drzew.

To było po prostu boskie! Alberto Baiao już po pierwszych godzinach ćwiczeń czuł się w tym małym samolocie tak dobrze i tak pewnie, że zupełnie swobodnie rozmawiał z Ricardem, z którym dawno przeszedł na „ty”, o błahych wydarzeniach w wiosce. Teraz, gdy osiągnęli wysokość trzech tysięcy stóp, zapalił papierosa. Palił w milczeniu. Potem otworzył okno i wpuścił nieco świeżego powietrza, które tu, w górze, było wyraźnie chłodniejsze. Ricardo nic nie mówił. To dziwne. Zwykle lubił porozmawiać. Zapewne dlatego, że czuł się w Belo Horizonte samotny i z nikim się nie spotykał. Nie miał nawet żony. Niezły dziwak.

Nagle zrobiło się zupełnie cicho. Ricardo wyłączył napęd.

- No to pokaż, czy uda ci się awaryjne lądowanie.

Alberto poczuł się lekko przytłoczony. Sięgnął jednak po podręcznik, przeszedł dokładnie całą listę i wreszcie wypatrzył długie ściernisko, które wydało mu się idealne. Żadnych drzew, słupów energetycznych, ludzi czy zwierząt. Takie pole świetnie nadawało się do prawdziwego awaryjnego lądowania bez działających silników, przy którym trzeba się zdać wyłącznie na lot ślizgowy i nie można w ostatniej chwili dodać gazu i przerwać podejścia do lądowania, jak zrobiliby to na ćwiczeniu. Alberto całkowicie skoncentrował się na manewrze. Zaczął się pocić. Ale wszystko poszło gładko. Gdy niemal dotknęli ziemi, włączył silnik i pociągnął dziób w górę. Ach, lepiej niż na kolejce górskiej! Na zakończenie przeprowadzili przeciągnięcie, ćwiczenie krytycznego kąta natarcia skrzydła, potem Ricardo polecił mu lecieć nisko, a następnie w różnych ostrych zakrętach. Wreszcie, gdy koszula Alberta była już całkowicie przepocona, Ricardo przejął ster i wykonał salto.

- Przecież zawsze tego chciałeś, prawda? - spytał.

- Czy ten samolot w ogóle nadaje się do takich manewrów? - wykrztusił Alberto.

- Jasne. To przecież 150 areobat.

Alberto skinął mądrze głową i miał nadzieję, że nie widać po nim, jak walczy z odruchem wymiotnym.

W ogrodzie przy swoim nowo wzniesionym domku stał Fernando Abrantes i obserwował mały samolot. Był trochę zazdrosny - najchętniej sam siedziałby w maszynie i w karkołomnych manewrach krążył

nad ukochanym Alentejo. Silniejszy jednak niż zazdrość był niepohamowany gniew. Ten kowboj! Specjalnie kazał uczniom ćwiczyć awaryjne lądowanie w bezpośrednim sąsiedztwie działki Fernanda, by go denerwować. Może powinien na środku pola, które o tej porze roku rzeczywiście świetnie się nadawało do takich ćwiczeń, postawić wysoki obelisk. Albo wykopać wielką dziurę. Coś, co pozbawi teren cech lądowiska. Ale nie, to byłaby głupota. Lepiej pójść oficjalną drogą i złożyć skargę w odpowiednim urzędzie. Nie można dłużej pozwalać, by agresywny pilot bez przeszkód dręczył spokojnych mieszkańców.

Fernando na powrót skoncentrował się na grządce warzywnej. Zebrał garść marchewek, otarł je z ziemi i poszedł do domu. No cóż, właściwie nie mógł go nazwać prawdziwym domem. Była to chatka, altanka ogrodowa. Składała się z jednego tylko pomieszczenia. Nie miała prądu ani bieżącej wody. Fernando jednak postawił pompę, ciepło dawał mu kominek, a gotował na gazie, którego miał w zapasie wiele butli. Zbudował sławojkę i postarał się o dużo świec oraz dwie lampy spirytusowe. Czegoż więcej potrzebował? Był to prawdziwy raj i obecnie Fernando spędzał tu znacznie więcej czasu, niż podobało się Elisabete. Nieco uciążliwe okazały się tylko podróże. Nie widział i nie słyszał już tak dobrze jak kiedyś, ale za to prowadził wyjątkowo uważnie i powoli. Na dojazd musiał przeznaczać cztery godziny, opłacało się to jednak, bo pominąwszy znenawidzonego sąsiada, Fernando znajdował na tym skrawku ziemi więcej spokoju niż gdziekolwiek na świecie. Cudownie było wieczorem jeść samodzielnie wyhodowane plony, popijając kieliszkiem wina, i cieszyć się ciszą, przestrzenią oraz czystym powietrzem.

Od początku sporu prawnego nie szukał kontaktu z okropnym sąsiadem. A ten z nim. Komunikowali się wyłącznie przez prawników, na przykład kiedy Fernando chciał zakazać kowbojowi oblatywania swojej posesji. Nowy prawnik okazał się znacznie lepszy niż stary. Kto by pomyślał? Jednak jego syn Marcos do czegoś doszedł. Obecnie walczył z przedstawicielem drugiej strony o to, czy wolno mu było wznieść swój domek bez pozwolenia na budowę. Marcos uspokoił ojca i powiedział, że „szopa na narzędzia” nie wymaga pozwolenia. A co, jeśli Ricardo da Costa ściągnie mu na kark kontrolę, która stwierdzi, że szopa służy nie tylko do przechowywania narzędzi, lecz także do mieszkania? Diabelski sąsiad naprawdę był zdolny do każdej złośliwości. Jego ostatni podstęp polegał na tym, że spytał w urzędzie, od kiedy to nie wolno latać nad szopami na narzędzia i od kiedy narzędzia otrzymują pocztę.

Z pewnością wygadała się dona Ana Maria, która dostarczyła Fernandowi wszystkiego dwa pisma. Tak, trzeba przyznać, że na miejscu kowboja również wykorzystałby to niedopatrzenie. Dawniej coś takiego by mu się nie przydarzyło. Tą „szopą na narzędzia” wpędził się w sytuację bez wyjścia. Nie, Marcos to zrobił. Nieprzydatny nicpoń.

Fernando umył marchew i zastanowił się, czy pojechać do wioski, by kupić kawałek mięsa. Miał jeszcze chleb i ser, a także ziemniaki i pół szynki. Z powodu braku lodówki zapasy musiały być skromne i Fernando mógł kupować świeże rzeczy tylko w ograniczonych ilościach. Ale dziś usmaży kotlety, poradzi sobie pomimo niewielkich zdolności kucharskich. Wziął kluczyki, poszedł do samochodu, który zostawił na skraju drogi, i ruszył.

W tylnym lusterku zobaczył, że zbliża się do niego inne auto. Po chwili rozpoznał volkswagena kowboja. Ha, to dobre. Chłopak będzie chciał go wyprzedzić - a on, Fernando Abrantes, mu nie pozwoli! Będzie jechać jeszcze wolniej niż zwykle, dobrze wiedząc, co się dzieje w głowie zuchwalca. On sam w młodości także zawsze się spieszył. Volkswagen był teraz tuż za nim. Fernando jechał zakolami. Kierowca z tyłu zatrąbił. Oślepił go. Znowu zatrąbił. Nie mógł mu wyświadczyć większej przysługi - im wścieklej brzmiał klakson, tym bardziej śmiał się w duchu Fernando.

Na siedzeniu pasażerskim volkswagena siedziała dona Aldora i kręciła głową wobec uporu obu stron. Nie chciała rozmawiać z chłopakiem na ten temat. Raz tylko zaczęła, ale przerwał jej bardzo nieuprzejmie:

- Nie chcę już nigdy słyszeć o Fernandzie Abrantesie! - Dona Aldora nie odważyła się dalej pytać. Płonęła jednak z ciekawości, dlaczego dziadek i wnuk są takimi wrogami. Bo że Fernando Abrantes jest dziadkiem chłopaka, wiedziała już przed laty, jeszcze gdy pracowała w bibliotece.



## Rozdział Pięćdziesiąty Czwarty.

Kiedy już stracił nadzieję, wreszcie coś drgnęło. Trzeba mieć cierpliwość. Upór, cierpliwość i zacięcie zawsze się opłacały, szczególnie jeśli szły w parze z groźbami lub faktycznym zastosowaniem przemocy. Tym razem obiekt wyjątkowo ułatwił im sprawę - zaatakował pojazd obserwacyjny, cóż z tego, że tylko konewką. W raporcie stała się ona „metalowym przedmiotem codziennego użytku”, to brzmiało lepiej. W końcu również konewka mogła zabić, jeśli została zrzucona z dużej wysokości i trafiła kogoś bezpośrednio w głowę. Zrzucenie konewki usprawiedliwiło natychmiastowe zatrzymanie. Raul Figueiredo, jego nowy człowiek, postąpił słusznie.

Głównego podejrzanego, Cristiana Nunesa, nie zastał jednak w mieszkaniu. Obecna była tylko „narzeczona” - i to ona musiała rzucić przez okno konewką. Paulo da Costa obdarzył swego podopiecznego Figueireda karcącym spojrzeniem, jakby ten zawiódł w decydującym momencie. W rzeczywistości Paulowi chodziło wyłącznie o tę młodą kobietę, ale o tym nikt nie musiał wiedzieć.

- Nazwisko? - warknął do zaleźnionej aresztantki.
- Marisa Monteiro Cruz.
- Z domu?
- Tak.
- Miejsce urodzenia?
- Lizbona.
- Data?
- Tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy.
- Dzień, miesiąc?
- Dwudziesty trzeci kwietnia.
- Zamieszkała?
- W Lizbonie.

- Ulica?

Marisa strasznie się denerwowała. Ten parszywiec przepytывał ją już wiele razy i wciąż powtarzała się identyczna procedura. Zawsze udzielała tych samych odpowiedzi. Wiedziała dobrze, co usłyszy dalej. I tak było. Przez kwadrans wyciągał z niej szczegóły, które mógł poznać, rzucając jedno spojrzenie na jej dowód osobisty. Oczywista taktyka służąca otumanieniu więźnia. Ale ona się nie podda. Choć w końcu ulegnie. Kiedyś wreszcie będzie musiała poprosić o pozwolenie na wyjście do toalety.

- Dlaczego zaatakowała pani funkcjonariusza policji państwowej?

- Nie zrobiłam tego.

- Czy chce pani, żebym ponownie przytoczył wypowiedzi świadków? Kobieta z kiosku z gazetami, śmieciarz oraz przechodzień widzieli, jak zrzuca pani swoją małą „bombę”.

- Ale nie zaatakowałam funkcjonariusza.

- A kogo?

- Nikogo. Po prostu byłam wściekła.

- Ponieważ funkcjonariusz stał przed pani domem.

Na to pytanie Marisa nie odpowiedziała. Tak, oczywiście dlatego, że funkcjonariusz stał przed jej domem. Ale jak mogła podejrzewać, że jest to przedstawiciel niesławnego DGS - Direcao General de Seguranca, jak nazywała się instytucja, która przejęła funkcję PIDE? Gdyby to wiedziała, natychmiast by się zmyła. O tajnej policji krążyły najgorsze opinie, a jej władza pozostała niezachwiana nawet po śmierci dyktatora. Jeśli choć połowa plotek była prawdziwa, Marisa będzie mogła się cieszyć, jeśli nie zamkną jej na lata w izolatce. Przez głupią konewkę. Przez nieporozumienie. Przez jej dziecinny gniew na Ricarda.

- Ponieważ funkcjonariusz stał pod pani domem - powtórzył przesłuchujący i wcale nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Nie!

- Więc dlaczego?

- Byłam wściekła na... mojego chłopaka.

- Pani narzeczonego.

- Nie. Tak.

- Nieco dokładniej, jeśli można prosić.

Co powinna teraz zrobić? Jeśli powie, że gniewała się na Cristiana, ci dranie obalą to po pierwszym jego przesłuchaniu. Ale nie chciała wplątywać we wszystko Ricarda. Och, złożył serce u jej stóp, a ona je zdeptała!

- Tak. Na mojego narzeczonego.
- Cristiana Virgilia Jose Marię da Silva Nunesa.
- Znam go tylko jako Cristiana Nunesa.
- Dlaczego?
- Jak to dlaczego? Bo nigdy mi się inaczej nie przedstawił!
- Dlaczego była pani na niego wściekła?
- Ach, tak sobie.
- Czy zwykła pani „tak sobie” rzucać konewkami przez okno?
- Nie.
- A zatem dlaczego?
- Bo podejrzewam, że nie jest mi wierny.
- I przyszło to pani do głowy właśnie w chwili, gdy rzuciła pani pocisk.
- Tak. Mówiąc dokładniej, kilka minut wcześniej.
- Dlaczego? Rozmawiała z nim pani przez telefon?
- Nie.
- A zatem nagłe olśnienie?
- Można tak powiedzieć.
- A z kim pani rozmawiała, jeśli nie ze swoim narzeczoną?

To była nowość. Wszystkie poprzednie pytania słyszała już dziesiątki razy. Tego ostatniego komisarz do tej pory nie zadał. W końcu Marisa pojęła, o co chodzi. Przy tych wszystkich monotonnych przesłuchaniach ludzie przestawali myśleć - i nie orientowali się, gdy padało najważniejsze pytanie.

- Z nikim.
- Ależ tak. Mamy wykaz pani połączeń.
- Tak? No to wie pan, z kim rozmawiałam.
- Nie, wiemy tylko, jaki numer pani wybrała.
- Chciałam zamówić lot turystyczny.
- Aha.

Paulo spojrzął na podejrzaną szyderczo. Zaraz będzie miał ją w garści.

- Tuż przed zaatakowaniem funkcjonariusza państwowej policji, zaraz potem, jak zdenerwowała się pani na swojego narzeczonego, wykonała pani szybki telefon, ponieważ nagle zachciało się pani przelecieć samolotem.

- Tak - Marisa wiedziała, że ten potwór nie da jej spokoju, dopóki nie powie mu, z kim rozmawiała. Potrzebowała chwili do namysłu. -Czy mogę na moment wyjść?

- Oczywiście. - Paulo uśmiechnął się. - Ale jeszcze nie teraz.

\* \* \*

Paulo nie zamierzał wyrządzić młodej kobiecie poważnej krzywdy. Nie zamierzał również trzymać jej przez dłuższy czas w zamknięciu. Pochodziła z bardzo zamożnej i wpływowej rodziny, więc nie wyszłoby mu to na dobre. Chciał jedynie, by jego siostrzeniec cierpiał. Gdy tylko Ricardo się dowie, że Marisa została zatrzymana, trucizna zacznie działać. Ricardo oszaleje. Nie będzie mógł spokojnie spać. Zacznie chodzić po ścianach. Zadzzwoni do wuja w DGS, by błagać, aby wstawił się za przyjaciółką. A on, Paulo, zagra w tę grę. Ricardo nie miał najmniejszego powodu podejrzewać, że wuj chce wyrządzić krzywdę jemu lub jego ukochanej.

Trzy dni wystarczą. Zatrzymana będzie wyczerpana nerwowo, a Ricardo bliski obłądu. Ludzka wyobraźnia zawsze jest najgorszym oprawcą. Po trzech dniach Paulo oznajmi swoim podwładnym, że doszedł do przekonania, iż Marisa Monteiro Cruz nie jest związana z tą zgrają socjologów i politologów, tych zawszonych narkomanów i zdradzieckich psów, do których należą Cristiano Nunes i Jose Sampaio. Z tymi jego współpracownicy mogli zrobić, co tylko chcieli, gdy tylko dowiodą im udziału w sprzecznych z konstytucją, wywrotowych działaniach, co nie powinno być takie trudne. A kobietę wypuszczą.

Przez chwilę Paulo zastanawiał się, czy tym razem trzy dni wystarczą. Istniała możliwość, że ze względu na nieregularne kontakty jego siostrzeńca z tą Marisą, Ricardo nieprędko dowie się o jej zatrzymaniu. Ach, co tam. Odepchnął od siebie wątpliwości. Siedział w tym już od ponad dwudziestu pięciu lat. Metoda zawsze działała. Trzy dni to wystarczająco krótko, by zapewnić mu nietykalność - gdyby krewni mieli znaczne wpływy i chcieli go oskarżyć o nadużycie uprawnień, nie zajdą daleko - ale dość długo, by trucizna mogła się rozprzestrzenić. Jak dotąd trzy dni łamały każdego.

Ricardo telefonował, aż rozboleły go palce. Zrezygnował z ćwiczeń oraz cotygodniowych wykładów teoretycznych, by udać się do Lizbony i osobiście porozmawiać z Marisą. Ale nic z tego. Jakby zapadła się pod ziemię. Oby tylko nic się jej nie stało! Gdy wspomniała o samochodzie i inwigilacji, którą rzekomo zlecił, Ricardo rozgniewany zarzutem w ogóle nie przejął się faktem, że ktoś rzeczywiście obserwował Marisę.

Ale to milczenie było bardzo niepokojące. Czy ze względu na swoje liberalne poglądy na demokrację podpadła policji?

Postanowił zapytać o nią w firmie. Nie, menina Marisa od dwóch dni nie pokazała się w pracy, a jeśli Ricardo wie, gdzie przebywa, może jej przekazać, że stanowisko zostanie powierzone bardziej odpowiedzialnej osobie. Do diabła. Coś się jej stało. Ricardo odnalazł numer telefonu rodziców Marisy - opowiadała mu kiedyś, że jej ojciec ma na imię Hermenegildo, i razem zwijali się wtedy ze śmiechu. Teraz Ricardo cieszył się, że facet ma tak niezwykle imię, a on sam tak wyjątkową pamięć. Zadzwoił do rodziców Marisy, ale dowiedział się, że i oni od paru dni nie kontaktowali się z córką. Ricardo rozmawiał z matką dziewczyny, a ta nie wydawała się zbyt przejmować. Zapewne Marisa już wiele razy martwiła rodziców swoimi eskapadami.

Po tym niezadowolającym telefonie Ricardo odszukał Cristiana, którego znał tylko z imienia i o którym wiedział, że pisze pracę doktorską z socjologii. Te szczątkowe dane wystarczyły, by zlokalizować go na uniwersytecie, ale promotor Cristiana nie okazał się zbyt pomocny. Nie, od dwóch dni nie widział pana Nunesa i nie miał od niego wiadomości, choć byli na wczoraj umówieni na oddanie referatu, pilnie potrzebnego profesorowi.

Wreszcie Ricardo zwrócił się do jedynej osoby, która mogła mu pomóc.

Dokładnie w siedemdziesiąt godzin po zatrzymaniu Marisy Monteiro Cruz zadzwonił do wuja.

Marisa siedziała w pustej celi i rozmyślała. Czym zawiniła, że została zatrzymana przez tajną policję? Za użycie słowa „wolność” dziś już nie karano. A może? Może przestępstwem było mieszkanie razem z piszącym pracę doktorską socjologiem? I dlaczego jeszcze nikt jej stąd nie wyciągnął? Gdzie się podziewa ojciec ze wszystkimi swoimi koneksjami, gdy ona go potrzebuje?

Najgorsza była niewiedza. Nie wiedzieć, o co jest się oskarżanym. Nie wiedzieć, kiedy wyjdzie się na wolność. Nie wiedzieć, czy przyjaciele i krewni również zostali zatrzymani. I nie wiedzieć, czy nie zostawiono cię w spokoju tylko przejściowo i czy strażnicy później się do ciebie nie wezmą. Marisa myślała o tych wszystkich paskudnych historiach, które słyszała, o gwałtach, o brutalnych przesłuchaniach z zastosowaniem elektrowstrząsów, o brudnych celach i upokorzeniu więźniów. Ricardo

opowiedział jej kiedyś o partnerze swojej matki, który po tygodniu w łapach PIDE nigdy nie był już taki sam. Złamali jego wolę - po tym, jak zrobili to samo z jego palcami, żebrami i nosem.

Jej cela nie odpowiadała pogłoskom, które krążyły o „lochach”. Nie była to wilgotna, zapleśniała klatka, w której siedziało się obok własnych ekskrementów. Ze ścian nie zwisały łańcuchy, nie biegały tu szczury odgryzające palce u nóg osłabionym więźniom i nie podawano zepsutego jedzenia, wsuwanego pod drzwi na blaszanym talerzu. Cela Marisy wyglądała dokładnie tak, jakby miała spełniać wszelkie zalecenia dotyczące odpowiedniego przetrzymywania przesłuchiwanym. Zgodnie ze standardami. Niemal rozczarowująco poprawna. Przypominała schowek w jakimś urzędzie. Mały i bez okien, ale czysty i niebudzący lęku. Na podłodze niebieskie linoleum, skromna metalowa prycza. Jedzenie było złe, ale nie gorsze niż to, jakie dostawało się w szpitalach lub stołówkach.

Marisa już trzy dni dusiła się w tej skromnej celi. Z godziny na godzinę dokuczwały jej coraz silniejsze wyrzuty sumienia. Doszło już do tego, że nienawidziła samej siebie bardziej niż policjantów, którzy ją przesłuchiwali i zamknęli. Jakąż głupią gęsią się okazała! Jak mogła wpaść na idiotyczny pomysł, że Ricardo każe ją obserwować? Mój Boże, ależ niesprawiedliwie go potraktowała! Nigdy nie zdoła mu tego wynagrodzić, nawet jeśli przez resztę dni będzie klęczała przed nim i błagała o wybaczenie.

Wreszcie pojawił się ktoś, kto miał wszystko, o czym marzyła u mężczyzny, a ona odepchnęła go od siebie jak trędowatego żebraka. Zabiegał o nią jak trubadur, a ona traktowała go lodowato, jakby był natrętnym sprzedawcą odkurzaczy. Co się z nią działo? Dlaczego z facetami, którzy obchodzili ją mało lub w ogóle, potrafiła radośnie i bez zahamowań iść do łóżka, a w przypadku Ricarda, choć podniecał ją bardziej niż wszyscy dotychczasowi mężczyźni, musiała udawać tak zdystansowaną? Tak nieprzystępną? Czy istnieje większe zakłamanie? Wtedy, w Alentejo, gdy się „kochali”, nie była w nim bardzo zakochana. Ale niedawno, gdy jej uczucia się nasiliły, nie potrafiłaby już tak swobodnie uprawiać z nim miłości. Boże, to przecież czysta schizofrenia!

Bardziej niż za czymkolwiek na świecie tęskniła teraz za jego czułościami - nawet gdyby musiała go w tym celu poślubić. Dlaczego by nie? Nie jest już przecież młodziutką dziewczyną i nie musi zadowalać rodziców, których już raz rozczarowała, odwołując ślub. I nie musi godzić się

na ceremonię w bieli, w barokowym kościele, z powozem i setką gości. Mogą wziąć ślub cywilny. Mogą polecieć do Las Vegas. Mogą udać się w jeszcze bardziej egzotyczną podróż i pobrać się w rytuale hawajskim, tahitańskim czy nepalskim, bosso na plaży. To byłoby cudowne. Dlaczego zawsze tak ostro opowiadała się przeciw małżeństwu? I dlaczego, przyszło jej jeszcze do głowy, nim zapadła w niespokojny sen, Ricardo właściwie nigdy nie poprosił o jej rękę?

Po trzech dniach została zwolniona z aresztu. Gdy opuściła więzienne skrzydło, zaprowadzono ją do biura mężczyzny, który ją przesłuchiwał i był świadkiem wstydlivej sytuacji, gdy nie zapanowała nad pęcherzem. Za to nienawidziła go bardziej niż za wykańczające nerwowo przepytywania. Obok niego stał Ricardo. Marisa z płaczem rzuciła mu się w ramiona.

Ricardo podziękował wujowi, że ten wykorzystał swoje wpływy i postarał się, by Marisę wypuszczono. Zabrał ją do domu. W czasie jazdy, a także gdy znaleźli się w mieszkaniu, nie mogła przestać płakać. Ricardo podejrzewał, że sprawdziły się jego najgorsze obawy, ale nie chciał o nic pytać. Kiedyś sama mu powie. Zaparzył kawę, pogrzebał w kuchennych szafkach, aż znalazł coś do przegryzienia, i zabrał wszystko do salonu. Przyniósł z kredensu kieliszki oraz zakurzoną karafkę i nalał im obojgu koniaku. Traktował Marisę z niemal macierzyńską troską, a ona tylko coraz bardziej płakała. Prawie dostała czkawki.

Wypiła po kolei trzy kieliszki koniaku. Potem ziewnęła i już nieco niewyraźnie spytała o godzinę.

- Jest tuż po osiemnastej.

- Najwyższy czas iść do łóżka, prawda? - Jej ton napawał go strachem. Brzmiał histerycznie.

- Tak, połóż się i odpocznij. Jutro świat będzie wyglądał zupełnie inaczej. - Wziął kartkę, nabrał numer telefonu swojej matki i podał Marisie. - Proszę. Zostanę dziś w nocy w mieście. Gdyby coś się stało, tam mnie zastaniesz, okej?

- Nie!

- Ale... czy nie chciałaś się położyć?

- Nie idź. Nie chcę być sama. Trzy dni spędziłam w izolatce.

- Już dobrze. Zostanę. - Ricardo czuł się całkowicie bezradny. Jak obchodzić się z kobietą, która właśnie wyszła z więzienia, gdzie prawdopodobnie

stosowano wobec niej przemoc? Czy nie powinien raczej wezwać lekarza? Albo jej rodziców? I tak powinien do nich zadzwonić, i to zaraz. - Połóż się do łóżka, niedługo przyjdę i zaśpię ci do snu, dobrze? - Uśmiechnął się zachęcająco, jakby była małym dzieckiem, którego złe sny można przegonić kołysanką.

Marisa otarła ostatnie łzy z kącików oczu, głośno pociągnęła nosem i odpowiedziała uśmiechem.

- Jeśli śpiewasz tak dobrze, jak tańczysz, to lepiej zrezygnuj z tego planu.

- No, witamy z powrotem, Mariso Monteiro Cruz. Znowu jesteś bezczelna - dobry znak. A teraz lulu, do łóżeczka.

Marisa poszła do sypialni, rozebrała się do naga i położyła do łóżka. Słyszała, że Ricardo telefonuje, nie rozumiała jednak, z kim ani o czym rozmawia. Wkrótce przyszedł do niej, zasunął zasłony i usiadł na brzegu łóżka.

- Możesz wybrać Śpij, dzieciątko albo Księżyc już wzeszedł.

- Położysz się obok mnie?

- Ja... e... lepiej zrobię sobie posłanie na sofie.

- Nie. Proszę, chodź do łóżka.

No cóż, z pewnością nie był to odpowiedni moment, by wdawać się z Marisą w dyskusję, uznał Ricardo. Dobrze, a zatem położył się obok. Po bratersku. Obejmie ją, a kiedy Marisa poczuje się lepiej, ukołysze ją do snu. Ale poza tym nie zrobi nic, zupełnie nic. To okropne, czego od niego żądała! Jak miał spędzić całą noc w łóżku z kobietą, której tak bardzo pragnął, i nie przestraszyć jej żadnym nieco mniej braterskim dotykiem? Zdjął buty, skarpetki i spodnie. Został w spodenkach i koszulce. Potem wszedł pod kołdrę, przeklął Marisę za to, że jest naga, i wziął ją w ramiona. Kilka minut później zasnęła, a on jeszcze godzinami leżał, czuwając i wyobrażając sobie we wszystkich szczegółach straszne rzeczy, które ją spotkały.

Musiał dać jej czas. Kiedyś będzie gotowa na intymne dotknięcia i czułości. Mógł czekać. Ile tylko trzeba.



## Rozdział Pięćdziesiąty Piąty.

Kilka tygodni później, w piękny wiosenny ranek 1973 roku, Marisa obudziła się wyjątkowo wcześnie. Słońce jeszcze nie wstało, ale sądząc po fioletowym zabarwieniu nieba, wkrótce miało to zrobić. Wzięła szybki prysznic, włożyła spódnicę z poprzedniego dnia oraz lekką koszulkę, wsunęła stopy w sandały z rzemyków, narzuciła na ramiona sweter, chwyciła swojego nowego nikon'a i opuściła mieszkanie. Pora dnia była zbyt piękna, by jej nie wykorzystać. Miała w sobie coś niewinnego, czystego. Idealnie nadawała się do fotografowania. To było najnowsze hobby Marisy. Oczywiście robiła zdjęcia czarno białe. W schowku urządziła ciemnię, gdzie sama wywoływała klisze i robiła odbitki. Najbardziej lubiła twardey papier fotograficzny, podobały się jej ostre kontrasty.

Spacer po budzącej się Lizbonie okazał się wspaniały. Powinna częściej wstawać tak wcześnie. Poza nią na ulicach nie widziało się jeszcze wielu osób. Gazeciarz podjechał samochodem pod kiosk, by zostawić świeżo wydrukowaną prasę. Z piekarni dobiegał zapach świeżych bułeczek. Marisa poszła w kierunku niej i minęła kawiarnię, która o tej porze była już otwarta. Najwyraźniej stanowiła miejsce spotkań rannych ptaszków, takich jak kierowcy autobusów i pracownicy portowi. Niecałą minutę później Marisa wypiła bardzo słodką bica i ponownie ruszyła w drogę, w stronę wschodzącego słońca.

Na Cais do Sodre wypstrykała trzy klisze. Pierwsze promienie słońca nadawały kursującym promom magiczny blask, jakiego nie miały w jasnym świetle dnia. Na pomarszczonej powierzchni wody tańczyły pomarańczowe iskierki. Nad wszystkim unosiła się woń wczesnego poranka zmieszana z zapachami portowymi. Nad przystanią krążyło kilka mew, wydając smutne okrzyki. Był to czarujący spektakl, który przypomniał Marisie, że zbyt rzadko przebywa na świeżym powietrzu i że na co dzień widzi zbyt mało nieba i zbyt wiele murów.

Nagle ogarnęła ją wielka ochota, by pojechać do Alentejo. Zobaczy tam więcej niż dość nieba. Była sobota, więc nie musiała iść do pracy. O tak wczesnej porze drogi będą puste. I nie straci wiele, opuszczając Lizbonę. Nie zaplanowała na ten dzień niczego wyjątkowego, nie miała żadnego spotkania, którego nie dało się odwołać. A przeczytać w spokoju gazetę mogła również w Belo Horizonte. Nie chciała jednak dzwonić do Ricarda o tej godzinie. Czy powinna zrobić mu niespodziankę? Już wielokrotnie ją do siebie zapraszał - ale po tej dziwnej nocy u jego boku, kiedy był tak nieśmiały, a ona zbyt wyczerpana, by go zachęcać, nie uznała tego za dobry pomysł. W jakiś sposób nie byli kompatybilni.

Wracając do mieszkania, Marisa rozważała wszystkie za i przeciw. Miło byłoby go znowu zobaczyć. Wycieczka na wieś dobrze jej robi. Ale Ricardo będzie musiał pracować - w soboty i przy ładnej pogodzie cały czas był w powietrzu. A co miała robić sama w tej przejmującej dreszczem posiadłości? Dobrze, pójdzie na spacer. Będzie fotografować. Przeczyta gazetę. Nie doszła do żadnego rozsądnego wniosku, więc ostatecznie postanowiła, że zostawi to przypadkowi - jeśli kluczyki będą w torebce, zaraz ruszy, nie wchodząc nawet do mieszkania, by się przebrać i zająć jakimiś rzekomymi obowiązkami. Jeśli nie ma przy sobie kluczyków, zostawi wszystko tak, jak jest.

Im bardziej zbliżała się do domu, tym większą miała nadzieję, że zabrała kluczyki. Wreszcie dotarła do samochodu zaparkowanego przy trawniku. Dłonie jej drżały, gdy grzebała w obszernej torbie. Jakież to dziecinne! Jeśli nie znajdzie kluczyków, po prostu je przyniesie. Zaraz potem wymacała znajome skórzane etui. Kamień spadł jej z serca. Uśmiechnęła się, wsiadając do samochodu, i w czasie całej jazdy ten głupawy uśmiech nie zniknął jej z twarzy, nawet gdy co sił w płucach śpiewała Morning has broken Cata Stevensa.

Dopiero kiedy stanęła w obliczu zrędlivej damy, która udawała szefową, znowu przybrała poważny wyraz twarzy.

- Nie, nie jestem umówiona. I nie chcę zapisać się na lekcję.
- Senhor Ricardo będzie latać przez cały dzień.
- Kiedyś musi przecież wylądować i zabrać na pokład kolejnego ucznia, prawda?
- Tak, ale...

Marisa ani myślała dać się odprawić temu smokowi. Poszła na pas startowy, usiadła po turecku na trawie i rozejrzała się po niebie za małym samolotem.

Gdy wreszcie go odkryła, jej pośladki były już zupełnie zimne i mokre.

Maszyna wylądowała wszystkimi trzema kołami naraz, uniosła się trochę, ponownie dotknęła ziemi i skakała tak aż do końca pasa. Jezu, uczeń wyraźnie był początkujący! Dopiero teraz Marisie przyszło do głowy, że zawód Ricarda wiąże się z wieloma niebezpieczeństwami. A co, jeśli spadnie z powodu jakiegoś nieumiejętnego głupka? Na szczęście nie doprowadziła tej myśli do końca, bo w tej chwili z samolotu wysiedli Ricardo i mężczyzna w średnim wieku. Ricardo poklepał ucznia po ramieniu. Marisa miała wrażenie, że go chwali. Mężczyzna kroczył dumnie wyprostowany obok Ricarda i wyglądało to tak, jakby starszy był nauczycielem młodszego. Ricardo włożył okulary lotnicze, podwinął rękawy koszuli i przypominał chłopaka, któremu udała się jakaś obrzydliwa psota i który nie został przyłapany.

Marisa wstała i wtedy ją dostrzegł. Pomachał ręką. Zamienił kilka słów z mężczyzną i podszedł do niej. Objęli się.

- Hej! Miło, że jesteś.

- Tak.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś? Nie zawałiłbym sobie wtedy całego dnia lekcjami.

- To była dość spontaniczna decyzja.

- Aha. No cóż, sam nie wiem - mogę dać ci klucze do domu, żebyś wypijała kawę i tak dalej. Dopiero po południu mam wolną godzinę.

- Nie szkodzi. Miałam ochotę na trochę przyrody. Obejrzę dokładniej okolicę. Może odwiedzę ciotkę. Ale klucze i tak możesz mi dać - jeśli nie przeszkadza ci, że rozejrzę się po starej chacie.

Tymczasem doszli do baraku, który od ostatniej i jak na razie jedynej wizyty Marisy stał się znacznie przytulniejszy. Może ta dona Aldora nie jest jednak taka straszna, jak wydaje się na pierwszy rzut oka.

- Naprawdę mi przykro, że nie mam dla ciebie więcej czasu. Może uda mi się odwołać parę lekcji po południu.

- Nie, tylko nie to! Będę czuła się winna, jeśli stracisz uczniów. Zatem do zobaczenia. - Marisa wzięła od niego klucze i odwróciła się, by wobec świadków - w baraku siedzieli dona Aldora, starszy mężczyzna oraz kolejny uczeń i wyglądali na zewnątrz - nie wprawić go w zakłopotanie pocałunkami lub poufałymi gestami.

\* \* \*

Stara posiadłość byłaby marzeniem każdego, kto lubił zajmować się renowacją i urządzeniem wnętrz - i koszmarem wszystkich pragmatyków. Doprowadzenie jej do stanu używalności pochłonęłoby ogromne sumy, ale z pewnością zostałyby uwieńczone wspaniałym rezultatem. O ile na początku samotnego zwiedzania Marisa czuła się jak złodziej, w czasie obchodzenia domu wyraźnie pozbyła się zahamowań. I tak nie było tu żadnych osobistych rzeczy Ricarda, nic, co wzbudzałoby w niej wrażenie, że jest intruzem. Zaczęła się czuć raczej jak pośredniczka handlu nieruchomościami, która ogląda obiekt. Poruszyła poręcz schodów, by sprawdzić jej wytrzymałość. Pukała w drewniane płyty, drapała wilgotne miejsca na murze, z szacunkiem oglądała w łazienkach i kuchni piękne azulejos, które przy pewnym wysiłku można było jeszcze uratować.

Kuchnia najwyraźniej przez dłuższy czas nie była używana. Marisa chętnie by coś przekąsiła przed spacerem. Gdzieś musiało być coś do jedzenia, jakaś lodówka, kilka podstawowych produktów. Gdzie, do diabła, jada Ricardo? I gdzie mieszka? Na pewno nie w tych murach. Odłożyła dalsze zwiedzanie domu na później. Teraz była głodna i miała ochotę wyjść na świeże powietrze. Starannie zamknęła za sobą drzwi, choć nie potrafiła sobie wyobrazić, czego mógłby tu szukać złodziej.

Obeszła wokół całego domu i odkryła przed szopą starego pikapa. Ricardo najwyraźniej przy nim majstrował, samochód wyglądał całkiem nieźle. Obok drzwi dostrzegła parę gumiaków. Czyżby tu mieszkał? Warto spróbować. Pozostałe klucze w pęku musiały pasować do jakichś drzwi. Wypróbowała cztery klucze i oczywiście udało się jej dopiero przy ostatnim. Otworzyła, ostrożnie weszła do środka i zawołała:

- Halo? Jest tu kto? - Na korytarzu wisiały na haczykach płaszcze i marynarki. Aha, więc to tu naprawdę mieszkał Ricardo. Była nieco skrupowana, wnikając sama w jego prywatną sferę. Jednak w brzuchu burczało jej tak głośno, że nie mogła się powstrzymać.

Weszła do ogromnego, jasnego pomieszczenia. Na drewnianej podłodze widniały kleksy po farbie - kiedyś była tu pracownia malarska. Potem w rogu odkryła niszę kuchenną i natychmiast zapomniała o wszystkim innym, o dawnym i nowym przeznaczeniu szopy i o jej mieszkańcach. Otworzyła lodówkę, znalazła masło i suszoną kaszanę, na której widok śliska pociekła jej do ust. Na lodówce stał pojemnik na chleb, a pół bochenka, które w nim leżało, wyglądało zjadliwie. Odkroiła grubą pajdę, zrobiła sobie kanapkę i zjadła ją z takim apetytem, że

sama siebie nie poznawała. Hm - właściwie dlaczego zawsze czuła wstręt do kaszanki? Była wyśmienita!

Przeżuwając, Marisa wędrowała spojrzeniem po ścianach przebudowanej szopy. Wisiały na nich liczne obrazy Laury Lisboa, najwyraźniej kopie. Dziwne, nigdy by nie przypuszczała, że Ricardo interesuje się sztuką, a już na pewno nie tej malarki. Co dowodziło, jak wiele zdradzają mieszkania na temat mieszkańców. Połknęła ostatnie kęsy kanapki, wypła trochę soku pomarańczowego prosto z butelki i opuściła szopę. Musiało dochodzić południe. Trochę się przejdzie i poczeka na Ricarda.

Jego przerwa okazała się krótka. Nastrój miał dobry, ale rozczarowująco nieerotyczny. Być może nie był to dobry pomysł, by nachodzić go w czasie pracy. Gdy on robił to samo i w Lizbonie odbierał Marisę z biura, także nigdy nie wykazywała skłonności do flirtu. No cóż, kiedyś i Ricardo skończy pracę.

Marisa włóczyła się bez celu po łąkach i lasach. Doszła nad brzeg jeziora, gdzie przed laty była z Ricardem i gdzie jego prostacki przyjaciel przestraszył ich okropną wiadomością o umierającej babce. Minęła mały domek, przed którym starszy pan zbierał z grządki wczesną sałatę. Skinęła do niego, a on odpowiedział na pozdrowienie. Przypominał Marisie kogoś, ale stał zbyt daleko, by mogła przyjrzeć mu się dokładniej.

Odetchnęła głęboko i cieszyła się czystym powietrzem. Podziwiała łagodny krajobraz. Dotykała pni dębów. Te oznaczone cyfrą 4 ostatni raz okorowywano w 1964 roku i wkrótce znowu przyjdzie na nie kolej. Ich kora była gruba i chropowata. Te, które okorowano dopiero w zeszłym roku, czyli w 1972, miały jeszcze gładkie, czerwone pnie. To szalone zbierać korę tylko co dziewięć lat - zajęcie dobre dla wyjątkowo cierpliwych.

Minęła bardzo zadbaną posiadłość, pod każdym względem przypominającą siedzibę typowego latifundiaris sprzed wieku. A zatem owe słynne montes, które znała tylko ze szkolnych lekcji, nadal istniały. Belo Horizonte też niegdyś do nich należało. Podczas spaceru Marisa co chwila kręciła głową, by zobaczyć przelatującą w górze cęśkę. Raz przystanęła na drodze pośród niskich pól pszenicy, widoczna z daleka, i machała. Samolot odmachał. Gdy wreszcie wróciła do Belo Horizonte, nogi się pod nią ugięły, bo nie nawykła do takiego wysiłku. I znowu burczało jej w brzuchu.

Tym razem odkroiła duży kawałek wieprzowej kielbasy i zjadła ją prosto z ręki. Potem, przeżuując, podreptała do głównego domu. Dopóki było jasno, chciała się tam rozejrzeć dokładniej. Miała wrażenie, jakby czekało tam na nią coś do odkrycia. Pragnęła tego. Któż nie marzy o odnalezieniu tajnej skrytki, w której leżałaby mapa skarbów lub coś podobnego? Jeśli gdzieś można było natknąć się na takie rzeczy, to tylko w tym domu duchów, tego Marisa była pewna. Mistrzowskie renesansowe dzieło ukryte na strychu pod stuletnimi starociami. Oryginalne wydanie *Lusiadas* Camóesa. Uznana za zaginioną partytura Haydna.

Rozsądek mówił jej, że prawdopodobieństwo takiego odkrycia równa się zeru, ale jednocześnie przechodziły ją ciarki na myśl o czymś takim. Najchętniej od razu udałaby się na strych, który wydawał się najbardziej obiecujący. Ale to byłoby jak seks bez gry wstępnej. Pozbawiłaby się stopniowo narastającego napięcia. Marisa zmusiła się zatem, by najpierw dokładnie obejrzyć każde pomieszczenie. Czy w murach znajdzie tajne przejścia? Luźne deski na podłodze? Puste przestrzenie nadające się na kryjówkę? Nie. Nic. Dotarła na piętro, zbadła wszystkie pomieszczenia i natrafiła na tylko jedno dziwaczne znalezisko, a mianowicie własnoręcznie skonstruowany model samolotu. Ricardo musiał być jeszcze dzieckiem, gdy go wykonał. Wizja, jak mały chłopiec pracuje w skupieniu nad tym potworkiem, wzruszyła Marisę niemal do łez.

Potrzebowała chwili, by znaleźć wejście na strych i je otworzyć. To jednak, co tam zobaczyła, wynagrodziło cały trud. Nieprawdopodobne! Prawdziwy raj dla archeologów amatorów! Zastawiony aż po czerwoną dachówkę skrzyniami, szafami, komodami i luźnymi sprzętami, pełen pajęczyn zwisających z potężnych belek i przepojony zapachem prastarego kurzu strych dokładnie odpowiadał jej wyobrażeniom. Był nawet nieco zbyt zapchany, bo Marisa z trudem przebijała się przez ten chaos. Przynajmniej przez zabrudzone okienko wpadało dość światła.

Marisa przeraziła się na widok czaszki, którą jakiś dowcipniś ustawił tuż przy wejściu dokładnie w tym celu. Ach, pewnie to tylko małpia, pomyślała i utorowała sobie dalszą drogę przez góry śmieci i kurzu. Tu uniosła pokrywę, tam zerknęła pod klapę, tu wyciągnęła szufladę, tam zajrzała do kartonu. Niektóre rzeczy wyglądały tak, jakby warte były dokładniejszej inspekcji - na przykład skrzynia z bielizną, w której leżały poźółkłe nocne koszule z koronkami, zapewne pochodzące jeszcze

z czasów monarchii, skrzynka po winie, w której znajdował się zwitek listów, wyblakłe zdjęcie z ząbkowanymi brzegami oraz drobne pamiątki, jakie mogą zbierać tylko młode dziewczęta, a także szafa ze stertami książek grozących, że się rozpadną, gdy weźmie się je do ręki. Jednak ani śladu dzieł dawnych mistrzów lub zaginionych partytur.

- Marisa? Jesteś na górze? - usłyszała nagle głos Ricarda.

- Tak. - Wygramoliła się z kąta, w którym właśnie grzebała. Spojrzała na dół przez luk wejściowy. - Tu na górze jest nieziemsko!

Ricardo spojrzał na nią osłupiały. Potem głośno parsknął.

- Sama wyglądasz nieziemsko! Powinnaś się zobaczyć - jak zła wiedźma z horroru. We włosach masz pełno pajęczyn.

Marisa przejechała po włosach czarnymi od kurzu palcami i chwyciła kilka nitek. - Fuj! - Wywijała rękoma, by strząsnąć lepkie nici. Na widok tego czarodziejskiego strychu ogarnął ją taki zachwyt, że nie zauważyła, jak jest tam wstrętne. - Poczekaj chwilę. - Przyniosła jedyne możliwe do przetransportowania znalezisko i podała je Ricardowi. - Później chcę się temu dokładniej przyjrzeć. - I po chwili dodała z bałkańskim akcentem cygańskiej wróżbiarki: - Odślonią się przed nami wielkie tragedie i dramatyczne losy.

Potem zeszła po schodach - gdy do podłogi zostało jej jeszcze kilka stopni, poczuła, jak Ricardo obejmuje ją w talii i przenosi ostatni kawałek.

Obróciła się, spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że teraz najchętniej by ją pocałował. Jednak odsunęła się nieco, spojrzała po sobie i powiedziała idiotycznie:

- Przed jedzeniem trzeba umyć ręce.

Poszli do szopy, w której mieszkał Ricardo. Marisa wzięła długi prysznic, umyła włosy, owinęła się dużym ręcznikiem i razem z falą wodnej pary wyszła z małej łazienki. Niosła przed sobą ubranie. - Nie chcę już tego wkładać. Możesz mi coś pożyczyć?

Ricardo odchrząknął.

- Tak, jasne. - Przyniósł białą koszulę, podał jej i chciał się odwrócić, by wyjąć z lodówki wino, gdy usłyszał, jak Marisa mówi cicho:

- Nie musisz się odwracać.

Stanął przed nią jak wrośnięty. Powoli rozwiązała ręcznik i pozwoliła mu po prostu opaść na podłogę. Powiódł spojrzeniem po jej ciele, po pokrytych piegami apetycznych piersiach, po ładnym pępku, po trójkacie łona, gdzie włosy miała jasnobrązowe tak jak na głowie, po wyprężonych udach,

przez łydki aż po małe stopy z pomalowanymi na jaskrawo czerwono paznokciami. Była przepiękna i wiedziała o tym. Obróciła się. Miała jeszcze resztki letniej opalenizny z zeszłego roku - bardzo słabo widać było białe brzegi bikini. Wyciągnęła ramię do tyłu i zrozumiał, że ma jej pomóc się ubrać.

Ricardo otulił ją koszulą, ale nie od razu cofnął dłonie. Przez chwilę spoczęły tam, poniżej kołnierzyka. Potem powiódł nimi w dół. Przez cienki materiał poczuł, jak twardnieją jej sutki. Poczucił też, jak sam twardnieje. Pogładził piersi Marisy, potem powiódł dłońmi w dół i objął jej szczupłą talię. Przyciągnął ją do siebie mocniej i od tyłu wtulił twarz w jej szyję.

Włosy Marisy pachniały jego szamponem. Przykleiły się na plecach, pod koszulą, na której zostawiły mokrą plamę. Ricardo pokrył pocałunkami szyję, uszy i policzki Marisy. Było mu gorąco, oddychał ciężko. Zbliżyła ku niemu twarz i otarła się o jego trzydniowy zarost. Potem odchyliła głowę, zamknęła oczy i podsunęła mu białą szyję.

Marisa całkowicie oddała się kontemplacji jego pocałunków, ssania i drobnych ugryzień. Czubkiem języka przejechał po małżowinie ucha i poczuła na skórze cudowny dreszcz. Jednocześnie wsunął dłonie pod koszulę, gdzie dotykały teraz jej łona. Jego palce były zręczne, dotyk łagodny. Od razu odnalazł najbardziej czuły punkt, który masował z odpowiednim naciskiem, w idealnym tempie i z największą wrażliwością. Marisa ściągnęła pośladki. Stała na palcach, każdy mięsień ciała napięty w najwyższym podnieceniu. A potem poczuła, jak od czubków palców przetacza się przez nią fala, wywołuje skurcze w dole brzucha, od których zrobiło się jej słabo, zmywa napięcie i zostawia po sobie tylko głębokie poczucie spełnienia. Jęknęła cicho.

Przez cały czas Ricardo stał za nią, mocno do niej przyciśnięty. Poczuli, jak jest podniecony. Słyszała jego przyspieszony oddech. Potem nagle obrócił Marisę ku sobie, spojrzał na nią zamglonym wzrokiem, chwycił ją i zaniósł do łóżka. W sekundę zrzucił ubranie i położył się obok niej. Ich usta rozpoczęły grę, która pozbawiła ich oddechu. Ricardo gryzł jej wargi, ssał je i okręcał językiem jej język, a wszystko to stanowiło tylko zmysłowy wstęp do zjednoczenia ciał, czego Marisa pragnęła teraz najbardziej na świecie.

Podczas tego intensywnego pocałunku powiodła dłonią po jego piersi, powędrowała nią do pachwin, by wreszcie delikatnie objąć sztywno wyprężony członek, pogładzić aksamitną skórę i, poruszając rytmicznie,



poczuć pod spodem twardość. Jego wielkość silnie ją podnieciła. Jednak Ricardo nie dał jej dużo czasu.

Przewrócił ją na plecy i zsunął się w dół, by zgłębić jej najbardziej intymne, najwrażliwsze miejsca. Językiem ponownie podarował Marisie przeżycie, jakie miała kilka minut wcześniej. Przycisnęła plecy do łóżka i jęknęła. Chwyciła Ricarda pod ramiona i lekkim pociągnięciem dała mu do zrozumienia, że teraz wreszcie może się cały z nią zespolić. Całując ją, przesunął głowę wyżej, zatrzymał się na chwilę przy pępku, potem ustami objął sutki. Gdy jego drapiący podbródek znalazł się na jej szyi, rozsunął Marisie nogi. Nie potrzebował już prowadzenia palcami. Była tak gotowa, tak wilgotna, że ich ciała same się odnalazły. Wszedł w nią z niemym westchnieniem.

Cała delikatność, z jaką Ricardo ograniczał wcześniej własne potrzeby, by najpierw rozpałić pożądanie Marisy i dać jej rozkosz, ustąpiła. Teraz już nic nie mogło go powstrzymać. Nagle rozpętała się w nim dzika namiętność, surowa, zwierzęca siła, która porwała ze sobą Marisę. Było jej równie spieszno, chciała, by wnikał w nią jeszcze intensywniej, mocniej, szybciej i głębiej. Zaciśnęła palce na jego pośladkach. Czowała grę mięśni i warstewkę potu pokrywającą skórę, słyszała jego jęki i mocnym naciskiem dłoni oraz ruchami ciała zachęcała go do coraz silniejszych pchnięć. Ich pożądanie zdawało się nie mieć granic. W poszukiwaniu jeszcze większego zespolenia Ricardo podniósł jej nogi, położył sobie na ramionach i pchnął gwałtownie. Marisa poczuła ból, który wydał się jej cudowniejszy niż wszystko, co nastąpiło wcześniej. Ich ciała drżały w nieopanowanym szaleństwie.

Fala, która tym razem zalała Marisę, porwała ze sobą wszelkie myśli i zostawiła tylko czucie, była jeszcze potężniejsza niż poprzednia -ogromna fala, która przełamuje się i z hukiem pogrąża wszystko pod sobą. Marisa usłyszała jęk Ricarda i swój szloch.

Osunął się na nią i czuła, jak jego mokre od potu ciało rozluźnia się w jej ramionach.

Leżeli tak przez chwilę. Ich serca biły mocno. Gdy puls nieco się uspokoił, Ricardo wysunął się z niej i obrócił na wznak. Wyczerpany znieruchomiał z zamkniętymi oczami i szczęśliwym uśmiechem na ustach. Marisa oparła głowę na dłoni i patrzyła na niego zachwycona. Na swojego zmęczonego wojownika po zwycięskiej walce. Czowała ciepłe nasienie spływające po udach i nagle przyszło jej do głowy, że nie ma przy sobie opakowania pigulek. Nieważne. Za nic w świecie nie chciałaby zrezygnować

z tego doświadczenia. Jeszcze nikt nie kochał jej tak gwałtownie, jeszcze nigdy nie porwała jej taka ekstaza. Najlepszy seks w moim życiu, pomyślała i zamknęła oczy. Chwilę później zapadła w drzemkę. Gdy ponownie otworzyła oczy, Ricardo nie leżał już obok niej.

- Hej - powiedziała. Stał przed otwartą lodówką.

- Hej - uśmiechnął się do niej. - Chce ci się pić? - spytał. Nie czekając na odpowiedź, przyniósł butelkę wody. Dopiero pijąc, Marisa zauważyła, jak bardzo dokuczało jej pragnienie. Jednym haustem opróżniła pół butelki. Potem wyprostowała się na łóżku, podsunęła sobie poduszkę pod plecy i rozejrzała się po pomieszczeniu. Miała ochotę na papierosa, ale leżały w jej torebce.

- Dlaczego właściwie masz tutaj tyle obrazów Laury Lisboa? Musisz być jej prawdziwym fanem.

- Fan to może złe słowo. Jest moją matką.

- Tak, jasne. A ja jestem cesarzową Chin.

Marisa nie rozumiała, dlaczego Ricardo wybuchnął aż takim śmiechem. Ona sama nie uznała jego żartu za szczególnie zabawny.

- Ale to prawda - powiedział, gdy już się uspokoił.

- Nikt nie zna prawdziwej tożsamości artystki lub artysty.

- Ależ tak, ja znam. I teraz ty też. Kryje się za nią Laura da Costa. Lub kryła. Przed kilkoma laty, po tej sprawie z Felipe, pozwoliła LL umrzeć.

Marisa oszołomiona pokręciła głową.

- Więc te wszystkie obrazy są prawdziwe?

- Tak.

- Muszą być warte majątek! Wystarczyłoby, żebyś sprzedał choć jeden i nie musiałbyś już tak harować! Mógłbyś odnowić Belo Horizonte. Mógłbyś kupić sobie lepszy samolot. Mógłbyś...

- Nie sprzedam żadnego. Może pewnego dnia. Ten z dzieckiem, na górze po lewej, uważam za dość okropny. To miałem być ja, wyobrażasz sobie? Kiedyś go sprzedam. Ale najpierw zamierzam sam zdobyć majątek. Nie chcę myśleć, że zawdzięczam sukces pieniądzom matki.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że to twoja matka?

- Ach, to długa historia.

- Mam czas. Całą noc.

- Nie masz. - To mówiąc, wskoczył na łóżko, ściągnął przykrycie i rzucił się na Marisę, jakby od lat nie miał kobiety.

\* \* \*

Następnego ranka Ricarda obudził zapach świeżo zaparzonej kawy. Zdziwił się, widząc stół zastawiony wszystkim, co znalazło się w jego kuchni, czyli grzankami, gotowanymi jajkami, sokiem i płatkami kukurydzianymi.

- Jak długo nie śpisz?

- Od paru godzin. Byłam już w wiosce, ale przypomniałam sobie, że jest niedziela. Wszystkie sklepy zamknięte, inaczej mielibyśmy teraz bułeczki i najróżniejsze śniadaniowe przysmaki.

- Uważam, że i tak wygląda to bardzo smacznie.

- Niestety za wcześnie jeszcze na zbiór brzoskwiń lub wiśni, inaczej ukradłabym trochę owoców z ogródka twojego dziadka.

- O czym ty mówisz?

- No, ta chatka tam przy drodze. Należy przecież do Fernanda Abrantesa, prawda? Tego starego piernika, jak go nazywasz.

- Tak, i?

- Nie uważam za zbyt miłe, że mówisz w ten sposób o swoim dziadku. I pozwalasz mu mieszkać w takich warunkach, niewiele lepiej niż psu.

- Abrantes nie jest moim dziadkiem.

- Oczywiście, że jest.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Stąd - popukała w znalezione na strychu skrzynkę po winie, która, teraz już wyczyszczona, stała na jej kolanach. - Znalazłam tu kilka wyjątkowo romantycznych listów, które twój dziadek napisał do twojej babci przed niemal sześćdziesięcioma laty. I jego zdjęcie. To naprawdę niepojęte, jak bardzo jesteś do niego podobny.

Jednym skokiem Ricardo wyskoczył z łóżka. Nie starał się nawet czegoś na siebie włożyć, nagi pobiegł do stołu.

- Pokaż!

Dosłownie wyrwał jej z rąk zdjęcie i uważnie mu się przyjrzał. Było bardzo stare i w niektórych miejscach poplamione, ale wyraźnie ukazywało młodego pilota, z bezczelnym uśmiechem na twarzy stojącego przy dwupłatowcu. Ricardo nie mógł tego pojąć. Pomijając staroświecki samolot, ubranie i przedpotopową pilotkę, sam mógłby być mężczyzną na zdjęciu.

## Rozdział Pięćdziesiąty Szósty.

Drzwi otworzyła podstarzała służąca. Marisę zaprowadzono do salonu, który był przegrzany i pachniał starymi ludźmi. Chwilę cierpliwości, senhora zaraz przyjdzie. Marisa rozejrzała się ciekawie. W mieszkaniu jej dziadków było podobnie. Ciężkie meble z aksamitnymi pokryciami, obrazy przedstawiające statki pośród wzburzonych fal, oprawione w skórę książki w masywnych dębowych regałach, mnóstwo kryształowych waz, porcelanowych figurek i oprawionych w srebrne ramki zdjęć pызatych dzieci.

Co powinna teraz zrobić? Nie zamierzała rozmawiać z doną Elisabete. Jeśli Ricardo nie miał pojęcia, że Fernando Abrantes jest jego dziadkiem, z pewnością również senhora nie podejrzewała, że jej mąż ma z inną kobietą córkę i wnuka. O ile wiedział o tym sam Fernando Abrantes. Właśnie to zamierzała dziś odkryć. Ricardo by ją udusił, gdyby znał jej zamiary.

Marisa celowo się nie zapowiedziała. Nie chciała zostać zbyta ani przez telefon, ani w drzwiach. Ubrała się jak najbardziej konserwatywnie, włożyła okulary i starannie upięła włosy. Wyglądała jak sądowy egzekutor, co również nie dawało gwarancji, że nie zostanie odprawiona.

Do salonu cicho weszła Elisabete Abrantes, wytworna dama o siwych włosach. Z pewnością kiedyś była bardzo ładna, pomyślała Marisa.

- W czym mogę pani pomóc? - spytała łaskawym tonem, który zdradzał nawyk wydawania poleceń.

- Właściwie chciałam porozmawiać z pani mężem. Chodzi o... sprawę osobistą.

- Proszę posłuchać, moje dziecko, jestem żoną generała od ponad pięćdziesięciu lat. Nie ma „osobistych spraw”, które nie byłyby również moimi.

Marisa poczuła się bardzo niezręcznie. Powinna była to przewidzieć. Dlaczego nie wymyśliła jakiegoś dobrego pretekstu? Jeśli zaraz nie przyjdzie jej do głowy nic sensownego, starsza pani zapewne ją odprawi.

Ale Elisabete Abrantes nie uczyniła nic podobnego. Zamiast tego spytała z uniesioną brwią:

- Czy ma to coś wspólnego z tą Julianą da Costa?

Marisa skinęła głową. Co to znaczy? Czyżby senhora wiedziała więcej niż jej mąż i Ricardo razem wzięci?

- Więc proszę do niego iść, moja droga. Może go to rozweseli. Jest bardzo chory. - Poszła przodem wyprostowana jak świeca, a Marisa mogła ją tylko podziwiać za jej postawę - nie tylko fizyczną.

Elisabete zapukała do pracowni, ale nie czekała na zaproszenie, tylko nieco uchyliła drzwi.

- Masz gościa, Fernando. - Potem skinęła na Marisę, pokazując gestem, że może wejść. Zamknęła za nią drzwi. Marisa znalazła się sama z mężczyzną, który siedział z zamkniętymi oczami w fotelu.

Odchrząknęła głośno. Czyżby spał? Nie, otworzył oczy. Natychmiast jego wygląd całkowicie się zmienił. O ile wcześniej przypominał zgrzybiałego staruszka, bezbarwnego, pomarszczonego i bezsilnego, teraz nagle wydał się bardzo energiczny. Zieleń jego oczu zaparła Marisie dech w piersiach. Lśniły czystym blaskiem i przy jednym spojrzeniu w te oczy z miejsca zapomniało się o wszystkim wokół. Nic dziwnego, że Ricardo nigdy się nie domyślił, kim w rzeczywistości jest ten mężczyzna. Z daleka wyglądał jak zwykły starzec, z siwiuteńkimi włosami i tak zniszczoną twarzą, że zatarły się na niej dawne rysy. Z bliska jednak widziało się wyraźnie, jak żywy umysł kryje się za poprzecinanym bruzdami czołem. Ricardo nigdy nie podszedł do tego mężczyzny, który bez wątplenia był jego dziadkiem, dostatecznie blisko, by dostrzec prawdę.

- Proszę mi wybaczyć najście, generale. Nazywam się Marisa Monteiro Cruz. Jestem narzeczoną Ricarda da Costy i chciałabym porozmawiać z panem w sprawie, która...

- Czy ten chłopak nie ma odwagi przyjść sam? - przerwał jej. Jego oczy błyszczały wściekle.

- Nie wie, że tu jestem.

- A więc czego pani chce?

Marisa nie zastanawiała się długo. Atak był najlepszą obroną.

- Uważam, że to bardzo smutne, że pan i pański wnuk tak ze sobą wojujecie.

- Oszalała pani? O czym pani mówi?

Marisa otworzyła torbę - okropny drobnomieszczański twór, który dostała w prezencie od matki i którego nigdy wcześniej nie używała - i wyjęła zdjęcie znalezione w skrzynce po winie.

- To pan, prawda?

Fernando wziął od niej zdjęcie i popatrzył na nie zamyślony.

- Trudno uwierzyć, prawda? - Puścił do niej oko.

Marisa odszukała w torebce drugie zdjęcie, to, które sama zrobiła Ricardowi przed kilkoma dniami. Stał obok swojej cenny i uśmiechał się jak żądny podbojów zdobywca.

- A to - podała starszemu panu fotografię - pański wnuk. Ricardo da Costa.

Spojrzał uważnie na zdjęcie. Jego dłoń lekko drżała. Poza tym w żaden sposób nie dał po sobie poznać emocji. Nic nie powiedział.

- Dziwi mnie tylko, że sam nie zauważył pan podobieństwa - powiedziała Marisa, której cisza wydała się bardzo krępująca. Ale do Fernanda nic już nie docierało. Wydawał się całkowicie pogrążony we własnym świecie.

Był w szoku. To niemożliwe. Nie mogło tak być! Jak Juju zdołała zataić przed nim coś takiego? Jak udało jej się nosić tę tajemnicę przez niemal pół wieku i wreszcie zabrać ją do grobu? Powinien był coś podejrzewać. Jej krewni powinni zauważyć. Mnóstwo ludzi znało Juju i jego samego oraz tego kowboja - dlaczego nikt nie dostrzegł niezwykłego podobieństwa? Ponieważ, odpowiedział sam sobie, on nie przypominał już dawnego Fernanda. Starość czyniła wszystkich równymi - równie szarymi, równie niezauważalnymi dla młodych.

Marisa niespokojnie poruszyła się na krześle. Czy zasnął? Czy powinna już pójść? Ale gdy zamierzała już wstać, starzec podniósł wzrok.

- Nigdy nie widziałem chłopaka z bliska. I on mnie też nie. - Otrząsnął się jak ze złego snu. - Ach, bzdury, to na pewno tylko szalony zbieg okoliczności. Istnieją przecież sobowtóry znanych osobowości, które nie są nawet daleko spokrewnione ze swoimi pierwowzorami.

Spojrzała nań ze współczuciem, ale nadal się upierała:

- Tak, lecz w tym przypadku byłby to bardzo niezwykły zbieg okoliczności. Matka Ricarda, Laura da Costa, przyszła na świat dziewięć miesięcy po pańskim, hm, ostatnim tete-a-tete z doną Julianą. Może ona też nie wie o tych, hm, komplikacjach. A Ricardo jest do pana bardzo

podobny nie tylko z wyglądu, ale chyba także z charakteru. Jak pan wie, również jest pilotem.

- Dość kiepskim, gdyby mnie ktoś pytał. Tego nie mógł odziedziczyć po mnie.

Marisa uśmiechnęła się. Ten opór przed uwierzeniem w szaloną historię tak bardzo przypominał jej Ricarda. Mój Boże, byli do siebie znacznie bardziej podobni, niż mogła podejrzewać! Ricardo również wzbraniał się przed daniem wiary jej teoriom. Marisa ponownie sięgnęła do torebki. Podała staremu panu monetę, którą znalazła w skrzynce. I oto nagle jego oczy zadrzały, obojętność ustąpiła emocjom, na widok których Marisie ścisnęło się serce. Co za tragiczna historia! Cóż to za los -stracić ukochaną kobietę dla innego mężczyzny i dopiero długo po jej śmierci dowiedzieć się, jak wiele ich w rzeczywistości łączyło. Nigdy już nie porozmawiają o postępach córki, nie pokłócą się o wychowanie wnuka i nie będą się cieszyć skonstruowanymi przez niego samolotami.

Marisa uznała, że nadszedł czas, by zostawić biedaka samego z jego wspomnieniami. Musiała jednak dodać jeszcze jedno. Powiedziała łagodnie:

- Wtedy nie można było dokładnie ustalić ojcostwa. Być może dona Juliana dopiero patrząc na Ricarda zrozumiała, kto jest ojcem jej córki -i zapewne przez całe życie żałowała błędnej decyzji. Ale dziś są odpowiednie testy. To znaczy, jeśli chciałby pan mieć pewność.

Ale Fernando nie musiał się już upewniać. Wszystko się zgadzało. Pospieszny ślub Juju z innym mężczyzną, który wtedy wydawał jej się pewnie odpowiedniejszym kandydatem na męża, jej wyrafinowane manewry, by nie dopuścić go w pobliże wnuka, do których należała także odmowa udania się z Fernandem do Alentejo, a wreszcie dziwny testament, który prawdopodobnie należało interpretować jako wyraz nadziei na odkrycie prawdy, prawdy, której sama nie mogła mu wyjawiać, ponieważ bała się, że go przez to straci. Nigdy nie był w stanie rozwiązać układanki Juju - a teraz leżała przed nim cała, pełny obraz, nie brakowało już żadnej części i każdy kawałek idealnie pasował do drugiego. Za późno, pomyślał Fernando.

Przełknął smutek i ponownie skierował uwagę na młodą kobietę, która energicznie szperała w staromodnej torebce, sygnalizując zamiar odejścia.

- A pani naprawdę jest narzeczoną Ricarda da Costy? Chyba jest pani w wieku, kiedy dawno jest się już po ślubie i powinno się mieć dzieci.

Teraz to Marisa była zaszokowana.

- Mam trzydzieści jeden lat. Ricardo również. - Nie musi wspominać, że za kilka tygodni będzie miała już trzydzieści dwa.

- No właśnie.

- Może niektóre z najnowszych zmian obyczajowych panu umknęły, ale dziś nie trzeba już wychodzić za mąż. Inaczej niż w przypadku dony Juliany. - Ojej. Nie powinna była tego mówić. Przyszła tu, by pogodzić dziadka i wnuka - a teraz zapewne również ona zrobiła sobie wroga ze staruszka.

On jednak uśmiechnął się do niej.

- To, że trzeba wyjść za mąż, nie jest ku temu dobrym powodem, prawda?

- Nie. Ale to, że nie trzeba, też nim nie jest.

- Tak czy owak uważam chłopaka za głupca. Dawno powinien był panią poślubić. Nie może go spotkać nic lepszego.

- Może... zechciałby pan powiedzieć mu to osobiście?

- Owszem, ale tylko pod jednym warunkiem.

- Tak?

- Chcę, żeby przeleciał się ze mną swoim samolotem.

Minęło jeszcze kilka tygodni, nim spełniło się życzenie Fernanda Abrantesa. Bardzo szybko wyzdrowiał ze swojej „choroby”, która opanowała wyłącznie jego duszę. Krewni, przede wszystkim dona Elisabete, bardzo się z tego cieszyli. Ona, która jako jedyna знаła powód nagłego ozdrowienia, miała tylko jedno zmartwienie, które wszakże jej mąż szybko rozwiązał:

- Dlaczego miałbym temu kowbojowi zapisywać ziemię lub cokolwiek innego? Po pierwsze najpierw dziedziczyłaby po mnie jego matka, Laura. - Fernando z trudem myślał o obcej kobiecie jak o córce, pomimo lub właśnie z powodu jej niewiarygodnego podobieństwa do Juju. - Po drugie nic Laurze nie zapiszę. Jest niezwykle bogata, wiedziałaś o tym?

Elisabete skinęła głową. Oczywiście, że o tym wiedziała. Każdy, kto choć trochę interesował się kulturą i sztuką, wstrzymał oddech, gdy niedawno ujawniona została prawdziwa tożsamość LL.

- Po trzecie wiem, że wy, ty i dzieci, po mojej śmierci będziecie chcieli jak najszybciej sprzedać działkę. Kowboj powinien zapłacić za te wszystkie kłopoty, których mi przysporzył.



\* \* \*

Marisa była zachwycona sukcesem, jakim okazało się rodzinne spotkanie. Patrzyła na obu mężczyzn tak, jakby nie decydowali sami o sobie i swoim zachowaniu, lecz byli zależni od tego, za jakie sznurki pociąga ona w tle. Uznałaby to za osobistą porażkę, gdyby się nie dogadali. Choć po wspólnym locie zdawali się bardziej wrogo nastawieni niż wcześniej.

Ricardo jeszcze nigdy nie leciał z tak denerwującym pasażerem. Stary piernik, którego nigdy nie będzie umiał traktować jak dziadka, choćby przemawiały za tym wszystkie fakty, bez przerwy krytykował jego lotnicze umiejętności, przechwalał się własnymi bohaterskimi czynami z zamierzonych czasów i odważył się nawet odebrać mu ster - cessna 150 areobat jako samolot szkoleniowy miała dwa miejsca dla pilotów. Ricardo już chciał wyrzucić go z maszyny i zrezygnował z tego kuszącego pomysłu tylko dlatego, że pewnie wyświadczyłby tym staruszkowi przysługę. Najgorsze było jednak to, że Abrantes, jeśli właśnie nie pouczał Ricarda, jak ustawić pionowy ster, mieszał się w jego sprawy osobiste. Jakby był jego dziadkiem albo coś.

- Pytałeś ją kiedyś, czy zechce zostać twoją żoną? Ricardo milczał. To nie była jego sprawa.

- Nie sądzę, byśmy byli spokrewnieni. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby moim potomkiem był taki tchórz.

Ricardo nadal milczał. Dodał gazu i wziął rozpęd do pętli. To uciszy faceta.

- To wszystko, co potrafisz? - Po akrobacji, przy której innym ludziom wywracał się żołądek, Abrantes siedział niewzruszony na swoim miejscu i dalej denerwował Ricarda. - Chcesz być mężczyzną? Porządnym facetem? To tak się zachowuj. Dziewczyna tylko na to czeka.

- Ona ma za nic małżeństwo.

- To coś mówi! - zawołał Fernando w udawanym zdumieniu. - Powiedziało całe pięć słów!

Ricardo spojrzał na starca z nienawiścią. W każdej chwili mógł wybuchnąć wściekłością. Wyrzuci go nad jeziorem. Nie, lepiej tuż nad jego nędznym domkiem.

- No, to uda ci się też powiedzieć pięć innych prostych słów, prawda? Czy - zechcesz - zostać - moją - żoną?

A może lepiej nad wioską? Przy odrobinie szczęścia nadzieje się na kościelną wieżę.

- Poćwiczmy razem? Czy - zechcesz?

- Czy zechcesz wreszcie dać mi spokój?! - Ricardo obniżył lot. Wysunął klapy, celowo ignorując złośliwe komentarze starego piernika, i wylądował dokładnie, ale z pewnością niezbyt łagodnie na trawiastym pasie. Wsiadł i nie zainteresował się nawet, jak staruszek wydostanie się z samolotu. Niech przyjedzie straż pożarna, by mu pomóc, jemu było to obojętne. Nie widział, że Fernando Abrantes bardzo sprawnie wysiadł z maszyny i wyglądał przy tym o lata młodziej. Ale zobaczyła to dona Aldora, ponieważ siedząc w baraku, dokładnie obserwowała, co dzieje się na zewnątrz. Westchnęła i przypomniała sama sobie, że ten bardzo przystojny starszy pan, który już przed laty wywarł na niej tak pozytywne wrażenie, jest żonaty.

## Rozdział Pięćdziesiąty Siódmy.

Laura nie wiedziała, czy powinna żałować swojej decyzji, czy się z niej cieszyć. Choć spadł jej z serca wielki kamień i wreszcie nie miała już żadnych poważnych tajemnic przed Joao Carlosem i swoim synem, czuła rosnące rozczarowanie wobec reakcji ludzi. Zupełnie tak, jak się zawsze obawiała - sąsiedzi patrzyli na nią jak na obcą istotę. Uganiali się za nią dziennikarze. Jej brat, a przede wszystkim jego świętoszkowata żona nagle zaczęli ją traktować nie jak kobietę, która nagannie się prowadzi, lecz jak bogatą krewną, z której majątku pewnego dnia także im powinno coś skapnąć. Starzy znajomi, od lat nieutrzymujący z nią kontaktu, publicznie chwalili się rzekomą przyjaźnią ze słynną LL. A najgorsze bazgroły, jakie Laura przed wiekami zostawiła w notatniku lub na marginesie książki, nagle zyskiwały na wartości - o ile zostały uznane za prawdziwe. Było to dość obrzydliwe.

Nie ułatwiało sprawy, że całe to zamieszanie miało miejsce mniej więcej w tym samym czasie co jej zbliżenie do prawdziwego ojca. Dla Laury była ogromnym szokiem wiadomość, że jej biologicznym ojcem nie jest Rui da Costa, lecz Fernando Abrantes. Nie chciała w to uwierzyć i posądziła dziewczynę swojego syna, która wywołała wszystkie te zmiany w jej życiu, o zbyt bujną wyobraźnię - tylko po to, by ostatecznie skapitulować wobec jasnych dowodów przedstawionych przez Marisę. Najgorsze nie było wcale to, że splodził ją obcy mężczyzna, znacznie bardziej oburzało Laurę, że jej matka przez całe życie okłamywała wszystkich, którzy byli jej najbliżsi. Jak udało się jej tak oszukać męża, kochanka, dzieci, a także Ricarda?

W końcu to Marisa złagodziła wściekłość Laury.

- Dono Lauro, z całym szacunkiem dla pani oburzenia - ale czy nie robiła pani tego samego, nie zdradzając swej artystycznej tożsamości synowi i narzeczonemu?

Tak, przyznała Laura, nieświadomie okazała się znowu córką swojej matki.

- Jak w ogóle się pani o tym dowiedziała? - spytała Marisę. Odpowiedź była równie zawstydzająca jak zrozumiała:

- Pani syn wiedział o tym już od wielu lat.

Pierwsze spotkanie Laury z jej „ojcem”, którego nigdy nie będzie umiała jako takiego traktować, przebiegło w bardzo napiętej atmosferze. Fernando Abrantes był równie rozdrażniony podobieństwem Laury do Juju jak ona jego podobieństwem do Ricarda. Przez kilka minut przyglądali się sobie w milczeniu, nim oboje zaczęli mówić jednocześnie.

- Jesteś...

- Ma pan... Roześmiali się zakłopotani.

- Pan pierwszy, generale.

- Jesteś wiernym obrazem swojej matki. Laura skinęła głową.

- A mój syn Ricardo to niemal pańska kopia.

Fernando uniósł brew i nic nie powiedział. Już miał na ustach przykrą odpowiedź - „ja nigdy nie miałem trądziku” lub coś podobnego - nim przyszło mu do głowy, że mówi do matki kowboja. Do swojej córki. Matki swego wnuka. Trudno mu było zaakceptować ten nowy stan rzeczy.

W ciągu kolejnych miesięcy Fernando i Laura poznali się lepiej. Ich rozmowy stały się bardziej przyjazne, nigdy jednak nie nabrały tej głębi, do jakiej dążyliby ojciec i córka. Najwyższą poufałość osiągnęli na spotkaniu, na którym Fernando spytał Laurę o powód jej dobrowolnej anonimowości.

- Nie lubię być w centrum uwagi. Nie jako osoba.

- Nigdy tego nie robiłaś. Dlaczego jednak przestałaś malować? Laura wzruszyła ramionami.

- Byłam w jakiś sposób... pusta.

- Czy nadal tak jest?

- Nie. - Mrugnęła do Fernanda. - Ostatnio znowu mam prawdziwą ochotę malować. Jest ktoś, kogo uważam za bardzo ekscytującego modela.

- Czy mam się czuć pochlebiony?

- Hm - tak. Ale oczywiście nie będzie to prawdziwa LL. Laury Lisboa już nie ma. Im bardziej naciskają na mnie galerie, muzea czy kolekcjonerzy,

żebym dostarczała im dalsze prace LL, tym mniejszą mam na to ochotę. Wszystkich interesuje tylko zysk, nie moje umiejętności.

- A ty? Nie jesteś zainteresowana zyskiem?

- Nie. Mam więcej pieniędzy, niż mogę wydać. I więcej, niż potrzebuje Ricardo.

- Chcesz zatem przybrać nowy pseudonim?

- Może. Ale pewnie będę malować tylko dla siebie. Obrazy nie muszą być koniecznie wystawiane lub sprzedawane.

- Sądzę, że gdyby modelem był śmiertelnie chory człowiek, taki jak ja, wcale by się nie sprzedawały.

Laura widziała to zupełnie inaczej, ale nie wyraziła swej opinii. Zamiast tego spytała:

- Czy możemy zacząć już jutro? Czy miałby pan ochotę przyjść do mnie na Rua Ivens? Powinien pan zarezerwować na to około dwóch do trzech godzin.

Fernando spojrział na nią zamyślony. Pokusa, by po latach wkroczyć znowu do dawnego mieszkania Juju, była wielka - podobnie jak niebezpieczeństwo, że dopadną go tam wspomnienia i smutek.

- Nie, lepiej będzie, jeśli pani przyjdzie do mnie.

W ciągu kolejnych tygodni Laura ukończyła około dziesięciu prac. Jej twórcza energia powróciła, a myśl, że Fernando Abrantes nie będzie już długo żył, popychała ją do niezwykłego pośpiechu. Portrety pięknej, zniszczonej twarzy z niewiarygodnie błyszczącymi oczami okazały się najlepszymi, jakie kiedykolwiek namalowała. Gdyby trafiły na rynek, jako późne prace Laury Lisboa z pewnością osiągnęłyby astronomiczne ceny.

Fernando Abrantes zmarł w grudniu 1973 roku. To, czego nie zdołała ani przemowa księdza na pogrzebie, ani wzmianki w gazetach, sprawiły obrazy Laury - zapewniły Fernandowi godną pamięć. Dona Elisabete, jej dzieci, Ricardo, Marisa i Laura mieli jednak na całe lata pozostać jedynymi, którzy mogli podziwiać piękne portrety wspaniałego starego mężczyzny.

Kilka miesięcy później, dwudziestego piątego kwietnia 1974 roku, wszystkie sprawy prywatne znalazły się w cieniu wydarzeń politycznych, które błyskawicznie wyrwały Portugalie z ponadczterdziestoletniego letargu. Pucz wojskowy zakończył dyktaturę następców Salazara i przyniósł równie szybki jak bezkrwawy kres Estado Novo. Zgromadzony na ulicach

lud witał żołnierzy jako wyzwolicieli. Panowała tak rozluźniona atmosfera, że mieszkańcy wkładali żołnierzom czerwone goździki w lufy broni - „rewolucja goździków” zjednoczyła wszystkie grupy społeczne, starych i młodych, mężczyzn i kobiety, intelektualistów i robotników.

Powodów do radości nie mieli jedynie ci, którzy w starym reżimie uchodzili za podpory społeczeństwa. Wysocy urzędnicy musieli wyjechać za granicę, podobnie jak wielu bogaczy. Posiadacze ziemscy, politycy, klerycy - każdy, który czerpał korzyści ze starego systemu, nagle uciekał w obawie przed utratą władzy lub majątku.

Paulo da Costa był jednym z pierwszych. I tak nie wytrzymałby dłużej w Portugalii, bo prasa odnalazła nawet jego, brata Laurę Lisboa, i zmusiła do wypowiedzi na temat przyrodniej siostry. W jaki sposób Laura przez te wszystkie lata zdołała przechytryć nawet jego, stanowiło dla Paula zagadkę - i budziło pewien szacunek. Nie była to główna przyczyna pospiesznego wyjazdu, ale kolejnym powodem, by pokazać plecy krajowi i krewnym, stał się fakt, że narzeczona jego siostrzeńca, Marisa, doprowadziła do rodzinnego happy endu godnego telenoweli. Tylko samemu Paulowi i jego rodzinie przypisano w tej historii rolę łotrów. Dobrze, że w Anglii nie będą do niego docierać wszystkie te paskudne szczegóły.

Rui da Costa, obecnie osiemdziesięcioletni, po raz pierwszy po wielu latach powrócił na portugalską ziemię. Miał zostać pradziadkiem, niewiarygodne! Jeszcze bardziej jednak cieszył się z uznania, które okazywano wreszcie Laurze. Dlaczego przez te wszystkie lata nic nie powiedziała? Kogo chciała ukarać, zachowując swoją sławę dla siebie? I kto sprawił, że zmieniła zdanie? Czy naprawdę była to żona jej syna, ta nieznana mu Marisa? Bardzo dziwne. Rui odsunął od siebie myśl, że ktoś z zewnątrz miał większy wpływ na jego córkę niż jakikolwiek członek rodziny. Zainteresował się raczej zmianami społecznymi, których należało teraz oczekiwać. Ten kraj potrzebował nieco mniej katolicyzmu i nieco więcej postaw liberalnych.

Laura i jej „narzeczony” Joao Carlos myśleli bardzo podobnie. Pomimo silnych tendencji komunistycznych, które nagle ogarnęły Portugalie,

nie bali się o swój majątek - większość była bezpiecznie ulokowana w Szwajcarii. Zmiany społeczne przyniosą im tylko korzyści. Laura przejściowo zapomniała nawet o smutku po stracie swojego biologicznego ojca. Rui da Costa na zawsze miał pozostać jej prawdziwym ojcem i była bardzo szczęśliwa, widząc go po tak długim czasie.

Marisa i Ricardo nie mogli świętować obalenia reżimu razem ze zgromadzonym na ulicy tłumem. Ale również w szpitalu panował radosny nastrój - siostry tańczyły z lekarzami na korytarzach, co bardziej ruchliwi pacjenci zorganizowali zaimprovizowane przyjęcie. Marisa i Ricardo słyszeli śmiech i muzykę dobiegające do małej prywatnej salki, w której umieszczono Marisę.

- Szkoda, że generał tego nie doczekał.

- Tak. Ale nie martw się tym teraz. Sądzę, że umarł jako szczęśliwy człowiek.

- Ja też tak uważam. Cieszę się, że mógł przynajmniej przyjść na nasze wesele. - Marisa skrzywiła się nagle. - O Boże, są coraz gorsze.

Ricardo poczuł na wardze krople potu. Bezradnie patrzył na żonę i z troski niemal miażdżył jej rękę.

- Lepiej zawołam lekarza.

- Nie, zostań. - Jęknęła cicho, ale po chwili jej twarz ponownie się rozluźniła. - Obawiam się, że to może jeszcze potrwać.

Ricardo wstał i spojrzał przez okno na tłum na ulicy, który obchodził go wyraźnie mniej niż wydarzenia w pokoju. - Chcesz szklankę wody?

- Nie, dziękuję.

- A może coś do przegryzienia? Nugatowy cukierek? Marisa uśmiechnęła się z udręką.

- Nie jestem twoją babcią Marianą.

Ricardo wzruszył ramionami. Potem coś przyszło mu do głowy.

- Pamiętasz jeszcze ten dzień, gdy umarła? Marisa skinęła głową.

- Próbowала mi coś powiedzieć. Wiedziała, że jestem wnukiem dony Juliany i generała.

- Oczywiście.

Ricardo spojrzał na żonę, marszcząc czoło.

- Tak, oczywiście.

Znów usiadł na skraju łóżka i ujął dłoń Marisy. Pochylił się, pocałował

jej mokre czoło i pogładził wzburzone włosy na skroniach. Jego spojrzenie było pełne troski i miłości.

- Doprawdy, Ricardo, zachowujesz się tak, jakbym umierała. Przejdź się może dookoła bloku. Albo zatańcz na korytarzu z ładną siostrą Iacintą. - Ledwie to powiedziała, ponownie przeszył ją taki ból, że z trudem chwyciła powietrze. Ricardo zbladł z przerażenia. Podskoczył, wybiegł z pokoju i zrobił na zewnątrz taki raban, że Marisa uśmiełaby się do łez - gdyby także nie odczuwała palącej potrzeby, by zobaczyć lekarza. Bała się, nawet jeśli nie chciała dać tego odczuć Ricardowi. I ucieszyła się, gdy nieco później przysłała siostra Iacinta, by się nią zająć.

- Nie ma powodu do zmartwienia, moja droga. To jeszcze potrwa. Wrócę za pół godziny, w porządku?

- Nie, nie w porządku! - denerwował się Ricardo zamiast Marisy. - Moja żona rodzi, a pani nie ma nic lepszego do roboty niż robić piękne oczy do ordynatora!

- Proszę się uspokoić, z pańską żoną nic się nie dzieje. Wszystko przebiega normalnie. Nie potrzeba wam teraz lekarza, tylko cierpliwości.

Po ponadpiętnastogodzinnych bólach Marisa wydała na świat wyjątkowo brzydkiego, zdrowego, grubego chłopca. Siostra Iacinta musiała tymczasem zająć się w poczekalni młodym ojcem, który bliski załamania nerwowego umierał tysiąc razy. Gdy Ricardo został wreszcie dopuszczony do żony, wyglądał na bardziej utrudzonego niż ona.

Marisa z wielką czułością spoglądała na zawiniątko w swoich ramionach. Niechętnie podała je mężowi.

- No cóż, może ma zalety wewnętrzne - powiedział Ricardo. Nie zauważył urażonej miny Marisy, która uważała dziecko za najpiękniejsze na świecie.

- Do latania nie trzeba być pięknym, jak sam najlepiej wiesz. Nie usłyszał drwiny w jej głosie.

- Nie. Do tego trzeba się urodzić.

- To już się stało. To znaczy urodził się. Dziękuję ci też za życzenia i troskę o dobre samopoczucie matki.

Ricardo spojrzał bezradnie na żonę. Co ją ugryzło? Dziś jest szczęśliwy dzień, prawda? Wstał, podszedł do okna i otworzył je. Do środka wpadło świeże powietrze - i radosne okrzyki ludzi.

- Ta data na pewno przejdzie do historii - powiedział zafascynowany. Marisa przewróciła oczami. Oczywiście, że tak. Dwudziesty piąty kwietnia 1974 r. był w końcu dniem narodzin ich małego Fernanda.